

Eugeniusz Paukšta

Wszystkie barwy codzienności

Wydawnictwo Poznańskie 1979

*Źonie, która w każdej barwie
czasu jest ze mną –*

1.

Wiatr przewinał mocniejszym podmuchem od szosy, poniosło pyłem, gęsto osiadającym na wilgotnych okienkach kantorka przy stacji benzynowej. Chłopak zmywający szkło spojrzął niechętnie na drobiny piasku, już tylko od niechcenia przesunął po nich przetłuszczoną smarami ścierką.

- Myj, myj, Tomek, żeby błyszcząły na glanc.
- Zaraz się od nowa zakurzą - odburknął.
- Nie gadaj!

Drzwi kantorka rozwarły się, na progu stanął tęgi mężczyzna w czapce mocno nasuniętej na uszy, zdawał się szykować do dłuższego wykładu o potrzebie porządku, gdy na podjazd wtoczyła się nowiutka warszawa. Wskoczył z niej młody człowiek i rzucił przyjaźnie, otrzepując jakiś pyłek z dobrze skrojonej sportowej marynarki:

- Pełny bak, panie Maliniak, ale migiem, spieszno mi!
- Już się robi, panie doktorze... Olej też?

Lekarz przytakująco skinął głową.

- Niechby chłopiec szyby mi przetaił - dorzucił. - Na szosie taki kurz, że przy mijaniu ledwie widzi się drugi wóz.

- Będzie burza, panie doktorze... Tomek, hyclu, nie słyszysz, że szyby masz przetrzeć! Weź czystą szmatę!

Strzałka zegara obiegała tarczę, licznik odmierzał ilość pobranego paliwa.

- Gotowe. Jeszcze ten olej. Lux?
- Chłopcze, coś ty narobił! Przecież to tłusta szmata, niechże cię...

Z blaszanką oleju w ręce Maliniak zerknął w stronę zagniewanego lekarza. Pełna jego, ogorzała twarz drgnęła. Jeszcze raz zawrócił do magazynu, zaraz się wyłonił ze ścierką.

Starannie przecierał szybę kolistymi ruchami dłoni. Tomek usunął się na stronę, potem na pół bezmyślnie wrócił do przerwanej czyszczenia szyb w okienku stacyjnej dyżurki.

- Błyszczą jak lala, panie doktorze - skłonił się Maliniak. - Zaraz wydaję kwit - z czerwonymi banknotami w dłoni skierował się do kantorka.

- Po co mi one?
- Dla porządku, panie doktorze. Nowe przepisy.

Lekarz machnął ręką. Z wydanej reszty odsunął na stronę dwadzieścia złotych.

- Do widzenia.
- Uszanowanie panu doktorowi.

Maliniak przyjrzał się leżącym na parapecie okienka dwudziestu złotym, pogonił oczyma

za błyszczącą bordowym lakierem warszawą, dopiero wtedy zwrócił się do Tomka.

- Gamoniu, jeszcze mi raz tak zrobisz, przepędzę we wszystkie diabły!

Chłopak milczał. Szyby kantorka jakoś się teraz lepiej prezentowały. Maliniak przeciągnął wierzchem dłoni po czole: osiadły na nim krople potu. Parno było, żar powietrza nie zezwalał na swobodę oddechu. Chciał coś jeszcze powiedzieć, gniewnie zważył usta, zatrzepotał grubymi paluchami.

Stacja leżała trochę na uboczu od centrum miejsciny, spory kawałek trzeba było przebijać się ku niej powybijaną drogą, klęli ją wszyscy kierowcy. Od drugiej strony, o rzut kamieniem, mijala stację szosa, wiodąca w kierunku Poznania. Na tym szlaku zawsze rojno było od ciężarówek.

Maliniak mocnym, kaczemu podobnym krokiem wyszedł przed daszek okrywający podjazd stacji. Leniwie zdjął czapkę z głowy; nieliczne jasne włosy lepiły się od potu. Chustką przetarł czoło, przesunął ją wokół szyi, znów nacisnął czapkę, jak mógł najmocniej. Jakieś newralgie zostały mu jeszcze od czasów wojny, byle przewiew, łupało, tygodniami nie mogło się uspokoić. Był więc szczególnie ostrożny.

Za szosą ciągnął się rząd starych, niziutkich domków z lizajowatymi plamami opadających tynków. Z podwórza jednego z nich dobiegały mocne uderzenia młota. Rytmicznym dudnieniem szły przez rozprażone powietrze, ucichały dopiero gdzieś nad wyższymi domami miasteczkowego rynku. Kierownik Maliniak nasłuchiwał przez chwilę, z uznaniem pokiwał głową, ruszył w stronę tamtego obejścia, gdy głośny warkot ciężko pracującego motoru wdarł się między kolejne uderzenia kamieniarskiego młota.

Niechętnie się zatrzymując, szukał wzrokiem, skąd nadjeżdża następny klient do stacji. Szosą tylko jakaś babina pedałowala na rowerze, na dojazdówce z miasteczka też nic się nie wyłaniało. Co jest, do jasnej Anielki?

Dopiero zobaczył. Osobliwie buczący star wtaczał się na szosę z bocznej drogi wiodącej od lasu. Maliniak zdziwił się. A tego co tam zaniósł? Poznał wóz, z Sulechowa, z mleczarni, co to nim jeździ Gienek Dopatka. Co ten w lesie miał do roboty?

Star niepewnie wpakował się na podjazd. Maliniak nie lubił Gienka Dopatki, przemówili się już nieraz. Dlatego też udał teraz, że jest czymś mocno zajęty w magazynku z olejem, niechże szoferak zaczeka. Dopiero okrzyk Tomka kazał mu się obrócić.

Zdębiał na widok stanu maszyny. Szyba szoferki była rozwalona, parę ostrych ułamków szkła tkwiło jeszcze przy samym obramowaniu. Zderzak zaś...

W Maliniaku żywiej zabiło serce. Jest coś ciekawego, a to dzień zapowiadał się nudny. W tej chwili zapomniał uraz do Gienka Dopatki.

- Co jest? - zawołał.

Dopatka szamocąc się z zacinającymi się drzwiczkami zeskokczył na beton podjazdu.

- A gówno! Taka niedobra historia... Maliniak, pomożecie mi?

Twarz miał umorusaną, ocierał ją rękawem, ciemne smugi oliwy mieszały się z czerwienią krwi.

- Co jest? Ranny jesteś?

- Gówno, mówiłem... Stary, daj mi drobinę benzyny, niewiele, bo bak przecieka. Diabli nadali! Myślałem, że się już tu nie dopcham bokami.

- Widziałem. Od lasu. Kraksa?

- Kraksa... Zaraz potem zjechałem w bok, lotna dziś gania, zaraz by się zaczęła polka, co i jak... A tam piaski, trochę, a byłbym stanął, i tak telepałem się kilometr na sto cholera!

Podszedł bliżej, oglądając się na rozciekawionego Tomka, zaszeptał:

- Maliniak, na waszym podwórzu można by wóz postawić? Macie takie miejsce za szopą, ani widać od drogi. Można?

- Chłopie, co ty chcesz chować? - mówiąc to kierownik zajrzał pod plandekę. Ale tam było pusto.

- Nic. Tyle, że wolałbym obejść się bez MO. I tak beknę niemało, przód cały pogięty, szyba, bak, może co jeszcze. Z kierownikiem się u nas obgada, poradzą parę dni jednym wozem, nim się to wszystko wyklepie. Ja, widzisz, stary, trochę dziś byłem na bańce.

- W taki żar? Głupota!

- Zdarza się. Niewiele, pół basa ledwie poszło na trzech, ale tłumacz się komu... Można się umyć?

- Można. To wiele, piątka?

- Starczy. Co ma po próżnicy wyciekać.

Gdy wrócił od kranu w magazynku, benzyna była już nalana. Bak był rzeczywiście przebity, krople połyskującej w słońcu cieczy skapywały gęsto, tworzyły na betonie kałużę.

- To można u was postawić?

Maliniak spojrział na zaaferowaną twarz kierowcy z uwagą, powoli wyciągnął chustkę z kieszeni, otarł pot z czoła, dopiero zamruczał:

- Dopatka, a będziesz jeszcze mi się kiedy ciskał do oczu?

- Daj pokój, Maliniak, że się też wam na wspominki zebrało. Minęło. Nie będę.

- To jedź. Potem opowiesz dokładniej, coś narozrabiał. Gdy star odjechał, Maliniak zwrócił się jeszcze do przejętego Tomka:

- Widziałeś takiego zasańca? Kierowca, w tyłek szarpany! Niech mi on jeszcze kiedy

poskacze.

Nagle się czegoś zezłościł.

- Ty gały czego wybałuszasz? Smaruj do magazynu, brudno tam, żeby mi zaraz był porządek. Idę do Łyczywka...

Ciężko przestawiając swe płaskie stopy, pociągnął w kierunku miarowo niosących się powietrzem ciosów kamieniarskiego młota.

Tomek wychylił głowę z magazynu, uśmiechał się, patrzył za szefem, z satysfakcją zagrał za nim na nosie, wreszcie przysiadł wygodnie na kamiennym progu. Widział kto przemęczać się w taki żar?

Śmieszny był ten Łyczywek, maleńki, pokurczony, w ogóle cały jakiś niemrawy. Kto by to pomyślał, że chłopca stać na niezwykłą siłę: wielki blok piaskowca potrafił odrzucić swymi przydługimi łapami na stronę, młotem gdy walił, to tylko pryskały kamienne drzazgi.

Gębę miał drobną, gładziutką, jakby skórę na niej specjalnie naciągnął. Jeszcze ten uśmiech. Sam mawiał, że na pogrzeb nie wypada mu chodzić, zaraz by gadali, że się prześmiewa z ludzkiego nieszczęścia. Tymczasem to strapienia i smutne myśli tak mu śmiechem wyłaziły na twarz. Po wojnie został mu taki grymas.

Właściwie to bardzo mało o nim wiedzieli w miasteczku. Nie był jednym z tych pierwszych, co to zwalili się tutaj zaraz w ślad za goniącymi Niemców wojskami. Parę lat później, przybył, nie przebierał, rudere jakąś wynalazł, trochę ją pod-szykował, na podwórzu ustawił szopę z samym dachem, bez ścian, zaczął oferować ludziom nagrobki. Głowami kiwali, komu tam nagrobki w głowie, gdy nikt jeszcze nie zasiedziało się na nowiźnie. Licho go wie, tego Łyczywka, z czego żył pierwsze lata. Żył zresztą, tak wyglądało, nieźle. Bo to i kamień, i marmury jakieś ciągle zwoził, młotem stukał bez przerwy, pod szopą zebrała się potężna sterta ociosanych bloków. Niby zamówień nie brał, bo mu nikt ich nie dawał, a jedli z żonką i tą wychowanką niezgorzej, jeszcze mu na wódkę starczało. Bo trunkowy wtedy był, później dopiero tak mu raptem odeszła ochota.

Nie dawał do siebie bliższego przystępu: niby to pogadał z każdym, zaśmiał się po swojemu, tyle tego i było. Nie zwierzał się, nawet wtedy, gdy bywał pijany, o sobie nie opowiadał, dopiero z rady narodowej powiedział ktoś od meldunków, że Łyczywek przywędrował tutaj gdzieś spod Białegostoku, bo i z tym się nigdy nie zdradził. Śmieszny taki, a zarazem dziwny i tajemniczy.

Człapiąc przez spiekotę lejącą się z nieba, ocierając pot z czoła, choć to blisko, ani paręset metrów, myślał o tym wszystkim kierownik Maliniak, a może i nie myślał, tak mu się jakoś te

wspominki same układały w masywnym łbie. Bo czyż to można myśleć w podobnej spiekocie?

A tamtemu nic. Jakby chłód skądys na niego ciągnął i rozgrzać się chciał tym swoim łupaniem kamieni.

Z daleka już zakrzyknął Maliniak do kamieniarza, że idzie, niech zaprzestanie swojego kucia, bo to trudno o jakiś kamyk, który wyprysnie spod miota i rąbnie w oko?

Łyczywek wyprostował małeńką, niezdarną figurkę, z rozmachem odrzucił miot kamieniarski osadzony na krótkim trzonku, gęba mu się śmiała nie wiedzieć czego. Wyciągnął dłoń do Maliniaka.

- Pogoda jak złoto.

- Dajże, Łyczywek, spokój z takim złotem. Dyszeć czym nie ma.

- Ja to lubię słońeczko. Wytęskniłem się za nim swojego czasu, temu i teraz go nigdy dla mnie nie za wiele.

Maliniak nadstawił uszu. Może kamieniarz bąknie coś więcej? Już to on ciekawe musi mieć życie za sobą. Łyczywek jednak znów zamknął się w sobie jak ślimak, paczkę sportów wyciągnął, częstując.

Przysiedli na podciosanym bloku granitu. Kierownik stacji benzynowej powiódł wkoło spojrzeniem. Stosy kamienia piętrzyły się pod szopą i na podwórzu.

- Starczyłoby pewnie na groby dla połowy miasteczka?

Tamten zaciągnął się tylko mocniej, kaszlnął, spluwając pod nogi pacyną śliny. I z nagłą zapytał z innej zupełnie beczki:

- Co się stało Dopatce? Stara hycel rozwalili? Już to jakaś nieczysta jazda była, kędy go niosło od lasu?

- Zdarza się. Może był chłopak na gazie. Że z lasu? Mogli go posłać na wioski - nie wiedząc czemu, zaczął nagle bronić chłopaka. Kamieniarz od niejakiego czasu krzywo patrzył na Gienka.

- Posłać, posłać. Lewy kurs robił i tyle. Już to on niejedno ma na sumieniu... Głupi, do Wery się suwał jakbym ja dał dziewczuchę takiemu gołodupcowi.

- To wam już, Łyczywek, nie chciał więcej kamieni wozić?

Zaśmiał się w odpowiedzi. A przecież Maliniak widział, jak mu się oczka przy tym zwężyły, wcale nie śmiesznie.

- Ja nie chciałem! Taki pętał nie ma u mnie nic do gadania.

- No pewnie, pewnie.

Od szosy zadęło wichrzysko gwałtownym porywem, oczy przymrużyli, przy tych

kamieniach łatwo mogła trafić pod powiekę ostro drobnika, potem zaraz robi się zapalenie, ropieje i czerwienieje.

Podmuchał podrzucił na stronę ponemiecką frontową plandekę, malowaną w brązowe i zielone plamy; Łyczywek osłaniał nią partie nie obrobionych jeszcze kamieni. Suchy, stwardniały brezent z łopotem przetaczał się po podwórzu.

- Mać koza! - zaklął kamieniarz, ruszając w pogoń.

Maliniak zerknął ku odsłoniętym blokom kamiennym. Dobrze się domyślał, znowu rozszabrowali jakiś zapomniany cmentarz w okolicy. Na jednej z płyt, zaciągnięte zielonym mchem, odbijały wyraźnie gotyckie litery. Kierownik stacji benzynowej pokiwał głową. Co go to w końcu obchodzi, że Łyczywek ograbia z pomników stare cmentarze. Każdy radzi sobie jak może. Umarlaki protestować nie będą...

Jakoś mu się jednak nieprzyjemnie zrobiło. Pewnie, Łyczywka lepiej nie ruszać, on też się niejednego domyśla, mógłby zaszkodzić. Że to jednak brudna robota, to fakt. Co innego ukraść żywemu, bronić się może, a jak nie, zawsze się dorobi, od nowa. Ale nieboszczyk?

Nawiedzały czasem Maliniaka dziwaczne myśli. Oswoił się już z tym, że kości swoje złoży nie gdzie indziej, jak w tym zafajdanym miasteczku. Tyle lat, przyzwyczał się człowiek, tutaj ma dom. Pewnie też stanie na grobie jakiś pomniczek, płyta z kamienia czy sztucznego marmuru, może i krzyż ciosany z granitu. Jakżeby tak, gdyby zjawił się ten lub inny Łyczywek i zabrał cichaczem płytę i krzyż, ociosał w warsztacie, sprzedał komu na miejscu czy zgoła pod Warszawę kędyś wyprawił? Jakże by on, Maliniak, czuł się natenczas w grobie, oszabrowany,-obrabowany, zapomniany, pies by go potem kulawy nie znalazł pod podłużnym, nie nazwanym kopczykiem ziemi... Świnia ten Łyczywek. Niby to grabi stare cmentarze, ale tamci też mieli czy mają swoich, też im taki kamuszek musi sprawiać przyjemność.

- Ech, dola - zamarkocił się nagle.

- Że co? - Łyczywek stanął przed nim, znów mu gęba śmiechem latała. Złapał plandekę, okrył nią staranniejsz niż przedtem stos kamiennych płyt pod nawisem szopy.

- Nic, nic, takie tam sobie wspominki... - burknął Maliniak.

Odechciało mu się nagle gawędy z Łyczywkiem. Pał go sześć, niewydarzeńca, wraz z jego kamieniami.

Jakby przyzwane, dobiegło od stacji wołanie Tomka, przekrzykujące warkot samochodowych silników.

- Ot, co. Pogwarzyć nie można. Zaraz ktoś pili o benzynę czy ropę - wskazał dłonią ku stacji.

Człapiąc przez żar w stronę przyzywających go niecierpliwie kierowców, czuł na sobie badawcze spojrzenie Łyczywka. Obejrzał się. Tamten stał z gębą skrzywioną swoim śmiechem, nie śmiechem. Potem schylił się powoli do miota. Zaraz pobiegły za Maliniakiem silne uderzenia stali o twarde kamień.

- Sześćdziesiąt litrów, panie Maliniak! I olej do zmiany. Ale już, bo mam daleką turę na Kostrzyn.

- Nie pali się, nie pali, powoli chłopysiu - sapał kierownik stacji, ujmując kichę grubego węża pompy.

Nowy podmuch wiatru przyniósł miarowe uderzenia Łyczywkowego młota.

Rozzłościł się nagle Maliniak.

- Zgiń ty, przepadnij, zaraza! - zmełł klątwę w wargach.

Humor odzyskał dopiero, gdy któryś z pobierających benzynę kierowców odsznurował plandekę i wyciągnął spod niej ukryte w skrzynce butelki piwa. Ramię Maliniaka samo powędrowało ku ustom, otarło je łakomie. Tomek również się oblizwał jak kot.

Taki żar.

Maliniak uwielbiał dni wypłat. Wtedy już nie dłużyły mu się tak ostatnie godziny wyczekiwania na fajrant. Zawsze ściągnęło sporo szoferskiej wiary, niejednemu radośnie wybrzuszało się za pazuchą od flaszki wepchanej w kieszeń, w ogóle większy ruch robił się przy stacji.

Tomek tylko klął wtedy w duchu, a czasem nawet głośno. Bywało, do zmroku, choć to czerwiec, przyszło siedzieć przy Stacji, w te dyrdy ganiać to do sklepu po wódkę, to do kiosku po piwo. Jeszcze gorsze czasy nastały, gdy skasowano sprzedaż alkoholu w te dni, gdy ludziskom co nieco grosza wpadało w ręce. Do starej, z wiecznie zaropiałymi oczyma Jalaskowej, z dobrego serca i dla paru mizernych groszy za fatygę wyręczającej sklep monopolowy, nawet dla szybkich nóg Tomka było daleko.

Dawno się przewaliło południe, a żar nie zdawał się zmniejszać. Niebo stało czyste, rozprażone do białą, tylko dalekimi kręgami, tuż nad przebłyskującą zza domów linią lasu, snuły się ciemne chmury.

- Pięćdziesiąt, panie Tomczyk! - zawołał chłopak. - Kasa u szefa.

- Łap, Tomek!

Kierowcy z cegielni mieli hojną rękę. Tomczyk nigdy nie odjechał, by z dwu złotych nie zostawić dla chłopca, a przy wypłatach, jeśli był już na wstępnym gazie, całą dychę umiał podrzucić.

Usunął się starem na stronę, aby dojazdu innym nie tarasować i już klepał Maliniaka po

zapoconych plecach.

- Dobry był tydzień, sześć stówek ekstra mi wpadło... Na benzynie też się co nieco zaoszczędziło. Tak gazik podrychtowałem, że na czysto wygrywam - przyjaźnie wskazał na maszynę. Mrugnął na kierownika stacji, uderzając się znacząco po lewej kieszeni marynarki narzuconej na ramiona.

- Tomek, pilnuj porządku, jeśli chcesz mamę dziś jeszcze widzieć! - zakrzyknął Maliniak ku chłopcu.

Tomek pokiwał boleśnie głową, zaraz potem wysunął język. Kierownik udał, że tego nie widzi.

- Jakże tam jego matka, he? Pamiętam, jeszcze parę lat temu fest była kobita. Potem tak nagle zmarniała - popatrując za chłopakiem przez okienko kantorka, zagadał Tomczyk.

- Same z niej kości, tylko oczy zaświecą czasem jak dawniej - machnął ręką Maliniak, wyciągając z szafki dwie szklanki.

Strzelił do góry korek, wybity uderzeniem dłoni w dno flaszki, biały płyn zabulgotał.

- Żeby nam się wiodło, Maliniak!

- Hop, siup, cztery baby osiem dup! - zrewanżował się kawalerskim toastem.

Dla wszelkiej pewności szufladę z pieniędzmi zamknął zaraz na klucz.

- Jest Urbaniak - powiedział.

Z jazgotem wtargnęła na podjazd wywrotka. Urbaniak wywoził nią ziemię z wykopu przy rynku, gdzie stanąć miał pierwszy w miasteczku blok mieszkalny. Z daleka już machał ku widocznym za szybą kamratom.

Tomek tankował benzynę, jemu też spiekota dawała się we znaki. Zerknął na zegar, ledwie minęła czwarta. Kiedy indziej godzina jeszcze i byłby koniec; ale nie dziś. Ostatnim razem zamknęli budę po dziewiątej, coraz modniejsza stawała się ta „knajpa pod Maliniakiem”, jak ją zwała szoferska brać.

Zawsze pod koniec pracy zjeżdżało sporo maszyn, nic na to nie można było poradzić. Dziś było ich więcej niż kiedykolwiek. Dobrze chociaż, że nikt nie kazał ganiać po wódkę. Z sobą przywożą, choć ta pociecha.

Tomek najbardziej nie lubił ciągników, gwałtujących o ropę. Najbrudniej z tym, a już żeby któryś traktorzysta grosz jaki wetknął, ani co marzyć.

Większość pojazdów odjeżdżała. Tylko najbliższa paczka odstawiała wozy na stronę, zamierzając popasać dłużej. Kłębili się w ciasnym kantorku, potem jeden po drugim wypryski wali na dwór. W zamkniętym pomieszczeniu trudno było wytrzymać.

Skądś znalazła się skrzynka piwa. Pili prosto z butelek, grdyki pracowały cichym

bulgotem. Gadali po kilku naraz, czasem przechodzili na drugą stronę jezdni, by tam pod płotem łąpczywymi zaciągnięciami wypalić papierosa. Na tym punkcie Maliniak był nieustępliwy, za nic nie pozwolił kopcić przy stacji.

- Hurra, jest Gienek! Co z tobą? Gdzie stara sprzedaleś? - powitali kierowcy nadchodzącego Dopatkę.

Tomczyk z okrągłą jak zakonna tonsura łysiną na czubku głowy porozumiewawczo mrugnął do Maliniaka. Musiał już wiedzieć o kraksie.

- Mało dają, temum jeszcze go nie zhandlował... Pamiętacie, chłopcy, ten czas, kiedy za litr sznapsa od byle cwaniaka można było zagarnąć niezgorszy motor?

- Te, Gienek, królowa Bona umarła. Czterdziesty piąty rok wspomniał...

Zaśmieli się, sięgając po nowe flaszki piwa. Na żar lepsze to niżeli wódka. Potem przysiadali na murawie z tyłu za stacją. Wysoki jak drągowina Ostapczuk wyciągnął zawinięte w kawał gazety grube kromy chleba ze słoniną; krając to scyzorykiem na kostki, smakowicie pakował do ust, piwem płukał.

Jakaś WFM-ka zawarczała wściekle, tłumik musiała mieć nawalony. Pięć litrów. Tomek zatankował, Maliniak nawet nie pofatygował się podejść do klienta, z daleka wyciągał rękę po należność, co się miał wysilać.

Dopatka odciągnął Tomczyka na stronę, coś mu z zapalem klarował. Łysawy szofer marszczył się, nie bardzo mu to widocznie odpowiadało.

- Uwaga, chłopaki! - stanowczym głosem wdarł się w ogólny rozgwar Maliniak. Dłonią wskazał na rozbitą ciągnikami drogę, wiodącą ku głównej ulicy miasteczka.

Był już przy Tomku, spiesznie zapinając guziki rozchełstanej koszuli. Mokra od potu, lepiała się do tłuszczem narosłych pleców. Jeszcze obejrzał się na szoferską wiarę. Rozchodzili się do swoich wozów. Któryś zapuścił motor.

Czarna tatra bez szmeru wtoczyła się na podjazd. Tomek wytrzeszczył oczy, tego modelu jeszcze nie widział. Jakiś najnowszy typ. Urzędowy. Pewnie wielki dygnitarz może i sam minister, literki tabliczki wskazują, że maszyna z Warszawy, Szofer elegancki, na 'czarno i sztywniak, jakby kij połknął. Maliniaka nie potrzeba było poganiać. Takiego gościa musi się pozbyć jak najszybciej. Nie ma się nawet co przyglądać tatrze. Gdyby nie był na bańce, co innego. A tak, niechby wyczuł ten facet w okularach, dopiero byłaby heca. Tamtym jeszcze na krzyk się zebrało, zachnął się, słysząc jazgot głosów od strony parkujących nie opodał wozów

Tomek, przyciągnięty błyszczącym lakierem maszyny, sam, bez niczyjej podniety, począł szmatą pucować karoserię. Przecież pył osiadł i na niej. Korzystając z okazji, zerkał ciekawie

do wnętrza. Mały człowiek zdawał się patrzeć gdzieś w przestrzeń, licho go wie zresztą, za tymi szklami. Książkę jakąś złożoną miał na kolanach i tak się dziwnie wygapiał. Żółta teczka leżała na ciemnobłękitnym obiciu.

Ani chybi, minister - upewnił się chłopak, energicznie pucując karoserię. Drgnął na głos szofera:

- Zostaw to, zostaw! Więcej pobrudzisz, jak wyczyścisz.

- Na kogo, szanowny panie, rachunek - Maliniak cofał się przezornie za ochronę kantorka, po co się narażać, jeszcze by ten szofer co wyczul z oddechu.

- Pisz pan numer i tyle.

- Niby jest taki przykaz... - Maliniak zaproponował z lekka, raczej już tylko wyjaśniająco, i zaraz się skulił. Po cholere mu te rozmówki. Może w ogóle nic nie wypisywać w rachunku.

- Gotowe, panie prezesie - powiedział szofer, zatraskując za sobą drzwiczki tatty.

Niemal bezszelestnie drgnęła maszyna, półobrotem leciutko wyjechała na drogę. Kurz za nią się podniósł.

- Ej, wiara! - zamachał Maliniak dłońmi.

Dwóch już tylko zostało. Tomczyk odjechał z Dopatką, zawieruszył się ze swoją wywrotką Urbaniak. Na pytające spojrzenia niedobitków kierownik stacji machnął lekceważąco dłonią:

- Iii tam, jakiś prezes. A wyglądało: co najmniej minister. Wózek, że proszę siadać.

- Wiara wyciekła, woleli być dalej. Teraz byle wypijesz, do sądu ciągną - dorzucił któryś z kierowców. - Jakby tam co mogło zaszkodzić maleńkie płukanko. Mnie po tym zawsze pewniej się jedzie.

Wyciągnął ćwiartkę z czerwoną kartką. Maliniak od razu odzyskał humor.

- A piwo co? Pojechało? - obejrzał się. - Jasny gwint. Trzeba będzie Tomka posłać, jakże bez piwa?

- Nie zdąży, tylko patrzeć, jak lunie.

Wiatr dał coraz mocniej, wirował świdrującymi niebo słupami, słońce skrywała niska chmura nabrzmiała czernią. Chłodniej się z nagłą zrobiło.

Maliniak szturchnął w bok idącego przy nim czarniawego mężczyznę. Klimczak pracował przy budowie, miał wielkie chody u magazynierów i budowniczych.

- Mam kupca na cement. Pięć, sześć ton. Gotówką. Pilno mu...

Klimczak obejrzał się na trzeciego kompana. Właśnie szedł ku nim.

- Zajdę jutro do ciebie. Wieczorkiem. Może się da co zrobić - szepnął.

Tomek usłyszał to, łypnął ciekawie oczyma. Lubił tak przewąchiwać różne siuchty

Maliniaka, choć mu to rzadko się udawało. Kierownik stacji był bardzo ostrożny.

- Tomek!

Poznał, jeszcze jej nie widząc. Taki ten głos swój miała dziwnie ściszony, miękki, jak cichy wiatr, gdy przewija pomiędzy gałęziami przystacyjnej topoli.

Mila przystanąła za rogiem stacji, nie lubiła narzucać się czyimś oczom.

- Wypłacił - powiedziała. - Czteryście. On zawsze taki sumienny. Kazał ci dzisiaj przyjść, tam gdzie zawsze.

- Cholera, znowu - syknął niechętnie.

Wzruszyła ramionami. Oczy jej, ni to niebieskie, ni to zielone, zawsze tylko nieodmiennie duże, były poważne.

- Zawsze to ojciec. Chociaż go znasz... Ja nie mam i tego.

- Ładny mi ojciec. W krzakach się tylko z synem spotyka. Kicham. Żeby nie te cztery stówy co miesiąc, ani bym poszedł do niego. Głędoły prawi: a żebym się uczył, a matki słuchał, a dobry był. Ochronkę sobie ze mną odstawia.

- Ciszej! - przyłożyła palec do ust. Zapominając się mówił zbyt głośno.

- Chleją - zlekceważył jej obawy. Z kantorka dochodziły podniesione głosy. - Znow gotowe ciągnąć się to do wieczora...

Nie słuchała go, zamyślona. Pełne, nieco może nawet za pełne wargi siedemnastoletniej dziewczyny ściągnęły się jakby w grymasie.

Tomek spojrzał na siostrę.

- Co ci? Stało się co? Matka może?

- Nie. Tak sobie... Gorąco, zaraz lunie. O, już pada. Muszę biec. Jeszcze u Zaleskiego nie byłam. Zawsze każe przychodzić później.

- Zmokniesz, patrz, to się dopiero zaczyna - przytrzymał ją za ramię.

Zabębniło najpierw grubymi kroplami po dachu, potem osnuło się wszystko mgiełną przesłoną, aż dopiero lunęło. Ściemniało w jednej chwili, niebo zatrzęsło się grzmotem, długim, jakby kamienie przesypywał w blaszanej rynnie; niedaleko rąbnął piorun, jasna smuga pionowo przecięła horyzont.

Mila cofnęła się z bratem pod osłonę okapu stacji. Ale i tutaj sięgały drobiny rozpryskujących się kropli.

- Ten się dopiero wybrał - zaśmiał się Tomek, wskazując na pędzący ku stacji, ledwie widoczny w nastęlej szarzyźnie motocykl.

Siejąc bryzgami wody piękna jawa wpadła na podjazd, hamowana gwałtownie, cudem uniknęła poślizgu. Zlany do cna motocyklista gramolił się z siodełka, klnąc ile wlezie.

Od okienka kantorka powitał go rehotliwy śmiech. Coś tam wołano, poszum ulewy głuszył jednakże słowa.

Mila wtuliła się w ścianę. Młody człowiek o przystojnej, pociągłej twarzy zauważył ją. Zaśmiał się szeroko.

- Jest i moja Mileńka - szedł ku niej, krzyżując ramiona.

Tomek wyrósł pomiędzy nimi, jakby się pojawił spod ziemi. Przystojniak musiał stanąć, skrzywił się.

- Cóż to, siostruni bronisz?

Nie doczekał się odpowiedzi. Wtedy zmienił metodę. Głos jego by! miękki.

- Mila, czemu ty porozmawiać nawet ze mną nie zechcesz?

Obejrzała się wokoło. A potem, rzucając urwanie, krzykliwie, że się spieszy, że nie ma czasu, nie bacząc na szalejącą ulewę, na pioruny i gromy, skulona jakby w samoobronie, biegiem wyrwała na ulicę.

Przybysz zaśmiał się, machnął dłonią. Na rozeźlonego Tomka nawet nie spojrzał. Już go wołano z kantorka.

- Zygmus, coś jej zrobił, że ci tak zerwała jak kuropatwa z żyta? Poczekaj, może będzie z niej większa pociecha jak z łaskawej mamusi...

- Pan niech Mili nie tyka, bo...

W drzwiach kantorka stanął nie przyzywany Tomek. Ściskając pięści wyzywająco, patrzył na czarnego Klimczaka.

- Ach, ty pętaku - kierowca zamierzył się pięścią.

- Klimczak, spokój, bo ze mną się będziesz rachował! - poderwał się Maliniak. Zaraz się zwrócił do Tomka: - A ty zmykaj, choćby do domu. Sam dzisiaj dam radę.

Gdy chłopak zdziwiony tym wszystkim powoli zamykał za sobą drzwi, kierownik stacji, z nagłą sponurzały na szerokiej swej twarzy, powiedział do towarzyszy:

- Mać wasza tędy i owędy! Wstydu nie macie. Zostawcie dziewczynę i chłopca w spokoju. Nie ich wina, że się matka puszczała na wszystkie boki. Nie ich wina, rozumiecie? A wy co, zaraz ścierkę widzicie w dziewusze? Wy, wy...

Zamilkli. Wiedziano w miasteczku, że Maliniak w gniewie potrafi być straszny. Choćby z tych pierwszych lat, jakie to chodziły legendy.

On zaś wzgardliwym ruchem odsunął na stronę dopiero napełnione musztardówki, otworzył szufladę i ignorując zupełnie obecność tamtych trojga, zabrał się do podsumowywania dziennej kasy.

Ulewa jakby zaczęła przycichać.

2.

Szurnęła z impetem garnkiem na półkę, ścierką otarła stół. Dopiero się rozejrzała po bezokiennej klitce kuchennej, gdzie wiecznie panujący mrok z trudem przebijało światło dziesięćświecowej, zakurzonej i upstrzonej przez muchy żarówki.

Przekręciła wyłącznik, przechodząc do pokoju oddzielonego starą, pocerowaną zasłoną. Dłonią złapała się za piersi. Coraz częściej nawiedzały ją te bóle, szczególnie gdy tak parno robiło się w powietrzu.

Szeroko otworzyła okno, wychylając się przez nie i spozierając na ciasny prostokąt brudnego, zaflejtuszonego podwórka. Antkowiakowa wieszała na sznurze bieliznę. Ujrzała sąsiadkę w oknie.

- Tak z nagłą lunęło, anim zdążyła w czas pozdejmować. Przemokło ze wszystkim.

- Wyschnie do wieczora. Parzy, ani znać, że padało - pocieszała ją Jaruzyna. - Znów nie ma czym dychać, aż w środku boli od tej duchoty.

Cofnęła się w głąb. Wolą unikać Antkowiakowej, stara była wścibska i jęzorem mełła bez miary. Najgorsza plotkara w okolicy.

Bóle się wzmogły. Jakby szły teraz bardziej od strony brzucha. Nie zważając więc na nieład w izbie - jakoś nigdy nie było u nich porządku - przysiadła na wyliniałej kozetce, co to ją jeszcze w czterdziestym piątym przyciągnęła z jakiegoś garażu. Zniszczyłaby się do cna, a tu potem kazali jeszcze płacić za taki grat. Gdzie tu szukać wyrozumienia?

Margisia tkwi pewnie na dworze. Jak zawsze z palcem wetkniętym w gębę, z zadziwionymi wielkimi oczyma. Takie same miał Janek, jakże mu to, prawda, Zaleski. Już się to nic nie trzyma pamięci.

Żeby też z nim nie miała dziś Mila kłopotu. Zawsze był lekkoduchem, i takim pozostał. Kawaler, obibok, choć nie taki znów młody, patrzeć jak pięćdziesiątka mu stuknie.

Westchnęła. Ano, nie wyszło. Jak zawsze, taki jej los kaprawy. Byle gizda ma męża, niechby nawet prał po łbie, zawsze co mąż to mąż. Kawał chłopa też w domu się przyda. Znów westchnęła, w oczach jej zamigotało mocniejszymi blaskami, ale ból okazał się silniejszy nad cień pożądania, jaki napłynął na nią wraz ze wspomnieniem dawnych czasów.

Dominiak, ten był sumienny. Płacił jak w zegarku. Mila mówiła, że ze strachu, aby nigdy się nie wydało, że dorobił się dziecka na boku. Jeszcze z kim, z Jaruzyna... Żona, trójka dzieci, stanowisko, powaga w miasteczku, mało brakło przed laty, byliby go wybrali do rady wojewódzkiej w Zielonej Górze. I tu nagle dziecko na lewo, takie ziółko!

Nie wiedziała wtedy, że ma żonę. Może by do niczego między nimi nie doszło. Może... W

tej chwili sama się uśmiechnęła do siebie. Było w niej coś takiego, że jak się jej już chłop jaki spodobał, na nic się nie oglądała, na diabła, ni Boga, cóż dopiero na ludzi. Więc i z Dominiakiem, dobry był chłop, hojny, jakże to fundował, gdy pojechali pewnego razu do Sulechowa, a jaki przy pieszczotach gorący...

Że się jej musiało na wspominki dziś zebrać. Jak zawsze w te dni, gdy Miła chodziła zbierać pieniądze po ojczym rodzeństwie. Żeby tylko dobrze poszło dziewczusze z Zaleskim. Parę razy do roku coś nachodziło na niego, buntował się, szarpał, że płacił nie będzie, bo to on pewien, czy w ten czas sam tylko sypiał z Jaruzyna? Zawsze kręciło się przy niej chłopów do cholery i trochę. Zawsze... Ale czas jakiś mijał, mijało też chłopu. Na drugi miesiąc wpłacał podwójną sumę, za to zaległe. Zawsze ciężiej było taki miesiąc przetrzymać, jeszcze jak na zimę trafiło. Dwie i po! setki to kawał grosza, wiele to trzeba na nie się naharować.

Niby się mówi, że chłop chłopu jest równy. A przecie nie. Choćby Zaleski i Dominiak. Ich stosunek do własnych dzieci. Dominiak interesował się Tomkiem, czasem dodatkowo co przysyłał, parę groszy, ubranie jakie, potrafił się wysadzić jak wtedy, gdy kupił nowe buty dla chłopca. Ciekawił się, prawda, kazał przychodzić, naznaczał spotkania w lesie, wypytywał, doradzał. Jak by nie było, choć w skrytości, przecie poczuwał się do ojcostwa. Zaleski zupełnie inaczej. Nigdy go nie interesowała Margisia, choć łatwiej mógłby, kawaler przecie, nie taki wstyd jak Ziutkowi Dominiakowi. On tymczasem nic. Kiedyś tylko burknął, że jeżeli Margisia nie wszystko ma w głowie w porządku, to nie może być jego dzieckiem, skądby po nim miała być opóźniona w rozwoju, jak to orzekli lekarze.

A przecie jeden ojciec i drugi ojciec.

Z podwórza dobiegł przenikliwy pisk dziecka. Poskoczyła Jaruzyna ku oknu. Margisia zasłaniała się dłońmi przed mniejszym od niej chłopakiem, usiłującym złapać dziewczynkę za warkocz.

- Dasz ty jej, szcunie, spokój? - krzyknęła.

Malec znikł, jakby pod ziemię się zapadł. Margisia uspokoiła się w jednej chwili, drobnymi kroczkami pomaszrowała ku sieni wiodącej na ulicę.

Matka rada była, że dziewczucha nie wraca jeszcze do domu. Naszło ją dzisiaj silnie to wspomnienie, więc rada była, że będzie mogła w samotności podumać. Miła czasem dopytywała, zwłaszcza gdy była młodsza, o swojego ojca. Potem ją to przestało interesować; powiedziała, że cieszy się, iż go nie zna, dorzuciła jeszcze, że nie mogło się lepiej stać nad to, iż już nie żyje, aż się matka rzuciła ku dziewczusze ze ścierką. Bo jakże mówić tak o Antosiu, jedynym, z którym wszystka wyglądało inaczej...

Antoś. Wysoki, z rzadkawymi włosami, jasnymi, z daleka po nich można go było poznać.

Z chudą twarzą, z ogniami w oczach, śmiał się, że oboje mają te oczy podobne. Poznali się w samą okupację, w podwarszawskiej mieścinie, przyłgnęli do siebie od razu. Zaczęło się już to wtedy pod Stalingradem, gaworzyli nieraz, jak będzie, gdy skończy się wojna. Pobiorą się, teraz bo jakże, niepewny czas, po co jedno drugiemu wiązać ma ręce?

Potem zmienił zdanie, gdy się okazało, że zaszła w ciążę. Nawet sam zaczął przeczyć do małżeństwa. Ona ociągała się teraz, udając, że jej na tym najmniej zależy, najważniejsze to, że się kochają... Nagle go wtedy wzięli, dopiero się dowiedziała, że działał w jakiejś organizacji, napady robił na „szkopów”. Nawet na takim czerwonym plakacie było jego nazwisko, że niby polski bandyta. W pięć czy sześć miesięcy później Miła pojawiła się na świecie...

Opowiadała jej to wszystko. Jaki był ojciec, ten Antoś. Że może się czuć, jakby pochodziła z legalnego związku. Żeby nie to cholerne gestapo, miałyby po nim nazwisko, nie po matce. Dziewczyna nie bardzo zdawała się wierzyć. Coś takiego nawet mruknęła, że matka tworzy jakąś bajkę... Nie, inaczej powiedziała, aha, legendę, niby wymysł taki piękny. Zabolało ją wtedy, jakże tak rodzicielce nie ufać. Po namyśle doszła jednak do przekonania, że Mili nie ma się co dziwić. Po tym wszystkim, co nastąpiło później. Po Tomku, Margitce, po Kaziu maleńkim, jedynym, co to już nie doczekał swej doli, śpi gdzieś tam przy brzoźce, sierotka mała...

Z nawyku jedynie przeciągnęła fartuchem po oczach. Były wszak suche.

O jednym Kaziu nie umiała myśleć bez głębszego wzruszenia. Nie mogła, choć nie bardzo rozumiała właściwie dlaczego. Bo to przecież ani podrosło maleństwo, ani...

Gwałtownie zerwała się z kozetki: znowu płakała Margitka. Co jest z tą dziewczyną?

Przez otwarte drzwi wołała na córkę. Zatupotało, na swych krzywych nóżkach drapała się po schodach. Buzię miała skrzywioną, łzy rozmazane razem z kurzem osiadłym na chudych policzkach.

- Co ci to? - ostro natarła matka.

- Bo mnie znów do zabawy nie chcą, pędzą - rozszlochała się mała.

Żgnęło coś Jaruzynę. Łagodnie już, serdecznie przytuliła dziewczuszkę.

- Pędzą, bo głupie te wszystkie dzieciary. Nie baw się z nimi, po co ci to? Idź sobie pod kino, zobacz, jakie tam wiszą rysunki, może się ludzie już schodzą, idź, potem opowiesz mamie...

Mała wtuliła się mocniej w fałdy spódnicy.

- Niiiee...

- To czego chcesz?

- Ja przy mamie. Przy mamie.

- To siednij se grzecznie, tylko mi nie przeszkadzaj. Mam tyle roboty.

Zastanowiła się. Pewnie, roboty huk. Ani wiadomo, od czego zaczynać. Ale kiedy wszystko od tej roboty odpycha. Mało się to nahara w szkole i biurze? Od samego świtu po niemalże wieczór. Bo to szkoła z samego rana, potem trochę wolnego i zaraz po urzędowaniu do biura. Dwie posady; *zazdrozczą* jej, jakby było czego zazdrościć. Najmniejsza pensja, a pracy ledwo można podołać. Wiadomo, sprzątaczką, nieróżowa doła. Choć po prawdzie to Bogu dziękować i za to. Zawsze jest co do garnka włożyć, łach jaki kupić. Jeszcze z tym, co chłopcy dadzą za dzieci... Te także już dorabiają. I Mila, i Tomek. Dobre dzieci, pojętne. Jenó ta biedna Margisia...

Obejrzała się za małą. Z podkurczonymi nogami wtuliła się w kąt kozetki, szczęśliwa, że może być z dala od tych niegrzecznych dzieci, które nie chciały się z nią bawić... Szczęśliwa, a przecież zawsze jak gdyby zastraszona, wodząca lękliwie swoimi wielkimi oczyma. Nieudana taka. Nie dziw, że się jej Zaleski wypiera. Poruta dla chłopca...

Dwa lata chodziła Margisia do szkoły, do jednej klasy. Coś tam dukać z elementarza się nauczyła, nic już za to nie szło z liczeniem. Na badania ją prowadzali, nawet do Gorzowa wozili. Orzekli, że opóźniona w rozwoju. A jeszcze ta pani doktor inaczej to w przychodni nazwała, takim dziwnym słowem. Że to niby częściowy debilizm. Że niby temu taka niezupełnie ze wszystkim w porządku. Chcieli ją potem do takiej szkoły, specjalnej, gdzieś pod Poznaniem, ale że to miejsc brakło, że były dzieci w gorszym stanie, jakoś się ściągnęło i nikt więcej o tym nie mówił. Po co Margiśce szkoła, kiedy jej trudno idzie? Zmarnowałiby pewnie dzieciaka do reszty. Pogrzebała Jarużyna w szufladzie, znalazła miętówkę, podała małej. Złapała łapczywie, zaraz wpakowała cukierek do buzi, już była uśmiechnięta, zadowolona.

Jarużyna spojrzała na zegar. Piąta. Patrząc, jak Tomek wróci z roboty. Nahara się przy benzynie, Maliniak nie popuści, twardy chłop, da szkołę chłopcu. Może mu to i wyjdzie na dobre, jeszcze by się rozłajdaczył na podobieństwo młokosów, co to godzinami wystają na rynku przy rogach, tylko patrzą, jaką by niecotę komu uczynić. Małoż to już razy do Mili się próbowali przyczepić?

Ogień zapłonął łatwo, drzewo było podsuszone, zajmowało się od zapalki. Pośród skwarczenia podgrzewanej potrawy, jakby mignęła w kłębach pary twarz Mili. Matka pokręciła głową. Mila, ta się udała, żeby to Antoś żył, byłby dopiero rad z córki. Ładna jak rzadko, której to w miasteczku, choć przecie tych dziewczuch bez liku, umywać się do niej? Siedemnaście lat, sam wiek, piersi pęcznią pod bluzką, dojrzałość też swoją wcześniej

dziewucha zaczęła. Aż dziwota, że mało się jakoś za spodniami ogląda. Gorzej, że mężczyznom podoba się jak mało która. Starym i młodym. Żeby tak nie wykołowali dziewczyny. Może jednak ustrzeże się, dolę matki mając na uwadze?

Ledwie zdążyła unieść patelnię znad ognia. Wszystko by się jej za chwilę spaliło. Że to jak się człowiek zamyśli, od razu uwagi nie ma...

Mila, pewnie, niełatwo dziewczusze, że to biedna w dodatku. Niby demokracja, jak mówią, ale zawsze. Bo niby prawda, że inaczej, uszanują teraz i biednego, ale dziewczucha biedna z domu wciąż jeszcze łatwo nie ma. Na taką to jeno patrzą, by sobie pofolgować, mało który zamyśli za żonę brać. Gdyby tak Mila wraz kogo do ołtarza znalazła, lepiej byłoby. Bo z taką urodą...

Było jej jednak przyjemnie, że taką ma córkę. Można by przecie rzec, że w matkę się wdała, było tego podobieństwa niemało. Antosia nikt tutaj nie znał, komu zresztą i co do tego, że ojciec był urodziwy?

Trzasnęły drzwi pchnięte z rozmachem, Margisia skuliła się, strwożona w rogu kozetki, zaraz się jednak rozjaśniła.

- Tomek - zapiszczała cieniutko, jednym susem zgramoliła się na podłogę.

- A ja, Margiška, ja - uchwycił ją w objęcia, przetańcował dokoła stołu. - Stary zwolnił wcześniej, choć to znów zakrawało na harówkę do nocy, bo się przysiedli do wódki... Mama₃ jeść - przypomniał, wyrócił kieszeń podszewką do góry, posypało się nieco drobnej monety.

- Będzie z trzy dychy, dziś niegorzej mi obleciało.

Oddawał jej pieniądze; sadowiąc się za stołem kuchennym, obejrzał się wokoło.

- Mili nie ma? Ten ładny Zygmus zaczął się do niej podwalać przy stacji. Jak mu fruknęła w samą burzę, to tylko gębę rozdziawił... - Zygmus? Wichrun? - zmarszczyła się.

- A on. Zawsze ma coś do Milki. Żebra mu porachuję jakim kamieniem - nachmurzył się. Nie opowiadał matce o dalszym ciągu starcia, o interwencji Maliniaka. Po co się ma zamartwiać? Mało to ma matczyńsko kłopotów?

- Jedz, synek, jedz - pogładziła go po włosach. Dziwnie nawet dla siebie samej była dziś pogodnie usposobiona. Bywały dni, że piekliła się, wybuchała wrzaskami, każdy drobiazg ją denerwował.

Margiška zastygła w skupionym zasluchaniu, Tomek też podniósł głowę znad talerza.

- Milka idzie.

Wchodząc, dziewczyna wstrząśnięciem głowy odrzuciła swe jasne włosy do tyłu. Bez słowa podeszła do stołu, wyciągając zza gorsu zwitek banknotów.

- Obaj zapłacili?

- Obaj. Sześć i pół setki. Zmordowałam się czemuś dzisiaj. Była burza i znowuż parno jak w piecu.

- Miła, zafunduję ci kino. Mama, dasz mi dziesiątaka, dobrze?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- Masz iść przecie do niego, zapomniałeś? Tomek skrzywił się, sponurzały schylił się nad talerzem. Matka z córką powiodły po sobie uważnym spojrzeniem.

Margiśka tylko, ssąc ciągle cukierek, szczęśliwa, że wszyscy są w domu, wokoło niej, nieświadoma treści spraw, które zaciążyły nagle przy stole, zaczęła się śmiać głupkowato, cichutko.

- Cichajże, ty - szarpnęła się szorstko Jaruzyna. Cały jej dobry nastrój diabli wzięli w tej jednej chwili.

Miła wolnym krokiem, kołysząc biodrami, podeszła do okna, zapatrzyła się w mroczną mimo słońca wnękę lizajowa-tego podwórza.

Dominiak zapewne już czekał. Zawsze przychodził pierwszy, na długo wcześniej krył się ze swoim rowerem w najbardziej zwartą gęstwinę krzewiową, ostrożnie wyglądał na drogę. Minę przy tym miał okropnie nieszczęśliwą.

Dochodząc do umówionego zawczasu miejsca, Tomek w złośliwy sposób jął pogwizdywać na cały głos. Trochę by podrażnić tego niby ojca, trochę by pokryć swój własny niepokój.

Nie mógł odżalować straconej okazji. Atrakcyjny film wyświetlano tego dnia po raz ostatni. Od dawna szykował się na nie lada emocje, zapominając, że przecież dzień wypłat, zatem i pan Dominiak. Każę telepać się pod wieczór za miasto, w gąszcz zagajników, ostrożniak. Ale jak wtedy ten tego z matką, to jakoś nie myślał o ostrożności. Kawalera udawał, nim sobie wreszcie sprowadził żonę z rodziną. Tak, wtedy nie był tak bardzo powściągliwy, Tomek nieraz słyszał to i owo w sąsiedzkich pogwarkach. Nawet na karuzeli kiedyś z matką w Sulechowie jeździli, za kiecki ją łapał w powietrzu...

Nie tylko mówić, ale i myśleć o Dominiaku jako o ojcu nie umiał. Nikt go zresztą do tego nie zmuszał. On sam jak najmniej. Matka może i nie miałaby nic przeciwko, gdyby nie lęk o czterysta złotych cichych alimentów. Mógłby przestać wypłacać, i co wtedy? Za wielkie ryzyko.

Przystanął gwizdząc, aż mu się policzki wsysały do środka. Spokojnym po niedawnej burzy powietrzem gwizdy te niosły się piekielnie daleko. Dominiak musiał wzdrygać się, słysząc je w krzakach. Bać się zarazem, że ktoś może się zaciekawic takim hasłem. A niechby

sobie w pory z tego strachu narobił! Głupia ta Milka, mogła obujać faceta, że brat dzisiaj zajęty, wysłano go kędyś, niechby przełożył spotkanie. Taki film! I w ogóle...

Dominiak musiał go dostrzec przez jakieś prześwity między listowiem, wychylając się na ścieżkę, przyzywał nagłym ruchem dłoni, palce drugiej w nakazie milczenia przykładając jednocześnie do ust. Tomek z żalem obejrzał się na znikające za linią lasu wczesnoczerwcowe słońce i z westchnieniem rezygnacji nurknął ku człowiekowi, który był jego ojcem. Z taką samą rezygnacją schylił się ku dłoni Dominiaka, składując na niej niezręczny pocałunek. To też należało do wymaganego przez „Ziutka”, jak w momentach rozrzewnienia nazywała go czasem matka, rytuału tych spotkań.

Zagłębili się bardziej w splątane chaszczce, by ich kto nic mógł podsłuchać od drogi, zasiedli przy sobie. Czerwonawe blaski zachodu mieszały się na ich twarzach z plamami wydłużonych cieni. Od napitej ulewą trawy szedł mocny zapach.

Trochę się Tomek zdziwił, że ten jego ojciec jest dzisiaj szczególnie poważny. Żarty go się, co prawda, nigdy nie trzymały, ale gadał dużo, czulił się co nieco, udawał serdeczność. Teraz w milczeniu przyglądał się chłopcu, aż ten zaczął się czuć nieswojo, niepewnie przekładając dłonie z miejsca na miejsce.

- Czemu pan tak się na mnie wygapia? Myłem się... - nie wytrzymał napięcia.

Krótkie usta Dominiaka drgnęły, kącikami obwisły ku dołowi, pełna twarz z rzadkimi, jasnymi brwiami przybrała wygląd niemalże cierpiętniczy. Powieki zamrugały raz po raz.

- Bo widzisz, Tomku... - dłoń mężczyzny przesunęła się ku policzkowi chłopca. - Bo widzisz, myślałem sobie, że masz skończonych czternaście lat. Czternaście. Właściwie już jesteś mężczyzną. W każdym razie wiele rozumiesz... Widziałem cię przy benzynie. I wtedy pomyślałem, że to nie dla ciebie robota...

Tomek, który zzymając się wewnętrznie, biernie jednak poddawał się pogłaskiwaniu dużej, wilgotnej dłoni, zachnął się w jakimś zdziwieniu i złości, gdy usłyszał ostatnie słowa. - Mnie z nią dobrze. A matce muszę pomagać. Dominiak z nagłą się uspokoił. Nawet uśmiechnął się niewyraźnie.

- Musisz - potwierdził. - Nie ma ona łatwego życia.

Bluznąłby mu, że to niełatwe życie przez takich jak on. Ale się pohamował - te czterysta złotych. Byłoby bez nich jeszcze ciężiej. A zresztą, alboż to sam Dominiak? A ten nieznanym ojciec Milki, a Zaleski od Margiński? Kazał kto matce kłaść się z każdym do łóżka? Ma teraz za swoje.

- Bo to widzisz, mój starszy syn uczy się teraz w Poznaniu... Gdybyś i ty miał ochotę na naukę, gdybyś miał, może by się dało co zrobić. Pewnie, mnie także się nie przelewa, ale...

- Mnie dobrze i tak. Żadnej nauki nie potrzeba - odął się Tomek. - Powszechniaka skończyłem. Cztery klasy...

- Ano, jeżeli tak, to i dobrze... - odetchnął Dominiak. - A matka, matka nie gada co czasem o nauce? - na moment znów się zaniepokoił.

Tomek palcami strzepnął lekceważąco. I zaraz skulił się w sobie, bo spocona, lekko zimna dłoń z nową ochotą zaczęła gładzić go po policzku. Zauważył, że kąciki ust tego niby to ojca wyrównały się, cała twarz straciła wyraz przygnębiającego nieszczęścia.

Nawet uśmiechnął się pan Dominiak. Ochoczo wyciągnął portfel, Tomek zerknął w tę stronę ciekawie; były tam czerwone dwie setki, zaraz przesunęły się w jego stronę.

- Premia mi skapnęła, rozumiesz, więc chciałem, abyś i ty kupił sobie, na co masz tylko ochotę... Od ojca - dodał jeszcze.

- Dziękuję.

To już wiedział: nie patyczkować się. Chce Dominiak bulić, niech buli. Matka kiedyś podszeptowała, by się próbował przymówić przy takich spotkaniach, ale na to by się nigdy nie zdobył. Żebrać nie będzie, jeszcze od tego ojca. Jeżeli sam daje, inna sprawa. Uznał w tej chwili, że może już tego kina nie taka szkoda, dwie stowy piechotą nie chodzą, bywa, przez miesiąc tyle obrywków nie zbierze od szoferaków.

- Siostrze mógłbyś za te pieniądze coś kupić... Ładna dziewczyna.

- Już tam matka pomyśli, co zrobić z groszem.

- Tak, tak, najlepiej matka... Słuchaj ty, Tomek, chłopcze kochany, powiedz mi, a ta Mila listów jakich czasami nie wypisuje, co?

- Listów?

- Wiesz, takich, co to je się wysyła nie podpisane; nadszedł taki jeden do mojej żony. Pisany jakby dziewczęcą ręką. Stało tam, że ty jesteś moim dzieckiem, że było coś między twoją matką a mną... Mówię prosto, już rozumiesz te sprawy, prawda? Pojmiesz też, jakie kłopoty z podobnych listów. Musiałem się tłumaczyć, że nie tak, że ktoś ze złości. Nie wiem, czy uwierzyła; bąknęła nawet, że musi obejrzeć ciebie przy jakiej okazji... Pomyślałem, może to Milka tak z żartu napisała, nie rozumiejąc, co za skutki mogą wyniknąć. Więc żeby już więcej nie... Bo to i pieniądze mogłyby się urwać, gdyby co. Rozumiesz, Tomek, kochany - znów lepka od potu dłoń uniosła się ku twarzy chłopca, a kąciki ust obwisły do dołu z bolesnym drganiem.

- Nie zna pan Mili! Trzeba ją było samą zapytać.

Powiedział to, ani wmyślając się w tok wywodu Dominiaka.

Bronił tylko Mili. Gdzieżby ona do takich rzeczy. A jeszcze ta forsa, cztery stowy tak

wiele dla nich znaczyły...

- Nie ona? - Dominiak jakby się ucieszył, ale i zmartwił zarazem. - Nie ona, zatem kto? Głupi dowcip... Mnie nawet na spotkanie z tobą wyjść teraz trudno, żona zrobiła się podejrzliwa,

Spojrzał w mrok, nasączający się z wolna pomiędzy krzewy. Czerwony poblask zachodu zagrał jeszcze na którymś liście, zaraz poszarzało.

- Tomek, Tomek, synku - rozczulił się po chwili. - Nie mówiła ci kiedy matka, albo siostra, czy jesteś do mnie podobny? Tak jak dziecko do swojego ojca?

- Neeee - mruknął.

Mężczyzna uniósł się, przygarnął chłopca ramieniem, suchymi wargami wycisnął mu pocałunek na czole.

Stojąc już, zaszepta! raz jeszcze, głos miał świszczący, jakby zmęczony nadmiernym wysiłkiem:

- Bo widzisz, Tomek, ja twoją matkę... Ech - strzepnął dłonią. - Inaczej może byłoby... Widzisz, ja uciekłem z niewoli, stracha miałem, żeby mię Niemcy nie dopadli, bałem się samotności, tamta się nawinęła, raz dwa i ożeniłem się... Bywa tak, i nie pomogą żadne żale. Więc żeby i twoja matka mnie zrozumiała. I Mila też...-jeszcze jej nie musiał być pewny.

Zdeterminowany sięgnął do bocznej kieszeni. Dopiero błysnął plik banknotów. Znów wysunęła się setka.

- To dla niej, wiesz, zrób niespodziankę, kup jej, no, pończochy, dobra?

- Matka niechaj już sama radzi - powtórzył swoje Tomek i w zadziwieniu nad niespodzianym zachowaniem Dominiaka nie pohamował wzruszenia ramion.

Dominiak zdawał się tego nie widzieć. Niespokojnie obserwując zagęszczający się mrok, pchał się przez krzewy do drogi, na odchodnym zlecając chłopcu, aby przeczekał w ukryciu jakiś czas. Po co ich miałby razem ktoś widzieć...

Tomkowi było nieswojo. Patrzył za Dominiakiem, potem nasłuchiwał oddalającego się szelestu kół sunących nabrzeżem drogi. Nigdy nie lubił tych spotkań, prędko jednak otrząsnął się z trudno wyrażalnych nawet dla siebie uczuć niesmaku. Teraz czuł się zupełnie wykołowany. Czego właściwie chciał cały ten ojciec? Groził, to znów forszą sypał jak nigdy. Całe trzy stowy, nie w kij dmuchał! Że niby Milka pisała jakiś list? Do jego żony, tej chudej facetki? Ani jej w głowie było pisać, a gdyby, to co? Lepiej niech - tam już matka rozwiązuje całą kabałę.

Na trawę opadła rosa. Od ziemi pociągnął chłód. Otrzeptał się z igliwia, pogwizdując wyszedł na drogę.

Mrok w czerwcowe wieczory zagęszcza się długo, aż do znudzenia. I teraz mimo że słońce zaszło dość dawno, widzialność była niegorsza. Tylko dalsze przedmioty zacierały się w konturach.

Rozgwiżdżał się jak przed przyjściem na spotkanie. Gwiżdżał z taką samą pasją. Wtedy na złość Dominiakowi. Teraz chyba na przekór samemu sobie. Czuł się bowiem jakoś tak niezwykle głupio.

Szczerze się ucieszył, gdy tamci dwaj zatrzymywali go obcesowo, pociągając za sobą. Wcale nie miał dziś ochoty śpieszyć do domu. Znów musiałby myśleć o swoim niby to ojcu, rozpowiadać matce i Mili treść całego spotkania, zaczęłyby się wyrzekania i biadolenia. Ważne, że przyniesie trzy stowy, co się ma śpieszyć.

- Tomek, wińska nie chlapnąłbyś?

Ze Stefką przyjaźnili się w szkole, nim się nie rozeszły ich drogi, gdy tamten trafił na rok do poprawczaka. Ściągnął jakąś linkę z urzędu pocztowego, cały zwój, odprzedał chłopu. Wyszło to na jaw, nie udało się zatuszować, choć ojciec Stefana na wódkę ciągnął poczmistrza i forszę podsuwał. Tamten uparty był, zawziął się, wsadzili chłopca do tego karniaka. Poczmistrz zresztą musiał i tak prosić o przeniesienie, bał się, co raz to mu szkody robili nieznani ludzie, domyślał się tylko, po wyrażeniu groźbach miał dosyć. Że jednak Stefek swoje odpokutował, choć sam śmiał się, że nie żałuje zaprawy, niemało się od kumpli nauczył.

Niewiele teraz Tomka z nim łączyło, jak i z tym małym Wackiem, który szedł razem, że na ten wieczór trzeba mu jednak było kompanii, nie namyślał się długo. Choć alkohol specjalnie mu nie smakował, częstował przecie parę razy kierownik Maliniak, dzisiaj z niejaką ochotą spojrzał na piastowaną przez Stefka pod pachą butelkę gryfa.

- Forszę zbijasz przy tej benzynie, nie? - szturchał go Stefek z porozumiewawczym uśmiechem. - Nie bądź frajer, z szoferakami trzymaj sztamę. Prosi cię dwudziechę, dolej mu jeszcze dziesięć, ze dwie, trzy dychy zaraz ci wlecą... Robisz tak?

- Nie.

- Toś głupi, Tomek, ja bym cię wykierował, od razu poznałbyś lepsze życie.

- Maliniak pilnuje, samemu nie pozwala pompować - wykręcał się.

- Na Maliniaka też byłaby rada. Myślisz, że on nie kantuje? Przy benzynie każdy ciągnie, jak może... To *znaczy*, groszem nie śmierdzisz? Szkoda, wzięłoby się jeszcze jednego gryfa. My już trochę popiliśmy, nie, Wacus?

Mały Wacek, sięgający im zaledwie do ramion, mlasnął znacząco językiem. Syn wdowy,

urzędniczki w radzie narodowej, jakoś umiał się wywinąć spod jej ręki. Tomek parę już razy spotkał go u boku Stefana. Doświadczony kompan bardzo musiał mu imponować, przytakiwał gorliwie wszystkiemu, co mówił Szwabachowski.

- Tylko żeby nas kto nie widział, pamiętajcie, ja jeszcze chodzę do szkoły. Raz już była granda, kierownik zagroził.

- Takie tam groźby. Kierownikowi co innego w głowie, nie ty... Możemy pójść sobie pod las, tam fajne miejsce. A potem, wiecie, smyrgniemy do Fabiasza? Psa teraz nie ma, a w inspektach taaakie ogórce - odmierzył na przedramieniu wielkość ogórków.

Od głównej ulicy skręcili w bok, tutaj las najbliżej podbiegał do miasteczka, właściwie nawet nie las, jakimś trafem pozostawiona wśród pól spora kępa sosen podetkanych świerczyną.

Minęli przytuloną parę, Stefek dławił się cichym chichotem.

- Tomek, tyś już próbował dziewczuchy?

- Niecee.

Peszyl go trochę ten Szwabachowski, strasznie czuł się jeszcze przy nim dziecinny. Czy próbował dziewczuchy? Gdzieżby... Parę lat temu kazali majtki odpiąć tej małej Tolce, oglądali z uwagą... Gówniara opowiedziała w domu, zrobiło się piekło. Jeszcze kiedyś podglądali w kilku parę splecioną ze sobą nad rzeką. Tyle było tych jego doświadczeń. Co innego Stefek, ten już poznał niejedno.

- Wacek też nie. Smarkacze z was. Nic, byleście ze mną trzymali, to się we wszystko wprawicie - przechwalał się.

U skraju lasu rozłożyli się wygodnie, nie zważając na rosę. Ciemno się teraz zrobiło, zegar z wieży przyniósł dwa uderzenia, obliczali, pół do jedenastej. Zabrali się za Stefkowe wino. Ciepławe było, ostre, mimo to pociągali z zapalem. Daleko w bok smyrgnęła próżna flaszka, uderzyła głucho o pień.

Stefek zaciągnął się papierosem, dym snuł się wolno, błyskał ogienek.

- Ostatni, jasny gwint, nie starczyło na więcej! - niedopałek frunął szerokim łukiem.

Tomek leniwie podniósł się z miejsca, starannie przydeptał ogarek. Przy stacji ostrożność z ogniem weszła mu w krew. Tamci śmieli się tylko.

A potem leżeli, rozgrzani i rozleniwieni tym winem. Nie chciało się im nawet ogórków od ogrodnika Fabiasza.

- Wiecie, pieruńsko jakoś zbudowany ten świat - rozmarzył się Szwabachowski, powtarzając słyszane u kogoś słowa. - Od przyszłego tygodnia idę tyrać na budowę cegielni. Ojciec na siłę mnie pcha. Harowa podobno, ale ja się nie dam, niech inni to robią. Będę

markierował. Swoją forszę wezmę i tak...

- Czemu mówisz, że pieruńsko? Dostaniesz robotę, siły masz, zarobisz.

- Temu, że trzeba tyrać. Powinno inaczej być urządzone, żeby wszystko było za darmo. Ja bym wtedy jeździł tylko po świecie. Do Murzynów, do Eskimosów, do Amerykanów, wszędzie. A tak, co? Zapieprzysz się robotą, a na podróże i tak ci nie starczy. Tyle, że na ochłaj przy każdej wypłacie.

- Moja matka mówi, że nie tak, Stefek. Pracować każdy musi i...

- Co się tam ona zna...

Wskazał na niebo. Rozgwieździło się teraz, zjaśniało, ciemna plama lasu rozbiła się na pasma pojedynczych drzew.

- Poleciałbym. Choćby nie wiedzieć, jak się to wszystko zakończy... Wiecie, w poprawczaku był taki jeden, co to jego ojciec jest specjalistą od gwiazd, umie o nich wiele powiedzieć. On gadał, że niedługo czekać, a sputniki będą latały po niebie jak dorożki. Dla wszystkich...

- Ja bym też poleciał - szepnął mały Wacek.

Tomkowi zaś było wszystko jedno. Raczej już wolałby tutaj, na Ziemi. Księżyc, gwiazdy, to takie dalekie. Matka, Margiška, oni wszyscy są tutaj. Ot, dopomóc im wszystkim, zarobić tyle,] żeby matka mniej harowała, kaszle coraz więcej, wychudła. Nie rozczulał się nad rodzicielką, ale przecie było mu jej często serdecznie żal. Bywało, wieczorami podglądał z łóżka, jak siedziała przy stole z twarzą wspartą o dłonie, dumając nad czymś, smutna i przygaszona. Może o tym swoim losie myślała, o dzieciach, z których żadne nie może się pochwalić: to mój ojciec...

- Cicho - szepnął nagle Stefek, choć nikt z nich przecie nic w tej chwili nie mówił. - Poznaje, Joaśka, ta, która znaczki sprzedaje od Totolotka...

Lasem przesuwała się przytulona do siebie para. Mówili coś, chichotali. Joaśka? Tomek znał ją z widzenia, po głosie jednak nie potrafiliby dziewczyny rozpoznać. Skoro Stefek tak mówi, to chyba wie. Bardziej już znajomy wydał się Tomkowi głos mężczyzny. To Klimczak, szofer, co przy budowie pracuje. Zmawiał się dziś z Maliniakiem o jakiś cement. Klimczak... ale on przecie żonaty, dziecko ma. A ta żona, zdaje się, chora, w szpitalu... Taki bal.

Przychylił się ku uchu Szwabachowskiego, szepnął nazwisko szofera. Ten skinął głową, znakiem ręki nakazał milczenie.

Poszeptująca para umieściła się niedaleko nich. Głosy dochodziły zupełnie wyraźnie. Trzy głowy chłopięce przysunęły się ku sobie; nasłuchiwali z przyśpieszonymi oddechami.

- A dzieciakowi, gdyby co, krzywdy byś nie robiła, Joaśka? Bo inaczej, to ja bym cię...

- Z naszymi by się chowało... - głos dziewczyny łamiący się był, gardlany.

Tomek mało nie krzyknął, tak mocnego kuksańca wsadził mu pod żebro rozochocony Stefek.

A potem tamci zaprzestali rozmowy. Z gęstwy rozległy się mlaskania pocałunków, westchnienia, posapywanie, wreszcie rytmiczny cichy szelest. Stefek skinął ku swoim, ledwie tłumiąc wyrywający mu się z ust chichot.

- Podsunie się bliżej, jest okazja zobaczyć co nieco... - zaszeptał.

Przypomniały im się zabawy w Indian. Zroszona trawa i mech tłumili odgłosy. Raz tylko zatrzeszczała pod Wackiem gałązka, ale tamci nie zwrócili na to uwagi.

Spod nawisu rozpartego szeroko świerku przebijali wzrokiem półmrok. Od razu dostrzegli. Na maleńkiej polance tamci leżeli już obok siebie, bielila się koszula mężczyzny, inną, cieplejszą tonacją wydłużały się nogi dziewczyny, pęczniała pierś wysuwająca się spoza rozpiętej bluzki. I twarze, plamy twarzy właściwie, nie do rozeznania w cieniach rzucanych przez drzewa.

Stefek znacząco szturchał kompanów. Pojmowali, doradza, by poczekać, zobaczą wtedy coś ciekawszego. Wacek głębę wtulił w mech, by nie roześmiać się całym gardłem.

A Tomek? W nim działało się coś dziwnego. Z całą wyrazistością stanęło mu przed oczyma niedawne spotkanie z Dominiakiem. Z ojcem... Z takim ojcem, który krył się przed światem z tym faktem, który tylko ze strachu płacił co miesiąc, miał inną, legalną żonę i trawiony był teraz niepokojem, by nie dotarły do niej wieści o dawnych jego występach. Taki ojciec...

Tutaj znów Klimczak. Szofer, dobrze zarabia, mówią, siedzi na złocie. Też ma żonę, ma dziecko. Żona chora, w szpitalu, a ten tutaj z Joąską z kiosku... Jeszcze się tak dziwnie zjawiali, jakby się odnosiło do tamtej... Świnia ten Klimczak, taki sam jak i ten ojciec, Dominiak. A ona? Czy ona nie taka sama? Wie, że tamten żonaty. Też świnia...

Zawahał się przed tym sformułowaniem. Jeżeli ta Joąską jest świnia, to także i jego matka... Musiała chyba wiedzieć, że Dominiak ma żonę, dzieci, a mimo to... Musiała wiedzieć. Więc kto tu gorszy? On czy ona? Ten Klimczak czy matka? Dominiak czy Joąską? Nie, nie tak, splątało mu się. Klimczak i Joąską, czy... Ach, wszystko jedno, wszystko jedno.

Drżał. Patrzył. Ramiona kobiety wyciągnęły się ku mężczyźnie. Ten zaśmiał się chrapliwie, zamruczał:

- Dajże odsapnąć, dziewucho... Kupa czasu przed nami.

Wydało się Tomkowi, że głos szofera stał się podobny do głosu Dominiaka, gdy z lękiem zapytywał, czy Milka nie pisała jakiegoś listu. Też mu skrzypiało w gardle. Ciekawe, czy Klimczak również ma śliską, spoconą rękę, gdy nią przegładza po piersi Joąski?

Podniósł się na kolana, gorączkowo zaczął szukać czegoś w kieszeni. Nie zgubił, były tam jeszcze mutry do kół ciężarówki, któryś z kierowców wymienił je, stare wyrzucił na drogę. Pozbierał je wtedy. Ciężkie były, tłuste od smarów. Zadźwięczały teraz na dłoni. Czująca się para drgnęła na obcy dźwięk, znieruchomiła.

Stefek zwrócił uwagę na dziwne ruchy Tomka, coś chyba pojął, słysząc brzęk muter. Chciał wstrzymać wznoszącą się do wyrzutu rękę kompana, nie zdążył.

Znany był w szkole z celności w trafianiu kamieniami. Dłoń nie zawiodła i tym razem. Rzucona z siłą mutra wylądowała z głuchym, bolesnym stukiem prosto na odsłoniętej, dopiero miętoszonej dłonią Klimczaka białej piersi dziewczyny. Zawyla z bólu. Tomek nie bacząc na zrywającego się na równe nogi Klimczaka, sam również stojąc, gwałtownie ciskał pozostałymi mutrami. W niego i w nią. Klimczak wrzasnął, rzucił się poprzez krzaki w kierunku napastników.

Porwali się, nie patrząc, kędy biegną i jak, skacząc przez niższe krzewy, rozbijając się o pnie sosen, rwali przed siebie w panicznej ucieczce. Klimczak sadził za nimi, pchany wściekłością i bólem. Uratowała ich ciemność. Ledwie żywi ze zmęczenia przypadli wreszcie w szuwarach nadrzecznych. Jeszcze jakiś czas buszował nie opodal klnący w głos Klimczak, nim oddalił się wreszcie do towarzyszeki.

Nieprędko odważyli się chłopcy odezwać do siebie. Klucząc polami przesunęli się na drugi skraj miasteczka. Tam dopiero głosem, w którym podziw mieszał się ze złością Stefek powiedział:

- Toś ty taki, Tomek? Po cholereś im przeszkadzał w zabawie?

Na odsłoniętej płaszczyźnie było znacznie jaśniej. Szwabachowski dojrzał, jak oczy Tomka, początkowo nieobecne, zapaliły się z nagłą.

- Nie twoja rzecz - syknął ostro, ostrzej niż trzeba. Bo cóż tu w końcu Stefek i Wacek byli winni, że on w ten sposób musiał mścić się za swego ojca.

Za matkę i ojca, poprawił się w duchu.

3.

Zaraz za miasteczkiem, na północ, teren spokojnie, ale wyraźnie podniósł się na dużej przestrzeni, by z nagłą spłynąć mocniejszym spadem aż ku dolinie rzecznej. Część płaszczyzny zajmowały uprawy: zboża zaczynały z lekka żółknąć, tylko czekać, jak zakwitnie żyto. Przez las źdźbeł bolesną rysą przerzynała się na ścieżaj przebita droga, zryta przez ciągniki i ciężarówki. To Koniejence tak zmarnowano plon, chłop kłął. na wszystkie diabły, niepewny tego odszkodowania, co to mu je przyobiecali w prezydium.

Krótszej trasy na teren budowy jednakże nie było. Trudno zaś wymagać, żeby ładowne wozy wertepami okręzały owies i jarzę Koniejenki. Chodził chłopina nawet do komitetu partii ze skargą, jakże tak można, tam mu potwierdzili, że otrzyma odszkodowanie, na koniec zaś powiedział instruktor:

- Wy, człowieku, rozumienia społecznego nie macie. Toż to nasza wielka budowa, nareszcie się odmieni w miasteczku. Cegielnia, fabryka, warsztaty naprawcze. Do góry skakać, a nie wyrzekać.

Podrapał się Koniejenko w nastroszoną zawsze czuprynę, przytwierdził słyszany słowom, nie mógł jednakże pominąć swojego.

- Na przyszłość, to jakże? Mają mi pole zabrać? Gdzież się podzieję? Raz człowiek przywędrował tu z ojcowizny, ledwie co okrzepł na nowym, znów poniewierka?

- Towarzyszu Koniejenko - to „towarzyszu” zabrzmiało niezwykle uroczyście - na pewno nikt was nie skrzywdzi. Wasz grunt jeszcze nie tak zaraz potrzebny. Gdyby co, państwo w zamian przydzielili inny.

- To niby jeszcze nic nie wiadomo?

- Dowiedzie się w odpowiednim czasie - instruktor sam nie miał pojęcia, jak będzie z otaczającymi przyszłą cegielnię polami, ile tego zajmie się pod wykopy, wolał zbyć natarczywego interesanta ogólnikami. Jedno było wiadome: od tej strony aż po skłon rzecznej doliny ciągnęły się złoża najlepszej gliny. Na odprawie w Zielonej Górze mówiono, że gdy obiekt ruszy już na całego, uruchomi się tutaj produkcję klinkieru. Wiadomo zaś, na klinkier trzeba specjalnej gliny, bez margla, bez iłu. Już to poszczęściło się im z cegielnią, jest praca dla półsta ludzi, za rok, dwa, zatrudni się ich trzy razy tyle.

- To może pojedę wywiedzieć się do powiatu? - Koniejenko przestępował z nogi na nogę, miał czapkę w dłoniach, ale Iw spojrzeniu jego, rzuconym spod gęstych brwi, nie było pokory.

- Próbujcie, towarzyszu, próbujcie.

Instruktor spoglądał na zegarek. Za godzinę miał przedłożyć sekretarzowi uwagi na temat obecnej sytuacji w zatrudnieniu. Z prezydium przesłali tylko częściowy materiał. Należało go uzupełnić, choćby drogą telefonicznej rozmowy. Tymczasem ten tutaj zanudza bez żadnego zrozumienia. Skoro nie zrobi mu się krzywdy, to nie robi. Szczegóły potem.

- To ja zajrzę jeszcze któregoś dnia. Ostańcie z Bogiem - zamruczał znów Koniejenko.

- Z Bogiem, z Bogiem... - machinalnie odrzucił instruktor, zaraz się jednak zreflektował, poprawił: - bywajcie, towarzyszu, bywajcie. I już nie martwcie się, nie damy wam zginąć,

Z ulgą posłyszał trzaśnięcie drzwi, już go to nie obeszło, że trzaśnięcie może zbyt

energiczne. Nachylił się nad papierami, zaraz potem ujął za słuchawkę telefoniczną. Koniejenko z korytarza usłyszał jeszcze głos instruktora:

- Tu komitet. Dajcie mi Dominiaka... Co? Nie ma? Na budowie? To może jest Knapik? Dobra, dobra, byle szybciej... Tknęło chłopca z wielką, *czarną* czupryną, bardzo rzadko się stykającą z grzebieniem. Nie miał co robić w miasteczku. Był już w prezydium, był w partii, same słowa, najmniejszego papierka dla pokrycia obietnic. Ciągniki tymczasem i auta nadal tratuja zboże. Robotnicy też przebili sobie ścieżki na przełaj przez nie. Zmarnują wszystko do reszty, na dziady puszcza. Nigdzie nie ma sprawiedliwości.

Przekładnia roweru zgrzytała przy każdym naciśnięciu pedałów. Stary grat, ani warto go było już reperować, o innej maszynie nawet nie myślał. Zanim postawi stodołę, jednego mu grosza zbędnego nie wydać. Ledwie przez połowę roboty przebrnęli. Teraz zmartwienie ze zbożem. Zawzięli się na niego czy jak?

Powiat, pewnie, a i do samej Zielonej Góry. Do Warszawy choćby pojedzie, swego nie puści hultajom. Prosto przez zboże, widać, nigdy im chleba nie zbrakło, że z czystym sumieniem depcą ziarno wzbierające soczystą sytą. Wojny nie widzieli, biedy nie *zaznali*, krzywdy nie poczuli...

Krępy, skulony jeszcze bardziej w wysiłku, wpierał nogi w pedały, jakby od szybkości obrotów chrzęszczącej przekładni mogło zależeć coś niesłychanie ważnego. Ten z partii powiedział do telefonu, słyszał przecie za drzwiami, że Dominiak. Stara też mówiła, że Dominiaka mianowali takim głównym nad budową cegielni. On zatem może dać poratowanie, uchronić przed dalszym rabunkiem. Dominiak, prawda, Dominiak...

Mało się nie wpakował pod ciężarówkę. Jechał lewą stroną, tam było gładziej, zamyślony, jak to będzie gadał z panem technikiem, ani spostrzegł tej ciężarówki. Upaprana pyłem roztartej cegły minęła go ledwie o włos. Kierowca pokrzykiwał, wychylając się z okienka szoferki.

- Ej, stary, fryzjer się kłaniał - nieco dalej poniosła się z chodnika ku Koniejenkowej czuprynie wrzawa dzieciarni.

Nic to Koniejenki nie obchodziło. Pędził do Dominiaka, wyrastającego w jego wyobraźni na najwyższą osobę, ba, upostaciowanie sprawiedliwości... Krótco po sobie przybyli jeszcze zimną czterdziestego piątego. W Poznaniu bronili się hitlerowcy, nocami, ledwie ucho przyłożyć do ziemi) dudnienie szło od zachodniej strony i od wschodniej, ciągnęło od północy i od południa. Wszystko wokoło stało w ogniu, a oni śpieszyli już tutaj, byle skończyć raz z poniewierką, z tułaczką, byle gdzie osiąść jak ludzie, otrząsnąć się z tamtych straszliwych wspomnień. Dominiak przyjechał z tymi, co organizowali tu władzę. Tam, gdzie

teraz milicja, dom straszył pogorzela ścian i ponurymi otworami okien. W byle jak przyprzątniętych pokojach niedalekiej willi zaczynało się tamto urządowanie. Jemu, Koniejence, wypisano na jakimś kulawym stole przydział osiedleńczy i nadział ziemi. Gdzieś musi być ta bumaga w papierach. Wyraźnie było wypisane: dwanaście hektarów, dom, obejście i pola po jakimś Schnupkem. U spodu aż trzy podpisy, jeden z nich Dominiaka.

Przekładnia skrzybiała przeraźliwie. Koniejenko przypomniał sobie dwóch pozostałych. Ten, co wtedy pierwszy został burmistrzem, tak jeszcze go nazywali, zmarł w parę lat później. Od tej pracy, od niedojedzenia, chłodu i niewyspania nabawił się chorób, galanty miał pogrzeb, orkiestrą go strażacką honorowali, przemówienia były nad grobem. Uczciwy człowiek, nie jak ten drugi. Też go nie ma, prosto zza biurka do kryminału poszedł, jedni mówili, że przekradł się, inni, że za okupacyjne sprawy, coś tam zataił, miał jakieś wspólnoty z Niemcami. Jeden Dominiak został na placu. Nie taka może już władza jak wtedy, ale zawsze szanowany i wiele mogący działać. Byle chciał tylko dopomóc.

Energicznym kopnięciem uwolnił się od napastującego go psiaka, na skos przeciął szosę, zjeżdżając w prawo za ostatnimi domami miasteczka. Polną drogą, osiadłą wiekowymi wierzbami, pchał się po mokrej nawierzchni w kierunku własnego domu. Koła ślizgały się, po wczorajszej ulewie woda lśniła kałużami na gliniastym podkładzie, dziwacznie w nich odbijała sylwetka Koniejenki.

W prawo: do bramy obejścia; w lewo: właśnie przez te zboża, do świeżo wytyczonego stanowiska przyszłej cegielni. Chciał jeszcze do baby, z nią się naradzić, już stawiał rower przy bramie, gdy nagle spojrzenie jego zahaczyło o zległy aż tutaj, stratowany kłos żyta. Schylił się, jakby niedowierzająco miał w dłoniach, do twarzy podniósł, powonieniem chwytając jedyny zapach zboża pęczniejącego sytą. Wtedy zawirowało mu coś wokoło oczu czerwonymi plamami, porwał się z miejsca, zgarbiony nagle, jeszcze mniejszy niżeli zazwyczaj, ciężkim krokiem iść począł ku ruchliwej grupie ludzi na najwyższym punkcie wzniesienia, przez te potratowane, powgniatane w ziemię, sprofanowane źdźbła. Przymrużone oczy zdawały się taksować rozmiar straty, dłoń schylała się, zagarniała przywiedle już kłosa, z piersi dobywało się ni to westchnienie, ni to bulgotanie jakieś dziwaczne, jakby chłopa dławilo w gardle.

Zupełnie pochłonięty rozpierającym go bólem, nie słyszał, jak na pole wjechała ciężarówka ładowana cegłami, jak kolebiąc się po nierównościach, ślizgając na gliniastym podłożu, zbliżała się coraz bardziej ku niemu.

Dopiero na gwałtowny klakson Koniejenko uskoczył na stronę, a nim pojął, co się dzieje, auto minęło go wolno, okrążając głębszy dół zjechało w prawo, na nie stratowaną jeszcze

pszenicę, przetaczało się po niej walcem czterech podwójnych opon.

Dopiero porwał się za maszyną, jak nieprzytomny chwycił pacyny gliny, podnosił kamienie, ciskając nimi we wrogie pudło, w te koła oddalające się tak spokojnie, a tak boleśnie, jakby zmiążdżyć chciały upór chłopskiego serca.

Biec wtedy zaczął machając rękami, pośliznął się, upadł, gdy podniósł się upaprany, w garści zaciśniętej trzymał grudę gliniastej gleby, w niej zaś zmierzwił kłosa.

Od bramy gospodarstwa Koniejenków oderwała się sylwetka kobieca, również co sił *zdzążając* w kierunku cegielni.

Wtedy ich dostrzegli z placu budowy. Musiało być coś niecodziennego w postaci Koniejenki, jeśli przyglądać mu się zaczęli mężczyźni pracujący przy wykopie pod przyszły komin, pobiegły ku niemu spojrzenia cieśli, montujących szalunek pod beton i stawiających prowizoryczną szopę na materiały, zerkali chłopcy, stawiający sztaple z czerwonej, klinkierowej cegły na komin, bezładnie zwalanej przez ciągniki i ciężarówki.

Zasłonięta kadłubem ZIS-a, który dopiero przed chwilą tak wzburzył Koniejenkowy spokój, czwórka rosnących mężczyzn spokojnie zsypywała cegły przez opuszczoną burtę. Siedzący na wysokim stopniu szoferki kierowca ćmił papierosa i obojętnie, z ponurą miną przyglądał się robotnikom. Czasem zerknął ku niemu któryś z nich, uśmiechając się złośliwie.

- Ciekawe, kto mu tak wczoraj zasunął? - zagadał jeden z robotników do towarzystwa.

Tamten wzruszył ramionami, parsknął głośnym już śmiechem, z większym ferworem zrzucił kolejną partię cegieł.

Jednocześnie wychynęli, niemal naprzeciw sobie: technik nadzoru budowlanego, Józef Dominiak, i zziąjany, upaprany gliniastym błotem, Piotr Koniejenko.

Dominiak jak zawsze, władczy na pełnej swej twarzy ze składaną metrówką i dużym ciesielskim ołówkiem w kieszeni gabardynowej bluzy, najpierw napotkał ukłon Klimczaka, oczy szeroko otworzył na widok posiniaczonej i oblepionej plastrami twarzy.

- Na Boga miłego, Klimczak, co znowu?

Szofer z niechęcią zamachał dłońmi, na policzki wypełził mu rumieniec gniewu czy wstydu, któż to odgadnie. Cofnął się na stopień, jakby pragnął ukryć przed ludźmi swoje oblicze. Czoło nad lewym okiem różowiało plamą plastra, jednak sinizna wyglądała z boków tego zabezpieczenia. Oko spoglądało maleńką zaledwie szparką, tak solidnie zapuchło.

- Chuligany, żeby ich nie znać - mruknął wreszcie, pragnąc pozbyć się natrętnego spojrzenia Dominiaka.

Technik zaciekawiał się, może by rozpytywał dalej, gdy wzrok jego natknął się z nagłą na snop czarnych włosów, spod których w wychudłej twarzy widać było jedynie wielkie,

rozpalone wzburzeniem oczy.

- Panie kierowniku, ja do pana ze skargą o moją krzywdę.

- Do mnie? Jaka krzywda? Ktoście?

- Koniejenko, o tu moja gospodarka, a to - szeroki, zamaszysty ruch dłonią - to moje pole. Moje, panie kierowniku. Sam mi je pan przed łąty, na samym początku, nadawał. Bumagę mam. Więc jakże to, albo już nie ma sprawiedliwości? Całe życie krzywda ma mnie spotykać? Pan tu najważniejszy, niech pan ratuje...

Krzykliwie, cienkie, sypały się te słowa jedno za drugim, jak zwykle gdy małowówny na ogół człowiek popuści wodze swojej wstrzemięźliwości. Ucichło, robotnicy zaprzestali wyładowywać cegły, nawet Klimczak zapominając o swej posiniaczonej twarzy podniósł się ze stopnia i postąpił o krok; ze wszystkich stron obejmowały całą grupę zaciekawione wejrzenia.

- Spokojnie, spokojnie, człowieku, nic zrozumieć nie można - Dominiak dłonie podniósł do góry, hamując tym potok Koniejenkowej wymowy. Dostojnie wyglądał, masywny, odżywiony, z pełną twarzą i dokładnie zrobionym przedziałkiem we włosach.

- Pola moje i zboża moje! Zniszczone do cna. Kto mi krzywdę zapłaci? Kto? I jak będzie na potem? Zawsze myślicie trutować cudze? Zawsze?

Mały, tylko ta strzecha czarnych jak u Cygana włosów, policzek umazany gliną; rozpaczliwym oburzeniem palące się oczy, rozdygotane dłonie. Dominiak skrzywił się z niesmakiem. Zawsze był czuły na zachowanie, nie lubił gwałtownych scen, mawiał, że najważniejsze, to panować nad sobą, nie dać innym poznać kryjących się w głębi człowieka uczuć. Poza tym sytuacja nie klarowała się jasno. Zniszczyli chłopu zasiewy? Ale cóż on tutaj poradzi? Jego rzeczą nadzór na samym placu budowy, specjalnie się starał o tę robotę. Reszta obce sprawy. Na domiar tyłu świadków, ciekawią się, obserwują...

- Do roboty, do roboty wszyscy! Tu nie kino, a ludzkie zmartwienie - zakrzyknął mocno tonem nie znoszącym sprzeciwów.

Uśluhali, kto by chciał z Dominiakiem zadzierać? Praca na cegielni pisała się na długo, dobrze płatna, akordowa, wszystko *zależy* od technika, on tu pierwsza figura. Rozpierzchli się, zaraz od nowa zaszurały zsypywane na ziemię cegły. Tylko Klimczak przybliżył się jeszcze bardziej, ręce włożył w kieszenie, wytrzeszczał prawe oko, aż głębę podał do przodu.

- Wasze zboże? Zdeptane, mówicie? - Dominiak przeszedł kilka kroków, aby lepiej ogarnąć stratę chłopską. - Ano, wcale mocno poturbowane. Zawsze tak, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... - że jednak zerknął zarazem na napiętą rozpaczą wyczekiwania twarz chłopca, odeszła go chęć rezonowania, - Słuchajcie, na pewno zostanie wam to wszystko z naddatkiem

pokryte. Na pewno, zgłosić tylko musicie w prezydium, gdyby trzeba, sam gotów jestem zaopiniować.

- Byłem w prezydium, byłem w partii! - zakrzyczał Koniejenko.

- I co? Pomogli?

- Też mówili, zapłacą, wynagrodzą, piękne słowa... Ale co potem? Moja zostanie ta ziemia, czy nie moja? A jeżeli moja, zawsze tak będą trutować? Innej drogi nie macie? - przestraszył się sam swojego krzyku, ręce złożył jak do modlitwy. - Panie kierowniku, od pana *zależy*, pan główna osoba, niech pan załatwi, niech pan zakaże, żeby kędy indziej jeździli, ja tu zagrodzę, odrutuję, ale nie chcecie mej krzywdy. Panie kierowniku!

- To jak, rowami mam jeździć? I tak nieledwie ostatni dech wypruwam z maszyny - basem wtrącił się Klimczak. - Toś ty, psiawiario, rzucał za mną kamieniami? Szkielko mi w „stopie” potłukłeś. Krzyk jeszcze podnosisz?

- Spokój, Klimczak, spokój? Tego człowieka też trzeba zrozumieć.

Ale już nie leżało we władzy Dominiaka panowanie nad sytuacją. Koniejenko pojął, że nie u technika ma szukać pomocy. Taki on sam, jak i wszyscy. Piękne słowa, że muszą, że zapłacą, że wynagrodzą. Czekaj tatka latka... A jeszcze tamten, psiawiara, nową drogę sobie wyznaczał, dalszy szmat zasiewów stratował, na dobitkę się mądrzy.

Nikt się nie spostrzegł, kiedy krępy, niepozorny chłopina wyprysnął nagle ze swego miejsca, twardymi pięściami skacząc ku twarzy kierowcy. Zaskoczony Klimczak nie potrafił zrazu się bronić, zadudniło mu pięściami po gębie, po zbolałym czole i oku. Zaryczał, odskoczył, kopnięciem odsądził napastnika, dopiero runął ku niemu całą masą swojego cielska.

Przeraźliwy pisk kobiecy, to Koniejenkowa, stojąca w pewnej oddali, ruszyła na pomoc mężowi, krzyk Dominiaka, rej-wach wśród robotników. Skłębilo się, gmatwania ciał, nóg i rąk. Po długiej dopiero chwili rozdzielono przeciwników, jeszcze się szarpali ku sobie, wrywając się z ramion przytrzymujących. Gdzieś się zapodziała dostojność Dominiaka, składana metrowka upadła w błoto, choć krzyczał, nie znajdował posłuchu, a jeszcze kobieta machała mu palcami przed oczyma, gotowa je wiedźma wydrapać.

- Bić każesz mojego starego? Za naszą krzywdę jeszcze bić? Dopiero ochłonął. Zakrzyknął ku wianuszkowi ludzi otaczających ich grupę, kto żyw bo rzucił robotę, nie co dnia¹ trafia się takie widowisko.

- Odprowadźcie tego chłopca, zgłupiał przez to swoje zdeptane zboże. Odprowadźcie czym prędzej...

Klimczaka ciągle trzeba było hamować, rwał się do bitki. Koniejenko nagle spokorniał,

skulił się, tylko ta strzecha czarnych włosów, pozwolił się prowadzić, ciężko stawiając kroki.

- Jasna cholera, to się zaczyna! - powiedział ktoś.

Dominiak bezradnie wzruszył ramionami. Podobnie bezradny był parę minut później, gdy widział, jak Klimczak zawracając do miasteczka swym ZIS-em, z całą satysfakcją rył oponami nowy szlak przez zboża, z dala od poprzedniego wyżłobionych kolein. Motor warczał, koła buksowały, wgniały dorodne kłosa w gliniastą ziemię.

Obejście Koniejenki stało się teraz spokojne, niepokojąco spokojne.

Uwielbiał spiekotę, żar sypiący się z nieba; gdy inni stawali się ociężali, w niego wraz z upałami wstępowała nowa energia.

Pólleżał, wyciągnięty na soczystej jeszcze, nie zmożonej dotąd spiekotą trawie. Małe, przez to jakby jeszcze pełniejsze wargi łakomie chwyciły coraz to nowy kęs, potem już tylko drgały policzki przy żuciu. Dłoń sięgała do kołpaczka termosu, napełnionego mocną herbatą. Niewielkie oczy prześlizgiwały się od niechcienia po czystym, wyblakłym od słońca niebie, chętniej przesuwają się na z lekka żółkniejące już zboża, by przez mocną zieloność trawy opaść wreszcie na stalowosrebrną płaszczyznę wody, jak złotymi cętkami usianej rzeszą. Staw w tym miejscu był naturalny, od jednej tylko strony wyraźnie pogłębiony starym wykopem, skąd czerpano glinę na gospodarski wyrób cegieł. Dominiak pamiętał, przed laty utonął tu chłopak, gruntowano wtedy bosakami; gdy tamtą płyciznę przebrodzić można było nie zanurzając się nawet po pas, tutaj i dwóch chłopca nakryłoby się wraz z głową. U przeciwległego krańca stawu, na zbitej z kilku bierwion tratwce tkwił na składanym stołeczku mężczyzna, uparcie wodząc oczyma za kołyszącymi się na wodzie pławkami. Kolejowy emeryt, Siwiak, znany był z sympatii do tej zapomnianej glinianki. Wszyscy rwali na rzekę czy do pobliskich jezior, on wolał tutaj polować na swoje szczupaki. Co prawda, jemu się tylko tutaj szczęściło. Kiedyś wyciągnął takiego kolosa, że się potem pół miasteczka zbiegło do magazynów Centrali Rybnej, dokąd Siwiak odtransportował swą zdobycz. Sztuka ważyła przeszło szesnaście kilo...

Z pobłażliwym politowaniem dla ludzkich dziwactw wstrząsnął Dominiak głową. On by nie potrafił godzinami siedzieć nad wędką. Osobliwe upodobanie i straszliwe marnotrawstwo czasu, taka rzecz powinna właściwie być zakazana, uczy ludzi lenistwa...

Nalał z termosu nową porcję. Pijał tylko ulung, moc dawała i ciemny kolor. Cierpka była, świetna na podobny skwar, siły wracała.

Napoczynając drugą porcję chleba z kiełbasą, czując sytość dobrze już podkarmionego żołądka, pan Józef uśmiechnął się, kąciki warg jak za przykazaniem poskoczyły w górę.

Trzeba się pokrzepić, potem nie znajdzie czasu, przed trzecią zapowiedziała się komisja z Zielonej Góry, inżynier geodeta, ktoś ze jednoczenia jako inwestor. Dobrze, że nie przyjechali z samego rana, ukończą tymczasem szopę na materiały, w niej się wydzielili przedziałik na biuro budowy. Jutro już tam zasiądzie, będzie wahał zapach świeżej tarcicy.

Pognało ich z tą cegielnią. Dwa lata ciągnęło się, nim wreszcie zapadła decyzja, by lokować ją przy miasteczku, na bogatych pokładach gliny, dobrej jak rzadko, bez margla i iłu, tłustej, że ją bez mieszania wpychaj do form... Tak, dwa lata trwały targi i boje. Potem jeszcze długi rok: lokalizacja, dokumentacja, aż wreszcie nadszedł sygnał do roboty, stanęło otworem konto bankowe. I termin, żeby na koniec roku cegielnia była zdolna do produkcji. Cacy, cacy, przez sześć miesięcy. Teraz wszystko po diable... Dlatego musieli na nim, Dominiaku, się oprzeć. Wiedzą, na kogo można postawić.

Przemknęło mu przez myśl, jak to szczęśliwie, że nie trafiła komisja 'na głupiego Koniejenkę. Zaraz by się zaczęli wykrzywiać, choć to właściwie ich sprawa, w końcu z tym polem coś trzeba zrobić, na przyszłość przewiduje się pobieranie gliny z tamtego gruntu. Będzie kłopot, gość strasznie uparty, baba jego także kąśliwa...

Spożył ostatni kęs, popił solidnie, dopiero nakręcił kapturek na termos. Wyciągnął się na trawie, może sobie przez parę minut wyprostować kości. Na budowie wszystko gra. Znów warkot motoru, dalsze dwa tysiące cegieł nadjeżdża. Wykop pogłębia się, szopa rośnie. A tamtemu Koniejenke wciąż dalej tratuja zboże, wciąż dalej i dalej.

Co u licha z tym Koniejenką? Czas już zapomnieć o awanturze porannej. Chyba on sam, Dominiak, zachował się dobrze? Przed laty może by energiczniej postąpił, ale dziś także potrafi się odpowiednio znaleźć. Chłopa pocieszał, potem energicznie kazał go odprowadzić. Jak przystało na kierownika. Ta baba tylko niepotrzebnie wytrząsała rękami, darła się, że on kazał bić jej starego. On? Najdalszy był przecie od tego. Żeby plotki jakies nie poszły teraz w miasteczku, kupa ludzi słuchała tego gadania.

Skrzywił się. W tym wytrząsaniu ramion Koniejenkowej było coś z jego żony. Jasne, to tylko, poza tym ani ich z sobą równać. Mógł sobie myśleć o swojej Anieli, co tylko zapragnął, musiał przyznać, szyk przecie trzymała. Ubrać się umiała, w dom nie puszczała byle gawiedzi, po plotkach z kumochami nie latała, głowę jak trzeba, nosiła do góry. Pewnie, co tu równać ją z chłopką, co tylko kury maca i babrze się w gnoju, pędząc na dojenie ze skopkiem. Jeno to wytrząsanie ramion. Może i glos, jakiś skrzekliwy, zaczepny. Aniela, niby od aniołów. Człowiek piekło by wybrał z ochotą, żeby w niebie miały być takie anioły. Pospieszył się wtedy, omamiła go, czuł się bardzo samotny, bał się, że go hitlery capną, palii się do byle baby, umiała to wykorzystać. Bo właściwie nigdy jej chyba nie kochał.

Początkowo rad był, że ma rodzinę, swoją kobietę, potem się dzieciak urodził. Ale i to zaczęło doskwierać. Aniela od samego początku, ledwie się pobrali, pokazała, co umie. Gdy pierwszy raz przy niej się schlał, żeby to utulić, podkurować, mlekiem zsiadłym napić, po mordzie jak szczeniaka wytlukła. Tego jej nie mógł zapomnieć, od tamtej chwili zapiekła się w nim jakaś niechęć, by potem narastać wciąż i narastać. A jeszcze żal do siebie samego, że tak się jej poddał od razu, dał się zawojować, że w nim wzbudziła gówniarski strach.

Przeciągnął się w słońcu, grzało tak, że koszula zaczęła się lepić od potu do ciała, choć nic przecież nie robił... Strach. Pewnie, bał się, nie tyle może Anieli, ile tego, że gdyby coś nie tak, ludzie zaraz wzięliby na języki, zepsuliby pozycję, przez lata urabianą w miasteczku. Prawie piętnaście lat, szmat czasu... Coś jednakże tu działo, jeżeli pamiętają. Ten chłop z czupryną jak kopa siana sam wspominał o pierwszych latach. Że mu Dominiak ziemię dawał imieniem państwa, jeszcze zimą czterdziestego piątego. To były dopiero czasy, on sam także był inny, zdziażdżało się już cokolwiek, zdziażdżało. Ale na takie miasteczko starczy, już go tu zawsze będą musieli poważać.

Wtedy mniej myślał o sobie, Aniela go właściwie posłała na te ziemie zachodnie. Ani musiał z nią o to wojować. Nosa już zawsze miała... Uśmiechnął się kpiąco. Bo przecie mało brakło, a byłby prasnął babę i innej sobie poszukał. Właściwie taka nawet już była... Żeby nie to, że dziecko, miałby może na zawsze spokój od tej sekutnicy z anielskim imieniem. Jednakże po jej myśli wypadło... A wtedy to tak się zgadali, co będą robić w Warszawie? Ruiny, ciężko, z niego żaden fachowiec, papierów nie ma, kiedyś by musieli zapytać. W *Manifeście* tyle się mówiło o Odrze i Nysie, ludzi tam braknie, tylko próbować szczęścia. Spróbował. Zgłosił się na punkt, przydzielili do ekipy, w pięciu kazali jechać, potem wyznaczyli Zieloną Górę, a stamtąd pełnomocnik rządu przydział dał na miasteczko. Trzech ich było. Najstarszy został przewodniczącym, drugi objął komendę milicji, jego, Dominiaka, wyznaczyli na głównego specja od gospodarki. Niby że ma rozkręcić wszystko, uruchomić produkcję, ludzi osiedlić. Wielkie słowa, tymczasem, bywało, żarcia brakło. Dobrze, jak skądś wyciągnęli konserwy czy nadpleśniałe suchary. Czasem coś wytargowali od wojska. Szło jakoś, mimo że wcale nie było łatwo. Co to bandziorów wtedy ciągnęło, co szabrowników, kurew różnych, a już najgorzej z tymi niby politycznymi. Różni tacy broń mieli, za organizacje się podawali, za takie czy siakie wojsko, żądali posłuchu. Paru partyjniaków, co to się zaraz później zameldowali, sprzątnęli nawet, ani dojsć kto. Na przewodniczącego też raz granat rzucili, stoczył się w jakąś dziurę, tam wybuchł, więc mu tylko dwa palce urwało u ręki, dobrze wyszedł. Szabrownicy też ze spluwą potrafili wojować... Jakoś się wtedy niczego nie bał, zdawało mu się, odżył zupełnie, inny człowiek.

Może to oderwanie od Anieli tak podziało na niego? Pieniądze jej słał, jakoś im nie brakło, gdzie indziej długi czas pensji nawet ludziska nie mieli, udawało się też czasem niewielki „szaberek” babie podetkać, rada była, czekała na dalsze nowiny. On zaś odwlekał. Bo to i w kobietach się rozsmakował, łatwo o nie było, choć przecież cenił się, uważnie przebierał. Swoje przy tym robił. Ruszyła piekarnia, nie minęło pół roku, uruchomili fabryczkę wina, zaczęli produkować łańcuchy rowerowe, coraz więcej ludzi się osiedlało. Między nimi trafił się także ten Koniejenko.

Coś mu świtało. Koniejenko, z Rzeszowskiego, zdawało się wtedy z nazwiska, że Ukrainiec, może z takich, co to mieli bogatą przeszłość, jechali teraz na zachód, by *zatrzeć* ślady. Nie jego rzecz była pytać, nikt tu nikogo o nic wtedy wiele nie pytał, nie było to bezpieczne, ale sam chłop zaczął opowieść. Wiele widzieli i słyszeli, choćby przewodniczący, co to chleba z różnych pieców próbował, a i temu rzecz wydawała się nie do wiary. Bo coś tam było i z Koniejenki ojcem, i z matką, i z dziećmi, bodaj to jego żonę UPA gwałciła na mężowskich oczach. Tak, tak, Koniejenko był z najpierwszej grupy, cztery czy pięć nakazów osiedlenia wtedy wydali, zima jeszcze była, straszna biedota ciągnęła, kłopot był, jak to wykarmić, jak przyjść z pomocą na samym początku. Nie każdy przecie szabrował. Ten Koniejenko strasznie był zalękniony, ciągle dopytywał, czy naprawdę ta ziemia będzie już jego, czy może być o to spokojny... Nie dziwota, że chłop durniej teraz, jak się zaczęło z cegielnią. Musieliby go tam szybciej załatwić, bo gotów co dnia brewerie wyczyniać...

To był dopiero czas. Wszystko się w człowieku paliło. Order wtedy dostał za ofiarną służbę, prawda, i rwał się do roboty, ani patrzył, dzień czy noc. Wszystkich ich rozpiętało to budzenie życia od nowa, jakby na przekór wojnie i zgorzeliskom. Wszystkich, prócz tej bandyckiej hałastry, złodziejów i dziwek. Ale to inna już sprawa... Wtedy też zetknął się z Jarużyną, z Ludmiłką, jak i ta jej mała po matce ma imię. Ludmiłka, aż teraz ciarki go przeszły. To była kobieta. Ładna, zgrabna, krew sama. Że dziecko miała? Opowiadała przecie o swoim Antosiu, nie kłamała, nigdy nie lubiła kłamać, złe czy dobre, o sobie czy innych, waliła prosto w oczy. Zdziorna była, kozak taki. Przyszła po jakieś kartki czy zapomogę, tak się poznali. Zaraz jak ręką odjął, odrzuciło go do innych bab. O swojej Anieli, mało brakło, byłby na amen zapomniawszy, gdyby się sama nie przypomniała. Ale to znacznie już później. Przedtem była Ludmiłka. Pokochali się, nie kryjąc tego przed sobą ni ludźmi. U niej najczęściej nocował, dzieciak był mały, ani mógł co rozumieć. Byłaż ta Ludmiłka, oj, była. Kobiet takich niewiele na świecie, które by podobnie umiały z mężczyzną... Ona przodowała w te noce, pieściła, paznokcie wtedy nosiła długie, nie raz go i zadrapała, ona nadawała ten szaleńczy, wariacki rytm, kryć musiał potem te pogryzienia, gdy w roznamietnieniu ani na co

się oglądała. Poważnie zamyślał, żeby jakoś naprawić ten błąd swój z Anielą, kobiety nie krzywdząc, zostać z Jaruzyną na zawsze. Nie od razu zresztą jej powiedział o żonie. Nie traktował z początku sprawy aż tak poważnie, ot, trochę po frontowemu, po kawalersku, a tutaj był jakby front, mało zresztą ludzie zginęło? Bo to i niedobitki hitlerowskie też się jeszcze z bronią czaiły. Dziś tak tu ładnie, spokój, sielanka, ale wtedy? „Dziki Zachód”, mówili. Pewnie, zdarzało się, niby w jakim Texasie...

Inaczej rozwiązało się wszystko. Gdzieżby mógł marzyć, że się od Anieli odcepi? Za tamten błąd głuptaka, zastraszonego po ucieczce od Niemców, pokutował już będzie po wszystkie dni. Może tak i trzeba. Choćby Ludmiła, spotkał ją niedawno, już nie liczyć, co słyszał przez lata, przestraszył się wtedy. Zniszczona, zmarnowana kobieta, tylko oczy te same, nic się nie zmieniły, na jego widok zabłysły dziwnie, nie miał zresztą odwagi długo w nie patrzeć. Winny się czuł, a bał się teraz także Ludmiły. Zewsząd go opanowywał ten strach. Mało w nim zostało z pioniera, który organizował nowe życie w miasteczku. Jakby na grzeszną pamiątkę został Tomek, jego syn. Syn, wielkie słowo, a jakież inne, gdy inna jest sytuacja. Nie wie nic o chłopcu, kryje się przy spotkaniach po gąszczach, boi się, żeby to synostwo nie stało się jawne. Głupia rzecz. Przykra. Najgorzej, że ani na nią poradzić... Cud, że się wtedy Anieli nie zwiędziała o wszystkim, jak już ściągnął do siebie rodzinę. Różni ludzie byli, ale nie plotkarscy. Każdy coś tam przeskrobał, swoich więc spraw pilnował, cudzych nie tykał. Wyglądało, że przyszło wszystko. Na Tomka płacił, uczciwie, nawet wtedy, gdy zdarzało się, że mniej zarabiał. Dopiero ten parszywy list do Anielki. Co za zmija musiała go pisać? Może jednak nie Miła, choć czemuś ją podejrzewał. Kto zatem? I czy to początek dopiero, czy koniec? Ciężkie życie teraz miał z żoną, sekutnica niby to uwierzyła zaprzeczeniom, ale coś w niej utkwiło. Zacznie śledzić i wywiadywać się, różnie się może zdarzyć. Strach pomyśleć. Jak to zacznie wytrząsać pazurami pod nosem, skowyczeć cienkim głosem, zupełnie jak dziś Koniejenkowa.

Dreszcz nagły nim wstrząsnął, to go zbudziło z półdrzemki. Spojrzał półprzytomnie. Od wody szedł mocny plusk, szarpanina. To kolejarz emeryt szamotał się z wędką, podciągał kij ku sobie, znów popuszczał, tratwa chybotwała się, patrzeć, jak stary się skąpie. Jednak ma rybę, winduje ją, plusk, czyżby uciekła, nie, podrywa teraz kasarkiem, już jest na tratwie.

- Jakże tam, panie Siwiak, poszczęściło? - krzyknął, składając dłonie w tubę.

W odpowiedzi kolejarz obu dłońmi podniósł sporego szczupaka. Będzie miał ze trzy kilo, ocenił Dominiak, opłaciło się staremu siedzenie. Staremu? Jeszcze z niego chłop na schwał. W zeszłym roku, jak zaczęło się z emeryturami, posłali go na zieloną trawkę. Nie chciał odchodzić, nie on jeden, ale skoro już zarządzenie, to nie sprzeciwisz się nie ma odwołania.

Niejeden Siwiak bez ochoty zaczął smakować emeryckiego chleba. Niby, że młodym trzeba uwolnić miejsca pracy. I to prawda, parę lat temu dla dobrych dwu setek brakło w miasteczku roboty. Jeszcze braknie, ale teraz się rychło odmieni. Cegielnia, fabryka cukierków, wielkie warsztaty naprawcze, rozbudowa winiarni, nie od nich co dnia będą jeździć ludzie do innych miast, ale tu będą przyjeżdżać. Martwo było niedawno, teraz nagle ruszyło. Jak w pierwszych latach, ruch tak sam...

Powstał, otrzepał ubranie, mocniej osadził w kieszeni bluzy składaną metrówkę. A on, Dominiak, zawsze ma coś do powiedzenia. Dobry trafił się pomysł hen, w tamtych latach, by sobie załatwić wykształcenie. Wojna przerwała, nie jego wina, że roku zabrakło do skończenia średniej szkoły technicznej. A przecież co papierek, to papierek. Akta szkoły spaliły się, z nauczycieli mało kto wojnę przeżył. W tym czasie wystarczyło dwóch świadków, że wiedzą, iż taki to a taki, to a to... Znalazł łatwo, ludzie chętnie świadczyli sobie podobne przysługi. Zeznało dwóch, jest im wiadomym, iż Józef Dominiak ukończył budowlaną szkołę techniczną, zatem technik całą gębą, z dyplomem. I tak się dokonał ten jego awans zawodowy. Uczciwie, bo na robocie się znał, na pewno lepiej niż niejeden ze świeżo upieczonych pętałów, co to na budowie kielni od poziomicy nie potrafią odróżnić.

Nadał się. Gdyby nie ta znajomość roboty, alboż byłby specjalistą od spraw budowlanych w miasteczku, alboż miałby pół etatu w prezydium, alboż wreszcie powierzyliby mu nadzór techniczny nad budową wielkiej cegielni?

Majster dojrzał go idącego, z daleka przyzywał machaniem dłoni. Był potrzebny. Ta świadomość poprawiła mu wyraźnie samopoczucie. Reszta, z Anielą, z Tomkiem, jakoś się to uładzi.. Stara sprawa, nie tak łatwo wydobyć końce z wody. Ludmiła zaś będzie milczeć. Choćby dla tych czterystu złotych, jeśli nie dla samego wspomnienia.

Wzrok Dominiaka zagarnął stratowane zboże. Życzliwie pomyślał o Koniejence. Jeden z pierwszych, ma akt nadania z jego, Dominiaka, podpisem. Trzeba będzie człowiekowi dopomóc. Spróbuje pogadać, niech przyspieszą, co ma sobie chłop te czarne kudły wydzierać?

- Panie kierowniku - wołał majster - szalówkę pod beton od której strony zaczniemy zakładać?

Gromadziło się ich coraz więcej.

Robota była łakoma, nagle otworzyły się takie możliwości przed nimi, nikomu też nie ochota była ją stracić, więc choć zaczynali dopiero o szóstej, niejeden zjawiał się na miejscu

0 wiele wcześniej. Do cegielni jednak nie dobrnęli tym razem. Jeden przy drugim stawiali

na drodze, pobok linii Koniejenkowych zasiewów. Nawet nie dlatego, by im mogła ta zapora tak bardzo przeszkodzić: i pod nią prześliznąć się było można, i wierzchem przesadzić. Zdumiała ich ta chłopska zawziętość i szmat roboty, wykonany przez krótką noc. Stali i medytowali, podnieceni, ciekawi, co będzie dalej.

Dziwiło ich nawet, że przez następne trzy dni po głośnej już awanturze z Klimczakiem chłop z czupryną jak strzecha nie pokazał się ani razu przy granicach swojego obejścia. Dochodziło gdzieś z podwórza rąbanie drzewa, brzęk piły, jak to normalnie przy gospodarce. Przez uprawę jeździły traktory i ciężarówki, a że to jeszcze spadł nowy deszcz, ubity szlak namókł, koła przesuwwały się coraz to głębiej na zboże, coraz większe płaty świeżej ziemi czerniały wśród pszenicznego ładu. Piesi też wydeptywali ścieżki, jak im było wygodniej, jeśli ktoś pożałował Koniejenki, to rozgrzeszał się, że chłopu i tak z naddatkiem za tę stratę zapłacą. Zarobi jeszcze lekkim kosztem. Ktoś w dodatku słyszał, jak wspominał o całej sprawie kierownik Dominiak, gdy obchodził teren cegielni z wojewódzką komisją. Pogadali nawet między sobą, że jednak z Dominiaka porządny chłop, warto z takim pracować.

Aż nagle dzisiaj. Jakby cudownym sposobem wzdłuż całej granicy płot wyrósł; między twardo wbitymi, mocnymi kołkami i słupami ciągnęły się rzędy kolczastego drutu, w miejscach zaś, gdzie wjazd był najporęczniejszy, dodatkowo po-wkopywał kamienie i grube kłody. Musiał mieć wszystko uprzednio przygotowane, już samo ustawienie, wkopanie, umocowanie drutów, piekielna to na jednego robota. W domu miał co prawda dwie baby, żonę i córkę, bo syn w Poznaniu gdzieś w szkołach, ale ich pomoc niewiele tu pomogła.

- Co dalej? - cmokali w podziwieniu i z wyraźną sympatią dla czupryniastego chłopca.

- Nic mu nie pomoże, na tę ziemię już wyrok pisany. Budowy przecie nie zahamują. Zdrowie jeno mitręży.

Stojąc zbitą gromadą, do szóstej brakło jeszcze niemało, coraz to zerkali ku Koniejenkowemu obejściu. Powinien się chłop pokazać, bronić swojej zapory. Na uwadze trzeba się mieć, z takim ryzykantem nic nie wiadomo.

- Nie podoba mi się to wszystko. Dobrym tu nie pachnie - trząśł któryś głową, w oczach jego odbijała się troska.

- Wiecie wy, że mu banderowcy ojca ukrzyżowali na drzwiach stodoły? Na jego oczach. I inne jeszcze takie rzeczy. Przeżył, oj przeżył, na koniec ze swojego musiał uciekać.

- On z tamtych stron?

- Z tamtych, z tych Bieszczad dzisiejszych. Potem stamtąd resztę Ukraińców powysiedlali, z Polaków jednak nikt nie miał ochoty wracać, dyrwanem ziemia stanęła.

- Prawda z tym krzyżem? Straszna rzecz...

Wzruszenie ramion. Gadają. A jeżeli prawda, chłop wyczulony na krzywdę, wszędzie będzie ją wietrzył. Nie mogli to wcześniej z nim rzecz ugodzić, zapłacić, zamienić, alboż to nie ma sposobu?

- Pewnie, pewnie...

Z politowaniem i współczuciem, nawet z dozą szacunku zwracali spojrzenia ku cichemu obejściu, tak cichemu, aż się wydawało to podejrzone.

- Może by zajrzeć do niego? Zna go kto bliżej?

Nie było takich. Trzymał się chłop z dala od ludzi, samotność wołał.

- Dominiak zaraz nadejdzie. On niech radzi - pozbył się ktoś strapienia.

- Nie zazdroścę kierownikowi.

- Maszyn z cegłą czy cementem tylko czekać - dorzucił majster.

- Prawda, maszyny. Klimczak przyjedzie, ma złość na chłopca za tamten skok do oczu. - Pokręcili głowami. Z Klimczakiem nigdy niepewne. Dobry chłop, ale bez żadnego opamiętania, jak się rozeźli.

Od warsztatów i małej cegielni, położonej po drugiej stronie miasteczka, skąd właśnie zwożono tu klinkier, poniosł się cichym powietrzem mocny gwizd syren, oznajmiających godzinę szóstą. Zaraz wybijać zaczął uderzenia zegar na wieży kościelnej. Drgnęli, spojrzeli po sobie. Iść, czy jeszcze czekać? Paru zawróciło, zamierzając przedostać się na plac budowy Okrężną drogą, ponad rowami. Inni wahali się jeszcze.

- Kierownik idzie.

Dominiak z oddali dostrzegł niezwykle spokojny przy cegielni, dopiero zdziwiony tym zwrócił uwagę na skłębioną gromadę przy drodze. Przyśpieszył kroku.

- Co jest, majster? - pytał, choć widział płot i zasieki zmajstrowane wzdłuż linii zasiewów, domyślał się kto to zrobił i po co. Czoło mu się zmarszczyło, czuł już kłopoty, ten Koniejenko zwariował na tle swych urojonych utrapień. Powiedzieli przecie faceci z komisji, że każdego dnia przybędzie geodeta wymierzyć teren, zapłaci się dziadowi za zmarnowany plon i zaproponuje zastępczy kawał ziemi. Lada dzień, gdy ten tymczasem szaleje. Ech, do bani z taką robotą.

- I co dalej? - sarknął na majstra.

Bezsilnie rozłożył ręce.

- Ja tam płotu zwał nie będę. Ani chodził przez jego pole. Potrzebne mi to?

- To co? Ja mam to zrobić? - zbiesił się nagle Dominiak.

Milczenie.

- Maszyny jadą.

Zwrócili się w tamtą stronę. Czekali. Po warkocie poznali, pierwszy ciągnik, znacznie dalej dwie ciężarówki. Ciągnik zaraz tu skręci. Dwie przyczepy. Ten ursus najwięcej czynił spustoszeń na Koniejenkowym polu.

Napięta oczekiwaniem cisza, maćona tylko dudnieniem motoru.

Ciągnik szerokim półkolem brał zakręt. Wpatrzeni w tę stronę, nie od razu dostrzegli Koniejenkę. Gdy wreszcie krzyknął ktoś głośno, chłop stał już przy zbudowanej przez siebie zaporze, też gapił się na zbliżającego się coraz wolniej ursusa.

Szmer. Ten i ów obejrzał się na Dominiaka. Kierownikowi zabrakło języka w gębie. Wytrzeszczał oczy na chłopca, który wydawał mu się teraz bardziej jeszcze rozkołtuniony i ponury niż wtedy, gdy to z Klimczakiem...

Zbaraniały traktorzysta przyhamował przy samym wjeździe na niwę, dygocące latarnie ursusa dotknęły żerdzi poprzeplatanych kolczastym drutem. O metr od maszyny milcząco stał błąd Koniejenko o wymiętoszonej twarzy. Oczy mu tylko połyskiwały.

Ciężarówki z impetem wpadły na drogę. Pierwszy rwał Klimczak. Hamował gwałtownie, aby ciężką, wyładowaną cegłami maszyną nie wpaść na przyczepy traktora. Ledwie wyprowadził ZIS-a z poślizgu. Nieco dalej przystanął star.

Klimczak zeskoczył z wozu, szedł w ich stronę.

- Co jest? - krzyczał.

Dominiak drgnął, obejrzał się, skinął na kierowcę, by zamilkł. Jeszcze przeciągnął wzrokiem po tłumie skupionych, wpatrzonych w siebie postaci, jakby tam szukał poratowania. Bał się tego człowieka, niewielkiego, krępego, o czarnej rozwianej czuprynie, stojącego na jednym miejscu, z próżnymi rękami, a przecież dziwnie groźnego.

- Słuchajcie, panie Koniejenko - zaczął. - Sam sprawdzałem, rozmawiałem w waszej sprawie. Wszystko jest w porządku. U nas nie mogą się dzisiaj zdarzyć żadne bezprawia. Wszystkie straty zostaną wam w całości powetowane. Gdyby to pole miało przejść pod cegielnię, otrzymacie zastępcze... - rozpędził się, gadał, wiedział, zbyt wiele, ale te słowa jakoś go kryły, bał się ciszy, która po nich nastąpi, bał się odpowiedzi ciągle nieporuszenie tkwiącego na miejscu Koniejenki, choć nie mógł się domyślić treści tej odpowiedzi. - Po co te ploty, musimy ciągnąć budowę, na to nie ma rady... Bądźcie rozsądni, Koniejenko. Nie po to państwo ludowe dało wam ziemię, by ją teraz odbierać, by czynić wam krzywdę...

Urwał, naprawdę nie wiedział, co więcej może temu człowiekowi powiedzieć. Już tamtego dnia, gdy leżał nad wodą glinianki, przeczuwał, że na starciu z Klimczakiem rzecz się nie skończy. Dobrze przeczuwał.

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach, pod takt nie docierających do uszu ich wszystkich

dygotań traktora, nabrzmiewały tylko gorączkowe, podniecone, napięciem oddechy ludzkiej gromady. Któryś ze starych robotników zrobił krok naprzód, jakby chciał się przysunąć do Koniejenki, stanąć w jego obronie.

Ale oto on sam, milczący dotąd uparcie, przemówił. Głos miał wyzywający, mocniejszy niż jego mizerna postać.

- Państwo dało mi ziemię... Ja swoją ziemię musiałem zostawić, nie z własnej woli. Tu wdzięczny byłem. Mówili: nowa ziemia, na nowej ziemi nowy ład... A jak to jest? Na nowej ziemi ma się dziać stara krzywda? Nie pozwolę, nie dopuszczę! Mnie już obietnicami nie zaspokoisz. Powiadam, nie przepuszczę!

- To sami przejdziem, dziadu! - szarpnął się Klimczak.

Koniejenko zaniósł się krótkim śmiechem, Zaraz go stłumił w sobie.

- Powiedziałem swoje. I ostrzegani, że wjazd na moje pole źle może się skończyć. Ostrzegam, wszystkich tu biorę na świadków. Moje pole, i wara komu do niego. A jeśli co niedobrego się stanie, ostrzegałem.

Ostatnie to słowo niemal wykrzyczał. Stał teraz znów milczący jak przedtem, blady i wynędzniały, tylko te oczy groźne i czujne.

Dominiak otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale zmilkł, obejrzał się bezradnie. Majster przysunął się ku niemu:

- To jak? Po milicję posyłać?

Kierownik wzruszył ramionami. Znów się przestraszył odpowiedzialności. Nie chciał decydować. Ta decyzja nie należała do zakresu jego pracy. Zdecydowanie cofnął się do tyłu, między robotników.

Długa, przejmująca cisza. Tylko to jazgotanie ursusa i te przyśpieszone oddechy.

- Wszawa jego mać! - z nagłą zahuczał w tej ciszy Klimczak. - Mirek, przejeżdżaj! Miń przejazd, skoro nie masz Odwagi rozwalić tego płotu. Ja przerwę go ZIS-em. Pora późna, co tu będziem dla jednego głupka wydziwiać?

Zakołysała się masa, jak prąd popłynęły przez nią różne nastroje. Mniej było takich, którzy aprobowali słowa Klim-czaka. A już na pewno nie musiał wyzywać chłopca od mąci. Jeżeli prawda, że mu ojca ukrzyżowali...

Klimczak szedł zdecydowany ku młodemu kierowcy.

- Pakuj się, Mirek, na bok, skoro cię strach obleciał.

W chłopcu zagrała ambicja.

- Wy mnie, Klimczak, strachu nie zarzucajcie. Pierwszy przyjechałem, pierwszy na budowę dojadę.

- Ja ostrzegam, nie moja *rzecz*, jeśli się stanie co złego. Wara od mego pola! - głośno zakrzyknął Koniejenko.

Spojrzeni po nim. W dłoniach nic nie miał. Może jaką spluwę gdzie zdobył, strzelał będzie? Ale i na to nie wyglądało.

- Jedź. Ja stanę bliżej starego. Gdyby co, damy sobie radę - Klimczak zatarł dłonie. Ciągłe go jeszcze bolała porażka sprzed paru dni.

Rozsunęli się, gdy traktor zadygotał mocniej, a potem jął napierać na płot.

- Ostrzegalem!

- Milcz, dziadu sakramencki!

Już nikt więcej się nie odezwał po tej wymianie okrzyków Koniejenki i Klimczaka.

Ursus parł do przodu, zatrzeszczał jeden słup, wywrócił się drugi, drut podciął lewą latarnię. Trzask, płatanina, szybsze obroty maszyny, warkot aż uszy puchły. Jeszcze, jeszcze, traktor przedarł się przez zaporę, *gdzież*, taka siła! Ktoś spoglądał od spodu, czy kolce drutu nie przebiją opony, ale ta je wciskała w namiękły grunt. Potem przenosili spojrzenie na tamtych dwóch. Czujny i skupiony stał Klimczak o parę metrów od chłopca o wzburzonej grzywie. Koniejenko jak gdyby niczego nie zamierzał; jak inni ślepił za spokojnie już rwącym przez pole traktorem.

- No, wiara, idziemy - majster skinął na swoich, odetchnął z ulgą. Już się nic chyba nie stanie. Zastraszyć chłopcyś ich pragnął. Dobrze dla nich, dobrze także dla niego. Próżno się tylko mordował z tym płotem.

Kierowca stara gramolił się do swojej szoferki. Tylko Klimczak ciągle stróżował przy zgarbionym, nikłym chłopinie, którego pszenicę znów wygniatały znenawidzone koła.

- No, wiara - przynaglił majster.

Nikt się przecie nie ruszył. Jakby piesi chcieli przeczekać wszystkie maszyny, albo jakby wstrzymywało ich w miejscu jakieś oczekiwanie.

Dominiak też wpatrywał się w ursusa jak urzeczony. Traktor był już w połowie drogi przez pole.

Nagle dobiegł ich ostry, gwałtowny krzyk Mirka, potem dopiero ujrzeli, jak ciągnik wali się z hukiem w dół, jak zarywa się pod nim ziemia, jednak na powierzchni zostają przyczepy. I nowy, pełen bólu krzyk chłopca.

- Jamę wykopał i zamaskował! - pierwszy Klimczak odzyskał przytomność, biegiem zrywając się na ratunek młodego kierowcy. Nawet nie spojrzał na Koniejenkę.

Przyjrzał mu się za to Dominiak. Chłop stał z zaciśniętymi mocno ustami, blady, zupełnie znedzniały.

- Ostrzegalem! krzyknal.

A potem dziwnym, kołyszącym, zupełnie nieswoim krokiem, nie zatrzymywany przez nikogo, poszedł prosto do bramy obejścia, skąd niósł się w pole przeraźliwy szloch kobiecy.

Mirka wyciągnięto szczęśliwie i prędko. Osunął się z siodełka na dno głębokiej jamy. Traktor nie przygniótł go, wykop był za krótki, przód maszyny oparł się skosem o przeciwległy brzeg.

Pierwsza zawarczała karetka pogotowia. Dopiero później motocyklem nadjechali milicjanci. Koniejenko nie stawiał oporu. Spokojnie dał się im zabrać. Nie obejrzał się też za dwoma wyglądającymi za nim kobietami. Starsza wciąż szlochała, wygrażała pięściami, miotła groźby i przekleństwa. Młodsza, gryząc w wargach kraj kolorowej, połyskującej w słońcu chusty, tkwiła nieruchomo na jednym miejscu,

Na budowie z opóźnieniem ruszyła zwykła, codzienna robota.

4.

Gdy schylał się przed okienkiem kiosku, słońce oblepiało wypucowaną łysinę, uwydatniała się modnym krojem samodziałowa marynarka. Brązowe kamasze typu „calypso” nieustannie podrygiwały, jakby takt jakiś wybijały do słów szeptanych w głąb kiosku.

Wielki plakat ukazywał okolony klombami kwiatów domek jednorodzinny, trochę niżej pysznił się nowoczesną linią samochód, jeszcze dalej, już na mniej eksponowanych miejscach, rozróżnić można było radio, motocykl, rowery. Wszystko przecinał czerwoną linią wabiący napis: „Twoja przyszłość w Totolotku”.

Nie było wielkiego ruchu. Panna Joasia rada nawet była z towarzystwa felczera, choć co chwila musiała się rumienić i udawać święte oburzenie. Teraz też wymanicurowaną, choć niezbyt czystą dłonią trzepnęła wcale solidnie grube łapsko Budzińskiego.

- Panie Franciszku, niech pan przestanie! Jak żyję, świntucha takiego nie spotkałam...

Uśmiechnął się szeroko, już nie tylko dłoń, ale i opaloną głowę wtykał głęboko w okienko.

- Zaraz świntucha... Jak wam prawdę mówię, to zaraz się oburzacie. Ale potem nie raz i nie dwa cichaczem trzeba się do Franciszka przebierać, che che che!

- Jak szpital teraz poszerzą, to dochody się urwą. Ta dzisiaj bieda, że miejsc mało, to i na pana patrzą łaskawie... - i nagle się oburzyła od nowa. - Mnie to zresztą nie obchodzi, ani w szpitalu, ani u pana nie mam nic do roboty. Zabieraj pan głowę, zaraz mi się cały do kiosku wpakujesz.

- Nic do mnie, aha, każda tak mówi. Żebym ja pannie Joasce powiedział, kto to był u mnie w zeszłym tygodniu! Wcześniej też się co rusz powoływała na cnotę. Tak samo będzie z

panną Joasią.

- Jaki pewny... - ciekawość wzięła w niej teraz górę, uszy dziewczynie sczerwieniały z emocji. - Panie Franciszku, złociutki, niech pan powie, kto taki? W sekrecie zachowam. Może ta Wera od kamieniarza? Bo ona tak patrzy, jakby jej nigdy żaden chłopiec się nie spodobał. Ona? - z nagłą aż w dłonie klasnęła. - Już wiem. Pewnie ta młoda, co przyjechała do apteki niedawno? Ładna, ale jak się u niej te *rzeczy* wiadome kupuje, to minę robi zgorzowaną... Aż dziewczyny muszą starać się po innych miastach... Choć nie, ona ma wszystko pod ręką, lepiej pewnie jak inne uczona, więc się nie potknie, prawda? Więc kto? Panie Franciszku złociutki?

Rechotał zadowolony, oczyma świdrowa! dziewczynę.

- Ależ panna Joaska rzeczy znajoma. To jakże, praktykantka w aptece tak się na pannę Joasię krzywiła przy zakupie tych rzeczy, co to my wiemy... che che cne!...

Rozzłościła się.

- Głupi pan jesteś. Mówiłam, koleżanki, nie ja. Mnie to niepotrzebne. Ja nie inaczej jak z mężem, więc bać się nie będę musiała.

Musiał głowę wychylić na zewnątrz, bo w rechoście potłukłby ją o ramy.

- Z mężem, z mężem! A kto ma zostać tym szanownym mężulkiem, można wiedzieć? Bo Klimczak już, niestety, żonaty - łypnął powieką porozumiewawczo, przyglądając się jej *zarazem* badawczo. - I kto wie, czy na koniec nie przyjdzie prosić o pomoc Franciszka, prawda?

- Cham! - krzyknęła tak głośno, aż się któryś z przechodniów obejrzał zdziwiony.

Budziński nie roześmiał się tym razem. Znów tylko głowę ku okienku przychylił, zaszeptał:

- Joaska, nie żartuj... Nie żartuj. Wiesz, że się palę do ciebie nie od dzisiaj. Zamiast wyzywać, zajrzałybyś kiedyś wieczorkiem. Adapter mam, płyty najnowsze, dom na uboczu, ani by cię kto widział. Co, Joaska?

- Nie dla psa kielbasa! - zatrzasnęła okienko.

Budziński zacisnął wargi, chwilę tak stał, potem zagwizdał, schylił się, by chusteczką przejechać po nosach opylonych „calypso”, już się grzecznie uśmiechał wyciągając rękę do śpieszącego w jego stronę księgowego ze spółdzielni „Nasza przyszłość”.

- Szukam pana już od godziny, panie Franciszku.

- Szukajcie, a znajdziecie, che che che! I cóż nowego, jak matka? - ujmując księgowego pod ramię, prowadził go niedawno ułożonym szerokim chodnikiem.

- Znów gorzej... Kazał doktor streptomycynę. Zabrakło w aptece, więc myślałem, żeby pan

swoją przyniósł. Bo to jeszcze dziś trzeba ten zastrzyk.

- Kiedy nie mam. Najwyżej zagraniczna, szwajcarska, jeden klient zostawił. Ale droga...
- Nie poradzę... Do Zielonej Góry przecież nie pojedę po streptomycynę. Przynos pan.
- Będę o szóstej - skłonił się grzecznie.

Oglądając się nieznacznie na kiosk Totalizatora, przeszedł na skraj rynku, gdzie z niedawnego wykopu dźwigały się wysoko fundamenty nowego budynku. Murarze jeszcze pracowali, taczki z cegłą turkotały na deskach, majster co raz wołał o zaprawę.

- Szczęść Boże! - zawołał Budziński.
- Dziękuję.
- Zgrabnie ciągniecie. Dopieroście zaczynali. Stanie przed zimą?
- Przed zimą? Ludzie już mieszkać będą... Na wrzesień oddajemy w surowym stanie. Trzeba gnać, okazja, tyle roboty nigdy jeszcze nie było. Wszędzie czekają... Antek, zaprawę dawaj! - krzyknął na chłopca.

Tutaj nie miał więcej co robić. Majster niezbyt do rozmowy ochotny. Pewnie akordowo im płacą, skoro tak ciągną. Znów się obejrzał. Przy kiosku Totalizatora tkwiło paru klientów. Poczłapał zatem w boczną uliczkę, gdzie tuż za rogiem spracowane schodki wiodły do baru o dumnej nazwie „Piaśkowski”. Przez uchylone drzwi wypadał na ulicę odór kwaśnego piwa zmieszanego z zapachem kapusty.

Zajrzał do wnętrza. Parę stolików było zajętych. Rozpierali się przy nich chłopcy, z namaszczeniem sącząc wódkę z grubych musztardówek. Na talerzykach leżały kwaszone ogórki. Najstarszy, wąsaty chłop - musiał być już dobrze podpity - obejmując ramieniem kompana, zwierzał mu się głośnym pół-szeptem.

- Bo po mojemu miał prawo, jeżeli mu zboże deptali, no nie? Na piśmie nie dali zaświadczenia, że zapłacą. Więc był w prawie...

- Teraz pokażą mu prawo. Drugi tydzień już siedzi, mogą z dziesięć lat wlepić, że traktorzystę chciał zabić.

- Po mojemu miał prawo. Ostrzegał, mówił, żeby nie jechać. Więc za co? Zboże mu deptali -- upierał się starszy, drżącą dłonią ujmował flaszkę z czerwoną kartką, rozlewając płyn po stole napelniał szklaneczki.

Budziński stał w drzwiach, kręcąc nosem. Mordownia. Jeżeli już, to do „Zacisza”. Restauracja jak się patrzy, odnawiają ostatnio. Ale tutaj? Żeby nie Fela, ani by kiedy zajrzał.

Ukazała się właśnie z korytarza wiodącego od kuchni. Uśmiechnęła się do Budzińskiego. Ruszył więc w stronę obijanego blachą kontuaru.

- Dzień dobry, Felu. Sama dziś? Gdzie Pawłowska?

- Bufetowa coś tam oblicza ze starym. Robię za siebie i za nią. Zapomniałeś o mnie już, Franek?

- Gadasz... Nalej setkę. I sobie. Nie chcesz? Zapomnieć nie zapomniałem. Kiedy masz wolne?

- Środa.

- To przychodź, tej nocy nie mam dyżuru... A przydałaby się dobra zagrycha... Płacę. - Uszczypnął ją przez kontuar, zaraz z ulgą wychynął na świeże powietrze. Znów pociągnął na rynek. Przy kiosku Joaśki stał jakiś młokos. Budziński zaklął w duchu.

Omiał nie zderzył się z Dominiakiem. Rozjaśnił się w uśmiechu, zgiął w niskim ukłonie.

- Uszanowanie panu inżynierowi. Co słychać dobrego? Jakże cegielnia?

- Pomyślnie, pomyślnie, panie Budziński - łaskawie podawał mu rękę. - Komin będziemy ciągnąć, ławę betonową skończyliśmy, teraz tylko czekać tej specjalnej brygady. Z Nowej Soli mają przysłać, tam dopiero kolosa-komin ciągnęli dla metalurgii. Polecą i u nas, ani się pan obejrzysz. No, mnie w drogę...

- A chłop ten więcej już nie przeszkadza, co? - przypomniał rozmowę zasłyszaną w barze.

- Koniejenko? Siedzi. Po prawdzie, choć wariat, ale mi chłopca żal. Śledztwo prowadzą przeciwko niemu. Niedobra sprawa.

Już się potoczył w swoją stronę, pękaty i ważny.

Przy kiosku ciągle stał jeszcze ten młodzian. Budziński splunął ze złością. Cholera jasna, flirtów im się zachciało. Demonstracyjnym krokiem przeszedł się przed krzyczącym plakatami kioskiem Joaśki. Młodzi umilkli, dziewczyna jednak wydała się felczerowi znudzona i smutna. Oczy też miała jakby zaczerwienione. Czyżby czegoś płakała?

Młodzik niepewnie obejrzał się za felczerem. Nieznajomy jakiś, Budziński go dotąd nie widział. Wysoki, energiczny, wyglądał na montera albo kierowcę. No pewnie, Joaśka miała szczególny smak na szoferów. Kiedyś z tym Gienkiem Do-patką, ostatnio bąkali ludzie, że się związała z Klimczakiem. Coś mu na to jednak nie wyglądało. Klimczak żonaty, dzieciaty, krewki przy tym, tłukł przecie tę swoją babę, ile wlaźło. W Zielonej Górze leży w szpitalu, aż tam ją zabrali, podobno jest mocno niedobrze. Może więc Klimczak tak sobie już przyszłościowo? Może, ale czemu Joaśka?

Dreptał swymi szalowymi kamaszami po nowych chodnikach miasteczka. To gdzieś z wiosną tak się prezydium szarpnęło. Chodniki, klomby z kwiatami, wkopali nawet słupy oświetleniowe z żelbetonu. Coś się im tylko ze świetlówkami nie powiodło w Kożuchowie. Nie byli wciągnięci do planu. W każdym razie już ładniej. Jakaś moda przyszła na ich grajdołek. Tym lepiej, przybędzie roboty.

Cholera, nie wiedzie mi się z Joaśka. Mało z którą było tak trudno. Nie i nie, jak już nie próbował. Naprawdę chyba nie jest aż tak cnotliwa? Diabli zresztą ją wiedzą. Po babach ani się czego spodziewasz... Bo te inne, taka Fela, ładna i zgrabna szelma. Tyle że puszczańska. Była w „Zaciszu”, tam dużo większe zarobki, ale przenieśli ją właśnie za to puszczenie, że to porutę robiła, w tej mordowni mniej na to już uważają. Fela sama rwie się do niego. Zrobił jej kiedyś skrobankę, za darmochę. Spała z nim potem nie raz, kiedy miał tylko ochotę. Ale przecież nie tylko za tę usługę. Musiała go także naprawdę lubić. Kto z nimi zresztą w końcu dojdzie do ładu, jak jest naprawdę? Bo znów Joaśka...

Drgnął. Młodziana już nie było przy kiosku. Syrena rozjazgotała się oznajmianiem godziny drugiej. Zaraz wiara hurmem ruszy po kupony, dziś przecie sobota, ostatni dzień zdawania. Zawrócił czym prędzej. Musi się z nią rozmówić...

Dostrzegła go. Po dzisiejszej rozmowie znieawdziła Budzińskiego. I jeszcze czegoś się domyślał z Klimczakiem... Popłakała się nawet. Nie to, że się Budziński domyślał, pal licha, on, mówią, zawsze ma nosa w tych sprawach. Bo to naprawdę już dziesięć dni, jak musiała mieć okres i nic. Przy tym tak jakoś niewyraźnie się czuła. Nic jej nie smakowało, słaba była, byle co, zjawiała się ochota do płaczu. Jak i teraz. Wszystko to nic, gdyby wiedzieć, co z Józkiem? Po tamtym napadzie na nich - pierś ją jeszcze bolała, siniec wyrósł ogromny - raz się tylko spotkali. Dzień później, jak awantura była na budowie cegielni z jakimś chłopem, który jamę wykopał i traktor w nią runął. Tego samego wieczora spotkali się, próżno się jednak cieszyła. Klimczak był nieswój, zaraz się pożegnał, powiedział, da znać, kiedy się znów zobaczą. Już teraz osiem dni i nic, jakby pod ziemię się zapadł. A przecie pracował, widywała jego ZIS-a, jak pędził przez Rynek. Do siebie zakazał surowo przychodzić. Więc w końcu jak?

Teraz znów pchał się ten łysy, obrzydliwy Budziński. Pozna po oczach, że becząła, tym razem domyśli się na pewno. Świnia taka, ze skrobanek żyje, podobno przy okazji proponuje każdej, żeby z nim się pokładła. Korzysta takim sposobem. A w szpitalu ciągle miejsc nie ma. I wstyd, wszyscy potem wiedzą.

Po swoim twarz wetknął w okienko.

- Joaśka, gniewasz się?

Wzruszyła ramionami.

- Dla jakiegoś bubka czas miałaś, tylko nie dla mnie. Kto to był?

- Klient - odburknęła. Nie chcąc jednak zrażać Budzińskiego do reszty, wyjaśniła: - nawet nie wiem. Mówił, że przyjechał z ekipą, geologiczną czy coś, wiercić będą w okolicy, szukają w ziemi różnych bogactw...

- Musiałaś mu podpaść, jak ci się tak zwierzał.
- Czego się pan tykasz, panie Budziński. Na ty z sobą nie piliśmy.
- Ale wypijemy, prawda?

Odetchnęła, widząc zbliżających się klientów. Ruch zaraz się zacznie, będzie musiał odejść ten łysy paskud.

- To się jeszcze zobaczy. Klienci, panie Budziński!
- Ja też klient - zachnął się. - Pięć kuponów proszę. Joaska, czego płakałaś? Powiedz...

Zapłacił za kupony, zły na ten niepotrzebny wydatek. Za nim stał już wydłużający się ogonek.

- Do widzenia, Joaska...

Z kolejki wysunął się sanitariusz szpitalny, mrugnął znacząco. Odeszli na bok.

- Mam trochę towaru. Podrzucę wieczorem.
- Może jutro?

- Nie, dzisiaj. Wolę u siebie nie trzymać - sanitariusz obejrzał się, poszeptał. - Mam pietra. Siostra przełożona jakby coś czuła. Teraz bardzo dokładnie wydzielają leki. W ogóle wszystko wyporządkowało. Jak wywaliła na mordę te dwie sikuchy, reszta pielęgniarek jeno jej w oczy zagląda.

- Ma przyjść nowa siostra przełożona?

- Już jest. Za kilka tygodni zacznie przejmować szpital. Ale z niej też, wygląda, nie będzie pociechy. Kończy się. nasza kanada, panie Budziński.

- To z dyrektorstwem Szymborskiej już pewne?

- Pewne. Ma nominację. Na dyrektorke dwuletniej szkoły pielęgniarzkiej. Remont starego skrzydła już kończą. Więc o której dziś można? O dziesiątej. Dziewucha przyniesie, dobra?

- Dobra! Dziewucha? A która?

- Młodsza, młodsza, panie Budziński - pielęgniarz spojrział na niego ostrzej. Strzeże tej swojej Lusi - z pasją pomyślał Budziński. Przyśle dziesięciolatkę, sikuchę. Bo Lusia to co innego. Niechętnie podał pielęgniarzowi dwa palce.

Z zafrasowaną miną zerknął na leżące przed sobą zapiski, potem zdecydowanym ruchem zamknął teczkę, pedantycznie związując tasiemki w kształtną kokardę. Zabębnił palcami po stole, wreszcie ujął ołówek i machinalnie jął kreślić na skrawku bibuły esy-floresy. Zawsze tak czynił, gdy był czymś bardziej zaabsorbowany. Chude i smukłe jego palce, przeświecające spod jasnej skóry niebieskawymi żyłkami, znajdowały w ten sposób zajęcie. <

Doktor Gollub miał staromodny obyczaj przystrzygania baczków na skos. Jeszcze bardziej

wyostrzały jego pociągłą, chudą twarz, poszerzającą się u góry staroświeckimi binoklami, oprawnymi w cieniutkie żyłki złota. Mięśnie twarzy, *zazwyczaj* ściągnięte, teraz sfolgowały sobie rozkurczeni i lekarz wyglądał bardziej staro niż normalnie. Robił wrażenie człowieka zmęczonego.

Dłoń machinalnie wodząca po skrawku bibuły zatrzymała się nagle, jakby pohamował ją błysk samokontroli w postępowaniu człowieka. Doktor spojrział na płataninę kresek i kółek. Pokiwał leciutko głową, niejako z wyrazem politowania nad sobą. Na bibule od prawa znaczyły się wyraźnie kontury takiego samego emblematu, jaki widniał wpięty w klapę marynarki wyłaniającej się spod rozchylonego kitla. Trójkąt z literą P, pionowe linie pasiaków. Znak oświęcimiaków. Od lewa kreski tworzyły wyraźny plan budynku o dwóch skrzydłach, jeszcze o dodatkowej przybudówce z boku.

Rysy twarzy znów się ściągnęły, dłoń gniewnym gestem zmięła skrawek bibuły. Już się podnosił od biurka, gdy zza drzwi doszło pukanie i nie czekając odpowiedzi, wsunęła się przez nie niewielka kobieca postać, zwracając uwagę siwizną włosów tak mocną, że niemal przezroczyście białą. Od tej siwizny odbijała spokojna twarz ubarwiona teraz rumieńcem. Kobietę okrywał płaszcz podróżny, w dłoniach mięła bordowy beret. Doktor uniósł się z krzesła, wyszedł jej na spotkanie.

- Jakże się cieszę, pani Mario. Pusto w szpitalu bez pani. Z niepokojem myślę już o jesieni, gdy nas pani opuści... - zaśmiał się trochę niepewnie. - Proszę, niechże pani już siada. Swoim zwyczajem gryzmoliłem przed chwilą, oczywiście, był znaczek oświęcimski, był plan naszego szpitala, ale przy tym czegoś mi brakło. Myślę, że pani twarzy. Na to jednak za słaby ze mnie rysownik.

- Podziękować chciałam za urlop. Nie miałabym prędko okazji zobaczenia swojej czeredy. Tylko, że to się na pewno skrupiło jak zawsze na panu?

- Ale skądże, radziliśmy sobie jakoś, radziliśmy... Co w domu?.

- W Niesuszu, jak w Niesuszu. Chyba to, że, się szykuje piąty ślub w naszej czeredce. Ewa tym razem zakochana po uszy. Poznałam jej chłopaka, z sąsiedniej wsi, zrobił wcale miłe wrażenie...

- Cieszy się pani? - zajął jej w oczy, jasnoniebieskie, tak jasne, że niemal wodniste.

- Chyba tak. Choć mi czasem aż dziwne. Opierają się jedno po drugim, już im mego matkowania nie trzeba. A ja przyzwyczyłam się.

- Może wreszcie pomyśli pani o sobie. Młoda, obowiązków ubyło, zielone światła przed panią, Mario.

- Mam czterdzieści lat - powiedziała to sucho.

- A ja sześćdziesiąt osiem. I wcale się nie poddaję. Między nami więcej niż pokolenie - spojrzał serdeczniej. - Każdy musi mieć z życia coś wyłącznie dla siebie.

- Mam Niesusz, w nim swoich. To mi starcza.

Zawierciła się niespokojnie pod jego wejrzeniem. Spod w złoto oprawnych szkieł nie spuszczał z niej wzroku ani na chwilę.

- Stało się coś, panie dyrektorze? - szepnęła.

- Nic, moja droga, zupełnie nic. Albo może znów wiele - podniósł się nagle, rześko, jakby młodziak dwudziestoletni. - Wie pani, zaraz po wojnie, po obozowych przejściach, straciłem zaufanie, wiarę w człowieka. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie żona. Obóz prześladował mnie dniem i nocą, nie mogłem się od niego uwolnić. Przesłaniał mi wszystko. Tak bez reszty i dziś się z niego nie wyleczyłem... Żona dopięła, że zdecydowałem się wrócić do swego zawodu. Docentura w Warszawie, krótko, nadeszła nominacja na profesora. Ruiny stolicy, ruiny ludzi. Grono dawnych znajomych, na których patrzyłem zupełnie inaczej. Nie mogłem. Rzuciłem to wszystko, przyjechałem tutaj, na Ziemię Lubuską. Jeszcze Gorzów był dla mnie za duży. Na własną prośbę wylądowałem w tej miejscinie. Szpital był całkiem w ruinie, zaczynaliśmy z piętnastoma łózkami. Pracowałem trochę jak automat...

- Bardzo wiele pan zdziałał.

- Może, ale jak automat, raz nastawiony w jednym kierunku działania. Poza tym te pierwsze lata, pani wie, nie należały do łatwych. Ja w dodatku patrzyłem na wszystko zbyt jednostronnie. Zatrzymywałem spojrzenie na kanaliach, trudniej dostrzegałem ludzi. Kuracja była niełatwa. Pomogli mi ludzie pani pokroju.

- Panie doktorze - szepnęła prosząco.

- Kiedy tak jest. Bardzo mi pani pomogła, Mario. Bo ja już kiedyś myślałem, że wszystko, co wartościowe, wyginęło w obozach, sama mierzwa została... - Znów spojrzał dziwnie badawczo. - Mario, czemu pani tak mało mi powiedziała o sobie? Byłoby mi może łatwiej już znacznie wcześniej.

Jej wodniste oczy zamigotały.

- Doktorze...

- Właściwie niedawno dowiedziałem się wielu spraw. Od Poli... Wczoraj zaś od pani przyszej następczyni i przyjaciółki.

- Stolarkowa jest trochę zbyt gadatliwa. To jedyna jej wada - była speszona.

- Ja dopiero teraz pojąłem pani związanie z Niesuszem, przedtem dziwiłem się nieraz, co może ciągnąć do jakiejś zabitej deskami wioszczyzny...

- Niesusz jest dzisiaj śliczny - ożywiła się i zapominając, że znajduje się w gabinecie

dyrektora szpitala, ona, podwładna, przełożona siostr pielęgniarek, wsparła twarz na dłoniach, mówiła, jakby obraz jakiś rysował się przed nią. - Wiosna trochę spóźniona, w lesie znalazłam jeszcze resztki konwalii. W sadzie na drzewach są już duże zawiązki. Zboże wysokie, kwitnie żyto, pszenica zaczyna nabierać złocistych kolorów, na skłonach leśnych krwisto od poziomek. Chciałam i panu przywieźć, ale zbyt już przejrzałe. Na cmentarzu w gałęziach wierzby nad grobami rodziców kos uwił gniazdo. Jak w jakiejś sentymentalnej bajce...

- To był jeszcze rok czterdziesty szósty? - poddał jej szeptem, zapadł w oparcie fotela, słuchał z lekko przymrużonymi powiekami.

Oczy jej rozszerzyły się, patrzyły ponad doktorem Gollubem, gdzieś za okno.

- Wczoraj wspominałam tamte dni, patrząc, jak kosy uwijają się przy swym gnieździe... Wtedy myślałam, że nasze gniazdo rozpada się po tylu trudach i wyrzeczeniach, zupełnie tak, jakby jakaś nawałnica miała zmiażdżyć tę wierzbę razem z ptakami...

- Wróciliście... - znów poddał.

- Z Krasnodarskiego kraju. Po pięciu nieomal latach, w czterdziestym bowiem los nas zagnał tam z Wileńszczyzny. Teraz, gdy po wojnie stał się możliwy powrót, ruszyliśmy zaraz tutaj. Mordercza, straszliwa droga. Zima. Dopiero w grudniu pociąg zbliżył się do polskiej granicy. Dziwny szal, kto mógł, dekorował wagony jedliną i małą chorągiewkami o barwach czerwonej i białej. Całowałam polski śnieg, mała siostrzyczka, dobiegała trzech latek, urodziła się w krasnodarskiej ziemi, patrzyła na mnie zdumiona...

Urwała z nagłą, zażenowana podniosła wzrok ku spokojnej twarzy doktora Golluba.

- Rozumiem, Mario... proszę, ja bardzo proszę...

- Jeszcze wiele dni ni to snu, ni jawy. Zachłyśnienia polskim mundurem żołnierza, tysiącem drobiazgów. I troska, bo kończyły się wszelkie zapasy, zmarzła nam reszta ziemniaków, przydzielane na stacjach posiłki nie zawsze starczały... Na jakimś postoju para inwalidów śpiewała *Czerwone maki na Monte Cassino*. To była Zielona Góra... Transporty szły do Czerwieńska nad Odrą, ale kilka rodzin uległo namowom starosty z Głogowa, który aż tu przyjechał werbować osadników. Przeraziłam się ruin tego miasta: żadnego domu całego. Przy jednym budynku wałała się w śniegu sterta flag z hitlerowską swastyką. Pierwszy raz ujrzałam je z bliska. To był wstrząs, uciekłam od tego budynku... Ojciec tymczasem szukał w pobliskich wsiach miejsc do osiedlenia. Nie wybieraliśmy długo, wybór padł na Niesusz...

Dom brudny, skorupy, zgniłe ziemniaki, kurz i zaduch. Pierwsza noc na przewróconych szafach, łóżek nie było... Potem urządzenie się, chłodno często i głodno. Nowizna. A jeszcze

zima. Nikomu się zresztą dobrze nie wiodło... Potem był tyfus. Jakże dobrze już znałam tę chorobę, może najpierwsza nie miałam złudzeń, gdy spadła na wieś. W styczniu zmarł ojciec, dwie siostry jakoś się z tego wykaraskały. Ja tyfus odchorowałam już kiedyś w dzieciństwie. Matkę zabrano aż do Zielonej Góry, do szpitala. Już nie wróciła, tyle, iż uzyskałam później zezwolenie na przewiezienie zwłok, w chwilach przytomności prosiła, że chce być razem z ojcem.

Zostało nas dziewięcioro. Ja najstarsza, najmłodsza Pola, szło jej dopiero na czwarty rok. W marcu nowa tragedia. Przy pierwszym wyjściu w pole brat Pietrek trafił na minę, rozerwało go w strzępy... Nie wiem, jak potrafiłam się zebrać, nie ulec ponurej serii. Już po dwóch dniach śladem innych zapaliłam wyschłe badyle zieliska porastające pole. Blisko dobieg trwały detonacje, zupełna wojna... Orało się krową, otrzymaną z PUR-u. Rozpleniony chwast zagłuszył jednakże zboże, a tę resztkę, która została, zżarły myszy. Plaga ich była. Kartofle wygniły, zalane jesiennymi roztopami. Żeby nie pomoc państwa i ludzi, chyba nie przetrwalibyśmy drugiej zimy. A potem zaczęło się odmieniać. Po czterech latach mogłam swoją czeredę zostawić samą, wróciłam do ulubionej pracy, kończyłam wyższy kurs pielęgniarstwa...

- Wiem. Mówiła mi siostra Stolarkowa. Cały zarobek przesyłała pani do Niesusza... I dziś jeszcze pani to robi.

Wzruszyła ramionami.

- Mnie niepotrzebne. Nie mam wielkich wymagań.

- Mario, czas pomyśleć o sobie. Oni wszyscy dadzą już radę w życiu.

Skinęła przytakująco głową. Zaraz jednak się poprawiła:

- Pola.

- Pola jest przy pani. Pewnie pójdzie do naszej szkoły?

Podniosła się gwałtownie. Aż dłonie złożyła w serdecznej prośbie.

- Panie dyrektorze, proszę wybaczyć. Widocznie jestem zmęczona, stąd te wspominki na nic niezdatne. Zapomniałam o najważniejszym. Mieli zakończyć obudowę wnętrza szkolnego laboratorium. Chciałabym obejrzeć, pan wybaczy, chyba że są jakieś pilne sprawy. O ósmej obejmę dyżur. Dziś sobota, ruchliwy dzień - uśmiechnęła się.

- Razem pójdziemy. Ta szkoła to nasze dziecko - mówiąc to, ujął jej dłoń i podniósł ku wąskim, bezkrwistym wargom.

Drgnęła. Nigdy to jeszcze jej się nie zdarzyło. Żeby doktor - Gollub pocałował ją w rękę? On, profesor?

- Mario, powiedziała mi pani właściwie bardzo niewiele

Jeszcze bardziej cenię to w pani... Podniosła ku niemu szczerze zdziwione oczy.

- Nie powiedziałam wszystkiego?

I nagle zapłonila się jak młodziutkie dziewczę.

Zmęczona była, zła jeszcze w dodatku, że wzięły w łeb wszystkie plany na ten sobotni wieczór. Żeby to jeszcze sama nie zaproponowała dziewczuchom zabawy w Domu Kultury. Teraz one tam tańczą, wesołe, śmieją się, gdy ona wyciera kurz z ławki przed domem. Ale kto mógł przewidzieć, że Hela spotka się z Wichrunem, wypaple mu wszystko o ich projektach. Hela zresztą musiała się z cicha podkochiwać w tym pięknym Zygmysiu, jak go nazywano powszechnie. Jej zaś musiała straszliwie zazdrościć, przy tym uważać za głupią. Bo jeśli taki chłopak się pali, to trzeba korzystać. To proste. Tymczasem Mili dziwactwa w głowie, dla męża się tak szanuje na przyszłość?

Nie lubiła Heli. Trzymały się jednak, w końcu dziewczucha nie może zawsze i stale być sama. A już u Kaźmierczaka one dwie były z młodszymi, cały dzień razem przy wspólnej pracy. Prawda, jeszcze Jagusia, ta jednak już miała narzeczonego, nim tylko zaprzętała głowę.

Wichrun umiał ją zawsze odnaleźć. Wracała z ogrodów, gdy dogonił ją swym motorem, hamował tak, aż strugą piachu sypnęło spod kół. Powiedział, iż także będzie na tej zabawie, dla niej specjalnie przyjdzie. Żeby się z nikim innym nie umawiała. Będzie czekał od wczesnego wieczora.

- Będiesz? - prosił i wiercił swymi ciemnymi oczyma, i rękę ścisnął, a dłoń jego była gorąca, lekko spocona, nie wiedzieć, od wzruszenia czy tylko od rączki jawy.

- Nie wiem, nie wiem... Daj ty mnie spokój - szarpnęła się, uciekła jak to przy spotkaniach z nim zawsze czyniła.

Widziała potem, długo stał jeszcze przy skraju chodnika, patrząc za nią. A ją coś ścisnęło w piersiach i w oczach mgły dziwne stawały.

Dlatego nie poszła. Bała się Zygmysia Wichruna, chłopca ładnego jak rzadko. Z innymi łatwo sobie dawała radę, ale z nim? Cóż z tego, że dotychczas udawało się jej ratować ucieczką. Uciekanie niewiele pomoże... Bo tak naprawdę, to przed kim uciekała, przed Zygmysiem czy przed samą sobą? Skuliła się na ławce przed domem. Dreszcze jakies przebiegły przez ciało. Chłodno? Dziesiąta, może i po dziesiątej, bo mrok zupełny, choć co prawda niebo dziś zaciągnęło nad wieczór chmurami. Ciagle pada ostatnio, tym bardziej jest parno, chwilami trudno oddychać. Więc czemu te dreszcze, nadbiegają tak jakby od środka.

Gdzieś od podwórka dał się słyszeć z otwartych okien głos matki. Mówiła coś do Margiški. Leżały już obie, pewnie duchota powietrza nie zezwalała im zasnąć. Matka,

właśnie. Może stąd wszystko się bierze? Że nie jest jak inne dziewczęta, że wydziwia, omija wszystko stronami?

Wichrun jej się przecie podobał. Bardzo podobał. Smukły, zgrabny chłopak, ciemne włosy, trochę zawadiacko rzucone do góry, pociągła, śniadawa twarz i oczy takie dziwne, przewiercające na wskroś. Już od paru miesięcy tak jej nie dawał spokoju. Na pierwszego maja, zabawa była na rynku, ognie sztuczne wystrzelili, wojskowa orkiestra. Nic, że jeszcze chłodnawo, przyjemniej się szło do tańca, silniej chłopiec przytulał. Zwłaszcza on... Musiała mu się nagle spodobać, znali się przecie od dawna, nigdy nic, dopiero teraz, przy którymś tańcu, jakoś tak śmiesznie jej jęknął do ucha:

- Miła.

Spojrzała zdziwiona. Patrzyły te jego oczy, widziała, odbijały w źrenicach błyskami kolorowych świateł, rozpalonych wokoło rynku. A on wytańcowywał ją teraz ze środkowego kręgu w bok, w cienie bardziej odległych domów i coraz mocniej przyciskał. Nie bronila, było jej z tym tak dobrze. A potem w pewnej chwili ją pocałował. I znowu... Niby nic tak bardzo dziwnego. Mało to już razy chłopcy ją całowali, przy tańcu i nie przy tańcu? Czasem bywało to nawet dosyć przyjemne. Ale nigdy takie jak teraz, z Wichrunem. To było zupełnie, zupełnie inne... Nawet nie bardzo potrafiłaby powiedzieć, dlaczego inne.

- Chodźmy stąd, Miła, chodźmy - szeptał chłopiec, a ona by szła za nim i szła.

I gdy tak przemykali się pod tymi murami, by umknąć z ciżby, by znaleźć się z sobą sami, dojrzał ich siostrzeniec starej Antkowiaczki, który zachodził czasem do ciotki mieszkającej na tym samym, co Jarugowie, podwórku. Podpity był mocno, chwiał się na nogach, może dlatego bluznął nagle na cały głos:

- Rwij, Zygmuś! Miła musi być fajna, matka niejednego ją poduczyła, sama się puszczała zawsze z chłopami...

Cóż z tego, że zaraz zaskowytał jak psiak, gdy Wichrun z całej siły, na odlew, trzasnął go przez plugawą gębę, aż nim rzuciło o mur. Cóż z tego, gdy słowa te jak żelazem wbiły się już w duszę dziewczyny. W jednej chwili świat cały sponurzał, Zygmuś wydał się jej obcy i wstrętny, ona zaś sama sobie jakby zapowietrzona. Ni stąd ni zowąd wybuchła ostrym krzykiem, aż się zaczęto oglądać wokoło, a potem biegiem runęła przez ciemne uliczki, byle dalej i dalej od tej pierwszomajowej zabawy, byle dalej od pięknego Zygmunia.

Wtedy dopiero pojęła, że w mnogości taksujących spojrzeń, rzucanych na nią przez mężczyzn w miasteczku, był nie tylko podziw dla jej urody, dla mocnej, zgrabnej figury, ale i wspomnienie jej matki, tej Jaruzyny, o której kiedyś, przed laty, było tak głośno. Tak głośno, że wspomnienie żywe tkwiło w ludziach po dziś. Wtedy przypomniała sobie wiele różnych

powiedzeń, dowcipasów i złośliwostek, na które dotąd nie zwracała uwagi, a które początek swój wiodły z tego samego źródła: z dawnego zachowania jej matki.

Wiele się w niej odmieniło od tego maja. Także w stosunku do matki. Ciągle zresztą nie wiedziała, co w tym mocniejsze, żal do rodzicielki, że własna córka musi za jej czyny znosić pokutę, czy jakby na przekór, tym większe zrozumienie i przywiązanie do matki, której tak się w życiu nie wiodło... W zachowaniu swoim na co dzień także stała się inna. Jakby mniej już swobodna, mniej wesoła niż niegdyś. Zaczęła odczuwać lęk przed ludźmi, każdej przecie chwili mógł ktoś wyskoczyć z nowym jakim przytykiem w stosunku do matczynej przeszłości. Więc lepiej mieć się na baczności, unikać ludzi, nie stwarzać okazji do takich wypomnień... A z chłopcami? Jeżeli na stosunku ich do niej ważyć ma w jakikolwiek sposób opinia o starej Jaruzynie, to wtedy wara. Nie to, żeby chciała być bardziej cnotliwa niż inne, to najmniejsza, ale nie za tę cenę. A już najmniej praw do niej będzie miał Wichrun. Nic, że się jej samej bardzo podoba, że na myśl o nim przebiegają ją w najupalniejszy dzień dziwne dreszcze, że dręczy nocami wspomnienie tamtych pocałunków. Nic to, nic to...

Jak kotka prychała teraz przy każdej próbie chłopca zbliżenia się do niej. Ona zaś, wyglądało, że głowę stracił zupełnie. Niby śmiał się jak dawniej, uganiał na swojej jawie, gdy miał okazję, obłapiał po swojemu dziewczęta, ale przy tym jednak był inny. Często krążył koło domu Jarugów, to znów znajdował jakiś interes u Kaźmierczaka, raz i drugi kupił pęk kwiatów, za wszelką cenę szukał okazji do rozmowy z Milą. Jak dotąd nic się nie udawało. I chyba, zwłaszcza po scenie przy stacji benzynowej podczas burzy, nigdy się już nie uda. Tomek wszystko jej powtórzył, zapowiadając jeszcze, że łeb Wichrunowi potrzaska następnym razem... Zatem opinia łajdackiego domu ciągle krąży za nimi. Ciągle. Więc jakże mogła iść na zabawę, skoro tam groziło zetknięcie z Zygmuśkiem. Więc jakże?

Zręcznie usunęła się na chwilę w cień sionki, jakaś trójka pijaków przewalała się bowiem chodnikiem. Wolała uniknąć zaczepki. Dopiero, gdy czkawka któregoś z nich oddaliła się znacznie, znów wychynęła na swoją ławkę. Wokoło stała parna cisza. Od rynku miasteczkowego nadbiegały mocniejsze po-krzyki, bawiono się, wiadomo, sobota. Od Domu Kultury też niosły się dźwięki muzyki z płyt. Bawią się, tańczą, wesoło im, dobrze, ona jedna kisić się musi sama, jak psiak jakiś szczuty i wyszydzany... Na górze śpią matka z Margisią. Tomek, ladaco, pęta się kędyś, ani go w domu utrzymać, słowo się rzeknie, odszczekuje, że on pracuje, jest zatem dorosły, ma prawo do własnego czasu. Matka milczy na to, zbyt jest zmęczona, choroba ją jeszcze dręczy...

Mocny snop światła nadjeżdżającej ciężarówki rozjaśnił ulicę. Maszyna pędziła od Sulechowa. Wizg opon przy zakręcie, znów ciemno, znów cisza.

Mila skuliła się na ławce. A może machnąć dłonią na wszystko, niech sobie gadają, niech ostrzą jęzory. Gdyby co, odcinać się bez litości, przechodząc dumnie podnosić głowę. Ma sobie truć życie, marnować młode lata? Hela się bawi, bawi się ze swym narzeczoną Jagusia, weselą się wszystkie inne, czemu ona jedna ma być wyjątkiem? Że matka miała wielu kochanków? Jej prawo i nic nikomu do tego. Nic.

Bunt ten, jak nagle wybuchnął, tak nagle i przygasł. Czy potrafi być obojętna na te dziwne spojrzenia, na szepty i głośnie zaczepki? To wcale nie takie łatwe.

W ciszę wtargnął teraz dziwny jęk od sionki, zaraz potem zaskrzypiały drzwi. Po tym skrzypie poznała, to Czmuńko, zbieraczka jagód. Nie widziała jej dziś wracającej z codziennych dalekich wypraw. Może w ogóle nie wyjeżdżała? Woła coś, czegoś chce...

Dziewczynka zajrzała w głąb sieni. Od góry padał na schody snop światła.

- Pani Czmuńko? Potrzeba czegoś?

- To ty, Mila? Z niebaś się pojawiła, dziewucho... Chodźże czym rychlej, bo mnie samą siły całkiem opadły...

Lubiła tę twardą kobietę. Właściwie mało się z nią kto stykał. Trudniła się zbieractwem jagód i grzybów, nie tylko w okolicznych lasach, potrafiła jeździć koleją daleko, pod kostrzyńskie granice, gdzie runo leśne rodziło szczególnie obficie. Stamtąd targała wieczorami olbrzymie kosze, pełne po brzegi. Zbyt miała zawsze, nieraz czekano na nią, bo też takich jagód i grzybów, jak u Czmuńko, nigdzie nie było można kupić.

Teraz zdumiała ją dziwna bladość jej twarzy, drżenie rąk. Ledwie Mile wpuściła, opadła na krzesło zupełnie bezsilna.

- Mileńka ty moja - zajęczała.

- Ale co jest, pani Czmuńko? Co się stało?

- Ot, widzisz? - wysoko podtrzymując dłońmi, uniosła prawą nogę.

Przy kolanie, przewiązana czarną tasiemką, noga dziwnie napuchła, zsiniała, obrzęk był nienaturalnie duży, groźny.

- Gadzina przy maliniaku była schowana, czarna, z tym zygzakiem na plecach, najgorsza. Skoczyła ku nodze, ciachnęła... Nie pierwszyna mi, zaraz wysłałam wargami, potem obwiązałam tasiemką. Jeszcze do wieczora zbierałam czernice, ładne takie, gdzie je dla byle ukąszenia ostawiać... Potem jednak coś to musiało zaszkodzić... - Czmuńko sapała, mówiła z trudem, wargi jej wykrzywiały się w jedną stronę. - Do pociągu resztą sił doszłam, a do domu później, to jakimś cudem, Pan Jezus strzec musiał, bo to i drogi nie widziałam, migotało tylko przed oczyma... Więc myślę, żeby tak do doktora...

- Do szpitala? Tylko jak się tam dostaniemy? Może pani iść jeszcze?

- Nie wiem, czy dojdę... Widzisz, przypomniało mnie się. Jak ja ssalam wargami to ugryzione miejsce, to z głowy mi wyszło, że u mnie taki zajad był się wytworzył przy ustach. Musi, tedy doszła trucizna, ot jak.

Mila już się zdecydowała. Szpital nie był tak bardzo daleko, prędzej tam dojdą, niż by się tu doczekali doktora. Narzuciła kobiecie chustkę na szyję, powoli kierowała ją do drzwi. Na pół przytomnym wejrzeniem Czmuńko przeprowadziła dwa wielkie kosze czernic, stojące za progiem.

- Żeby nie zmarnowały się, zadbaj potem, Mileńka... I światło trzeba zgasić, co ma palić się po próznicy.

Już samo zejście ze schodków było mordegą. Mila rozpaczliwie myślała, kogo by poprosić o pomoc. Że też Tomek zawsze się musi wałęsać! Bo do Antkowiakowej nie zajrzy, wredne babsko, pyskate... Może po drodze spotkają kogo miłościwego?

Z Czmuńkową było naprawdę niedobrze. Wsparta całym ciężarem na dziewczynie, pojękując co krok, dreptała wprawdzie jakoś, mówiła już jednak od rzeczy. Mila słyszała coś o jeleniu, który pomagał zbierać prawdziwki, o polanie żmij-miedzianek, o mężu Stefanie, którego przed laty drzewo przygniotło w lesie, o żurawinach i jakiejś pani inżynierowej... Nic w tym sensu nie było.

Od Domu Kultury niosły się nieustannie dźwięki muzyki. Tam młodzi tańczyli, bawili się, gdzieś w ciemnych kątach chłopcy całowali dziewczęta. Wśród nich jest Zygmus Wichrun, z czarną czupryną i śniadą cerą, z palącymi oczyma... Ona zaś dźwiga tę starą babę, tyle jej zostało.

Traciła siły. Czmuńko ważyła niemało, będąc zaś na pół przytomna, w niczym nie mogła dziewczynie dopomóc. Zwałała się na zdrowszą nogę całym ciężarem, mało brakło, upadłaby kilka już razy. Świecące nad wejściem do szpitala światelko wcale nie zdawało się teraz przybliżać. Jakieś czerwone płaty, mieszające się z czernią, plątały się przed oczyma Mili. Szła jednak uparcie, ciągnąc za sobą Czmuńkową. Krok za krokiem, krok za krokiem...

Już nie wiedziała, jakim sposobem wreszcie dotarły. Schodki, drzwi na piszczących zawiasach, dawno czemuś nie oliwione, jasny hali, izba przyjęć, bieganina pielęgniarek, jakaś pani ze zdziwionym uśmiechem, ciepło, bardzo ciepło, spokój, już ma to za sobą, już się Czmuńkową zaopiekują, posiedzi trochę, zaraz pójdzie do domu, położy się spać, dość już wysiadywania na ławce przed domem.

Wróciło jej przytomność łagodne pytanie:

- Tyś ją sama tutaj, dziecko, przyprowadziła? Dawno się to stało? To ukąszenie żmii?

- Mówiła, że około południa. Wyssała i przewiązała, ale ranek ma na wardze, więc może

jad...

Poznała siostrę przełożoną, panią Szymborską. To ona miała ten łagodny, drgający cichutko głos, to ona zawsze tak jakoś smutno się uśmiechała.

- Ostatni czas. I tak mogą być nie lada komplikacje. Dobrze, że serum mamy na miejscu, zaraz się wszystko załatwi... Ty też otrzymasz lekarstwo, wzmocni cię, bardzo się chyba zmęczyłaś, prawda? Zaprowadźcie ją do dyżurki, niech odpocznie. Wala, dwadzieścia kropli kardiamidu, postawi ją to na nogi!

Siły wróciły szybko. Siedziała sama w niewielkiej dyżurce, bielutkiej i czystej. Było tu bardzo spokojnie. Kiedyś marzyła o pracy w szpitalu, ale po to trzeba się uczyć. Ich zaś nie było na naukę stać. Po skończeniu szkoły podstawowej musiała pomagać matce... Co jest z Czmuńkową? Czemu nikt nie przyjdzie jej nic powiedzieć?

Wyrzała na korytarz, długi szereg drzwi izolatek odbijał od różowej ściany białymi plamami. Ta sama cisza i spokój. Tylko gdzieś z daleka dochodziły głosy, szcęk narzędzi. Nie miała odwagi iść i szukać. Zresztą, na pewno nie wolno. Gdy matka chorowała, tylko dwa razy w tygodniu można ją było odwiedzać... Kiedyś jednak ktoś *zajrzy, zaczeka*, nigdzie się jej nie spieszy...

Zamyśliła się nad Zygmysiem, drgnęła, gdy tuż za nią odezwał się głos siostry przełożonej.

- Już dobrze, prawda? Z twoją pacjentką też lepiej, niebezpieczeństwo zażegnane, będzie jednak musiała poleżeć... Jad już się rozszedł po organizmie. Parę godzin później, a nie byłoby wiele szans. Twoja zasługa.

- Zwykła rzecz, przyprowadziłam tylko, nic więcej - zachnęła się.

- Ładnie, że tak to ujmujesz... Pewnie będziesz chciała wiedzieć coś bardziej pewnego. Zaczekaj. Za pół godziny pani doktor ci powie. Na pewno na tę kobietę w domu ktoś czeka?

- Ona jest sama. Męża jej drzewo przygniotło w lesie przed laty.

Siostra przełożona usiadła wygodniej, zapaliła papierosa. Zaciągnęła się mocno, dym wolniutko, kołując, unosił się w górę.

Mila ani się nawet spostrzegła, jak zaczęła opowiadać o sobie. Same pytania siostry przełożonej nie były wiele *znaczące*, można je było zbyć czymkolwiek. Ale jasne, jasne prawie jak krople wody oczy kobiety w białym ubraniu patrzyły tak życzliwie, serdecznie; w dyżurce, gdzie dym wolniutko płynął do góry, było tak przytulnie i miło, że chciało się mówić i opowiadać. Napłynęło wspomnienie tego dawnego pragnienia, żeby pracować w szpitalu, nierealność jego realizacji...

Wydało się Mili, że siostra przełożona drgnęła wtedy leciutko, wpatrzyła się w nią

uważniej. A potem spytała:

- Czy wiesz, że jesienią otwiera się w naszym mieście dwuletnia szkoła pielęgnarska? Ja ją będę prowadzić.

Nie, nie wiedziała. Ale w czym to zmieniało istotę rzeczy? Przecież nie pójdzie się uczyć. Ma już siedemnaście lat, matce trzeba pomagać. Gdyby zaś nawet, to z czego opłacić szkołę, jak się utrzymać, darmozjadem u chorej matki nie będzie. Ona i tak ma dwie posady, sprzątaczką jest, sił jej braknie...

Potem weszła lekarka oznajmiając, że wszystko już dobrze, ale Czmuńkowa będzie musiała z pięć dni poleżeć w szpitalu. Organizm przejął już sporo jadu.

Urwała się tamta rozmowa. Tyle jeszcze, że siostra przełożona poprosiła ją o nazwisko i adres. Potem zaczęły mówić z lekarką o zawodowych sprawach.

- To ja już pójdę - szepnęła Mila, i żal jej się zrobiło tego czyściutkiego pokoju, bieli dookolnej, spokoju i ciszy.

- Do widzenia, do widzenia, ładnie z twojej strony, żeś zaopiekowała się chorą...

I nic więcej. Postąpiła jeszcze chwileczkę u progu, z rozczarowaniem zamknęła za sobą drzwi. Jakby oddzielała tym jakieś dwa światy.

W izbie przyjęć panował ruch. Któraś z pielęgniarek bezceremonialnie odsunęła dziewczynę na stronę, podbiegła, rozwierając szeroko podwoje wejściowe. Dwóch ludzi wносиło rannego. Cały był pokrwawiony, jedno ramię zwisało bezwładnie, twarz stanowiła straszliwą miazgę...

- Wpakował się z motorem na drzewo, ale żyw jeszcze - powiedział któryś z mężczyzn.- Jakby pijany...-dorzucił. Mila drżąc skrzyżowała dłonie na piersiach. Oto jeszcze inna strona tej pracy szpitalnej. Nie tylko biel, ale i krew, czerwona, płynąca strumieniem, krzepnąca ciemnymi strupami.

Ranny złożony na wózku jęknął. Ukazała się lekarka, dawała polecenia, by go zaraz przetransportować na salę operacyjną... Sama pobiegła w głąb korytarza.

Pielęgniarki rozpinały przesiąknięte krwią ubranie pacjenta. Mila nie mogła patrzeć, ciągle stojąc wciśnięta w róg izby przyjęć, przymknęła oczy, ręce tuliła mocno do piersi. Ten jęk, tak znajomy...

Człowiek na wózku znów stęknął, zaszamotał się gwałtownie, z rozbitej głowy chlusnęła krew. Mila przewyciężyła się, postąpiła krok do przodu, schyliła się. Musiała wiedzieć.

Spod skrzepów z trudem rozchyliła się powieka. Błysnęła ciemna źrenica. Ranny wyszeptał jak gdyby ze zdumieniem: - Mila...

5.

Miał już tego wszystkiego dosyć. Jak żyje, nie pamiętał podobnej orki. Trzy tygodnie harowały dniami i nocami, i to tej najnudniejszej kancelaryjnej Sprawozdania, takie formularze, owakie, wykazy, procenty, oceny ogólne, w rozbiciu na klasy, na wiek dzieci, na, na, na... Oszaleć można! Czy to potem czyta ktokolwiek? W powiecie, województwie, w Warszawie?

Tak się przy tym musiało złożyć, że Jankowska właśnie teraz zostawała na macierzyńskim urlopie, ten poczciwy safandula Piechota wykańczał gwałtownie swą dyplomową pracę, a kierownik... No tak, kierownik przeżywał doroczny okres morfinizowania się. Stawał się wtedy zupełnie nieobliczalny. Zależnie od nawrotu piekielnych bólów i od ilości *zażytej* morfiny albo patrzył oswiały w przestrzeń i nic do niego nie docierało, albo w przyływie szaleńczej energii wydawał tysiące sprzecznych poleceń, pohukiwał, ganiał po korytarzu, przy czym furkotały mu tylko przydługie poły staroświeckiej marynarki.

Do Łączyńskiego miał zresztą Kirgiełło najmniej pretensji. Rozmawiał kiedyś z doktorem Gollubem. Stary profesor głową kręcił w zdumieniu, że w ogóle kierownik może jeszcze normalnie pracować. Sam badał Łączyńskiego, zna! wszystkie analizy, prześwietlenia, diagnozy. Miał nawet Kirgiełło dosyć uzasadnione podejrzenie, iż to profesor przepisywał kierownikowi większą nad potrzebę ilość morfiny. Większą nad potrzebę? A któż może określić, ile morfiny potrzeba człowiekowi z uszkodzonym stosem pacierzowym? Przy szturmowaniu Berlina Łączyński przeleżał dwie doby, przygnieciony belką stropową w zawalonym domu. Cudem go odnaleźli, cudem przywrócili do życia, więcej, do władzy w dolnych kończynach. Nic nie pomogła już medycyna na fakt, że bóle często wracały, a już zawsze co roku, w maju lub czerwcu, uderzały gwałtownym, nieprzerwanym atakiem, trwającym kilka tygodni. Jedyne ratunek stanowiła wtedy morfina.

Wiedziały o tym władze oświatowe, w powiecie i w Zielonej Górze, pewnie, najprostsze wyjście znalazłoby się przez wysłanie Łączyńskiego na emeryturę, były szansę na uzyskanie dla niego renty zasłużonych. Ale wiedziano też powszechnie, że równałoby się to podpisaniu wyroku śmierci. Łączyński nie potrafiłby żyć, czując się nieużytecznym. Jako kierownik szkoły sprawował się przy tym doskonale, jedynie te coroczne okresy nawrotów szalonego bólu...

Jak było, tak było, Kirgiełło w końcu dał pokój tym rozważaniom. Dosyć, że naharał się za wszystkie czasy. Na niego, choć najmłodszego w całej ferajnie nauczycielskiej, spadł trud zapięcia na ostatni guzik roku szkolnego. Dopiero pojął, jaką zmorą są sprawozdania. Przeklął je po sto razy przy tej okazji...

Teraz miał już wszystko za sobą. Wszystko? No, jeszcze parę dni spokojniejszej roboty.

Dziś przed południem odbyła się feta z rozdaniem świadectw, przemówieniami rodziców, występami dzieci, akcją kolonijną i jeszcze stu cudami. Nawet nie bardzo odczuł podniosłość tego dnia. Zazwyczaj bowiem ogarniało go wtedy wzruszenie, zwłaszcza gdy świadectwa dostawał najstarszy rocznik. Wypuszczali w świat uformowanych już ludzi. Przynajmniej w znacznym stopniu uformowanych. Część wszak tylko będzie się uczyć dalej, w większości zaczną się sposobić do pracy, jeszcze parę lat, założą rodziny, a nieco później własne już dzieci będą posyłać do szkoły...

- Ta ta ta, rozkliwiał się, Heniu. Bo tak dojdiesz aż do praprawnuków, cały ciąg pokoleń ustawisz frontem do przyszłości...- na głos zaczął strofować sam siebie wywracając szafę w poszukiwaniu krawata. - Oczywiście, mama, znów były grubsze porządki... - mrucał.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, ukazała się w nich pełna, rumiana twarz leciwej już pani. Rzadkie włosy, poskręcane w strączki, upstrzone miała papilotami.

- Zdawało mi się, jakbyś mnie wołał? - wypełniając sobą całe drzwi ładowała się do pokoju. I zaraz załamała ręce: - Bój się Boga, dopiero wczoraj zrobiłam porządek. Chłopcze, kiedy ty się wreszcie ustatkujesz?

- Już się ustatkowałem, mamu - zaśmiał się łobuzersko.

Głową kiwała nad tą niefrasobliwością cielecą. Twarz jej schmurzyła się, kąciki warg obwisły w żałosci.

- Pomyśl sobie, znów nic nie padło na nasze numery...

- Twoje, chciałaś, mamu, powiedzieć.

- Nasze, nasze. Choćbyś nie chciał, musisz pamiętać, że nosisz nazwisko Kirgiełłów... Po to przecież łamię głowę nad tymi siatkówkami i lekkoatletyką, podnoszeniem ciężarów i szczypiorniakiem. Musimy mieć pieniądze, musimy wyjechać z tej strasznej dziury na stare ziemie, do Warszawy czy Krakowa.

- Po pierwsze, to mama skreśla pola krzyżykiem na chybił trafił, ani zaglądając, co jest siatkówką, a co hokejem na trawie. Po drugie, to ja się do Warszawy ani trochę nie palę. Po trzecie, czas, by już skończyć z tymi Kirgiełłami. Szanowny dziadek, a tato mamy, siedział na półszósta hektara ziemi, w łapciach chodził i nie miał żadnych szlacheckich ambicji. A już najbardziej byłby zdumiony, że jakoby miał tam coś pośrednio wspólnego z Grunwaldem.

Ton jego głosu był wyraźnie zniecierpliwiony. Kochał matkę serdecznie, nowa jej mania jednak wyprowadzała go z równowagi. Choćby ta heca z listem do komitetu przygotowawczego uroczystości grunwaldzkich. Dobrze, że gazety nie wykorzystały tego dla dobrego dowcipu. Mógł przecie posłać ktoś do „Przekroju” ten list... To by się mieli z pyszna w tym, co tu gadać, plotkarskim miasteczku...

- Widzisz, jednak przyznajesz rację, że miał, oczywiście poprzez swych antenatów.

- Oho, już i antenaci! Maminek kochany, kiedyś się tego nauczyła?

- Cóż mi innego zostaje, jak tylko zagłębiać się w przeszłość? - głos jej zabrzmiał niemal tragicznie. - Przecież nie znajdę tu towarzystwa na poziomie. Byle chłop nosa zadziera, byle urzędniczyna czuje się dygnitarzem, z nikim się nie zgadasz, diabli wiedzą, skąd kto pochodzi. Od razu ojcu mówiłam, jak go przydzielono w zielonogórskie, że nie dla nas tu miejsce. Ale uparł się, działacz, aktywista, pionier, zawsze był taki, świeć Panie nad jego duszą. I cóż? Sterał siły, nikt mu nawet nie podziękował, nikt nie wspomni... Heniu - złożyła rękę - uciekajmy stąd! Gdzie indziej docenią ciebie, twoje zdolności, takt i obycie!

- Mamo...

- Ty zawsze tak. W ojca się wdajesz, on też mnie nie słuchał... Demokracja mu zapachniała, pionierstwo na ziemiach odzyskanych. I co? Zbieranina, nic, żadnych tradycji, obce to i nieznane... Wiem, wiem, zaraz powiesz, że orzeł piastowski, odkryty pod tynkiem na wjazdowej bramie, polskie nazwiska w kościele, na tych marmurowych tablicach. Ale tradycja...

- Wskrzeszamy ją. Każdy taki rocznik opuszczający szkołę, to jest właśnie nawiązywanie do tamtego ciągu, przerwane przez Niemców - urwał. Po co gada tak sloganowo. Że czuje tak, to prawda, ale określenia podobne już się wytarły, wyświechtały nadużywaniem. W dodatku czy matka zechce kiedykolwiek to przyjąć? Ona jest cała sobą i już zostanie na zawsze tam, w Świącianach. Byłoby to na swój sposób ładne, gdyby nie te dodatkowe ubzdurzenia z nazwiskiem, z chorągwią, ze szlacheckimi pseudotradycjami. I ojciec był chłop i ona chłopka, tyle, że w pierwszym pokoleniu cokolwiek zmieszczanieli. Ot, nudzi się, jeszcze pełna werwy i życia, dać jej jakieś zajęcie, wnet by zaginęły gdzieś ubzdurzenia.

Westchnął. Czas skończyć jałową, denerwującą rozmowę. Dziś mama jest w transie, nastrój przedgrunwaldzki tak na nią działa. Kapitalna, swoją drogą, reakcja.

- Wiesz, mamo, pomyślimy nad tym wszystkim. Otrzymałem niewielką premię, będziesz mogła kupować dodatkowo parę kuponów co tydzień. A jak już wygramy te wielkie pieniądze, to pogadamy i o Warszawie... O! - ucieszył się - jest nareszcie ten krawat. Nie wytrzymałbym minuty dłużej w ciemnym ubraniu, dobrze, że skończyła się szkolna gala.

- Wychodzisz gdzieś? - wyczuł czujność w tym spokojnym pytaniu.

- Wychodzę, wychodzę... Trzeba trochę odetchnąć powietrzem. Wykąpię się, zajrzę do znajomych.

- Ale chyba, chyba nie do tej... dziewczyny? Heniu, to prosty chłop, jej ojciec. I jakaś podobno niezbyt wyraźna przeszłość. Mówią, że coś tam było strasznego z jej dziadkiem... A

i ona, jakie to towarzystwo dla ciebie? Pamiętaj, Kirgiełło to w końcu obowiązuje. Tymczasem...

- Tak, mam, będę pamiętał - trzasnął po chłopięcemu obcasami, ułapił ją wpół, ucałował w pulchne policzki.

Przyjęła jego słowa za dobrą monetę. Rozpromieniła się.

- A widzisz, a widzisz - powtarzała. - Swoją drogą, musimy rozglądać się dla ciebie za jakąś dzielną dziewczyną. O dobrym nazwisku. Tak, tak, to ważne... Lata idą, zawsze lepiej wcześniej się żenić. Tak jak my z ojcem. Tylko gdzież tutaj szukać, która tu może być ciebie warta, Heniu? Żeby to tak w Warszawie, co innego, tam jeszcze są godne panny na wydaniu. Cnotliwe, z nazwiskiem. Tutaj co druga z dzieckiem, albo co najmniej pozbyła się go niecnym sposobem. W Warszawie, tam inaczej, stary kraj, tradycja, obyczaje...

- Będziemy się, mam, rozglądać, dobrze? - całując ją ponownie, delikatnie wypychał zarazem z pokoju. Trzymał się już ostatkiem nerwów.

Dopiero odetchnął. Doprawdy, poważnie się niepokoił o matkę. Od kilku lat, właściwie od śmierci ojca, w pięćdziesiątym trzecim to było, tak, od tamtego czasu się to zaczęło. Bardzo go kochała. Wydawało się jej, że ziemie zachodnie, ciężkie lata początkowe, to małe, szare miasteczko, że go to wszystko zniszczyło, spaliło, przyspieszyło koniec... Została osamotniona, syna nie rozumiała, towarzystwo tej zacnej Helci nie mogło przecież wystarczać. Zresztą Helcia patrzyła na matkę jak w tęczę. Wychodząc z koszyczkiem po zakupy, też zaczęła zadzierać nosa. Jakże, przecież pracuje w domu Kirgiełłów...

Jak dotychczas, mania matki nie była szkodliwa. Ale jeśli *zaczną* się powtarzać, podobne historie jak z listem do komitetu grunwaldzkiego? Mimo powagi sprawy, nie mógł się nie uśmiechnąć. Wyczytała gdzieś, bodaj u Kraszewskiego, że jacyś Kirgiełłowie przybyli pod Grunwald z własną chorągwią. Zasłużyli się, wielką potem sławą i szacunkiem cieszyć się mieli na Litwie. Być może. Jen, że nic to nie miało z ich rodziną wspólnego. Matka jednak zrozumiała inaczej. Ubzdurała sobie, że dziad, ten chłop w łapciach, z - plecioną kobiałką wychodzący na pole do siewu, krył chwalebny przeszłość rodu, wstydząc się swego ubóstwa, tego dziadowania, jakie było jego udziałem. Dlatego zniszczył odziedziczone papiery, niczym się nie chciał zdradzić. Ale ona odgadła starą tajemnicę rodową, za czym postanowiła przywrócić Kirgiełłom dawną sławę. Stąd ten list. Że Kirgiełłowie, zasłużeni około zwycięstwa nad Krzyżakami, muszą znaleźć godne miejsce w nadchodzących uroczystościach. Komitet honorowy, miejsce na głównej trybunie, może nawet jakiś kopczyk imienia Kirgiełłów. Napisała, monitowała, wreszcie nadeszła odpowiedź, krótka i lakoniczna, że niestety, chociaż nie chcą poddawać w wątpliwość zasług rodziny, że nawet nie przeczą, iż

pod Grunwaldem mogli być Kirgiełowie, to jednak charakter uroczystości, czas, w jakim się odbywają...

Pismo to odczuł jak policzek, jak kompromitację. Bo dopiero teraz dowiedział się o liście matki. Chciała zrobić mu niespodziankę... Ona tymczasem jedno zdanie z odpowiedzi zachowała w pamięci. To, że nie przeczą, iż pod Grunwaldem mogli być jacyś Kirgiełowie. Wzięła to za jasny dowód, powołując się nań pisała do różnych osób, do profesora Kuczyńskiego, do innych. Sam już nie wiedział co z tego wyniknie. W końcu machnął ręką. Skończą się uroczystości grunwaldzkie, nastanie spokój...

Gorzej z jej „arystokratycznymi” manierami, z zadzieraniem nosa, z pouczeniami o tym, co przystoi, co nie, ich stanowi. Żebyż to kończyło się na pasji Totolotka i związanych z tym nadziejach przeniesienia do Warszawy. Ale choćby z Leną. Jeszcze się nic między nimi nie związało, a matka już postawiła sprzeciw. Pilnowała go, wypytywała, gotowa choćby do awantury. W obronie imienia Kirgiełłów stać ją było na wszystko. Ładnie by wtedy wyglądał...

Lena. Lubił to jej imię pachnące wschodem, nie tą jednak północą wschodu, gdzie sam się wychował, ale południem, gdzie więcej było życia, gwałtowności uczuć, temperamentu. Olena. Chciał ją początkowo nazywać tym pełnym imieniem, poprzestał na Lenie. Czy poddając się w ten sposób naciskowi otoczenia? Czy też, że w pełni imię to brzmiało bardziej obowiązujące, stawało się zbyt wiele ogarniające?

Stale czuł przez te dni czerwca wyrzuty sumienia, że tak się z nią rzadko ostatnio spotykał. Właśnie teraz, gdy wobec nerwowej nieporadności matki wszystko musiała przejąć na siebie. Od aresztowania jej ojca widzieli się zaledwie trzy razy. Zalew papierów przy końcu roku, zbieg okoliczności, iż wszystko spadło na niego jednego? Że zasiadywał się do późna nocami, że nie wiedział, jak dzielić umykające godziny dnia? Czuł się winien: to nie było usprawiedliwieniem.

Stojąc pośrodku pokoju, gotów do wyjścia, zastygł w uczuciu nieprzyjemnego chłodu, który owionął go wraz z ukłuciem tej myśli. Bo może po prostu był za wygodny, wołał osłonić się pretekstem swego przepracowania, niż przejąć na siebie jakiś udział w nieszczęściu, jakie spadło na tę dziwną rodzinę? Już tego samego wieczora, gdy na wieść o tym, co stało się na terenie cegielni, pobiegł do Leny, zrozumiał, że sam fakt aresztowania, ba, zewnętrzny przebieg zajścia na stratowanym maszynami polu jest czymś bardzo nieznacznym, ostatecznie drobiazgiem w obliczu wewnętrznego nurtu Koniejenkowej tragedii. To najlepiej odbijało się na Lenie. Na zewnątrz była spokojna, opanowana, ale znali się wszak na tyle, by mógł pojąć, iż wzrastająca intensywność barwy jej źrenic, dotykalnie

bolesna w swym natężeniu, najpełniej świadczy o sile przeżyć. Jeszcze te cienie jakby lęku, nie znane mu dotąd, teraz przebiegające smugami przez ciemną twarz. Cienie te nie ustąpiły, przy następnych widzeniach znów je zaobserwował. Dziewczyna bała się czegoś. Czy dla ojca tylko, czy także dla matki, dla siebie, dla przebywającego w Poznaniu i nie wiedzącego o niczym Jurka? Lena stanowczo nie zezwoliła pisać do brata. Przyjazd jego w niczym nie zmieniłby sytuacji, tłumaczyła spokojnie, natomiast przekreśliłby egzaminy.

Stojąc znieruchomiały pośrodku jasnego swego pokoju - słońce od zachodniej strony wpadało teraz zachłannie, wypełniając każdy kąt, załamane i szpare - czuł, że w tej nieśmiało lęgnącej się myśli jest wiele prawdy. Może powie, że bał się, to jednak za wiele, niemniej tkwiła w nim wyraźna niechęć do zanurzania się w osobliwy świat Koniejenkowego domu, gdzie pod normalnym tokiem wydarzeń i słów zawsze kryło się coś niedopowiedzianego, coś odganianego nawet z myśli, a jednak przemożnego, niemal nie do zwalczania. Wolał tęsknić za Leną, tęsknić szczerze, niż będąc w jej obecności odczuwać zarazem obecność tamtych spraw jemu nie znanych, a przecie intensywnie, decydująco żywych.

Jak wybawienie przyjął dobiegający z zewnątrz głos matki, strofującej Helcie. Dziewczyna odpowiadała jazgotliwie, choć z wyraźną pokorą. Te dwa głosy wróciły go rzeczywistości. Przeciągnął dłonią po czole, wilgotne było od potu. Przemęczony był. Zaraz się wykąpie, to go orzeźwi, a potem pójdzie do Leny, często teraz będzie z nią się spotykał, może potrafi w jakiś sposób dopomóc jej ojcu, dziwnemu chłopu z wiecznie skołtunioną strzechą czarnych włosów. Ojcu, którego nie lubił, ale który go osobliwie pociągał ku sobie. Jak rzadki, odrażający czasami, ale pasjonujący swoją niezwykłością, swoją innością typ człowieka.

Jazgotliwy głos Helci i dostojnie krzykliwy matki ucichły. Szybko już wpakował w plastikową torebkę kąpielowe spodenki, wymknął się na ulicę.

Sekundę wcześniej trzasnęły w sionce przeciwległe drzwi mieszkania kierownika Łączyńskiego. Kirgiełło machinalnie odpowiedział na ukłon człowieka z połyskującą brązem opalenizny łysiną, przepuścił go przodem. Dopiero idąc za nim, spoglądając na eleganckie buciki, na marynarkę skrojoną z prowincjonalnym szykiem, poznał felczera Budzińskiego” Zwolnił kroku. Stało się coś z Łączyńskim? Po cóż by wzywał felczera?

Ledwie uchwytny zapach leków, który nadpłynął od idącego przed nim mężczyzny, pozwolił Kirgielle skojarzyć pewne fakty. Kierownik zwracał się dziś do niego z nieśmiałą prośbą o pożyczkę pięciuset złotych. Pięćset złotych. Felczer. Morfina. Wszystko było już jasne.

Tym większą poczuł ochotę na kąpiel, by obmyć się z tego wszystkiego. Matka z jej fanaberiami, narkotyzujący się Łączyński, niedobre nastroje w domu Koniejenków, jeszcze zmęczenie harówką ostatnich tygodni, to już razem zbyt wiele. W dodatku - tego wolał nie nazwać - poczucie niechęci do siebie samego za to coś, co bliskie było granicy lęku i co zdawało się w pewnym momencie przeważać nawet uczucie łączące go z Leną...

Na wysokość chłopa wyrosły rzędy wsporników otwartej hali. Masyw fundamentów w wykopie pod komin mieszał się stalowoszarą barwą betonu z wesołą czerwienią klinkierowej cegły: specjaliści od murowania fabrycznych kominów byli już w miasteczku.

Upały czerwca przyżółciły niedawną intensywność zieleni trawy i chwastów, szerokim kręgiem okalających cegielnię. Tylko trzciny i sitowie porastające brzegi starej glinianki nie straciły ostrości swych barw. Niebem ciągnęły chmury, wieczór mógł się znowu zakończyć burzą. Nie było tej przedwieczornej rzeźkości, płuca z trudem łapały nagrzane powietrze.

Stał na powybijanej motorami drodze, wzdłuż porosłego zdziczałym dereniem płotu, dzielącego sad Koniejenków od uprawnego pola, przechodzącego w łagodne wzniesienie terenów cegielni. Porozwalane zległy bezsilnie słupki, którymi uparty chłop próbował bronić swojej własności. Ledwie odciągnięte na stronę zwoje kolczastego drutu jeżyły się jak dziwne zasieki. Na samym polu podobny drut przymocowany do kilku przyniesionych z budowy łąt otaczał wielki dół, w który pamiętnego dnia zwałił się traktor. Na prawo i lewo omijały go szerokim pasmem koleiny motorów zwożących surowiec. Jasna słoma pszeniczna mieszała się z gliniastą ziemią. Ostre słońce stwardziło bryły.

Odciski podwójnych, masywnych opon wyjeżdżały często poza granice nieszczęsnej drogi, przebitej przez dojrzewający łan. Jakby ktoś szukał nowych, wygodniejszych szlaków, albo świadomie chciał dopełnić dzieła zniszczenia.

Henryk znów był spocony, śladu nie zostało po rzeźkości dopiero odbytej kąpieli. Nie o niej też myślał, stojąc na pasie dzielącym dwa przez przypadek wrogie sobie obozy: cegielni i chłopa. Nad jeziorem spotkał się przy kąpielu z sekretarzem komitetu miejskiego. Szanował go za jakąś otwartość i precyzję sądów, mało się zresztą ze sobą stykali, każdy po uszy pogrążony w swojej robocie. Pamiętając, iż się wybierał do Leny, zagadnął go o Koniejenkę. Sekretarz na pewno musi coś wiedzieć.

Dobrze trafił. Ocierając rącznikiem chude, mocno kosmate łydki, mówił krótkimi, rwanymi zdaniem, jakby precyzował tezy do referatu.

- Niedobra i niepotrzebna sprawa. Jeszcze teraz, gdy trzeba nam jak najbardziej rozruszać ludność miasteczka, inaczej nie poradzimy z tym wszystkim, co uzyskaliśmy, z tym niemal

chińskim jak na nasze stosunki skokiem w rozwoju. Cegielnia, wszystko pięknie, perspektywy, i nagle - Koniejenko.

- Może za wiele się tego wszystkiego zważyło od razu, rozbudowa szpitala, szkoła pielęgniarek, cegielnia, warsztaty naprawcze, fabryka cukierków. Nagle - ze stanu prawie bezruchu. Ludzie potracili głowy, z prezydium ciągle nie mogą wszystkiego ogarnąć...

Spojrzał na Kirgiełłę jakby niechętnie.

- Nie tylko to... Zaraził nas pośpiech, zapął na sposób trochę szczeniacki. Patrząc na większe zadania, nie chcieliśmy widzieć szczegółów. Ot, zabiera się chłopu pole, niszczy zasiewy; nieważne, przecież otrzyma odszkodowanie, na pewno nie zazna krzywdy. Nikt nie pomyślał, czym jest dla chłopu ziemia, a jeszcze dla takiego chłopu jak Koniejenko. Skoro kiedyś tam będzie wszystko w porządku, niech nie przeszkadza, niech się nie naprzykrza, na tymczasem mamy ważniejsze sprawy... Cóż, geodeta zajął się jego ziemią dopiero przed paru dniami, teraz się uzgadnia, jaką ostatecznie przestrzeń zajmie cegielnia łącznie z terenem wydobywczym gliny. Koniejenko miał nam prawo nie ufać, nie otrzymał poza słownymi obietnicami żadnego zabezpieczenia. Zrozumiał, że musi sam walczyć. Pamiętał, tam, skąd przyjechał, też sam walczył. I przegrał. Miał tę świadomość, że walka jego może się i tu również zakończyć przegraną. Nie zdawał sobie sprawy z odmienności warunków, ale walczyć musiał, związał się jeszcze raz w życiu z ziemią, z tą nową ziemią, na której osiadł przed piętnastu laty.

- Zatem rozgrzeszacie Koniejenkę?

Wzruszył ramionami.

- Nie trzeba mylić dwóch spraw. To, co chłop uczynił, było bezprawiem i przestępstwem. Tamta ocena może osłabić kwalifikację czynu. Prawną kwalifikację.

- A moralną?

- Tego się nie rozstrzygnie od razu. Fakt, żeśmy jakoś zgubili tego chłopca w naszym zapale. Cholera, ciągle brak nam rutyny, ciągle błądzimy. Co zresztą nie jest usprawiedliwieniem. Koniejenko był także w komitecie. Instruktor spławił go zupełnie nie inaczej niż go zbyto w prezydium, niż się wyłgiwał Dominiak na budowie. Cóż z tego, że instruktor otrzymał nagane, kiedy już tamto się stało?

Siadł teraz, wciągając z trudem przyciasne, kalesony. Henryk ze zdziwieniem zauważył, iż mimo lata i takich upałów, sekretarz nosi długie, ciepłe gacie.

- Zły klimat zrobił się wkoło tej awantury. Ludzie stają na ogół po stronie Koniejenki.

- Powiem wam, choć to wcale nie proste, a i nie na wynos. Moim zdaniem, dobrze to świadczy o ludziach. Zaniedbanie nie było usprawiedliwione żadnym wyższym motywem. I

to ludzi drażni.

- Trzeba zatem ratować Koniejenkę, wyrównać krzywdę, wpłynąć może na jego zwolnienie - podsunął.

Sekretarz był już ubrany. Miał zmęczoną twarz i oczy krótkowidza. Położył łagodnie rękę na ramieniu nauczyciela.

- Pamiętacie, jakeśmy wszyscy wołali o praworządność? Pamiętacie? W tym, coście rzekli, są dwie różne sprawy. Lada dzień, niech no jeszcze tydzień, sprawa odszkodowania za zmarnowane zbiory zostanie załatwiona. Tak samo ustali się, jaką część z parceli Koniejenki przejmie cegielnia. Jesteśmy za tym, by od drugiej strony przydzielić mu w dwójnasób więcej, dla wyrównania wkładu robocizny. Tam bowiem jest jeszcze kawał ugoru. To jedna rzecz. Druga, to rozprawa sądowa. Fakt jest faktem, choć mogą istnieć i istnieją tutaj na pewno motywy usprawiedliwiające... Sąd jest niezależny, nie mamy wpływu na wyroki. Na żądanie prokuratora przekazaliśmy mu naszą opinię o sprawie. Nic tu więcej nie mogliśmy zrobić. A za ten zły klimat, jak mówicie, poniesiemy odpowiedzialność. Nowa trudność w najgorętszym czasie... Uśmiechnął się, wyciągnął rękę.

- Nie myślcie, że jestem taki, jak się to mówi, pryncypialny. Potrafię myśleć bardzo ludzkimi kategoriami... To nie paradoks, ale może właśnie dzięki temu mogę widzieć sprawy jasno, nie gubić się w wahaniach, nie certolić sam z sobą.

- Czy bez omyłek? - Henryk powiedział to z nie zamierzoną ironią.

- Otóż w tym rzecz, że nie.

I odszedł szybkim, nerwowym krokiem. Henryk zaś, nie wiedząc czemu, myślał w tej chwili nie o zasłyszanych sądach w pogmatwanej sprawie ojca Leny, ale o ciepłych gaciach, które sekretarz nosi w upalne dni lata...

Patrząc na tak dramatycznym spięciem zaczęłą budowę, Henryk zastanawiał się, co właściwie było dla niego niepełne w logicznym, zdawałoby się, wywodzie sekretarza. Może go zraził ten ton, suchy wykład jakby o teoretycznym problemie, z zapoznaniem, że przecież bije tutaj udęczone ludzkie serce? Ale sam on przecie się zastrzegł, że nie jest pryncypialistą, więc co zatem? Oschłość, prawdziwa czy tylko pozorna? Jakieś traktowanie wydarzenia jako sprawy skończonej już i zamkniętej? Zaniedbanie się nadrobi, proces zostanie czymś niezależnym, choć uwzględniającym okoliczności zwane łagodzącymi, za niedobry klimat poniesie się konsekwencje. I to wszystko? Czy nie za mało? Ale znowu czego chcieć jeszcze?

Sekretarz cieszył się najlepszą opinią, nie miał wrogów, nawet pośród ludzi obojętnych czy wręcz niechętnych partii.

Zdało się Henrykowi, że odnalazł wreszcie, co go niepokoiło. Tamten był nazbyt

rzeczowy, za suchy, zbyt zamknięty w swoich odczuciach, choćby je przeżywał najsilniej... W to rozumowanie musiał jednak wprowadzić poprawkę. Czy wszyscy go tak widzą? W nim samym jest przecież coś z klimatu odczuć matki. Tamta buduje swoje sentymenty na wyimaginowanej, śmiesznej fikcji. On inaczej, ale klimat romantyki kresów wschodnich pozostał w nim, wessał go z krwią. Koniejenko też przecież był taki sam. Wszyscy repatrianci, wszyscy osiedleńcy z tej czy tamtej strony Bugu, są do siebie podobni. W tej pewnej jakby archezowości, w przewadze sentymentów nad logiką. Stąd taki właśnie stosunek do ziemi, stąd zrywy, jak to się mówi urzędowo: nierytmiczność w pracy. Raz góry przenoszą, w przenośni i rzeczywistości, innym razem są ospali, brak im dynamiki.

Sekretarz pochodził spod Leszna. Wielkopolanin. Oni i Pomorzanie mają pokrewne cechy. Najmniej są romantykami. Mniej polotu, gorzej z inwencją, ale nadrabiają to sumiennością, precyzją, wytrwałością. Są lepszymi gospodarzami, choć z góry można przewidzieć efekt ich pracy. Gdy tamci zadziwiają niespodziankami. Każde zetknięcie tych dwu postaw psychicznych wywołuje, bo musi wywoływać, jeśli już nie konflikt, to przeciwstawności. Stąd może i w nim opory choćby w stosunku do jasnego wyводу, jaki słyszał nad jeziorem przed chwilą?

A jeżeli istnieją te przeciwieństwa, to dobrze czy źle? Doraźnie może być nieraz najgorzej, to prawda. Ale na dłuższą metę? Jakaś krzyżówka tych cech, coś nowego, a *zarazem* wspólnego jednym i drugim? Ba, wiele się już zniwelowało, już się zęby starły jednym i drugim, współżyją wszak ze sobą. Było inaczej, pamięta, w zielonogórskim liceum małoż to razy wyzywali się od „głębów wileńskich”, od „pyr poznańskich”, to znów od „chachołów” czy „rumunów”, bo byli pomiędzy nimi i synowie reemigrantów z Rumunii. Dziś w szkole tego już nie zauważa. Zewnętrzne odrębności w mowie i obyczajach zrównały się, zatarły, zanikają zupełnie.

Przypomniał sobie, że podobne w treści pytania znalazły się w ankiecie, którą przysłał nauczycielom socjolog z województwa w Zielonej Górze. A jakże, pyszniła się miejscowa gazeta, że pierwszy to podobny etat w całej Polsce. Dobrze byłoby w wolnej chwili podzielić się tymi spostrzeżeniami w odpowiedzi na postawione pytania.

Podświadomie uczuł, że nie jest sam. Obejrzał się. Wsparta o wrota Koniejenkowego obejścia stała jego żona. Stąd widział, wybladła była i zmizerowana. Podszedł ku niej. Pod gardło podłaziło mu wzrastające z każdym krokiem uczucie wstydu, że nie znalazł dla nich więcej czasu w tym ciężkim okresie.

Idąc spoglądał na nią uważnie. Wyszła tu przed zawsze rozwarte szeroko wrota dlatego, że go ujrzała, że czekała na kogoś, czy też podobnie, ale inaczej niż on patrzyła, musiała patrzeć

na krajobraz zrytego zboża i zaczynającego się pięć ku górze komina cegielni.

Zmizerowana była ta twarz, ale spokojna. Duże, szeroko rozwarte oczy, ciemne jak oczy Leny i jak oczy jej ojca, w nich jakiś bolesny spokój. Jakby spokój spełnienia. To określenie przemknęło przez jego myśl, nie zatrzymało się dłużej, tak zdawało się bezpodstawne.

Szczupła, wyższa znacznie od męża, o rysach bardziej inteligentnych i myślących, o twarzy pociągłej, zniszczonej już, pomarszczonej silnie u nasady warg i w okolicach oczu, trzymała ręce opuszczone wzdłuż ciała, ciągle patrzyła. Tym razem widział już, tylko na niego.

- Leny nie ma, poszła spotkać Jurka na stację. Zdał wszystko, przyjeżdża - odpowiedziała na przywitanie.

Spojrzał odruchowo na zegarek. Od przyjazdu pociągu dzieliły ich jeszcze dwie godziny. Pomyślał, że Lena wolała wyjść wcześniej, może chciała sobie przemyśleć, jak bratu wszystko opowie...

- Jurek nie wie? - upewnił się.

- Nie wie. Zaczekamy na nich?

Idąc obok, uczył wewnętrzny przymus podzielenia się z nią lepszą częścią tych nowin, jakich się dowiedział od sekretarza.

- Oszacowano już wasze straty...

- Wiem. Pierwszego lipca mają wypłacić.

- Geodeta ma stratę tego pola wyrównać przydaniem innego, większego.

- Tak. Chodzi o tamten ugór - ukazała dłonią za siebie, równie beznamiętnie.

Byli przed domem. Wtedy przystanąła, spojrzała na niego i jakby czując potrzebę zwierzenia, powiedziała:

- Ale ja nie wiem, jak Piotr tam... To tylko ważne. Bo on, przyjeżdżając tu, po tamtym wszystkim, chciał znaleźć nie tylko nową ziemię, ale i nowe niebo. Gdy spojrzał na nią nie rozumiejącymi oczyma, powtórzyła niecierpliwie:

- Tam mu zabrano nie tylko ziemię, to, co na niej, ale przesłonięte także i niebo. Przykryto je wielką, czarną chmurą...

Drobną, niewiarygodnie drobną w stosunku do rosnącej figury dłonią zagarnęła go zaskoczony i zdziwiony, do wnętrza izby, z której okien rozwierał się widok na stratowane zboże i na cegielnię, na powywracane słupki i splątany drut kolczasty Piotrowej przegrody.

- On się ciągle bał tej czarnej, wielkiej chmury. Dlatego był taki. Pomagałam, jak mogłam, ale czy się kto losu swojego ustrzeże?

Nie mógł ochłonać. Jedno stało się dla niego w tej chwili jasne. Oto zawsze, gdy Piotra Koniejenki nie było w pobliżu, żona jego była bardzo spokojna i cicha. Przy nim stawała się podobna mu w nerwowości, w gwałtownych reakcjach, upodabniała się nawet w słownictwie. Czyżby taką drogę obrała, by go wspierać, by mu pomagać? Także, obok wewnętrznej, i zewnętrzna formą objawiania wspólnoty uczuć?

Śluchając jej spokojnie, przyciszonym głosem wypowiedanej opowieści o tamtym, co dotychczas zaledwie ponurymi strzępami docierało do jego świadomości z ludzkich poszeptów, podnosił czasem głowę, patrząc w blasku zachodzącego słońca na czerwieniejące jak krew cegły wznoszonego komina cegielni.

Jej słowa budowały w jego wyobraźni obraz tego, co przeżywali oni w wojenne lata. Im bardziej się obraz poszerzał, tym go więcej rozumiał.

...Najstarszy miałby dzisiaj dwadzieścia jeden lat. Piotr, jak i ojciec. Na świat przyszedł na tydzień przed wojennym wrześniem. Kумы potem gdakały, że nieszczęśliwe to dziecko, co się dekadę przed wojną rodzi. Schylała się wtedy nad małym, jakby sobą osłonić go pragnęła przed wszystkim złem. Ale nie ominiesz tego, co komu sądzone...

Wioska była duża, paręset dusz, rozsiadła przy stoku górskim, las tam szumiał zawsze, dniem i nocą, latem i zimą, taka już wietrzna okolica. Od drugiej strony słały się lekko pofałdowane gleby uprawne. Rzeka się przebijała tamtędy, pstrąg w niej był i lipień, i boleń.

Mieszanina wszystko, ni to Ukraińcy, ni to Polacy. Rzadko który jasno określał, kto on taki. Prawie sama biedota, ziemia lichawa, niewiele jej, o każdy zagon szły często boje, a że krewkie wszystko było i popędliwe, noże nieradko błyskały, lała się krew. A już zabawy żadnej bez bicia nie było. Chwackie rosły chłopaki.

Mniej więcej gdzieś z wojną się to zaczęło. Raptem część poczuła, że Ukraińcy oni. Chodzić poczęli chłopcy do lasu, przyjeżdżali do nich różni, mówiono, że z samych Niemiec, wraz nikli, nocami strzały szły czasem głuchymi echami, jakby ćwiczenia jakie. Hryhorowi dom wtedy spalili, całe obejście, że niby Polak on twardy taki, tamtych wyzywał.

Że Hryhor niepolskie nazwanie? Któż tam nazwiskami wymierzał prawdę ukraińską czy polską. Bo to dwie prawdy się nagle zrodziły. Masłowscy, Kiewlicze największe były rezuny, znowuz Wasilenko najtwardziej obstawał za Polską, choć nie białą, ale czerwoną pragnął ją widzieć. A Kohuty to tacy i tacy się zdarzali, choć po prawdzie nigdy nie można było rozróżnić, co u którego za pazuchą siedzi. Wiatrów nawąchowali, z nimi szli...

Wnet się też pokazało, co to za strzały szły echami po nocach, jacy to różni smykali cieniami pośród opłotków. Całe gromady młodzików chodziły z bronią, wyszli także

niektórzy z tych, co mając wezwanie do wojska polskiego, nie usłuchali. Zło się zaczęło. Na drogach przyłapywali polskich żołnierzy, kto z Lachiw, ten wróg im był. I na swoich czerwonych tak samo napadali, ci poszli na ruską stronę, bo to już przybliżyła się „krasna armia”!

Buki czerwieniały na zboczach, na tym wzgórzu wysokim za wioską, a wokół czerwieniało od krwi. A jeszcze gorsze było, że każdy u drugiego jej łaknął, najbliżsi sąsiedzi wilkiem zaczęli patrzeć na siebie. Jakoś się jednak uspokoiło. Reżuny do Hitlera na służbę poszły, ci co zostali, za nich i za siebie robili, zmęczony był człowiek, byle trochę odpocząć, myślał. Wojna potem nadeszła z Ruskiem. Porwały hitlery jak wilki na wschód. Odżyły dawne niezgody. Ty Polak, ty Ukrainiec. Ty za Hitlerem, a tyś za Stalinem obstawał. Lasami znów niosły się strzały. Byli tacy, co spakowawszy dobytek, z rodzinami umykali gdzieś w nocnej godzinie, przeczekać, aż się wyjaśnią czasy. Z wyraźnie polskich trzy rodziny ostały, bo inne przycupły, ogłosiły się głośno ukraińskimi, na swoich zaczęły psy wieszać. Tak już bywa, ze strachu gotów co podlejszy na ostatnią pójść niegodziwość.

Stary Ostap Koniejenko - Ostap się zwał, choć wszystko polskie w nim było - trwał. Radzili niejedni, by uchodził, póki żyw on i wszyscy u niego. Taki jeden był Kohut, co przedtem za Polaka się mienił, a teraz syna słał do reżunów, niby to z dobrawoli radził, że może być źle, lepiej opuścić wioskę, nawet zupełnie ziemię w dobre ręce odprzedać. Z przyjaźni i starej znajomości on by, Kohut, tych parę hektarów, jak to dzisiaj tu mówią, zakupił. Ostap posiał go wtedy w diabły, prawdę w oczy powiedział. Poszedł, ale od drogi znaki rękami wyczyniał, krzyże z gałązek pod bramą kładł, żeby tak samo pokrzyżowało i połamało całą Koniejenków rodzinę. Nawet Piotr bał się, ale nie miał odwagi niczego ojcu doradzać. Bo Ostap powiedział, że ziemię tę ma od ojców i dziadów, ich i jego potem ona rodzi, nie wyrzeknie się jej, bo to tak samo, jakby się Boga wyrzekł. Ktoś z tamtych był, słyszał, powiedział, niech się w takim razie Polski swojej wyrzeknie. Zakrzyczał Ostap, że głupi, że nie rozumie, iż ziemia ta jego była i pozostanie. Taki już był.

Od Stalingradu zrobiło się jeszcze ciężiej. Nie było nocy, żeby ognie nie płonęły ponad lasami, zdawało się czasem, że z ujadaniem psów niosą się powietrzem krzyki pomordowanych. Na Lachiw, słyszało się i w szumie rzeki, i w liścia szemrzeniu, wszędzie. Strach. Jeden Ostap był twardy, spał z siekierą przy sobie, z widłami, drzwi obił potrójnie, okiennice dorobił przy oknach. Trwał, a my przy nim. Pazurami ziemi swojej pilnował. Bywało, słońce jasne, wyjdzie stary na pole, przysiadzie, w rękę ziemi naczepie i wacha. Piotr czasem wychodził ku niemu, tak samo przysiadał, brał grudę, wywachiwał jakieś zapachy, echa, co szły od ziemi. Bliscy się nagle ojciec i syn zrobili jak nigdy. Urzekła ich,

zauroczyła ta ziemia, że to nigdy jej nie opuszczą, nie zostawią w złej czy dobrej doli.

Małemu szło już na czwarty rok, dobrze się chował, do ojca podobny swojego, łeb miał taki sam nieusłuchany, ani go można było uczesać... Hitlerzy cofały się, coraz to szybciej, coraz to większą wolę miały rezuny. I ci, co w niemieckich chodzili ubiorach, z trupimi główkami na czapkach, i ci, co po cywilnemu się zbierali kupami, z bronią ćwiczyli. Ale to wszystko dokoła, bo w wiosce cisza zapadła, jakby makiem kto posiał. Młodych nie było, po większości poszli we światy, rzadko który ostał przy domu. Starsi, kobiety głównie. Dzień ta schodził za dniem, miesiąc za miesiącem. Tylko wkoło coraz się więcej paliło, szły wieści o mordach, o malejącej cenie ludzkiego życia. Ostap z Piotrem razem się jak zawsze trzymali.

Aż skończył się spokój i u nas. Ruski szedł, i szedł, mówili, z nim wojsko polskie. Ostap na te wieści śmiał się cicheńko do siebie, na ganek wychodził, na ziemię patrzył, gadał, że wiedział dobrze, czemu się jej nie wyparł... Zaraz potem zaroilo się wkoło wioski od wszelkich takich, banderowców z UPA, i jeszcze innych, i zwykłych bandytów, choć po prawdzie nie wiedzieć, którzy byli lepsi. Żądanie ślali, by im jedzenie dawać, co tydzień dowozić tyle i tyle... Ostap długo myślał, dał. Byli tacy, choć i Ukraińcy, którzy pożałowali, jakże, krwawicę swoją faszystom oddawać? W biały dzień przyszli, trzech zabili, innych skatowali okrutnie. Oni rządzą, im posłuch należy, mówili. A w sąsiedniej wsi wyrznęli wszystkich Polaków.

Znaleźli się tacy, którzy ostrzegali Ostapa. Głową kręcił tylko przecząco. On zostanie. Wtedy Kohut przyszedł raz jeszcze o ziemię targować. Że on, mówił, chce po dobremu, zapłaci. Ostap pognął go jak i wtedy. Tamten zaś śmiał się. Tak zostało.

Ostap zrobił się teraz ostrożny. W skarpie, wśród boru, ziemiankę uszykował. Tam spali, dom zapierając każdego wieczora na głucho. Gdy niepewnie było, we dnie też w tej norze siedzieli. Z drugim wtedy chodziła, z Jurkiem właśnie. Piotr w tym czasie bardzo był niespokojny, jakby coś czuł. Zewsząd szły straszne wieści. Front zbliżał się, a tu było coraz to gorzej i gorzej. Jeden bał się drugiego.

We wsi też opustoszało. Ciągłe kogoś mordowano, płonęły domy, żywności żądano coraz to więcej i więcej. Parę razy szukano Ostapa, może i całej rodziny.

Aż któregoś dnia Kohut naprowadził. Jej w ziemiance nie było, na bagna poszła, żurawin pozbierać na zimę, głodno się zaczynało robić... Bronić się nie mieli co. I tak zatłukliby granatami.

Powiedli ich. Ostapa po drodze kłuli nożami, kolbą dźgali w stare ciało. Nie pisnął. Twardo szedł, wysoki, o wiele wyższy od Piotra. Małego Pietrka też ze sobą zabrali, pętał się ojcu i dziadkowi przy nogach, zastraszone, spłakany. Ostap szeptał do syna: „Gdyby co,

wytrwały bądź, jak ta ziemia. Dla niej jesteśmy, cierpimy. Pojmujesz ty, Piotr?”

Głową kiwał, że pojmował. A za nimi las szumiał, wiatr mocny szedł szczytami, w doliny ściągał od zbocza. A na dole, pośród pól, bluzgała wylana rzeka, deszcze sikały mocno w tym czasie. Ostap szedł jakby słuchając tego wszystkiego, a nie słów, plugawych, jakie za nimi ciskali tamci. Że Lach, dla takich miejsca nie ma na tej ziemi.

Jakby wymarło we wsi. Tylko stary Kohut stał na progu swojego obejścia, oczy dłonią osłaniał pod słońce, patrzył chciwie. Pies się zerwał nagle od budy, wpadł z ujadaniem, strzał, zwinął się tylko. Mały Pietrek przypadł do psa, razem się przecie chowali; kopnęli chłopca. Piotr skoczył. Jakby się spodziewali, zwalili chłopca na ziemię, wykręcili ramiona. Potem do wierzby starej, co z drugiej strony drogi, przytroczyli konopnymi sznurami. Tak stał, pewien, że śmierci czeka. W niebo już jeno patrzył, czasem tylko spojrzeniem muskając ziemię, tę ziemię, dla której tu byli, która, myślał, pochłonie ich, ale oni jej nie odejda.

Dopiero spojrzał przed siebie, gdy szamotanie usłyszał. Ciągnęli Ostapa, skołtunił się siwy włos starego. Nie bronił się, cóż tu można było poradzić, wyzywał ich tylko ostatnimi słowy, kłął, że niebo powinno by zahuczeć grzmotami. Ale niebo stało czyste, jasne, pełne wesela.

Patrzył już tylko na ojca. Zrozumiał. Szarpał się w tych sznurach, które go przytraczały do wierzby, skórę pozdzierał, w żywe mięso zagłębiały się konopne powrozy. Mocne były, nie poradził.

Ostapa rozpięli na wrotach stodoły. Zgrabnie im szło, nie pierwszozna. Zawisł na wielkich bretnalach, ślinił, ciągle kłął straszliwymi słowy, śmieli się, kiwali dłońmi do Piotra, czy widzi. Piotr gęby nie rozwarł, tylko oczy w nich wlepił, sama nienawiść musiała w nich być.

...a małym to raz tylko jeden, trzymając za nogi, trzepnęli o kant stodoły.

Piotr patrzył i na to. Nie omdlał. Widział, słyszał, jak Ostap charczy, jak kona.

Patrzył. Odeszli już, rechocząc, on nadal patrzył. Głowę przy tej wierzbie obracał i rolę widział, ziemię kochaną. Podnosił potem spojrzenie ku niebu, mówił, jasne było, pogodne, ale jemu się zdało, że zrobiło się z nagła czarne, przesłoniła je wielka, straszliwa chmura.

Pod sam wieczór dopiero odcięła go. Ręce do pól miał poprzerzynane postronkami z konopi. Paździerze wetkały się w mięso, piekły, drażniły okrutnie. Błagała, by iść stąd, zaraz, chwili nie pozostając. Głową kręcił. Tej samej nocy pogrzebał ojca i syna. Ona sił nie miała, by mu pomagać. A nad ranem Kohut podpalił ich dom i całe obejście... Nie na długo mu tej radości starczyło. Nadszedł jakiś oddział, jedzenia żądał, zapasów. Pytają, skąd świeże pogorzelszcze. I wtedy Kohuta zastrzelili, że samowolnie, gdy oni tu pany. Ogień podłożyli pod jego dom i pojechali. Pół wioski spaliło się, nikt nawet zakląć nie miał odwagi.

Piotr nagle ją wtedy zabrał, konia jeszcze mieli, pasł się po lesie. Wylądowali pobok

Lublina. Każdego tygodnia spodziewała się dziecka. Piotr nie chciał czekać, powiedział, że musi do lasu. Nie bronila. Cóż chłopu zostało? Mówił, tak długo bić się trzeba, aż można będzie wrócić na swoją ziemię.

Był w Batalionach Chłopskich, odznaczenia miał. Potem w książce nawet o nim pisali. Nastala Polska, pojawił się z lasów. Ale nie było dokąd wracać. Tam krew nadal się lała, ognie lunami stały pod niebem, ginęli ludzie. Wołano, by jechać na zachód. Pojechali, osiedli tu. Na początek, aby przeczekać, aż ich strony będą spokojne. Wieści przyszły, że tam wojna. Gdy się uspokoiło, ani można było, ani było do czego wracać. Pustynia. Dziś mówią: Bieszczady. Pytali dwa lata temu, może by wrócił. Pokazał im wtedy tę ziemię. Powiedział, że nowa, ale i stara, bo sercu bliska. Na tamtej zaciążył zły posiew. Nie wie, co miał na myśli.

Nigdy jednak nie wrócił już dawny Piotr. Zawsze był teraz ponury, zapatrzony tylko w swą ziemię, w swą pracę. Bał się. Nocami, zdawało mu się, widzi, jak krzyżują Ostapa. I Pietrka małego widzi... I o tym niebie, zagarniętym przez czarną chmurę, wciąż mówił. I o ziemi zabranej. Jeden miał wtedy ratunek, do tej nowej ziemi szedł, klękał, brał przygarść gleby, albo kiść kłosów, tulił do twarzy, szeptał. To mu wracało, zdrowie.

Zaczęło się z tą cegielnią. Każdej już nocy widział tamte wrota stodoły i róg jej zbrzygany krwią. I niebo czarne. Nie było na niego sposobu, słowa nie usłuchał jednego. Gdy płot stawiał, o jamie tamtej nikt nie wiedział, czuła już, że się musi coś stać. Ale rady nie było na niego żadnej... I o ziemi wołał ciągle, i o niebie, że znów czarne, że znów chmura, że dola jego taka, ale już go nie zmoją, nigdzie więcej nie pójdzie, tu zostanie. Jakbym i dziś słyszała, gdy tak wołał.

Może woła teraz podobnie z tego więzienia?

Ona się boi o Piotra...

Ustał spokojny, jednostajny, śpiewny głos kobiety. Mrok już dawno krążył po kątach izby. Mgła za oknem zasnęła kontury wznoszącego się ku górze komina nowej cegielni.

Henryk rozumiał teraz, czego zabrakło mu w mądrych przecie i uczciwych słowach sekretarza. Opowieść Koniejenkowej dopiero uzupełniła obraz.

A w tym wszystkim jest Lena. Uświadomił sobie, że nagle, właśnie od tej opowieści, dziewczyna stała mu się szczególnie bliska, bliższa niż kiedykolwiek. Zrozumiał także, czemu czasem była tak bardzo dziwna. Na kim by nie ciążył ciągle w dodatku przywoływany przez ojca, obraz tamtej stodoły?

I w ogóle, czy mógł teraz dziwić się Koniejeńce w czymkolwiek? Prawo, sprawiedliwość, jakże to czasem jest niewymierne.

Drobna dłoń Koniejenkowej przesunęła się delikatnie ku jego ramieniu.

- Idą - powiedziała. - Lena i Jurek.

Spojrzał na nią jak zbudzony ze snu, wracał do przytomności z dna głębokiej zadumy. Zerwał się nagle z miejsca.

- Ja przyjdę jutro. Dziś nie mogę. Nie mogę. To, co usłyszałem... Będę patrzył na nią, na nich, i ciągle pamiętałem!.. Ta ziemia, i to czarne niebo.

Spokojnie, rozumiejąc, kiwnęła głową. Przez kuchnię poprowadziła do drugiego, bocznego wyjścia.

Słyszał, jak w chwilę potem mówiła do córki:

- Był ten nauczyciel, Kirgiełło... Jutro zajrzy.

Wtedy bokiem, wzdłuż linii krzewów, przesunął się ku drodze. Spojrzał ku cegielni. Od tamtej strony horyzont zagarniała czarna, ponura chmura. No tak, czarne niebo, zrabowane także i niebo...

Parno było jak przedtem. Zza opończy chmur niosło się długim, przetaczającym się gromem.

6.

Radość to była wielka i dziwna. Przez pierwszych kilka wieczorów rojno było jak nigdy na miasteczkowym rynku i głównej ulicy. Oglądali, cmokali, dumni byli.

- Międzyrzecz ani Sulechów niczego takiego nie mają. A u nas, proszę! I to od razu jaki wielgachny...

Na drugi dzień jedna litera wprawdzie zagasła, nikomu to jednak nie przeszkadzało, poprawią przecież. Ważne, że neon był. Wysadziły się GS-y, wypysniły tym z oddali widocznym, lekko migotliwym napisem: „Wiejski Dom Towarowy”. W dwóch kolorach, czerwonym i żółtym. To już nie jakaś tam zakazana dziura, ale prawdziwe miasto.

- Już to się starają oni w tym magistracie - sapała przysadzista babina, właścicielka straganu na rynku. - Żeby tylko takiego podatku targowego nie brali...

- Cacy, cacy, może się i starają. Tylko nie wiedzieć, w którą stronę więcej, dla miasta czy dla swojej kieszeni - zgryźliwie zaszeptał jegomość z szyją owiniętą jedwabnym szalikiem.

Najbliżsi spojrzeli ciekawie. Wiadomo było, kto jak kto, ale kioskarz „Ruchu” zawsze miał wiadomości z pierwszej ręki. Rad z wrażenia poprawiał szalik, szacując zarazem stopień zainteresowania obecnych.

- Wiceprzewodniczący buduje się, tak? - zaszeptał jeszcze głośniejszym, do tego tonem całkowicie już tajemniczym. Odczekał na przytaknięcie. - Bliźniaka stawiają, ze szwagrem,

pod dach już wyciągnęli... Ale nie wiadomo, czy skończą.

Straganiarka przysunęła się zupełnie blisko. Falującą, tłustą piersią naparła na kioskarza.

- Ten zastępca? Co to od gospodarki? To może dlatego podatki takie wysokie? To on taki łachudra?

Kioskarz nagle się stropił. Za wielu gapiów już się zgromadziło wokoło. Jeszcze doniesie kto, że obgaduje władzę? W pięćdziesiątym siedział pół roku za tak zwaną szeptankę. Nic tam nie było, kawał opowiedział przy jakiejś okazji, zaraz wyszło, że wróg władzy ludowej. Lepiej nie zaczynać, dziś inne czasy, ale licho nie śpi. Lecz znowu jakże to nie powiedzieć?

- W partii już omawiali wszystko, mówią, że wyrzucili tego zastępcę... A w prezydium od trzech dni siedzi kontrola. Z samej Zielonej Góry, a jeden nawet podobno z Warszawy. Cement ginął, cegła, żelazo.

- Na tę ich budowę?

- Aha.

- Prawda, Maliniaka, też wzywali na posterunek. Że on z szoferami trzyma, co na budowach i przy magazynach pracują - znalazł się dalszy informator.

Żółto-czerwone światła neonu straciły na atrakcyjności. Gdzież bo, takie nowiny! Ale już kioskarz zwinął żagle, kolejny zaś informator o niczym więcej nie wiedział. Został po nich nastrój zaciekawienia.

- A te geologi, co w ziemi wiercą, cuda jakieś u nas znaleźli... Może miedź jak pod Głogowem? Albo siarkę? - oddech niewielkiego wzrostem faceta podwiewał wódką. - Pomiar robią wokoło miasteczka, czy nie robią?

- Ano, jest tych mierniczych. Działki chłopskie wytyczają. Bo to ziemi według tego, co sam każdy podawał, zabrakło tysiąc hektarów.

- Pewnie ten z prezydium ukradł na swoją budowę.

Śmiech. Wesoło. Bo też i neon tak ładnie świeci.

- Jakie tam działki. Plany robią pod nowe domy. Tu ma przyjechać dziesięć tysięcy ludzi. Kopalnie będą, fabryki. Ot, co - dowodził facet z wódczanym oddechem. - Samych gospód pięć będzie nowych.

- Chronź Boże. I tak już Sodom i Gomora.

- Ooo! Zgasło.

Neon zamigotał, rozżarzył się mocniej, przybladł, buchnął silnym blaskiem raz jeszcze i szcerniał zupełnie. Ciemno się nagle zrobiło, rzadkie latarnie nie rozpraszały mroku.

- Bumelanty i brakoroby.

- Żeby ich jasna krew załała, partacze!

Rozgniewani byli i zawiedzeni. Jakże to, tak piękny był neon, sypał czerwonymi i żółtymi blaskami, nadawał nowe tony ich miasteczku, teraz zaś od razu kłapa przez tych popsujów.

Biednie, ponuro, ledwie, ledwie rozjaśniały mrok ulic rzadkie światła kilku lamp ze starej sieci oświetleniowej. Słupy przygotowane pod jarzeniówki wciąż się pięły ku górze, pozbawione poprzecznych koron. Kozuchów odmawiał sprzedaży lamp; zamówienie w porę nie zostało zgłoszone do planu.

I mimo, że lipcowy wieczór podobnie był ciepły i piękny jak poprzednie, zaraz opustoszało na rynku i głównej ulicy, rozplynęła się ciżba ludzka po domach. Bo jeżeli nie ma neonu?

Na aleję zdobną podwójnym rzędem rozrosłych lip, siejących ostrym, lekko mdłym zapachem kwiecia, śmieiej teraz zdążyły przejęte sobą parki, od dworca z żagańskiego pociągu szybko prześliznęło się kilka postaci, przedreptała zbieraczka jagód Czmuńkowa, znów zapuszczając się po borówki w odległe lasy, z któregoś okna mocniejszym charkotem zapluło radio, a potem zacichło wkoło, światła po domach poczęły zagasać, noc jest nocą, spać trzeba.

Dopiero na tę zaspaną jednostajność miasteczkowego życia wypłynął w całej okazałości bar „Piastowski”, tuż za rogiem pierwszej uliczki od rynku, z dużym, czerwonym szyldem, oświetlanym nieosłoniętą żarówką. „Zacisze” ciągle jeszcze było w remoncie, obiecywali, na lipca zakończą, bar tymczasem robił podwójne obroty.

Tłoczno, dymno i kwaśno, bo w upały najlepiej pić wódkę zmieszana z piwem. Tyle, że młode, psiakrew, dowożą, piany prawie nie ma i chmiel nieprzetrawiony piołunem gryzie w gębę. Szum przez otwarte szeroko drzwi niesie się na miasteczko, psy się czasem rozzłoszczą, szczekną, wreszcie kulą ogony, bo to z pijusami co kiedy wiadomo?

Kierownik, za dobrych swych czasów tragarz Hartwiga, szacuje kasę i przypadający od niej procencik. Premia będzie się chyba należeć za lipiec, jak i w czerwcu, plan na pewno przekroczą... Kierownik oczy ma zmęczone, zaczerwienione białka, od dymu, który gryzie niemiłosiernie. Nic, niech piją, jeszcze piwa, jeszcze pół basa, może lepiej od razu litrówkę? Szacuje wzrokiem ładunek stolików. Byle zasłużyć na premię. Kobieta kwęka, dzieciakom trzeba ubrać na jesień, gdy pójda do szkoły, samemu też by się przydały buciska. Niech siedzą i piją, co, piwa beczułkę? Już się podtacza, bufetowa ty moja. Fela, czop odbijaj, ruszaj że się, dziewczyno!

Już nie pali, nie pije, serce zestarzało się dziwnie szybko. Oczy pieką, ale są uważne, znają już z błyskawicznego zerknięcia nastroje pijących. Tamci przy oknie wpadli w trans zwierzeń, będą tak szeptać choćby do rana. Szoferzy się śmieją, rechocą, ano, mówią o

Maryni... Ten chłopina z niedalekiej miasteczka osady gotów do snu. Od południa opijał pomyslną sprzedaż jałowicy i dwóch bekonów, stawiał każdemu, kto chciał i nie chciał. Niewiele mu tej gotówki zostało. Tamten z ekipy wiertniczej, regularny jak zegarek, co trzeci dzień przychodzi, wybałusza cielece oczy na Fełę, już się tam spikną po fajrancie na pewno, dziewucha zupełnie poważania dla siebie nie ma. Tutaj... - Spojrzenie barczystego kierownika traci wyraz dobrodusznego ślamazarstwa, narasta czujnością. - Rozróżba gotowa, znów się popili, gówniarze. Fela też musiała wyczuwać, dawno temu skasowała należność. Teraz ich ciupasem, bo krzyk podnoszą. Zaraz skoczy sobie tych dwóch do oczu.

Podszedł masywny, zgniewany. - Wynocha, kamraci!

- Coś pan, panie Józefie... - zaraz się podnieśli spokorniali, posłuszni.

- Chodźcie, chłopaki, na grunt. Co tu grandę robić szefowi.

- Ano tak - mruknął, dodając nieznaczny ruch ramion. Napięły się mięśnie wyglądające spod białej, przepoconej koszulki.

Wytoczyli się gromadą. Już na schodkach rozindyczyli się na siebie ponownie. Pozostali zachęcali z całego serca:

- Maniek, jak Boga kocham, zostawisz na czysto?

- Stasiu, maźnij przez ryło, czego się do ciebie przypieprza?

Odsunęli się jeszcze trochę z płaszczyzny światła zakurzonej żarówki obok napisu: „Piastowski”. Usłuchali. Maznął jeden drugiego, poprawił. Zamłócili pięściami, zacharczeli, krzyknęli świadkowie w ucieście, że się prowokacja udała, dołączyli glosy swe do duetu. Sapanie, wyzwiska, siarczysta młócka. Niegroźna do chwili, gdy jeden z przeciwników solidnie splunął krwią i zębami. Odkoczył, łapsko szur do kieszeni, zgrzyt ostrej sprężyny, łysnęła klinga. Ani się zdążył zamachnąć. Noga kibica wylądowała na przygarstku, nóż frunął na stronę.

- Toś ty, Maniek, aż taki? Nożem na Stasia?

- Kurrczę, czekaj ty, taki synie!

Solidarnie ze Stasiem we trójkę sypnęli na nożownika. Zadudniło. Po głowie, po gębie, po ramionach i plecach. Czyjś but wparł się w rozmachu w podbrzusze. I jeszcze go raz, i jeszcze. Taki syn, nożem! O, kurrczę!

Zwalił się na ziemię. Jeszcze tłukli, kopali, aż zapiszczał, zacharczał, ramionami twarz sobie przesłonił.

- Będiesz raz jeszcze? Będiesz, kurza twa twarz?!

- Nie będę...

Cicheńki, w tym harmiderze w ogóle niedosłyszalny warkot motoru; duży ford starszego

już typu przyhamował przy barze. Gwałtownie szarpiąc drzwiczkami wyskoczył kierowca, podbiegł ku trójce zastygłej nad leżącym kolegą.

- Coście mu, łajdaki, zrobili? We trzech na jednego?

Spojrzeni spode łba. Maniek od ziemi głową szarpnął ku górze.

- Niczyj zasrany interes, kto i co! Zabawa taka, kapujesz pan? Tu nie Kanada, żeby każdy skakał do oczu...

Stękając podniósł się, wymięty, ubrukany, z gębą zsieczoną jak kotlet. Kierowca forda zastygł w zdumieniu, jeszcze powiódł po całej kompanii spojrzeniem, potem zaśmiał się głośno, już niefrasobliwie.

- To aż taka z was sitwa?

Zniknął w „Piastkowskim”.

Maniek rozkraczony na niepewnych nogach, z pokapującą krwią gębą patrzył za nim, seplenił:

- Kanadyjce, w dupę rąbany! Aposto! się znalazł. Jak mu zaraz przetnę opony, to na drugi raz nie będzie wpięprzał nosa w nieswoje sprawy.

- Maniek, chcesz jeszcze?

Nie odpowiedział, sięgnął do kieszeni, w garści trzymał zmiętoszone banknoty, wyciągnął czerwony, podał najbliższemu.

- Weź na wynos pół basa, bufetowa ci da. Tam wszyscy teraz Kanadyjcem przejęci...

Pewnie, że byli przejęci. Przy stolikach ucichł pijany rej-wach, wszystkie oczy utkwiły w przybyszu, który siadł przy najbliższym ladzie stoliku.

- Pięćdziesiątkę i flaszkę wody sodowej - powiedział do bufetowej.

- Wody zabrakło. Może być mineralna, dobrze?

Podawała kieliszek i kufel od piwa, butelkę Kryniczanki. Od stolików patrzono na jego manipulacje ciekawie, ale i z obrzydzeniem wyraźnym. Widział to kto, kieliszek wódki rozprawdzać we wodzie? Też obyczaj mają w tej ich Kanadzie. Kudy im do polskiego picia. Żeby choć z piwem mieszał.

Kołysząc zadkiem, Fela żeglowała już w jego stronę, ściereczką machnęła przez stół, powiedziała dzień dobry, uśmiechnęła się. Odburknął tylko. Pił powoli, sięgnął do kieszeni, odliczył dokładnie kwotę, przysunął na skraj blatu. Przechyliła się wtedy, niby to odbierając pustą flaszkę, zawinęła mu piersiami przed twarzą, zastygła na moment, wreszcie cofnęła się z westchnieniem, ślepy czy co? Inni by już dawno na nią lecieli. Czucia chłop nie ma do kobiet?

Kierowca podniósł się wolno, przyjrzał się sali, uśmiechnął do kierownika baru, lekkim,

trochę kołyszącym krokiem skierował się do wyjścia. Zaraz zawarczał ford, przez otwarte drzwi wionęło zapachem benzyny.

Kierownik wyjrzał, ani śladu po tamtych czterech, czerwone tylne światła wozu zmalowały już, zaraz znikną zupełnie.

- Takiemu to dobrze. Oj, musi on mieć tych dolarów, a musi.

- Podobno warszawę jeszcze kupił, chce na taksówkę.

- Chałupę wziął do remontu, jak głupi. Już by lepiej dom nowy zbudował.

- Gadają, skąpy jest Kanadyjec. Wypił bo kiedy jak na chłopa przystało, postawił komu? Ciągle tylko wieczorkiem po swoje gramy i wodę sodową. Dziwny człowiek.

- Jaki tam dziw, wiadomo: Kanadyjec! Panno Felu, jeszcze, kochana, ćwiartuchnę. Ja płacę!

Gdy czarny ford po raz pierwszy przejechał przez miasteczko, przystając przed budynkiem prezydium, o tyle tylko fakt ten zwrócił jakąś uwagę, o ile typ samochodu należał do rzadko widywanych. Jak zawsze, zgromadzili się przy nim miejscowi entuzjaści motoryzacji, wymieniając fachowe uwagi.

Na właściciela wozu, szpakowatego mężczyznę gdzieś blisko pod pięćdziesiątkę, mało kto spojrzał. Średniego wzrostu, lekko zgarbiony, elastycznym krokiem szedł w stronę ratusza, przyglądając mu się z charakterystycznym skrzywieniem głowy. Ubrany raczej skromnie, nie wyróżniał się także i od tej strony.

Dopiero przy następnych wizytach, gdy to i owo wyciekło na zewnątrz z prezydium, aż po moment, gdy sam przewodniczący raczył zasiąść w czarnym fordzie obok kierowcy, by wspólnie obejrzeć miasteczko, a zwłaszcza jego peryferyjne zabudowania, gruchnęło plotką, zgoła sensacyjną. Milioner chce się u nas osiedlić. Kanadyjczyk. Forsy on ma, panie dzieju, jak lodu, same dolary, mógłby nas wszystkich kupić i sprzedać.

Potem już wersje piętrzyły się-jedna na drugiej. A to, że dom buduje, że fabrykę ma założyć, że umyślił sobie żonę tu znaleźć - tę ostatnią pogłoskę szczególnie gorliwie lansował miejscowy fryzjer, zaraz się panny sypnęły sznurem na ondulację - że musi ten „Kanadyjec” nie być figurą, sam rząd się nim specjalnie zajmuje.

Ale choć niby autem, tym wielgachnym fordem, się rozbija, skąpy jest jednak, dusigrosz, a dla zwykłego człowieka wyrozumienia nie ma. Żeby to się zatrzymał kiedy, pogadał z tym czy tamtym, na pytania odpowiadał. Nic, tyle, że się uśmiechnie, gdy zagadną go o te wielkie miliony, raz nawet zwymyślał starego Olejarkę od głupków. Po knajpach też się nie tłucze, ma jeden zwyczaj, sto gram z wodą sodową wypija każdego wieczora, na jednej

nodze, już go nie ma. Z tą zeniączką też nie wiadomo, jak się nie wierciły dziewczęta wokoło, zdawał się być bezduszny, ani zaczepił. Dziwak, nosa zadziera, już to korzyści dla miasteczka wielkiej z niego nie będzie. Nie uważa miejscowych ludzi. Nawet dla remontu domu swojego nie poprosił Dominiaka o pomoc, a gdzie znaleźć lepszego fachowca, tylko młodzika, inżyniera jakiegoś sprowadził z Zielonej Góry. Chodzili, mierzyli, sprzeczał się nawet, dziw, co za cuda tam zamierzają. Ech, krzyku więcej niżeli pożytku. Kanadyjec, wielka mi emicyja.

Jedno tylko pozostawało dziwne, z każdym dniem bardziej zadziwiająca. Jeżeli taki bogacz, a jeszcze ma aż rządowe plecy, co go u diabła niesie do małego, zakichanego miasteczka. Bo nawet po tej rozbudowie, po tych fabrykach i cegielniach, jeszcze małe zostanie. Z milionami to do wielkiego miasta, do Warszawy, Krakowa, no choćby już do Zielonej Góry, zawsze wojewódzka stolica. Tymczasem on właśnie tutaj zamyślił. Coś musi w tym być, trzeba uważać, uważać... Musieliby ci ciekawscy być niepomiernie zdumieni wiedząc, że i sam Okińczyc nieraz się zastanawiał, co go przyniosło właśnie tutaj, na Ziemię Lubuską, do tej niewielkiej mieściny? Że nazwa utkwiała w pamięci po dawnych opowieściach Frankowych? Czyżby wystarczać miało to związanie poprzez sentyment do zmarłego tragicznie kolegi i przyjaciela? Miasteczko biedne, tyle że co nieco uporządkowane po zniszczeniach wojennych, dopiero budzące się do jakiegoś przyszłego życia, rozplotkowane i zadufane w sobie, miasteczko, jakich w Polsce setki i tysiące. Ani ładniejsze, ani brzydsze. Że jeziora i rzeka, lasów trochę, niedaleko Zielona Góra, autem jeden skok do Poznania, to znów nie tak wielkie atrakcje. Czemu więc jeszcze w dawnych zamysłach, nim wrócił do kraju, przychodziła mu ta mieścina na myśl i chciał ją sobie obejrzeć, czemu potem tak chętnie usłuchał, gdy mu w Warszawie podsunęto między innymi tę nazwę?

Że. już potem zdecydował się prędko, to było naturalne. Zawsze podejmował szybkie decyzje. Dlaczego jednak właśnie tu? Przecież to, co mu proponowano w Żaganiu, stwarzało lepsze warunki. Albo Strzelce Krajeńskie. A jednak coś ciągnęło do tych ciekawskich, otaczających forda, do zagubionych w ciemności i błocie bocznych uliczek, nawet do zaczepki ładnej dziewczyny w barze „Piaśtowskiem”.

Gdyby Franek żył, gdyby wrócili razem, jak to nieraz roili we wspólnych marzeniach, to co innego. Powód byłby jasny. Franek ciągle mówił o tym zachodzie, jakby już samym faktem przyszłej swojej tu obecności pragnął powetować krzywdy i udręki zaznane w czas okupacji. Ale on nie był z Frankiem ani w niewoli, ani w służbie u wymagającego bauera.

Franek. Tu początek i koniec tajemnicy, nie ma co wiele się zastanawiać. Zbyt wiele ich z sobą łączyło, by potem choćby nie nazwanymi strunami wracać musiało wszystko, co bliskie

było tamtemu. Wieleż to razy, gdy w śpiworach leżeli pośród bezkresów kanadyjskich lasów, żywiąc się byle czym i byle jak, mówił Lipski, patrząc w przestrzeń przed sobą: „Tam zawsze były tylko bezimienne groby Polaków. W obozach, na miejscu przymusowej pracy, gdzieś we wspólnym dole, przy jakiejś nieznannej miedzy. A ja bym chciał żyć tam i umrzeć, mieć miejsce na małym miasteczkowym cmentarzu, niewielką płytę z kamienia, wyryte na niej swoje nazwisko i imię. Rozumiesz, właśnie tam, gdzie przedtem było miejsce jedynie na bezimienne groby, gdzie w ogóle równano te groby z ziemią...”

Wzruszał wtedy ramionami, nie rozumiał. Franek niemało tutaj wycierpiał. Co go więc gnało tęsknotą do tego miejsca? Że wróciło ono do Polski, że groby są teraz polskie, ksiądz odprowadza na cmentarz, obrzeżony płaczącymi wierzbami? Czy to nie wszystko jedno?

Franek się nie doczekał. A tak już niewiele dzieliło ich od tej wspólnej drogi przez ocean. Właśnie „Batory” zaczął regularną komunikację Kanada-Polska, obliczali, rok najwyżej, wypełnią swoje zobowiązania, przerzucą w ostatnich sezonach łowieckich co nieco grosza, rozejrzą się, pojedą do tej miejsciny, może tam właśnie osiadą na stałe, założą rodziny.

Drogą niemałych wyrzeczeń, ryzykując prawie cały swój kapitał, kupili ten samolocik. To dawało największe szansę myśliwskie, mogli docierać w każde odludzie, unikali trudności z dostawą. Już w pierwszym sezonie powetowali wszystkie wydatki, lepiej niż kiedy poznali kanadyjską północ. Nigdy przedtem marzyć nie mogli o takich wiązkach skór, jak te, które właśnie wtedy dostarczać zaczęli do kupieckich faktorii. Jeszcze pomagali biedniejszym traperom... Potem przez miesiąc polowali na wilki. Rząd prowincji wyznaczył wielkie kwoty za każdą ubitą sztukę, bestie czyniły bowiem straszliwe spustoszenia pośród karibu. Zima była ostra, dłonie czasem tak marzły, że ledwie, ledwie radziły z drążkami. Pilotowali na zmianę, Franek łatwo chwycił ten spryt, poza całą wiedzą konieczny lotnikowi. Strzelali także na zmianę, wyczyniając najdziwaczniejsze akrobacje. Bywało, maszyna szła całkowicie bokiem, albo zgoła się kładła na plecy, a zawieszony już tylko na pasach myśliwy walił z tej pozycji w umykające na strony, skulone sylwetki drapieżców. Blisko dwie setki wilków ubili w ten sposób.

Rozochocili się, na najbliższy, ostatni w ich zamierzeniach sezon szykowali się niezwykle starannie. Przez wiele lotów zawczasu przygotowali miejsca na biwaki, przetarli kilka lądowisk, bo choć dla małej maszyny nie było trzeba wiele przestrzeni, nigdzie wykroty i wądoły nie ułatwiały sprawy. Raz o mało się nie rozbili przez takie paskudztwo... Przedtem zamierzali zrobić solidny zapas szlachetnych skór. Franek zawsze się śmiał, iż po komplecie muszą sobie zostawić, dla przyszłych żon. Łakomy zawsze był na kobiety. Jak to jednego razu na trzy doby zginął w Toronto, wrócił potem splukany do cna... Pod wiosnę znów mieli

powrócić do łowów, na wilki. Dla zysku i dla emocji.

Poszło im niespodziewanie. Nigdy strzały ich nie były tak celne, nigdy szlak pastek, potrzasków, pułapek nie obfitował tak w pojmaną zwierzynę. Po komplecie dla przyszłych żon też odłożyli, jak tego chciał Franek... Z wilkami początkowo gorzej się wiodło. Próżno przelatywali wielkie przestrzenie, krążyli godzinami nad pustkowiami pokrytymi śniegiem, płoszyli stada karibu, biorąc zarazem udział w rządowej akcji dożywiania sianem tych zwierząt, z trudem rozgarniających porożem zlodowaciały śnieg, by pod nim znajdować pożywienie. Spotykali tropy wilków, rzadko jednak kiedy drapieżnik dostawał się pod zasięg ich kul. Wyczerpywały się złożone latem w różnych punktach zapasy paliwa i żywności. Z niemałym trudem kilkakrotnie już musieli je uzupełniać, co mitrężyło czas i słono kosztowało. I właśnie wtedy, gdy zostały im zaledwie dwie beki benzyny, zetknęli się z jedną i drugą wilczą watahą. W trzy dni wyrównali swe straty. Wieczorami kładali się obok maszyny do snu tak pomęczeni, że słowa z trudem cedzili przez gardła. Jeszcze dzień, jeszcze, po osiemnaście sztuk, po dwadzieścia, jak nigdy. Aż trzeba było powiedzieć stop. Paliwa zaledwie starczało, by dotrzeć do bazy po jakieś uzupełnienie. Kolej przypadła na Franka, szkoda było drugiego miejsca na obciążenie, równoznaczne stu litrom benzyny. Lipski poleciał zatem, za dwa dni miał wrócić...

Oczekiwał go wczesnym południem. Ogień palił się mocno, kipiała gorąca herbata, opatulona wojlukiem dymiała świeża pieczeń... Wichura była coraz mocniejsza. Znienacka nadeszła, bywało tak często w tych stronach. Zawiewało ostrym, zlodowaciałym śniegiem, chwilami zgarniało wszystko z pola widzenia. Zaczął się niepokoić o Franka. Wylecieć musiał w porę, czterysta kilometrów, lada chwila powinien być. tylko ta zamieć. Nie ma w pobliżu znośnych lądowisk, będzie parł chłopak na miejsce.

Znajomy warkot motoru. Jest, zatem dobrze. Jakoś zląduje na dobrze znajomej polanie. Żeby się na chwilę uspokoiło, a to dmie właśnie jak wszyscy diabli, nic nie widać za śnieżnym tumanem. Lipski już zmniejsza obroty, schodzi ku ziemi. Trochę daleko, tam są wykroty, może go wiatr zdmuchuje? Podmuch ustał, przejaśniło się. Maszyna szła nisko, widać już Franka, coś musi mu nie grać, czemu nie siada, czemu? Co on tam grzebie przy drążkach, zacięło się coś? No, już... Nagły krzyk trwogi, samolot zbyt silnie dziobem zaciążył ku ziemi. Nie, dotknął podwoziem, już się odbił, znów, znów, koła rolują. Co to? Koła zapadły się nagle, maszyna fiknęła kozła, motor nie warczy, wyłączony w ostatniej chwili, ale skąd ogień, strasznie buchnęło...

Biegł na pół przytomny. Tam, gdzie się przewróciła maszyna, masyw ognia, znów silniej powiało, jakby w pomoc płomieniom. Nowy wybuch, prawda, Franek wiózł z sobą beczki z

benzyną...

Był już bliźniutko, jeszcze jeden wybuch, jeszcze osłepiający snop ognia. Nie patrząc na nic, szarpał się, ratował, odciągał, ciął nożem pasy, płomień go ogarnął, musiał odskoczyć, wytarzać się w śniegu, zagasić tłące ubranie. I wiedział już w tym momencie, że nic nie pomoże, że z Frankiem koniec. Że już nie będzie wracał Lipski do Polski, nie ujrzy tego miasteczka na ziemiach zachodnich, gdzie w czas okupacji wylądował po wielu przejściach jako niewolnik zamożnego bauera, że nic z tego grobu na maleńkim, okolonym wierzbami cmentarzu...

Skurczone, zwęglone zwłoki pochował w tym samym miejscu, gdzie runęła i zżarta została płomieniami ich maszyna. Starannie umacniał skromny grób, by się nie dostały do niego dzikie zwierzęta. Strzaskane, odrzucone na stronę śmigło stało się materiałem na krzyż. Na nim przybił tabliczkę z polskim napisem... Jakże daleko od wymarzonego cmentarza w przy-odrzańskim miasteczku. Jakże daleko...

Tak, to Franek go tutaj przywiódł, jego nie spełnione marzenia. Niemało jeszcze przeżył udręki zagubionej w głębi kanadyjskiej północy, mało brakło, poszedłby w ślady przyjaciela. Potem czym szybciej zlikwidował swe sprawy, wrócił na Batorym, jest w Polsce, osiedla się oto we Frankowym miasteczku.

Frankowym? Dziwne były koleje losu Lipskiego. We wrześniu trafił do jenieckiego obozu, wrychle zeń uciekł, znalazł się znów w rodzinnej Mławie. Potem konspiracja, Warszawa, akcje bojowe, wyjście do Kampinosu z jednym z pierwszych oddziałów. Zlecenie do miasta, na punkcie wyspa, czekali już gestapowcy. Długie badania, na zawsze pozostały ślady, transport do Oświęcimia. We trójkę zaryzykowali ucieczkę. Tamci padli w trakcie pościgu, Franek uszedł. Głupota przyniosła go z powrotem do Mławy, sam potem mówił, że czasem robi człowiek nie wiedzieć czemu największe głupstwa. Znów wpadł w jakiejś łapance. Łączność gestapo nie najlepiej widać funkcjonowała, jeśli włączono go w transport wyjeżdżający na pracę do Rzeszy. Było to już na przełomie lat 1943/44. Trafił do bauera opodal tego miasteczka. Przy ewakuacji, którą zarządzono tu wyjątkowo wcześniej, budowano na tym odcinku linię umocnień, podążył z bauerem na zachód. Miał w tym swe przemyślenia. Niedługo czekał, trafił na teren zajęty przez Anglików. Z pierwszą okazją frunął do Kanady. Biedowai tam, aż się z sobą spiknęli. I taki los w końcu. Franek tam został, on trafił do miejsciny, w której przyszły pobyt stawał się dla Lipskiego satysfakcją za całe lata okupacyjnej tułaczki. Stawał się dla Lipskiego, stał tymczasem dla Okińczycza. Czy aby na pewno, czy aby tak, czy się stał rzeczywiście? Cóż go z tą miejsciną łączyło? A jednak tu wylądował, tu, nie gdzie indziej. Dziwacznie układają się ludzkie losy. Dziwacznie...

Zapuszczając motor po wyjściu z „Piastowskiego”, postanowił, że dłużej nie będzie zwlekał, ostro zabierze się do roboty, I tak się byczył przez dwa miesiące. Pierwszy, niechby to sobie był już urlop wypoczynkowy, nie zaznał czegoś takiego od lat. Trzeba zresztą było obejrzeć, zwiedzić kraj, oswoić się z jego zupełnie nowym obliczem. Ale potem wszystkie te formalności i urzędowe ceregiele trwały za długo. Przed zimą musi być gotów, nie po to ciulał tak ciężko w Kanadzie, by zaraz roztrwonić ten grosz. Że tu, cholera, ludzie nie znają ceny swej pracy ni czasu. Przydałaby się im zagraniczna szkoła, jak i jemu przydała, kanadyjska czy przedtem angielska. No, ten młody inżynier z Zielonej Góry to się szybko uwinie, ma chłopak smykałkę, w lot pojął, o co mu chodzi. Nawet nie był bardzo zdziwiony...

Bank PKO awizował, że dostawę materiałów rozpocznie w przyszłym tygodniu. Zdąży się przez ten czas zrobić wykopy. Cement trzeba najlepszy, z marką co najmniej „350”..Dwadzieścia ton, powinno starczyć...

Dał pokój rozmyślaniom. Wsłuchał się w pracę motoru. Sapał, szedł nierówno, pewnie znów świeca, trzeba to wreszcie naprawić. Zatrzymał wóz, podniósł maskę. No tak, tylko gdzie się dostanie osadki do świec od fordów? Mówiono, w Poznaniu szukać, w prywatnych firmach podobno wszystko mają. Zobaczy się... Osadził kapsle, zatrzasnął maskę. Jakichś dwu podpitych młokosów wysunęło się z cienia:

- Dzień dobry panu Kanadyjczykowi - przesadnie nisko skłonił się jeden, ściągając z głowy wymiętą myckę.

- Cześć.

- Dobre takie życie, samochodzik, dolary, no nie? Napiłbyś się pan z nami, nosa pan tak zadzierasza, albo to ładnie. Nic tu z nas żaden nie winien, że nie udało mu się zarabiać dolarów w Kanadzie - przywarli do samochodu, kleili się do karoserii, ani się od nich opędzili.

Denerwował go ten głupi bełkot. Kanada, dolary. Cholera, wygodnisie, poharaliby tak jak on. Mróz nie mróz, zawieja, śniegi, zadymka, głód i smród, często do gęby nie ma co włożyć. Ani chwili na odpoczynek, chyba, że człowiek już się wali zmordowany do cna na byle barłóg. Kanada im pachnie, hultajom.

Odpychając ich zgoła bezceremonialnie, wpakował się za kierownicę. Jeszcze uchylił okienka:

- Wy, kochani, gdzie pracujecie?

- On w POM-ie, traktory naprawia, a ja? Ja, gdzie Bozia pozwoli. Za murarza byłem, to mnie wylali...

- Za murarza? Pion wyprowadzić potrafisz? Na tempo mógłbyś robić?

- Jakby trzeba, to się da, czemu nie? Chcesz pan robotę przysiulić?

- Zgłoś się kochany, do mnie za tydzień. Wiesz, przy końcu szosy wylotowej na Międzyrzecz, dobra?

- Wiem, wszyscy wiedzą, gdzie ta Kanada... Dobra jest, przyjdę. A dziś na jednego nie zajrzemy do „Piastowskiego”? Na zadatek, he, panie Kanadyjczyk?

- No, jazda, obiboki, bo czasu nie mam.

Pchnął z miejsca, miał jeszcze ford zryw, choć maszyna mocno sfatygowana. Sypnęli, klnąc mocno, na strony, któryś pięścią pogroził.

- Cholera, wałkonie! Roboty tutaj jak nigdy, płakał ten przewodniczący, że murarzy brakuje, a taki gamoń byle tylko złapać na ćwiartkę i dosyć. Niech zajrzy, już go pogonię, aż się nauczy pracować - zamruczał Okińczyc do siebie.

Rozbił światłami czerń małej, bocznej uliczki, w której na tymczasem znalazł sobie wygodne locum. Tyle, że. wóz musiał zostawiać na dworze, marniał w słońcu czy deszczu. Aby do jesieni, już sobie wyszykuje garaż do tego czasu.

Gdy zatrząskiwał drzwiczki, wydało mu się, że z przeciwległej strony domu słyszy jakieś szmery, jakby tupot spłoszonych nóg. Gwałtownie skotłowały się, rozjaśniły myśli. Biegiem nie zdąży, w ciemnościach i tak nie zobaczy niczego. Dłoń już namacała w kieszeni kluczyk stacyjki, motor zagrał od jednego pchnięcia starteru, bieg, podrzut maszyny do przodu, na róg, dalej nie można jechać, wystarczy. Snopy reflektorów, biją te fordowskie, niechże to lichu.

W tych jasnych snopach wyskoczyła, widział, ciemna postać, złapana nagle w światła, dobiegła płotu, z pakunkiem w dłoniach. Pognał w tamtą stronę, pędził co siły, jak tam, w kanadyjskich puszczech, gdy zaszła nagle potrzeba pościgu.

Uciekinier przesadzał już mizerny, na słowo honoru trzymający się płotek. Tam łąka zarosła burzanami, ostem, innym takim paskudztwem. Wsiąknie, ani go potem odnaleźć. Więc jeszcze szybciej.

Skok z rozpędu, nogi utonęły w kretowisku, mało się nie wywrócił. Światła reflektorów nie docierały już tutaj. Odległość, a i gęstwa wiśniowych gałęzi, nawisłych dojrzewającą jagodą. Jeszcze widział tamtego. Biegł co sił w nogach, gdzie mu jednak się równać. Nie takie tury miał Okińczyc za sobą.

Grzmotnęło coś silnie o ziemię, zaraz potem sylwetka uciekającego jakby nabrała lekkości. Okińczyc przystanął. Jeżeli złodziej, to już porzucił swój łup. Teraz go nie dogoni. Psiakrew, nie ma latarki w kieszeni, po ciemku ani się przedzierać przez zielska. Pewnie musiały jakimś głupcom zapachnieć jego osławione dolary.

Podniósł pakunek. Owiązane grubą serwetą ze stołu teczka, ubranie, jakieś drobiazgi, maszynka elektryczna do golenia, co tylko znalazł złodziej pod ręką. Przez mrok, z bezpiecznego oddalenia dobiegł go pokrzyk pełen pasji:

- Ty kanadyjska wywłoko! Drugi raz podwójnie odpłacisz za swoje...

Uśmiechnął się, nasłuchiwał, ale cisza zamarła teraz w powietrzu. Głos wydał mu się znajomy. Gdzież go mógł tutaj słyszeć, za wiele nie przestawał wszak z ludźmi. W knajpie? Chyba nie. Tamci czterej, co się tłukli przed barem? Też nie... Ci dwaj podpici amatorzy łatwego zarobku, nie, nie mogliby zdążyć...

Szmer od tej ciemnej strony, od nieprzejrzystego mroku. Zdał sobie w tej chwili sprawę, że rozrzedzone dałą i ścianą wiśniowych drzewek, szpalerem otaczających sad, przecież padają na niego resztki światła samochodowych reflektorów. Schylił się po toból, już było za późno, świsnęło w powietrzu, raz po razie sypnęły ku niemu kamienie, uskoczył, jeszcze słyszał złośliwy, zjadliwy chichot, zaraz ostry ból przebiegł od dłoni przez lewe ramię.

- Ech, wy, takie syny - ryknął w ciemność, chciał gnać, ale gdzie, za kim? Uparte diabły, mało że kradną, jeszcze mścić się próbują, że im przeszkodził...

Dał pokój dociekaniom. Niosąc toból ze swymi rzeczami, poczłapał z powrotem. Na sad padały nadal mocne światła, motor warczał cichutko na wolnych obrotach. W brzdach znaczyły się ślady. Te są jego, nie ma tu nikt podobnych zelówek, tamte złodzieja. Czemu ich jednak tak dużo. Nachylił się, zagwizdał. Dwóch było, jeden musiał być szybszy, wcześniej umknął, u drugiego chciwość musiała przeważać, nie spodziewał się, że Okińczyk tak szybko się zorientuje.

Okno jego pokoju było otwarte. Zawsze zostawiał je pół-przymknięte, skądże miał oczekiwać złodziei? W Kanadzie od nich się odzwyczaił, jeszcze w myśliwskich wertepach. Tam kradzież była najcięższą zbrodnią, traperzy znali dla niej własne, surowe prawa... Tu jeszcze nie nauczył się przezorności. Wtedy, w Warszawie, pugilaresik z piórem i ołówkami, przez szczęśliwy przypadek, bo skądże kieszonkowiec miał wiedzieć, iż było w zwyczaju jego ofiary noszenie portfela w prawej, nie lewej wewnętrznej kieszeni? Zlekceważył ze śmiechem tamten wypadek. Teraz miał drugą nauczkę. Na dodatek zraniona ręka. Boli, psiakrew!

Gdy jednym susem wtargnął przez okno do własnego pokoju, właśnie od wewnątrz otwarły się drzwi i stanął w nich w gaciach jeszcze, prosto ze snu, gospodarz domu, Walicki. Oczy szeroko roztworzył, słysząc głos Okińczyca.

- To pan, chwalić Boga, a już żeśmy z żoną myśleli, nie dajże Bóg, złodzieje...

- Byli też złodzieje - przeszedł przez pokój, przekreślił kontakt.

Z ust Walickiego wydostał się przeciągły jęk. Złodzieje musieli plądrować tu sporo czasu, sądząc po zostawionym przez nich bałaganie. Nawet pościel na łóżku wywrócona była do cna, z poduszki sypało się pierze. Walizy wybebeszone, w jednej poprute dno, taki sam porządek w szafie i na nocnym stoliku, zwanym przez Walickiego „naktkastlikiem”.

Zaciskając usta, ze złości i bólu, lewa dłoń zwiśla bezwładnie, prawą szybko przeglądał swoje rzeczy. Mógł przecie ten pierwszy unieść z sobą co nieco. Niczego jednak nie brakowało, jeżeli wliczyć przedmioty z odzyskanego tobołu.

- Czekaj pan, zrobię porządek z maszyną, zaraz wrócę - przypomniał sobie.

Walicki zgnębiony, nawet fizycznie złamany przez pół, powlókł się za nim, jęcząc raz po raz. Taki wstyd, w ich domu, co będzie, jeśli Okińczycy pomyśli, że on ze starą mógł znajdować się w spółce? Słyszcy się wszak o takich rzeczach. Bo też ten Kanadyjczyk mógłby lepiej zabezpieczyć swe mienie. Okno zawsze zostawiał otwarte. Wiadomo, czego jak czego, ale złodziei nigdy nie zbraknie. Tego i Polska Ludowa nie przemieni, choćby nie wiem wiele gadano p wychowaniu nowego człowieka.

- To za okupacji tak się nasz człowiek kraść, proszę pana, nauczył - bąkał, płacząc się przy Okińczycu, gdy przez ciasną sionkę znowu wpychali się do wnętrza domu.

W narzuconym na ramiona płaszczu wychynęła z bocznego pokoiku postać kobieca.

- Okradli pana Okińczycy, Elżbietko - powiedział Walicki ponurym, przejętym głosem.

- Matko moja najmiłościwsza! Okradli? Pewnie dolary zabrali? Aj, aj, aj, i co teraz pan zrobi? Wszystko na nic, bieda i nędza! Aj, aj, aj, panie Okińczycy, co za naród... - rozjęczała się, rozjazgotała. - Możeż ja panu choć herbatki zrobię na takie strapienie?

- Cicho! - huknął niegrzecznie. Zły był, jeszcze ci starzy będą teraz odprawiać dziadowską jakąś nowenę. - Nic nie ukradli. Jednego już doganiałem, rzucił wtedy ten worek - wchodząc do pokoju, wskazał na odzyskany toboł.

- Nic nie ukradli? Chwałaż Bogu, nieprawda, ojciec? Chwała Bogu. To już polecę po tę herbatkę, duchem się zrobi na elepstryczności...

- Niechże pani da spokój ze swoją herbatą - burknął niegrzecznie. - Lepiej by jaką wodę, jodynę może i bandaż... Dranie, kamieniami rzucali, trafiło w lewą rękę tę kalekę...

Podniósł lewe ramię ku górze, chcąc je lepiej obejrzeć, i aż zasyczał. Rwało na całej długości.- Od tamtego wypadku zawsze było wrażliwe. Trzeba pecha, by teraz znowu. Goś niedobrze zaczyna się dziać w tym Frankowym miasteczku... Krew skapywała wolno, widział, było to raczej naskórkowe zdrapanie. Ale dłoń puchła w przegubie, jedyne trzy palce także zgrubiały i posiniały; tam gdzie zostały kikuty po tamtych palcach, bolało szczególnie mocno.

- Wiele tu nie poradzi. Trzeba do lekarza. W szpitalu jest dyżur? - pytał, przy pomocy Walickiej zmywając rękę i przewijając prowizorycznie bandażem.

- Zawsze jest. Pójdę z panem - zaofiarował się Walicki.

- Pilnuj pan domu. Sam pojedę, prawą ręką pokieruję wozem - uśmiechnął się na wspomnienie. Wieleż to razy prowadząc jeepa jedną dłonią, drugą trzymał na sztucerze gotową do strzału?

- Taka przykrość. W naszym domu - biadoliła bez przerwy Walicka.

- Nic pani nie winna. Proszę może zrobić tu jaki taki porządek, nim wrócę. Będziemy się strzegli na przyszłość - powiedział łagodnie.

- Ludzie gadają o pana dolarach, więc się skusili łachmyci - powiedział stary. - Dobrze, że nie znaleźli. Takie rzeczy trzeba starannie chować.

- W banku je chowam, a nie w pokoju - zaśmiał się, zaraz syknął, przy nieostrożnym ruchu raniona dłoń zabolą silniej.

Starzy nasłuchiwali jeszcze warkotu motoru, cofającego się na ulicę z wąskiego podwórza. Spojrzeli po sobie.

- Taka przykrość. W naszym domu - powtórzyła Walicka, schylając się po wyrzucone na podłogę białe koszule lokatora.

- O psa trzeba nam się wystarać. Zawsze mówiem, tyś tylko nie chciała.

- A kupże sobie, kup, Antośku, prawda, moja wina, nie chciałam...

Gdy ford zatrzymał się przed podjazdem szpitalnym, zza drzwi wyjrzała najpierw twarz sanitariusza, zaraz jednak skłębiły się przy niej buzie młodych pielęgniarek. Okińczyc usłyszał szept:

- Kanadyjczyk! Patrz, Zocha, Kanadyjczyk przyjechał.

Uśmiechnął się cierpko. Już to przezwanie będzie gonić za nim zawsze. Jak i fama o milionach dolarów. Że też ludzie mogą być tacy głupi!

Z kwaśną miną wszedł do izby przyjęć. Poza młodymi dziewczętami nie zastał w niej nikogo.

- Pan w sprawie...?

- Opatrunku, rozeznania, bo ja wiem. Ręka - wyciągnął zbolą, napuchniętą dłoń.

Starsza z dziewczyn ujęła go za ramię, przypatrując się dziwacznej dłoni słynnego „Kanadyjczyka”.

- A te dwa palce to na wojnie panu urwało?

- Na żadnej wojnie... Dziewucha jedna odgryzła mi przy zabawie - minę miał niesłychanie

poważną.

- Dziewucha?? Na zabawie? - oczy jedna i druga postawiły w ślup, zastygły w oszołomieniu. To dopiero miał ten człowiek przeżycia, jeżeli mu aż palce odgryzła jakaś tam lafirynda. To ci dopiero...

- To, panny, mnie będziecie opatrywały? - zapytał nieufnie.

- Nie, nie, skądże. Tylko że pani doktor ma zabieg, a siostra przełożona jest przy niej... Ja zaraz pobiegnę - zerwała się druga, zwana przez koleżankę Zochą.

Siedział w oczekiwaniu, z mocno ponurą miną. Próżno pozostała dziewczyna próbowała go podpytywać o to czy tamto. Odburkiwał jak nadąsany niedźwiedź. Nie znosił atmosfery szpitala. Dwa razy wyleżał się w czymś takim porządnie. Pierwszy, to po tamtej kuli jeszcze we Francji. A potem w kraksie samolotowej, gdy stracił dwa palce. Wtedy obok niego zmarli dwaj koledzy piloci, również uczestnicy batalii lotniczej w obronie Anglii... Raziła go biel ścian i sprzętów, mieszanina zapachu lekarstw i smaru do podłóg, błyszczący nikiel narzędzi, ogólny klimat cierpienia. Przysiągł sobie wtedy, że więcej nigdy nie będzie leżał w szpitalu. Pewnie, głupia przysięga, bo to może człowiek coś wiedzieć, ale jednak sama świadomość takiego ślubowania dodaje otuchy...

- Dzień dobry panu! Obejrzał się gwałtownie. Podchodziła ku niemu kobieta w średnim wieku, może nawet młoda, bo te aż przezroczyście białe włosy to na pewno nie ze starości. Głos też miody, miękki. Rumieńce na policzkach świeższe jak u tych dziewczyn.

- Dzień dobry pani - podniósł się z białego, psiakrew, krzeselka. - Przepraszam, że przerywam pracę, ale stał mi się drobny wypadek, wolałbym zawczasu zrobić z tym jakiś porządek - wyciągnął rękę.

- Chwileczkę, już służę... Dziewczęta, idźcie do pani doktor, trzeba jej pomóc. Ja tu sama poradzę.

Przyjrzała się uważnie jego dłoni. Słowem nie wspomniała o brakujących dwu palcach. Już to samo bardzo go ujęło, rzadko kiedy spotykał się z brakiem niezdrowej ciekawości, a co, a kiedy, dlaczego... Oglądała dłoń, naciskała, drgnął, gdy w pewnej chwili przegięła ją silniej. Spojrzała na pobladłą twarz pacjenta:

- Wytrzymały pan jest... Dłoń wybita w przegubie ze stawu. A jeszcze silne uderzenie, zahamowanie normalnego krwioobiegu... Nic groźnego. Przejdziemy do sali opatrunkowej i nastawimy. Trochę zaboli.

Szedł za nią, drobną, poruszającą się zgrabnie. Patrzył na wyglądające spod czepka siwe włosy. Musiała mieć ciężkie przejścia, przecież to nie z czego innego, myślał. Przemknęło mu przez głowę, że byłoby dobrze, gdyby dłoń obejrzała jeszcze lekarka, pełniąca dziś nocny

dyżur, zaraz jednak zrezygnował z tego zamiaru. Ta siostra, przełożona, jak mówiły dziewczęta, na pewno nie gorzej zna się na rzeczy. Pamiętał, jaką szaloną rutynę miały starsze siostry w angielskim szpitalu, do nich się przede wszystkim zwracali pacjenci.

Cisza dookolna dzwoniła w uszach. Jak tam - przypomniał nadwieczorne chwile w kanadyjskiej puszczy. Dopiero w jakiś czas po zapadnięciu zmroku ożywało wszystko... Za zamkniętymi drzwiami sali i separatek tutejsza cisza nasączona była jednak cierpieniem i bólem. To było odczuwalne, tkwiło w powietrzu zamkniętym bielą ścian i drzwi, w ostrym zapachu smarowanej dezynfekcyjnymi środkami podłogi.

- Proszę.

Tuż za drzwiami, przez które wchodził, były inne, szerokie, na nich napis: sala operacyjna. Wstrząsnął się, wwozili go wtedy do takiej samej, nie sądził, że wyjdzie stamtąd żywy. Jednak wyszedł. W każdym razie wspomnienie niemiłe... Co innego ten gabinecik. Opatrunki, to brzmi niegroźnie, nawet w obecności szaf z narzędziami, lśnącymi polerowanym niklem. Porządek widać na pierwszy rzut oka - skonstatował, siadając na wskazanym fotelu.

- Dłoń proszę trzymać na podparciu w ten sposób... Ostrzegam, zaboli, ale na to nie ma już rady.

Zdumiał się jej sile i zręczności zarazem. Jedną dłonią przytrzymywała, drugą szarpnęła silnie, ostry ból, trzask.

- Po wszystkim... Teraz opatrzmy stłuczenie. Parę dni proszę wstrzymywać się od pracy tą ręką. Przy kierownicy jakoś pan sobie prawą poradzi, prawda? - uśmiechnęła się.

Jodyna, woda utleniona, poznał po pienieniu, jeszcze sprawdzenie, czy staw dobrze nastawiony.

- Warto trochę poczekać, niech minie ból naruszenia stawu.

- Czy mogę zapalić?

Zawahała się.

- Tutaj właściwie nie można... No nic, wywietrzy się jeszcze. Sama też zgrzeszę przy tej okazji.

Podał papierośnicę, odmówiła, pali tylko nysy. Zaciągała się mocno, nałogowo. Nie lubił, gdy kobiety palą, tym razem jednak nie raziło go to. Sam sobie się zdziwił. Powiedział jej.

- Może są różne sposoby i różne konieczności palenia. Ja nie w szpitalu się tego uczyłam. Był taki okres w moim życiu, gdy tytoń stawał się jedyną formą wytchnienia i odprężenia.

Spojrzał odruchowo na jej włosy, szybko opuścił oczy, wstydząc się tego odruchu..

- Tak, wtedy osiwiłam nagle, przez jedną noc... Zdawało mi się, że przeszłam najgorsze, ale tego nie mogłam przewidzieć. Brat mój trafił na minę na polu, jakie mieliśmy zaorywać

pod pierwszy siew. Rozerwało go w strzępy. Ale to już minęło... co zresztą pana obchodzą te sprawy.

- Ależ - próbował zaprotestować.

- Najważniejsze w życiu, to świadomość dwóch rzeczy. Że nasze sprawy nikogo nie interesują, oraz to, żeby nie interesować się czyimiś sprawami. Przy tym wiedza taka nie zawsze jeszcze równoznaczna jest z jej stosowaniem praktycznym... - Zmieniała temat. - Widywałam pana w jego fordzie, nie spodziewałam się, że będę musiała udzielać panu pomocy.

- Kiedyś trzeba się było zapoznać - rozjaśnił się. Było mu dziwnie miło, ból ustępował, ta kobieta miała w sobie mądrą pogodę, płynącą może z sumy gorzkich doświadczeń, przestały razić biele i nikle pomieszczenia.

- O panu to aż za wiele się tutaj słyszy... W takim jak nasze miasteczku ludzie są niepomernie ciekawi. Myślę czasami, że może to normalne zjawisko. Z każdym rokiem życie normuje się, jutro jest coraz pewniejsze. Zostają gdzieś dawne wspomnienia, rozpadają się różne podziały, wszyscy pragną zbliżenia. Czas lęku człowieka przed człowiekiem już minął.

- Plotka to nie to samo. Tutaj za wiele plotki, za mało konkretnej roboty. Myślę o pojedynczych ludziach. Spotkałem dziś dwóch pijanych młokosów. Jeden gdzieś odbębnia robotę, drugiemu i tego się nie chce. Obija się po mieście i tyle. Cóż dziwnego, że ma ochotę plotkować, czymś przecież trzeba czas zająć... - Przypomniał sobie: - Gdy zajechałem pod szpital, zaraz usłyszałem szepty, że Kanadyjczyk... To niby ja...

Uśmiechnął się przepaszająco.

- Na przekór temu, co pani mówiła, gładzę tutaj. Może jestem trochę podenerwowany. W domu spłoszyłem złodziei. Gdy ich ścigałem, posypały się kamienie, ta ręka to skutek... W miasteczku mówi się o milionach, w końcu ja się tym złodziejom nie dziwię. Tak jak nie dziwię się waszemu Totolotkowi. Też okazja do łatwego wzbogacenia, to nic, że złudna. Ale ta szansa, mieć coś nic nie robiąc, nie zapracowując na to.

- Dobrze już pan nas przejrzał.

- Nie nas, na pewno nie nas... Ale te samo zjawisko łatwizny istnieje, to pewne.

Sięgnęła po jego dłoń, przedtem starannie gasząc niedopałek w zaimprovizowanej z pudełka popielniczce.

- Puchlizna gwałtownie opada, widzi pan, co znaczy, jak wszystko się znajdzie na swoim miejscu. Gdyby pan nie zjawił się dzisiaj, jutro dłoń wyglądałaby jak dynia... Teraz można obandażować. To elastyczny bandaż. Po dwóch dniach może go pan spokojnie zdjąć.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - patrzył na jej włosy.

- Korzystam z okazji, niedługo przechodzę do innej pracy. Też piękna, ale bezpośrednio nie będę już mogła pomagać chorym - powstała z miejsca.

Ogromnie był ciekaw, o jakiej pracy mówi, ale wolał nie pytać. Nie miał tego zwyczaju, a jeszcze ona sama tak wyraźnie powiedziała o dwóch sprawach najważniejszych w życiu.

Wychodząc jeszcze raz spojrzął na jej włosy.

Następnego zaś dnia, po nabraniu benzyny na stacji u Maliniaka, zwrócił się do niego z pytaniem:

- Panie kierowniku, czy mógłby chłopak zrobić mi małą przysługę? Chciałbym, żeby odniósł mi jedną rzecz - uśmiechnął się trochę niepewnie.

- Tomek, sam tu, gamoni! - huknął w odpowiedzi Maliniak.

Ciekawie zerkał, jak sławny Kanadyjczyk wręcza zdumionemu chłopakowi potężny bukiet róż - pewnie od Kaźmierczaka, skąd by indziej je dostał - prosząc o przekazanie siostrze przełożonej w szpitalu.

- Tej siwej? - upewniał się Tomek.

- Tej siwej. Tylko nie zgub koperty... Miałem wybitą rękę, świetnie mi zestawiała - jakby tłumacząc się, spojrzął na Maliniaka.

Ten głową pokiwał, dopiero gdy ford odjechał, przymrużył znacząco oko.

7.

Gwałtowna była w pocałunkach, a przecież czuł, że jeszcze opanowuje temperament, hamuje się całą mocą. Ona unikała tych pocałunków, ona, gdy do nich już doszło, pierwsza się odsuwała, przesłaniała mu dłonią usta, szeptała:

- Nie, Heniek, nie teraz...

Wtedy przygasało w nim wszystko. Nad ławką mrokiem szeleściły drzewa starego sadu, czerniała linia domu, w którym czaiło się coś groźnego. Właśnie, groźnego, już dawniej to Henryk odczuwał, nastrój ten pogłębił się w nim po niespodzianym wylewie szczerości Koniejenkowej. Potem nigdy już nie nawiązywała do tej rozmowy, zdawała się unikać najmniejszych napomnień, Henryk czuł na sobie jej uważne, jak gdyby ostrzegawcze spojrzenie. Może obawiała się własnej szczerości, tamtą chwilę zwierzeń sama sobie poczytując za słabość, nie wiedział, nie próbował się tego domyślać. Tyle, że pełniej pojął tragedię, dla której sprawa cegielni była przypadkowym jedynie etapem, tragedię, która wcale się jeszcze nie zakończyła, która czaiła się tutaj stale, rzutowała na wszystko.

Na wszystko. Także na ich uczucie. Niemal dotykalnie też czuł barierę, przegradzającą go od Leny. I to znacznie silniej, niżby przedzielać ich mogła sprawa jej ojca, ta ostatnia sprawa.

Niedopowiedziane było coś jeszcze. Dlatego Lena bywała tak często dziwna, niemal niezrozumiała.

Nie znosił podobnych stanów, u siebie zresztą nigdy ich nie wykrywał, silna jednak wrażliwość łatwo zezwalała mu na odczytywanie ich w innych, cóż dopiero u Leny.

Drażniła go nieskończoność wszystkiego w ich wzajemnym stosunku. Nie tylko pocałunków i delikatnych pieszczot, urywających się nagle, ale przede wszystkim rozmów, w których wszelkie sprawy stawały się płynne, nic nie znajdowało wyraźnie wytyczonych granic, stawało się wieloznaczne.

Matka albo nie wiedziała o coraz częstszych jego wizytach u Koniejenków, albo też matczynym sercem domyślała się jego wewnętrznych konfliktów. Wbrew przyrodzonej pogodzie stał się opryskliwy, zasepiał się, zamyślał, nie wiedzieć nad czym. Było to nazbyt widoczne, pozostawało już tylko dopowiedzenie reszty. Dopowiadała swoim zwyczajem głośno, powtarzającymi się ostrzeżeniami przed „tą dziewczyną”, podkreśleniem różnicy nie tyle pochodzenia, na co Henryk najmniej był czuły, ale poziomu intelektualnego, wychowania, tradycji, klimatu, w jakim obydwójce wzrastali. W niejednym miała rację, przeważnie jednak myliła się jak najbardziej.

Skąd bo mogła pani Kirgiełłowa domyślić się, iż jedną z ambicji starego Koniejenki było danie dzieciom możliwie najlepszego wykształcenia. Przez nie zamyślał odmienić los, który ciążył tak nad ich rodziną. Jerzy studiował na politechnice mechanizację rolnictwa, przeszedł na czwarty rok. Lena też się uczyła, szereg lat jeździła przecież co dnia do sulechowskiego liceum, uzyskała już małą maturę, nie przerywałaby nauki dalej, gdyby nie choroba. Spadła niespodziewanie, na cztery z górą miesiące odcinając dziewczynę od świata, potem jeszcze był długi okres rekonwalescencji. Nie było co marzyć o powrocie do szkoły. Później już jakoś nie zezwalały warunki; została w domu, łudząc się, że jeszcze nadarzy się okazja, powetuje wtedy lukę ostatnich lat.

Czytała dużo. Henryk nie spotkał się z podobnie żarliwym stosunkiem do książki. O wiele lepiej odczytana była od niego, w rozmowach na temat lektury poddawał się od razu, nie mogąc jej sprostować. Należała do najaktywniejszych czytelniczek biblioteki miejskiej, w jej pokoju na stryszku Koniejenkowego domu sporą szafę zatłaczały książki.

Intelektualnie nie było między nimi wielkiej różnicy. Tu się matka myliła. A reszta? Pochodzenie dla Henryka nie odgrywało roli. Przestarzałym i wręcz śmiesznym byłoby oglądanie się na te sprawy, jak to czyniła Kirgiełłowa. Ale wychowanie, tradycja, klimat, w jakim każde z nich wyrastało? Te rzeczy w pewien sposób niewątpliwie ważyły. Ważyły zwłaszcza w aurze Koniejenkowego domu na północnym krańcu miasteczka. Nie tylko nad

Piotrem zaciągnęły się ciemne chmury na wymaginowanym przez niego niebie. Cień ich padał na żonę, padał na Jurka i Lenę.

Jerzy był zamknięty w sobie. Heniek nie pamiętał, czy chociaż raz widział go uśmiechniętym. Zawsze poważny, skupiony, z mocno zmarszczonym czołem, trochę przechylony do przodu, jakby dźwigał nadmierny ciężar. Uparty przy tym, pracowity i wytrwały. Oczy miał jaśniejsze niż oczy rodziców i siostry. Ciemnoniebieskie z zielonkawym przeblaskiem. Henryk też go nie lubił, mimo że na stosunek chłopca do siebie nie mógł narzekać. Jurek go tolerował, a to stanowiło już wiele. Lena sama uśmiechając się, kiedyś to powiedziała.

Brata kochała, ale oceniała go trzeźwo, nie poddając się złudzeniom.

- Straszna będzie jego miłość. On tej kobiecie da z siebie wszystko, ale zażąda w trójnasób więcej. Spojrzeć, już się czuje, jaka w nim kipi gwałtowność, hamowana jedynie wewnętrzną dyscypliną...

Kiedy indziej zastanawiała się: .

- Ciekawam, czy ona nas kocha? Rodziców, mnie? Czasem odnoszę wrażenie, że oprócz poczucia obowiązku i swoistej rodzinnej solidarności, nie odczuwa dla innych nic więcej. Sam dla siebie jest wszystkim. Dziwna jakaś odmiana sobkostwa.

Słuchając tej opinii, Henryk wzruszył ramionami. Raz, że mało go w końcu Jerzy obchodził, dwa, że opinia Leny wydała mu się nazbyt wyedukowana. Może to wpływ olbrzymich porcji lektury, przy jednoczesnym wyobcowaniu z bieżących spraw choćby tylko małego, miasteczkowego świata, od którego Lena trzymała się z dala. Bo w tym stosunku do Jerzego opinie jej nie znajdowały pokrycia w faktach, o których się przypadkowo dowiedział. Jerzy był czynnym działaczem organizacji młodzieżowych i studenckich. Był często wybierany do zarządów, gdyż zawsze można było na niego liczyć w pracy. Twardy w zasadach, nie uznawał kompromisów, obce mu były okoliczności usprawiedliwiające chwiejność, wahania. W takich wypadkach przywdziewał togę prokuratorską. Dlatego może ceniono go, ale nie lubiano. Poważano, ale nie miano dla niego uśmiechu.

Słuchając słów Leny i zestawiając znaną skądinąd relację o politycznej aktywności Jerzego, Henryk zapytywał w duchu sam siebie: Gdzie tu sobkostwo?

Ostatecznie nie pragnął poświęcać się badaniom nad psychiką Jerzego. Ma tamten ochotę być ponurakiem, niech będzie. Nie do Jerzego rwie się sercem, ale do Leny.

Olena, Lena. Zestawiał pełne i zdrobniałe brzmienie jej imienia. Jakby myślał, że odszyfruje tym tajemnicę zapory, ciągle dzielącej go od dziewczyny.

Mimo wszystko. Wiedział bowiem, że nie jest jej obojętny, więcej, że go Lena na pewno

kocha. Chyba nie tą pierwszą, dziewczęcą miłością, bardzo zazwyczaj piękną, ale też równie nietrwałą, na to była już zbyt dojrzała. W tym domu musiała szybko dojrzeć, może nazbyt szybko.

Tego wieczora - słońce dopiero zagasło, mrok dopiero zagarniał resztki dziennego światła - patrzył na spokojną twarz dziewczyny, siedzącej obok niego na ławce pod rozrostłym drzewem rumieniącym się już jabłkami. Cichy uśmiech rozchyłał jej pełne wargi. Nie mógł się oprzeć pokusie. Ogarnął dziewczynę ramieniem, przyłgął do tych warg ustami. Zadrżała, ogarnęła jego szyję rękami, mocno, całą siłą wpiła się w usta, uczył koniuszek języka, przesuwający się po nich, jeszcze jej zęby nagryzły go lekko, znowu ten ucisk warg, silny, wwiercający się namiętnością. Czuł gwałtowny oddech, dygotanie piersi, jakby skurcz całego jej ciała. Aż się zachłusnął tym wszystkim, garnął się cały do niej, chcąc o niczym więcej już nie pamiętać... I nagle odtrąciła go niemal brutalnie, ostro. Otworzył oczy, zagniewany i pełen nowego rozczarowania, spojrzął w jej twarz. Jeszcze znaczyło się tam upojenie dopiero minioną chwilą, ciemne oczy, pociemniałe bardziej niż kiedy, powoli powracały do rzeczywistości, zapatrzone ciągle gdzieś bardzo dla niego daleko.

- Nie, Heńku, nie.

- Dlaczego?

- Bo...-niepewny, ogarniający wszystko i nic zarazem ruch ręką. - Bo ja nie mam odwagi. Jest we mnie przemożniejszy nad wszystko lęk. Ja się boję twojego uczucia, boję się go także u siebie. Najgorsze, że nie wiem, czemu - szeptała szybko, ściskając jego rękę jakby w przeproszeniu.

Znowu wydało mu się, że niebo tutaj nad nimi naprawdę czemuś jest ciemne, okryte chmurami. Aż głowę unióś i spojrzął: na horyzoncie błąkało się parę cumulusów, niebo było czyste, rozświetnione, jak na dziecięcych, naiwnych obrazkach. Skąd to dziwne, obce wycucie ciemni? Skąd chłód przebiegający po plecach?

- Lena, nie rozumiem, co z tobą się dzieje. Wiem tylko, że jest mi z tym źle - poskarżył się.

Naprawdę było mu źle.

Milczała. Cienie wieczoru kładły się po sadzie, ogarniały ich lepkiem mrokiem.

Twą jej widział jeszcze wyraźniej. Pociągłą, o wyrazistym wykroju oczu, mocnych wargach, lekko poddanych do przodu, o ledwie, ledwie zgarbionej linii zawsze rozedrganego u nasady nosa, o nieco - jakby spłaszczonych policzkach. O cerze śniadej, co się uwidaczało tym silniej przy ciemnych włosach, mocnych, zarazem miękkich, co bywa raczej przywilejem blondynek. Twą Leny nigdy nie była martwa. Drgała nasada nosa, nie umiały pozostawać w

bezruchu wargi. Najwięcej mówiące były oczy, zmienne w intensywności barwy źrenic, od niemal czerni aż po matowy granat.

Patrzył na powoli rozmazującą się w szarości zmierzchu twarz dziewczyny, czując, jak narastają w nim razem i tkliwość, i duma, że właśnie on ją pokochał, że ona darzy go wzajemnością, że wiele jeszcze jest przed nimi pisane. Bo w końcu zginie, musi zginąć ta atmosfera niepojętego podniecenia i lęku. Odszkodowanie czekało już na podjęcie, lada dzień miało nastąpić formalne przekazanie Koniejenkom nowego terenu uprawnego w zamian za obszar przekazywany cegielni, sekretarz partii sam podobno pilnował sprawy. Proces Koniejenki również zapowiadał się w kategoriach łagodnych, bąkano, że może w ogóle do procesu nie dojdzie... Wróci któregoś dnia Piotr Koniejenko do domu, wszystko się wyrówna, ustali, ich miłość też się zacznie inaczej rozwijać. Matka napomyka wciąż o żeniaczce. Ani wie, jaką ma na to ochotę. Dobrze im będzie z Leną.

- Ja wiem, Heńku, że ci jest źle - odezwała się nagle, nawiązując do dawno już wyrzeczonych przez niego słów. - Trapię się tym. Wierz mi, nie ja stwarzam tę jakąś zaporę między nami, trudno mi sprawę wyrazić, pojmujesz przecie... Matka opowiadała ci wiele o naszej rodzinie, prawda? - Nie czekając potwierdzenia czy zaprzeczenia, mówiła dalej głosem przyciszonym, miękkim jak spowijający ich zmierzch. - Z tym polem, z szaleństwem ojca, wpływającym nie ze złych chyba pobudek, z tym będzie koniec. Ojciec wróci, unormuje się wszystko. Wiem, że tak będzie, a przy tym nie opuszcza mnie uczucie jakiegoś ściskania koło serca. Jakby się coś czaiło z boku, coś, co wyczuwam, ale czego nie widzę, nie słyszę, nazwać nie umiem. To mi przeszkadza cię kochać, tak jak dziewczyna powinna kochać swojego chłopca... - głos jej opadł teraz, brzmiał już zupełnie cicho. - Heńku, namyśl się, nie przychodź może tutaj czas jakiś... Bo jeśli ten niepokój zawsze we mnie zostanie, jeśli ja nigdy nie potrafię w pełni być sobą?

Drgnęli obydwójce. Z cienia napłynęły mocne kroki. To Jurek wracał z miasteczka.

- Wiecie? - powiedział po swojemu, bez żadnych wstępów. - Lada dzień wypuszczą ojca z więzienia. Albo umorzą sprawę, albo odpowiadał będzie z wolnej stopy.

Umilkł. Niedaleko, tuż za pnem jabłoni, cykał cichutko świerszcz.

- Może mógłbym pojechać wtedy do swoich chłopców na pole Grunwaldu. Chciałem bardzo brać udział w zlocie. Myślimy, może stać się on przełomowym momentem w pracy z młodzieżą.

- Pojechałbyś razem z moją matką - uśmiechnął się Heniek, zdziwiony nagłym zwrotem myślowym Jerzego. - Ona też się wybiera, jako spadkobierczyni tradycji rodowych wyimaginowanych rycerzy Kirgiełłów, którzy wraz z Jagiełłą bili pod Grunwaldem

Krzyżaków.

- Skąd wiesz, może naprawdę jacyś Kirgiellowie tam byli? - poważnie jak zawsze odpowiedział Jurek.

- Chłodno, to od glinianek tak ciągnie pod wieczór - Lena podniosła się z ławki.

Henryk rad był, że miody Koniejenko przerwał ich poprzednią rozmowę. Przecież Lena nie miała racji.

A może? - podszeptało mu coś z mroku, przyczajonego za pniem starej jabłoni.

Drugiego dnia po powrocie z więzienia, wieczorem, Piotr Koniejenko powiesił się na belce w stodole. Po paru godzinach zimne, zeszywniałe już ciało odnalazł i odciął syn Jerzy.

Zaszumiało podnieceniem miasteczko. Sprawa Koniejenki zbyt była głośna, by nie wywołać teraz nowych komentarzy. Więc jednak, zadreczęł się człowiek na śmierć. A wyglądało, że się wszystko obróci na dobre.

Dlaczego musiał to zrobić? Dlaczego? Pytania takie, nie wypowiedziane wyraźnie, czuło się we wszystkich spojrzeniach, widziało się na wszystkich twarzach.

Powoli, nie zawsze sprawdzone, przenikały bliższe szczegóły.

Zjawił się w domu niespodziewanie, gdzieś tak około południa. Zamiast pociągiem, nadjechał z powiatowego miasta przygodnym samochodem. Wysiadł niemal że przed własną zagrodą. Koniejenkowa, szykując karmę dla świń, aż krzyknęła na jego widok, rozradowana i strwożona zarazem. Zawsze źle wyglądał, teraz, zdawało się jej, została z niego jedynie tylko olbrzymia strzecha ciemnych włosów. Podszedł ku niej poważny, złożył pocałunek na czole.

- Bywaj, matka - powiedział, jakby nic nigdy nie zaszło, jakby nie było długich tygodni jego nieobecności, ciężkiej atmosfery oczekiwania, duszącej niepokojem o jutro.

Prowadziła go do domu, usadziła za stołem; jeść nie chciał, mleka jedynie pił dużo.

- Tam nie dawali mleka. Ani razu nie było... - Potem wyjaśnił tym samym spokojnym głosem: - Zwolnili mnie do procesu, odpowiadać mam z wolnej stopy. Tłumaczyli, dlatego zwalniają, że to żniwa, nadchodzi roboczy czas.

Widziała, zmarszczył się na wspomnienie o zbożu, o żniwach. Zagadywała go opowiadając, co działo się w gospodarstwie przez tych kilka tygodni. Że Jurek bardzo pomaga, właśnie jutro miał zaczynać kośbę jęczmienia, co to posiany za górką. Razem będą mogli się zabrać, wiele tam tego nie ma...

- Na stole jest w izbie wezwanie, żebyś podjął odszkodowanie. Za to, co nam potratowali. Zaliczyli cały zasiew, choć tam jeszcze niemało przecież się zbierze.

Zaraz się podniósł, przyniósł papier do kuchni, długo oglądał i odczytywał.

- Tę ziemię zabiorą pod cegielnię, będzie im potrzebna. Nam mają dać ugór od drugiej strony. Grunt dobry, tyle, że narobić się przyjdzie przy nim niemało. Za to dwa razy więcej... Już tylko na papier z Zielonej Góry czekają w prezydium.

Głowę przechylał, słuchając. Znowu mleka się napił.

- Tak - powiedział. - Tak.

Spoglądała nieufnie, spod oka. Skądże ten Piotr taki nagle spokojny. W więzieniu chłopca jej odmienili? Śledziła uważnie, gdy wciskając czapkę na głowę, podniósł się z nagłą i ruszył przez otwarte drzwi, gorąco było, piękny czas się zapowiadał na żniwa, prosto na drogę koło stratowanego zagona. Ciężarówka jakaś z piaskiem pchała się tamtędy. Zł S. Szofer nie jechał prosto, zakosami wgniatał się w warstwę niestratowanego jeszcze zboża. Koniejenko stał na drodze, patrzył. Potem poczłapał na pole, ujął w garść kilka zgniecionych źdźbeł, podniósł je do ust.

Tam go zastali Lena i Jurek. Podbiegli ku ojcu, rozradowani jego widokiem. Jakby raźniej zawrócił wraz z nimi. Powiedział, że w więzieniu najbardziej mu brakło zieleni. Tutaj zaś wesoło, trawa zielona, drzewa zielone, krzewy i nawet zwykły chwast. Słońce, choć mocne, nie zdołało spalić napitych deszczami roślin.

Całe popołudnie łąził po swoich uprawach, jakby nie mógł się nacieszyć odzyskaną wolnością. Unikał tylko patrzenia w kierunku cegielni, gdzie komin rósł z każdym dniem, już zdając się przewyższać okoliczne drzewa. Wieczorem, w domu, rozgadał się nawet, opowiadał o dniach więziennych. Śmiał się kilkakrotnie. Utulił Lenę, gdy przypadając ojcu do rąk, cieszyła się, że już koniec kłopotom, wynagrodzono im krzywdę, proces to bagatela, może nie odbędzie się w ogóle, spokojnie będą pracować.

Tylko w nocy spać nie mógł, boleśnie przewracał się z boku na bok, Koniejenkowa ślepiła za nim w ciemności, z napiętą uwagą. Gdy wstał w pewnej chwili, nasłuchiwała, gotowa biec za mężem. Wyszedł z potrzebą tylko.

- Piotr - powiedziała, gdy znów się położył.

Udał w odpowiedzi, że śpi. Z samego zaś ranka poszedł na drogę obok stratowanego łąnu pszenicy. Ten sam kierowca ZIS-a znów zakosami ganiał po polu.

- Dureń - powiedział potem Koniejenko do swoich. - Myśli, że skoro ta ziemia do nich przechodzi, ma prawo deptać wyrosły na niej chleb. Nigdy pewnie nie zdarzyło mu się być głodnym. Dureń.

Mówił to jednak nie po swojemu, spokojnie.

Gdy wspominali potem niecałe dwa dni pobytu Piotra w swym domu, zwracali uwagę na ten spokój. Zawsze był pobudliwy, nerwowy, o gniew było mu łatwo. Teraz zaś jakby go

odmieniło.

Do jęczmienia poszedł wraz z Jerzym. Na wczesne południe byli gotowi, kobiety związały snopy, stały teraz długim szeregiem kopek. Po tym wysiłku wróciły Koniejence dawne rumieńce na śniadej twarzy. Mniej już odbijała od niej skołtuniona czupryna. Odetchnęli. Skoro ojciec zabrał się do roboty, wszystko zostaje w najlepszym porządku. Tylko w spojrzeniach Leny błysnęła jeszcze czasem nieufność.

Wieczorem wpadł Kirgiełło, krótko zabawił, nie chciał przeszkadzać w rodzinnej radości. Odchodząc widział, jak stary pomaga żonie nieść cebrzyk z poidłem dla krów. Pomyślał, że i w Lenie wszystko się teraz odmieni, zgasną dziwaczne jej lęki.

Potem aż po zmrok wałęsał się Piotr polami, kłosa zrywał, czy już dojrzałe, tarł je w dłoniach, badając wilgotność, oglądał ugór, który miano im przyznać w rekompensacie; gdy ktoś przechodząc na przełaj miedzami pozdrowił go, odpowiedział ochoczo. I w sadzie wszystko go ciekawiło, zerwał nawet różowiejące jabłko, próbował smaku. Takie to było normalne, takie krzepiące, że przestali zwracać na ojca uwagę.

Pierwsza się potem zaniepokoiła Koniejenkowa. Zaczęła szukać. Dzieci powstrzymywały ją, niechaj da spokój, znów jest pewnie przy zbożu, nacieszyć się chce swoim powrotem, dojrzewającym plonem, odrzucić pragnie wszystką złą przeszłość. Coś tylko Jurkowi się przypomniało, słowa, jakie ojciec powiedział przy koście, że go już nigdy do więzienia nie wezmą, nigdy; nie zwrócił wtedy na to żadnej uwagi. Teraz jednak przypomniany ton tamtych słów wydał mu się niezupełnie naturalny. Przystąpił wraz z matką do poszukiwań. Odkrył dopiero po paru godzinach, w najciemniejszym kącie stodoły za stertą zeszłorocznej słomy. Na belce, z szyją jak kołnierzem owiniętą strzępiastym sznurem konopnym...

Gdy długo, długo potem Lena to wspominała, powiedziała Henrykowi:

- Ani jedno z nas nie odezwało się słowem, na żadnej twarzy nie było łez. Jakbyśmy tego oczekiwali, jakbyśmy wiedzieli, że wszystko się musi wypełnić do końca.

Ale to było, znacznie, znacznie później... Teraz na trzeci dzień pociągnął od obejścia Koniejenków długi kondukt żałobny. Ledwie wóz moszczony choiną wydostał się na bruk szosy, wzięli trumnę na ramiona robotnicy z cegielni.

Ksiądz nie było. Chodzili do niego, że przecież nie zwykle to samobójstwo, że Koniejence wszystko się pomieszało, sam się poczuł tak stratowany jak te kłosa pszeniczne na polu, nie potrafił znaleźć już miejsca dla siebie, że Bóg na pewno mu dawno przebaczył, czemuż więc ksiądz? Starowina rozkładał ręce: on rozumie, ale nad nim jest kanoniczne prawo... Jakaś kobiecina zaczerpnęła z kropielnicy całe flaszki święconej wody, skropiła nią potem obficie trumnę i ziemię grobową.

Jeszcze nie pamiętano w miasteczku, by za pogrzebem szło tyle ludzi. Wszystko, co żyło, wtedy wyległo. Zaś ci z cegielni nieśli trumnę na swoich ramionach.

I kwiaty, dużo kwiatów. Ktoś zapamiętał, że piękny wieniec złożył ten nowy, Kanadyjczyk.

Daleko za tłumem, zupełnie z ubocza stał kamieniarz Łyczywek, starannie krył swą twarz w dłoniach, by nikt nie zauważył na niej uśmiechu. Czyż uwierzonoby gdyby się starał tłumaczyć, że to nie śmiech, to grymas taki dziwaczny, skurcz mięśni w momencie wielkiego przeżycia. Niczego bowiem nie przeżywał Łyczywek tak bardzo jak śmierci.

Henryk towarzyszył rodzinie Koniejenków w drodze powrotnej z cmentarza. Szli z Jerzym za kobietami. Jerzy przechylił się w pewnej chwili bliżej ku swemu towarzyszowi.

- Tego dnia rankiem przeczuwałem coś złego. Ojciec wyszedł przed dom, na drogę do cegielni. Jechał właśnie ten ZIS, specjalnie tratując zboże. Widziałem złośliwy uśmiech na twarzy szofera, wychylił się nawet z szoferki, widziałem też pełne bólu spojrzenie ojca...

Henryk nie słuchał. Patrzył na Koniejenkova i Lenę. Szły wyprostowane, obie o ciemnych włosach, jakby dalekie od wszystkiego, co tutaj się stało. Błysnęło mu wtedy w myśli: one też wiedziały, że to musi nastąpić.

Westchnął. Wcale bo nie był pewien, czy poprzez rozpacz i smutek nastąpi w Lenie jakaś odmiana.

Szybkim krokiem, ze spuszczonej głowami, minęli ich, wielką grupą robotnicy z cegielni.

Widzieli.

Koniejenko stał wtedy przy drodze, przed wjazdem w swoje obejście. Klimczak jechał ZIS-em z ładunkiem żwiru. Spotkały się wejrzenia ich obu. Koniejenko został na swoim miejscu, Klimczak zbacając z utartej drogi, pojechał zakosami przez pszenicę. Później chłop z czarną czupryną zbierał pomięte kłosa i przybliżał je do ust.

W kilku natarli na Klimczaka.

- Ty czego się świnisz? Miejsca ci mało, znów człowieka chcesz krzywdzić?

- Odpieprzcie się! - krzyknął, na ich ponurzące spojrzenia, próbował się jednak tłumaczyć. - On i tak ma zapłacone to wszystko, jakąż zatem różnica, kędy jadę? To już ziemia cegielni.

- Ale zboże on siał, nie ty.

- A ja jego i was razem mam w dupie - sarknął, wlaź do swojej szoferki, gwałtownie zawracał maszyną.

Gdy scena między nim a Koniejenką, scena pełna napięcia i niedobrego milczenia powtórzyła się następnego dnia znowu, żaden z robotników nie powiedział już ani słowa. A czekał Klimczak na ich zaczepki, dopiero by wyzwiał gówniarzy. Nic. Splunął sobie tylko jeden z drugim pod nogi, spojrzął spode łba.

Jasna cholera - kła w duchu Klimczak - co ich tak wzięło z tym durniem kudłatym? Mirka na traktorze mało nie zabił piekielną swoją pułapką, a oni gotowi mu za to śpiewać na chwałę. Nie pojmował niczego.

Tak cały dzień. Ani razu nikt się nie odezwał do niego słowem, nikt nie zapytał o cośkolwiek, nikt się nie przybliżył. Wjeżdżał na teren budowy jakby zapowietrzony. Nawet przybyli z Nowej Soli spece od budowy kominów solidaryzowali się z resztą załogi. I tylko patrzą wszyscy spode łba jak wściekle wilki.

. Nie zetknął się jeszcze w życiu z niczym podobnym. Zwolnił w robocie, już nie gnał swym ZIS-em jak opętany tam i z powrotem, by wyrobić większą normę. Na pole pszeniczne wjeżdżał teraz spokojnie, utartym szlakiem. Czuł się coraz bardziej nieswojo, narastała w nim złość. Skupił się w sobie, gdy zobaczył, że podchodzi do niego Łopuch, sekretarz POP, utworzonej przy budowlanej brygadzie.

- He? - warknął.

- Wy mnie, Klimczak, nie warczcie, bom nie przywykł do tego, na warczącego zaś psa mam zwyczaj podnosić kamień.

- Co? - wyprostował się Klimczak, twarz jego nabrzmiała krwią. - Kamień, na mnie?

- Na psa, mówiłem. Przychodzę do was, by powiedzieć, że załoga nie chce mieć z wami nic wspólnego. Nasza organizacja także uznała to za słuszne. Więc lepiej nie zagadujcie ludzi! Źle robiliście z Koniejenką.

- Mnie żaden z was nie potrzebny, kutasy zatracone! - na taką się tylko zdobył odpowiedź.

Cholera jasna - kłał w duchu następnego dnia - czyż to można się było spodziewać, że zwariowany chłop powiesi się w stodole? Wariat, nic innego, ale ci wszyscy gotowi zaraz jego, Klimczaka, obwinić o tę śmierć. Jakby to on pomagał mu sznur zakładać na grdykę. Wszystkim im pomieszało się we łbach. Z wiochy sami, to i stają za swoim. Dlatego. Żeby to robociarska wiara, nie miałoby miejsca nic podobnego... Niechętnie przyjął w stosunku do swoich myśli korektę, że były na budowie cegielni także dwie z dziada pradziada robotnicze drużyny. Murarska i tych fachowców od stawiania kominów. Też trzymają razem z pozostałymi...

Z największym wysiłkiem przetrzymał ten dzień przy pracy. Do domu Koniejenków szły z miasta całe procesje, by przyjrzeć się nieboszczykowi, podumać, pomodlić przy zwłokach.

Wychodząc potem, stawali ludzie i długo patrzyli na nieszczęsne pole. Kiwali głowami, mówili coś.

On zaś był sam. Sam przeciw nim wszystkim. Bo raptem całe miasteczko stanęło za Koniejenką. I nikt nie winił prezydium, które przecież nabroiło najwięcej, nie załatwiając jak trzeba sprawy, nikt nie winił zarządu budowy, choć na Dominiaka też koso się oglądano, ale wszyscy sprawcę nieszczęścia widzieli w nim, w Klimczaku. Więc co, miał cicho siedzieć, jak tamten kamieniami trzaskał mu w ZIS-a, jak skoczył później do gardła? Po czyj ej że stronie wtedy byli? Też Koniejenki?

W dzień pogrzebu nie przyszedł do pracy. Stchórzył po prostu, nie krył tego przed sobą. Jak zawsze rano poszedł do garażu i kazał jechać pomocnikowi, oznajmiając, że sam jest mocno chory. Chłopak nic nie odpowiedział, przyjął wiadomość z ulgą, zaraz odjechał.

Cały dzień przesiedział później w domu, nosa nie wychylając. Bawił się z dzieckiem, przeprał sobie bieliznę, wciąż nasłuchiwał. Złość go na przemian ogarniała i lęk. Jak wilki, gotowe skoczyć i rozszarpać zębami, patrzyli na niego. Diabli wiedzą, co im może przyjsć jeszcze do głowy. Lepiej odczekać. Później on im jeszcze pokaże, przyjdzie i taki czas.

Kapitulacja nie leżała w jego naturze. Zdobywczy był, popędliwy. Umiał postawić na swoim. Dopiero teraz znalazł się w pułapce bez wyjścia. Jasny gwint, może tu naprawdę coś przeholował nad miarę? Co jednak? Że jechał przez pole? Tak przecie kazano. Wszyscy jechali, szli pieszo. Dopiero potem zrobił się gwałt. Nie on pierwszy Koniejenkę zaczepił. Może znów tamtego ranka, gdy czarniuch ogroził swoje pole? To co, mieli zatrzymać całą robotę? Nie jego, Klimczaka, rzeczą było urzędowo sprawę załatwiać. Prezydium spieprzyło, nikt inny jak tylko prezydium. Oni tak zawsze. Jakaś kontrolę się teraz w ratuszu prowadzi, niechby co nakryli, dobrze byłoby urzędasom. Żeby mieli na drugi raz człowieka w uwadze...

Ze złości trzepnął garnkiem o ziemię. Pieruna, wszystko się w jego życiu pokiełbało! Z baby nie było nigdy wielkiej pociechy, teraz już w ogóle wysiadka. Tyle czasu choruje, nie przegnie się to u niej ni w jedną, ni w drugą stronę. Ostatnio znów jakby polepszenie, jakby się to co mogło takiemu pół-trupowi poprawić. Sama się męczy i jego męczy. Gdyby się to wreszcie skończyło, wiedziałby, co robić. Oczekałby, wiele tam trzeba dla ludzkich oczu, wziąłby sobie Joaškę. Dziewucha niebrzydka, robotna, w łóżku też zna się na rzeczy, dzieciaka miałby kto dopilnować. Że byłaby dla pętaka macochą? Niechby no spróbowała, sprzałby, zaraz by spokorniała.

Złagodniało w nim na wspomnienie dziewczyny. Na dzisiaj są umówieni. Albo to mógł przewidzieć, że chłop się powiesi i na ten dzień przypadnie pogrzeb? Co zresztą ma jedno z drugim wspólnego. Użyje sobie chociaż z Joaška, lepiej potem będzie się spało, nie tak, jak

poprzedniej nocy, ciągle mu ten umarłak tkwił przed oczyma, światło parę razy zapalał, tak się jakoś strasznie robiło. Gadają, tacy prześladować człowieka potrafią, w każdym śnie się zjawiają. To by dopiero było, niechże to jasne lichy! Ech, bajdy. Że dziś, to co innego, przejęty był, przed pogrzebem, ale żeby tak zawsze? Babskie gadanie.

Joaska. Żeby już prędzej wieczór. Przy niej odsapnie. Ona chyba nie połączy się przeciw niemu z tamtymi? Bo i tego w końcu nie można wiedzieć. Za nic zbrodniarza z niego zrobili. Dziewucha też może zdumieć. Ech, sprytniejsza ona, niż się to komu wydaje. Z Joaska nic się nie zmieni.

Zgadzało się. Przyszła na umówione miejsce. Miał przez chwilę ochotę, aby bokami, ogrodami zabrać ją do siebie do domu. Lepiej byłoby niż pętanina po krzakach. Nigdy nie wiadomo, czy nie podpatrzą ich jacyś gówniarze, znowu rzucać zaczną śrubami. Nie mógł tego zapomnieć...

Joaska była smutna, próżno jednak próbował od niej wyciągnąć przyczynę. Nie, to nie. Na co innego zresztą mu była tego dnia potrzebna. Natarł z taką siłą, tak gwałtownie, że aż się przeraziła.

- Józkie, toż zmiłuj się - zajęczała.

Brał ją gwałtownie, myśląc tylko o sobie, tłamsił dziewczynę, dusił swym wielkim ciałem, nienasycony był tej nocy, zdrczył Joaskę do cna. Nigdy się czegoś takiego po nim nie spodziewała. Żeby aż tak bez zlitowania, prawie że bez oddechu? Zarazem jednak czuła dumę, jaki to chłop łgnie do niej, przedkłada nad wszystkie inne. Bo to wiele się znajdzie takich, które by się oparły Józkowi Klimczakowi?

Zgrzana, spocona, chętnie poddawała ciało podmuchom wiatru, który się zerwał pod wieczór i teraz narastał w sile. A potem ogarniała znów ramionami tors Józka, poddawała rytm jego gwałtownym ruchom, zatracala się cała w tym grzesznym ich miłowaniu. Aż wreszcie odsunął się na bok, również wypompowany bez reszty.

- Radaś? - spytał z przechwałką.

Przeładziła go w odpowiedzi po twarzy. Rada, pewnie, że rada. Pomyślała zarazem, że głupstwo wszystko, co to gadają teraz przeciw Józkowi, nic on tamtemu nie winien, ot, zwykła ludzka złość.

Wracali przytuleni, księżyc był przed nowiem, ciemno, nikt ich nie mógł tutaj wytropić. Wiatr się wzmagał, nadbiegał zrywami, świszczal wokoło.

- To zawsze tak, jak ktoś się powiesi... - szepnęła.

Nie patyczkując się, trzasnął ją pięścią przez plecy, aż zadudniło, aż się przegięła, aż zajęczała w bólu. Co się stało, jeszcze nigdy jej nie uderzył!

- Ty także przeciwko mnie?

Zrozumiała. I w tej chwili uczuła, że zyskuje nad nim przewagę. Poznała słabą jego stronę. Znajomość zaś słabych stron mężczyzny to połowa zwycięstwa kobiety.

- Mój ty - przewyciężając pewną niechęć, przytuliła policzek do jego źle ogolonej twarzy.

- Jakże bym ja przeciwko mojemu Józiczkowi? Ja zawsze z tobą, choćby na przekór całemu światu.

Jemu też już minęło, westchnął więc tylko. Gdy otwierał drzwi swojego mieszkania, marzył o śnie. Dawno już tak nie szalał z kobietą. Dawno, a w ogóle parę razy się tylko podobnie zdarzyło, wtedy zresztą był znacznie młodszy. Spał będzie jak zabity, żaden tam Koniejenko nie znajdzie do niego dostępu...

Przeraźliwy świst przeszył z nagle powietrze, wiatr jednocześnie załomotał okiennicami. Wzdrygnął się. Co za diabeł? Burza nadchodzi, czy jak?

Świst, jazgot, wycie, śmiech nie ludzki. Dzieciak zbudził się strwożony, zapłakał. Wziął go na rękę.

Usnął dopiero nad samym ranem, gdy wiatr przycichł i uspokoiło się na dworze. W uszach ciągle czuł jeszcze przerażający świst i szatańskie wycie. Nigdy jeszcze coś takiego się nie zdarzyło. Lęk podnosił mu włosy na głowie. Czyżby naprawdę? Przypomniały mu się słowa Joaški, za które oberwała przez plecy. Czyżby naprawdę?

Gdy po krótkim, mało krzepiącym śnie wyszedł na powietrze, coś kazało mu rzucić okiem na ściany budynku. Zdębiał, w rogu, przymocowana glina, szyjką na zewnątrz, tkwiła butelka od ćwiartki wódki. Obszedł dom dokoła, to samo było przy każdym węgle. Zaczął się czegoś domyślać. Przybliżył usta do szyjki, dmuchnął, jakby wiatr powiał. Odpowiedziało mu dzikim świstem. Dmuchał silniej, taki sam chichot piekielny.

Zawrzało, zagotowało się w Klimczaku gniewem. Żeby tak dostał w rękę tych żartownisiów! Myślał już przecie, że to naprawdę diabły, że sam Koniejenko harcuje mu wokół domu. Tymczasem taki paskudny żart, obrzydliwa zabawa.

Jadąc na budowę postanawiał: niech się z czyjejś twarzy domyśli sprawcy kawału, nie będzie się na nic oglądał. Mordę strzępie, posiniaczy i pokrwawi jak jeszcze nikomu. Nie z Klimczaka żarty im strugać.

Gdy od szosy skręcił na dawne Koniejenkowe pole, przyhamował motor. Grupa robotników z cegielni kończyła koszenie nie stratowanej części pszenicznego łąnu. Kobiety pomagały w wiązaniu snopów i ustawianiu kopek.

Jak ręką odjął, zniknęła kędyś złość Klimczaka. Bokiem, ostrożnie, ściskany uczuciem jeszcze nie wytłumaczonego przed sobą w przyczynach wstydu, wjechał na teren budowy.

8.

Pola siedziała obok niego na przednim siedzeniu. Dziewczyna była cicha i małowólna, chyba nie przez fakt obecności najstarszej swej siostry. Z tyłu za nim Maria tkwiła wtulona w kąt wozu, mała i niepozorna. Nawet teraz, w nocy, jasno-białe jej włosy odbijały w lusterku wyraźniejszą plamą.

Resztę forda wypełniała sobą pani Kirgiełłowa. Już kilka razy w tej powrotnej drodze skłął siebie w duchu serdecznie za niewczesną uprzejmość. Łatwo mógł się jednak rozgrzeszyć: sama ich odnalazła jakimś szóstym zmysłem w tym niesamowitym tłoku pojazdów i ludzi, przymówiła się, jakże było nie zaprosić kobiety na wspólną drogę. Skąd przy tym można było przewidzieć, iż się aż tyle usłyszy o Kirgiełłach?

Uśmiechnął się. Na swój sposób to odwoływanie się do wymaginowanych potomków z Jagiełłowych czasów było urocze. Twierdzenia swoje wypowiadała starsza pani z najgłębszym przekonaniem. Czyżby zasugerowała już samą siebie?

Męczący dzień spłynął snem także i na nią. Pochrapuje teraz głośno, dumna i zwycięska. Dostała się przecież na trybunę honorową, jak przystoi Kirgiełłom, stała nie opodal dostojników państwowych. W drodze powrotnej zadreczęła współtowarzyszy podróży opowieściami o odniesionych triumfach, a potem nagle usnęła. Okińczyc napotkał wtedy porozumiewawcze spojrzenie Poli. Zaśmiał się półgłębko, wspaniale rozumiał dziewczynę.

Od tyłu zmienne rozbłyski. Ktoś prosi o drogę. Przyhamował, skręcił na prawo. Dwie potężne maszyny przemknęły niemal bezgłośnie, już się wysforowały do przodu, świecąc czerwienią tylnych świateł.

Szosa Olsztyn-Poznań zatłoczona była jak chyba nigdy. Sunęły nią całe sznury osobówek i autokarów. Wyobrażał sobie, co się dzieje na trasie warszawskiej. Takie tłumy, musi się przecie rozładować to wszystko.

Poprawił się na siedzeniu, zmienił ujęcie kierownicy, silniej, z napięciem wbił wzrok w monotonię pasm reflektorowych. Był zmęczony. Na błonia grunwaldzkie z ich miasteczka pięćset kilometrów. Wyjechali o północy, nad ranem byli na miejscu, potem ciężki, pełen wrażeń, ale niesłychanie znojny dzień. Wyjazd znowu o późnej godzinie. Niedługo już chyba Poznań, większą część drogi będą mieli za sobą.

Dziwił się trochę swemu znużeniu. W Kanadzie nie takie odległości pokonywał wozem, czasem tkwił przy kierownicy bez snu trzy noce z rzędu. Jeszcze zdarzało się, że zmieniał ją na drążek sterowy samolotu. Wszystko to spływało po nim jak woda z gęsi. Cóż takie dwie noce, łącznie z dniem przeładowanym wrażeniami?

Nacisnął mocniej pedał gazu, szosa wyciągała się równą linią. Słupy oznacznikowe migwały białymi punktami.

Okińczy próbował sumować wrażenia. Zebrało się ich zbyt wiele, zbyt różnorodnych, by łatwo było wprowadzić w to jakiś właściwy ład. Sprawy ogólne i bardziej już osobiste... Spojrzenie jego zatrzymało się w tej chwili na lusterku, gdzieś tam widniała niewyraźną plamą fryzura Marii...

Wspólny wyjazd wypadł zupełnie niespodziewanie, tak jak się niespodziewanie spotkali w przydiu, gdzie każde pojawiło się w swoich sprawach, jak przypadkowo rozmowa zesłała na temat grunwaldzki. Wtedy zaproponował jej wspóhu jazdę, są miejsca wolne. Wahala się dłuższą chwilę, potem podniosła swe bardzo jasne oczy, uśmiechnęła się:

- Pole, najmłodszą moją siostrę, razem mieszkamy, też zgodziłby się pan zabrać?

Nie miał nic przeciw temu. Marię lubił, nic więcej. We trójkę może być jeszcze weselej. Pola okazała się zresztą rozgarniętą dziewczyną, przyjemnie z nią było rozmawiać.

Maria. Przyglądał się jej z narastającą ciekawością. Takich kobiet często się nie spotyka, tego był pewien. W najcięższych warunkach ciągnąć za uszy liczne rodzeństwo, zastępując im matkę i ojca, nie załamać się pod ciosami właśnie wtedy sypiącymi się nieustającym gradem, zdobyć się na odwagę rezygnacji z własnych marzeń i pragnień - bąknęła coś Pola o jakiejś sympatii, której się Maria wyrzekła - jeszcze przy tym zachować miłość własnego zawodu, wrócić do niego, podnieść kwalifikacje - trudno było nie przyjmować tego z podziwem. Przedwczesna siwizna lepiej niż cokolwiek świadczyła o trudzie minionych lat. Może i oczy, tak jasnoniebieskie, że nieomal wodniste, przecież wcale nie nieme, mówiące bardzo wiele.

Spotkał w życiu ludzi, którzy cali spalali się w poświęceniu. Zawsze jedno przejmowało go trwogą, jak mało w nich zostawało czegoś osobistego, jak bardzo byli zgorzkniali, ponurzy, zamknięci w sobie. Z upływem lat podjęty ciężar zaczynał się im stawać kamieniem, gniotącym coraz to bardziej, coraz to bardziej... Profesor Gollub, dziwaczny lekarz z dłońmi pooranymi siecią błękitnych żyłek, ukazując mu kiedyś ludzi miasteczka, wspomniał ogólnie o tej przeszłości Marii. Dopiero ją ujrzał pełniej. Zakrzyknął wtedy w zdziwieniu:

- Doktorze, ale ona śmiać się przy tym potrafi!

- Tym ją więcej szanuję.

Wydało się Okińczyowi, że blada, wychudła twarz profesora jakby poczerwieniała w chwili, gdy mówił o swoim szacunku dla Marii.

Pewnie, można ją było szanować. Jak najbardziej. Razem spędzili cały wieczór. Pola mu wcale nie przeszkadzała. Wzruszony przebiegiem uroczystości, klimatem zlotu, ślubowaniem,

wagę tej chwili, przejęty dźwiękami hymnu w trakcie odsłaniania pomnika, znajdował w Marii te same odczucia, ona może nawet reagowała szczerzej, bardziej bezpośrednio i żywiłowo. Nawet młodzianka Pola gasła przy niej w takich momentach. Maria stawała się zachwycająco młoda w swoim entuzjazmie, siwe włosy wyglądały w takich momentach na kokieteryj. Tym bardziej, gdy wokoło widział niejedną sztuczną siwiznę u wszelkiego rodzaju podlotków.

Bardzo się zbliżyli do siebie przez ten dzień.

Wspomnieniami urozmaicali monotonię jazdy. Nie mógł się też powstrzymać, by co jakiś czas nie spoglądać w lusterko i nie odszukiwać w jego odbiciu niewyraźnej głowy Marii. Chwilami robiło mu się smutno; myślał, wróci znów do miasteczka, do pokoiku w domu Walickich, będzie cicho, samotnie. Położy się spać, byle szybciej doczekać ranka, zwykłej krzątania, natłoku spraw, zachodów koło rozpoczętej przebudowy zakupionego od państwa budynku ze sporym kawałkiem ziemi. Nie bardzo pojmował swoje nastroje. Przecież latami uczył się w Kanadzie żyć samotnie, w ciężkiej traperskiej doli. Samotność była dlań chlebem codziennym. Więc czemu w Polsce? Może tam były lasy i wody, pustkowia, tam nie miał wyboru między samotnością a ludźmi, gdy tutaj żył w wielkim skupisku, człowiecze sprawy falami przelewały się wkoło niego, trudno było od nich uciec, trudno wyłączyć się.

Nadjeżdżający z tyłu wóz zalał wnętrza forda mocnym światłem. Teraz widział twarz Marii. Z odrzuconą do tyłu głową, małeńka, skulona w rogu oparcia, spała spokojnie, ze zwykłym wyrazem pogody na twarzy. Uśmiechnął się do niej, do siebie, nie wiedział... W tej samej chwili uczył od prawa ostre, natarczywe spojrzenie. To Pola, obrócona profilem, wpatrywała się w niego jak skamieniała, oczy dziewczyny tylko lśniły jakimś pełnym napięcia blaskiem.

Przepuścił chevroleta, nie chciało mu się teraz wyciskać większej szybkości z własnej maszyny, rwał równą osiemdziesiątką, wystarczy, nie ma pośpiechu. Mrok ponownie zasnuł wnętrza wozu. Z prawa tkwił nieruchomy profil Poli. I oczy jej lśniły jakimś nowym, innym wyrazem.

- Co, Pola, niedługo będziemy w Poznaniu? Stamtąd półtora setki, zalecimy już szybko. Zmęczona jesteś?

- Nie. Ja bym tak jechała dzień i noc, dzień i noc - powiedziała to impulsywnie, gwałtownie.

Zaśmiał się.

- Mało jeździłaś samochodami, więc cię to jeszcze bawi.

Choć ja też lubię taką jazdę nocną, gdy reflektory odkrywają z czerni mijany świat. Wóz

się oddała, za tobą znów ciemność i mrok.

- Trochę jak w bajce, prawda? Można wtedy myśleć o różnych rzeczach, można marzyć o tym, co w świetle staje się nieprawdziwe, nigdy nieosiągalne, nie tak?

Profil jej trwał nie zmieniony, jakby wykuty, tylko dziewczęce wargi drżały i lśniły oczy. Słowa były nasycone jakąś siłą, czuł to, nie umiał określić dokładniej. Zdziwiła go ta dziewczyna. Tak niewiele mówiła przez cały dzień, a już najdalsza była od zwierzeń.

- Może i tak, Polu. Tylko, że świat oglądany w rozbłyskach samochodowych świateł, daleki jest bardzo od prawdziwego. Prawdziwy jest skromniejszy.

- Dla mnie on jest obcy i wstrętny - wybuchnęła.

- O kim tak mówisz, Polu? - Maria ocknęła się z drzemki, przychyliła w ich stronę.

Dziewczyna zamilkła, nie odpowiadała. Jakieś nowe, inne milczenie zaległo we wnętrzu forda. Okińczyc wyczuł stan narastającego napięcia.

- Gaworzyliśmy o tym, jak nawet brzydkie, wstrętne krajobrazy nabierają w świetle rozbijających noc reflektorów samochodowych jakiegoś innego, uroczego wyglądu. Przy tym obraz ten jest tak łudząco prawdziwy, że można go przyjąć za rzeczywisty - wyjaśnił z uśmiechem.

Napięcie zelzało. On zaś wyczuł, jak drobna ręka Poli sięgnęła w podzięcie ku jego dłoni na kierownicy i przegładziła ją delikatnie.

Teraz niczego już nie rozumiał. Jakie spięcie przeoczył, zaistniałe przed chwilą między siostrami? Czemu Pola wzdragała się odpowiedzieć Marii na jej pytanie, wyglądała jak zaskoczona, czemu potem wybrała taką formę podziękii? Dziewczęce sekrety?

Wzruszył ramionami. Diabli wiedzą. Nie znał się na podobnych subtelnościach. Scena sprzed chwili śmieszyła go tylko.

Oстрыm rzutem kierownicy minął nie oświetlony wóz chłopski. Pani Kirgiełłowa wymamrotała przez sen:

- Całą chorągiew pancernych... Byłże wtedy kto nad Kirgiełłów?

Zaraz chrapnęła mocniej, zmieniając nieznacznie pozycję. Pozostała trójka wybuchnęła śmiechem.

Przez Poznań przemknęli szybko, stateczne miasto spało snem sprawiedliwych. Ford sunął teraz z cichym poszumem opon szosą zielonogóorską. Stęszew, Grodzisk, Wolsztyn, za Kargową Sulechów, skąd skręcają na prawo, trochę jeszcze, będą w swoim miasteczku. Tęsknili już do tej chwili. Zmęczenie, zagubienie się w nadmiarze wrażeń, osobiste, intymne refleksje...

Okińczyc jeszcze przed wyjazdem z Kanady obiecywał sobie udział w uroczystościach

grunwaldzkich. Umawiał się nawet na spotkanie ze znajomymi. Tradycją już było, że wszelkie imprezy związane z pamięcią Grunwaldu odbywały się przy masowym udziale Polonii zagranicznej.

Rad był teraz, że zrealizował to dawne postanowienie. Lipcowy, parny dzień na błoniach zasłanych masą uczestników dawał mu szerszy oddech, prostował różne pojęcia, nie zawsze radosne. Musiał się przecież przyzwyczajać, od nowa uczyć własnego kraju. Po wielu to latach, z górą dwudziestu. Cały wiek życia. W marzeniach, w nadchodzących czasami chwilach gwałtownej tęsknoty wyobrażenie ojczyzny pojawiała się dziwnie niezmiennie, wsparte o zachowany w pamięci obraz sprzed wojny. Wiedział o zniszczeniach, o gwałtownym kierunku zmian, jakoś nie docierało jednak to wszystko na tyle głęboko, by zmienić tamto wyobrażenie zapadłe w duszę.

Tymczasem wszystko było nowe. Może nawet nie nowe, bo przecież ani ludzie się nie zmienili, ani bieg rzek, te same ptaki, nie inne obyczaje. Inaczej, to w ludziach samych wiele się zmieniło. Ci ludzie nadawali z kolei nowy ton tym samym rzekom, tym samym obyczajom, jakby ptakom nawet narzucali odmiany w ustalonym trybie ich bytowania.

Ciągle jeszcze czuł się wytrącony z równowagi, nie umiał znaleźć miejsca dla siebie, nie wiedział, gdzie go ma szukać. Może za wiele poddawał się przypadkowi? Cóż go właściwie przywiodło do tego miasteczka, jak nie znajdujący wiele usprawiedliwień sentyment do Frankowych wspomnień i pragnień. Co każe nawiązywać kontakty z tymi, a nie innymi ludźmi. Czemu wreszcie pociągnęły go ziemie zachodnie, gdzie jeszcze tak wiele płynnego, skoro mógł szukać ostoji w miejscach, gdzie wszystko trwało ustabilizowane od dawna, gdzie nawet przemiany nowych czasów łagodzone były i dostosowywane do raz ustalonej normy.

Dwadzieścia lat nie znał, co to spokój, zapewnione jutro, krąg tych samych, znanych spraw, co to uczucie pewności. Teraz znów pcha się w sam gąszcz tego, co jest dopiero stawianiem się, co choć trwałe, szuka przecież swojego kształtu, swojego miejsca, swojej przyszłości.

To ich miasteczko. Nawet w myślach używał już tego określenia, nasze, wiedział, że tak lub inaczej, zespoliły się z nim jego losy. Wybrał. Nie miał nigdy zwyczaju zmieniać podjętych decyzji. Wybrał, bo choć może mało realne, na jakiś sposób nawet i niepoważne, ale znajdował tu punkty zaczepienia, te Frankowe, których brakło gdzie indziej. Wiedział już wiele, słuchał uważnie opinii o tym, jak po wojnie, po pierwszym zrywie porządkującym, zastygło w tej miejscinie, zapadło wszystko w jakąś szarą, nudną martwość. Ni gorzej, ni lepiej, zawsze tak samo, jednostajnie, aż mdło. Zamknięty krąg spraw, doznań i odczuć. Tania plotka, jedyny smak, osłoda ospałego życia. Aż potem nagle ten powiew, który owionął kraj,

wyzwolił w ludziach skryte, zamarłe gdzieś siły, uskrzydlił ambicje, wyzwolił z zatechłej atmosfery stojącej, bagnistej wody. Nowi ludzie? Skądże, ci sami, tylko rozbudzeni raz jeszcze do życia... Przewodniczący prezydium powiedział: nowy czas pionierski, podobnie jak w pierwszych latach powojennych. Profesor Gollub sprostował potem: już nie pionierski, wtedy tworzyło się podstawę, fundament. Teraz to chyba okres spełnionych nadziei, brzemienno jutrem. Zaraz po wypowiedzeniu tych słów zacny eskulap zaśmiał się, wyraźnie nieszczercze. Że niby to brzmi jak patos, jak romantyczne rojenia sztubaka przy pierwszej miłości, a przecież jest prawdziwe.

Nie od razu wszystkie te opinie trafiały Okińczycowi do przekonania. Widział rozmach, pojmował, że to wszystko, co się dzieje w miasteczku, budowa cegielni, warsztatów, rozbudowa drobnych fabryczek, ten neon nawet i nie mogące doczekać się nie zaplanowanych jarzeniówek słupy latarni ulicznych, ta szkoła pielęgniarstwa, jest najlepszym wyrazem intensywności życia, zerwania z marazmem, z nudą ospałych *przyzwyczajęń*, niezmiennej codzienności. Tyle, że dla niego stan taki był naturalny, niepojętym natomiast wszystko tutaj poprzednie. Ta kilkuletnia przerwa w rozwoju, brak wiary, zanik energii... Skądże miał to rozumieć? Wiedział, osądzać można, jeśli ma się w ręku wszelkie przesłanki. On ich nie miał i mieć nie będzie, bo po. to, by mieć, należało znajdować się w kraju, tkwić w tym miasteczku i razem z nim wszystko przeżywać. On był daleko, zupełnie gdzie indziej, tropił za futerkową zwierzyną, siekł z samolotu wilki, ciułał swój posąg na drogę powrotną. Teraz brakło mu tamtych lat. A jeszcze nie wiedział, czy cośkolwiek może stać się rekompensatą za istnienie tej luki. To, że ostrzej widzi niejedno zjawisko, że ma inny stosunek do życia, do pracy, do obowiązków? Inny? To też pytanie. Gdy stał w ciżbie nad grobem Koniejenki i słuchał szeptanych opinii, nie zawsze zgadza! się z nimi. Współczuł nieszczęśliwemu chłopu, pojmował podłoże jego udręku, sens konfliktu zakończonego dramatem, ale nie widział w tym ani żadnego memento, ani czegoś, co nie było do przewidzenia. Dla niego zasób doświadczeń sprowadził się już do rozumienia, że każda odmiana, każdy zryw energii społecznej nie może się obejść bez ofiar. Koniejenko był jedną z nich. Można mu współczuć, można dopomóc osieroconej rodzinie, ale poza tym należy fakt przyjąć za fakt i iść dalej.. Pomyślał znowu o Franku. Gdyby nie ta śmierć w płomieniach rozbitej maszyny, czy Franek po powrocie również by tak samo odczuwał tętno miasteczkowego życia? Tętno nierówne, przerywane, raz gwałtowne, kiedy indziej niemal wygasające. Czy przeszłość byłaby dla niego hamulcem czy motorem postępowania? Bo tutaj, zauważył to, ludzie związani byli nierozzerwalnie z przeszłością. Czas okupacji i lata po niej bezpośrednio następujące żadnego z nich nie zostawiły w spokoju. Pasma przeżyć,

cierpień, strat okupacyjnych przedłużało się potem w trudnych decyzjach rozstań, powrotów, dalekich wędrówek, wyborów. Nad każdym ciążyła przeszłość. Jednym kazała przeciwstawiać się następnie z całą energią swoim ceniom, innych przyginała. Koniejenkę zniszczyła przecież nie historia ze stratowanym zbożem, ale wspomnienie raz już tratowanej i utraconej ziemi. Spojrzenie w przeszłość, zależność od niej, w krzywym zwierciadle ukazało mu w końcu niegroźną i nieszkodliwą sprawę dzisiejszą. Nowa cegielnia pięła się swym kominem ku górze w ostrym rozbracie z zastygłym w sercu Koniejenki obrazem złej przeszłości. Koniejenko, przypadkowa jej ofiara, musiał ulec w starciu z rosnącym naprzeciw jego siedziby klinkierowym kominem nowego. Co teraz przeważy w umysłach jego rodziny? Siła, brzemienność jutra upostaciowana przez piece cegielni, czy związaną z przeszłością poprzez ojca i jego tragedię?

Zatrąbił ostro, jeszcze raz, jeszcze, silnie naciskał klakson. Pijany rowerzysta ósemkował beztrosko po szosie, ostatnim refleksem rozsądku zjechał jednakże z drogi.

Rozbił się tok myśli Okińczyca. Zzynał się na siebie za podobne rozważania, za te monologi wewnętrzne. Nawyk z Kanady, w przymusowej samotności leśnych wertepów trudno się było ustrzec długich chwil rozmyślenia.

Uroczystości grunwaldzkie. Miał łzy w oczach, gdy pod takt mazurka odsłaniany był pomnik. Łzy? Że szczeniackie, że romantyczne? Chyba nie to. Łez tych wcale się nie wstydził; Maria w pewnej chwili tak uważnie mu się przyjrzała, musiała widzieć. Zresztą inni w głos płakali, stali wszak w grupie przybyszy z Polonii. Z błoni grunwaldzkich, zalanych morzem głów, biła siła, dotąd nie znana. Wzruszała świadomość tej siły...

No, nareszcie Sulechów! Ładnie ciągnął od samego Olsztyna, ani się spodziewał, że tak prędko będą na miejscu. Jeszcze najwyżej pół godziny. Ładna ta wjazdowa aleja, olbrzymie lipy. Teraz skręt w prawo, mogliby wyprostować szosę, niejeden tu skręci kark, jeszcze złe oświetlenie... W prawo, znów w lewo, rynek, ratusz, oświetlone okna sklepowe, czyściutko. Uliczka zwęża się w kichę, znów zwariowany zakręt, niewyraźna wysepka betonowa pośrodku, nienajlepiej oświetlona lampą u góry. Liceum w pięknym parku, żeńskie, już zaraz wylot, tam w prawo jest brama, w Sulechowie miał kiedyś grać Chopin, podobno docierały tu zwiady powstańcze w dni wielkopolskiego powstania...

Uśmiechnął się. Nałykał się już trochę historii Ziemi Lubuskiej. To potrzebne, wzmacnia samopoczucie.

Nacisnął pedał gazu. W lusterku niewyraźny kształt głowy Marii. Pola ciągle siedziała zwrócona profilem, wpatrywała się w niego. Zachnął się. Co się tej dziewczusze uwidziało w starym dziadzie? I co znaczyła ta dziwna, nieudomówiona scena między siostrami, wtedy, gdy

podjeżdżali pod Poznań? Kirgiełłowa znów gdacze przez sen. Paradna kobiecina, syn musi mieć z nią sto pociech. Przyjemny chłopak. Podobno mają się ku sobie z córką samobójcy, Koniejenki. Trudny okres nastał dla młodych.

Jeszcze gaz, jeszcze, szosa tu dobra, na wiosnę reperowana, wzmocniona, wylana asfaltem, choć go już kopyta końskie nadkruszają gdzieś. Setka na liczniku, szybko, w Polsce taką szybkością mało kto jeździ, mimo to rozbijają się stale. Brak kultury ruchu? Motoryzacja zbyt wielką nowością, za szybki skok cywilizacyjny? Może i to.

Miną ten las, jeszcze dwa zagajniki, już ich miasteczko. Wszystko śpi, czasem jedynie pies jakiś zaszczeka. Za długo tu ludzie śpią, zbyt późno wstają, nie umieją gospodarzyć swym czasem. Nazbyt się wiele wałkonią, narzekają potem, nie widząc, jak wiele od nich samych zależy.

Niedługo powinno świtać. Na pewno wschód rozjaśnia się już pierwszymi światłami brzasku. W kanadyjskich leśnych bezkresach oczekiwał tych brzasków z dziwnym ściskaniem około serca. Lubił budzenie się życia od nowa.

Zaraz ten zakręt, ostatni... Co, u licha! Nacisnął hamulce. Zza zakrętu wyłoniła się sylwetka biegnącego szosą człowieka. Światła reflektorów chwyciły go nagle cęgami, zgłupiał, za-szamotał się na drodze, a potem, wydając okrzyk przestachu; skoczył w bok, przez rów, pognął jak ścigany poprzez zarośla.

Przyhamował. Otarł pot z czoła. Wariat czy co u licha? Pędził drogą jak nieprzytomny, potem się piekielnie wystraszył, wreszcie zbiegł w gąszcza. Wysoki, w krótkiej kurtce, twarz ściągnięta skurczem trwogi, trudno zresztą ją było dokładniej uchwycić, wszystko trwało ułamki sekundy.

- Co to było? - usłyszał głos Marii, jej też musiało się to wydać zgołą niesamowite.

- Ten człowiek przed czymś uciekał - potwierdziła Pola.

- Tak i mnie się zdawało - nacisnął gaz. Co ich to w końcu obchodzi. Wypadku nie było, łamanie zaś głowy, kto i czemu, nic nie pomoże.

- Gdzie my jesteśmy? - ocknęła się pani Kirgiełłowa.

- W domu... O, pali się! Pożar! - głos Poli zabrzmiał przejęciem.

- Magazyny. Pożar! Prędzej na pomoc, alarm, niech pan pędzi! - Maria była rzeczowa.

Nacisnął klakson, już nie odrywał od niego ręki. Przerazliwie trąbiąc wpadli w ulice miasteczka. Okińczyc nie mógł oderwać myśli od tamtego człowieka, goniącego szosą jak nieprzytomny.

Zbiło się wszystko razem w straszliwy harmider dźwięków, Bo i organista już dzwonił na

trwogę największym dzwonem, rozhuczały się jazgotliwie syreny winiarni i fabryczki rowerowych łańcuchów, huczało także od strony kolei, przeraźliwie wył sygnał alarmowy miejscowej straży pożarnej.

Zaroilo się nagle od ludzi, na pół ubranych, z zaspanymi jeszcze oczyma, któryś szofer wyskoczył na rynek swym starem, strażacy biegli dopinając po drodze mundurów, skądś znalazły się dzieci, pętały się pod nogami, jak spod ziemi pojawiła się jedna i druga parka, wypłoszona alarmem z przy-miasteczkowych zarośli.

- Pożar! Pali się!

- Pożar. Magazyn! Wszyscy na pomoc!

Na stara ładowała się już pierwsza grupa strażaków, byle szybciej, byle stłumić ogień w zarodku. Motor samochodu z beka na wodę nie chciał zaskoczyć, kierowca mokry od potu wciąż kręcił korbą, komendant posterunku MO wybiegł na ganek, wołał, że Sulechów powiadomiony, zaraz wyjeżdża stamtąd straż zawodowa.

- Pali się!

- Wszyscy do magazynów!

Biegli z wiadrami, ze swoją ciekawością i strachem, z tykami i bosakami. Mijali pieszych rowerzyści, wszystkich fordem prześcignął Okińczyc, który po wysadzeniu kobiet zaraz się zameldował z ochotą pomocy. Wielu ich tylko wlażło, stłoczyli się w fordzie strażacy. Każda sekunda może stanowić o powodzeniu akcji.

- Wielkie magazyny... Skąd to się wzięło? W dwóch miejscach się pali, tak wygląda...

Ogień już był widoczny. Magazyny rozsiadały się w sporym kompleksie szop, budowanych jeszcze przez Niemców, w ostatnim stadium wojny, tuż przed ofensywą radziecką. Nawet nie ukończyli przeprowadzania krótkiej bocznicy, to już nastąpiło za polskich czasów. Największe magazyny na przestrzeni paru powiatów. Obok, że to blisko kolei, skład opałowy. A jeszcze tarcica, cegła, stal, cement, całe dwie szopy tego cementu. I nafta, beczki z naftą...

- Od strony tej nafty się pali - syka któryś ze strażaków.

Jak mógł najbliżej, tuż niemal przed pasmo rudoburych płomieni podwiózł swych pasażerów. Wskoczyli, zanim jeszcze dobrze zatrzymał forda. Zaraz potem odprowadził wóz na stronę, każdej chwili może być przecie potrzebny...

Dopiero spojrzał. Dotąd nie był jeszcze przy magazynach. Osiem długich, bezokiennych szop, tylko z licznymi drzwiami. Podjazd, niezwykła rampa, błyszcząca linia toru dojazdowego, teraz łuskająca czerwienią odbłasków. Tarcica, długie sztaple łąt, kantówek, desek różnych rozmiarów. Już się paliły, wysuszone lipcowymi skwarami, żywiczne,

parskające jedne po drugich zajmowały się ogniem, wesołym, buchającym triumfalnie. Sztaple jednym bokiem podchodziły pod długą, najdłuższą ze wszystkich szop. Jeśli tam ogień dojdzie... Pali się też szopa od prawej, najbliższa lasu. Tam spotkali przy zakręcie biegnącego człowieka.

Ludzi było już sporo, kiedy zdążyli tu nadbiec, od miasteczka ciągnął długi sznur. Nadjechał star, za nim beczkowóz. Od kolei terkotał wózek na akumulatorach, wioząc zwoje węża przeciwpożarowego. Studnia kranowa była tylko jedna, dwie inne wymagały użycia wiader. Gaśnice?

Biegli już z nimi strażacy, zniknęli w chmurach dymu, niósł się potem w tym miejscu biały obłok piany, ogień przygasał, nie na długo, znów strzelał z poprzednią energią.

- Szopy, szopy. Chronić szopy!
- Gapie na stronę!
- Hydrant, tutaj hydrant, gdzie beczki z naftą.
- Hydrant!

Z chaosu wyłaniał się już porządek działania. Milicjanci rozpędzili gapiów, przeszkadzających w ratunku. Strażacy z miasteczka i kolei puścili w źródło płomienia strumienie wody. Zakłębiło się od pary, dymu, swąd, płaty rozżarzonej papy, syczące skry, całe głównie wystrzelające z hukiem. Coraz więcej dymu...

Nadjechała straż z pobliskiej wioski. Ktoś głośno wołał, że jedzie pomoc z niedalekiej jednostki wojskowej.

- Żeby tylko nie było za późno... - mruczał jakiś starszy mężczyzna.
- Nie kracz, lepiej byś pomógł podawać wiadra.

Kilka długich sznurów mężczyzn, od studni aż po gorące płomienie, z rąk do rąk podają wiadra. Beczkowóz odjeżdża na stację, by z tamtejszych hydrantów zaczerpnąć wody.

Przeciągły ryk syren, zawodowa straż z Sulechowa. Okińczyc myśli, że szybko się chłopcy sprawili, na więcej nie ma czasu, z bosakiem podanym mu nie wiedzieć przez kogo biegnie pod tamtą szopę, od której niedaleko magazyn zajęty przez naftę. Byle tam się ogień nie dostał, byle tam...

W głowie jasno, przeraźliwie jasno, jakby od rozblasków wokoło tak się w niej rozjaśniło. Dwa źródła ognia, od sztapli tarcicy i od najdalszej szopy. Więc nie przypadek, nawet nie nieostrożność. Świadoma zbrodnia. Tamten wysoki na szosie? Przerażony, zaskoczony światłami samochodu, które go nagle złapały w objęcia.

- Podpalacze! - wrzeszczy przeraźliwie jakaś kobieta, rwie się z tłumu, biegnie, doskakuje milicjant, siłą wpycha ją znów w tłoczącą się cizbę.

- To ci złodzieje z prezydium - buczy dyszkantem kioskarz „Ruchu”.
- Hańba. Dać tu tego zastępcę, niechaj się nam tłumaczy.
- Gdzie magazynier? Gdzie nocny dozorca?

Właśnie ciągnęło go dwóch strażaków, oczadzonego, ledwie przytomnego, wodzącego wokoło przerażonymi oczyma.

- Ludzie, co wy, ludzie... - składał dłonie jak do modlitwy.
- Do szpitala ze starym, do szpitala - strażacy rozgarniali osaczający ich tłum. Ktoś rzucił już w nocnego stróża kamieniem. Zajęczał jeszcze rozpaczliwiej.
- Zostawcie. Trochę, a byłby się spalił. Siedział na progu tej szopy, która pierwsza zajęła się ogniem - wyjaśnił strażak.

Karetka z Sulechowa była na miejscu. Pielęgniarki w jednej chwili wepchnęli do środka nocnego stróża; rozrzęsionego starca, sygnał, pomknęli drogą.

Na papą kryte dachy magazynów kładziono mokre szmaty, wspinano się po drabinach z wiadrami wody. Skry leciały, niesione samym podmuchem, wiatru na szczęście nie było. Świtało już, niebo różowiało na wschodzie, gdy tutaj było czerwono, słały się groźne odbłaski tej czerwieni na trawę, na błyszczące tory, na przejęte twarze ludzkie.

- Odstąpić, odstąpić! - milicjantom przybyła pomoc z Sulechowa, teraz mogli już sobie poradzić z tłumem. Tylko młodszych mężczyzn dopuszczano z pomocą.

Na tarcicę machnięto ręką. Nic nie pomoże. Strażacy rozrzucali, odciągali daleko na stronę jeszcze nie zajęte płomieniem sztaple, by nie dopuścić ognia do przyległej im szopy. Reszta desek płonęła wysokim słupem, jasno, migało mocnymi blaskami.

Ogień w szopie od lasu trzymał się uparcie, nie dawał się stłumić ni zahamować. Hydranty Siekły go wodą, brzękały wiadra, trzeszczała szarpana bosakami konstrukcja, jazgotały piły przy oporowych słupach, a płomień jakby na przekór rwał dalej i dalej, ku miejscu, gdzie nafta.

Buchnął wielki słup czarnego, gryzącego dymu. Jakiś mdlący zapach, ostry i mocny poniósł się nagle powietrzem.

- Cukier się pali.
- Cukier - powtarzano w tłumie, zafascynowanym groźnym widowiskiem, przejętym, trwającym w nabożnym niemal skupieniu.
- Święty Florianie, patronie od ognia - wołały kobiety.
- Podpalili, żeby ich nie znać, podpalili.

Od miasteczka dzwon wciąż walił na trwogę, nie ustawały huczeć syreny. Warczą, wydobywając z motorów resztę sił beczkowozy waliły w jedną i drugą stronę.

- Wojsko!

Nadjeżdżała jednostka lotnicza, świetnie wyposażona w przyrządy ratownicze. Światła reflektorów nacierały szosą, parę minut, wejda chłopcy do akcji. Byle jeszcze tych parę minut wytrzymać, byle nie dopuścić ognia do nafty...

Strach, groza. Ogień szaleje, pierwsza szopa wali się, strzelają skry, legą główne, dym czarny, ciągle ten cukier, nowy, zwiększony poblask. Tłum zgaduje, co to może się palić.

- Olej, wczoraj dopiero transport przywieźli.

Może i olej, dym robi się jakiś gęsty, jak nasycony tłuszczem.

- Pali się tamta szopa. Ludzie, uciekajcie!

- Ratunku!

Popłoch. Tratując się, deptając wzajemnie, wzburzona masa rzuca się do panicznej ucieczki. Milicjanci próbują hamować panikę. W tłumie są przecież dzieci. Któreś krzyczy już przeraźliwie.

- Spokój, spokój!

Nic nie pomaga. Sierżant wyjmując rewolwer, strzela w powietrze, raz, drugi. Wtedy wszystko martwieje. Panika jak nagle wybuchła, tak nagle gaśnie. Zwłaszcza mężczyźni są zawstyżeni. Opuszczają głowy.

Ogień zachwyił już dach baraku, gdzie w przeciwnym końcu stłoczone są beczki z naftą. Cały wysiłek tam trzeba skierować. Woda, bosaki, ludzie...

Okińczyc czuje, jak przerażenie podchodzi mu mdłościami do gardła. Jeżeli naprawdę nafta? Rzuca się ze swym bosakiem bliżej ognia, rwie poszycie dachu, odrzuca główne. Ktoś nim szarpie, odrzuca po prostu do tyłu.

- Człowieku, palisz się...

Dopiero widzi, ubranie tli się na nim w kilku już miejscach. Parzy na przedramieniu. Odbiega, pada na trawę, tarza się. Ktoś miłosierny pędzi już z wiadrem wody, zlewa go od stóp do głów. Jeszcze jedno wiadro. Dobrze, już dobrze... Tylko w głowie się kręci, za wiele nałykał się dymu.

- Ej, Kanadyjczyk, ej...-i przygana, i podziw w tym głosie. Czyjeś ramiona ujmują go, prowadzą dalej od ognia.

Już jest wojsko. Tuż, tuż pod ogień wpycha się wóz ratowniczy, zielonkawe mundury sypią się z niego, ktoś wydaje ostrym głosem rozkazy...

Przedtem syk dziwaczny, groźny, potem kłęby dymu, czarne, skotłowane, bijące wysoko w górę, dopiero wybuch, aż się wszystko rozpryska, daleko lecą główne, skry sięją po dachach szop. Groza, cichną ludzkie głosy. To pewnie już ta przeklęta nafta?

Z olbrzymiej gaśnicy dwoma strumieniami spadają na płomienie snopy białej, syczącej piany. Ogień cofa się, płomienie bledną, jeszcze podskakują, nie mają już siły, tłą się, żagwią, już tylko czerń węgla. Piana płynie, syczy, swąd przeraźliwy, smród, aż zatyka. Płomienie cofają się. Nerwy napięte do ostatecznych granic. Czy zdążyli na czas, czy znowu nie buchnie, nie rozniesie wszystkiego” razem z tą olbrzymią gaśnicą, razem z ratownikami, z chłopcami w zielonych mundurach?

Nowy zryw. Wybuch. Ale już słabszy. W to miejsce, jeszcze czarna chmura nie zdążyła spłynąć w górę, pcha się już piana, syk, syk, syk...

Nikt się nie spostrzegł, gdy zaskoczył ich świt. Reflektory samochodów wciąż jeszcze-się^ palą, kłócąc się z jasnością wyłaniającego się słońca.

Okińczyc stoi na uboczu samotny, patrzy ponuro. Ogień zlokalizowany, trzeba go tylko pilnować, bowiem jest jadowity, lubi się czaić, wypadać stamtąd, gdzie go się najmniej można spodziewać. Od razu w dwóch miejscach, jakież to przeraźliwie jasne i brudne i podłe. Wczoraj jeszcze ten wspaniały obchód grunwaldzki, wzruszenie rozpierające gardło, poczucie wzniosłości, siły, dziś ten zbrodniczy pożar, nędzota ludzka. Dławi go, wzbiera na mdłości. Gdyby tak dostał w swoje ręce taką kanalię, ani by czekał na jakiś sąd, zdusiłby w rękach jak parszywego gada...

Ci ludzie. Już strach ich minął, już się porozsiadali gromadkami na trawie, debatują, kłócą się z sobą, toną w domysłach. Czy też przeżywają jak on, czy dla wielu z nich to jedynie wspaniałe przedstawienie, bezpłatny, nieoczekiwany teatr z dramatem w jednej odsłonie?

Co to za krzyk? Co się tam dzieje? Porwał się z miejsca, chciał biec, ujrzał, struchlał. Był za daleko. Ktoś nie opodal oczy dłońmi zasłonił, zaszeptał tylko:

- O Boże!

Pełno się natłoczyło dzieciarni, któż by mógł ją powstrzymać, zahamować bieg ku takiej sensacji, ku ogromnemu przeżyciu pożaru. Całe miasteczko tkwiło przy magazynach... Była i ona. Jedna z wielu. Tyle, że reszta dzieciaków boczyła się na nią, stroniła wyraźnie. Więc jak zawsze stała samotnie, oczy rozszerzone, pełne dziecięcego zachwyty wlepiając w ogień. Palec w buzi z emocji, zachwyty, uśmiech szczęścia na twarzy. Tak trzaska ten ogień, tak się mienia kolorami płomienie. Jak ładnie, jak ładnie! W rączki by zaklaskała z zachwyty, gdyby nie lęk, że znów inne dzieci ją zgania. Zawsze tak robią.

Płomień jednak urzekał. Pociągał ku sobie, ku ciepłu, jakie wydzielał, ku zapachowi smoły, żywicy, ku dymowi, jak mgła snującym się nad ziemią, to znów wznoszącemu się słupem, ku górze.

A gdyby tak dotknąć, pogłodzić płomienie, choćby przez chwilę, przez krótką chwilę?

Obejrzała się badawczo, nikt na nią nie zwraca uwagi, nawet dzieci jakby jej nie widziały. Zrobiła mały krok do przodu. Nic, nikt nie woła. Więc drugi i trzeci, i jeszcze i jeszcze. Od tyłu cisza.

Teraz biec już poczęła coraz to szybciej, coraz to szybciej. Z bliska płomień ten zaczął trochę przerażać, chyba nie będzie go głaskać, ogrzeje się tylko, w samej koszulinie przecie wybiegła, bosy, trochę się jedynie ogrzeje...

Krzyk za nią straszny i tupotanie, wołanie, zaraz ją schwytają, może bić będą, że ona do tego ognia, że ogrzać się chciała. Pewnie nie można, nie można... Więc gdzie uciekać, bo bicie boli, tak boli. Płomień, on będzie dobry, zasłoni, ogrzeje, na pewno nie uderzy. Tylko szybciej, szybciej przebierać nóżkami, żeby nie zdążyli, żeby jej nie złapali, tam tyle dzieci, dzieci są najgorsze, najbardziej okrutne...

- Ojej!

- Margiśka! Margiśka! - Gdzieś od najdalszej grupy pędzi Jaruzyna z wyciągniętymi dłońmi.

Przeraźliwe te krzyki, wokoło zasłona dymu, trzask ognia, sypnęły iskry, nikt już nie widzi dziecka. Ale za nim skaczą już dwie postaci, szamoczą się, macają w ogniu na ślepo, mała musiała upaść, byliby ją inaczej widzieli.

Jest. Łapią z dwóch stron, sypią się skry, dławi oddech, piecze, pali wokoło. Teraz prędej do tyłu, prędej. Mężczyzna czuje, że ten drugi ratownik z przeciwnej strony, wspólnie dźwigający dziewczynkę, słania się i upada. Rozszerzając ramiona, łapie *zarazem* ten dodatkowy ciężar, rwie ku swobodzie, tam, za ogniem. Trzask za nim, pewnie sztapła się przewaliła, czy zdąży, tchu już brak...

Wyciągają się ręce, chwytają tamte dwa ciała, jego też podtrzymują. Więc jednak, uszli wszyscy troje z żywiołu...

- To ta dziewczucha, co od Łyczywka...- podniósł się szept, gdy Okińczyc przydźwigał na ustronne, bezpieczne miejsce dziecko i ratującą je dziewczynę.

- Monter, z tych, co to świdrują w ziemi... - uzupełniał ktoś inny relację.

- Margisia, Margisia, dziecko kochane! - matka przypadła do małej. Obok niej ogłupiała tym wszystkim Tomek.

Podjeżdżała karetka. Mężczyzna stał o własnych siłach, tłące ubranie już przygaszono, czoło tylko i całą dłoń miał sparzone. Dziewczyna jeszcze nie wróciła do przytomności. Profesor Gollub szybko schylał się nad dzieckiem. Silne poparzenia, żeby tylko nie w stopniu, kiedy już nie ma ratunku. Zrzucał z małej resztę odzienia. Niemal całe ciało czerwone, narastające w oczach bąblami.

- Panie Janku, jak najszybciej - zwrócił się do szofera. - Tu minuty zadecydują.

Wraz z trójką uratowanych, trąbiąc przeraźliwie, ruszyła karetka w drogę do szpitala.

Okińczyc patrzył za znikającymi światłami wozu. Dopiero mógł zebrać myśli. Wszystko było tak nagle... Zbaraniał zupełnie, słysząc przeraźliwe krzyki ludzi i dostrzegając małą dziewczynkę pędzącą w spłoszeniu w kierunku ognia. Młoda kobieta i jakiś mężczyzna rzucili się za nią z ratunkiem. Wtedy i jemu wróciła przytomność umysłu. *Zdażył* na czas. Z kimś jeszcze wyprowadzali całą trójkę w bezpieczne miejsce.

- To chora, na pół normalna córeczka jednej kobiety... Nieślubna - nieznanego głosu szeptał mu te informacje do ucha. - Dziewucha to od kamieniarza, przy benzynowej stacji, kto by pomyślał... Ciekawe, odratują ich czy nie odratują? Takie *rzeczy*, takie *rzeczy*...

Ogień już wszędzie wygasał. Nadal pracowały hydranty, siekły jeszcze siekiery i bosaki, rzadko gdzie już wytrysnął jezor płomienia, tylko dymy słały się nad ziemią, wolniutko pełzły ku górze.

- Dwie beczki nafty stały osobno, to one tak strzeliły. Jeszcze odrobinę, a byłby bał, gdyby ogień zachwycił resztę - młody strażak ocierał pot z czoła, zdejmował ochronny kask.

Gdy go tak trzymał w rękę, złocisty, gdzieś tam tylko pokryty nalotem sadzy, spłynęły na metal promienie słońca, rozblyszczły go, rozjarzyły, usiały blaskami.

Był pełny, słoneczny dzień.

Kotłowało się w miasteczku jak w garncu. Za wiele było tych wszystkich emocji. Dopiero przeżyli samobójstwo Koniejenki, jeszcze się nie obgadało we wszystkich wariantach tej sprawy, już wybuchła historia z pożarem w magazynach, łącznie z przygodą¹ niedorozwiniętej Margisi od Jarużyny, nie wiadomo dotąd, czy dziecko wyżyje, gdy już nadbiegać zaczęły kędyś bokami wiadomości z prezydium i posterunku MO.

Mało w tym wszystkim obeszło mieszkańców, że neon od nowa rozjaśniał nocne czerwonożółtymi blaskami, że wreszcie poczęto zamontowywać na słupach lampy jarzeniowe, jakimś cudem wykołatanę przez przewodniczącego w Kożuchowie, że na budowie bloku mieszkalnego przy rynku triumfalnie wykwitła wiecha, a murarze z radości tak się popili, iż dwóch z nich trzeba było odnosić do domu.

O zastępcy przewodniczącego od dawna szły różne słuchy, nasycali się, olbrzymiali. Nikogo nie przekonywała ta jego razem ze szwagrem rozpoczęta budowa. Przy tym szoferzy też ludzie, szepnie który słówko, drugi też nie zostanie w tyle, już się jakiś obraz rysuje. Potem przeniknęły na miasteczko słuchy o wykluczeniu zastępcy przewodniczącego z partii. To już wiele znaczyło. Wreszcie komisja z Zielonej Góry. Wiele osób wtedy przesłuchiowano.

Największą jednak bombą i zaskoczeniem była wiadomość, że zastępcę przewodniczącego przeydium aresztowano nie po, a przed pożarem. Właśnie poprzedniego wieczora. *Znaleźli* się zresztą świadkowie, którzy widzieli, jak milicja go zabierała.

Największym plotkarzom z kioskarzem „Ruchu” na czele zrzędył miny. Walii się misterny gmach rusztowania, wzniesionego około pożaru magazynów. Bo jeżeli nie zastępca przewodniczącego, to kto mógł być podpalaczem? Zastępca w każdym razie nie maczał w tym palców, bowiem po prostu nie mógł. Magazynier od trzech tygodni przebywał w szpitalu. w Zielonej Górze, przygniotła go szyna stalowa przy wyładunku na rampie. Zatem on także nie...

Maliniaka ze stacji benzynowej znów wzywano do MO na przesłuchania. Widziano tam także kilku szoferów. Minę wychodząc miał z nich każdy nietęgą.

- Podobno Kanadyjce spotkał podpalacza. Wracali fordem z Grunwaldu, facet uciekał do lasu...-bardziej zaufanym szeptał do ucha kioskarz „Ruchu”.

- Kanadyjce? Widzicie wy go, co to za szczwana sztuka! Przy pożarze też spisał się chwacko. Omal się nie spalił, ratując szopę, w której ta nafta... A i potem, przy dzieciaku...

- Przyhamował swoją budowę. Ci złodzieje, choć robi on dobrą minę, podobno jednak zabrali mu wtedy pakiet dolarów. Bił się z nimi, rękę miał zharataną, do szpitala chodził na opatrunki.

- Starczy jemu tego, co pozostało. Cały wagon cegły przysłali mu wczoraj. A cement jaki, najwyższej klasy, eksportowej. Za dolary, rozumiecie?

- Do tej siwej siostry przełożonej ze szpitala smali cholewki. Ale ona go nie chce. Pewnie, wiadomo to komu, co za jeden? Machnie się babka za niego, a potem wyjdzie szydło z worka, że jaki kanciarz albo i szpieg amerykański.

- Ech, zaraz szpieg. Chłop przy forsie i tyle...

- Do tej malej Margisi chodził, krew swoją dawał, bo dziecku było potrzeba, a on ma tę samą grupę.

- Dobra, dobra, co jednak z podpalaczami?

- To więcej ich było?

- Nie wiem, jeżeli pożar w dwóch miejscach? Bo to jeden by zdążył?

- Stróż był zacadzony, jakby spity, choć podobno krzty alkoholu nie wykryli w badaniu.

- Dmuchał w balonik?

- Nie, ale coś tam było. Jego też aresztowali. Za brak dozoru.

- Szkoda chłopca. Co stary winien, jak mu się na śpik zebrało? Młodego by dali, nie takiego truposza...

- A bo to młody pójdzie za marne grosze? ‘

Tak się to wałkowało z dnia na dzień, jedni informatorzy przeczyli drugim, nikt niczego nie wiedział, życie miasteczka wykoleiło się z torów. Za dużo tego wszystkiego.

Potem każdy zajął się swoimi sprawami. Zboża dojrzewały w tym roku szybciej, bo i wiosna była wcześniejsza, tygodniami trwała piękna pogoda, zaroilo się więc na polach, żyto, ozima pszenica, u niektórych także i jęczmień. Kto tylko mógł, szedł pomagać przedmiejskim, bogatym w rolę. Płacili wysokie stawki, wyższe w tym roku niż kiedy, bo rąk brakło do pracy. Jeszcze z kobietami pół biedy, do podbierania i wiązania snopów, ale mężczyzn szukaj choć na lekarstwo.

Bo i budowy leciały, wszystkie razem. Cegielnia, znów Dominiak montował nową brygadę, to samo przy nowej hali warsztatów naprawczych; adaptacja poniemieckiego budynku koszarowego na fabrykę cukierków, przedtem opóźniona, dopiero ruszyła całym tempem, a jeszcze ten blok mieszkalny przy rynku, rozbudowa szpitala, różne prywatne łataniny, u tego obórka, u owego stodoła, u Kanadyjczyka nie wiedzieć znów jakie cuda, różnie o tym gadano.

Gorące dni. Aż najstarsi mieszkańcy, ci co pojawili się tutaj zaraz w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, gdy na ulicach rosły stosy gruzu, szyby w żadnym oknie nie było, po sadach straszyły miny - tręcali się łokciami z radosnym niedowierzaniem, twarze ich rozszerzały się uśmiechem. Oni się najbardziej związali z miasteczkiem, wprowadzali tu ład, własnymi rękami usuwali gruzy, nie wiedzieć skąd wydostawali szkło, by nie wiało mroźną wiosną tamtego roku na przywiezione żony i dzieci, ryzykowali uprawy, choć czasem miny wybuchały i śladu po śmiałku nie zostawało. Gdy po paru latach wielkiego zrywu wszystko później nieco przygasło, znów niejedno zaczęło walić się w gruzy - choć często było to niejaka pomocą dla uzyskania cegły na Warszawę - gdy chwast raz jeszcze począł wyglądać z ziemi uprawionej z takim wysiłkiem, wtedy opadły im ręce, zgasł zapał. Oklapli, jak oklapła miejscina. Ot, byle do jutra.

Nie dowierzali, chociaż widzieli własnymi oczyma. Cóż to za wyróżnienie dla ich miasteczka? Widzieli jednak to samo przy okazji wyjazdów w Sulechowie i Międzyrzeczu, i dalej, w Sulęcinnie, w *Żarach*, ktoś doniósł, że odżyło Krosno Odrzańskie, zupełnie już zagubione dziury raptem rozdzwaniały się uderzeniami kielni o cegły, zdumiewały ambitnymi planami, rozmachem. Przecierali więc oczy, patrzyli, patrzyli, potem powoli, jeszcze ostrożnie, sami się zaczęli poddawać narastającemu w nich nawrotowi dawnej energii. Wydobywali z ukrycia zapomniane plany, pieczołowicie nieśli je do partii czy do prezydium, przychodzili potem dowiadywać się, przydadzą się one na coś, czy dopomogą? Objawiali też

jeden po drugim własną ochotę dopomożenia w tym, co się dzieje. Tu i ówdzie odżył już z własnej, nieprzymuszonej woli czyn społeczny, zmagano się, a to wyreperują ulicę, a to zasadzą jesienią drzewka, ktoś apelował o uporządkowanie ogródków przed domami, niechże kobiety w miejsce trawy i zielska zasadzą w nich kwiaty...

Żeby tylko nie było już więcej samobójstw, podpaień, przestępstw i aresztowań. To ludzi od roboty odrywa, wytwarza bałagan... Pewnie, gdzie drwa rąbią... Krzywili się przy tym niechętnie. Niekoniecznie każde przysłowie musi być tak bardzo prawdziwe.

Na rynku już zaczęto montować trybunę na uroczystości lipcowe, szeroką, masywną, żeby potem dobrze mogła się na niej zmieścić wojskowa orkiestra. Tańce będą wszak do samego rana.

Właśnie wtedy od nowa zaszumiały pogłoski. Bo to profesor Gollub wyrzucił z pracy pielęgniarza, gdyż złapał go na wynoszeniu leków ze szpitala. Bo to z byłym zastępcą przewodniczącego wcale nie prosta sprawa, podobno zupełnie inne grzechy ma na sumieniu. Komisja w prezydium? Muszą być kontrole, nad każdą władzą także jest władza. Kontrola wystawiła pracy prezydium wcale pochlebną opinię. Bo jednak Okińczycza, tego Kanadyjczyka, nie okradli, chłop nie głupi, w banku trzyma dolary, furczy u niego z robotą, ma jakąś fermę zakładać, na amerykański styl, jedno dziwo podobno. Bo to małej Margisi się poprawiło, wiadomo już, żyć będzie, nawet mają leczyć z tego, że głupawa, nie taka jak inne dzieci. A jeszcze siwa siostra przełożona odchodzi ze szpitala, obejmuje kierownictwo szkoły dla pielęgniarek, co to gmach się dla niej wykańcza przy szpitalu. Znów w partii - pierwszy sekretarz taki tam energiczny - opracowali plan perspektywiczny dla ich miasteczka, z podziałem, co w jakim roku i pięciolatce. Cuda podobno. Zatwierdzili wspólnie z prezydium, wywojowali uznanie w Zielonej Górze i w samej Warszawie. Ogłoszą na jutrzejszej uroczystej sesji prezydium...

- To pewnie będą musieli powiedzieć coś także o zastępcy przewodniczącego? Radni powinni wiedzieć.

Tradycyjnie już, na dwa dni przed świętem lipcowym odbywała się uroczysta sesja rady narodowej. Z hymnami, referatem, z częścią artystyczną, a jakże. W największej ratuszowej sali posiedzeń. Zawsze bywało tam tłoczno, rozsyłano zaproszenia, już to samo kazało ludziom przychodzić, dowód przecie uhonorowania. Przygodnych słuchaczy też się zląziło niemało.

Nigdy jednak takiego tłoku nie było jak w tym roku. Bo to i w mieście cuda nie widy się dzieją, ruch, szum, budowa, przy tym jakby w jakim amerykańskim Chicago samobójstwa, podpalenia, areszty. Prawdziwa Ameryka! Jednemu chyba Kanadyjczykowi nie dziw, on to

pewnie nie raz widział już takie hece?

Ciasno, tłok, braknie miejsc siedzących, wielu podpira ściany. Gala. Dekoracja nad prezydialnym podium, orzeł, zarys granicy na Odrze i Nysie, trochę z boku herb miasta, biało-czerwone kolory. Na sali gwar, napięcie oczekiwania, już jest opóźnienie, czemu prezydium nie wchodzi, tłoczą się oficjałowie z bocznej, przyległej do podium salce. Nareszcie!

Przewodniczący i jego zastępcę, jeden tylko, bo tamten siedzi sekretarz partii, pierwszy i drugi, pułkownik z niedalekiej jednostki, profesor Gollub, patrzcie, patrzcie, jest i siostra przełożona szpitala obok dyrektora fabryki rowerowych łańcuchów, spora się ich zebrała gromada. Siadają, szurają krzesłami.

- Teraz będzie referat - głośno szepce ktoś w pierwszych rzędach, gdy radny, przewodniczący sesji, powstaje ze swego miejsca.

- Otwierając naszą uroczystą sesję... - zaczyna, a przez salę przebiega szmer.

Więc co, będzie jak zwykle? A te sensacje? Co jest z byłym zastępcą przewodniczącego? Co z podpaleniem? Ktoś w tylnych rzędach zaczyna szurać nogami, gaszą go zaraz sąsiedzi, od któregoś nawet kułakiem przez plecy obrywa niewczesny żartowniś.

Jest jednak i coś innego. Przewodniczący sesji oznajmia, że na pierwszy punkt porządku dziennego, jeszcze przed referatem prezydium, wysunięto sprawy organizacyjne, nastąpiły, bowiem ostatnio zmiany personalne, zaszedł także szereg wydarzeń...

Głucha cisza na sali, wytrzeszczone zaciekawieniem oczy.

- ...zastępcę przewodniczącego okazał się dawnym współpracownikiem władz porządkowych okupanta, ma na sumieniu przestępstwa przeciw narodowi polskiemu. Krył się tutaj pod fałszywym nazwiskiem, umiał wkraść się w zaufanie władz, objąć poważne stanowisko. Dopiero niedawno organa śledcze wpadły na jego trop. W związku z tym został aresztowany, z uwagi na skalę przestępstw odpowie przed sądem doraźnym, przewód sądowy odbędzie się na tej sali...

Musiał przerwać, tak się głośno zrobiło pośród zebranych. Okrzyki oburzenia, wytrząsania pięściami nieobecnemu zbrodniarzowi. Długo trwało, nim wreszcie przycichło.

- W związku z wakującym stanowiskiem zastępcy przewodniczącego, na najbliższym posiedzeniu roboczym rady wybrany zostanie nowy zastępcę...-Zawiesił na chwilę głos. ->- Druga bolesna sprawa, to niedawny pożar magazynów, który przyniósł wielkie straty, gdyby zaś nie bohaterska postawa straży pożarnych i ratujących obywateli, ogień mógłby zagrozić całemu miastu. U podłoża pożaru stoi zbrodnia. Stwierdzono, że ogień wybuchł na skutek podpalenia, tym sposobem chciano ukryć nadużycia. Śledztwo jest w toku, z tej przyczyny

nie można ujawnić bliższych szczegółów...

Spojrzał po wlepionych w siebie oczach zebranych. Z wyraźną ulgą zapowiedział, iż w następnym punkcie porządku dziennego referat aktualny wygłosi przewodniczący prezydium. Siadając, chustką ocierał spocone czoło.

Na sali szumiało.

9.

Już wczesnym wieczorem orkiestra zaczęła swą pracę od wesołego marsza. Na znak, że jest, niech pędzi tańczyć, kto żyw. Na rynkowym placu było jednakże pusto. Tylko gromada dzieciaków gapiła się na muzykantów wytrzeszczonymi szeroko oczyma. Wszystko cokolwiek starsze godnie trzymało się nadal chodników, z wyjątkiem podpitego majstra z budowy, który chwiejąc się na nogach, z daszkiem z ręki nad oczami, jak w Uroczą kochankę wpatrywał się w czerwoną dachówkę wznoszonego przy jego udziale budynku mieszkalnego. Wiecha chwiała się trącana górą kędyś przebiegającym wiatrem.

- A co, nie cacy robota? - pokrzykiwał ku chodnikom. Niechby mu ktoś zaprzeczył.

Inny był ten lipiec niż poprzednie. Bardziej wesoły i kolorowy. Komuś w prezydium przyszło do głowy, uczestniczył swojego czasu w festiwalu młodzieżowym w Warszawie, by ich miasto także upiększyć w tym dniu. Znaleźli plastyka, zbaraniał chłopaczyna żyjący z nędznego pólétatu w Domu Kultury, gdy pierwszy raz miejscowe władze zwróciły się do niego z zamówieniem. Że to rynek ma odpowiednio wyglądać, główna ulica, jakieś tam szmatki na sznurkach, w witrynach sklepowych różne cudeńka, zresztą sam chyba najlepiej wie jako artysta. Materiały, jakich pragnie, otrzyma. I żeby tak wszystko raz dwa.

Chłopak nie spał trzy noce, z przejęcia i nadmiaru roboty. Na podwórku domu, gdzie mieszkał, suszyły się płaty bawełny, umazane w wymyślne kolory, w kółka i kwadraty, trójkąty jakieś i różne esy-floresy, diabeł by się w tym nie rozeznał. Stolarz zbijał listwy, do nich przybijali razem kawały tektury, na tym kwiatki, winne grona, jakieś wieże, ni to Pałacu Kultury w Warszawie, ni to zielonogórskiego ratusza. I słońce śmiejące się pełną gębą, z promieniami jak noże, i księżyc pyzaty wychylający się spoza chmur, podpatrujący miłośnie gdzieś tam u dołu całującą się parkę, i ptaki dwa, trzymające coś w dzióbkach... Pokój swój zawalił znów plastik kawałkami pogiętego papieru, spiętego szpilkami, frymuśną kolorową bibułą, strzyżoną na różny sposób, dziwacznymi gębami śmiejącymi się od ucha do ucha.

Przerażeni patrzyli sprzedawcy w sklepach, gdy pakował się z buciorami na wystawę okna, kazał wyrzucać towary, z takim wysiłkiem poustawiane w sterty, bali się jednak sprzeciwić, bo jakże sam kierownik wydziału handlu obszedł placówki, nakazując poddanie

się dyktandu obywatela-artysty. Ten więc używał, ile wlezie. Rozpinał papiery, bibułki, gęby powykrzywiane w śmiechu, przekładał to po trosze towarem, dobierając, żeby wypadło mu do koloru. Od zewnątrz aż mroczno było od dzieciarów, płaszcących nosy o szybę, zadziwionych okrutnie... Cuda w końcu z tego powychodziły, jak nigdy jeszcze tu nie bywało, owszem, podobało się wszystkim, choć czasem trudno było rozpoznać, co ma która z tych rzeczy przedstawiać.

Gdy skończył z witrynami sklepów przy głównej ulicy, zaczął dyrygować chłopcami ze straży ogniowej. Po drabinach musieli łązić, gwoździe przybijać, przeciągać nad jezdnią sznurki z kolorowymi szmatami, ciętymi w kwadraty, trójkąty, strzyżonymi nie wiedzieć jak. A wszystko to barwne, aż oczy bolały. Całą ulicę popstrzyli, jeszcze gdzie się dało, utkali na ratuszowym placu. Nad wejściem do prezydium zawisł orzeł z tektury, zgrabny, dobrze wyglądał na tle pęków chorągwi. Od razu zrobiło się jaśniej. Jedno mu tylko przeszkadzało, monterzy od tych lamp jarzeniowych. Parę sznurków niechcący zerwali, łatwo się jednak z nimi dogadał, obiecali, co zerwą, sami naprawią, bo to jeszcze mają kupę roboty, zobowiązanie zrobili, że na lipca, ale coś nie wychodzi, pewnie nawet nocą nie spoczną. To prawda, święto już było, ludzie odświętnie odziani wysypywali się na ulice, a oni wciąż tkwili na swoich słupach, z przychudłych, umorusanych twarzy tylko im białka łyskały. Gdy w końcu skończyli, ledwie nogami ciągal. Któryś nawet zaklął dość szpetnie: „pieska niebieska z takim świętem”, ale przecież zaraz oglądnał się z dumą na ciąg tych nowych lamp, długich, opatrzonych od góry kapturami z czarno pomalowanej blachy...

Orkiestra co raz to próbowała dla zachęty jakiś kawałek, ale nic, ciągle te dzieci. Jakie tam tańce, gdy słońce na niebie. Niechaj trochę zmrocznieje, dopiero się zacznie. Tymczasem tłukło się bractwo ulicą, rade, że tak kolorowo jest i wesoło. Jakby naprawdę w wielkim mieście. Dziw, jak się to u nich szybko zaczęło zmieniać.

Nawet nie zaczynało się zmierzchać, gdy ktoś niecierpliwy przekreślić musiał wyłącznik. Zadrgał, zabłysnął, wreszcie rozjarzył się czerwony i żółty neon, a w chwilę potem, migocąc z początku, zapalił się długi szereg lamp jarzeniowych.

- Szafa gra - zakrzyknął do kompanów młody elektryk przy słupie ze skrzynką z tym wyłącznikiem.

Przez gęstniejącą czeredę spacerujących obywateli przebiegł aplauz zachwyty:

- Aaaa!

Majster budowlany szedł ku elektrykom z napoczętą pół-litrówką.

- Chłopcy, za wasze zdrowie!

Jakże nie wypić? Choć to trochę nieładnie, tak na ulicy, przecież nie odmawiali butelki,

przechodziła z rąk do rąk, bulgotało w gardłach, mocna była siwucha, piekła jak ogniem.

Orkiestra nęciła ochoczym walczykiem. Obejrzał się majster, podskoczył ku pierwszej przechodzącej kobiecie, zagarnął na plac, zakręcił w walcu. Zawirowała, śmiejąc się, tylko migąło majstrowi w oczach.

Żałowała, że nie ma w miasteczku Wichruna. Leczył się ciągle po kraksie, mocno go wtedy poharatało. Pierwsza operacja w szpitalu miasteczkowym, długie dwa tygodnie leżenia, wreszcie decyzja profesora, że stan chorego wymaga leczenia rehabilitacyjnego... Karetka zabrała chłopca do Poznania, ma się podobno lepiej, wróci za miesiąc, dwa... Ale dzisiaj go nie ma, pusto jakoś, choć tłok wokoło. Już by się go nie bała, nie unikała. Jeżeli wtedy, ledwie przytomny, powiedział jej imię, musiało się kryć za tym coś więcej.

A ona? Sama nie wiedziała. Pewnie, Wichrun ładniejszy od innych, wszystkie dziewczyny za nim się oglądały. Hela by nie wiedzieć co dała, żeby choć raz przespać się z tym czarnym o śniadej cerze chłopakiem... A ona? O spanie jej najmniej chodziło. Aż się sobie dziwiła, że się dotąd ustrzegła. Znała zresztą przyczynę, przeszłość matki i jej opinia, nie chciała iść tymi śladami. Ale gdyby tak z Zygmuśkiem? Gdyby on zamyślał poważnie?

Przerwał się tok zadumy, partner o coś ją zapytywał, ani wiedziała, o co.

- Tak się zasluchałam w muzyce. Dobra ta wojskowa orkiestra, prawda? j

- Dobra... Czemu ty jesteś taka dziwna, Miła? Gadam do ciebie jak do pniaka..

- Nie lubię rozmowy w tańcu. Mało to innych okazji?

Wzruszy! ramionami. Brednie. Każda lubi, gdy się jej szepce przy tańcu różne takie duperele do ucha. Jedna Miła tylko dziwaczy. Łaski nie robi, mało to innych dziewczuch?

Zygmuś... Te oczy tak mu się palą. I całował zupełnie inaczej, pierwsze pocałunki, które naprawdę lubiła. Tylko czy on poważnie? Pustogłów, babiarz, wiedziała, że kiedyś z Jadwiśką legiwał w lesie, podobno i z Felą z baru. Miałyby wice być jedną w kolejce? Że się on jej więcej od innych podoba, to jeszcze nie zakochanie. Ładniejszy, grzeczniejszy, nic dziwnego. Nie ma co się przejmować. Rozwalił się, leży w szpitalu, więc się ona nad nim lituje. Nie ma potrzeby. Z nimi wszystkimi ostro i już. A to zaraz wiadomo, do czego zmierzają. Ten przecie też poszeptywał, aby odpocząć, przejść się na mały spacer. Spacer, w krzaki go ciągnie, łobuza. Guzik, jeszcze z pętelką.

Ledwie zastygły ostatnie tony, frunęła w gromadkę koleżanek. Chłopak popatrywał za nią rozżalony i zgniewany zarazem. Podobała mu się, wysoka, zgrabna, z tymi sterczącymi ostro pierściami, z jasnymi włosami jakby niedbale uczesanymi, opadającymi na twarz krągła, ale ładną, z oczami ni to jak trawa, ni to jak niebo, z ustami lekko wysuniętymi do przodu, jakby

już się chciały całować. Popatrywał, wreszcie zrezygnowany machnął ręką i poszedł do stojącej na uboczu ciężarówki, w której sprzedawano parówki i piwo. Od razu zamówił ze zmartwienia dwa kufle.

Od sznurów kolorowych lampek, zawieszonych nad całym placem koło zabytkowego ratusza, padały na twarze bawiących się migające światła, zmieniały się barwy, łyskały oczy. Ej, zabawa, zabawa!

Orkiestra odezwała się zapomnianym tangiem, tak dla odmiany. Tyle już młodzi się wyskakali, dobrze im zrobi, gdy się poruszają przez chwilę nieco stateczniej. Do grupki dziewcząt, w której znalazła się Mila, podchodzili już chłopcy. Cofnęła się do tyłu, w miejsce, gdzie padał cień domu. Tutaj na pierwszego maja pocałował ją Zygmunt. Też była zabawa na wolnym powietrzu, choć chłodem jeszcze ciągnęło.

Nie miała ochoty tańczyć. Przyglądała się kołtuniącej cizbie. Do tanga ruszyło sporo par także i spośród starszych widzów, oblegających chodniki. Pewnie, nie porwą się przecie do rock-and-rolła. Uczuła głód. Nikt z chłopców nie zaprosił jej do bufetu na ciężarówce.

Czuła na sobie uporczywe czyjeś spojrzenie. Żachnęła się, kto znowu ślepieja tam wybałusza? Na prawo, o parę metrów stał szczupły, wysoki chłopiec, z jasnymi włosami, bardzo miękkimi, bo wciąż mu opadały na czoło i policzki odrzucał je niecierpliwym ruchem dłoni. Już przedtem dostrzegła go raz czy dwa. Mało tańczył. I stale się jej przyglądał. Było w nim coś znajomego, nie mogła jednak sobie przypomnieć, by go kiedyś widziała. Pewnie przyjezdny. Sporo ściągnęło na dzisiaj z dalszych wiosek, z rozrzuconych kolonii. Mógł to być także ktoś z ekipy wiertniczej. Tam pracuje z piętnaście osób, przeważnie młodych. Jeden z nich ratował Margiškę, jest na zabawie, ciągle jednak jak rzep psiego ogona trzyma się Wery, tej od Łyczywka. Ogień ich tak ze sobą zespolił czy co?

Chłopak wciąż patrzy. Niebrzydki. I taki jakiś inny, grzeczny, spokojny. Podszedłby już, poprosił, z nim chętnie zatańczy. Raz jest w końcu święto lipcowe. Spojrzała w jego stronę. Speszył się, odrzucił włosy, zaraz zaczął poprawiać krawat. Uśmiechnęła się wyraźnie do niego. Dopiero zdobył się na odwagę, przybliżył.

- Można prosić?

Pierwsza ujęła go w odpowiedzi, wpłynęli w rojowisko tańczących. Prowadził delikatnie, łagodnie, gdy w tangu chłopcy lubią przyciskać cholernie mocno. Ten inaczej, z szacunkiem. Grzeczny kawaler. Co on mówi?

- Już dawno chciałem z panią zatańczyć...

- Więc czemuż pan nie poprosił? - zdumiała się.

Pachniało od niego wodą kolońską. Chłopcy w miasteczku nie mieli tego zwyczaju. Na

sekundę przytuliła głowę do klap jego marynarki. Przewyższał ją niemal o głowę, choć należała do wysokich dziewcząt.

- Pracuje pani u ogrodnika Kaźmierczaka? To pasuje do pani, tak ciągle wśród kwiatów.

O rany – myślała - co za grzecznis. Zupełnie nie w stylu miejscowych chłopców.

- Kwiaty inaczej wyglądają w bukiecie, inaczej, jak trzeba przy nich harować. Ale lubię je mimo to.

Tańczył już jakby pewniej. Mocniej ją też ujmował w pasie. Było jej bardzo przyjemnie, prawie tak, jak wtedy, gdy tańczyła z Zygmutem Wichrunem. Z Zygmutem jednak stale musiał się strzec. Ciągle jej pakował kolana między łydki, świntuch taki. Ten delikatny.

Podniosła twarz, zajrzała mu w oczy. Uśmiechnął się. I ona się uśmiechnęła. Nic nie mówili, dobrze tańczył, prowadził lekko i zręcznie, nie objali się o nikogo. I to stare tango też takie miłe.

- Zatańczy pani jeszcze ze mną?

- Wiele pan zechce.

Żałowała, gdy się tango skończyło. Pomyślała, że gdy teraz odejdzie, to może już więcej nie wróci. Taki był miły, inny niż wszyscy znajomi chłopcy.

Nie odszedł. Nieśmiało zaproponował, może zajrzą do ciężarówki? Czy pija piwo? I jak jej na imię?

- Miła? A panu?

- Stefek.

Potem był walczak. I wiele, wiele tańców. Stefek nie odstępował jej na krok. Dawno nie czuła się tak szczęśliwa.

W niejednym spojrzeniu z trudem ukrywane zdumienie. Od lat nikt nie widział Łyczywka w restauracji czy barze. Do tego z żoną i wychowanką, tą ładną dziewczyną, tak familijnie, a jeszcze i z fatygantem.

- To ten, co Margiškę Jaruzyny ratował z pożaru...

- Ogień zbliżył młodych do siebie.

Znać było po obydwójgu przeżycia tamtej nocy. Monter z ekipy wiertniczej część czoła zalepioną miał plastrem. Lewe ramię dziewczyny było nienaturalnie grube, przez cienki jedwab sukienki przezierały opatrunki. Oparzelizna marudnie się goi.

W pięknie odnowionym „Zaciszu” zebrała się śmietanka, nie tyle może towarzyska, co finansowa. Pewnie, na placu przyratuszowym taniej się bawić, bufet z ciężarówki również nie nadszarpnie kieszeni. Tutaj inaczej, już za same białe, czyste serwety, za kwiaty na każdym

stoliku, za orkiestrę i wysztyftowane kelnerki trzeba sporo zapłacić, wliczą w rachunek. Cóż dopiero jedzenie...

Łyczywek, jak to on zawsze, twarz miał ściągniętą grymasem uśmiechu. Nigdy nie wiadomo, kiedy cieszył się z czegoś naprawdę, a kiedy smucił. „Już taka cudaczna facjata”, jak mówił kierownik Maliniak. Przychylał się czasem do żony, niewielkiej, przymarniałej kobieciny, wyraźnie źle czującej się w eleganckim lokalu. Ruchy rąk miała niepewne, spojrzenie spłoszone.

- Jak myślisz, matka? Bo Wera oczu z niego nie spuszcza... Niby on też - dorzucił po chwili, jakby w zamyśleniu.

Nie odpowiedziała. Wodzili wzrokiem za absorbującą całą ich uwagę parą młodych. Andrzej dobrze się prezentował, rosły, taki w ogóle chwacki, ze szczerym spojrzeniem niebieskich oczu. W jego stosunku do Wery odczuwało się wyraźną troskę. Gdy ktoś z tańczących nieumyślnie potrafił chore ramię dziewczyny, zmierzył go takim spojrzeniem, jakby miał rozszarpać.

- Tylko ta jego robota, raz tu, raz tam, taka jakaś niestała, choć płacą dobrze, każdemu by się uśmiechało. A przy takiej włóczędzie po świecie, że to chłop młody, byle zdzira głowę mu zawróci, ani o żonie będzie wtedy pamiętać... - powiedziała z wysiłkiem, oczy jej zmatowiały.

- Wspominał, że teraz do jesieni będą tutaj robić w okolicy. Mają jakieś nadzieje na naftę, coś takiego - szepnął przychylając się jeszcze w jej stronę.

- Nie można powiedzieć, chłopiec na dobrego wygląda. Już to, żeby Werze inaczej się poszczęściło... Może by dziatki mieli, jak tamte, pamiętasz?

Twarz kamieniarza rozszerzyła się w szerokim uśmiechu. Przestraszyła się, nieopatrznie to powiedziała, po co otwierać stare rany, przecież ten niby uśmiech to męka, wykrzywienie, tak tylko z zewnątrz inaczej wygląda. Z tunelów podziemnych Dory przywiózł już taki grymas, zostało na zawsze... Niepotrzebnie się jej wyrwało. Niepotrzebnie. Ot, babskie marzenie, bo chciało się jej tych dzieciaczków, chciało. Jak już nie swoje, to Wery, bliższa im chyba niżeli córka. Obojgu.

Nadmiernie długie ramiona Łyczywka zakołysały się, sięgnął po karafkę, nalał kieliszek, wychylił. Oczy miał przymrużone, gęba mu ciągle latała tym niby śmiechem. Patrzył na nią, a była pewna, że nic nie widział. Wspominał.

Westchnęła. Już to ich życie samym jakoś wspomnianiem się układa. Gdyby nie Wera, zatrubiby się tamtą pamięcią bez reszty...

Niedaleko Sokółki była ich wioska. Jej raczej, nie jego. Przyżenił się, sam pochodził spod Łomży. Zaraz po tym, jak przewaliła się Polska, do Reichu ich ziemię włączyli, pod tego

Kocha, co to niedawno proces był zbrodniarza w Warszawie. Michał dobrze kamieniarstwem swoim zarabiał, nawet w czas wojny radził, choć już i na inne sposoby trzeba było sobie pomagać.

Mieli dwie dziewczynki, dwa i trzy latka z okładem. Wieleż to było radości z małymi. Matka jej razem mieszkała, wyręką była przy dzieciach. Mogli je śmiało zostawiać pod babczyną opieką, bo to się jazdy często zdarzały, aż na Białystok, koniem, bywało dwa, trzy dni popasali, miał Michał w mieście krewniaków, samym było gdzie głowę przytulić, klacz postawić. Szło jakoś, nie narzekali, choć czasem straszno było, jak takie wieści chodziły, co Niemce robią...

Dopiero jak pod Królewcem zabili takiego jednego z ich starszych. A jeszcze i gdzie indziej jakąś bombę rzucili, pociąg, co z bronią szedł, wyleciał w powietrze, partyzantami też obrodziło w lasach. To się niedola zaczęła. Wedle Działdowa, słuchy szły, parę wiosek spalili, z ludźmi, nikt żywy nie wyszedł. Dla postrachu niby i posłuszeństwa. Tylko nienawiść na siebie wzmogli. W ich wiosce także różnie się działo. Michał w nic się jednak nie płątał. Głową muru nie przebijesz, mawiał. Co my przy takiej potędze?

Znów ich sprawy pognały aż na Białystok. Handlowali trochę, z kamieniarstwa teraz ani by już ujechał. Dwa dni ich nie było. Już w mieście słuchy szły, że gdzieś tam bliżej na Grodno straszne rzeczy się dzieją. Wioski Niemcy palą, ludzi mordują, ani patrzą, stary czy dziecko. Michał nic na to, tylko konia zaprzęgać i w drogę. Niespokojny był, aż śmiała się z niego. Czemu zaraz ma być ich wioska?

Pod wieczór dojechali. Pagór był taki, opadał w dolinę rzeczną, tam rozłożyły się chaty, Ludzie jacyś po krzakach się kryli, uciekał każdy, ani słowa przemówić, Michał tylko batem po koniach, nie patrzył, że ledwie dychają, przecie szmat drogi. Z pagóra tego ujrzeni... A jeszcze pies przedtem nadleciał z wyciem, poparzony cały, z sierścią wyżartą ogniem, zestrupiały, strach było patrzeć... Na miejscu ich wioski nie było nic. Ani domu, ani obory, ani świronka najmniejszego. Kominy jedne sterczały, zeżgwiecone, czarne, dołem dym ciemny snuł się po pogorzeli. Ona w płacz wtedy, z miejsca nie mogła się ruszyć. Jemu zaś policzki latały. Słowa nie powiedział jednego. Mocnym krokiem w dół poszedł, ją z koniem zostawiając na górze. Widziała, szedł niewielki, machając przydługimi rękoma, sam jeden, wkoło zielono, a tam kominy i dym lepliwie ciągnący przy ziemi. Michał szedł coraz to szybciej. Ją zaś strach wtedy ogarnął. O wszystko. O tamto, czego nazwać jeszcze nie potrafiła, a co już wyobrażeniem strasznym podłaziło pod gardło, o niego, że to tak dziwnie prędko idzie, ani się zatrzyma na chwilę, o siebie samą. Krzyknęła z rozstawionymi ramionami pognała w dół, ku niemu.

Żeby być razem, żeby tylko nie samej, bo sam człowiek nigdy tyle nie potrafi wytrzymać co w dwoje. Dopędziła go dopiero przy ich domu. Domu? Miejscu, gdzie kiedyś, jeszcze przed dwoma dniami, jeszcze wczoraj może był dom. Kupa zwęglonego drewna, cegły, kamienie, dzbanuszek porcelanowy, czemuś cały, czyściutki, jakby go ogień mijał. Ten dzbanuszek zawsze będzie pamiętać. A przy dzbanuszkę coś jeszcze... Wikcia pierścioneczek miała miedziany na małym paluszku, leżał sobie teraz spokojnie samotny, przydymiony w kolorze, podtopiony po jednej stronie... Usta otwarła i nic, ale to nic. Krzyczeć nie mogła, słowa jednego wymówić, ani zapłakać, ani klątwy straszliwej rzucić... A Michał jakimś kijem grzebał w rumowisku, odgarniał popiół, jeszcze się pod nim tliło. Niczego nie znalazł, ani śladu po babci i po Marcysi, tej starszej, nawet pierścioneczka chociażby... Wtedy stanął i on. Jakby wrósł w miejsce. I tak sterczeli jak dwa straszliwe, pokraczne słupy rozpacz i bólu. Od tyłu ich zaszedł stary Szmurło. Oczy miał jak woda zupełnie, nic w nich nie było. Mruczał, co raz to się żegnając szeroko. Ledwie zrozumieli to całe mruczenie. Minionej nocy nadjechali, obstawili wieś, rewizję robili. Znaleźli trzech jakichś, których szukali. Już i nie wie, kto ich tam krył z wioskowych. Powieźli tych trzech... Szmurło wszystko widział, krowa im się zgubiła, poszedł po krzakach nad rzeką szukać, został takim sposobem za niemieckim kordonem... Podpalili chatę z jednego brzegu wioski i z drugiego, i jeszcze jedną we środku. Wiatr był, zajmowało się jedno ode drugiego. Gdzie ogień nie dochodził, dopomagali. A potem była zabawa. Co się kto ukazał z drzwi palącego domu, to strzelali. Dzieci, starych, i młodych. Nie przebierali. Ktoś tam, czy nie Świaniewicz, też strzelać zaczął z rozpacz. Zabił jednego, jeszcze któregoś ranił. Wtedy jakby w nich same szatany wstąpiły. Granatami obrzucali dom Świaniewicza, ostrzeliwali tak, że huk szedł jakby cała wojna to była. Musieli trafić, bo przestał odpowiadać strzałami, albo naboju może już nie miał...

Dzień już nastał, a jeszcze palili, jeszcze strzelali, obchodzili dokładnie miejsce za miejscem, czy kto żywy nie został. Straszne rzeczy się działy...

Mamrotał, oni stali bez ruchu, łowili słowa, nie wiedzieli, docierały do nich czy nie docierały. Michał łzy nie uronił. Oczyma tylko jak dziś, jak teraz przymrużonymi, wodził po pogorzeli, po wspólnym grobie ich dzieci, jej matki, domu, dobytku całego.

Potem zaś nagle wziął ją pod ramię, nawet na starego Szmurłę nie spojrzął, poszli z powrotem ku górze, do konia, co się pał spokojnie przy drodze. Aż pod Warszawę zawędrowali, tak już musiał sobie stary umyślić. Słowa jednego przez te dni z sobą nie zamienili. Skamieniało coś w nich, bo i jej łzy do oczu nabiegać przestały...

Spojrzała na męża. Znów przechylił karafkę, wódkę lał. Ale i muzyka się skończyła, idą Wera z Andrzejem. Dziewczyna uśmiechnięta, szczęśliwa, przecież to widać. On też nie inny.

Żeby się tylko stary teraz rozchmurzył, bo ciągle jeszcze krzywi gębę w tym swoim niby to uśmiechu. Niepotrzebnie o Wikci i Marcysi wspomniała, niepotrzebnie. Ale tak się jej pomyślało, gdy patrzyła na Werę i myślała o jej dzieciaczkach, jeśli kiedy Pan Bóg pozwoli... Żeby nie Wera, może by już kamieniami takimi, jak te, które okuwał swym miotem i dłutem, zostali na zawsze. Aż kiedyś przyniósł pod marynarką, jak pisklę jakieś głodne, zmarniałe, wieleż, trzech latek na wygląd nie miała. Zostawili jak swoje... Pokochali jak swoje... Może więcej jak swoje? Może przeleli na nią całą miłość do tamtych, do Wikci i do Marcysi? Jakżeby inaczej tak chuchać mogli na dziewczuszkę, tak trząść się o jej losy, strzec, jakby skarbu największego na świecie.

- Wera wspaniale tańczy - powiedział chłopiec, ciepło musnął sylwetkę dziewczyny.

Michał przewinał wzrokiem po nich obojgu. Łyczywkowa zauważyła, że uśmiech znikł z twarzy męża. To dobrze, znak że tamto minęło, że jest spokojny. Nalewał teraz wódkę, Werze ledwie tam kapnął na dno. Ujął kieliszek za nóżkę:

- Za wasze, dzieci - powiedział.

Zaraz potem przychylił się do Andrzeja, szepnął słyszalnie tylko dla niego.

- Pomyśl dobrze. Jeżeli poważnie, dobrze, dam ci dziewczynę. Ale pamiętaj, gdyby jaka najmniejsza jej krzywda, jakie łgarstwo, nie daruję. Choćbym miał zabić, nie daruję.

Chłopiec powoli odwrócił głowę, zabłyśły niebieskie oczy.

- Rozumiem.

Zdumiony był, że najmniej oczekiwanie znalazł się w „Zaciszu” jeszcze w towarzystwie magistra Rękawka, głównego buchaltera prezydium. Oto siedzą przy stoliku naprzeciw siebie, czekają na zamówione potrawy wraz z nieodzowną ćwiartką, jakoś się nie klei tymczasem rozmowa, w milczeniu ślepią więc na tańczących. Stolik niedaleko orkiestry, głośno grają, jest wytłumaczenie tego milczenia.

Był przed południem u Koniejenków, jak ostatnio prawie co dnia. Planował uprzednio urlop, ale w tej sytuacji nie mógł wyjechać. Zostawienie dziewczyny samej w najcięższych chwilach nie należałoby do pociągnięć szlachetnych. Czy zresztą chciałby od niej odjeżdżać? Bez Leny wszystko wokoło robiło się dziwnie puste, i chociaż wiedział, że każda wizyta w gospodarstwie obok cegielni przytłoczy go ciężarem panującego tam nastroju, zaglądał, jak tylko wypadło najczęściej. Bo zawsze musiał pamiętać, co zawisło nad tym domem, i że chociaż bliski dziewczynie, był jednak człowiekiem z zewnątrz. Tymczasem są sprawy, których z innymi się nie przeżywa.

Koniejenkowa była dla niego troskliwie grzeczna, nawet z lekka jakby onieśmielona, może wspominała tamtą godzinę zwierzeń, nie chciała zaś jej pamiętać, może w końcu teraz

wszystko już było jej obojętne. Przy tym wydawała się jakby spokojniejsza, nastąpiło spełnienie tego, co wisiało nad nimi, do czego kiedyś nieuchronnie musiało dojść, co truło każdą chwilę niepokojem oczekiwania. Krzątała się po obejściu jak dawniej, nic w niej nie uległo na pozór odmianie, mimo to Henryk obserwując ją odnosił wrażenie, że się w tej kobiecie coś załamało, coś bardzo ukrytego, trudnego do nazwania czy określenia, coś najważniejszego. Jak gdyby była już martwa w swym życiu wewnętrznym, jakby się wszystko w niej wypaliło, spopielalo do cna. Lubił ją, a na pół świadome odczuwanie stanu kobiety powiększało jego szacunek. Dobrze, myślał czasami, że matka Leny jest właśnie taka.

Jerzy był inny. Zawsze mrukliwy, zamknięty w sobie, z badawczym, z ukosa kierowanym spojrzeniem swych zielonkawych oczu. Czoło mu obrosło zmarszczkami, przygiął się bardziej, jak mul, któremu zdwojono ciężar niesiony na grzbiecie. Nie wahał się długo z decyzją. Następnego dnia po pogrzebie powiedział krótko:

- Na studia nie wracam, może kiedyś. Zostanę z wami.

- Jerzyk - próbowała zaoponować matka. - Same poradzimy, na pewno...

- Zostaję z wami - powtórzył. - Do nauki chyba jeszcze powrócę. Czy do moich chłopców i dziewcząt w organizacji, nie wiem.

Przyjrzał się i przekrzywiając głowę, odszedł swym zrównoważonym, spokojnym krokiem. Ślepiły za nim bezradne, wiedziały, nie mają nic do powiedzenia, przejął teraz funkcję głowy rodziny, do niego należy decyzja.

Henryka przywitał w dzień czy dwa potem normalnie, dłoń uściśnął tak samo, ani słabiej, ani też mocniej. Chwilę pokręcił się, odszedł do swoich zajęć. Zaraz potem Henryk usłyszał, jak wyklepuje kosę. Żniwa.

Najpilniej śledził Lenę, pamiętając dobrze ich rozmowę, w której mówiła o trawiącym ją niepokojem. Czy przeżyta tragedia zgasiła ten niepokój, czy został on, albo jeszcze się wzmagał? To było tak ważne. Nie wracał jednak do tamtej rozmowy, jeszcze nie czas, długo nie będzie czasu na podobne zwierzenia. Jeszcze nie *zdażyły* zwiędnąć i wyschnąć kwiaty na grobie Piotra Koniejenki.

Gdy przychodził, zawsze na śniadej jej twarzy, w ciemnych oczach, w geście i ruchu, łowił błysk jakiś, leciutkie drgnienie, jakby wyraz radości. Czekala na jego przyjscia, potrzebna jej byla jego obecność. Jak i dawniej, siadywali na ławce pod rozrosłą jabłonią. Przeważnie milczeli, pod zachód zawsze świerszcz zaczynał ćwierkać, skryty we wgłębieniu kory. Lubili go obydwójce. Inaczej cisza byłaby na pewno za mocna, cisza, która już męczy. Henryk zamyślał się, wspominając czarną chmurę, zakrywającą niebo Koniejenki. Czy ciemna płachta odpłynęła teraz znad tego domu? Znad uczuć Leny, jej niepokojów, czy

zabrała ze sobą ów lęk, którego bliżej nie umiała określić, który straszył ją samą, nakłaniając do namów ukochanego, by odszedł, czekał, a może zrezygnował?

Nie wiedział, ona sama jeszcze może też nie wiedziała. Henryk nie rozpaczał nad tym, nie szarpał się, rozumiał, że teraz musi czekać. Było mu tylko smutno, zagubił swoje miejsce w miasteczku, pośród znajomych i nieznajomych ludzi...

Dziś do późna tkwił w domu, czytał, próbował drzemki, nie chciało mu się iść pomiędzy powszechne wesele, w światła i migocące kolory. Ale i dom go mierzył, matka ciągle nawracała do swoich dziwaczkich urojeń, do wspomnień grunwaldzkich, gdzie ona, Kirgiełłowa, była na głównej trybunie. Zerwał się wtedy i wybiegł, pamiętając, że czasem w największym tłoku dopiero odnaleźć można własną, zagubioną samotność. W Domu Kultury szalano w tańcu. To samo w świetlicy fabryki łańcuchów rowerowych. Dygotał płasami, światłem i barwą rynek, aż stary ratusz zdawał się podrygiwać. Stanął daleko od wirującego tłumu, patrzył. Ktoś go ujął wtedy pod ramię. To był Rękawek, podpora miejscowych władz, człowiek niesłychanie surowy w pracy, w życiu prywatnym okazujący miękkość i serdeczność dla ludzi, oryginał przy tym, jeśli nie zwariowany dziwak... Poszli tak razem przez rynek, przez ulicę furkocącą sznurami szmatek, pyszniąca się światłami jarzeniowymi i żółto-czerwonym neonem. Przed „Zaciszem” Rękawek powiedział:

- Zajrzymy, panie Henryku?

Skinał głową, przemknęło mu przez myśl, że jedna, dwie wódki dobrze mu zrobią. Bo zupełnie rozmaże się w tym chandrowatym swoim nastroju.

Teraz gotów był żałować nie przemyślanej decyzji. Bo cóż, wszyscy się bawią, oni tylko siedzą naprzeciw siebie jak mruki. On przebywa myślą przy Lenie, o czymś tam swoim duma Rękawek...

Muzyka urwała, pary wracały na swoje miejsca. W tej chwili kelnerka postawiła na ich stoliku dymiące talerze, karafkę, napełniła kieliszki.

- Ano, jest nasz tradycyjny schaboszczak - nabożnie nieomal westchnął buchalter. Ujmując za wódkę, zerknął zarazem na swoje łokcie. - Bo ja to, wie pan, sprawdzam, czy zdjąłem zarekawki. Zawsze je w biurze noszę, wiadomo, kawalerski stan, ubranka się pilnuje... A więc proszę.

Wódka, o dziwo, była chłodna, na stopce osiadły kropelki przyjemnej mgiełki.

Rękawek, jedząc, obiegał spojrzeniem stoliki.

- Inny dziś serwis gości, niżeli zazwyczaj. Świąteczny... Tam, w rogu, Łyczywkowie z wychowanką i jakimś młodzianem. Nie on to czasem ratował z ognia tego dzieciaka? Pożar połączył młodych... Ten pomnik z wielkich, ciosanych brył kamienia, przy wjeździe do

miasteczka, wie pan, kto ufundował?

- Miasto?

- Tak się to nazywało. Łyczywek. Gdy przed dziesięciu laty myśl taka powstała, ja ją rzuciłem, przyszedł kamieniarz do mnie, oznajmił, że byle rysunek mu dać, sam wszystko postawi. I tekst napisu, jaki ma być...

„Pamięci Krzysztofa Żegockiego i jego powstańców walczących na tych ziemiach przeciw Brandenburczykom i Szwedom 1655-1657”.

- Pamięta pan. I wie pan o Żegockim... Dużo takich wskaże mi pan w miasteczku, panie Henryku? Może pośród najmłodszych, uczycie ich w szkole, ale reszta? Gdyby tak zrobić ankietę tu przy stolikach, nie wiem, czy dwie odpowiedzi znalazłyby się do przyjęcia... To jest problem.

Pomyślał Henryk, że Rękawek wskoczył już na swój temat, będzie teraz nizał tutaj historię. Chodząca kronika miasteczka, okolicy, całej Ziemi Lubuskiej. Grzebie po archiwach, szuka po strychach, węszy jak gończy po lesie za pamiątkami. Może mu to wypełnia życie, jest dzięki temu szczęśliwy?

Napełnił stopki. Wychylili bez słowa. I nagle Rękawek zachichotał cieniutko.

- Powiem coś panu, tak między nami... Gdy kamieniarz ustawiał już swoje bryły na pomnik, według jego i mojego wspólnego projektu, gdzie tam było myśleć o plastyku, coś mnie uderzyło w jednej takiej potężnej płycie. Aby, aby tylko zatarte, potraskane uderzeniami dłuta, występowały tu i ówdzie wyraźne gotyckie litery... Pokazałem to Łyczywkwowi. Twarz jego zmieniła się nagle w śmiejącą, ma już taki grymas poobozowy, czym bardziej się denerwuje, tym silniej rysy jego składają się do uśmiechu, powiedział: „Tak musi być” - i nachylił się nad którymś kamieniem. O nic więcej go nie pytałem, mówię o tym panu pierwszemu...

Henryk podniósł głowę, patrzył czujnie. Co Rękawek pragnie przez to powiedzieć. Buchalter tymczasem uśmiechnął się leciutko, dorzucił innym już tonem:

- Pewnie z ruin jakiegoś zamku była ta płyta, może z kościoła... Łyczywek jest małomówny, nikt wiele o nim tu nie wie. Był w Oświęcimiu, stamtąd powędrował do tunelów słynnej Dory, może pan słyszał: Buchenwald, podlager Dora.. Tam w litej skale wapiennej biegly wielosetmetrowe chodniki, istniało kilkadziesiąt hal produkcyjnych, Tam się fabrykowało słynne V2, więźniowie ginęli setkami, pył wapienny wyzerał im płuca.

Henryk dyskretnie przyglądał się małej, dziwnie gładkiej, spokojnej twarzy Łyczywka. Siedział przy stoliku jedynie z żoną, młodzi znowu tańczyli.

- Ciekawostka. Produkcją V2 kierował Werner von Braun, tak, ten sam, nieraz go

widywali więźniowie, jak przechodził długimi korytarzami Dory do hal, gdzie następował ostateczny montaż pocisków na specjalnych podwoziach. Taki sobie detal z niedawnej historii.

Jeszcze dwie stopki. Karafka była już pusta. Henryk przyglądał się córce czy wychowance Łyczywka, sprawa też niewyraźna, różnie ludzie gadali... Tańczyła swobodnie, nie za lekko, choć zwinna i zgrabna. Wysoka przy tym, o twarzy pociągłej, rysach mocnych, malarskich. Blondynka. Mogła sio podobać. Chłopak z niej oczu nie spuszczał... Zerknął ku stolikowi Łyczywków. Drobni obydwój, jakby przykurczeni na krzesłach, krok za krokiem śledzili młodą parę, jakaś w tych spojrzeń i radość, i jakaś niepewność.

- Tak, panie Henryku. Mało znamy naszych ludzi. Przy każdym stoliku na pewno by się zebrał materiał na niezgorszą opowieść... Także przy naszym - zaśmiał się. - Myślę, oczywista, o sobie. Księgowy, buchalter, czy jak go zwać, gryziopórko, któraś tam kategoria zaszerogowania, zawsze za biurkiem, łokcie w zarękawkach. I nagle, fijoł na punkcie historii. Prawda?

Odwzajemnił uśmiech. Miły potrafi być ten Rękawek, gdy zechce. Tamten ciągnął już dalej.

- O Łyczywku zgadało się nam przypadkiem. Nie lubię bebeszyć w ludzkich wnętrznościach. Myślałem o tym na innej płaszczyźnie. Tej historycznej. Czy pan zauważył - zapalał się, mówił teraz głośnie, przygłuszając dźwięki natrętnej muzyki - że nam wszystkim ciągle brak jakiejś pełni, istnieje luka, którą nie każdy zresztą potrafi nazwać... Patrz pan, nasza miejscina, perspektywy, zryw, rozbudowa, jednym słowem życie. Tym samym wybieganie w przyszłość, w jutro, jak matki ciężarne brzemienni. Jesteśmy tym jutrem... Jest jutro, jest dziś. To szersze, pełniejsze dziś, mierzone w każdym z nas ciągiem jego żywota. Bo dziś to jednak dla każdego z nas także i niedawne lata, także i piekło okupacji. Nie umiemy się z tego wyzwolić... To ważne zwłaszcza na tych ziemiach. Gdzieś indziej inaczej człowiek montuje sens swoich dni, swojego działania. Patrząc w przyszłość, ale też zahaczając myślą o minione, a bliskie, sprawdzalne poprzez ojców, dziadów, pradziadów, którzy byli na tym samym miejscu, tworząc jakiś stały ciąg rozwojowy jednostek i powszechności. Tutaj gdzieś się ten ciąg rozwojowy urywa...

- Chce pan powiedzieć...? - Henryk słuchał uważnie, nie pojmował ciągle, do jakiej konkluzji chce dojść Rękawek.

- Chcę powiedzieć, że poza jutrem, które tworzy się także dzięki nam, poza tym szerokim dziś, jakim jest całość naszego życia, potrzebne jest dla normalności rozwoju i wczoraj. Gdzie indziej mniej się staje potrzebna znajomość ogólnych dziejów narodu, tam ciąg łączony jest

nicia rodzinnych powiązań z ziemią, gdzie i ojcowie, i dziady, wszystko znane z portretów, z brązowych kartonów fotografii w albumach. Tutaj lukę osobistych, rodzinnych związków musi zapłacić szersza znajomość historii. Przez nią zamknąć się winna ta nie zawiniona przez nas wyrwa. I tę historię za mało znamy...

Skinął na przechodzącą kelnerkę.

- Proszę panią, dwie wódki... - widząc próbę protestu ze strony Henryka, zagadał szybko.- Ja rzadko pijam, naprawdę, dziś mam wyjątkową ochotę, niechże pan nie odmawia... O czymże mówiłem? O tej znajomości historii. Choćby nasze miasteczko. Setki szczegółów... Tylko je zebrać, z archiwów, z jakichś dawnych zapisków, z tego, co mówią pomniki po kościołach i na cmentarzach, gdzie się da, gdzie jeszcze uparcie trzymała się korzeniami żywa polskość, również z ustnych przekazów... Ja sam wieleż takich rzeczy znalazłem... Pan wie, jesienią ukaże się moja praca o naszej miejscinie, próba historycznego zarysu. Konkretny owoc manii tropienia przeszłości.

- Proszę - postawiła dwa kieliszki.

Odstawiając opróżnione szkło, Rękawek zaśmiał się bardzo ciepło, serdecznie.

- Myśli pan, wylazło szydło z worka, czy jak kto woli, z rękawa... Małeńka reklama swojego dzieła... Nie, to, co tutaj mówiłem, było formą określenia pretensji, także w stosunku do pana. Za mało wiecie, za mało przekazujecie młodzieży. Skazujecie ją na dodatkowy trud wiązania zerwanych nici tradycji. Dać jej coś więcej, to też zadanie naszego pokolenia...

- Czy nie za wiele obowiązków ciąży już na tym pokoleniu? Kataklizm po kataklizmie, odbudowa po odbudowie, czego chcieć jeszcze?

- Na każdym pokoleniu ciąży zbyt wiele obowiązków, a jednak każde daje im radę...

- To chyba także jest prawdą... - przyznał Henryk, przecierając dłonią oczy szczypiące od dymu, który snuł się po sali trudną do przeniknięcia powłoką, jakby podczerniała mgłą. Opróżniło się, wiele już było nie zajętych stolików. Obejrzał się. Łyczywkowie także już poszli.

- Duszno tutaj, nastrój robi się zbyt pijany. Pójdziemy chyba? Odprowadzę pana do domu, ale nie będę już nudził. Przyjrzyjmy się balującej pod ratuszem młodzieży.

- Tej, na którą pragniemy przerzucić część naszych obowiązków?- uśmiechnął się Henryk.

Rękawek odpowiedział uśmiechem.

Na drodze pochołdniało, powietrze było rześkie, przy pierwszych oddechach aż kłuć zdawało się w płuca. Ulica ciągle jasna i kolorowa, choć już teraz znacznie mniej ludna.

Od szosy zielonogórskiej nadjeżdżał samochód. Zwolnił biegu, przesuwał się wolniutko ulicą. Ford. We wnętrzu kilka twarzy, siwe włosy, dobrze znajome.

Rękawek wskazał za przetaczającym się autem.

- Ten człowiek ma rozmach, jest twardy... Kto wie, może Szymborska wygrałaby przy nim należy się jej coś wreszcie od życia. Nie wie pan, kto jeszcze był z nimi?

Odwiózł je pod dom, mieszkały nie opodal szpitala. Wyciągnęła ku niemu obie ręce. Noc była jasna, zmatowiałe ogniki skakały po siwiznie włosów. Ujął te dłonie, chciałby przytrzymać dłużej w uścisku. Nabrzmiałym dziwnie głosem Pola wtargnęła w ciszę pomiędzy nimi:

- Bardzo dziękujemy.

Pryśło od razu wszystko. Obrzucił smarkatą wściekłym spojrzeniem. Jej oczy były wyzywające, wargi ściągnęły się w jedną linijkę.

Maria dawno już wysunęła swe ręce z jego dłoni.

- Tak, dziękujemy - powtórzyła, zabrzmiało to bezbarwnie.

Miał wielką ochotę zakląć, tak prawdziwie po męsku, żeby im wszystkim w pięty poszło. Im wszystkim? To znaczy komu? Marii też?

Kopiąc drobne kamyki, z pasją obchodził wóz, zerwał z miejsca gwałtownie, aż maszyna jęknęła, nie przyzwyczajona do podobnych objawów humoru swojego pana.

Jechał już wolno. Bez celu. Lepiej było się przespać, albo pism sobie nakupić, poczytać. Wciąż wielu spraw nie rozumiał, Same, cholera, kontrasty. Cuda i głupota, geniusze i barbarzyńcy, święci i złodzieje. Jasna cholera!

Skreślił pod bar. Noc przesilała się ku świtowi. Nawet w „Piastowskim” było już pusto. Odklepywali swoje tylko najzagorzalsi pijacy. Przysiadł przy najbliższym wolnym stoliku, nadpłynęło zmęczenie.

- Setkę? Sodowej nie ma, ale może mineralną? - uśmiechnęła się Fela.

- Proszę.

Kilka głów od stolików zwróciło się w jego stronę, zamglone wejrzenia, zaślinione głosy, ktoś szepnął: Kanadyjce, już nie zwracali więcej uwagi. Przystawał być sensacją miasteczka.

- Pan tak na sucho? Jest bigos, dostaliśmy także parówki.

Stała nie u boku stolika, ale tuż przy nim. Zęby miała ładne, w ogóle jeszcze zachowała się świeża. Drobna, zgrabna, chodząc wierciła kuprem.

Spojrzał ciekawiej. Przychyliła się bardziej, piersi uwypukliły się. Pomyślał, że muszą być jędrne, niewielkie, miłe w pieszczocie.

- Pan zawsze taki mrukliwy, słowa jednego nie powie.

- Wypije panna? Jeszcze dwie pięćdziesiątki.

Patrzył za nią, jak kołysała biodrami. Zgrabna, nogi może nieco zbyt słupkowate. Taka

niewielka przy tym, lubił podobne. Że łatwa, pewnie, nie trzeba się długo domyślać. Tym lepiej. Dawno już nie miał kobiety, jeszcze w Kanadzie. Żyje tu jak pustelnik. Więc może? Dziewczyna miła...

Przysiadła, nie czekając na zaproszenie.

- A wiec, panno...

- Fela.

- Felu.

Setkę zmieszał jednak w szklance z tą mineralną, wystąpiła i ciepła.

- Tu nikt w ten sposób nie pije. Najwyżej z piwem...

Uśmiechnął się do niej. Właściwie już zdecydował się. Przynajmniej nie będzie żadnych kłopotów. Kupi jakiś prezencik i tyle. Trzeba jej tylko powiedzieć, jasne, nie wprost.

Otworzył już usta.

- Fela! Fela, pół basa! Coś się tak zasiadła przy Kanadyjcu? Fela!

Jegomość o rozchełstanej czuprynie, ciężarem wsparty o stolik, darł się na całe gardło. Towarzysze solidarnie go podtrzymywali.

Okińczyc szybko się podniósł, sięgnął do kieszeni, zostawił na stole sto złotych.

- Do widzenia - powiedział miękko, jakby z przeproszeniem.

Patrzyła za nim zdziwiona, oczy rozwarły się rozżaleniem.

- Fela! Fela! Pół basa!

- Zamknijże ryło, pijaku! - wrzasnęła dziko. Rozumiała, że gdyby, psiakrew, nie tamci...

Odprowadził wóz w głąb uliczki. Nie chciało mu się spać, nie chciało wracać do klitki w domku Walickich. Zajrzy na rynek, gdy przejeżdżali, sporo par tam jeszcze tańczyło.

Rozpieprzył się właściwie cały ten dzień. Inaczej go sobie planował. Przez tę gówniarę. Maria także musiała coś wyczuć, nieswoja była, straciła humor. Zazdrosna ta Pola o siostrę, że wyłazi ze szczeniackimi zagraniami? Chciałaby tę Marię mieć wyłącznie dla siebie? Bywa i tak.

Zapowiadało się zupełnie inaczej. Tak jak to sobie zamyślił. O Poli wspomniał przy zaproszeniu jedynie mimochodem. Maria tylko od razu to podchwyciła. Niech tam, myślał, cóż to przeszkadza?

W samo południe machnęli się do Zielonej Góry. Jak już święto, ciekawiej będzie w wojewódzkim mieście. Kolorowiej wcale zresztą nie było niż w ich miasteczku, tyle, że więcej zieleni. Obiad w restauracji, stylowo, ładnie, nawet pikolaki, nawet melba z mrożonymi owocami, a nie jakimiś zlewkami z kompotu, jak mu kiedyś podano w Warszawie. Kawiarnia, długi spacer aż na Piastowskie Wzgórza, baloniki, świstawki,

zupełnie jak na kiermaszu. Na którymś straganie zobaczył lalki w lubuskich strojach, dla psikusa kupił jedną dla - Poli. Od tego się zaczęło. Przyjęła, ale ze łzami w oczach. Nie zwrócił na to większej uwagi. Beczy? Pewnie jest w tym wieku, kiedy młode dziewczęta są szczególnie wrażliwe, coś się jej mogło przypomnieć, bo to w końcu zna się na takich smarkatych humorach?

Na dansingu dopiero zrobiła się awantura. Przetąpił raz, drugi z Marią. Zobaczył wtedy dziwne spojrzenie dziewczyny. Pewnie, też ma ochotę potańczyć... Dopiero miał stracha. Oddychała szybko, gwałtownie, te jej krągłutkie, spiczaste piersi latały jak zwariowane, bladła, to czerwieniała na przemian...

- Pola, co ci jest?

- Nic, nic... tak mi dobrze, przyjemnie.

Cholera, egzaltacja jakaś, pomyślał.

Coś mu błysnęło, gdy zaczęła lepić się nagle do niego, ani oderwać. Z trudem zachowywał jakiś tam dystans. Myśl, że dziewczyna może coś odczuwać w stosunku do niego, odrzucił ze śmiechem. Rzeczywiście, amant dla pensjonarek. Po prostu źle się czuje, już przedtem przypuszczał, że tam babskie ich przypadłości... Rad był, gdy mógł ją wreszcie odprowadzić na miejsce.

Gdy potem cieplej jakoś zagadywał się z Marią, Pola wyraźnie chmurniała, wargi jej ściągały się, w oczach jawiło się coś naprawdę niebezpiecznego. W pewnej chwili przegładził dłoń Marii leżącą na stoliku. Widział, smarkata aż zacisnęła pięści, kciuki zbieleły.

Już nie było nastroju. Maria kilkakrotnie rzuciła okiem na siostrę, spochmurniała. Nie pomogły potem lody, zjadane prosto na ulicy, ani olbrzymie balony, które im kupił, żartując, że zaraz pofruną w powietrze, ani marzyć, by fordem dogonić, nie uratowała jazda staroświecką dorożką. Ognie sztuczne wystrzeliwane nad miasto ze Wzgórz Piastowskich również nie mogły już rozweselić. Markowali wszyscy zabawę, każde tłamsząc coś w sobie.

W drodze powrotnej Maria niespodziewanie usiadła przy nim, Połę kierując na tylne siedzenie. Mile go to obeszło. Gorzej, że milczała niemal przez całą drogę. Pola również nie była rozmowna. Kilka razy wyczuł jednak, jak się wspiera o jego plecy, jak jej włosy muskają mu szyję, przy zakręcie ostrym przy wsi Zawady zdawało mu się, że czuje delikatne, przelotne muśnięcie wargami we włosy. Wtedy też zareagowała Maria, osadzając siostrę bardzo stanowczym głosem:

- Pola.

Milczenie, poszum opon na gładkiej szosie. I zaraz wybuch niespodziewany dziewczyny:

- Pola! Pola! Czego wy wszyscy chcecie ode mnie. Kpiny z lalkami, strofowanie, musztra

nie wiedzieć o co. Dzieciaka ze mnie robicie. A ja nie chcę, nie chcę! - wykrzyczała to wszystko, a potem wtuliła się w kąt, tak pozostała do końca.

Wchodząc na rynek przyratuszowy wspomniawszy teraz cały ten dzień. Naprawdę, nic z tego zachowania dziewczyny nie mógł zrozumieć. Głupie fanaberie. Jeśli jeszcze będzie Marii coś proponował, to już zastrzeże sobie, że bez gówniary. Skoro się dąsa, niech siedzi w domu, albo czyni to w stosunku do równolatków. Humorzysta panna. Zepsuła wszystko, a tak się cieszył na te godziny z Marią.

Pod ratuszem tańczono jeszcze, ale orkiestra grała bez werwy, niemrawo, najwyraźniej już tylko z obowiązku. Przystanął w cieniu i patrzył. Niewiele było już par. Kilkanaście za ledwie. Sama młodzież, ci mają najwięcej ochoty i sił. Kilka osób starszych. Ten modniś małomiasteczkowy, w czerwonej muszce, łysy, któż to, widywał go chyba. Prawda, felczer, Budziński. Profesor Gollub nie mówił o nim inaczej jak o łajdaku. Miła opinia. Z kimże on tańczy, czy nie z dziewczuchą, co w kiosku sprzedaje kupony na gry liczbowe?

Ziewnął. Był już tym wszystkim setnie znudzony.

Popłakała się rankiem. Wszyscy się cieszą, obiecują sobie zabawę, a ona gorzej ma dziś jak w zwykły dzień. Z kiosku choć wszystko się widzi, co jest na rynku, czas szybciej mija.

Namawiała, przecież ma motor, kupił sobie tę używaną jawę, mogą pojechać do Sulechowa, a choćby do Międzyrzecza, nikt ich tam nie zna, byłaby piękna zabawa. Natańczyliby się do syta, dawno już nie tańczyła. W ogóle byłoby inaczej, chodziliby normalnie pomiędzy ludźmi, przytuleni do siebie, nie jak tutaj, że nocami się jeno spotykają po lasach i krzakach, ona zaś czuje wciąż lęk, by się tak nie wydarzyło jak wtedy, gdy chuligani rzucali w nich żelaznymi śrubami.

Tydzień temu to jeszcze przyrzekał. Dobrze, pojedą do Międzyrzecza. Niebrzydkie miasto, park ogromny koło tych ruin zamkowych. Restauracja też pierwsza klasa, wyżerka na sto dwa... Tak się cieszyła, sukienkę na tę okazję kazała przerobić, wzięła Kociukowa całe sto złotych, zdarła, że to niby za pośpiech.

I nagle trzasło wszystko. Przedwczoraj. Jeszcze, świnia ten Józek, zdręczył ją po swojemu, ostatni dech wypompował.. A w ogóle był ponury. Co z nim się dzieje? Przy pieszczotach szalony, ani by go kiedy o coś takiego podejrzewała, tak zaś chmurny, zamyślony, klnie pod nosem. Chciała zabrać z sobą do Międzyrzecza trochę pieniędzy, kupiłaby mu jakiś prezent, udobruchałby się tym może... Gdy on nagle powiada, że nigdzie nie pojedą, w ogóle się nie spotkają we święto i już.

- Józinek, czemu? - jęknęła.

- Temu, że powiedziałem. Nie próbuj mi tylko się mazać, bo nie lubię i dostaniesz przez grzbiet.

Zmilczała. Potem, gdy już się uspokoił, spytała:

- To jakże z nami jest? Jak z wywłoką jaką po krzakach się ze mną spotykasz, tylko te rzeczy i koniec? Takie nasze kochanie?

- Głupia. Wiesz, jak jest naprawdę. Czekać trzeba, niech 'i. nią raz wreszcie się skończy... Nie nam się teraz pokazywać na oczy ludzkie. Do Międzyrzecza nie tylko nam się może zamarzyć wyprawa. Dość mnie już za Koniejenkę wzięły na obroty jęzory, na cegielni życia nie mam, chodzę jak między niemymi i głuchymi. Chcesz jeszcze więcej? Ciebie też zaczną pokazywać palcami, zrobią ci reklamę, jak Feli z baru.

- Fela na każdego leci, kto ma ochotę. Ja jedynie ciebie, ty wiesz.

- Wiem i powiedziałem, że przyjdzie nasz czas. Odczekać tylko...

Westchnęła. Zaplątała się w kabałę, zakochała w tym Józku, ani znaleźć tu jakie wyjście. Tamta może przyjść jeszcze do zdrowia, a znowu też śmierci komuś życzyć? Chyba, że już nie ma ratunku, to pewnie, ma się inna chłopu podwinąć? Pora już mieć własnego dziada, jawnie, żeby nie kryć się więcej przed ludźmi. Raz też-już wreszcie w łóżku, nie ciągle po trawie i mchach.

Znów ostatnio nie bardzo się czuła. Okres wtedy był wprawdzie, ale spóźniony i jakiś niewyraźny. Chyba nie zaszła? Bo zdarza się podobno, że jeszcze jeden okres nadchodzi nawet po zajściu, właśnie taki dziwaczny. Dopiero byłaby bieda. Do szpitala iść głupio, zaraz wie całe miasteczko. Znowuż do Budzińskiego, to mało, że chce łachudra pieniędzy, jeszcze na dodatek trzeba mu się pokładać. Łysa świnia. A na nią nie od dzisiaj on leci.

Źle się rozstali, nawet nie umówieni, powiedział, da znać. Cóż, trudna rada...

Popłakała się, wspominając to rankiem. Potem jednak otrząsnęła się, nie będzie siedzieć w domu jak zrozpaczona wdowa. Bez Józka też się można podobać, tańczyć lubi, a taniec nie zbrodnia, nie zdrada. Józek bardzo zazdrosny, ale nie może o to mieć żalu. Jego wina. Bo diabeł by ich znalazł w tym Międzyrzeczu.

Bawiła się. Z samego wieczora nawet niezgorzej. Chłopców było więcej jak kiedy. Przyszli wiertacze, co to szukają w ziemi, czego tam nie zgubili, tylko tego spośród nich, co to przy-mawiał się kiedyś przy jej okienku, wypatrzeć nie mogła. To on ratował małą Margiškę przy magazynach. Spytała któregoś z jego kolegów. Powiedział, że Andrzej mą tu dziewczynę, podobno nawet o żeniactwie zamyśla. Niech mu, nic przecie jej nie obchodzi... Sporo żołnierzy dostało przepustki, roilo się od mundurów. Miejscowi też się do niej garnęli, dawno nie mieli okazji.

Tańczyła, piwa wlała w siebie tyle, co nigdy, aż ją potem pędzało, trzeba było biegać za nową budowę, tam kucac. Jeszcze wino, jakiś plutonowy ochotnie stawiał, potem go dopiero pognęła, gdy w cieniu samochodu mała, że za pierś chwycił, pół biedy, ale już z łapą zaczynał pakować się pod sukienkę. Zjawił się potem z nową butelką na przeproszenie.

Przed dziesiątą dopiero się rozluźniło, właśnie gdy ona najlepiej się rozbawiła. Żołnierze pognęli co siły w nogach, przepustki do dziesiątej, a jednostka daleko, sporo parok powymykało się w odludzia, gdzieś tam się zapodzielili wiertacze, kilka tańców już ominęła, piła w takich razach piwo przy ciężarówce, że niby to nie tańczy nie z braku partnera, ale że właśnie nie ma ochoty.

I wtedy napatoczył się felczer. Jak zawsze gładziutki, czyściutki, miał ładną czerwoną muszkę, moda taka podobno, zaraz prosił do tanga, nawet grzeczny był, nie pchał się z kolanami tam, gdzie nie trzeba, on także prowadził na wino... Czemu nie, cóż to, grzech wypić z Budzińskim, niech się cieszy, lepiej go przy tym nie drażnić, zawsze może się przydać. Popijali cierpkie już się jej wydawało to wino, wtedy on wyciągnął z kieszeni ćwiartkę, bo to wódki poza barami dnia tego nigdzie nie sprzedawano, powiedział, zmieszać byłoby dobrze, od razu lepszy smak wina się robi. Wiedziała, gadał tylko, ale już było jej wszystko jedno. Wypić nie można?

Butelkę wina i ćwiartkę wykończyli we dwójkę do dna. Nawet miłszy jakiś i nie tak brzydki ze swoją łysiną wydał się jej Budziński. W końcu też nie pętał, ale uczony, felczer. Znów poszli tańczyć. Teraz był śmielszy, nie bronila specjalnie, szeptała tylko, nuż ludzie *zobaczą*.

W głowie jej od tego picia szumiało, szumiało... Kolorowe lampki wirowały jak zaczarowane, jakby na jakiejś karuzeli. Musiał ją podtrzymywać.

- Do domu, panie Budziński - szepnęła w końcu, bo już nie bardzo miała pojęcie, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Nie oponował, taki dziś w ogóle był grzeczny. Prowadził delikatnie pod ramię, podtrzymywał, nawet jej się lepiej trochę zrobiło, gdy na bocznej uliczce zaniósł rześkim, przed-rannym wiatkiem. Widziała, w inną szli stronę niż do jej domu...

- Panie Franciszku, gdzie my idziemy?

- Już, już, zaraz, Joaska, położysz się, odpoczniesz.

Pomyślała, że skoro już jest taki uparty, a ten Józek zostawił ją dzisiaj samą to niechże i Budziński coś ma za swoją cierpliwość. Niech ma, wszystko jej jedno.

10.

Żeby jej Bóg dał zdrowie... - aż ramiona wznosiła, potrząsając złożonymi kurczowo, wychudzonymi dłońmi. - I szczęście - dodawała.

Mila parsknęła któregoś razu zjadliwym śmiechem:

- Może z tym Kanadyjczykiem, zdaje się mamie?

Spojrzała na córkę zdziwiona.

- Czemużby nie? Bogaty, a i człowiek podobno dobry. Należy się jej, należy... Patrz, jak to uradziła z Margišką. Ciebie też chciałaby do swej szkoły. Byłaś z zapisem?

- Pójdę, pójdę...

Zbyła matczyne uwagi. Nućąc przeczesywała włosy przed lustrem wspartym o wyżartą kornikami komódkę, naślinionym palcem przeciągała po brwiach, ustać nie mogła w miejscu, same jej nogi chodziły, pływały biodra. Jarużyna złapała niezwyčajne lśnienia w niebieskozielonych oczach dziewczyny, westchnęła; znała te błyski, jej też się kiedyś tak samo oczy paliły.

- Mila, patrz tylko, żebyś nie wywojowała czegoś przy tej ochocie - zagderała ostrzegawczo, świadoma, że się nie zda to na nic.

Dziewczyna zaśmiała się miękko, śmiechem urywającym się w krtani.

- Pa, mamó - od drzwi strzeliła w jej stronę palcami, podwinęła się perkalikowa sukienka, odsłoniły uda.

Jarużyna nasłuchiwała pośpiesznego tupotu na schodach, kręciła głowę. Nie nazbyt się jej podobało to wszystko. Mila często wyfruwała teraz z domu, wracała późno, wargi miewała spierzchnięte, oczy zapatrzone, tające w sobie migoty dawniej nie spotykane. Znała to matka, dobrze znała, jak te wiedziała, że nie pomogą żadne perswazje. W nią się wdała dziewczyna, nie w Antosia, tamten spokojny był, nigdy raptus w tych sprawach.

Od lipca nadeszło tak na dziewczynę. Z zabawy wróciła zamyślona, jakby od razu dojrzała. Po tygodniu zaczęły się wieczorne znikania. O Zygmysiu Wichrunie przestała wspominać, jakby jej zupełnie już przeszło. Ano, bywa...

Spojrzała na zegar, potem ku oknu. Jasno, parę godzin do mroku. Obróciła się teraz ku wielkiemu koszowi jagód, stojącemu pod ścianą. W krzyżach ją bolało od zbierania, cały dzień spędziły z Czmuńkową w łagowskich lasach. Kolej; jechały. Z pracą tak umyśliła, by następnego dnia rankiem sprzątnąć, jeszcze przed biurem, nim urzędnicy się zejną. Kierownik zezwolił, ludzki człowiek... Jagody przebierać trzeba, pojutrze targ, weźmie Czmuńkową na sprzedaż, znów się parę groszy zarobi...

Z dworu dobiegł płacz jakiegoś dzieciaka. Drgnęła, wydało się jej, że słyszy Margisję.

Dopiero przypomniała sobie, że mała nadal przebywa w szpitalu.

Nie mogła się przyzwyczać. Pusto jej było w domu, bardziej niż kiedy. Tak to chociaż ta Margisia sterczała, niedowarzona, ale przylepka zarazem, szczególnie kochana, że to biedactwo takie... Tamtych dwoje jakby w domu nie miała. Lato, gorący sierpień tak ich strasznie rozbisurmanił. Milę nosiło kędyś z chłopcami, bąkał coś Tomek, że jakiś student podobno... Tomek ledwie ze stacji wracał, zaraz ganiał z kolegami na jezioro czy rzekę, bobrował do mroku, potem wałęsali się godzinami. Tyle, że jeść w domu trzeba im było podać.

Dłonią ogarnęła czoło, przysiadła na skraju krzesła. Od paru dni znów wróciły bóle i klucia w piersiach. Ustały na jakiś czas, teraz wracają. I te noce takie dziwaczne jak nigdy. Zawsze sypiała jak kamień, ani się jej co śniło. Teraz, od tygodnia, ledwie głowę do poduszki przytknęła, same ponuractwa zwały się na nią, pojawiali się ludzie dawno zapomniani, często już zmarli, skądys dobiegały wołania i wabienia, próżno nasłuchiwała, niczego nie mogła zmiarkować, Antoś się śnił i Kaziuczek maleńki, sierotka niewinna, trzeba mu było czego czy co...

Poderwała się. Głowę zupełnie straciła. Przecież umyśliła, że pójdzie dziś wieczorem na cmentarz. Dlatego tak piliła Czmuńkową, by wracały z Łagowa wcześniejszym pociągiem. Do Kazika, kruszyny mileńkiej. Zaniedbała go, dawno już przy grobku nie była, może to on woła matkę, spokoju po nocach nie daje?

Przegarnęła włosy, starannie zawiązując je chustką, tliły w niej resztki dawnej kokieterii, choć mało już pasowało to do wychudłej postaci, do twarzy zmęczonej, w której jedynie oczy potrafiły płonąć czasem jak dawniej. Choroba jakaś się w niej czaiła, wybuchała niekiedy ostrymi bólami, potem się kryła na długo, by znów dać znać o sobie nagłym atakiem. Mila i Tomek raili doktora. Śmiała się, życie całe obeszła się bez lekarzy, jeszcze by czego na starość.

Szła lekkim krokiem, to jej także zostało. Szybka była: w robocie, w miłości, w chodzie. W końcu wieleż to lat liczyła, czterdziestkę zaledwie; są takie chuchane, co w tym wieku nieledwie miódkami się czują...

Cmentarz leżał tuż za miasteczkiem, na lewo od szosy, wspinał się na łagodną pochyłość, piasek tam był ładny, żółciutki, osypywał się z łopat z cichutkim szmerem, wesoły taki... Drogę od szosy wysadzono brzózkami, jeszcze wtedy, ledwie tu się zaczynało jakieś życie rozwijać. Dziś wyrosły wielgachne drzewa, rzucały cień, szemrały pracowicie drobnym listowiem.

Oglądnęła się Jarużyna za siebie, na drzemiące przedwieczornym spokojem miasteczko.

Cmentarz był wtedy maleńki, uchwała zapadła, żeby go poszerzyć. Spory szmat ziemi zagarnięto wokoło, jakby w przewidywaniu, że gdzie życie, tam i śmierć będzie miała swoje do powiedzenia. Prawda, wiele tych grobów wyrosło już przez piętnaście lat.

Lubiła ten cmentarz. Gdy ledwie zjeżdżali się tu pierwsi osiedleńcy, ponury był, mur kamienny, drzew żadnych, Niemcy w takich się lubowali, sztywnych, kamieniami jeno upstrzonych mogiłnikach. Dzisiaj za to prawdziwy park... Stała u wejścia, spokojna teraz, odeszły ją mary i utrapienia nie nazwane, tak dręczące ostatnio. Wędrujące ku zachodowi słońce rzucało z ukosa swój blask, siały się długie cienie, powietrze stało się intensywne w swej przejrzystości, znać było każdy listek na drzewie, każde ździebełko trawy na bocznych, zapuszczonych ścieżynach między grobami. Wesoło. Aż się uśmiechnęła Jaruzyna do siebie, że to właśnie słowo przychodzi jej na myśl na cmentarzu, gdzie, zdałoby się, nic nie powinno istnieć prócz smutku i ciężkiego zmartwienia. Ale jakże być może inaczej, niż wesoło, gdy powoli dojrzewająca jarzębina śmieje się swoją jagodą, szemrzą czerwienią liście drzewka buczyny, trzęsie się osika, mocną zielenią pną ku górze piramidalne jałowce. I ta moc kwiatów, sadzonych troskliwą dłonią na grobach, a obok dzikich, co się tu same zasiały.

Zeszła w bok, na starą, bardziej zapuszczoną część cmentarza. Nieliczne tylko groby pielęgnowała tutaj troskliwa ręka. Na niektórych ostrymi kantami liter znaczyły się porośłe zielonkawym mchem polskie napisy. Inne były niemieckie. Zapadały się płyty, rozwiłmożniała trawa, i tylko polne kwiaty chciały zrównać w skromnej urodzie wszystkie groby, jakby na znak, że po śmierci nic nie powinno już dzielić... Schyliła się, zerwała przygarść bujnych, rozrosłych poziomek, sypnęła do ust. Pamiętała, zawsze na starych cmentarzach rosły wspaniałe poziomki, nie każdy miał je odwagę spożywać... Od zaniedbania ogólnego tej części dziwnie odbijało swoim porządkiem kilka grobów, rozrzuconych nieskładnie. Przypomniała sobie Jaruzyna, mówili ludzie, że to niektórzy Niemcy stamtąd, z daleka ślą grabarzowi paczki, takim sposobem płacąc za troskę nad najbliższymi:

Tuż za przymurkiem osobno ogrodzona niewielka parcela. Na niej z dziesiątek grobów. Samobójców tutaj chowano. Ostatni, to kopczyk Koniejenki. Aż dziw, jak dużo kwiatów, całe bukiety. Podobno robotnicy z cegielni tak się troskają. Co ich ten Koniejenko właściwie obchodzi?

Cicho, pośród gałęzi dyskretnie przewija się lekki wiaterek. Nie czuło się tutaj żaru, rześko było, przyjemnie. Jaruzyna szła wolno, myślała, że i ona kiedyś tu spocznie. To już jej kraj, jej ziemia, ta mała miejscina. Nigdy by nie wróciła z własnej ochoty w podwarszawskie okolice. Tutaj i zło, i dobro stało się bliższe. Czy myślała tak kiedyś, zjeżdżając do tej dziury, upstrzonej ruinami, gdzie tylko opasłe szczyrząca smykały spod nóg, o minę było łatwo, o

złego człowieka. Jak się to odmieniło...

Gdzieś z lewa być musi grób Kaziuczka, w bok tą alejką. Begonie kwitną, z daleka pyszne mocną czerwienią. A Kaziuczek od urodzenia był bledziutki, mizerak, chucherko takie. Nawet miesiąca nie przewojował na świecie. Nocą zgasł, spokojnie, ani wiedziała. Dopiero gdy wstała, niespokojna milczeniem małego łóżeczka, spostrzegła od razu. Cicheńki był, jakby spał sobie...

Przykłęka przy grobku, mrużąc oczy próbowała zapewnić mu dalej ten spokój modlitwą, słowa się rwały, nie kleiły ze sobą. Więc tylko usta zacisnęła, tak trwała.

Drgnęła, gdy z nagła rozwarła w pewnej chwili powieki. Porwała się na równe nogi, patrzyła przejęta dziwnym lękiem, który na nią spłynął. Biała płyta nagrobna, tyle się na nią wtedy wykosztowała, pęknięta była przez całą długość. Rysa poszerzała się u dołu, już tam jakieś źdźbło chwastu próbowało się usadowić. Szpara dokładnie przepoławiała imię, policzyła nawet litery. Więc może dlatego jawił się jej w snach ten synaczek, którego nawet napięścić się nie zdążyła, może ją wołał nocami, pragnąc poratowania? Musi mu tam być przykro, uwiera gdzieś ta pęknięta płyta...

Próbowała zsuwać obie części, nie poradziła. Ciemną linią rysa biegła przez biel kamienia. Już to nie ma ten jej Kaziu-czek szczęścia. Ani ojca własnego widział na oczy, przecież by go na pewno odwiedził, cóż, kiedy na długo przed urodzeniem małego zginął w lasach, na minę się natykając. Synek niewiele go przeżył, pogrzeb też miał w deszczowy dzień, łzawiło niebo nad nim, łzawiło. Teraz jeszcze pęknięta płyta. Przeszkadza mu, po cóż by nagle tak się jawił we snach?

Już nie wydawał się jej cmentarz wesoły, karmin jarzębinowych kiści i bordowa gładź liści bukowych raziły ostrością barw, szelest srebrnawej osiki drażnił nieustannym drganiem. Szybko, jakby w popłochu opuszczała siedlisko setek grobów, na które czerwieniejące z zachodem słońce sypało krwistymi blaskami. Wszystko w niej wołało jednym, do Łyczywka, prędzej do Łyczywka, niechże Kaziuczкови nową płytę postawi, białutką, całą, bez żadnych pęknięć czy rys, aby nie trapił się niebożątko w tym żółtym, sypkim piaseczku, nie wołał matki po nocach. Do Łyczywka, do Łyczywka...

Zziajana wpadła na kamieniarskie podwórko. Łyczywek ukończył już pracę, spokojnie, leniwymi ruchami zbierał przed nocą narzędzia. Bryły kamienia, ciosane już w płyty i jeszcze straszące niezgrabnymi kantami potężniały w pierwszych ścielących się mrokach, zagarniając sobą całą przestrzeń podwórza. Wydało się Jaruzynie, jakby cmentarz, który dopiero opuściła, przywędrował tu za nią. Aż się za pierś chwyciła w tym lęku, który ją zmroził i zaraz bez słowa wyciągnęła obie dłonie ku Łyczywkowi.

Kamieniarz poznał ją, zaburczał coś w przywitaniu. Potem przypatrzył się tym dłoniom, wyciągniętym niemo, jakby w błaganiu.

- Co wam, Jarużyna? - zdziwił się, twarz mu zadrgała w uśmiechu.

Już jej minęło. Przecież to tylko kamieniarskie podwórko, nikt inny, jeno Łyczywek.

- Pan daruje - szepnęła. - Zgrzałam się, lecąc z cmentarza, tchu piersiom zbrakło, słabuję trochę ostatnio.

- Cóż sprowadza? - już znowu miał twarz spokojną.

- Pamięta pan mojego małego? Kaziuczka? Ładnych parę lat, krótko było to po Margisi, w rok jeden... Taką białą miał płytę na grobie.

Kiwał głową. Pamięta. Każdy grób pamiętał, na który wtłaczał kamienny przycisk.

- Pękła ta płyta. Przez całą długość, zielsko już tam się gnieździ... Więc żeby pan nową zrobił, dobrze zapłacę. Żeby Kaziuczce nie było ciężko. Nocami do mnie przychodził, rączki wyciągał, nie wiedziałam, co to takiego, dziś poszłam, już wiem.

- Pękła? Dziw...

- Może dziw, ale teraz nową pora mu dać. I to, złoty panie Łyczywek, żeby czym szybciej, czym szybciej, kruszynie mileńkiej.

Pokiwał głową, na twarzy grymas dziwnego uśmiechu. Powoli szedł ku nawisowi szopy, dachem chroniącej zbiorowisko kamiennych płyt.

- Mam taką ładną. Bielenka jak dziecięca duszyczka. Bo dzieci duszyczki mają wszak białe, nieprawdaż? Tutaj gdzieś leży, jutro wykuję co trzeba, jak na starej, niedługo się będzie synek markocił, że ma nieładnie na grobku - mówił pocieszająco, latały mu długie ramiona, nogami włóczył.

Szła za nim, a potem jakby ją z nagła wryło coś w ziemię.

- Panie Łyczywek!

Obejrzał się na wołanie.

Patrzyła mu prosto w oczy. Mówiła powoli, z trudem szukając właściwych słów. Byle się nie obraził, bo gdzież tu inny kamieniarz w okolicy...

- Panie Łyczywek, proszę mam... żeby ta płyta była nowa, świeżo wykuta z kamienia, nie ponemiecka. Bo to gadają, że pan zbiera z niemieckich cmentarzy... I tak myślę, że mogłaby nie pasować mojemu Kaziuczce. Czyjaś krzywda by go gniotła wtedy od góry, innego jakiegoś dzieciaczka, któremu zabrano nagrobek... Pan mnie rozumie, pan nie będzie się gniewał?

Zarwał się głos kobiety. Rękami zasłoniła się trwożnie. Bo Łyczywek zbliżył się do niej, stał zupełnie blisko, niski, maleńki, ramionami swymi wywijał długimi jak cepy, a gęba...

Gęba mu śmiała się cała, od ucha do ucha, wykrzywiona była w tym śmiechu, z ust rwał się rechot, nierechot, chichotanie, niechichotanie.

Cofnęła się o krok, przerażoną. Jak z oddali w to jej zaleknienie docierał szeptliwy, niby to rozsierdzony, niby śmiejący się głos Łyczywka.

- Krzywda? Jaka krzywda? Wiesz ty wiele, kobieto, o krzywdzie... A te miliony grobów, którymi Niemcy pokryli polską ziemię, grobów, których nigdzie się nie odszuka, bo nad nimi teren równano, grobów, gdzie tylko popioły zostały spalonych, to co, nic może? Tu dopiero jest krzywda największa z możliwych. Nie dajęz ona prawa, aby wszystkie niemieckie groby pokasować na naszej ziemi, niech też nie zostanie ni śladu, niech jakaś równość będzie dla zmarłych. Temu i nie żałować starych nagrobków, zaorać stare cmentarze. Wy mnie o krzywdzie nie mówcie...

Ledwie głos swój słyszała bąkający, przecież nie poddający się:

- Mnie się to, panie Łyczywek, nie widzi... Dziecko żadne niczemu nie winne. A i w ogóle, jakże, na zmarłych się mścić? Kaziuczkowi nową chciałabym płytę, nowiutką, z kamienia kutą, panie Łyczywek...

Długie było milczenie, zapadłe pomiędzy nimi. Łyczywek jeszcze rechotał, ale jak gdyby już ciszej, twarz mu powoli tężała, ręce obwisły bezwładnie wzdłuż tułowia. Stado szpaków z trzepotem przefrunęło nad nimi, śpieszą, by gniazd dopaść przed nocą. Od niedalekiej stacji benzynowej słychać okrzyki podpitych szoferów.

Łyczywek odezwał się miękko, jeszcze nigdy tak mówiącym go nie słyszała. Twarz miał spokojną, spojrzenie dalekie i nieobecne.

- Wasz Kaziuczek i wtedy miał nową, nie poniemiecką. Nową miał, nie wiem ja, czemu pękła, ziemia się musiała obsunąć... I teraz dam chłopaczkowi nową, najładniejszy kamień wybiorę, bielutka żeby była i czysta... Wy zaś, Jaruzyna, źle o mnie nie myślcie. Ja tylko za wiele widziałem, pomieścić mi się to ciągle w głowie nie może, próżno szukam sposobu. A nagrobki niemieckie? Po mojemu nie powinno ich być na naszej ziemi. Ale decydować o tym nie mnie. Com brał, to z takich cmentarzy, gdzie pieczy nad nimi nikt nie ma, co się sypią i chylą ku ziemi, a trawa kamienie obrasta. I tak na zagładę one, na zniszczenie, biorę więc z czystym sumieniem. Groszam na tych poniemieckich nie zarobił przez lata, darmo oddaję, tyle co sobie przewóz odliczę. Tak to jest, Jaruzyna, tak, nie inaczej.

Tyle bólu wyczuła w jego głosie, tyle rozżalenia i jakiejś skargi. Nie znała go takim, Łyczywek zawsze był nieuprzejmy, zamknięty w sobie, mało o nim ludzie wiedzieli, aż tu raptem podobne zwierzenia.

Wiedziona impulsem podała mu dłonie. Ujął je, stali tak długą chwilę. Potem on jeszcze

powiedział:

- Ja też straciłem dzieci, nigdy grobów ich nie zobaczę, rozumiecie, czemu ten żal mój i ból? Waszemu chłopaskowi piękną płytkę, a to i pomniczek wystawię, niech ma chłopina. Grosza nie będzie kosztować, jednego grosza. Jeno źle o Łyczywku nie myślcie. Gwałtownie puścił jej ręce. Na twarzy uśmiech, nieuśmiech. Już ani na nią patrząc, zawrócił, poczłapał ku swemu domowi. Spoglądała za nim, na pół wszystko to rozumiejąc.

W momentach najgorętszych pocałunków, zdarzało się, Miła sztywniała w ramionach chłopca, odsuwała usta, stawała się chmurna. Szli potem pod ramię wzdłuż bocznej kasztanowej alei, którą upodobali sobie w wieczornych przechadzkach, dziewczyna milczała, z nagłą obca i bardzo daleka. Nie pojmował tych stanów, wypytywał natrętnie, niespokojny i podrażniony.

- Nic, nic - odburkiwała, pogrążona w głuchym milczeniu.

Gdy wyłaniali się na miejsce! gdzie drzewa nie przesłaniały nocnej poświaty, widział twarz schmurniałą, o zaciśniętych wargach. Dłonie jej także chłodziły, nie czuł już w nich dojmującego ciepła i łagodnej wilgoci, jak w chwilach ich nie dopowiedzianych do końca uniesień.

Takie spotkania kończyły się w atmosferze zadrażnienia i nie ujawnionych żalów. Stefka ogarniał niepokój, mocniejszy niż tylko brak satysfakcji w tym wakacyjnym flircie, jak nazywał zacieśniającą się więź pomiędzy sobą a tą ładną dziewczyną od ogrodnika, poznaną na lipcowej zabawie. Zresztą, czuł to najwyraźniej, flirt przeradzał się w coś znacznie szerszego. Jeszcze wzdragał się przed nazwaniem rodzących się w nim coraz gwałtowniej uczuć, ale świadomy był faktu, że to już znacznie więcej, niż przypadkowa znajomość i urozmaicenie studenckich ferii.

Gdy się żegnali, dziewczyna niechętnie zgadzała się na kolejne spotkanie. Jakby przełamywała w sobie opory, zagubiona na pograniczu dziwaczego milczenia i momentów serdecznej czułości. Długo potem spoglądał w stronę, w której zniknęła w mrokach jej wysoka, szczupła sylwetka. Wzruszał ramionami, leniwie, smutny włókł się do ojcowego domu.

Miła w okresie takich rozdrażnień trudna była, nie znajdowała w domu wspólnego języka. Wtedy to pokpiwała z matki, nie wiedzącej, jak błogosławić Szymborskiej, której staraniom w głównym stopniu należało zawdzięczać zajęcie się losem Margiński. Dzięki jej naleganiom profesor Gollub zdecydował zostawić dziewczynkę w szpitalu aż do jesieni, kiedy będzie ją można umieścić w szkole specjalnej. Badania jego wykazały, iż stan Margiński nie jest tak zły,

jak to orzekano pierwotnie. Odpowiednia opieka mogłaby wiele zrobić.

Zdawała sobie w pełni sprawę, ile dawnej siostrze przełożonej szpitala, obecnie dyrektorce tworzącej się szkoły pielęgniarstwa, mają do zawdzięczenia. Ale to właśnie wywołało w niej bunt. Świadomość, że się komuś jest winnym chociażby wdzięczność, wzbudzała w niej bunt burzący z trudem i oporami budowaną nową teorię życiową.

W nowym pojmowaniu spraw nie mieścili się wszyscy ludzie o ustabilizowanym zakresie zajęć i obowiązków, wyłamywali wszyscy, którym trudno coś było *zarzucić*. Drażniła Mile Szymborska, drażnił Kanadyjczyk i jego powszechnie już dostrzegane zaloty do dyrektorki, doktor Gollub i ogrodnik Kaźmierczak, koleżanka Kazia, która wydawała się teraz za miasteczkowego kowala. Nie chciała o nich wiedzieć, zbywała kpina, *zżymaniem ramion*.

Bunt zrodził się w niej owego lipcowego wieczoru. Jeszcze nie nazwany, nie uświadomiony, przecie spłynął w łagodnym ciepłe, w powodzi świateł, w dźwiękach wojskowej orkiestry i w smaku piwa sprzedawanego w zaimprovizowanym kiosku na ciężarówce.

Dziwne, tańczyli wtedy wiele ze sobą, już czuli tę bliskość, która nadchodziła, a ona poza imieniem nie wiedziała o nim nic więcej. Dopiero następnego dnia w ogrodzie Hela zaśmiała się do niej swoją szeroką, upstrzoną piegami gębą:

- Coście się tak czulili wczoraj z Dominiakiem do siebie?

Oczy w słupek postawiła, potem parsknęła śmiechem. Wyobraziła sobie czułości z technikiem, Tomkowym ojcem. Zgłupiała ta Hela?

- No, przecież ze Stefką? Nie odstępowałyście od siebie.

- To był... Stefek Dominiak?

Wyjąkała te słowa, ale w tej samej chwili wszystko objawiło się przed nią z niespodziewaną jasnością. Że się od razu nie domyśliła. Zmienił się, przedtem też mało go znała, był trochę starszy, potem wyjechał do Poznania na naukę. Coś w nim było znajomego, nie uświadomiła sobie na zabawie, dopiero teraz Hela...

To był wstrząs. Chodziła jak błędna, dobrze, że Kaźmierczaka nie było, wyjechał w jakichś tam sprawach do Zielonej Góry, inaczej dostałoby się jej za te róże, fatalnie poprzycinane, za zmarnowane paki... Miejsca sobie nie mogła znaleźć. Więc to był Stefek Dominiak? Syn tamtego? Ten uroczy chłopak, który tańczył jak żaden inny, delikatny i grzeczny w obejściu? Więc to on?

I wtedy wybuchł bunt z całą mocą. Przeciw losowi. Że właśnie zawsze musi jej rzucać kłody pod nogi. Wichrun w szpitalu, coś nie w porządku ma z kręgosłupem, teraz Stefek, syn Dominiaka. Przekleństwo jakieś, zła pamięć życia matki, ciągnąca się za nią, kędy nie stąpi.

W oblesnych spojrzaniach i przygaduszkach, w lękach przed chłopcami, przed miłością, w obnoszeniu się ze swoją niedostępnością, w zetknięciu jej losów ze Stefką.

Umówili się, za parę dni mieli się spotkać. Zasypiając po zabawie, cieszyła się na spotkanie z delikatnym, przyjemnym chłopcem. Znowu diabli brali zamiary. Nie pójdzie, nie spotka się, próżno będzie jej oczekiwał. To przecież jakby Tomka brat... A ona jest siostrą Tomka, więc nic ich nie może łączyć ze Stefką, nic. Jeszcze się nie zaczęło, już nadszedł koniec. Matka, jej plugawe, złe życie. Ona winna.

Zarazem coś w niej szukało innych wyjaśnień. Cóż, że Tomek też synem tamtego. Stefek, on ma innego ojca i matkę niż ona, Miła. Nic ich nie łączy, żadne pokrewieństwo. Że Tomek, że on i Stefek, to synowie jednego ojca? To przecież coś już zupełnie, ale to zupełnie odmiennego...

Wcale nie była pewna. Zapiękała się w niej gorycz i ból porażki. Nie tak trzeba sobie wszystko tłumaczyć. Nie tak... Nie może się spotkać ze Stefką, nie wolno jej widywać się z nim. Choćby przez wzgląd na jego ojca.

Nie płakała, choć łez pragnęła. Nurtowała w niej niechęć do wszystkiego i wszystkich. Hela jej nie poznawała, tak zrobiła się ostra, uciekła w końcu, na towarzyszkę spoglądała spode łba. W domu matka i Tomek obchodzili ją dokoła bez słowa, tak nieoczekiwanie stały się jej wybuchy gniewu i jakby nienawiści. Właśnie w stosunku do nich obojga. Że matka sypiała kiedyś z ojcem Stefka. Że Tomek był synem ojca Stefka.

Do ostatniej niemal chwili zdecydowana była nie iść. Zrezygnować, pogodzić się z losem.

Najmniej spodziewanie dla siebie samej podniosła się z łóżka, na które padła zaraz po powrocie z pracy w ogrodzie, poprawiła uczesanie, zmieniła sukienkę. Desperacko pogwizdując, pędem runęła po schodach, teraz bojąc się już tylko jednego: żeby nie cofnąć się, nie uciec przed rzucanym przez siebie Wyzwaniem. Może dlatego już tego wieczora Stefek mógł ją całować, jej zaś oczy błyszczały, i nie tylko usta, ale całe ciało podawało się ku niemu. Tego dnia była gotowa na wszystko.

Chłopiec nie skorzystał z okazji. Nie pojął, może nie chciał. I to przeżyła. Leżąc w swoim łóżku, gryzła potem wargi do krwi. Pierwszy raz, przekreślając poprzednie zastrzeżenia, była gotowa, i nic. Nie z jej winy. Stefek nie chciał, nie rozumiał.

Nie tylko tamtej nocy. Nieraz jeszcze miała do niego żal, że nie wykorzystał jej nastroju, woli poddania się i oddania. Wtedy, gdy już trochę przestygła, gdy zaczęły się w niej nawroty dawnych refleksji, gdy coraz trudniej było pokonywać dwie zwalczające się z sobą postawy, gdy w trakcie pocałunków nagle przypomniwała sobie matkę, jej dolę, uświadamiała z bolesną wyrazistością fakt, że ten chłopak jest bratem jej brata.

On tymczasem ciągle nic nie pojmował, nic nie wiedział.

Poza tym jednym, co uświadamiał sobie najbardziej wyraźnie. Że Mila to nie wakacyjna miłostka, nie przelotny, przyjemny flircik, ale po prostu miłość. Zwyczajnie miłość.

Im bardziej kochał, tym trudniej mu było zrozumieć dziewczynę. Zapytywał ją w trakcie wieczornych spotkań, gdy objęci snuli się w mroku kasztanowej alei:

- Mila, kochasz?

Drżała całym ciałem. Tulila się mocno, *przez* cienki kreton sukienki wyczuwał gorąco jędrnego ciała. Nie odpowiadała, czasem przywierała do jego warg w pocałunku. Jednego razu wydało mu się, że zaszlochała. Niepewny, dłonią sięgnął ku jej oczom, chcąc sprawdzić. Wyrwała się wtedy, parsknęła dziwacznym śmiechem, uciekła. Nieprędko pozwoliła się złapać. Wtedy już oczy jej, wargami to sprawdził, były zupełnie suche.

Niedobra dla obojga była ta miłość. Nie spełniona, zawijasów pełna, zaskoczeń, nieporozumienia. Ale obydwójce pograżali się w niej coraz bardziej.

Szwabachowski spoglądał na nich jak na szczeniaków, tyrał przecie przy tej cegielni jak stary, że to jednak robotnicy uważali go za gówniarza, używając jedynie do posyłek po papierosy czy piwo, wrócić musiał do młodocianych kompanów. Mały Wacek ciągle patrzył w niego jak w tęczę. Gwizdał na wszystko, na drugi rok został w tej samej klasie, tylko przed Stefkim czuł respekt. Taaaki morus - tłumaczył kiedyś Tomkowi.

Z Tomkiem Szwabachowski się liczył. Nie tylko dlatego, że Jaruga imponował od pewnego czasu gotówką. Stefek sam nieźle zarabiał, nie musiał przy tym wszystkiego oddawać na dom. Ojciec jego rad był, że syn się w ogóle zdecydował na pracę. Było w Tomku coś innego, co nakazywało żywić dla niego pewien szacunek. Czasem dzieciuch i smarkacz, że śmiech, kiedy indziej imponował rozumem. Diabli wiedzą, skąd się to brało u niego.

Pętali się ostatnie tygodnie we trójkę, każdego nieomal wieczora. Podglądali miasteczko, przekonując się, że z osłoną mroku zaczynały dziać się w nim różne wcale ciekawe rzeczy. Już nie tylko kwaśnawe wińsko czy wystale piwo - bardzo młode przywożono teraz w upały, browary widocznie nie mogły nadążyć - ale i ćwiartkę zabierali nieraz ze sobą na wyprawy do niedalekich lasków. A potem zaczynały się wypadki w miasteczko. Już milicja zaczynała ich mieć na oku, czego Stefek bał się najwięcej, dla niego jakiś wpadunek stanowił powrót do poprawczaka. Na to zaś nie miał ochoty.

- Com się miał cwaniactwa nauczyć, tom się nauczył - mówił, spluwając przez szparę po wybitym zębie. Zazdrościli mu tej umiejętności, pluł daleko i celnie. - A Gliński ma nauczkę.

Już się to jutro będzie jego baba piekliła...

Zachichotali. Gliński był tym posterunkowym, który przed paru dniami zwrócił Stefkowi uwagę za awantury w kinie. Jakimś sposobem doszedł sprawcy, najpewniej po głosie. Szwabachowski zawział się: czekaj, toś ty taki?

Na łące za pasmem ogrodów wypijali z namaszczeniem drugą już tego sobotniego wieczora ćwiartkę, zdobytą przez Stefka. Była zresztą okazja. Dopiero wrócili z udanej wyprawy do domu milicjanta Glińskiego. Sprawdzili uprzednio, że ma dyżur na posterunku, od pola dostali się niepostrzeżenie na boczną uliczkę. Przyczajeni w krzakach czekali, aż Glińska zgasi światło, układając się z dziećmi do snu. Stefek miał już wszystko przygotowane: płachtę ze starego worka wypchaną trawą i zielskiem. On to wdrapał się od strony szopki na dach, dokładnie zapychając komin tym oryginalnym tamponem. Któraś dachówka obsunęła mu się spod nogi, hałas się zrobił, zdrętwieli wtedy wszyscy, ale nic, Glińska już najpewniej zasnęła. Krztusząc się od śmiechu, rwali z powrotem polami aż na to miejsce za pasem miasteczkowych ogrodów.

- Zapali baba w piecu, aż tu dym buchnie na izbę. Ona dawaj że dmuchać, pewna, że ciągu nie ma, a dymu coraz to więcej, w oczy gryzie, pełno w chałupie i nic, ogień nie myśli chwycić. Nie tak szybko się kapną, od dołu nic nie widać - rozkoszował się Stefek swoją zemstą.

- Kurza twarz, żeby tak u nas, ani by mi do głowy przyszło - chichotał mały Wacek.

- Pijesz jeszcze, Tomek? Jak nie, dawaj flachę, bo mam dziś, pieruna, cholerną ochotę - Stefek wyciągnął rękę.

Tomek miał już dosyć. Wypili szczególnie dużo, szumiało we łbie. Zaczynała mu wódka smakować, papierosy też nosił teraz przy sobie. Jakoś tak w parę tygodni przypadły mu te rzeczy do smaku. Coraz to chętniej oglądał się za dziewczuchami, opowieści Stefka robiły swoje...

Dzisiaj jednakże miał Tomek zły dzień. Wczoraj do późna pętali się nad rzeką, próbując wyciągnąć zastawioną przez rybaków siatkę, potem na próżno zamierzali przyłapać jakąś gruchającą parę. Rano wstał zmęczony, bolała go głowa, pewnie stąd nie uważał i Maliniak go złapał, jak zamiast litra oleju dwa wlał szoferowi z młyna do bańki. Szofer zawsze odpalał mu piątkę za każdy zorganizowany litr. Tym razem się nie udało. Maliniak solidnie wytargał za uszy, zapowiedział, jeszcze raz się coś takiego powtórzy wyleje na zbity pysk... Co potem strachu przeżył, gdy napompowywał Ostapczukowi dodatkową, lewą dziesiątkę benzyny. Zrezygnowałby z tego, ale obiecał przecie Stefkowi i Wackowi, że na sobotę zorganizuje forszę. Udało się, choć gra naprawdę nie warta była świeczki... A później w domu...

Mila zupełnie już oszalała. Nie wiedzieć czego natarła na matkę, że jej żałuje na szmaty, nawet na święto nie ma lepszej sukienki, a przecie haruje u tego Kaźmierczaka, każdy grosz odnosi do domu, więc jakże? Nieprawda to była, dwie sukienki dostała już tego roku, ale gdy zaczęła się mizdrzyć ostatnio, było jej tego mało. Gwałtu narobiła, rękami machała, za piersi się chwytała, z tej niby rozpaczy, na koniec miską trzasnęła o ziemię, że to matka już nawet zupy nie umie dobrze zgotować. Wtedy już nie mógł ścierpieć, walnął ją na całego przez plecy, niech się uspokoi raz wreszcie. To się tylko na łóżko rzuciła, aż trzęsło ją całą, tak wyła, jaka to ona nieszczęsna, w rodzinie gorzej ma jak u obcych, więzienie nie dom...

Matka zmęczona była, jeździła na jagody z Czmuńkową, zawsze się tak urządzała teraz w soboty, chciała dorobić, biuro sprzątała rankami w niedzielę, długo jeszcze przed nabożeństwem, żeby nie było gadania ludzkiego. Wychudła przez tę harowę, stała pośrodku izby, nie pojmując, czego Mila chce od niej, policzki jej drgały, nic nie mówiła, potem pozbierała naczynia ze stołu, przetała upapraną podłogę, sama łyżki stawy do ust nie wzięła, wreszcie wysunęła się z izby cichutko, do Czmuńkowej poszła, zbliżyły się do siebie ostatnio.

Mila wciąż chlipała na swoim łóżku, diabli wiedzą, o co jej tu naprawdę chodziło. Patrzył na nią z ukosa, wściekły, gdyby mógł, sprząby siostrę po wystawionym teraz na pokój dupsku, na którym spod sukienki rysowały się jakieś fikuśne nowomodne majteczki. Takich też przedtem nie miała, musiała sobie niedawno kupić. Na łachy ma, jeszcze się na matkę wydziera. Podszedł do niej zdecydowanie:

- Mila, przestań skakać matce do oczu. Szmat tobie mało? Patrz, ja też grosza trochę przynoszę, a czy wrzask o co podnoszę? Portki z tyłka mi lecą, ale guzik, jakoś jeszcze się przebiduje. Tyś już ubrana jakby córka ogrodnikowa czy naczelnika poczty i jeszcze wydziwiasz?

Odwróciła ku niemu splakaną, złą twarz. Aż się zdumiał jak nagle zrobiła się brzydka. Zaniemówił pod tym wrażeniem.

- Idź do jasnej cholery! Ja się do twoich spraw nie płaczę, zestaw moje w spokoju - parsknęła.

- Twoje sprawy? Że żyć matce nie dajesz? I tak ledwie już dyszy. Lepiej byś ją do doktora zaprowadziła, Maliniak też mówił, że z nią musi być niedobrze, do człowieka niepodobna... To nasze sprawy. Twoich nie ruszam, rób sobie, co chcesz. Myślisz, nie wiem, z kim łazisz pod kasztanami, całujesz się, migdalisz, diabli wiedzą, co jeszcze? Wiem. I mówię ci, jeszcze raz będziesz taka dla matki, po mordzie spiorę tego dupka, twojego maminsynka. W ogóle wstydu nie masz, że z nim się zadajesz. Od jego ojca bierzemy forszę, że to z naszą matką, że to niby mnie spłodził, a ty z jego synaczką. Gówna, nie uczciwa robota. Do tego i łachów

nie trzeba.

Zerwała się jednym susem. Nim się opamiętał, sprąła go po głowie, po karku, ani się domyślał w niej takiej siły. Ledwie raz ją trzepnął w obronie, ledwie oprzytomniał po tym napadzie, już tylko drzwi trzasnęły i tupot dobiegł ze schodów.

- Cholera, wariacki dom! - wrzasnął do czterech ścian.

Sam też opuścił je tak szybko, jak mógł. Miał ochotę tak się upić, by o wszystkim zapomnieć, nie pamiętać ani o Maliniaku, ani o matce i Mili. Podobno można się tak schlać, że nic już człowiekowi nie w głowie.

Nie pomogło. We łbie, co prawda, szumiało, ale przebieg dnia rodził się tam odbity ze szczególną wyrazistością, ani się nie zacierał. Może jeszcze mało?

- Daj, Stefek, też mam melodię - wyciągnął rękę. Niewiele zostało na dnie, jeden zaledwie łyk gryzącego płynu. Zakaszłał się. Diabli nadali, nawet wódka niedobra.

- Macie ochotę na jabłka? U Rozmiarków jest papierówka, zaraz przyniosę - ofiarował się Wacek, znikając w mroku.

- Tomek... - leżąc na trawie, Szwabachowski obrócił się twarzą ku niemu. Zabeliała w ciemni niekształtną plamą.

- Co?

- Myślę stąd wy wiewać... Gówno takie miasteczko... Kominy milicjantom zatykać, jabłka kraść czy ogórki, jakąś tam Zośkę przyciągnąć w krzaki, tyle tego. Wódka też nie smakuje. I co my robimy? Głupie grandy. Za parkami tropimy, straszmy Klimczaka, który już zupełnie z tego wszystkiego ogłupiał, bo to jeszcze i na cegielni za to, że się przez niego Koniejenko powiesił, nikt z nim nie trzyma, pętamy się, diabli wiedzą gdzie i po co.

- Sam zawsze ciągniesz do tego wszystkiego...- bąknął Tomek; myślami był przy własnych domowych kłopotach.

- Ciągnę, pewnie, że ciągnę. A do czego mam was namawiać innego? W kinie jesteśmy na każdym filmie. W Domu Kultury przy tym nowym kierowniku nuda, że strach, gier nawet nie upilnował, porozciągali mu. To co robić? Sam powiedz, co robić?... - ułożył się wygodnie, rozmarzył się.- W poprawczaku różni byli. Oprychy i tacy inni, ze smykałką chłopaki. Jeden, kapujesz, robił modele samolotowe, nawet nagrody miał, aż na lotnisko się zakradł, do maszyny, w świat myślał lecieć. Dostał w tyłek, odesłali do domu. Za drugim razem przysłali do nas... Opowiadał ciekawe rzeczy...

- Z ciebie tam lotnik, Stefek, nie będzie.

- Chyba nie - powiedział ze smutkiem. - Ale tak żeby na okręt, jak myślisz? Albo do stoczni, budować, to nie to, co jakaś tam zafajdana cegielnia. Już kończymy i co dalej?

- Mało to budów teraz? Krzyczą, że ludzi brak.

- I co z takiej budowy? Na dach wleziesz, tyle widzisz, co i od dołu. Kapujesz? Tylko swoje miasteczko i nic więcej. Do Szczecina chciałbym, tam ruch, fach już mam, murarka wszędzie potrzebna...

- Są jabłka, ale pycha! - marniał Wacek, wyłaniając się nagle z ciemności. Gębę zapchaną miał owocami, mlaskał smakowicie, wysypując zza koszuli pachnące, wonne papierówki. - Można by wszystko wynieść, taki śpik mają...

- Nie miel ozorem... Wacek, jedziesz ze mną?

- Dokąd?

- Do Szczecina...

- Do Szczecina? A matka?

- Frajer, trzeba po męsku. Nie, to nie, pętałów mi do kompanii nie trzeba. A ty, Tomek?

- Mnie i tutaj ciekawie. Żeby tylko inne sprawy...

- Gówniarze. Co z wami? Ani w świat jechać, ani coś większego zorganizować. W poprawczaku byli i tacy, co z bronią napady robili. Jak już, to już, nie to, że jabłka podkradać. Żeby rozmach był, kapujecie?

Milczenie. Oddech Wacka jest mocniejszy, przyspieszony. Tomek myśli nad poprzednimi słowami Szwabachowskiego. Prawda to, że z ich miasteczka takie zadupie, jak to nazywa Maliniak? Chyba nie, tyle, cholera, się dzieje ostatnio. Żeby tylko w domu szło jakoś składnie)... Jeszcze rok, dwa na stacji benzynowej, lata przyjdą, wtedy do lepszej roboty. Albo żeby tak dostać się na chłopca do warsztatu mechanicznego, który otwiera Kanadyjec, dopiero byłaby frajda. Życ można dobrze i tutaj, ciekawie...

- Pętaki zafajdane. Po cholere ja z wami się męczę? Ty, Tomek, jakie masz tam te inne sprawy?

- Nie twój interes. Ja o twoje nie pytam.

- Bo sam o nich mówię... A na twoją matkę ciągiem gadają, że się puszczała, wiesz? Ja bym po mordzie bił za to - zły był, umyślnie drażnił Tomka, wiedział, jak bolały go złe wspomnienia o matce.

- Zatkaj gębę, Stefek!

- Jaki ważny! A tymczasem zwykły skurwysyn. Siostrzyczka idzie w ślady mamuśki, gzi się z tym młodym Dominiakiem...

Mówiłby pewnie dalej, czyż mógł pomyśleć, że Tomek odważy się go kiedykolwiek zaatakować? Pierwsze ciosy przyjął z niedowierzaniem, aż mu dech w gardle zatkało zdumienie. Ostry ból oka wrócił świadomość. Odepchnął przeciwnika, poderwał się na równe

nogi, dopiero runął do przodu z przechyloną w bok głową. Grzmotnięty w pierś typowym bykiem Tomek zachwiał się, już frunęła noga Szwabachowskiego, piekielny ból w kroczu, ciemno przed oczyma, migoty, błyski, przeciągły jęk, stan jakiejś półprzytomności. Na głowę tymczasem sypią się ciosy pięści odmierzane, precyzyjne, umie Stefek się bić.

- Szwaba, dosyć, zostaw go!

Piskliwy, przenikający powietrze głos przerażonego Wacka. Doskakuje z tyłu do Stefka, łapie go oburącz, pragnąc hamować w tej wściekłej pasji, w nieprzytomnym zapamiętaniu.

Szwabachowski wstrząsa ramionami, odrzuca kompana, jeszcze nogą kopie do tyłu. Tomek odzyskuje zdolność ruchów, piekielnie ostry ból w kroczu maleje, reszta to furda. Skacze do przodu, też nabrał przecie sił przy pracy na stacji, lokuje któreś uderzenie na szczękę, mocne, aż mu chrząstki trzasnęły u zwartych palców. Przeciwnik z nagłą chwieje się osuwa pomału, spokojnie jakoś na ziemię. Tomek sam sobie nie wierzy. Przysiada na piersi Szwababy, tłucze teraz metodycznie, jak matka kartofle w garnku. Stefek ledwie się broni, jęczy i charczy.

- Dosyć, bo łeb ci rozwalę!

To Wacek. Tym razem apel jego dociera celu, Tomek zaprzestaje młócki, nadal jednak gniecie swoim ciężarem Szwabachowskiego. Słyszcy chrapliwy szept:

- Zostaw, dosyć...

- Coś ty o mojej matce powiedział, co? - syczy w odpowiedzi, fala gniewu znów podchodzi do gardła, dławi głos. Pięść podnosi się w górę, łapie ją Wacek, przytrzymuje co siły.

- Tak sobie gadałem...

- Wypluń to wszystko. Przepraszaj!

- Przepraszam, czyś ty zgłupiał, Tomek?

- Przepraszaj.

- Dobrze, dobrze, puśćże już tylko, do jasnej cholery.

Zsuwa się obok przeciwnika, sam teraz zupełnie bez sił. Szwabachowski leży, spluwa na stronę, prosi Wacka o jabłko.

- Cholera, całą gębę pełną mam krwi... Jak on mnie tak urządził? Tomek, skądś się tego nauczył?

- Pies cię trącał.

Cała szczęka boli, Szwabachowski odrzuca jabłko. Dopiero się tłukli jak zwariowani, teraz leżą obok siebie, zagapieni w rozgwieżdżone sierpniowe niebo. Tomek widzi, wielkim łukiem przesuwa się po czarnawym pułapie złocisty punkt. Spadające gwiazdy, ludzie mówią,

zamyślić coś wtedy, na pewno się spełni. Ale Tomek nic nie zamyślał. Jest mu słabo, bardzo słabo i bardzo smutno. Do Stefka nie czuje już żalu, taki ten Szwaba jest, coś dziwnego... Ale co on tu robi? Czemu jest z nim? A może tak trzeba, właśnie tak...

- Ty, Stefek.

- Czego chcesz?

- Mów prawdę. Rzeczywiście tak ludzie gadają?

- Czasami, ale coraz mniej... Plotłem tobie na złość - mruczy niechętnie.

- Nie łiesz? A o Milce skąd wiesz?

- Widziałem.

- Co widziałeś? - Tomek znów się podrywa. Cholera, niech powie, że naprawdę, to znów będzie go tłukł.

- No, chodzili sobie, potem stali i całowali się...

- Co jeszcze?

- Nic, nic, zełgałem. Co ty pytasz, jakby w komisariacie?

Milczenie. Świerszcz cyka, od traw na łące ciągną silne zapachy. Uspokojony Wacek zajada się jabłkami. One też pachną.

- Kurza twarz - mówi - aleście się naparzali. Prawdziwy cyrk.

- Gówno! Wszystko gówno - dobitnie oświadcza Stefek, podnosi się z trudnością. Tomek widzi go teraz, stoi wysoki, w nocnym półświecie jeszcze wyższy niż zazwyczaj.

Też dźwiga się z trawy. Pierwszy wyciąga dłoń do Szwabachowskiego.

- Dawaj grabę, Stefek. Wiesz, bo to w ogóle taki cholerny świat.

Myśli, że gdyby stracił jeszcze tych dwóch, zostałby sam, zupełnie sam. A samemu być to chyba naprawdę już straszne. Taki świat...

11.

Długo, dokładnie mył ręce. Z korytarza dochodziły po-krzyki bólu, ktoś inny kłął ohydnie wśród jęków. Z dworu nadbiegi znajomy warkot motoru. Profesor zmarszczył brwi:

- Znów kogoś przywożą. Zazwyczaj tak już bywa, seriami...

- Jak w każdą sobotę - wtrąciła siostra przełożona, wysoka i przeraźliwie chuda Stolarkowa. Koło warg jej błąkał się smutny uśmiech.

- Narkoza?

- Gotowe.

Białe światło zalewało salkę operacyjną. Na stole pojękiwał mężczyzna w średnim wieku. Cięża rana w klatce piersiowej krwawiła nieustannie. Lekarka wraz z pielęgniarką śledziły

skapujące na tampon waty krople eteru. Ranny chrypiał, przy każdym mocniejszym oddechu jęczał przeciągle i żałośliwie.

Profesor przechylił się, spojrział uważnie i zmarszczył brwi. Palcami nacisnął miejsce obok zranienia. Przyjrzał się jeszcze pod światło odbitce rentgenowskiej.

- Miał szczęście, trochę w lewo, zostawałaby jedynie trumienka - burknął i rzucił okiem na siostrę przełożoną. Wystarczyło, bez słowa podała lancet. Precyzyjne cięcie, odsłoniła się biała warstwa mięśni, krew poczęła napływać. Już tylko cichy szcęk klamerek zaciskających naczynia krwionośne. Ruchy operującego opanowane i wymierzone. Spojrzenie lekarki badającej puls pacjenta pełne napięcia.

Przez grubą izolację drzwi napływają przygłuszone wrzaski innego uczestnika weselnej rozprawy. Niecierpliwe spojrzenie profesora. Jedna z asystujących pielęgniarek dyskretnie wymyka się na zewnątrz. Hałas na korytarzu ustaje.

Brzęk narzędzi, ż rzadka ponagląjące słówko, przyspieszone oddechy spod białych maseczek. Operacja trwa. Pchnięcie noża było głębokie i niebezpieczne...

Potem wózek z pacjentem wypływa z sali operacyjnej. W przyległym pomieszczeniu profesor nerwowo zaciąga się papierosem. I znów *zaczyna* systematycznie, wielokrotnie myć ręce. Kolejny pacjent czeka na operację. Głowa rozwalona uderzeniem tępego narzędzia. Spojrzenie profesora wyraża smutek i gorycz.

- Nie pojmuję - szepce - kiedy my wyjdziemy z tego stylu zabaw po miasteczkach i wsiach. Wesele nie jest weselem, jeśli zbraknie tuzina podźganych...

- I bez wesel jest tego niemało. W izbie przyjęć dwóch pokrwawionych, ledwie przytomnych. Bójka pod barem „Piaستowski” - dorzuca Stolarkowa.

- Poważne?

- Pani doktor dopiero ich bada...

Uchyliły się drzwi, najpierw zabielały w nich siwe włosy, zaraz za nimi wsunęła się siostra Maria.

- Dzień dobry. Przyszłam dopomóc... Znów kośba?

- Znów. Ale skądże pani, Mario? Noc późna, zamiast się wysypiać, pani nam przychodzi pomagać?

- Stare przyzwyczajenie - uśmiechnęła się. - Powiedziałam pani doktor, że ją zastąpię przy panu. Tam jeden, zdaje się, również do operacji.

- Cztery przypadki z rzędu, to trochę za wiele. W tym trzy weselne. Marzę o kawie...

I znów sala operacyjna. Pacjent tym razem stary, dobrze po sześćdziesiątce, z obwisłymi jasnymi wąsami, o zawiadym skrzywieniu warg. Nie jęczy, przytomny, ciągle uważnie

ślepi po otaczających go białych kitlach. Szepce coś, Szymborska nachyla się.

- Wyżyję?

Kiwa głową, że tak. Chory jest teraz całkiem spokojny. Bez oporów poddaje się działaniu narkozy. Usypiając już, szepce głośniejszemu:

- Drugim razem nie popuszczę, już mnie popamięta ta, ta... wschodnia stonka...

Profesor Gollub marszczy brwi. Siostra Stolarkowa wyjaśnia:

- Podobno właśnie on sprowokował awanturę. To stryj pana młodego. Dzielnicowe właśnie. Na początku tłukli się ponoć sami starzy, potem dopiero młodzież skoczyła z pomocą. Chodziło im o honor rodzin...

- Psiakrew! - syczy profesor, nie wiadomo, czy dlatego, że tampon waty zamaczanej w jodynie osunął się na podłogę, czy w reakcji na zasłyszaną relację.

Tym razem sprawa jest znacznie poważniejsza. Minuty mijały za minutami, tętno chorego zaczęło słabnąć. Przyniesiono do wezglowia stołu operacyjnego aparat do przetaczania krwi. Milczenie, aż w uszach brzęczy, i tylko czasami metaliczny pobrzęk narzędzi, półszepc z ust operatora.

Profesor Gollub jest bardzo spokojny. Wie, że tak wpływa na niego obecność Marii. Kilka razy rzuca jej znad maseczki krótkie spojrzenie. Odwzajemnia się nikłym uśmiechem, skupiona i przejęta. Gdy nachyla głowę, w blasku lampy mleczno-biała siwizna jej włosów nabiera odcieni srebra.

Lekarz zakłada ostatnie klamry. Nasłuchując przez chwilę oddechu wąsatego zabijaki, marszczy twarz od płynącego z jego ust odoru nieprzetrawionego alkoholu. Dopiero czuje, jak jest zmęczony. Noc. Cztery operacje, w tym trzy to skutek nożowniczych historii, weselne żniwo - zbyt wiele na jego lata.

W gabinecie pije potem kawę dużymi łykami. W stare członki wlewa się gorąco napoju. Rozpina biały kitel szpitalny, odchylając się na oparcie krzesła.

Nie lubił podobnych stanów wyzucia z sił. Wiedział, że to nie zdrowe zmęczenie człowieka dojrzałego, ale po prostu znużenie starzejącego się ciała. Dawalo się to odczuwać zwłaszcza przy takiej robocie. Nie znosił zajmowania się ofiarami morderczych bijatyk, nie potrafił, jak inni chirurdzy, traktować pacjentów tylko jako przypadki, widział zarazem ludzi. Ta mała, pierwsza, którą dziś operował, ropne zapalenie wyrostka, zbyt późno odwieziona do szpitala, sytuacja alarmująca. W poczekalni młody chłopiec, narzeczony, w zdenerwowaniu wyżywał czapkę, wlepiając w profesora błagalne oczy. Zdażyło się na czas, będzie dziewczucha żyła. To była satysfakcja. Młodzieniec na wieść o pomyślnym przebiegu operacji przytknął nagle wargi do wysuszonej ręki Golluba. Wyrwał mu ją, speszony, zareagował udaną złością,

choć rozumiał, tamten naprawdę kochał... Ale tych trzech facetów, w tym jegomość nieomal że w jego wieku, jeszcze pod narkozą mamroczący o zemście, obrzydlistwo. Zwierzęta, najzwyczajniejsze kanalie.

Znów przechylił termos. W takie noce zawsze wypijał wiele kaw. Pobudzały krew do żywszego krążenia, tętno stawało się szybsze, umysł pracował wydajniej. Ostry dyżur, sobota ni wiadomo jeszcze, co się wydarzy do rana...

Za mało ich było. Czterech lekarzy na cały szpital, w tym dwoje młodych, jeszcze niedoświadczonych. Co będzie dalej? Skrzydło szpitalne rosło z każdym dniem. Powoli brakło, murarzy, tyle się tych nowych budowli rozpoczęło od razu, przecież rosło. Osiemdziesiąt pięć nowych łóżek. To już będzie naprawdę duży szpital. A zaczęli zaledwie z piętnastoma. Były wtedy koncepcje, by jednostkę skasować. Uparł się, dzięki niemu właściwie została i rozwijała się w jeden z poważniejszych ośrodków na Ziemi Lubuskiej. Na coś przydał się zatem wysiłek wielu lat.

Uśmiechnął się kpiąco. Przydał się, pewnie, ratują teraz durniów, walących się po łbach, dźgających nożami, zestawiają poharatane łby chuliganów, pętających się po zapadnięciu mroku ulicami miasteczka, zadzierających niepodstrzyżone głowy na żółto-czerwony neon i linie lamp jarzeniowych. Cywilizacja i prymityw. Nowoczesność i ciemnota. Niechże to jasna krew zaleje!

Jeszcze kawy, by odpędzić znużenie i te ponure myśli. Wyszuszone dłoń drży, gdy wodzi łyżeczką w filiżance o wyszczerbionym brzegu.

Pukanie. Gollub podrywa do góry chudą, pociągłą twarz. Zna to pukanie, braknie mu go od kilku tygodni.

Maria wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Uśmiecha się spod mlecznej okoli włosów. Profesor zdejmuje staroświeckie, oprawne w złoto binokle, przeciera je ruchami, zdradzającymi podniecenie. Szymborska spogląda na filiżankę i termos.

- Znów kawa ponad normę?

Podnosi się, całuje ją w rękę. Od tamtej rozmowy po jej powrocie z Niesusza, zawsze już teraz tak czyni. I zawsze ją tym peszy.

- Wiedziałem, że pani przyjdzie - oświadcza, wskazując krzesło. - Pogaworzymy jak dawniej. Nie spieszy się pani?

- Opatrzyliśmy mniej pokiereszowanych, pomaszzerowali już w braterskiej zgodzie do domów. Stałam na ganku, słuchałam, jak ryczeli tradycyjne *Góralu*, czy ci nie żal...

- Narodowa pijacka piosenka. Że też nie mają łajdacy na tyle poczucia humoru, by sobie obmyślić jakiegoś współczesnego kurdesza.

Znanym mu ruchem wsparła się łokciami o biurko. Światło oblało teraz jej twarz.

- A mnie ich czasami żal - powiedziała.

Był zaskoczony, ale nie spieszył z repliką. Widział jej podkrążone oczy, w ich wodnistym błękitcie ni to smutek, ni troska, a może tylko znużenie.

- Za wiele pani pracuje, Mario - szepnął.-Jak przedtem szpitalowi, tak teraz duszą oddała się pani swej szkole. Nigdy nic dla siebie...

Oczy jej zwilgotniały, może tak mu się zresztą tylko wydało, bo już policzkami prześmignął rumieniec.

- Ta praca jest zarazem czymś dla siebie. Więcej nie pragnę. Gdyby pan wiedział - ożywiła się - jaką radą z wygrania kampanii o równoległą klasę. Po takich oporach.

- Nikt się nie spodziewał, iż znajdzie pani aż tyle entuzjastek pielęgniarstwa - niewiele było w tych słowach ironii. - A plan przewidywał najwyżej czterdzieści uczennic.

- Jest już siedemdziesiąt na liście zapisów.

- Dwie równoległe klasy. Kłopoty z internatem. A dla pani tysiąc nowych obowiązków. Nie będzie łatwo, Mario. To są dorastające albo»i przedwcześnie już dojrzałe dziewczęta. Czy znajdzie pani z nimi wspólny język? Boję się, że my dla nowego pokolenia często jesteśmy już całkowicie niezrozumiali...

Podparła brodę dłońmi, oczy przymrużone, skupienie w twarzy.

- To chyba dobrze... Rozmawiałam z tymi chłopakami przy opatrunku. Weselnicy... Nie bardzo mogą objaśnić powód krwawej awantury. Nie, inaczej. Znają powód, ale go nie rozumieją.

- Słyszałem coś o dzielnicowych uprzedzeniach. Stare podziały, galileusze, kongresowa...

- Tylko że to inaczej się już nazywa. Centralniacy i zabuzanie. Tak jak na tym weselu. Pan młody pochodzi z poznańskiego, czy raczej jego rodzice, on sam już tutaj dorastał, tamto konińskie ani go grzeje, ani ziębi. Ona, córka repatriantów spod Tarnopola. Rodzice nieradzi byli związkowi. Prawie rok trwały korowody, musiała panna młoda zająć w ciążę, by wreszcie dali starzy swą zgodę. Że dziewczynę przedtem stłukł ojciec parę razy bez miłosierdzia, że młody też od ojca oberwał, to mniej ważne... Ale uprzedzenia tylko się zataiły, wódka rozjątrzyła nienawiść od nowa. Śmieszne, nie młodzież weselna, ale starzy zaczęli bójkę. Jakiś stryj pana młodego, bodaj ten wąsacz z ranami głowy. Słyszał pan, zasypiając, jeszcze wygrażał... Twarda sztuka... Zadań z ojcem dziewczuchy. Doszło do rękoczynów. Więcej się znalazło takich krewkich staruchów. Młodzi usiłowali ich najpierw rozdzielić, pojmuje pan, rozdzielić! Nie pojmovali istoty sporu, niekonkretnej dla nich i zamazanej. Dopiero później zagrał animusz. W obronie ojca machnął któryś sąsiada przez łeb,

inny skoczył z pomocą wujowi, aż się pokiełbało wszystko, ktoś stołkiem w żarówkę, jak zawsze, ciemno, wtedy i noże i różne żelaza...

- Na koniec zaś pełne ręce roboty dla nas w szpitalu.

- Normalnie... Mówiliśmy o młodych. Oni są tutaj mądrzejsi, bardziej łatwi do zrozumienia. Z tamtymi się nie dogadasz, ciągle jeszcze będzie dla nich miało znaczenie: zabużanin ktoś czy centralniak. Młodzi tymczasem są stąd, z naszego miasteczka, z okolicy. To wspólny ich dom. Po czyjej więc stronie racja?

- To wycinek, pewnie, pozytywny i konstruktywny, mówiąc namaszczonego stylem przemówień matadorów od polityki... Myślałem o czymś innym. Wesele weselem, powiedzmy, szczególny przypadek. Ale ciągle mamy jakieś pobicia, awantury wśród młodych. W wielkich miastach chuligaństwo przygasło, moda na nie nadeszła w miasteczkach i wsiach. Jakże to tłumaczyć, jak rozumieć? Albo dziewczęta. Ta ich łatwość, wyjątkowość, by któraś ustrzegła się przed defloracją, chyba już jakaś piekielnie brzydka - uśmiechnął się nieszczerze. - Widzi wszak pani, co za kłopoty z napływem do usunięcia ciąży. Podlotki. A to?

- Nie wiem. Może ma pan rację, może nie. Po prostu te sprawy mają dziś inną etyczną cenę. I moralną. Nie zanik moralności, ale jej odmienność... - urwała nagle, błysk w jasnowodnistych oczach, słowa wypowiedziane zupełnie nowym tonem: - Ale i to prawda, że wiele w tej młodzieży naprawdę trudno zrozumieć...

Zdumiona była jego przenikliwością, gdy swoim przyciszonym głosem zapytał:

- Ma pani kłopoty w Niesuszu?

- Nie. Tam wszystko najlepiej. Widziałam niedawno Ewkę. Szczęśliwa, jej chłopak naprawdę uroczy. Dla dopełnienia - pochodzi spod Mławy.

- Centralniak.

Obydwoje zaśmieli się ciepło, serdecznie. Gollub delikatnie przegładził jej rękę. Potem zakrzętała się koło kawy, termos był olbrzymi, napój jeszcze gorący.

Zmęczenie minęło, przysł ponury nastrój. Może sprawiła to kawa, może atmosfera rozmowy z kobietą, którą szanował jak rzadko.

- Mam szczęście... Po załamaniu obozowym długo, jeszcze i tutaj, podtrzymywała mnie żona. Gdy biedaczki zabrakło, nieświadomą podporą była pani, Mario. Ja bo zawsze wkładałem ciemne okulary. Pani zaś umiała dostrzegać inny, lepszy świat.

Przyglądała mu się z wyraźnym zażenowaniem. Nie śmiała przerwać, mówił nazbyt poważnie.

- Chcę być jeszcze potrzebny. Pragnąłbym i pani pomóc, dlatego nieraz mogę się

wydawać natrętny... Widzi pani, dzieli nas różnica prawie trzydziestu lat. W tym wieku już się nie proponuje kobietom małżeństwa... Ale można je kochać inaczej, znajdować radość w ich szczęściu. Mario, pani jest nazbyt zamknięta w swej samotności. Niesusz, zgoda, to były obowiązki, ale pisklaki już dawno się opierzyły. Czemu pani nie chce pomyśleć o sobie?

- Jeszcze jest Pola...

- Dojrzała dziewczyna. Skończy szkołę pielęgniarstwa, zechce, znajdzie okazję by kształcić się dalej. A pani? Przepraszam, cóż Okińczyc?

Oczy jej rozszerzyły się nagłym przestrawieniem. Drgnęły łokcie wsparte o biurko. Oddech stał się szybszy, jakiś gwałtowny.

- Mario, na Boga, co z panią? To moja wina, wścibstwo...

- Nie to, nie to - wyszeptwała. - Tylko, że wszystko nie jest takie proste. Jeśli, doktorze kochany, mówię o Poli, to na myśli mam wiele rzeczy. Nie tylko jej studia.

- Okińczyc w niej się zakochał?

Potrząsnęła głową.

- Ona w nim... Nie chcę stawać siostrze na drodze.

Zerwał się w niej cichy, tym boleśniejszy szloch. Porwał się, drżącą dłonią przegładzał ją po włosach, nie wiedział, co robić, nie znajdował na tę żalność pociechy.

Wyprostował się, spoglądając na nią przez długą chwilę, a potem, starając się nie robić najmniejszego hałasu, dyskretnie wysunął się z gabinetu.

Przysiadł na brzeжку krzesła, przechylając w bok głowę, przyglądał się profesorowi.

- Tak bardzo się ucieszyłem, gdy usłyszałem w słuchawce, że zechce pan poświęcić mi odrobinę czasu - tłumaczył się.

Gollub rozłożył ręce.

- Ależ, drogi panie...

Przyglądał się zza binokli swojemu gościowi. Jak zawsze i nieodmiennie, dziwak. Figurka trochę pokraczna, łysa, zawsze w bok przekrzywiona głowa, rozgestykulowane ręce; przejęcie w głosie. Krzatali się kiedyś wspólnie, w okresie gwałtownych przemian, byli obaj w zarządzie tamtego klubu, który zgasł niedługo śmiercią najbardziej naturalną. Doktor nie lubił tych wspomnień, tchnących niepowodzeniem. Zupełnie stracił wtedy ochotę do jakiegokolwiek zaangażowania się poza szpitalem. W przeciwieństwie do Rękawka. Ciekawe, z czym przychodzi, na pewno to nie zwykła grzecznościowa wizyta. Niepotrzebnie się fatyguje, szpital i tylko szpital, nic więcej... Księgowy prezydium sięgał tymczasem do podniszczonej teczki, którą, siadając, oparł o biurko. Łysnęła barwna okładka sporego tomu. Uśmiech

Rękawka był pełen zażenowania.

- Nareszcie doczekałem się druku swej pracy o naszym mieście i najbliższym regionie. Pozwoliłem sobie jeden egzemplarz dedykować panu profesorowi, tak bardzo zasłużonemu...

- Pan daruje, bez zasług, bez zasług. W proporcjach musiałbym panu śpiewać hymny pochwalne, a tego ani nie umiem, ani nie lubię... Szczerze gratuluję, ależ to się rozrosło w spore tomisko. Pan zawsze mówił tak skromnie: broszurka - przerzucał kartki, chwilami na dłużej zatrzymywał wzrok,

- Proszę, jak rozbudowana literatura przedmiotu. Tyle jest jeszcze tych źródeł? Naprawdę serdecznie się cieszę i obiecuję, że dziś jeszcze zabiorę się do lektury.

Podniósł się, ścisnął dłoń zarumienionego z zachwytu autora. Rękawek cenił sobie zdanie profesora Golluba.

Sekretarka podała kawę deprymując tym jeszcze bardziej księgowego prezydium.

- Jestem panu bardzo zobowiązany. Przecież to tak niewiele, chciałoby się zostawić coś po sobie w naszej miejscinie... Pan na przykład właściwie z niczego rozbudował ten szpital, ja chociaż napisałem książczyne.

- Zawsze pan rozkochany w naszej metropolii. No cóż, nawet jest neon.

- Będzie i drugi. Nad drogerią. MHD pozazdrościło GS-om.

- Proszę... Wie pan, niby drobiazg, a przecież się cieszę.

- Sentyment, jak do czegoś, co się samemu zrobiło, nieprawdaż? Wie pan, doktorze, gdy przypomnę sobie te pierwsze lata. Ruiny, pustka, szczury w biały dzień hasające pośród rumowisk, miny rwące się wszędzie, gdzie się ich najmniej można było spodziewać, wokoło straszliwy smród bimbru, mieszkańców stałych liczyć na palcach, a na tabuny wędrującą szabrowniczą hołotę. Pamięta pan, wodociągi zniszczone, brak prądu, przemysł, i tak maleńki, w proszku, a my wielkie plany, nadzieje...

- Niestety, przybyłem tu znacznie później.

- Jeszcze nie było różowo... Ja zresztą, choć jeden z pierwszych, zastałem już początek jakiegoś ładu. Mało tych pierwszych pionierów zostało na miejscu. Odszukać by ich, namówić, niech piszą wspomnienia, muszą pozostać przekazy tamtych szalonych dni. Mieszkałem w zrujnowanym domu, zamiast klatką schodową, przystawioną drabiną drapałem się do swojej klatki na piętrze. Którejś nocy zabrał mi ją nieznany szabrownik. Rano bałem się zeskakiwać, skrzyłem linę ze starych szmat, spuściłem się po niej. Czyż nie romantyczna historia?

Gollub śmiał się ubawiony. Rękawek widział to, odzyskał rezon. Zawsze tak musiał się rozgadać, dopiero przestawał się czuć speszony.

- Dziś już jest jakaś niewielka różnica, prawda? Na linie z domu spuszczać się w każdym razie nie trzeba...

- Ładna mi niewielka. Poszaleliście chyba wszyscy! Ludzi nie mogą dostać do budowy skrzydła w szpitalu, gotowe opóźnić się wszystkie terminy. Co krok nowe mury, nowi ludzie, setki dzieciaków.

Rękawek aż się podniósł na krześle. Twarz jego wyrażała wielką radość.

- Bardzo się cieszę, że pan tak myśli, profesorze... Że pan widzi, jak nie stoimy w miejscu. Rośniemy...

- Slogan, drogi panie. Widzę, co się robi, ale z tym rośnięciem nie na każdym polu najlepiej. Dwa dni temu ledwieśmy poradzili z łataniem dziurawych brzuchów i głów. Kolejne wesele w miasteczku. Gdy zaś nie ma wesela, tłuką się i bez specjalnej okazji. Młodzież... Panie, wczoraj ledwie mi nie zamęczyli ulubionego kota. Puszki blaszane przywiązali do ogona stworzeniu, brzęczało to, jazgotało, przerażone kocisko rwało środkiem ulicy, zupełnie nieprzytomne. Całe szczęście, sznurek się urwał. Te łobuzy, uwierzy pan, nie dzieci już, ale chłopcy pod wąsem...

- Współczuję, ale zapytam inaczej. A co mają ci chłopcy robić? Do „Zacisza” iść może na dansing? Drogo, przy tym nie najprzyjemniej. ‘

- Ja już im zajęcia szukał nie będę. W każdym razie wara od mego kota - zaperzył się doktor Gollub, dopiero się spostrzegł, co mówi, parsknął śmiechem. Rękawek dyskretnie mu zawtórował.

- Zresztą mają swój dom kultury - dorzucił gospodarz.

- Mieli przed paru laty. Potem się urwało. Nowy kierownik zawalił wszystko, cała jego działalność ogranicza się do tego, że raz na parę tygodni urządzi tańcówkę... Na całe szczęście złożył wypowiedzenie. Musiał złożyć - poprawił się. - To wszakże również nie rozwiązuje problemu. Są także starsi. I ci z „Piaستowskiego” i inni. Profesorze, co pan robi wieczorami?

- Przeważnie przebywam tutaj, w szpitalu... Mnie nic nie ciągnie do domu. Panie drogi - oczy Golluba podejrzliwie zerknęły zza binokli. - Czy pan czasem nie chce mnie znów namawiać na jakiś klub inteligencji? Więcej się nie nabiorę, na to mi absolutnie brak czasu. A i ochoty, mówiąc brutalniej. Raz się wklepałem w coś takiego wraz z panem... Skończyło się, nawet na brydza i wino nikt się nie pojawiał w tym klubie.

- Ależ ja myślę tak samo jak pan. Naprawdę - zaproponował księgowy.

- Coś pan jednak kryje w zanadrzu?

Rękawek poczerwieniał, zatrzepotał rękami, splótł je potem, w ogóle nie wiedział, co z

nimi zrobić.

- Przepraszam, profesorze, może trzeba było od razu powiedzieć...

- A widzi pan - odął się Gollub.

- Chcę powiedzieć, że przychodzę tutaj do pana wyłącznie w swoim imieniu. Niezależnie od tego, że wspominaliśmy o panu w rozmowie z sekretarzem. On pana niezmiernie ceni...

- Wzajemnie, wzajemnie... Pan wie, jestem bezpartyjny, w żadną polityczną robotę nie dam się wciągnąć.

- Kiedy ja wcale nie z ramienia partii.

- Mówił pan, że także sekretarz.

- Bo zgadało się w kilku o różnych sprawach. Także o młodzieży, tej właśnie, co to z pana kotem...

- Wie pan co? Mnie się zdaje, żeście się wy tak zachłyszeli rozmachem budowy w miasteczku, że wszystko inne wypadło wam z pola widzenia,

- To samo mówił Nowaczyk.,

- Kto to jest?

- Właśnie sekretarz. On także kładł na to nacisk, że za nowymi murami, za jarzeniówkami i neonami gotowiśmy zgubić człowieka.

- I ja mam go teraz szukać? Lepiej powinniście znać się na podobnych receptach. Choć, co taki Nowaczyk może się wyznawać: choćby na chuligaństwie części dzisiejszej młodzieży? Tkwi w papierzykach, ślęczy na naradach czy odprawach, celebrytuje władzę w swym komitecie i tyle. Na terenie budowy szpitalnego skrzydła nie widziałem go ani razu.

- Pan tutaj jest, to wystarcza, żeby być spokojnym o całość... Profesorze, czy widywał pan niedawno w miasteczku chudego mężczyznę o szklanym oku?

Gollub wzruszył ramionami.

- Szkoda, mimo to opowiem coś o nim... Ojciec jego pracował swojego czasu w Gorzowie jako działacz partyjny. Potem na parę lat przeniesiono go do Warszawy, aby podszkolił się, nabrał rutyny, także, aby się trochę podleczył, kiedyś w obozie skazany był na stojkę na mrozie, wykaraskał się, ale schorzenia zostały, zawsze mu zimno... Ma małą córeczkę i syna, teraz już dojrzałego mężczyznę. Syn ten w Warszawie, jeszcze w liceum, rozchuliganiał się, był jednym z takich, co to pod „Polonią” wystają. Awantury, bójki, lekki chleb, wreszcie został przy czymś złapany, w wyniku - pół roku więzienia. Wtedy było jeszcze łagodniej z wyrokami. Jak ojciec to przeżył, nie trzeba mówić. Wstyd, żal... Kara niewiele pomogła, zaczęło się potem to samo. Nauka poszła w diabły, chłopak urwał się krótko przed maturą, a po prawdzie to go wylano ze szkoły. A jeszcze potem w jakiejś awanturze koleżki wybiły mu

oko...

- To ten mężczyzna, który miał spacerować niedawno po naszym miasteczku? I nadal takie nicpotem? A jeszcze, co to właściwie ma wspólnego z tym Nowakiem czy Nowaczykiem?

- Trochę ma. Bo to jego syn. Chciałem panu udowodnić, że sekretarz ma jednak pewne pojęcie o chuligaństwie.

- Kapituluję... Ale niech pan mi w końcu powie, panie kolego, wokół czego pan nieustannie krąży? Żeby może zabawił się w wychowawcę i zaczął się zajmować młodzieżą? Zły adres, nie znam się na tym.

- Z młodzieżą może się jakoś poradzi. Choć tutaj pana zdanie także byłoby cenne. Profesorze, nic innego, tylko chciałbym prosić pana o radę. Po prostu o radę. Mówił pan sam, nowe domy, fabryka, cegielnia, szpital i szkoła, neony i jarzeniówki, długo by jeszcze wymieniać. Przy tym ludzie są bardzo osamotnieni, nie tylko młodzież. Kończy się praca, każdy wraca do domu. Ale dom nie stanowi o wszystkim. Klub nasz, inteligencji, to w takim niewielkim - ośrodku poroniona koncepcja, proszę darować, ale tak sprawę oceniam. Zawężaliśmy się w maleńkim kręgu, zgasło, bo nie było platformy działania. Od początku piekielna nuda. Więc żeby inaczej, coś zupełnie innego...

Rozwarcie drzwi przerwało Rękawkowi wywód w pół słowa. Tyczkowata siostra Stolarkowa stanęła u progu.

- Przepraszam, panie profesorze, prosimy szybko. Nieszczęście na budowie, runęła ściana, przysypało... Jest tutaj, koledzy przynieśli, stan bardzo ciężki.

Zerwał się z chyżością zupełnie nie licującą z wiekiem, rzucił do zaskoczonego Rękawka:

- Pan wybaczy... zawsze, gdy mam ciekawą rozmowę, tak się kończy... Ściana runęła. Znak, że i w tych, bardzo materialnych już sprawach, nie trzymamy dłoni na pulsie...

Ostatnie słowa wykrzyczał w drzwiach.

Tak na zewnątrz to niby nic. Spluwając co chwila na stronę, ćmił papierosa, mełł w ustach plugawe słówka. Tylko w nim samym czaił się jakiś chłód, choć sterczał przecież na samym słońcu. Jak wtedy, gdy człowiek spałaszuje jedną po drugiej zbyt wiele porcji lodów, tak samo ziębi od środka.

Unikał spoglądania na usypisko upstrzonych zaprawą cegieł, wtedy już nie potrafił powstrzymać dygotania warg, papieros chwiał się dziwacznie, zupełnie jak liść osiki w bezwietrzną pogodę. Mały krok, a i jego by przysypało jak Czeška.

- Kurr... - zachrypiał, kulejąc poczłapał za węgiel starego budynku winiarni. Chciał być z dala od tłoczących się wielką gromadą ludzi, gapiących się i wydziwiających. Diabli wiedzą,

skąd się ich z nagła tyłu nabrało, przecież roboczy czas.

Odwinął nogawkę uwierającą nogę i zaklął. Od pół łydki po piętę zsiniała była, obrzmiała, gdy dotknął dłonią, zaparzyło. Kurrrczę, może by jednak pójść na opatrunek? Namawiali, wyśmiał, że nic, trochę go tam stuknęło, o czym tu gadać... Wygląda jednak niedobrze. Żeby złamania nie było, tego by brakowało.

O mały krok. Ten właśnie, który zrobił, gdy od góry krzyknął ktoś ostrzegawczo. Dźwigali pełne nosiłki zaprawy, majster kazał zalepić szpary po wstawieniu okiennych futryn. Na krzyk, nie orientując się właściwie, co i jak, szarpnął się odruchowo do przodu. O ten krok, no, może o dwa. To go uratowało. Czesiek szedł z tyłu.

Wyżyje czy nie? Matka poleciała już do szpitala, krzyczy, rwie włosy z głowy. Główny żywiciel rodziny, odkąd stary jego utracił palce przy frezarce. Z samej renty inwalidzkiej przecie by nie wyżyli... Tyle cegły, kurczę pieczone, ściana chyba z pięć metrów, ciężar.

Źle się jakoś zaczęło od poniedziałku. Przyszli obydwaj na cegielnię jak zawsze. Dobrą robotę mieli ostatnio, więcej się objęli, niż harali przy cegle. Wykończeniowe prace, trochę, a zacznie cegielnia dymić. Dłubią już głównie fachowcy, mechanicy, zdun, zakładają rury wodociągowe. Wyglądało, że bumelka potrwa parę tygodni. Tyle, że Dominiak to stary cwaniak, trudno się dziwić, ma nadzór nad kilkoma robotami w miasteczku. Dadzą mu teraz nadzór, trząśł będzie portkami, majster pogadywał, że on nie winien, to technika Sprawa...

Kto wie, może facetowi i przyjdzie beknąć. Że to niby BHP brakło, stąd katastrofa. Niech beka. Żeby ich w poniedziałek nie przeniósł na robotę przy winiarni, chodziłby Czesiek zdrów jak panna. A on, Stefek, nie trząśłby się jak zakichany pajac. Czort także wie, co będzie z nogą.

Poruszył nią, zaboląła. Więc tylko wygodniej wyciągnął kończynę. «

Zza budynku dochodził rosnący pogwar. Ktoś woła jego nazwisko. Niech go w dupę całują, nie będzie się odzywał. I tak nie zabraknie gadania. Milicja musi przesłuchać, pewnie nadjedzie też prokurator. Wypadek na budowie nie mucha. Dobrze jeszcze, gdy Czesiek wykaraska się z balu. Jeżeli jednak skończy się parkiem sztywnych? Dopiero będzie wypytywanie, co, jak, dlaczego, jakim sposobem... Żadna przyjemność. Zresztą, mucha, ważne, że Cześka szkoda, trochę fujara, ale możliwy był chłop.

Jak to nigdy nic nie wiadomo, jasna cholera. Parę minut wcześniej, przy kaszcie z zaprawą, pogadywali sobie> że warto zajrzeć wieczorem do kina, wesoły francuski film, babka jakaś podobno rozbiera się do rosołu, może być niezłe. Aż ktoś ich podpędził, żeby nie zawalali roboty, widzą, że pośpiech, winiarnia już na zimę zaplanowaną ma zwiększoną produkcję, a jakże z nią, jeżeli się nie ukończy na czas dodatkowego piętra i magazynu?

Ruszyli więc nosiłki, ciężkie jak złodziejskie sumienie, trzeba dobrze iść w nogę, inaczej się można podźwignąć. Szli wzdłuż tej ściany, gdzie dobudowywano piętérko. Majster podciągał przy winkle. On pierwszy krzyknął...

Myśl się nagle urwała, jakby w obawie przed czymś strasznym. Stefek dopiero zadrzał, czuł, że mu zęby zaczęły szczekać, przecie nie od wilgoci płynącej w tym zaciemnionym kącie od świeżego muru. Przecie nie od tego... Tam go znowu wołają, jasna cholera. Niech sobie... Więc jak to było naprawdę?

Ten lęk podchodzi do gardła. Niesamowity strach. Jeszcze raz, spokojnie, po kolei. Więc majster krzyknął, głosem takim dziwnym i mocnym, ostrzegającym. Więc zerwał się, szarpnął nosilkami do przodu. Więc Czesiek wywrócił się. Nie widział, wyczuł, jak nagle nosiłki zaczęły go ciągnąć do tyłu. Puścił je, skoczył naprzód, tam już rumor, sypało się... A Czesiek został. Bo te cholerne nosiłki, na nich chłopak się wykopyrtnął. O, jasny gwint, niedobrze. Więc gdyby nie szarpnął tak nagle, nie spowodowałby upadku kumpla, może i on uniknąłby spod zasięgu obrywającej się części muru? Może... Ale jeżeli tak, to właściwie kto winien Cześkowemu nieszczęściu?

Chciało w nim coś wołać, krzyczeć przeraźliwie, że nieprawda, nieprawda, on, Stefek, nie mógł przecie wiedzieć, że się tak stanie, że Czesiek upadnie, że przysypią go cegły. Szarpnął, bo majster wołał, ostrzegał, nie można było stać w miejscu. Czesiek sam fujara, mógł uważać, zamiast się tak od razu wywracać. No tak, ale znów...

- Tu jesteś? Pieruna, milicja cię szuka, wszyscy gardła zdzierają, już się baliśmy, możeś zemdłał, a ty pokurzasz spokojnie. No już, łaski nie robisz, prędzej... - poganiał majster, który odnalazł go tak niespodziewanie. - I tak dość zamieszania, milicjanci się bzdyczą, czuję, tylko patrzą, jak by wpakować człowieka do kryminału. I za co? Mur był prościutki, zaprawa dobra, czort wie, co się stało. Może jak się cegły odgrzebie...

Bartosik też był rozbity psychicznie. Oto odnalazł poszukiwanego Szwabachowskiego, tymczasem zamiast go wyprowadzać, stoi nad chłopcem i mamrocze lichy wie co. Zebrał się wreszcie w kupę.

- No, idziemy...

Stefek kulał coraz to mocniej. Bolało przy każdym kroku. Jasny gwint, może naprawdę złamana? Niedobrze... Zaraz inny błysk myśli... Gdyby chciano mu udowodniać, że Czesiek z jego winy, ta noga będzie najlepszą obroną. Że on też mało, a byłby trafił pod ścianę, o włos za nim sypnęło.

Z milicji było dwóch. Sam komendant, porucznik, a obok Gliński. Niedobrze, mógł się facet domyślić, kto go tak urządził z zatkaniem komina, teraz się dopiero odkuje...

Porucznik spogląda uważnie. Cholera, wie już? Nie, na nogi patrzy, że to niby kuleję. Trzeba iść prosto, bo zaczną zbyt wiele wypytywać.

- Szwabachowski? Co ci to, chłopcze? Z nogą?

- Mucha, poruczniku, trochę tam poboliwa.

Ciasno wokoło nich, robotnice z winiarni i gapie coraz bardziej zwartym kręgiem otaczają milicjantów, a obok nich majstra Bartosika i Stefka od Szwabachowskich.

- Rozejść się. Rozejść - napiera Gliński na tłum. j

Porucznik ujmuje Stefka pod ramię.

- Pokaż mi, jak to było. Szliście z nosiłkami, tak?

- Zaprawę nieśli... Gdy byli już tutaj... - majster szedł razem, podniecony po raz już któryś podejmował relację. - Ja robiłem u góry, na tym narożniku. Spojrzałem ku chłopcom, bo to zawsze tacy lubią trochę się wymigiwać, czemuś mi się ściana nie spodobała, że jakaś krzywa, myślę, słońce w oczy, stąd heca, aż tu mur trzęsie się i nagle, jakby kto pchnął, wali się w dół, na nich. Więc tylko krzyknąłem, sam nie wiem już co. Poderwali się, ten zdążył, ale Czesiek potknął się, pewnie o jakąś cegłę pod nogami, sypnęło wszystko na niego...- ocierał pot z czoła, przeżywał od nowa, zbladł

- Tak było, Szwabachowski?

- Zgadza się, panie poruczniku. Na ten krzyk... - zawahał się, coś go jeszcze powstrzymywało. Ale zaraz przypomniał tamten lęk, nie, cholera, lepiej już wszystko od razu.

- Zgadza się... Szliśmy z nosiłkami. Aż tu ktoś krzyczy, nawet nie wiedziałem, że to majster Bartosik. Tak dziwnie krzyczy. Pchnęło mnie coś do przodu, bo to i pomyśleć nie było kiedy. Szarpnąłem nosiłkami, tymi z zaprawą...

- Tutaj są, poruczniku - wskazał majster kawałki desek. Na jednej z nich Stefek ujrzał krew. Mdłości falą runęły mu od brzucha ku gardłu. Ledwie je opanował.

- Może za mocno szarpnąłem, ja wiem? Nie do myślenia było. I Czesiek na tych nosiłkach wywrócił się, nie zdążył już uciec, zasypało go... Moja wina, panie poruczniku.

Wyprostował się, spojrzał milicjantowi w twarz. Wydało mu się, że stojący obok Gliński sięgnął dłonią ku kieszeni. Pewnie po kajdanki. Mścił się będzie za ten zatkany komin... Niech tam.

- Spokojnie, Szwabachowski, spokojnie... Na pewno nie twoja to wina. A czyja, to się jeszcze zobaczy... - znów spojrzał ku nogom Stefka.-Pokaż, od wypadku masz to? - sam podwinął nogawkę, gwizdnął. - Majster, dwóch ludzi, niech go zaraz prowadzą do szpitala, może być głupstwo, a może coś poważnego.

- Kiedy nie chciał, mówiliśmy...

- Pójdzie. Słyszycie, Szwabachowski?

- Słyszę, panie poruczniku.

Podszedł starszy robotnik z winiarni.

- Dzielny chłopiec, poruczniku... Pierwszy ruszył z pomocą. Myśmy jeszcze stali struchlali, on już zaczął odrzucać cegły. Zawsze to jednak trwało potem tych parę minut... Nieszczęście. Wyżyje tamten?

- Jest Dominiak - w głosie posterunkowego Glińskiego pojawiła się czujność.

Pędził czerwony, z rozwianymi włosami, z oczyma zawężonymi niepokojem, jeżeli nie trwogą.

Przypadł ku stercie uwalanych świeżą zaprawą cegieł, wołał siad ku porucznikowi:

- Chwileczkę, tylko spojrzę, bo pojąć nie mogę przyczyny... Wczoraj tu byłem, mur stał jak się należy... Bartosik zna się na rzeczy, skądże więc?

Odrzucał cegły, jakby czegoś pod nimi szukał. Potem odstepił na bok, patrzył na wyrwę w ścianie, na wyzierający spod cegły górny róg piwnicznego okienka, znów gapił się na pion ściany.

Porucznik podszedł bliżej, przyglądał się tym manipulacjom. Powiedział ze szczerym współczuciem.

- Choroba, to się może na panu skrupić, miał pan nadzór nad tą budową... Prokurator nakazał wszystko zabezpieczyć, może lepiej niech pan tych cegieł nie rusza...

- Nadzór! W cegielni, przy nowym skrzydle szpitalnym, przy bloku na rynku, kiedy ja mam naprawdę czas dojrzeć tego wszystkiego? Kiedy?

Urwał gwałtownie. Patrzył ciągle na ten przysypany gruzem róg piwnicznego okienka.

- Zaraz. Zaraz...

Jakby odmłodniał w jednej chwili, porwał się, sadził susami ku wejściu do wnętrza budynku. Z dworu było słychać, jak zatupotały jego kroki po schodach piwnicznych. Potem, jak spod ziemi, dobiegł jego przytłumiony głos:

- Tak myślałem... Jest przyczyna, jest!

Ruszyli do wnętrza budynku. Już się ukazał w drzwiach utyłany Dominiak.

- Stary fundament nie wytrzymał. Ugiął się pod ciężarem, jeszcze osłabiony okienkiem, wtedy runęło.

Porucznik spoglądał na niego pytająco. Dominiak rozłożył dłonie.

- Plany budowy nie ja robiłem, nie ja zatwierdzałem. Moją rzeczą był nadzór.

W jednej chwili zdostojniał, trochę z góry oglądając się ku gapiom napierającym coraz ciaśniejszym kręgiem.

Porucznik przygryzł wargi. Złościł go w tej chwili Dominiak i śmieszył. Napotkał wzrokiem twarz Stefka.

- Jeszcześ tutaj?

- Chodź, pomożemy ci - dwaj koledzy z murarki ujęli go pod ramiona.

Gdy pozbył się już tamtego lęku, dobry ten Bartosik, to wytłumaczył dokładnie, pewnie z góry najlepiej widział a i porucznik morus, bo z Glińskim to nie wiadomo, noga silniej zaczęła znak dawać o sobie. Szedł z wielkim trudem, koledzy niemal go unosili nad ziemię.

W szpitalu ledwie któryś wybąkał, że to także z wypadku na budowie, zaraz porwały Stefka dziewczuchy w białych kitlach, z rozpędu przecięły nożyczkami nogawkę spodni, młoda lekarka schyliła się nad obrzmiałą, siniejącą łydką. Syczał, gdy wymanicurowanymi palcami obmacywała bolejące miejsce.

- Co tam macie? - doktor Gollub stanął u drzwi.

- Z budowy, profesorze. Nie wygląda groźnie, ale zdjęcie warto by zrobić - wyjaśniła lekarka.

Profesor podszedł bliżej. Stefek skulił głowę. Żeby mnie tylko nie poznał. Jasny gwint, przy co drugiemu człowiekowi musi się bać... O rany, jak mocno ciśnie. Zawarł zęby. Nie jęczeć, bo jeszcze tamto wypomni.

- Silne uderzenie, wewnętrzny wylew krwi. Mógłby poleżeć parę dni... Ale zdjęcie proszę zrobić. Strzeżonego...

Wyprostował się. Stefek czuł, że profesor patrzy teraz na niego. Długo jakoś to trwało. Przemógł się, podniósł głowę. Napotkał lekko uśmiechnięte, szczupłe oblicze.

- My się znamy, kawalerze? - powiedział Gollub.- Sądziłem tylko z oddali, żeś znacznie starszy. Znamy się, nieprawdaż?- powtórzył.

- Niby od tego kota? - szepnęła speszony i zawstydzony Stefek.

Lekarka i pielęgniarki zanosły się śmiechem. Stefek opuścił głowę i przymknął oczy. Jak z oddali słyszał jeszcze słowa profesora, że zaraz będzie operował, serce już bije normalnie, można zaczynać...

Domyślił się, mowa chyba o Czešku. Operować, więc aż tak z nim jest źle?

- Panie doktorze, ale Czesiek wyżyje, nie umrze, prawda?

- Miejmy nadzieję, jednak stan bardzo ciężki... Żeber parę mu pękło, jedno wbiło się w płuca... Serce też słabo pracuje. Nie mówiąc o ranach tłuczonych. Dwa palce u dłoni zmiążdżone...

Stefek nic nie mógł powiedzieć, tylko dłonie swoje złożył jak do modlitwy, tak mu zrobiło się Czeška żal. Straszliwie żal. Profesor przypatrywał mu się uważnie.

Mały Wacek przyszedł na stację benzynową, konspiracyjnie mrugając, odwołał Tomka na stronę.

- Ty, Stefek chce, żebyś dziś przyszedł, wiesz, za ogrody... Ma sprawę do ciebie.

Tomek był w złym humorze. Przed pół godziną Maliniak zrugął go, że źle postawił w magazynku bańkę z luxem i dlatego się wywróciła, brudząc wszystko olejem. Jakby to on był winien. Bańka stała na tym samym miejscu, gdzie zawsze, to Maliniak z nowego przesłuchania w milicji, ciągle jeszcze w związku z tamtym pożarem magazynów GS-u, wrócił zły i zdenerwowany, ruszał się przy tym tak niezgrabnie, że musiał szkody narobić. Temu szoferowi Łohutce wydał taką resztę ze stu złotych, jak z pięciuset. Dobrze, że chłop uczciwy, nie skorzystał z okazji...

Niechętnie wysłuchał Wacka. Po awanturze na łące, kiedy się tłukli ze Stefką, widywał się wprawdzie z kompanami, ale już nie było między nimi dawniejszego nastroju. To starcie stworzyło jakąś zaporę. Ostatnio zaś, po wypadku z zawaleniem się ściany, raz tylko pogadali sobie ze Stefką na rynku. Maliniak wysłał wtedy Tomka po ćwiartkę...

- Kiedy nie mam czasu, matce obiecałem dopomóc - wykręcał się.

- Stefek bardzo cię prosi. Ma jedną tajemnicę.

- Kicham na jego tajemnice.

- Przyjdź, Tomek, nudno bez ciebie.

- No dobra.

- Ty czego tutaj się pętasz, szczeniaku? - z kantorka wyłonił się Maliniak ponury jak chmura gradowa.

Wacek przezornie oddalił się od stacji, po czym zagrał Maliniakowi na nosie.

- Ciebie też w diabły popędzę, jak mi będziesz ściągał kompanów na stację. Taki tylko patrzy, gdzie by co ukraść - kierownik spędzał na Tomka swoją złość.

Jeszcze bardziej pogorszyło to zły nastrój chłopca. Na stacji aż do zamknięcia ponuro było jak nigdy.

Może dlatego z większą niż rano ochotą szedł Tomek na umówione spotkanie. Spóźnił się trochę, mroczniało już. Czekali na niego leżąc na soczystej trawie. Obok Stefka stały dwa wielkie kosze od kartofli.

- Dobrze, żeś przyszedł, Tomek - nie po swojemu łagodnie powiedział Szwabachowski. - Wiesz, Czesiek wyżyje, wczoraj miał jakiś kryzys, teraz już pójdzie dobrze. Jedno źebro wbiło mu się gdzieś w płuca, a jeszcze od razu czemuś tam rznąć go nie mogli. Gadają, że takiego doktora, jak nasz Gollub, ze świecą i w Zielonej Górze nie znajdzie.

- To fajno - Tomek lubił Cześka, przez parę lat mieszkali po sąsiedzku. - A tajemnica?

- Czekał, rąbnie przedtem.

Nabrali już wprawy, ćwiartka starczyła na dwa okrążenia. Z rym, że Stefek jako fundator pociągał najobficiej.

- Może jedziesz już w świat? Przez ten twój Szczecin?

- Nie, Tomek, on coś nowego usłyszał, od bab, że to stary graf, który mieszkał nad jeziorem, rzucił klątwę na nasze miasto. Dlatego się te nowe budowy nie wiodą. Wiesz, Koniejenko, potem Czesiek...

- Gówno plotą. Mówiły, Czesiek nie wyżyje. Myślałem, może prawda. Tymczasem wielki pić.

- Skończ z tymi babami. Masz co w zanadru, to wyskakuj - zdenerwował się Wacek. Ostatnio nabrał coś animuszu.

- Chłopaki, ale na mur? Bo to nie wiem czemu, zakazali tymczasem gadać. Naprawdę jakaś tajemnica. To pewne, że wińsko było pierwsza klasa.

- Jakie wińsko? Cegła na mózg ci upadła?

- A tobie gwiazdy zaświecą, jak usłyszysz... Wiecie, u nas przy winiarni wstrzymali roboty. Już tak sześć dni. Bo to miała być nowa dokumentacja, a jeszcze śledztwo. Dominiak całą winę zrzucił z siebie na inżyniera z powiatu, który zatwierdził plan przebudowy... Ja, wiecie, dostałem tydzień urlopu, dzień leżałem z tą nogą, potem mi się znudziło, bo to jeszcze matka biadoliła przez cały czas, że mogłem też zginąć jak Czesiek, nie wierzyła, że chłop wymiga się od kostuchy... Otóż zacząłem łązić, aż wreszcie, to był trzeci dzień po wypadku, pokuśtykałem na budowę. Bo ja tak ciągle o tym Czešku myślałem, miejsca sobie nie mogłem znaleźć, nosiło mnie, jak mówi ta Fela z baru.

- Ja to nosi, zasnąć bez chłopca nie może - cmoknął Wacek łajdacko.

- Zatkaj się, specjalista, tobie najwyżej majtki babskie wachać, nic więcej... Nie przeszkadzaj... Przyszedłem, a tam była właśnie komisja z powiatu. Jacyś inżynierowie i technicy, z przyrządami, każdy ze świńską teczką pod pachą. Paru naszych wezwali, majstra Bartosika też. Zaczęli mierzyć, a jakie grube mury, a jaka wytrzymałość cegły, a jaka głębokość fundamentu. Nuda, chciałem się już wynosić, aż tu z piwnicy gwałt. Ani mnie noga nie bolała, takem skakał do środka. I wiecie co? - zniżył głos do szeptu, urwał, świadom ich podrażnionej ciekawości.

- Co, co? Gadaj, Stefek.

- Tam był skarb.

- Ooo!

- Mówię wam, skarb.

- Złoto?

- Zaraz złoto... Jeszcze lepiej...

- No co?

- Okazało się, inżynier dobrze obliczył. Fundamenty były mocne, można na takich dobudowywać piętro. Bo kto mógł wiedzieć, że w tym właśnie miejscu, gdzie wszystko się obsunęło i ściana poszła w pieruny, poprzedni właściciel winiarni zrobił kryjówkę. Drugą piwnicę wykopał pod samą ścianą, strop jak się należy założył, zalał wszystko betonem, węgla, śmieci nasypał na wierzch... Dajcie papierosa, nudno tak gadać o pustej gębie.

Na wyścigi zapalali mu papierosa. Przysunęli się bliżej, przejęci bez reszty. Tajemnicę Stefek im zwierza. Dobry kumpel.

- Wykopał tę piwnicę niżej poziomu fundamentów. Dlatego potem nie wytrzymały ciężaru dobudówki i obsunęły się...

- Dobra, dobra, ale ten skarb? Co było w piwnicy?

- Kupa rzeczy. Pełno. Najwięcej porcelany.

- Eeee.

- Nie eee, ale porcelana, droższa jak złoto. Starożytna. Jak temu Niemcowi związała młoda żonka, to całą forszę pakował w czerepy, fijoła takiego miał. A jeszcze było srebro stołowe, niby te widelce, łyżki, noże, też do cholery. Najwięcej zaś wina. Ze sto butelek. My z Bartosikiem skombinowaliśmy kilka, bo to niby się nam nie należało?

- I co z tym skarbem?

- Zabrali wszystko, ciężarówką, do powiatu. Niby dla państwa. A inżynier skakał jak dziecko, bo bał się, że będzie odpowiedzialny za wypadek. Tymczasem Niemiec winien.

- Może mści się w ten sposób? Może umarł i teraz grozi zza grobu? - Wackowi głos zadrżał, przysunął się bliżej do Tomka.

- Idź do tych bab na rynek, powiedz im, może ci dadzą lekarstwo od strachu... No i widzicie, jest tajemnica? Jest. Za to musicie mi teraz pomóc, bo z tą zbitą girą to sam niewiele poradzę. Doktorowi za to, że mnie nie obsztorcował jak poznał, pamiętacie, z tym kotem, co to mu puszki blaszane wiązaliśmy... Ale głównie za Cześka, że wyratował chłopca. I żeby ten profesor nie myślał, że my już zupełnie tak bez sumienia.

- Co ty chcesz zrobić?

- Szukałem u nas w sadzie. Same późne, cholera. Bo to kradzione też nie bardzo, ale nie ma rady... We dnie obejrzałem dokładnie. Jabłka, papierówki, najładniejsze są u Kramsztyka, druga jabłoń w lewym rzędzie. Gruchy, klapsy takie wczesne, soczyste, ma Suzin, te bliżej domu, ale oni śpią jak susły, a psa teraz nie mają.

- Chcesz drzewka oczyścić? Dla doktora? Te kosze? - zdumiał się Tomek.

- No. Zrobicie? Bo ja z tą nogą, gdyby co, nie zdołałbym nawiać...

- Fajno jest. Tylko nas obstawiaj z tej strony. Same ładne ci wybierzemy. To się doktor dopiero zdziwi - poderwał się Wacek.

W godzinę potem przedzierała się cała trójka w pobliże szpitala, przy którym mieszkał profesor. Tutaj Stefek pognął kolegów precz. Sam, uginając się pod dwoma olbrzymimi koszami, zadzwonił. W spokojną ciszę wieczoru jazgot dzwonka niósł się daleko.

Doktor Gollub stanął w drzwiach. Poznał Stefka od razu.

- To ty? Kota ci nie dam... - poczuł sympatię do tego chłopca od chwili, gdy dostrzegł gest rąk błagalnie złożonych z prośbą, by ratować rannego kolegę.

- Ja, panie doktorze... Przyniosłem trochę owoców, dla pana... za Czeška i... i za tego kota, żeby się pan już więcej nie gniewał. Przepraszam...

Nawet mu noga nie przeszkadzała, tak zmykał teraz, spocony z wrażenia. Słyszał, wołał go doktor, ani mu było w głowie zawracać. Dopiero z bezpiecznej odległości, skryty za drzewem, przyglądał się, jak stary człowiek długo jeszcze stał w progu, potem wciągał olbrzymie kosze owoców do swego domu.

- Fajno jest - trzepnął wtedy Wacka przez ramię, ten zajęczał boleściwie.

Stał przy otwartym szeroko oknie gabinetu. Sierpień dawno już przewalił się na drugą połowę, ale zarem sypało z nieba, jak nie pamiętano od wielu lat.

W kierunku szkoły pielęgniarzkiej, przyległej do zabudowań szpitalnych, szła Maria Szymborska. Ucieszył się, kiwnął powitalnie w jej stronę.

Zawróciła.

- Serdecznie dziękuję, Pola omal się nie rozchorowała, kto widział, profesorze, takie prezenty - była pogodniejsza, co zauważył z przyjemnością. Na półeczki kobiety wróciły rumieńce.

- Ba, żeby pani wiedziała, od kogo je otrzymałem - zrobił tajemniczą minę. - Niech pani wstąpi, napijemy się kawy, mam trochę wolnego czasu, już po obchodzie, a na operację dzisiaj się nie zanosz. Chyba wieczorem, ale ostatnio jakoś mniej bójk, widocznie upały źle wpływają na temperamenty... Proszę, proszę!

Zawahała się. Dopiero wróciła z Zielonej Góry, półtora dnia tam spędziła, te wszystkie biurokratyczne formalności, tysiące drobiazgów, często nieistotnych wszystko na krótko przed otwarciem szkoły. Dotąd tylko dwóch wykładowców przeniosło się do miasteczka, trzeci był konieczny, w kuratorium rozkładano ręce, skądże go wziąć, z kadrami nieustannie

kłopoty. W Gorzowie nowa szkoła, w Kostrzynie, na wsi też sił fachowych braknie... I to wszystko razem, a jeszcze w samym budynku trzeba niemało zrobić. Półtora dnia, stęskniła się za tymi murami, już je kochała, co dopiero jak zaroją się dziewczętami.:

Dala się jednak skusić. Profesor wyraźnie rozradowany otwierał drzwi, usadawiał gościa, podsuwał filiżankę, termos jak zawsze miał pełny.

- Jakże poszło w wojewódzkiej stolicy? Kłopoty, prawda? Formalności, papierki, już ja wiem, nie bylibyśmy sobą. Weszło to nam w krew.

Rozbroił ją swoją pogodą. Zaskoczona była, skąd się to wzięło u niego, o wieleż częściej zastawała go gryzmołącego kontury oświęcimskiego symbolu, w najlepszym zaś razie szkice szpitalne.

- Te wspaniałe owoce tak pana wprowadziły w nastrój zadowolenia?

Klasnął w swe długie, wychudłe ręce.

- Nie myślałem o przyczynie, ale możliwe, że tak... Pamięta pani, opowiadałem jak grupka łobuzów dręczyła kiedyś mojego ukochanego kota? Poznałem głównego herszta tej szajki. Sympatyczny młodzian. Pracował przy rozbudowie winiarni, omal go także nie zasypało, skończyło się na lekkim stłuczeniu. Wzruszył mnie, gdy ręce składał, żeby ratować życie odgrzebanemu spod cegieł koledze. I za kota przeprosił. A po sześciu dniach, wieczorem, przydźwigał dwa kosze owoców... Że też mu w domu je dali?

- Taki pan pewny, że miał je z domu? - zadworowała.

Patrzył chwilę nie rozumiejąc, potem zaśmiał się.

- To byłoby chyba najparadniejsze.

Ciągle jeszcze z tym śmiechem przychylił się ku niej, przyciągnął obie dłonie kobiety ku sobie:

- Ale i pani wygląda inaczej, pamięta pani tę noc, gdyśmy operowali centralniaków z zabużanami? Czyżby się coś zmieniło? - był filuterny, rozbrajający w swej naiwności. - Parę dni temu widziałem panią w kinie, razem z siostrą i, jak go powszechnie tu nazywają, Kanadyjczykiem... Zapłoniła się pani, uroczo to wygląda, Mario. Więc jak, dla Poli czy dla siebie była ta wyprawa kinowa?

Spoważniała. Czoło pocięły zmarszczki. Właściwie wszystko dziwacznie i ciągle nieprosto wygląda. Pola jakby się uspokoiła, ale to o niczym nie świadczy. Skryta jest, potrafi zamknąć się w sobie, wtedy nic nie wiadomo... Czy poszła dla siebie? Może gdzieś głęboko tkwiło w niej takie pragnienie. Ale naprawdę, to dla Poli...

Zauważył zmianę jej nastroju. Poczul się wyraźnie zmieszany.

- Ja... bardzo przepraszam, Mario.

- Ależ nie, profesorze. Chce pan wiedzieć, poszłam dla Poli. Chcę jej stworzyć szansę. Myślę, może się pan Okińczyc...

- Rozumiem... Myśli pani, może się rozkocha w tej malej z ostrymi pazurkami. Ale tymczasem on zwracał uwagę nie na Połę, a na panią, prawda?

Skryła twarz nad filiżanką kawy.

Weszła ze zdawkowym pukaniem sekretarka szpitala.

- Korespondencja, panie dyrektorze.

Dwie teczki pękate, na wierzchu kilka prywatnych listów. Doktor odprawił sekretarkę, przesunął teczki na stronę.

- Skończymy kawę i naszą gawędę, papierki niech poczekają.

Przypadkowo wzrok jego zatrzymał się na większej od innych białej kopercie z nadrukiem. Coś musiało go zaciekawić, ujął ją bowiem w dłoń.

- Ciekawe... Mario, daruje pani, że przy niej otworzę... Rozwijał spory arkusz, zapisany wyraźnym, gotyckim pismem. Przebiegał je szybko oczyma, z narastającym zdumieniem.

- Hochgeehrter Herr Professor... A łajdak, a łajdak... - nie czytając do końca, rzucił okiem na podpis. - Doktor, jak to podkreśla na kopercie, u góry i u spodu tekstu. Tymczasem, szubrawiec, nie doktor! - uniósł się.

- Coś niedobrego? - zaniepokoiła się.

Trzasnął listem o biurko. Potem, jakby nie zwracając uwagi na słowa kobiety, jeszcze się przyjrzał adresowi na kopercie.

- Nic złego. Tyle, że bezczelne... Piszze jakiś Niemiec, doktor, jakoby był tu moim poprzednikiem: Że wie o moich sukcesach, o wkładzie w rozbudowę szpitala, że jest mi bardzo zobowiązany, że się cieszy, i wreszcie, wreszcie... - głos mu się załamał wzburzeniem - wreszcie pisze, że mogę być spokojny, iż gdy on wróci, nic mi nie będzie groziło, a nawet więcej, będzie to zaszczytne dla niego, jeśli mógłby widzieć we mnie swojego współpracownika... Mario, pani rozumie taką bezczelność? I kto to pisze, jakiś mydłek, choć z tytułem doktorskim, który nie potrafił tu zorganizować nic więcej niż jakąś dziurę na szpital, z piętnastoma raptem łózkami. Łajdak, on mię zapewnia, że mi nic nie grozi. Łaskę świadczy, że zrobi swoim współpracownikiem... Skąd tylko zna moje imię, nazwisko, skąd wie o tych naszych, było nie było, sukcesach w rozbudowie szpitala?

- Oni tam obserwują uważnie, co się tu dzieje... O panu tyle pisano, choćby ostatnio na wiosnę, gdy uratował pan masażami serca to maleństwo...

- Przesada, łaskawa pani Mario - nadal był silnie wzburzony.

- W każdym razie prasa wiele się o tym rozpisywała, byli dziennikarze z Zielonej Góry,

wywiad radiowy z panem, cóż, gazety się przedostają, stąd adresy, wiadomości, nazwiska.

- Ale żeby do mnie tak pisać? Jakim prawem! Co za tupet!

- Podobno inni też otrzymują podobne piśmidła...

Ochłonął już z pierwszego wzburzenia. Błady tylko był bardzo. Przez pociągłą, chudą twarz przelatywały cienie. Skośno przystrzyżone baczki drgały wraz z dygotaniem skóry policzków. Złote oprawki binokli migotały światełkami.

Gdy znowu podniósł na nią wejrzenie, dostrzegła w jego oczach wyraźne zmęczenie.

- Uniosłem się, nie przystoi to w moim wieku... Ale gdy pomyślę o marzeniach panów w tych drugich, wrogich nam Niemczech, przypominają mi się zarazem różne nasze bzdury... Choćby te idiotyczne plotki, jakie krążyły między babami, że na miasteczku ciąży klątwa grafa, który mieszkał w niedalekim majątku, i dlatego nic się tutaj nie uda, każdy sukces trzeba opłacić ciężką ofiarą. Wyjaśniały, że właśnie dlatego przy budowie cegielni zginąć musiał Koniejenko, przy winiarni znów nastąpił wypadek tego młodego chłopca... Tym bardziej walczyłem o jego życie, by zamknąć brudne gęby plotkarom... Skąd się w nich wszystko to bierze, może ktoś inspiruje podobne nastroje, a one nieświadome w swej głupocie powtarzają to, szerzą panikę? Nie pojmuję... Tamci działają, a u nas ludzie tłuką się po łbach, wsadzają sobie noże dlatego tylko, że jeden pochodzi spod Pułtusza, a drugi spod Lwowa. Bzdura, nonsens, ciemnota.

- Profesorze, a chłopak z owocami? - podsunęła.

- Chłopak? Owoce? Hm, ma pani racje. To już inni ludzie. Nawet im swego kota daruję... Ci młodzi są biedni, dajemy im wielkie rzeczy, naukę, warunki życia, pracę. Zapominamy jednak, że to nie wszystko. Oni się nudzą, nie mają gdzie się podziewać w długie wieczory, tłuką się po ulicach... *Zaraz*, co ja gładzę, był tu Rękawek, gadał podobne androny. Ech, Mario. Chociaż może coś tam miał racji ten nasz domorosły historyk. Ukazała się jego książka o naszym mieście. Wcale udana, muszę ją pani pożyczyć... T - Dziękuję, kupiłam.; *”

- Tak? Ciekawi to panią?

- Profesorze, przepraszam, psuje to może pańską teorię, ale chociaż nie jestem z tych młodych, tutaj jest także i moje miasto.

Przyglądał się, ni to zaskoczony, ni to zdziwiony. Potem rysy jego złagodniały, coś się w nich pojawiło dobrotliwego i serdecznego.

- Dziękuję. Znów mi pani, Mario, pomogła. Jak to dobrze, że zgodziła się pani zajrzeć na kawę do starego ramola, co zbyt wiele widzi w czarnych kolorach... Żeby pani nie było, jeszcze bym się pienił nad tym listem... Teraz patrzę z politowaniem. Jak jeszcze ci ludzie nie potrafili dojrzeć...

. Dłonią przetarł czoło.

- Wie pani, niebezpieczne jakieś myśli mi chodzą po głowie... - uśmiechnął się zażenowany. - Nie wyjawię ich przed > panią, bo się gotowym zawstydzić sam przed sobą. Stary Gollub znów *zaczyna* bujać w obłokach...

Gdy Maria wyszła, długo jeszcze siedział za biurkiem. Oglądał list nieznanego Niemca, czytał powoli, już teraz bez pasji. Parę razy cofał dłoń sięgającą po słuchawkę telefoniczną.

Ujął ją wreszcie. Już zdecydowanie nakręcał numer.

- Pan magister Rękawek? Gollub mówi... Tak mi się pomyślało o tej naszej niedawnej rozmowie. Przerwaliśmy ją...

Gdyby pan miał ochotę zajrzeć do mnie...

12.

Tomek pamiętał, zaczęło się to na lipcowej zabawie. Wtedy tak zatańcowywała się Miła z tym Dominiakiem. Właściwie mało nad miesiąc minęło od tamtej chwili, jeszcze kilka dni ich dzieli od września, a mogłoby się zdawać, że całe życie spełniło się w tych kilkudziesięciu nocach i dniach.

Przerażony był stanem matki. Ściągnęło ją, sama skóra i kości, na zapadłych policzkach ostre rumieńce, jakby się malowała, w nocy gdy nasłuchiwał jej snu, przerażał się rzeżeniem i poświstami. Zupełnie zaprzestała się śmiać, ani razu ostatnio nie zanuciła. Milcząca była i smutna. Dużymi, ciągle pięknymi oczyma wodziła za dziećmi, popłoch wtedy jawił się w tych źrenicach.

Naprawdę nie mógł już na nią patrzeć. Przy jedzeniu tkwił ze wzrokiem wbitym w stary, pocerowany obrus, do snu układał się twarzą do ściany, a w ogóle, gdy tylko mógł, znikał z domu, tłukąc się kędyś do późna w noc, a potem zajrzał raz czy drugi do Domu Kultury, odrapane ściany, ziejąca nuda. Ustały nawet spotkania z Wackiem i Szwabachowskim. Stefek jakby się odmienił od katastrofy budowlanej przy winiarni, raz czy dwa Tomek spostrzegł go idącego gdzieś z tym zwariowanym malarzem Lipińskim, który tak pięknie ozdobił miasteczko na święto. Nie mógł pojąć, co ci dwaj mogli mieć ze sobą wspólnego, zapytany, Szwabachowski wykręcił się sianem.

Najlepiej jeszcze czuł się z wędką nad jeziorem czy rzeką. Ryba ładnie brała w sierpniowe popołudnia, spokojnie było, każdy plusk niósł się daleko, każdy ruch w wodzie znaczył się wolniutko rozchodzącymi kręgami. Wtedy poznał Tomek starego kolejarza Siwiaka, tak zżytego z okolicznymi woda-, mi, że spotkać go można było przy nich i we dnie, i w nocy.

Uciekł z domu, żeby nie widzieć schorowanej twarzy matki, jej zdziwionych i przeraźliwie

posmutniałych oczu, nie słyszeć kaszlu i gwałtownego łapania oddechu, zwłaszcza w duszniejsze popołudnia, i nieodmiennie już wtedy, gdy się czymś bardziej przejęła. Oddalała się od dzieci i one oddalały się od niej, choć każde z innej przyczyny. Nawet Margiśki nie miała przy sobie, dziewczynka oczekiwała w szpitalu na wyjazd do szkoły specjalnej w Poznaniu.

To Miła wniosła taką atmosferę w ich dom, właśnie ona, po której by się tego najmniej należało spodziewać. Tomek przecie częściej stawał okoniem, z nim były kłopoty, zgodnie obydwie poskramiały wtedy łobuza. Teraz z dziewczyną stawało się coraz to trudniej. Matka i brat nie lubili, gdy znikwała z domu, tłukąc się kędyś do późna w noc, a potem wracała zdenerwowana, ze spierzchniętymi wargami, z piersiami pulsującymi wariacko pod bluzką, z przeciąganiem całego ciała, ze skowyczącą jakąś tęsknotą w spojrzeniu. Jeszcze gorzej jednakże było, gdy zostawała w domu. Ostatnio częściej się to zdarzało. Wtedy miejsca sobie znaleźć nie mogła, o byle co wybuchała gniewem, skłonna teraz do najbardziej nieoczekiwanych awantur.

Dziwna była. Sprawy, do których jeszcze niedawno odnosiła się najpoważniej, teraz traktowała z kpiną i wyraźnym lekceważeniem. O nikim nie pozwalała powiedzieć dobrego słowa. Słownik jej się stał niewybredny, nie wstydziła się już mocnych słów przed matką i bratem. Matka przy każdej takiej scenie jeszcze bardziej rozwierała oczy, a Tomek zaciskał pięści. On wiedział, jeszcze więcej się może domyślał. Kiedyś zawarli z Milką umowę, że nie będą się wtrącać nawzajem w swoje sprawy. Dotrzymywał jej dotąd, ale miał tego już dosyć. Coraz częściej przemyślał, jakby wreszcie rozwikłać ten zaplątany splot wypadków i okoliczności. Rysowało mu się takie rozwiązanie coraz wyraźniej, widział je w pierwszym dniu września, gdy przy przekazywaniu Mili pieniędzy, Dominiak wyznaczył spotkanie z Tomkiem...

Były momenty, gdy nienawidził teraz Mili, częściej jej jednak żałował. Skądś się w nim brało pojmowanie wielu rzeczy, których sam jeszcze nie zaznał. Rozumiał siostrę i współczuł jej szczerze. Wiedział, że miłość powoduje jej złe nastroje, nerwowość, zgryźliwość i niechęć do ludzi. Wszystko zaczynało się i kończyło w matczynej przeszłości, w ich pospólnym bękarcwie. Na to nie było rady. Świadomość tego wzywała ze wszystkich zwariowanych poczynań Mili, z melancholijnej goryczy w spojrzeniach matki, z Margiśczynej niedoli, także i z jego Tomkowego zawieszenia w dziwacznej próżni, kiedy to nie wiadomo, co będzie dalej, jak ukształtuje się jutro.

Przyglądał się siostrze. Wyraźniej niż kiedykolwiek dostrzegał jej niekłamana urodę, nauczył się już rozeznawać te rzeczy, zaczynały go dziewczęta interesować. Ale nie uchodziły

także jego uwagi grymasy, zjawiające się na tej ładnej twarzy o nieco za dużych ustach, grymasy, których tam dawniej nie było. W takich momentach Mila stawiała się brzydka, wręcz odpychająca.

Nie orientował się, jak daleko zaszła w stosunkach z Dominiakiem. Wątpił, czy jedynie się całowali, na tym się nie znał, ale słyszał sporo, Szwabachowski niemało go wtajemniczył, jeszcze te podglądania szczeniackie roznamiętnionych w uściskach parok, co ich tak w swoim czasie bawiło.

Mila wiedziała, kim jest Stefek Dominiak, może lepiej wiedziała niż Tomek, starsza była, matka musiała ją wtajemniczyć w niejedne szczegóły swojego życia. Na co więc dziewczyna liczyła? To pytanie nie dawało Tomkowi spokoju. Bo z Dominiakiem było zupełnie inaczej. Mila i przedtem miewała chłopców, w których towarzystwie lepiej się czuła niż z Innymi. Był ostatnio ten lalkowaty Wichrun, nim się zaczęła boczyć na niego, mogli być inni. Z żadnym jednak nie ciągnęło się tak długo jak teraz, do żadnego nie biegała nocami ani nie miewała takich cholerycznych humorów. I nigdy nie pojawiały się na jej twarzy te niedobre grymasy.

Zakochała się? - pytał nieraz Tomek sam siebie, pucując szyby kantorka, na którym to punkcie pan Maliniak szczególnie był dbały, czy pompując olej do samochodów. Tym gorzej. Bo przecież z tego dobrego nic wyjść nie może. Ani stary Dominiak by się nie zgodził, ani to w ogóle w porządku. Jakżeby to wyglądało? Mąż Milki byłby zarazem jego przyrodnim bratem? Chyba, że wyjechaliby gdzieś indziej, daleko od wszystkich znajomych, od tych, którzy mogli cośkolwiek wiedzieć, albo się chociaż czegoś domyślać. Wyjechać? I co wtedy? Czyżby zmieniało to sytuację? Dominiakowie byliby Dominiakami, Jaruzyna Jaruzyną. Teściowa i teść stanowiliby zarazem nieoficjalne małżeństwo, czego on, Tomek najlepszym dowodem.

Nie mógł się połapać w tym wszystkim, nie pojmował gdzie prawda, fałsz, co dozwolone, co nie. Nieszczęśliwy był z tymi rozważaniami, trwożył się o matkę, marniała dosłownie z dnia na dzień, obawiał się także o Milkę. Gdyby mógł się kogo poradzić, ale to było niemożliwe, musiałyby wszystko opowiedzieć...

Brakło mu teraz Szwabachowskiego i Wacka, chętnie by zapomniał przy nich o wszystkim, znów by robili psikusy, drażnili Klimczaka, łazili po cudzych sadach, popijali na łące za ogrodem. I to się urwało. Próbował sam sobie radzić, wychłptał raz całą ćwiartkę, pochorował się potem straszliwie, odeszła go zupełnie ochota do wódki. Przestał także podkradać Maliniaka.

Parę dni minęło jakoś spokojniej. Mila poweselała, ani razu nie wybuchła awantura, nawet w domu pomogła, zaraz przygasał trochę smutek w matczyńskich oczach. Tomek też poczuł się

rażniej, przestał zamartwiać się domysłami. Zastanawiało go tylko, że siostra nadal każdego niemal wieczoru wychodziła na spotkanie ze Stefką Dominiakiem.

Zagadnął ją któregoś razu:

- Milka, ty już tak naprawdę wytrzymać nie możesz bez niego?

Zaperzona w pierwszej chwili, sami byli w mieszkaniu, szczerwieniła na twarzy, a potem najbardziej nieoczekiwanie przychyliła się i ucałowała brata w policzek. Zbaraniał, sceny takie zdarzały się między nimi niezmiernie rzadko. Spojrzał na nią, musiała odczytać to jego zdziwienie, ucałowała go jeszcze raz.

- Ja wiem - powiedziała - że przeze mnie wiele popsulo się u nas. Ty jeszcze nie pojmujesz, jak czasem jest trudno, nie wiadomo, na jakiej drodze szukać wyjścia... Ostatnio myślę, że w ogóle szukać nie trzeba. Niech się wszystko rozwija, jak samo chce. Lepiej o niczym nie myśleć... A ja bez mego Stefka nie mogę, naprawdę nie mogę, Tomek. Pamiętasz, chciałam go nie widywać, nie spotykać, zostawałam w domu i wtedy byłam dla was tak bardzo niedobra...

Urwała, spuściła głowę, jakby zawstydzona albo zgniewana na samą siebie, że tak ją poniosła potrzeba zwierzeń, przed bratem.

Nic nie odpowiedział. Ruchem wcale nie chłopięcym, ale człowieka bardzo, bardzo już dojrzałego przegładził siostrę po jasnych włosach. Ramiona jej wtedy drgnęły, przestraszył się, może chce płakać, ale oczy dziewczyny pozostawały suche. Takie same oczy jak matki, wielkie i wyraziste.

Nie obeszły go szczególnie jej słowa. Pomyślał nawet, że może Mila ma rację. Po co ma człowiek się łamać, po co hamować, jeśli gna go coś całą siłą, że ani się oprzeć... W innym nastroju przyszedł następnego ranka na stację, pogwizdywał, wesoły był, aż się Maliniak mu przyjrzał i powiedział:

- Nareszcie znów chłopak, a toś przedtem obnosił minę starego zbója. Myślałem już, że coś tęgiego zbroiłeś... Lepiej tak, chłopcze, nie myśleć zanadto, nie wychodzi to nigdy na dobre. Wiesz co, skocz po piwo, dwie flaszki, wypijemy, bo w tym żarze wytrzymać już nie można - ocierał pot z czoła wielką chustą, koszula lepiała mu się do pleców i szerokiej, kosmatej piersi.

Wieczorem zetknął się Tomek z Wackiem. Chłopak powiedział, że matka jego zamierza ponownie wydać się za męża, już ten przyszły tata zaczął się nim zajmować jak swoim, cholera po prostu bierze, jak pilnuje, zabrania uganiać wieczorami po mieście. Inny by się cieszył, że zostanie sam na sam z kobietą, a temu zachciało się nagle wychowywania. Dobrze, że zaraz zaczyna się szkoła, parę dni tylko zostało, bo już nudno, jeszcze Szwaba zupełnie zdumiał,

malować mu się zachciało, za tym facetem z długimi włosami łązi jak pomyłony...

Tknęła Tomka ta szkoła. Za parę dni. Młody Dominiak także się uczy, tylko na tych uniwersytetach, zdaje się, zaczynają później. Wyjedzie pewnie dopiero za miesiąc. Mila zostanie sama.

Zaniepokoił się. Od tej strony nigdy o sprawie siostry nie myślał. Jeszcze, gdyby jej chłopiec był zawsze na miejscu, lichy wie, może by się w końcu coś ułożyło. Skoro jednak Stefan odjeżdża? Byłoby tak, jak z Felą z baru, gdy się puszcza z kimś, co przyjeżdża do miasteczka w służbowych sprawach. Dwa, trzy dni, a potem fiut i już go nie ma. Feli to wcale nie szkodzi, mówił Szwaba, że się już złądaczyła zupełnie, ale inaczej jest z Milą. Co ona zrobi, gdy młody Dominiak odjedzie? Powiedziała tak dziwnie, że w ogóle nie trzeba szukać żadnego wyjścia, niech się samo wszystko rozwija, leci, w którą chce stronę...

Uświadomił sobie dopiero teraz, że właściwie nie wie zupełnie, co za facet z tego Stefana. Dwa lata przebywał poza ich miastem, gdy zaś zjawił się u ojca, też mało się z kim spotykał, niewiele o nim wiedziano. Morus chłop czy też łajdak?

Nie chciał śledzić siostry, choć kilkakrotnie myśl ta przychodziła mu do głowy. Tego wieczoru zdecydował się jednak! Matka stała się niezaradna w tym wszystkim jak dziecko, on był mężczyzną w domu, musiał przyjmować na siebie nowe obowiązki. Trudno, dla dobra Milki to robi...

Od głównej szosy do spalonego dworu niemieckiego grata, o którym tyle legend krążyło po miasteczku, wiodła wysadzania lipami aleja. Kilka zmurszałych drzew nie ostało się wprawdzie zawieruchom jesiennym, ale nadal był tam spokój, głęboki cień i zupełna cisza. Koloniści, którzy się rozmieścili w dawnych czworakach i w nowych domkach postawionych przez państwo, albo przez siebie wybudowanych, poprzebijali do gospodarstw krótsze drogi na przełaj. Ale mało kto właściwie używał.

Tomek spotkał tam Milkę kilka razy, mógł się spodziewać i dzisiaj. W pepegach szedł cicho, czując się trochę jak złodziej. Myślał, że w każdym razie, żeby tam nie wiem co, nie może się dać rozpoznać.

Od jednej strony alei ciągnął szeroki rów, z drugiej na nieużytkach rozrosły się krzewy i splątane łodygi jeżyny. Pierwsze owoce zaczynały już pokapywać mocnym granatem. Znając wszystkie przełazy z tysięcznych wędrowek z kolegami, był spokojny, że zawsze potrafi się dobrze ukryć.

Spacerowali. Ucieszył się tym i rozczarował zarazem. Jedyne gdy zawracając mijali go, słyszeć mógł strzępy rozmów, ale to było przecieź mniej ważne, niż gdyby Mila ze Stefanem... Przy podobnych myślach przypominał sobie tamten wieczór, gdy Klimczak z

Joąską, a on w nich rzucał mutrami. Może i tutaj nie potrafiłby się powstrzymać.

Zeszli później na trawę, u podnóża jeżynowego gąszczu. Tomek podsunął się zupełnie blisko. Jakby znów bawił się w Indian, lubił to kiedyś. Nasłuchiwał, tamci mało mówili, takie właściwie nic, pocałunki także stały się nudne. Tomek ziewnął sobie serdecznie. Pomyślał nie bez zadowolenia, że jakaś dziwaczna to para, ale tym lepiej...

Z nagłą silniejszym głosem zwróciła się Mila do towarzysza, aż Tomek drgnął w swym ukryciu.

- Stef, czemu nie mówisz mi, że już prędko odjedziesz? Skończy się nasze lato.

- Nie myślę o tym, a zresztą, musimy znaleźć jakieś wyjście, nie potrafię już obejść się bez ciebie. Widzisz, Milka, zastanawiałem się, że gdybym już miał te studia za sobą, wtedy, ale tak cóż, na ojcowym chlebie, nie chciałbym...

Musiła odsunąć się od niego, zaniepokoił się.

- Coś ty? Uraziłem może, Mila? Ja naprawdę sam nie wiem...

- Ja za to wiem. Skończy się lato, będzie szaro jak było.

- Miluś, ja cię tak bardzo, tak bardzo... Jeszcze żadna dziewczyna, ani porównać. Choćby nas cały świat...

- Co, dzielił?

- Właśnie. Przeciw wszystkiemu.

- Gdybyś się o mnie Bóg wie czego dowiedział? O mnie, o sobie? - pytała bardzo cicho.

- Ależ tak. Przecie już próbowano mi gadać, że ty, że... no, w ogóle o was.

Zaśmiała się.

- Bo widzisz, Miluś, gdyby tak do Poznania, razem...

- Nic nie mów. Pocałuj.

Już tylko pocałunki, szepty urywane, gorące, błagalne westchnienia Stefana:

- Mila, kiedy...

- Nie wiem.

- Mila...

Dziwna cisza, gwałtowniejsze oddechy, krótki szept Stefana... Tomek pojął jedno, że nie może do tego dopuścić, tak jak nie może się zdradzić, że jest tutaj. Był szczęśliwy, więc jednak nie, Mila dotąd nie, chyba że dzisiaj, zanosí się jakby, diabli wiedzą, może zresztą się myli, ale na wszelki wypadek... Gwałtownie zaszurał krzewami jakby się ktoś przez nie przedzierał.

Zamarło. Znów to szamotanie w rozrosłych na człowieka jeżynach.

- Co to, Stef?

- Kto tam? Co to?

Tomek oddalał się, szalejąc po krzakach, trząsł gałęzmi, wszystko bez słowa, niech sobie myślą, co chcą. Stefan znów woła, niech sobie woła, Milka jest cicha, może się domyśla? Choćby do rana będzie im tu buszował, nie tylko dziś, jeszcze jutro, pojutrze, cały ten miesiąc, nim Dominiak wyjedzie.

Odetchnął gdy usłyszał, że obydwójce wychodzą znów na ubity grunt alei. Zatem udało się, jeżeli naprawdę dotąd nic między nimi nie było, to już nie będzie. Przy tej myśli ledwie zdławił w sobie radosny chichot. Hamuj pan, panie Dominiak, przyrodni braciszku, hamuj...

Żałował, że teraz nie może podsłuchiwać ich rozmowy. W każdym razie tamten nastrój przeminał. Zaraz, czemu tak głośno? Zaklina się, przysięga, że co? Że kocha, że nigdy nie zapomni... Głędzi, że choćby wszelkie przeszkody. Co on z tymi przeszkodami, z wyścigami pomylił u licha? O, Mila płacze? Szlocha? Psiamać, wyleźć by teraz na drogę, sprać facetowi mordę, nic, że silniejszy, nie pożałować, kamieniem jakim przez łeb. Braciszek przyrodni, pieska jego niebieska. Takiś ty, draniu?

Wstrzymał się tylko z uwagi na siostrę. Do końca życia by mu nie darowała, wiedział, jaka była ambitna. Też głupia koza, rozkrochmała się przedtem, diabli wiedzą, na co by pozwoliła w jeżynach, teraz znów wyje. Jak każda baba, nic nie można w takiej zrozumieć. Może przez to beczenie skończy się dziś szybciej nocna wycieczka?

Zaprzagnął im w tym dopomóc. Znów rozpoczął harce po krzakach, mogą myśleć, że dzik jaki czy sarna, w każdym razie obrzydnie im taka muzyka, poczłapią dalej. Zaprzestawał, nasłuchiwał, odpowiadała mu cisza, znów łamał gałęzie, tupotał, trząsł oburącz większymi krzewami.

Był już zdecydowany, wiedział, co zrobi, co powie młodemu Dominiakowi. Dzisiaj mu powie, przecież jasne, że on się boi wspominać nawet coś o przeszłości, zaklina się jedynie ze swoją miłością, to każdy potrafi. Mila głupia i biedna. Dość tego.

Nigdy chyba w życiu nie był aż tak przejęty. Bał się chwilami, że sam oddech go zdradzi, że usłyszą, jak bije mu serce. Bokami, polami rwał za nimi, gdy szli w stronę miasta od najgłębszego cienia, obserwował, jak Stefan żegnał Milę pod domem, jeszcze zczekał, aż usłyszy stapanie siostry po schodach, skrzypiały tak, iż nigdy nie można było wejść na nie niepostrzeżenie. Dopiero, gdy Dominiak ruszył w stronę rynku, Tomek puścił się biegiem okrężną drogą. Sporo musiał nadrobić, aby zabiec tamtemu drogę na bocznej uliczce, gdzie w pięknym domku mieszkali Dominiakowie.

Nagle później wysunął się z cienia.

- Proszę... pana, ja chciałbym pogadać.

- Co? Ktoś ty? - musiał rozpoznać po głosie, że z niedorostkiem ma do czynienia.

- Ja? Brat Mili, Tomasz.

- Aha. I co? - burknął.

Zawrzało w Tomku. Psiamać, jeszcze się stawia. Żałował, że nie wziął jakiegoś kamienia do ręki. Ale może to lepiej, nie byłoby w ten sposób po męsku, samymi słowami przygwoździ przecie faceta.

- To, że ze stu względów trzeba, żebyś się odpieprzył od Milki, rozumiesz? - zawarczał w złości, przeszedł na ty. Co mu, cholera, będzie jeszcze pankował?

Stefan Dominiak zagwizdał tylko.

- Czemu, kochany?

Kurczę, jak słodziutko, zaraz w zęby mnie trzaśnie. Tomek przezornie usunął się o krok, właśnie na tyle, by wyciągnięta dla złapania go ręka Dominiaka trafiła w próżnię.

- Bez łap... Ja poważnie, naprawdę chcę porozmawiać. Na spokojne.

- No dobrze. Tylko z uwagi na Milkę.

- Ja też dla niej to robię. Wiesz chyba trochę o naszej rodzinie? To, że żadne z nas nie ma ojca, tylko wszyscy tę samą matkę. I że każdy ojciec był inny? O tym wszyscy gadają...

- Słyszałem, mnie to nie obchodzi.

- Ładnie. Ale matka i my wiemy, kto czym jest ojcem... - zniżył głos, tak dziwne wydały mu się słowa, które miał teraz powiedzieć. - Bo my z tobą właściwie jesteśmy braćmi. Naprawdę.

- Tyś zgłupiał? Oberwiesz, nie patrząc, Mila nie Mila.

- Pod słowem honoru. Pan Dominiak jest moim ojcem. Co miesiąc płaci nam, właśnie Mili, czterysta złotych.

Z tamtej strony milczenie. A potem ledwo słyszalny szept.

- Słuchaj, nie kłamiesz? Niedawno słyszałem, jakaś scena była między matką a ojcem. Mówiła, że stary miał tutaj kochankę, zostało dziecko, krzyczała, żeby powiedział, czy to prawda, bo ciągle jej o tym ktoś pisze...

- Prawda. Pan Dominiak... co tu kryć, żył z moją matką zaraz po wojnie. Was wtedy jeszcze w naszym mieście nie było. Ja jestem jego synem.

- Czemu mi Mila tego nie powiedziała? Czemu? Okłamała mnie.

Tomek wzruszył ramionami. A potem usłyszał powiedziane jakimś syczącym głosem dziwaczne słowa, nie od razu ich treść zrozumiał.

- Dziękuję, hm, braciszku. A tu masz, żebyś pamiętał, podziękę, masz.

Oba ciosy spadły tak nagle, tak gwałtowne, nienawisć jakaś przydała im takiej siły, że

ogłuszony zupełnie Tomek grzmotnął całą siłą o ziemię. Jak przez mgłę słyszał jeszcze oddalające się kroki tamtego. Więc tylko rozdarł się na całe gardło, jak mógł najmocniej:

- Ja ci jeszcze za wszystko odpłacę..

Zaraz ciemno mu się zrobiło przed oczami, potem czerwono, zawirowały jakieś plamy, zimno, gorąco, ból rozsadzający głowę, i nic już więcej.

A gdy ktoś go podźwignął, gdy na czyichś rękach otworzył oczy, w z lekka przed świtanem szarzejącej już nocy poznał wpatrzoną w siebie, strwożoną twarz tego drugiego Dominiaka, który był jego ojcem.

Ciężki miał dzień w Zielonej Górze. Nazbierało się różnych, spraw, cegielnia, drugi blok w rynku, obok tego wykańczanego, jeszcze kłopoty z zawaleniem się ściany przybudówki przy starej winiarni, teraz znów adaptacja poniemieckiej hali na fabrykę cukierków, trzeba ruszać z robotą, jesień na karku, terminy napięte, wszystko na kupie, połapać się nie można.

Narzekał, a mimo to rad był, serdecznie rad. Przypominały mu się pierwsze lata po wojnie, gdy razem z garstką innych montował dopiero życie miasteczka. Jakże się już zmieniło, a jak dopiero zmieni, gdy ruszy to wszystko, co teraz budują... On, zaś, Dominiak, znów ważny, znów trudno począć cokolwiek bez niego, speców od budownictwa na kamieniu nie sieją, cały kraj kipi jak szalony, fachowcy na wagę złota. Że ryzyko? Pewnie, wszystkiego nie dopatrzysz. Choćby jak z tą winiarnią. Szczęście, że znaleźli niemiecką ukrytą piwniczkę. W innym wypadku mało pomogłoby zrzucanie winy na projektanta, zakrzyczeliby, że skoro się podjął nadzoru, musiał sam sprawdzić dokumentację, przewidzieć każdą możliwość. Ech, grunt że się skończyło pomyślnie. Chłopak prędko wyjdzie już ze szpitala, jakoś go pozszywali, połatali, zupełnie jak nowy.

Uśmiechnął się do tego określenia, uśmiechnął do siebie samego. Pan inżynier Dominiak. Inaczej go już nie nazywają. Ba, on by tu setkę prawdziwych inżynierów zapędził w kozi róg. Praktyka decyduje, panie dzieju, nie te tam dyplomowe papierki...

Tęga kobieta na ławce naprzeciw spała z szeroko rozwartymi ustami, świeciła się w nich złota koronka. Pochrapywała skrzypliwie, jak niedooliwione osie. Obrzydliwa była, półmrok przygaszonych u sufitu świateł potęgował przykre wrażenie. Wzdrygnął się... A ten facet, maleńki, pokurczony, to pewnie jej mąż. Zastrachany taki. Już to kokosów on przy niej nie ma, od razu poznać...

Westchnął. Przypomniały mu się własne sprawy. Cholera, że to się jakoś pruć zaczęło od wszystkich stron. Nie lubił teraz wyjeżdżać z domu, zawsze po powrocie zastawał w nim coś nieprzyjemnego. Lepiej już na miejscu pilnować, czasem udaje się to i owo odrobić. Anielkę

coraz trudniej jest okpić, diabli wiedzą, skąd nabiera takiej chytrości... Żeby już być prędzej na miejscu. Najgorszy pociąg, wlecze się, przystaje na byle stacyjce, zupełnie przedpotopowa jazda. Z powrotami z Zielonej Góry zawsze tak niewygodnie. Wieczorny przyspieszony odchodzi za wcześnie, potem jest express, ale już dobrze nad ranem. W międzyczasie ta ciuchcia. Nie ma dobrych przedziałów, tłoczyć się trzeba z przekupkami i niedomytymi jegomościami. Jeszcze to babsko grube musiało usiąść dzisiaj naprzeciw, chrapie, aż słuchać nie można.

Ten list, głupi list. Chyba nieprawda, bo jakże możliwe byłoby coś takiego, zbieg okoliczności, piekielny pech, katastrofa? Czy wszystko w życiu musi wracać falami?

Zmuszał się do oderwania myśli od listu, który nadszedł wczoraj, szczęśliwie adresowany na cegielnię. Gdyby na dom, dopiero by było. Aniela otwierała ostatnio wszystkie jego listy. Nawet się z tym nie kryła. Gdy raz zaoponował, dopiero go skłęła, przypomniała o anonimach, rozindyczona wołała, że i tak dojdzie w końcu wszystkiego, sprawdzi, jak z Jarużyną, czy prawda, wybierze się do niej... Naprawdę gotowa to zrobić. Nie ma co zwlekać, trzeba przedtem samemu zobaczyć się z Ludmiłą, wytłumaczyć, prosić, niechaj się wyprze, jeszcze obsztorcuje babę, żeby takie wywiadywanie się w pięty jej poszło. To dopiero historia. Naprawdę, lepiej nie myśleć, lepiej nie myśleć, od tego samego kręcka już można dostać.

Z jednej strony tak się ładnie wszystko rozwija, roboty wyżej uszu, budowy, konsultacje, nadzór, znaczenie i pozycja w miasteczku. Z drugiej jakiś splot złych okoliczności, jakby przestroga, że nie może być nigdy pełnego szczęścia. Zaczęło się od tego chłopca ze skołtunioną czupryną, jakeż go, Koniejenki. Może mu tam się i działa krzywda, ale przy tym był dureń, to fakt. Pośpieszył się z tym wieszaniem. Jeszcze do dziś wiara na cegielni krzywo patrzy na technika, obwinia go jako kierownika budowy. Trochę to już co prawda przygasło, złość ich zresztą skrupiła się głównie na Klimczaku, zawsze jednak nie jest przyjemnie.

Klimczak, ba, ten ma zupełnie już dosyć. Nikt nie wytrzyma takiego muru milczenia wokół siebie. Organizacja partyjna wycofała się wprawdzie z tego bojkotu, uznano na odprawie, że nie wolno dręczyć człowieka, choćby nawet wiele zawinił, ale w praktyce niewiele to dało. Klimczaka traktowano jak zapowietrzonego. Chłop twardy, ale i on się załamał, pewnie już trzy tygodnie, jak poprosił o przeniesienie na inną robotę. Zgodził się, zaczęła się zwózka materiałowy potrzebnych dla adaptacji starej hali pod fabrykę cukierków, tam skierował Klimczaka. Cóż z tego, wiara robotnicza twarda i trzyma się kupy. I tam był Klimczak samotny, i tam mało kto gębę do niego otworzył.

Poprawił się, wygodniej wparł całym sobą w ławkę wagonu. Wlecze się to jak na jutro, ale

trzęsie co najmniej jak express rwący sto na godzinę. Klimczak, co go ten szofer obchodzi? Każdy sam sobie ściele, mógł się facet nie rwać z jazdą przez Koniejenkowe uprawy. Nie ma to innych kłopotów?

Choćby ten domek. Przypomnieli sobie, akurat, w sześćdziesiątym roku, jako wille potraktowali, nie żalowali w szacunku. Ma spłacać przez dziesięć lat. Ledwie z tej pierwszej raty się wykaraskał, co będzie dalej? Dom wprawdzie pięć razy więcej wart, ale i pieniądz rośnie w cenę. Trzeba będzie dobrze pokręcić głową.

Potem jeszcze winiarnia, to obsunięcie ściany. Nikt nie ma do niego pretensji, ale smród pozostał, ludzie pogadują sobie na ucho. Na to zaś nie ma rady.

Babina naprzeciw poruszyła się, chrapnęła mocniej, ze świstem wciągnęła powietrze, po czym jak szpilką żgnięta zerwała się nagle, zaczęła tarmosić męża:

- Józiuk, Józiuk, wstawaj, już nasz czas.

- Melasia, co z tobą? Jeszcze dwie dobre godziny. Melasia...

Niepodobna była, a przecie dziwnie mu przypominała Anielę. A ten Józiuk to jakby on sam. Choroba, nawet imię się zgadza. Też Józef. Dominiak z wyraźną sympatią spojrział na przykurzonego, zastrachanego faceta...

W Anielę jakby biesy wstąpiły. Że to nie ma dziś mody na egzorcyzmy, zaraz by kazał z niej szatana wypędzać. Od tego pierwszego anonimu. Już myślał, że załagodził sprawę, gdy nadszedł drugi list. Jeszcze gorszy. Wszystko nazywał po imieniu. Autor pokpiwał, czy pani Dominiakowej wszystko już jedno, co wyprawiał, a pono dziś jeszcze wyrabia jej mąż, iż nie zareagowała na poprzednie życzliwe uwagi? Może list nie dotarł, małżonek go zniszczył, na wszelki zatem wypadek wysłał drugi. Prawda ponad wszystko.

- Żeby cię pokręciło z taką prawdą - półgłosem zasyczał nagle Dominiak, wyrwało mu się, nie mógł o tej sprawie myśleć nawet spokojnie.

- Pan szanowny co sobie życzy? - ciekawie przychylił się ku niemu niepozorny facet, mąż owej tęgiej Melasi.

- Nic, nic...

Zły był na siebie. Jasny gwint, gada już głośno, zupełnie niedobrze. Ale bo to oszaleć można. Dnia teraz nie było w domu bez awantury, Aniela nawet dzieci własnych się nie wstydziła. A słownik. Skąd tego się nauczyła? Już chyba trudno plugawiej jak ona nazywać wszystko, o czym się dowiedziała z przeklętych anonimów. Żeby szlag trafił rękę, która je z taką lubością wypisywała... Każda literka wykalfigrafowana, wyraźnie wypieszczona, a jakże. To ci bydlę dopiero. Podobnie człowiekowi utrudnić życie. Ba, zatruć, przekreślić, żeby tylko utrudnić. Długo tak można wytrzymać? Co chwila piekło, awantury, aż dom się trzęsie.

Wiedźma zupełna zrobiła się z tej Anieli. Psiamać, imię właśnie do niej pasuje. Piekło takimi aniołami brukują. Wieleż mu już wyliczyła kochanek? Dzieci, gdyby uwierzyć, liczyłaby na tuziny... A ona nie pozwoli, nie da szargać swojego dobrego imienia, chce zachowania własnej godności, pragnie, by dzieciom nie truło życia wypominanie ich ojca jako łajdaka, porubcę, dziwkarza, samca opętanego chucią. Wybije mu z głowy nieczne zachcenia, nauczy żyć cnotliwie jak na męża zacnej niewiasty i ojca dzieciom przystało. Nie spocznie, aż nie wyjaśni wszystkiego i nie przekreśli tej straszliwej, plugawej przeszłości...

Otarł dłonią pot z czoła. Okno było lekko uchylone, noc, w wagonie wcale nie za gorąco. Dominiak czuł się jednakże, jakby dopiero wyszedł z łaźni. Aniela. Też wybrał towarzyszkę życia. Pech, że taka, nie inna musiała mu się wtedy w okupację nawinać. Jędza, hetera, Ksantypa prawdziwa.

Trochę mu ulżyło takie wyklinanie w duchu swej połowicy. Niczego Aniela nie dojdzie, nie pomogą żadne anonimy. Pogada z Jaruzyną, Ludmiłka będzie gębę trzymała na kłódkę. Czteryście złotych też przecie piechotą nie chodzi. Gdyby trzeba, dołoży do pięciuset, spokój wart jest tych paru groszy. Dobrze tylko trzeba wszystko obgadać. A potem ulży sobie na sekutnicy, odechce się jej awantur. Każe pysk zamknąć i garnków pilnować, nie zajmować się głupimi piśmidłami. Znaczenie, powie jej, w miasteczku on ma, więc zazdrozczą i dlatego świnią na wszelki sposób. Ale żeby rodzona żona zaraz miała w to wierzyć? Hańba.

Aż się uśmiechnął na myśl o poskromieniu złościcy. Da jej bobu, oj da, za wszystkie czasy, za swoją pomyłkę w młodych latach, za późniejsze tęsknoty za prawdziwymi kobietami, za dzisiejsze awantury. Trzeba tylko nie zwlekać, choćby jutro obgadać sprawę z Ludmiłką. Żeby jej nic nie mogło zaskoczyć.

Jutro? Pomacał się za kieszeń, gdzie tkwił list, skierowany na kantor budowy cegielni. Jutro trzeba tamtą sprawę jakoś załatwić. Też pech, że Stefkowi właśnie ta dziewczyna musiała się spodobać, nie inna. Z paru setek, tyle na pewno ich będzie w miasteczku, właśnie ją musiał wybrać. Milę...

Gdzieś bokami nie bez dumy przemknęła mu myśl, że to właśnie z Ludmiłki mogła zrodzić się taka ładna dziewczucha. Bo ładna była ta Miła, przyjrzał się, gdy przychodziła pierwszego po ich pieniądze... Stefek, taki sobie przeciętniak z tego syna. Ani fujara, ani orzeł. Jednakże niebrzydki. To po nim. Naprawdę z Mili i z niego niebrzydka para...

Ku zdumieniu chuderlawego *vis a vis* aż się w czoło Dominiak uderzył. Co jest, u licha, klepki mu w końcu się pomieszały z tych zmartwień? Ładna para. Tragedia w tym, że ładna. Dlatego przyłgnęli do siebie. Jak to jest z nimi, rodzeństwem tak naprawdę to nie są, każde ma innych rodziców. Tyle, że potem znów płacze się wszystko z tymi rodzicami. Bo jest

wszakże i Tomek. Ze Stefkiem jednakże bracia, przyrodni. To dopiero kabała.

Stefek nic nie wie. Skąd bo ma wiedzieć? Z pokrzyków matki o kochankach i lewych dzieciach? Tego jeszcze za mało, aby rzecz odnosić do konkretnych imion i osób. Ale Mila wie. Jeżeli zaś wie, czemu przestaje ze Stefkiem? Zaraz, może ona jemu też powiedziała, obmyślili sobie, że to nieważne? Może to? Dopiero byłaby heca. Wtedy jak za pociągnięciem sznureczka odsłoniłby się w końcu cały obrazek z pierwszych lat po wyzwoleniu...

Westchnął. To były dopiero lata. On jeszcze młody, bez Anieli u boku, nie tetrczyła, nie mantyczyła, ech, żyło się wtedy.

No tak, wtedy się żyło. Ale dziś dzięki fragmentom tamtych dni mógłby łatwo kark skrócić. Ani żona, ani stugębna plotka mu nie wybaczy. Cholera, że to ludzie są tacy ciekawscy, lubią wachać za kołnierzem jeden drugiemu. Niby ruch w miasteczku, budowa, nowe fabryki, rozmach, nigdy tak jeszcze nie było, a w ludziach niewiele zmian. Ciągłe zajmują się babraniem w cudzych bebechach. Tam sputniki, a tu gadka, że mści się na ludziach jakiś dawno zmarły truposz, graf niemiecki. Świat się zdobywa, a tu facet się wiesza, bo mu kawałek zboża zdeptano. Boże, co by to było, gdyby się wydało, że Tomek jest jego synem, a siostra Tomka chodzi też z jego synem. Piekło, kataklizm.

- Kataklizm - powtórzył półgłosem, przerażony własnymi myślami.

- Proszę? Pan szanowny co uważa?

Zignorował niepozornego chuchraka, nawet nie spojrzał. Pilnujże, chłopie, swojej Melasi, ode mnie ci wara.

Zły był teraz na cały świat. Trzeba mieć takie sobacze szczęście, żeby raz po razie przeżywać jedną historię gorszą od drugiej. Mało to jest nieślubnych dzieci, mało ojców dyskretnie płacących na ich utrzymanie? Ale tylko on jeden musi mieć przez to zatrute życie. Jeszcze teraz historia ze Stefkiem.

Pomyślał, że właściwie bardzo mało zna swego syna. Nigdy nie miał dla dzieci dość czasu, zostawiając je na opiece matki, gdy sam ganiał za dodatkowym zarobkiem, rwał z jednej roboty na drugą. Jaki naprawdę jest ten Stefek? Przecież będzie zmuszony wyjawić mu prawdę. O Mili, o Tomku, o tym fragmencie swojej przeszłości, w którym czołową postacią stawała się Jaruzyna. Jak syn to przyjmie?

Przez całe lata starał się budować we własnym domu wyobrażenie o sobie jako o prawym, ściśle strzegącym moralności człowieku. Nawet żona długi czas zdawała się całkowicie w to wierzyć. Aż po ten parszywy anonim. Aniela pozbyła się złudzeń, ba, przeczerniała sprawę. W jej oczach stał się łajdakiem, dziwkazem, nieomal wykolejeńcem. Teraz Stefek, wielki znak zapytania. Psiakrew, niełatwa to będzie rozmowa. Bo cóż ma chłopcu doradzić? Żeby

zerwał, przestał widywać się z Milą. Jeśli on jednakże naprawdę ją kocha, jeśli już przedtem znał prawdę, znalazł lepsze lub gorsze wyjście z pogmatwanej sytuacji? Najlepiej byłoby, żeby chłopiec wyjechał z ich miasta już teraz, nie czekając początku roku akademickiego. Da mu pieniądze, niech jedzie na jakieś wczasy, niech się tam nawet złądaczy, łatwiej wtedy o dziewczynie zapomni... Zachnął się, ładny z niego ojciec, skoro gotów podobne propozycje dawać własnemu synowi po to tylko, by przykryć takim sposobem swoją przeszłość.

Innego wyjścia jednakże nie ma. Jasne, nie o łądaczanie się Stefka tu chodzi, ale o wyjazd. Potem przyjdą studia, na święta zimowe też mógłby chłopiec wyfrunąć do Zakopanego na narty, należy mu się to przecie, minąłby blisko rok, to dużo, wystarczająco dużo, aby zapomnieć, aby wszystko przeżarło się spopielilo.

Co będzie, jeżeli jednak Stefek nie zechce, odmówi? Jeżeli z pogardą spojrzy na swego ojca, bluźnie mu prawdą w twarz? Co wtedy?

Nie miał ostatnio łatwego życia. Licho nadało jeszcze wyjazd do Zielonej Góry. Cały dzień piekielnego zdenerwowania, niepewność, co w międzyczasie dzieje się w domu. Mógł przyjść do Anieli i nowy anonim, klęska zupełna, gdyby w związku ze Stefkiem i tą dziewczyną... Prędzej by się już znaleźć na miejscu, odpocząć trochę, nabrać sił na ciężki jutrzejszy dzień.

Wolno stukały koła na spojeniach szyn, za oknami przesuwały się zamglone cienie, w wagonie było sennie i duszno. Próżno próbował drzemać, rozbałwaniona myśl odganiała sen, kotłowało się wszystko, Aniela i Jaruzyna, Stefek i Miła, i Tomek, Klimczak i chłopak przysypany murem, Koniejenko i jeszcze ktoś, upiorny taniec, szalone wirowisko.

Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie mógł wyskoczyć na peron. Objął rozrzuwionym wejrzeniem budynek stacyjny, pustawy o tej nocnej godzinie. Gorzej mu tutaj czy lepiej, ale u siebie. To jego miasto, z wojennego niebytu razem z innymi przywracał je życiu, w murach i ulicach, w ludzkich sprawach, w nadziei i troskach mieści się niemały kawał jego, Dominiakowego udziału. Piętnaście lat, cały szmat życia.

Nasłuchiwał echa swoich kroków na pustych uliczkach i echa te były swojskie. Wszystko, nawet podmuchy wiatru szelestem przelatujące wśród liści, nawet kurz wwiercający się w dziurki nosa. Wracała mu otucha. Tutaj, na swoich śmieciach, różniej będzie mógł stawać okoniem w stosunku do przeciwności. Nie podda się, nie załamie.

Skreślił w ustronną uliczkę, niebrukowaną, kroki tu rozlegały się ciszej, wokoło atmosfera zupełnego spokoju. Zaraz dom. Nic, że Aniela, że kłopoty, ale to jego dom.

Szarówka już się robiła, tylko czekać, świt wstanie. Niewiele czasu zostaje na spoczynek. Nie nowina, mało to nocy nie dospał w życiu?

Przed nim na drodze ciemniejsza wypukłość. Czyżby ktoś leżał, pijak jakiś? Przyśpieszył. Chłopiec...

Przykłękał, poznawał w tej chwili. Tomek. Jego syn. Gorączkowo chwycił drobne ciało w ramiona, przysuwał głowę ku piersi, nagle nieporadny, zaskoczony, nade wszystko zaś serdecznie, po ludzku, po ojcowsku strwożony.

- Tomek, Tomek - wołał półgłosem, wstrząsając bezwładnym ciałem.

Ucieszył się, gdy powolutku zaczęły się rozchyłać powieki, chłopak zaś westchnął głęboko. Oczy rozwarły się, przez chwilę jakby mętne, zaczęły nabierać wyrazistości, wpatrywały się coraz uporczywiej.

- Pan Dominiak - wyszeptał chłopak.

Zabolały, czemu zabolały te słowa tak strasznie?

- Tomek. Tomek.

- Już nic, niech mnie pan puści...

Ostrożnie, jak coś najbardziej cennego, stawiał chłopca na ziemi. Słaby był, ale już ustał. Ręką pomacał tył głowy, wyczuł zakrzepłą krew.

- Musiałem rąbnąć, padając, o jakiś kamień - powiedział.

- Żyjesz, to dobrze... Tak się przestraszyłem, widząc że to ty leżysz.

- Dobra jest, panie Dominiak, dobra jest... Mnie czas do domu.

- Tomek, czekaj, gadaj, chłopcze, co jest? Skąd się tu wziąłeś?

Jednocześnie gorączkowo wsuwał mu do kieszeni zwitek papierów. Tomek przystanął niechętnie.

- Ot, taka mała przygoda, biegłem, upadłem, wyrznięłem się w łeb. A pan co myślał?

Przecierał dłonią czoło. Niczego nie pojmował.

- Nic, nic, Tomek - wyszeptał.

A potem dodał:

- Nic, synku.

Noc niby ciepła, ale od wody ciągnął ostry ziąb. Człowiek skulony na brzegu nad dwoma wędziskami szczelniej otulił się płaszczem. Spokojnym, niespiesznym wejrzeniem odmierzał linię drzew rozsiadłych wzdłuż biegu rzeki, potem znów długo spozierał na wodę, ciemną, miejscami tylko migocącą srebrnymi poblaskami, szumiącą u przeciwnego brzegu ostrzejszym prądem, odprowadzał go daleko aż po most zwisły wysoko nad taflą, majaczący zamazanymi konturami. Nasłuchiwał chwilami, czy nie odezwie się świegotliwy pobrzęk dzwoneczków umieszczonych u końców wędzisk. Jakby zawiedziony podnosił wzrok ku

niebu rozmigotanemu gwiazdami.

Znad niedalekiego lasu wychynęła czerwona, zolbrzymiona tarcza księżyca. Pełzł szybko, tarcza malała, traciła ogniste kolory, stawała się po prostu zwyczajna.

Nad jamę głęboką i spokojną przy brzegu, na którym usadowił się rybak, poblaski martwego księżycowego światła jeszcze nie docierały. Nadal tu było ponuro, czern teraz jakby jeszcze się nasyciła, w przeciwstawieniu do płaszczyzn rozsrebrzonych silnie migotów na samej bystrzynie. Pasma nieprzytulnego światła spowiło cały most, od świeżo kładzonej stalowoszarej farby szły zimne lśnienia.

Znów poczuł ciągnący od wody chłód. Skulił się. Który to dzisiaj, trzeci września? Wieleż to już lat temu, tamten wrzesień, nad świtaniem prowadził pociąg z Łodzi na Warszawę. Gdy wyruszał na trasę, niepokój wisiał w powietrzu, czuło się wojnę. Pasażerowie jechali z większym niż zazwyczaj bagażem, nerwowi i podnieceni. Na mijanych stacjach strzelały z murów plakaty mobilizacyjne. On zaś musiał być spokojny jak zawsze, wysłepiać zmęczone oczy na szlak łyskający dwoma liniami nie kończących się szyn. Dzień wstał jasny, rozświetlony, cisza była i spokój. Nie słyszał warkotu motorów. Nadciągnęły od tyłu, dopiero gdy tuż przed lokomotywą położył się na szlaku *czarny*, drgający cień skrzydeł, wyczuł bardziej, niżeli pojął, że to już, że się zaczęło. Dopiero nadbiegł huk z boku pociągu, potem drugi, za nimi. Spojrzał na pomocnika, zrozumieli się. Gwałtownie sypnęły szufle do piecowej czeluści. Szybciej, byle szybciej. Jeszcze jedna bomba. A potem warkot dobiegł i do nich. Gradem sypnęły kule po dachach. Tuż nad nimi śmignęła maszyna, na niej czarne znaki, które miały dręczyć potem przez tyle lat...

Wtedy dnie były upalne, a noce tak samo chłodne jak teraz. I ani kropli deszczu, niebo wisiało niezmiennie pogodnie.

Dzwoneczek zabrzączał cieniutko, ledwie że dosłyszalnie, można go było zmylić z cykaniem niezmordowanych świerszczy. Siwiak ucho miał wyczulone. Delikatnie ujął wędzisko w dłoń, czekał. Znów brzęk, łagodny, ale o ton mocniejszy. Teraz. Podciął ostro, na skos. Zbałwaniła się woda, sypnęły bryzgi. Dzwoneczek terkotał, chwilami nikł pod wodą, zostawało już jeno pluskotanie.

Spokojnie nawijać jął, żyłkę na kołowrotek. Zaterkotało raz czy dwa mocniej, potem opór ryby ustał. Zaszalała dopiero, gdy już ją podciągał pod urwisty brzeg. Pozwolił, niech się oddali, niech wysnuje cokolwiek żyłki. Dopiero za trzecim razem podbierakiem zagarnął węgorza. Nie był największy, może z pół kilo. Pierwszy tej nocy, jak rzadko nie dopisywało mu szczęście. Ostrożnie uwolnił rybę, z haczyka. Sploty węgorza chłodem obrączkowały mu dłoń. Nanizał nową rosówkę, rzucił z lekkim zamachem. U szczytówki zadźwięczał

dzwoneczek. Cieniutko, wesoło...

Tak, potem nastąpiły długie nizałki złych, zimnych nocy. A i ciepłe też nie były bezpieczne. Każdy zmierzch duszącym niepokojem zapadał w serce, każde świtanie sumowało się dalszym uratowanym dniem. Od tamtego czasu polubił świty, od tych pierwszych, ledwie dostrzegalnych brzasków na wschodzie, od nieba różowiejącego przedświtem, po uroczystą, świętą chwilę, gdy nagle zastygało wszystko w przyrodzie, ustawał wiatr, milkły ptaki, na horyzont triumfalnie wtaczała się kula słoneczna. Dopiero jazgot radości witał w pełni już objawiony dzień.

Gdy wychodził nocami na połów, leszcz się łapczywy wtedy łakomił, sandacz śmieiej wychylał, sum i węgorz penetrowały wody, zawsze już, brało nie brało, musiał doczekać świtu.

Tamten wrzesień znaczył się zupełnie podobną pogodą. Tragicznie dobrą. Teraz to już zły sen, przeszłość, czasem tylko wwiercająca się w pamięć potrzebą przestrogi. Dziś takie pogody potrzebne i sercu miłe.

Nie chciał być maszynistą u hitlerowców, w ogóle zamierzał zrezygnować z pracy na kolei, znaleźli się jednak tacy, co przekonali: i tu można być bardzo potrzebnym. Parowozów tylko nadal unikał, marząc o chwili, gdy znów poprowadzi pociągi w uwolnionej ojczyźnie. Wtedy przysłała ta choroba, długi czas ciemności, momentami utrata nadziei, czy w ogóle jeszcze będzie coś widział. I już wzrok osłabiony na zawsze, koniec parowozowej kariery.

Westchnął, wsłuchał się, czyżby u szczytówki dzwoneczek terkotał? To ryba plusnęła na srebrnej tafli, tam, gdzie ją księżyc oblał poświatą. Szosą ktoś nadchodził. Pewnie jakaś para, dobre czasy nastały na młodych, spokojne ich dzisiaj kochanie.

Spojrzał. Zawsze się zakochani zatrzymują na moście. Nurt pod nim wartki, wielka głębia, migocą srebrzyste smugi, szemrze coś w tej wodzie cichutko. Jedna tylko sylwetka wsuwała się na stalowy wiszar nad wodną topielą. Aż głowę Siwiak przychylił, poddał się ku przodowi, patrzył z ukosa. Znał tę sylwetkę, wiele to razy stawała nad balustradą, przytulona do wyższego od siebie chłopca. Włosy dziewczyna miała jasne, w takie noce z daleka było to widać, złotem grały w poblaskach, jakby dla kontrastu srebrzystej fali.

Czemu dziś sama? Czy on dopiero nadejdzie? Stoi przy balustradce, dokładnie w tym samym miejscu. Zawsze się zatrzymywali za drugim filarem, daleko stamtąd wstęgą rozkładała się rzeka. Pewnie czeka na niego. Siwiakowi przez chwilę zrobiło się tęskno, że na niego nikt już nie czeka. Osierocony wojną sam został jak palec, teraz nawet mu kolej ukochaną zabrano, dano emeryturę. Dola, żeby nie rybki, nie dumania nad wodą, głupio byłoby człowiekowi na świecie.

Otulił się mocniej płaszczem. Nie czuł się stary, jednak na chłód stawał się coraz bardziej wrażliwy. Nie bierze, ten jeden węgorzyk, dla ratowania rybackiego honoru, tyle, co na śniadanie.

Jak wyraźnie niosą się w tej ciszy delikatne stapania dziewczyny na moście. Wraca? Nie, przechodzi, przystaje, znów idzie. Jakaś niezdecydowana. Przysiadła teraz tuż za mostem na skarpie. Księżyc ją wyraźnie oświetla. Patrzy na las. Twarz odcina się jasną plamą, także ramiona, jak to młodej nie chłodno, płaszcz położyła przy sobie, nawet go nie *zarzuci*. Ej, młodość, znało się takie rzeczy, znało.

Co ją tak gania, u licha? Wstała, znów siadła. Już nie patrzy przed siebie. Coś dzwoni w powietrzu. To nie u wędek, nie świerszcze czy też pasikoniki. To płacz, ciche, zmęczone szlochanie.

Skrzywił się Siwiak. Nie lubił ludzkiego płaczu. Dość się w Polsce tej napłakano, po cóż jeszcze i dziś? Szłocha dziewczyna? Zatem już wszystko jasne. Ona nie czeka, wie, że tamten nie przyjdzie. Sama się tu zjawiała, aby wspominać. Każdy musi to przejść. Za spotkaniami przeważnie nadchodzą rozstania. Niech się dziewczucha wypłacze, ulży jej, potem już będzie łatwiej.

Przestała? To źle, źle, miła, skoro już płyną, nie trzeba hamować łez, łzy spokój przynoszą. Patrzy teraz, wygląda czegoś w dalekim lesie. Nic, miła, tam nie wypatrzysz, już to emeryt Siwiak wie, zna się na takich rzeczach.

Wędkci milczą jakby zauroczone. Czas na węgorza dobry, przedwczoraj chwytaly jak szalone, dziś dla odmiany odebrało im coś apetyt. I ryba ma swoje humory, nie tylko ludzie. Ciekawe, czy ryby też płaczą? Bo sarna, jak ją postrzelisz, cierpi, łzawi swymi ślicznymi oczami. Koń też to potrafi, trzeba umieć zobaczyć. Chyba jednak nie ryba, głupsza jest, w wodzie zaś i tak ma już nazbyt mokro. To i dobrze, człek by nie miał sumienia ich łowić, gdyby płakały.

Ta mała znów idzie na most. Jakby ją ciągnęła ta woda, schyliła się, nisko w dół patrzy, gdzie wir się tworzy około filara, a nurt przepycha się gwałtownie zwięzonym przejściem. Na wiosnę certa tam dobrze bierze... Pal sześć certę, tu jakaś niewyraźna historia. Odchodzi, znów wraca. Czego się waha, nad czym zastanawia? Patrzy w dół, przechyla się przez barierę. Ciemna, wirująca ta woda, może ciekawić i kusić.

Siwiak wstał nagle. Nie miał żadnych danych, by sądzić, jak sądził. Ale czuł to, był pewien, że się nie myli. Szedł wolno brzegiem, cień tu padał, dziewczyna nie widziała go z całą pewnością. Nachylała się nad ciemną tonią, oderwała się potem od balustrady, stanęła na moście, chwiejna, pełna wahania. Emeryt również przystanął. Może jednak się mylił?

Dziewczyna podeszła do miejsca, gdzie nad filarem wystawał przykos, można było wejść nań przesadzając barierkę. Powoli, jakby ciągle jeszcze przytrzymywana czymś niewidzialnym, przełożyła jedną nogę, zamarła na moment w tej pozie, dopiero szybciej już, przerzuciła drugą.

Krzyknął. Całą siłą płuc, nakazujące i ostrzegawczo. Biegiem puścił się po skarpie na most. Dziewczyna stała na ostrej krawędzi przykosu, jedna chwila, nic jej już nie powstrzyma. Zwarł teraz zęby, wiedział, krzyknie raz jeszcze, tamta skoczy. Jedno zostaje, dobiec, powstrzymać w ostatniej chwili. Z nurtu niełatwo byłoby ją ratować. Prąd bystry, a jeszcze, gdy kto nie pragnie zachować życia...

Dudniły jego kroki, ciężły nogi, w niezdarnych gumowych buciorach. Ona stała, bokiem obrócona ku niemu, nad przewalającą się obok filara wodą.

Gwałtownie wyciągnął ręce. Szarpnęła się, omal że nie straciła równowagi. Podtrzymał, całą siłą przeciągał ją poprzez barierę, wiotką teraz, bezwładną. Więc jednak zdążył, chwała ci, Boże.

Więc to ona? Nie dał po sobie niczego poznać. Stulił się w środku mostu, drżała, dygotała w jego objęciach. Opamiętał się. Szybko zrzucił swój wyświechtany płaszcz kolejarski, otulił ją całą, owinał jak niańka dziecko. A potem sprowadził ją skarpą w dół ku miejscu, gdzie zwykł tkwić nad swymi wędkami. Nie opierała się, zupełnie bezwolna.

Odetchnął dopiero, gdy usadowił ją obok siebie. Nawykowo nasłuchiwał przez moment, czy nie dźwięczą dzwoneczki u wędek. Zamiast tego usłyszał szloch dziewczyny. Już nie hamowany, nie tłumiony siłą, jak wtedy, u skraju skarpy, ale mocny, wyzwalający szloch.

Nie przerywał, ruszyć się nie śmiał, obejmując ją tylko opiekuńczo ramieniem. Cisza nocy stała nad nimi, księżyc spływał powoli ku linii szczytowej lasu, mroczniało i silniej zarazem roziskrzyły się gwiazdy. Szosą przemknął samochód, daleko słały się światła reflektorów. Zarzumiało oponami na moście, smugi blasku spływały w dal, zanikały w niej, został znów tylko szloch i to opiekuńcze, rozumiejące ramię mężczyzny.

Węgorze jakby również wiedziały, że nie należy przerywać, nie mąciły dygotaniem dzwoneczków tego szlochu, który łagodzi i oczyszcza, jedne pasikoniki, najprzód jakby zdziwione, znów zaczęły swoje pogodne mruzcando.

Czas mijał, płacz dziewczyny przycichał. Wyczerpana nim była, jak i minionym napięciem. W pewnej chwili obróciła głowę, usiłowała wypatrzeć w ciemności twarz nieruchomo siedzącego przy niej człowieka. Delikatnie, łagodnie prze-gładził ją po jasnych włosach, które tak często ostatnio widywał, właśnie nad balustradą mostu. Tylko, że wtedy błyskały obok ciemnej męskiej czupryny.

- Pan jest... dobry - szepnęła.

- Ot, taki sobie - odrzucił. - Stary emeryt, Siwiak, do usług.

- Przecież ja pana znam... I pan mnie też...

- Tym lepiej. No jak, ulżyło?

- Bardzo mi smutno. Bardzo smutno - poskarżyła się. Uśmiechnęła się lekko, uśmiechem z serca.

- Chłopca zabrakło, nieprawda? Bywa tak, moja panienko, nie trzeba od razu brać łobuza aż tak tragicznie. Bo łobuz, jeżeli odszedł. Prawda?;

- Ja nie wiem - szepnęła. - Może nie on, może ja byłam niedobra i zła. – I zaraz, jeszcze ciszej, dodała tonem zwierzenia: - Napisał, że jestem podła.

- Podła? -- zdziwił się.

Podniosła twarz ku niemu. Na policzkach zalśniły dwie smugi, którymi spływały łzy.

- Bo pan nic nie wie. A ja nie mogę mówić, choć chciałabym, żeby mi ktoś wyjaśnił, poradził. To bardzo trudno być samej.

- Chcesz, mów, Siwiak tak jakby nie słyszał. Nie chcesz, nic nie mów. Mnie tego nie trzeba. Chciałbym tylko, żebyś już nigdy nie przychodziła na most w takich zamiarach. I żebyś myślała już tylko o życiu. Na śmierć zawsze jest czas.

- A cóż po życiu, jeżeli goni za tobą zawsze to samo?

Nie odpowiedział. Czasem lepiej nie mówić, nie wtrącać się za wiele. Pewien był zresztą, że i tak usłyszysz.

Dziewczyna milczała jeszcze dłuższą chwilę. Łzy oschły na twarzy, włosy przegarnęła znad czoła zwykłym, dziewczęcym ruchem.

Spokojna, od wewnątrz tylko pełna w każdym słowie napięcia, popłynęła opowieść Mili w nadržeczną ciszę. Stary człowiek obejmował dziewczynę ramieniem wsłuchany, przeżywający pospołu to wszystko minione, a jeszcze tak świeże. Od tych lat, gdy zaczęła pojmować lepiej, co się wokoło niej dzieje. Gdy czasem matka kazała jej iść bawić się na dwór, albo szykowała posłanie w kuchni, bo gościła kochanka... I potem, gdy Tomek już podrósł, gdy Margiśka zjawiała się na świat, gdy zrozumiały zaczęły stawać się coraz boleśniej spotykane prześmiechy, przytyki, gryzące słowa. O matce wszystko. O matce tak długo, aż sama przestała być dzieckiem, a stała się dziewczyną. Wtedy już i na nią spływało błogosławieństwo tamtej, matczynej przeszłości. Też w półuśmiechach, złośliwostkach, w łakomej swobodzie chłopców...

Słuchał, kiwał głową. Znał przecież Jaruzynę, oczy miał otwarte. Prawdę mówiła Milla, nielekka musiała być jej dola, córki kobiety, która każde dziecko miała z innego ojca, każde

nieślubne. Nie osądzał tamtej, kwitował tylko powszechną opinię. Opinia zawsze lubi mieć ofiary, na które można rzucać z siebie wszelkie przewiny albo je w ten sposób osłaniać. Opinia, wielkie, a tak czasem cuchnące słowo...

Rozumiał dziewczynę. Musiało to przyjść, nieuchronnie musiało, choćby w porywie buntu przeciw tej właśnie opinii, w jakimś szamotaniu ze sobą, z zaduchem, który szedł za nią, bo była córką swej matki. Mógł się stać tym chłopcem każdy inny, mógł choćby Zygmunt Wichrun, o którym mówiła tak miękki tonem, stał się zaś Stefek Dominiak. On zresztą właśnie najprędzej. Z przekory, dla jeszcze większego kontrastu. Że właśnie pośrednio łączyło się to z jej matką. Że związane było z kimś, o którym mówiono tylko dobrze, bo znał coś, a postęпки swoje kryć umiał przed ogólną opinią. Po prostu z buntu.

Wyczulony słuch złapał delikatny podzwonek dzwoneczka u wędki. Siwiak nie zareagował, nawet dłonią nie sięgnął w pierwszym odruchu. Słuchał opowieści, z wolna dobiegającej końca.

- Przedtem myślałam, szczęście do mnie się uśmiechnęło, i choć widziałam tamte przeszkody, nie zamierzałam wypuszczać tego szczęścia z rąk, ani myślałam odrzucać. Łudziłam się, że wyjście jakieś się znajdzie. Bo przecież co innego Tomek i on, co innego my dwoje... Potem już wiedziałam, że to nie takie szczęście, które zakwita nadzieją, rozrasta się, ale takie, które skazane jest na odejście. Już tylko starałam się, by nie przyspieszyć tego odejścia. Pytał czasami, nad czym się tak zamyślam, czemu całować go nie chcę, smutna jestem. Milczałam...

Zamilkła i teraz. Czekał na dalsze słowa. Nic nie mówiła. Dzwoneczek u wędki coraz to znać dawał o sobie. Uchwycić za wędkę, podciąć, windować? Znowu się pohamował. Nie pora.

Dzwoneczek jeszcze raz szarpnął się, potem umilkł. Siwiak pomyślał, że węgorz obżarł przynętę i poszedł. Niech sobie...

- Przed pięciu dniami jakiś chłopak przyniósł mi do ogrodów Kaźmierczaka list od Stefka. Dzień przedtem na próżno go czekałam w lipowej alei... List był krótki. Wyjechał, nie chce znać mnie ani tego miasteczka, w którym doznał takiego zawodu. Ja zaś okazałam się podła. Podła, podkreślił to słowo. Napisał jeszcze, że się zastanawia, czy i z ojcem nie zerwie, po tym, czego się od niego dowiedział... Czytając krzyknęłam, aż koleżanki się przeraziły. Ale potem zacisnęłam zęby, pracowałam jakby nigdy nic. Wieczorem, w domu, przeleżałam do rana, wpatrzona w sufit nad sobą w oczekiwaniu, kiedy się na mnie zawali, jak mur winiarni na Czeška. Nie płakałam, przez wszystkie te dni nie płakałam, oczy miałam suche, aż piekły.

Westchnęła głęboko, znużona płaczem i tą niespodziewaną dla siebie samej spowiedzią.

Pragnęła skończyć już jak najszybciej.

- Nie znajdowałam miejsca dla siebie. Myślałam, że tak czy inaczej, przekleństwo matczynej przeszłości będzie wlokło się za mną. Odeszła mnie ochota do życia. Dlatego przyszłam tutaj, ale ciągle jeszcze się bałam, nie miałam odwagi. Aż pan krzyknął, a wtedy jedno mnie rwało, by skakać w dół, do czarnej wody, a drugie, by czekać na pana.

- Żałujesz?

Potrząsnęła głową.

- Tak widać było trzeba. Tylko nie wiem, jak teraz ułoży się moje życie. Smutne i niepotrzebne nikomu...

Przedświt był, gdy wolno, przytuleni pod kolejarskim płaszczem, ruszyli drogą do domu. Jaśniało, Siwiak zmęczonymi oczyma spoglądał na wstający dzień, łowił ten moment, gdy nagle *zamrze* wszystko w oczekiwaniu. Przystanął wtedy, wionął raczej niż szepnął w ucho dziewczyny:

- Patrz, słuchaj...

Umilkły ptaki, wiatr zacichł... Wynurzyło się słońce wielką, złotoczerwoną kulą. Rozżarzyło się wkoło.

- Świtanie - głośno już powiedział Siwiak.

Skinęła głową.

Przed bramą jej domu o to jedno tylko zapytał: -- Obiecujesz, już nigdy? Nigdy?

- Obiecuję...

- Zairze jutro do Kaźmierczaka, musimy pomyśleć, Mila, o tobie. Zaufałaś Siwiakowi, już on tobą się zajmie. Bądź, dziecko, spokojna.

Odchodził radosny, promienny, jak to słońce, igrające na zmęczonej, niewyspanej twarzy. Tuż przy rynku wpadł na niego Tomek Jaruga. Zatrzymał się, w oczach miał lęk.

- Panie Siwiak, nie widział pan mojej siostry?

Uśmiechną! się kolejarz.

- Widziałem, ryby dziś razem łapaliśmy... Jest w domu, bądź, Tomek, spokojny... I jeszcze jedno, musisz teraz być bardzo dobry dla siostry, pamiętaj. Mam z tobą do pogadania. Po robocie weź wędki, węgorze biorą. Będę nad rzeką, wiesz gdzie? Przy moście...

13.

Czy się zmieniło w niej coś w stosunku do siostry? Często zadawała sobie takie pytanie, zwłaszcza pracując wieczorami i spoglądając na drzwi wiodące do przyległego pokoju, z/a których dochodził odgłos niespokojnego rzucania się śpiącej Poli. Od paru miesięcy

dziewczyna źle sypiała, musiała miewać jakieś dręczące sny, pojękiwała, raz wydało się Marii, że słyszy wyszeptane spieczonymi jak w gorączce wargami siostry dobrze znajome imię...

Od dawną już nie usiłowała kryć tego faktu przed sobą ani szukać naiwnych tłumaczeń. Tamten człowiek stanął między nią i Połą trudną do sforsowania zaporą. W dawne serdeczne siostrzane uczucia wtargnęło coś zupełnie nowego.

Pamiętała, nigdy tego nie musiała sobie przypominać, że dla całej gromadki z Niesusza stała się po śmierci rodziców czymś więcej niż siostrą. Przejęła na siebie trud zastąpienia im matki i ojca. Nie ustrzegła Pietrka, nie mogła ustrzec, któż może znać miejsca, gdzie przypomnieniem złowrogiej przeszłości czyha hitlerowska mina. Piotr zginął. Ale reszcie rodzeństwa matkowała wytrwale, matkuje jakimś sposobem do dziś. Tak jak najmłodszej Poli. Tym silniejszy rodzi się teraz rozdźwięk pomiędzy nimi.

Aż do tej ostatniej rozmowy żadna głośno nie nazywała go po imieniu. Było wszystko niby zupełnie tak samo jak zamsze. Pola zajmowała się domem, miała swoje własne życie i swoje sprawy. Maria wyżywała się w rzeczach najmniej związanych z jej osobą. Przedtem była tylko rodzina, potem mogła już sobie pozwolić na troskę o chorych, teraz przejmowała pieczę nad czeredą młodych, rozhukanych dziewcząt, które trzeba będzie nauczyć nie tylko znajomości zawodu, ale przywiązania do niego.

Wszystko niby zupełnie tak samo jak zawsze. A przecież zupełnie inaczej. Zwłaszcza, gdy na horyzoncie pojawiał się Okińczyc...

Maria ze zgrozą uświadamiała sobie, że w Poli rodzi się w stosunku do niej nienawiść. Potężne słowo, bolesne i niebezpieczne. Miała jednakże tę odwagę, by nazwać je prosto. To była naprawdę nienawiść.

Kryła się wszędzie. W większej niż zazwyczaj, pedantycznej ścisłości w przestrzeganiu zwykłych domowych obowiązków, w gorliwości o posiłki i spoczynek starszej siostry, w pokorze przyjmowania rzadkich jej uwag. Złudzenie? Czasem i tak myślała, ale wtedy wystarczało złapane przypadkiem spojrzenie Poli, intensywność tego uczucia w jej rozszerzonych aż do bólu źrenicach, szczególna, zaledwie uchwytna intonacja w głosie, czasem daleka, chociaż wyraźna aluzja.

Jeszcze te noce. Kiedyś drzwi pokoiku Poli zawsze stały szeroko otwarte. Nie Pola, Maria zaczęła je od niedawna zamykać, z rozpaczą stwierdzając, że jeszcze nie są zbyt szczelne... Bo czyż można było się łudzić, gdy rzucając się na łóżku, zaciskając pięści, Pola nie szeptała, ale syczała, że nienawidzi, że znieść jej więcej nie może, że zabiera jej szczęście...

Maria jednakże łudziła się. Aż do tego wieczora, gdy zaniepokojona bardzo już

gwałtownym szamotaniem dziewczyny, otworzyła szeroko drzwi i w blasku światła *przez* nie padającego stanęła u łóżka Poli. Struchlała wewnątrz, słyszała każde słowo, myśl jej gwałtownie poszukiwała, wbrew prawdzie, tego kogoś, kto może być zawadą dla szczęścia Poli... Ona zaś otworzyła w tej chwili oczy, najzupełniej przytomne, spojrzała. W oczach tych było pełne potwierdzenie sennych majaków. Patrzyła długo, długo, a Maria słowa nie mogła z siebie wykrztusić. Aż się Pola uniosła na łokciu, głos jej wibrował, gdy spytała:

- Czego chcesz?

- Pokrzykiwałaś, zrzuciłaś kołdrę, chciałam cię okryć i uspokoić.

Wybuchnęła wtedy spazmatycznym śmiechem. A potem zawołała dziko, przeraźliwie, głosem, w którym nie było nic oprócz nienawiści:

- Idź precz! Precz!

Poszła. Cóż miała zrobić. Potwierdziła tylko wyczuwaną dotychczas, teraz bezsporną już prawdę.

Zaczęła unikać własnego domu. Jak złodziej przekradała się do siebie o późnym zmroku, w kuchni znajdowała przygotowaną kolację, a drzwi do pokoju Poli szczelnie zamknięte. Niemalże przestały się z sobą widywać. Maria wychodziła rano, gdy Pola jeszcze spała, wracała, gdy tamta już ułożyła się do snu. Obie unikały spotkań, obie obawiały się ich najbardziej. Ale jednocześnie doskonale wiedziały wszystko o sobie, znały każdy swój krok. Maria zdumiewała się, jakim sposobem się działo, że niemal zawsze, gdy Okińczyc pojawiał się na horyzoncie, jak spod ziemi wyrastała także i Pola. Pilnowała, by nigdy nie zostawali sami.

Pierwszym jej odruchem było zrezygnować, ustąpić, zostawić Poli wszystkie szansę. Wszczępane od lat matczyne obowiązki narzucały taką ofiarę z własnych swych pragnień, nawet najskrytszych... Wracała pamięć dni sprzed czternastu już lat. Także wybrała rezygnację, rodzeństwo było małe, nie mogła ryzykować. Wtedy było to jednak naturalne, ale dziś? W Niesuszu nie była więcej potrzebna, opierzyło się wszystko, opiskliło, była tam drogim gościem, ale niczym już więcej. Pola jest właściwie dojrzałym człowiekiem. Ma szansę nauki, pracy, cóż można dla niej zrobić dodatkowego? Jeszcze raz zrezygnować dlatego, że dziewczyna zakochała się w tym samym mężczyźnie, który i jej stał się szczególnie bliski?

Zgadzała się na to wyjście. Gotowa była usunąć się. Właściwie podjęła już taką decyzję. Przecież momentami budził się w niej bunt, świadomość, że ma prawo żądać czegoś także dla siebie, już tylko dla siebie. Że prowadzi to do walki z własną siostrą, dla której była dotychczas matką? Była, ale więcej już nie jest, może nią nie być. Ma prawo do odrobiny

ciepła, dla siebie. Każdy ma takie prawo.

Bunty podobne gasły szybko, zostawiając po sobie niepokój. Jątrzący, wpływający na wszystko, cokolwiek robiła. Stawała się coraz bardziej nerwowa, nawet pomagając w szpitalu przy pielęgnacji chorych, nie potrafiła teraz zapanować nad odruchami niechęci czy podrażnienia. Truchlała wtedy, przypominając sobie, że wkrótce rozpocząć ma wychowywanie dla szpitala dziesiątków młodych dziewcząt, przedwcześnie często dojrzałych, że ma je uczyć właśnie opanowania, właśnie spokoju, właśnie oddania swej pracy. Czy w takim stanie potrafi im przekazać tę najważniejszą wiedzę?

Szamotała się wewnątrznie. Życie stawiało ją dotychczas przed niejednym twardym zadaniem, nigdy jednak żadne z nich nie było aż tak trudne. Rezygnowała, to znów chciała walczyć do ostatka o swoje szczęście, żyła niepokojem, by z nagłą przechodzić z niego w stan radości, powodującej nie przytomne migoty serca. Zdarzało się tak parę razy przy zetknięciach z Okińczycem pod nieobecność Poli, spotkaniach, w których były słowa i spojrzenia, i uściski dłoni, i zadumania obojga tak wiele mówiące, tak ważne. A potem znów było podsłuchiwanie męczących snów dziewczyny i smutny, bolesny powrót do pierwotnej decyzji.

Jedno tylko spotkanie z Okińczycem uszło całkowicie wiedzy Poli.

Było to w parę dni po wspólnej ich w trójkę wycieczce do kina. Zrobiła to już tylko dla Poli, uczciwie potem powiedziała profesorowi, że chciała małej stworzyć szansę. Okińczyk wtedy był bardzo powściągliwy.

I potem nastąpił półtoradniowy wyjazd do Zielonej Góry. Pamiętała, wspomniała o tym, gdy odprowadzał je po kinie do domu. Wyraził żal, że właśnie te dni ma bardzo zajęte, pewnie do Poznania pojedzie, szkoda, wybrałby się z nią razem.

- Pomagałby mi pan molestować w różnych sprawach u władz. Słaba rozrywka - parsknęła śmiechem, by rozładować nastrój. Pola zeszytniała bowiem od razu, oczy jej zabiegały czujnie.

Nie odpowiedział.

Jakże przyjemnie zdziwiła się, gdy wychodząc na drugi dzień z marnawego hoteliku „Pod Orłem” natknęła się w hallu na Okińczyca. Czekał na nią, przeglądając gazety.

- Pan tu, w Zielonej Górze? A Poznań?

- Skłamałem wtedy, żeby Pola się nie biesiła. Musiałbym ją zabrać, gdy raz chcę być tylko z panią, Mario.

Jak przepowiedziała, wspólnie uganiali po urzędach, potem było jednakże wiele jeszcze czasu. Chciała tak wrócić, żeby to wyglądało na powrót z pociągu.

- Konspiracja na cały regulator - śmiał się racząc ją ciastkami w zielonogórskiej „Palomie”. Zaraz jednak spowaźniał.- Kłopot z tą Połą... Nie pojmuje, że mnie tylko na pani *zależy*.

- Pola to dobra dziewczyna... - powiedziała i zaraz zaczerwieniła się straszliwie w obawie, aby nie zrozumiał, iż niejako swata mu własną siostrę.

Daleki był jednak od tego.

- Wierzę. Pani zna ją przecież lepiej niż ktokolwiek inny. Jednak sytuacja jest trochę dziwna. Ona dosłownie nas śledzi.

Spojrzał na towarzyszkę. Schyliła głowę, gmerząc widelczykiem w nie dojedzonym napoleoniku. Przykry był dla niej temat rozmowy, choć nie dziwiła się Okińczycowi, że zechciał go podjąć. Powiedział, że ona zna Połę. Mylił się. Nie znała swej siostry, niespodziewanie objawiły się w niej cechy najzupełniej nowe, niedobre. W tym nawet, że śledzi ją i Okińczycza. Zazdrość? Pewnie, ale nawet wtedy muszą istnieć granice.

Odczuła lęk, czy nie staje się niesprawiedliwa. W jakimś stopniu sama jest tutaj zaangażowana, myśli więc subiektywnie. Może Pola postępuje uczciwie, walczy o swoje szczęście, a komuż można odebrać to prawo?

Podniosła spojrzenie na towarzysza. W przezroczyście niebieskich, bardzo jasnych oczach wyczytał smutek. Łagodnie ujął jej dłoń leżącą na stole. Jakieś młode towarzystwo przy pobliskim stoliku wymownie trąciło się łokciami. Nie zwrócili na to uwagi.

- Chyba to wszystko prawda, tym więcej mnie martwi... Nie mówmy już o niej.

- Dobrze, możemy tę sprawę odłożyć... Wypijmy Mario, vermuthu, chwałą się tym zielonogórskim, wypada i nam stać się patriotami.

Potem znów było dobrze. Wiele wyczytała w spojrzeniach Okińczycza. Dziwnie, potąd nawet przed samą sobą nie nazywała go po imieniu. A przecież słowa jego były czytelne i jednoznaczne.

Zapominała momentami o Poli. Była tylko kobietą, szczęśliwą, że jest obok zakochanego w niej mężczyzny. Vermuth był słodki i gorzki zarazem, dodawał wigoru. Śmiała się, co się zdarzało ostatnio tak rzadko.

Jechał w drodze powrotnej wolno, jakby pragnąc przedłużyć ich sam na sam. Wreszcie ich miasteczko. Wysiadła przy rynku. Nie demonstrował, krótko ucałował jej rękę, uścisk powiedział sto razy więcej...

Tamto spotkanie zachwiało w niej ponownie powzięte poprzednio decyzje. Rodzące się z siłą uczucie nie zgadzało się już tak łatwo na rezygnację, rozum podszeptował, że i tak nie na wiele by się to zdało. Okińczyc nadal nie zauważał Poli, próżno się dziewczyna łudziła.

Myślała, czy pewne fakty dokonane nie zmuszą Poli do kapitulacji. Mogło się i tak zdarzyć. Nie spodziewała się, że sprawa z odwożeniem małej Margiśki Jarugów do szkoły specjalnej w Poznaniu stanie się w konsekwencjach przyczyną straszliwej burzy.

Okińczyc interesował się losami Margiśki, w której wyratowaniu z ognia przy pożarze magazynów brał czynny udział. Budziła jego sympatię mała buźka z czerwonymi bliznami oparzelizny, wodząca za nim oczyma przy okazji spotkań w szpitalu. Znaleźli z małą wspólny język, potrafili się doskonale porozumiewać. Z niekłamanym oburzeniem powiedział kiedyś Kanadyjczyk do przełożonej, siostry Stolarek:

- Co wy wmawiacie Margiśce niedorozwój? Ona ma lepszą smykałkę niż niejeden dorosły...

Doktor Gollub, wykorzystując swoje znajomości, załatwił umieszczenie małej w szkole specjalnej, z nakazem stawienia się w niej z początkiem września. Ostatni tydzień Margiśka miała spędzić w domu. W przeddzień przyszła Jaruzyna, prosząc Szymborską o rozmowę. Po tej rozmowie Margiśka jeszcze i na ostatnie dni została w szpitalu.

Okińczyc ofiarował się, że odwiezie dziewczynkę samochodem. Dla załatwienia formalności, na prośbę doktora Golluba, miała jechać razem także i Maria.

Co zdrowsi pacjenci zgromadzili się tego ranka u szpitalnych okien. Pielęgniarki gromadą wyszły na ganek. Margiśka była w szpitalu powszechnie lubiana. Ford czekał cierpliwie, długi i czarny. Doktor Gollub przygotowywał w swym gabinecie opinię lekarską dla przekazania jej szkole.

Jaruzyna zjawiała się odświętnie ubrana. Podniecenie wpłynęło korzystnie na jej wygląd. Wyprostowała się, szła elastycznym krokiem, już nie tak zabiedzona jak zwykle. Tylko w ogromnych, zawsze przepięknych oczach tkwił nietajony smutek. Prowadziła za rączkę pochlipującą Margiśkę. Małej żal było szpitala, w którym spędziła tyle czasu, rozpieszczana przez wszystkich, teraz zaś miała odjeżdżać do obcych ludzi, daleko, gdzie nie wiadomo jak będzie. Chudymi ramionkami wstrząsał płacz.

I wtedy nagle zjawiała się przy samochodzie Pola, ubrana jak do podróży. Zdumiony Okińczyc szeroko rozwarł oczy, zaraz się jednak schmurzył, z trzaskiem otworzył drzwiczki wozu i wysiadł. Właśnie zbliżała się do nich Maria.

- Ty, Pola? - zdumiała się.

- Coście się tak zdziwili, chyba pan Teodor nie będzie miał nic przeciwko mojej osobie... Tak bardzo chciałam zobaczyć Poznań - przymilała się, ale we wzroku jej czał się gniew.

- Nic z tego, mości panno. Wóz jest na cztery osoby, nie mogę przekraczać przepisów - twardo odrzucił Okińczyc, obrócił się do dziewczyny bokiem, gestem dłoni zapraszając

pozostałych do wsiadania.

Nic z tego nie rozumiejąc Jaruzyna gramoliła się z córką do samochodu.

Maria czegoś jeszcze wyczekiwała.

- Mario, proszę - głos jego był zimny.

- To znaczy, że ja... nie mogę jechać?

- Niestety, Polu - rozłożył ręce.

Maria zajęła miejsce tuż obok kierowcy, nie spuszczać wzroku ze stojącej jak skamieniała, Poli. Dziewczyna patrzyła na nich pełnym groźby i wyrzutu wejrzeniem.

- Zupełne szaleństwo - zaklął Okińczyc pod nosem, musiał wyczytać coś niedobrego we wzroku dziewczyny.

Zagrał motor, gaz, szybsze obroty, ford powoli potoczył się ku bramie wyjazdowej. Doktor Gollub ledwie, ledwie pokiwał za nimi dłonią. I on, jak cała załoga szpitala, wpatrzony był w Połę. Było coś w sylwetce ciągle martwo stojącej dziewczyny, co zwracało na nią powszechną uwagę.

Gdy samochód zniknął już z jej pola widzenia, obróciła się wolno i sztywnym, nie swoim krokiem poszła w stronę swojego mieszkania...

Maria przeżywała tamtą chwilę przez cały dzień. Podobnie nie w humorze był Okińczyc. Z Margišką załatwiono szybko, nie było żadnych kłopotów, dziewczynkę przyjęły życzliwe ręce. Jaruzyna przy pożegnaniu nie mogła natulić się malej, milczała potem, w samochodzie, gdy ford gnał szosą zielonogórską. W pewnej chwili rzuciła we wnętrze wozu rozpaczliwe pytanie:

- Czy ja ją jeszcze kiedy zobaczę?

Maria nie miała sił na uspokajanie kobiety. Przeglądziła ją tylko po spracowanej dłoni.

Motor pracował równiutko, jednostajny poszum wnikał do wozu. Prawie z sobą nie rozmawiali. I Maria i Okińczyc pragnęli jak najszybciej być z powrotem w domu. Złym znakiem rozpoczął się ten wrześnieowy dzień.

Marii różne myśli przychodziły do głowy. Dlatego, gdy Zgoniona wpadła nad wieczór do domu, uczuła się niemal szczęśliwa, widząc, że Pola leży na tapczanie w swoim pokoju. Dziewczyna podniosła się w tejże chwili i z hukiem zatrzęsła drzwi. Maria westchnęła, zarazem pomyślała, że mogło być jeszcze gorzej. Od dwóch dni pozostawała pod wrażeniem lakonicznej, ale bardzo wymownej opowieści emeryta Siwiaka i późniejszej rozmowy z Miłą. Poli też podobnie głupie, rozpaczliwe myśli przyjść mogły do głowy... Po raz pierwszy posiłek dla niej nie został przygotowany. Mieszkanie stało nie uprzątnięte. Nawet w zewnętrzny porządek wspólnego ich życia weszło coś odmiennie nowego. Gdy w niewielkim

kręgu stojącej lampy usiadła potem za stołem, by przejrzeć akta uruchamianej od piętnastego szkoły, cicho uchyliły się drzwi do pokoju Poli. Obróciła się,

Pola stała wyprostowana, lekko wspierając się o framugę. Patrzyła. Maria nie mogła odczytać tego spojrzenia, krąg światła lampy tam nie docierał. Milczała w oczekiwaniu.

- Jakże ci się wiodło z Okińczycem?

Wzruszyła ramionami.

- Masz, Polu, dziwne pytania...

- To ja ci powiem, że grubo się łudzisz. Nie będziesz go miała. Teodor jest mój, choćby nie wiem co, on musi być mój. Zrozum to dobrze!

Zimny był ten głos, wibrowało w nim skryte silne napięcie. Maria odczekała długą chwilę. Ale Pola milczała, ciągle stojąc wsparta o framugę drzwi.

- Ja ci go nie zabieram, Polu... I nie staram się ani trochę, by wybór padł na mnie. Ja... ja chciałabym, aby on ciebie pokochał...

Dziewczyna zaśmiała się.

- Śmieszna jesteś, stara i głupia, Mario - mówiła głucho.- Stara i głupia... Pamiętaj, Okińczyc jest mój i wara tobie od niego. Pamiętaj.

Tak cicho, jak otworzyła drzwi, zamknęła je teraz za sobą. Maria tkwiła na swym miejscu pełna rozpacz. Słyszała tłumiony płacz Poli. Wtedy w niej także wszystko się załamało.

I tak zostawały, przedzielone cienkimi drzwiami, obie nieszczęśliwe, obie obce sobie, siostry.

Pierwszy raz usłyszał to słowo w odniesieniu do siebie, gdy za wyraźne pokpiwanie z roboty wyrzucił jednego z robotników, osiłka o szerokich barach. Odchodząc, syknął wtedy z niezrozumiałą dla Okińczyca pasją:

- Czekaj że ty, zaśmierdły kapitalisto, jeszcze ci się noga powinie, nie będziesz już ludzi krzywdził i wyzyskiwał.

Śmiechem mu parsknął za odpowiedź w masywną, czerwoną gębę?

Wytwarzanie się osobliwego nastroju wokoło swojej osoby wyczuwał coraz to częściej. Zachwycanie się jego „kanadyjskością” spowszedniało, on sam już wszedł w społeczność miasteczka. Wszedł jednak na pewnych szczególnych prawach.

Urządник prezydium przy załatwianiu drobnej zupełnie sprawy orzekł, że musi się naradzić z przewodniczącym.

- Takie głupstwo i aż przewodniczący?

- Bo to, rozumie pan, my zawsze ostrożnie, gdy występuje prywatna inicjatywa...

Przy rozładowywaniu wagonu nadeszłych dla niego maszyn do warsztatu kolejarze zacmokali do siebie:

- Widzisz, brachu, taki burżuj wszędzie będzie miał dobrze. Co forsa to forsa.

Któregoś dnia zjawilo się u niego pod wieczór dwóch starszych jegomościów, jednego znał, trudnił się handlem okrężnym czy pośrednictwem, drugi przedstawiał się jako wytwórca, jak to określił, galanterii metalowej. Zakład ma w Sulechowie. Wódkę z sobą przynieśli, żeby się lepiej gadało. Mają interes do niego, przyglądali się z daleka, widzą, że ma smykałkę.

- Bo to teraz w Polsce można sobie zaradzić tylko w Warszawie albo na ziemiach zachodnich. Gdzie indziej żyć już naszemu człowiekowi nie dadzą skarbowcy pospołu z milicją...

Zaciekawił się. O czym on do cholery mówi?

- Naszemu, to znaczy, że co?

Tamten aż gębę rozdziawił w uśmiechu.

- Cwaniak z pana, panie Okińczyc, cwaniak. Staszek - wskazał na kompana - dawno mi już pogadywał o panu. Zagiąć pana nie będzie im łatwo?

- Komu?

- No, im wszystkim. Władzom... Trudno żyć, ale jeszcze grosz jakiś da się zarobić. Zwłaszcza gdy jest kapitał. Dobre są tylko takie interesy, gdzie można doskokiem chwycić swoje, a zaraz potem zwijać manele. Kolega Klemens już czwarty raz zakład otworzył, przerzuca się z branży do branży. Od razu na całego, pełny gaz, i potem spokój. My z czymś takim do pana, ale nalać by przedtem warto, panie Okińczyc. Jak panu na imię?

- Teodor.

- Panie Teodorze, jakoś tak poręczniej z imieniem... Mamy na widoku klasa interes, tyle, że trzeba tam więcej forsy. Tak z pół miliona. U nas by się z połowę tego zebrało, ale to mało. Więc żeby pan...

- Hop, siup, nasze zdrowie, panie Teodor... A ty, Staszek, gadaj do rzeczy od końca zaczynasz. Przedtem interes, potem się pomyśli o forsie. Tylko, panie Okińczyc, ani słowa, bo nam kto jeszcze uprzątne interes. Sprawa czysta, należy ją tylko podeprzeć, ale tyle chodów jeszcze się ma. Bo my tu od dawna, kolega Klemens jeszcze w czterdziestym piątym handlował dywanami. Panie, co tu ich było, niektóre takie, że do towarowego wagonu trudno było dywaniki wpakować...

- Raz musiałem ciąć taki jeden na cztery, żal, ale cóż. I tak sprzedał się dobrze. W Warszawie szły jak woda, miasto w ruinie, kto mógł, urządzał się tam od nowa.

- Jak się bliżej spikniemy, zdarzy się na wspominki niejedna okazja. Teraz do rzeczy, niech jeno naleją. Siup, nasze zdrowie! Wargi jedynie pan moczy? Czekaj pan, panie Teodor, jak pan usłyszysz, co za złoty interes, sam pan każesz po litra posyłać... Otóż, widzisz pan, dla władzy najważniejsze, żeby do reszty wszystko zagospodarować, temu i ciut, ciut, przez palce patrzą na takich jak my, niby na tych ludowych kapitalistów.

- Aha... No i co? - pohamował chętkę, by obu wyrzucić za drzwi.

Jegomość zwany Staszkiem konspiracyjnie przysunął się bliżej. Towarzysz jego z namaszczeniem rozlewał wódkę.

- Tylko ani słowa, panie Okińczyk! Ani słowa... Pana tu jeszcze nie znają, nie podpadł im pan, więc by się założyło interes na pana nazwisko. Taką wytwórnię artykułów antyimportowych, to bardzo dziś popierają... Zaraz powiemy co... Ruszylibyśmy na cały gaz, tak, żeby od pierwszego dnia produkować więcej, niż to podamy we wniosku o zezwolenie. My już mamy odbiorców w handlu państwowym, na dziesięć procent. Rozumie pan? Przy jednej partii oficjalnej dostawy dwa razy tyle wezmą pod ładę. Kolega Klemens ma chody w całej Polsce, panie, wszędzie ludzie żyć muszą. Rok tylko byśmy ciągnęli, no, może dwa, i potem fiut zamykamy interes. Wróci się nam poczwornie. Panie Teodor tu pachnie milionem na czysto. Milionem... Takich wyłączników brakuje, a wielki przemysł prędko z nimi nie ruszy. Mówię panu, prawdziwa Kanada...

- Ha ha ha, toś panu zasunął. Pan sam z Kanady, tej innej, ale zawsze...

Wywalił ich potem na zbity pysk, oczy wytrzeszczali, nie rozumiejąc. Przecież to był taki dobry interes. Myśleli, że on też z naszych.

Wtedy zaczął trochę więcej pojmować. Zatem tacy stwarzali klimat, dzięki nim tworzyła się i wokół niego niezdrowa opinia. Jasna cholera! Awansował na kapitalistę. Żebyż to ojciec mógł słyszeć, dopiero by się za głowę złapał.

Długo tkwił pogrążony w goryczy. Ładna historia, po to wracał do wytęsknionego kraju, żeby sobie zasłużyć na szeptane gdzieś podobne opinie. Kapitalista, psiakrew! I kto go tak nazywa? Z jednej strony różne niebieskie ptaki, operujące terminem nasi, z drugiej jakieś rozleniwione bęcwały czy biurokratyczni asekuranci... Tyle lat harowy, igrania z życiem, spiekota czy mróz, zawsze na dworze, z wyteżoną uwagą, z napiętymi nerwami. Częsty głód, ciągła niepewność jutra, ciułaczką lat przyrzuciła wreszcie nieco grosza, a teraz kapitalista. Że się własną pracą dorobił?

Jeszcze raz doświadczył, jak mało wie jeszcze o kraju, jak ciągle się musi go uczyć. Od zlej i dobrej strony... Może naprawdę należało zadekować się w wielkim mieście, przyjąć skromną posiadkę, żyć z posiadanych zapasów? Nikt by go nie podglądał ani dochodził, co i

jak. Tutaj zaś jak na otwartym polu widoczny jest z każdej strony. Każdy jego krok przy tym można sobie dowolnie tłumaczyć.

Nie znosił wahań. Dotychczas dzięki szybkiemu podejmowaniu decyzji wychodził zazwyczaj obronną ręką. Jak choćby wtedy, nad Anglią, gdy w czasie walki z niemieckim myśliwcem zaskoczony został zniemacka od tyłu przez dwa następne.. Zadecydowały ułamki sekundy, nie tylko się wymknął, jeszcze dwóch napastników posłał we wszystkie diabły. Dymiąc, sypały bezładną masą ku ziemi. Albo to starcie w Kanadzie z niedźwiedziem, skończyło się tylko na podrapaniu pazurami ramienia...

Teraz łapał sam siebie na momentach wahania. Czy słuszna była decyzja, oparta wyłącznie o sentyment dla nieżyjącego przyjaciela? A skoro już zamyślił osiąść w tej mieścinie, czy nie należało pomyśleć o innym zabezpieczeniu życia? Konieczny był ten warsztat, kłująca oczy przebudowa zrujnowanej ponemieckiej budowli? Co jednak innego miał zrobić?

Gdy przyglądał się odnowionemu budynkowi, z szerokimi, jasnymi oknami, z warsztatami umieszczonymi w głębi, z ogrodzeniem opasującym niemal półhektarową parcelę, przypomniał sobie zarazem, że tylko patrzeć, jak stuknie mu pięćdziesiątka, nie szczenięce już lata, a on właściwie nie bardzo wie, jak pokierować dalej swym życiem.

Młody inżynier z Zielonej Góry, projektant planu przebudowy, zagadnął kiedyś półzartem:

- Co właściwie będzie pan robił? W małym pokoiku można w pojedynkę udusić się z nudów, cóż dopiero w takim domu... Chyba, że pan zaplanował sobie i osobiste sprawy...

Wtedy tak już bardzo, bardzo poważnie zaczął myśleć o Marii.

Z obrazem siwowłosej kobiety przed oczyma zakładał w swoim ogrodzie pasiekę, przygotowywał teren pod szczepki drzew owocowych, wydzieliał sporą przestrzeń na kwiaty. Róże, na pewno je lubi, pasują do niej...

Bardziej konkretne kroki odkładał na później. Niech zakończy porządki, niech ruszy warsztat mechaniczny, zwlekają coś z zezwoleniem, choć obietnicę uzyskał już dawno, niech unormuje się wszystko. Dwóch srok za ogon złapać od razu się nie da. Tym bardziej że z Marią coraz silniej i najmniej spodziewanie wiązać się zaczynała sprawa Poli.

Szyborska podobała mu się już od pierwszego spotkania w szpitalu, gdy zgłosił się tam na opatrunek. Kwiaty posłał na drugi dzień. Potem niewiele o niej myślał. Dopiero wspólny wyjazd na uroczystości grunwaldzkie! Niby tak jeszcze niedawno, dwa miesiące dopiero mijają, a tyle się w tym czasie zmieniło.

Goląc się któregoś ranka - nie tylko czuprynę, zarost też mocno miał szpakowaty - uśmiechał się do swego oblicza: - Zakochałeś się, Dorek, do jasnej Anielki? I zastygł z brzytwą w wyciągniętej dłoni, już bez poprzedniego uśmiechu na twarzy. Czy się zakochał...

Dziwne, nie zadawał sobie dotychczas podobnego pytania.

Lubił Marię, z każdym spotkaniem bardziej ją lubił, myślał o niej coraz częściej. Pociągała go jako mężczyznę. Że ma już pewnie pod czterdziestkę? I tak jeszcze młoda w stosunku do niego. Nie będzie się żenił z byle sikuchą, żeby potem szukała szczęścia poza nim. Przy tym gdyby nie siwe włosy, po Marii nie byłoby znać jej lat... Jeszcze by niejedno dziecko mogła urodzić.

Uchwycił się tej myśli. Może myśli o Marii, podświadomie szukając w niej przede wszystkim matki dla swoich dzieci? Jeszcze tam, w buszach Kanady, nieraz gaworzyli z Frankiem, jak to wrócą do kraju, założą rodziny, po domu pętać się będą małe berbecie. Obaj lubili dzieci. Okińczycowi nieraz takie niepodrosłe brzdące jawiły się w snach. W miasteczku u kogo cieszył się naprawdę nieklamana sympatią, to właśnie u łobuziaków obojej płci, wyglądających, gdzie zatrzyma się czarny ford i „Kanadyjczyk” zacznie częstować cukierkami. Co dopiero, gdyby mieć swoje. Wszystko miałoby wtedy inny, nowy sens, i dom, i warsztaty, i ogród, po którym uwijały się zapobiegliwe pszczoły z niedawno kupionych rojów.

Pozacinał się tego ranka przy goleniu jak nigdy, aż sklął siebie serdecznie, smarując skaleczenia alunem. Zupełnie jak gołowąs, co podpatrzył pierwszy raz gołą dziewczuchę.

Jedno wiedział już: po prostu kocha Marię dla niej samej. Taką jaka jest, z siwymi włosami, ze wzrokiem tak jasnym, że niemal wypranym z błękitu, z energią, zapalem, z miłością do swej rodziny, czego dowody spostrzegł w jej stosunku do Poli.

Pola, niechże ją piorun trzaśnie. Nie potrafił myśleć o dziewczusze spokojnie. Stawała się niebezpieczna. Zauważył, że Maria zachowywała się czasem co najmniej dziwnie, starając się usuwać w cień, gdy byli we trójkę. Jakby chciała stwarzać szansę dla siostry. Czyżby w ogóle myślała o nim tylko jako o mężu dziewczyny? Zaraz wszakże przypominał sobie chwile, gdy byli z Szymborską sami. Tak się zachowywać mogła tylko kobieta, której nie był obojętny. Może tylko po prostu boi się tej Poli, jej zwariowanych odruchów,ikliwych nastrojów, ściągania ust i patrzenia w przestrzeń z miną urażonej księżniczki.

Więcej pojął po którejś rozmowie z profesorem Gollubem. Ostatnio odwiedzał go często, znaleźli wspólny język. Doktor nie znajdował słów uznania dla Marii, bez żenady podkreślał wpływ, jaki wywarła na niego w ciężkim okresie załamania i niewiary w siebie. Mówił dużo o Niesuszu, czym stała się Maria dla swojego rodzeństwa. Wspominał również o Poli. Dziewczyna jest dojrzała, sama mogłaby sobie radzić, tylko że jest coś w Marii, co każe jej zawsze poświęcać własną osobę dobru najbliższych. Dla nich gotowa zrezygnować z tego, co się jej najsluszniej należy. Na pewno zaś należy się nieco osobistego szczęścia. Przecież ona

nigdy dotychczas nie żyła dla siebie.

Wydawało się Teodorowi, że mówiąc tak, profesor szczególnie jakoś wpatruje się w niego zza szkieł binokli. Jakby dyskretnie pragnął uprzedzić, może doradzić.

Dwa słowa zwłaszcza długo dźwięczały mu w uszach. Zrezygnować, ustąpić... Aż wreszcie zrozumiał. Gollub go wyraźnie przestrzegął, że Maria gotowa byłaby poświęcić się dla dobra Poli. Stąd ta chwiejność w jej zachowaniu, próby utrzymywania dystansu, wyraźne ustępstwa w stosunku do siostry. Niby drobiazg, ale w kinie siadała tak, by Pola ich przedzierała, w fordzie wybierała dla siebie tylne siedzenie, gdy byli w trójkę brakło w jej słowach cieplejszych akcentów, które tak lubił. Stąd może tak rzadkie ich spotkania, krótkie, jakby spłoszone rozmowy. Po tej scenie przed wyjazdem z Margišką do Poznania Maria najwyraźniej chciała się odsunąć. Dla Poli.

Gdy potem wracał nieraz do tych wspomnień, stwierdził, że dopiero wtedy uświadomił sobie najpełniej, całkiem już wyraźnie, że przecież on Marię kocha. Głupie słowo, mało już razy sam je szeptał do ucha byle ładnej i łatwej dziewczynie? Przed wojną w Polsce, a potem w Anglii, gdy paradował w lotniczym mundurze, jeszcze później w Kanadzie. Mówiło się tak bez podkładania jakichś treści, potem się odchodziło, nikt nie miał o to pretensji. Dopiero teraz. Pierwszy, a właściwie drugi raz w życiu... Był jeszcze pełnym szczeniakiem, dopiero ukończył mechaniczną szkołę, zakochał się w Anetce, ładnej, zgrabnej czarnuli, która głowę zadzierała do góry, ani chcąc patrzeć na niego. Ciężko to przeżył, strzegł się potem przed większym zaangażowaniem i ustrzegł się do dziś, do spotkania z Szyborską. Okińczycowa, to nawet ładnie by brzmiało...

Postanowił, że tym razem całopalenie swojej osoby nie uda się Marii, on nie dopuści do tego. Nie zrezygnuje, nie z Anetką to sprawa, doświadczenie życiowe ma dzisiaj inne...

Nie będzie się na gówniarę oglądał. Wydaje się jej, że skoro jest ładna, ma bo szelma coś w oczach, w wyrazie twarzy, że można się przy niej zapomnieć, to on, Okińczyc, zaraz na nią polecą. Kuprem, bestia, wykręca jak stara zdzira. Skąd się takie pierze uczy od razu podobnych sztuczek? Nie na niego te plewy. Znajdzie sposób, by uspokoić smarkatą. Klina między Marię i niego nie uda się jej wsadzić na pewno.

Jak powszechnie lubiano i szanowano w miasteczku Marię, mógł się przekonać przy ceremonii otwarcia dwuletniej szkoły pielęgnarskiej pod jej dyrekcją.

Pewnie, trochę rozdmuchano uroczystość odgórnie. Z Zielonej Góry i powiatu przyjechało sporo dygnitarzy, był nawet przedstawiciel ministra zdrowia z Warszawy, nie mówiąc o miasteczkowych luminarzach. Wielka feta, przemówienia, wstęga, kilkadziesiąt

stremowanych dziewcząt, Maria wydręczona ostatnimi tygodniami do cna, ale zadowolona. Jak dotąd wszystko według programu i zgodnie ze sztaampą. Okińczyc był znudzony. Odzwyczał się od takich imprez, typowo polskich, choć doceniał, że nowa szkoła to znak awansu dla ich miasteczka.

Przełamało się wszystko w tym punkcie oficjalnego otwarcia, który przewidywał w drukowanym zaproszeniu „wręczenie darów”. Bo to ministerstwo ufundowało biblioteczkę, komitet partii aparat radiowy, coś tam prezydium, zakłady pracy. Ładnie, w końcu wspólna ich wszystkich szkoła.

Na tym się lista wyczerpywała. Ale wśród zebranych trwało wyczekiwanie. Niektórzy poszturchiwali się porozumiewawczo. Pierwszy podniósł się z miejsca ogrodnik Kaźmierczak. Że doceniając, włączając się, uznając, zawsze taki był oficjalny, zobowiązuje się zagospodarować i zasadzić krzewami i kwiatami teren przed szkołą... Oklaski, gwałt, pisk dziewcząt, Maria dziękująca z wylaniem. Doktor Gollub ofiarował mikroskop, sam jeździł po niego do Poznania. Ogólny podziw, potrząsanie głowami, ktoś szepce sąsiadowi, iż profesor podkochuje się po cichu w dawnej pracowniczce szpitala... Dopiero jednak brawa zabrzmiały, gdy dukając, czerwona z emocji i wstydu, zaszeptła gdzieś z kąta Czmuńkowa, zbieraczka jagód, że ona sto litrów borówek, dla stołówki przy internacie, żeby dziewczuszki miały do mięsa, więcej nie może, choć chciałaby z serca. Maria podeszła i ucałowała serdecznie babinę, potem zaś wśród uczennic wyszukała wzrokiem Miłę. Wiedziała, że gest Czmuńkowej wiązał się z jej przywiązaniem do dziewczyny. Plastyk Lipiński z długimi włosami przydźwigał pięć swoich obrazów, z dumą się potem oglądał po zebranych. Uehonorowali go, owszem, ale na obrazy spoglądali z niejakim zdumieniem. Kolorowe, prawda, ramy też ładne, tylko że nic zrozumieć nie można. Dopiero ktoś wytłumaczył, że to nowoczesne malarstwo.

Okińczyc skonsternowany oglądał się na kolejnych ofiarodawców, widział twarze miejscowych notabli, zdziwioną poważnie przewodniczącą, roześmianą z uciechy sekretarza, godne i zaszokowane zarazem przybyłych z daleka dostojników.

Jakieś kobiety zgłosiły chęć ufundowania i uszycia sztandaru dla szkoły, GS-y z dumą ustawiły na podium dwie pralki dla internatu, magister Rękawek położył na stole dziesięć egzemplarzy - swej pracy, opatrzonych dedykacjami, matki uczennic ofiarowały dyrektorce serwis porcelanowy, aż się komendant milicji zmarszczył, dumając, czy nie łapówka, dopiero na widok uśmiechniętego sekretarza wziął udział w owacji. Jeszcze kwiaty, czyjeś przydługie przemówienie, że my, obywatele, strasznie się cieszymy, bo to właśnie u nas, jako dowód, co zarazem stanowić musi zobowiązanie...

Ucichło. Okińczyc czuł, jak oblewają go poty. Nie przyszło mu coś takiego do głowy. Z samego rana posłał Marii do domu kosz róż, ale żeby występować z prezentami. Ci i owi już się oglądali na niego, usłyszał za sobą szept, że „Kanadyjce” ma węża w kieszeni, tymczasem nic mu nie przychodziło na myśl, czuł się całkowicie wyprany z pomysłów. Coś trzeba jednakże zrobić, zaraz przejdą do następnego punktu porządku dziennego. Podniósł się. Zacichło, wszystkie oczy zwróciły się na niego w oczekiwaniu. Pierwszy to występ publiczny Kanadyjczyka.

- Ze swojej strony prosiłbym o przyjęcie... - pustka, zupełna pustka w głowie. O rany, co tu, do jasnej cholery, zaofiarować? - o przyjęcie... pięciu tysięcy złotych na potrzeby szkoły, do decyzji dyrektorki, na co je zużytkować...

Usiadł nieprzytomny z przejęcia. Co się z nim dzieje, nigdy nie tracił zimnej krwi. Tak go to zaskoczyło? Czy fakt, że Maria jest dyrektorką? Zupełnie jak sztubak, jak zakochany smarkacz. Ale to chyba dobrze, jeżeli człowiek pod pięćdziesiątkę potrafi się jeszcze kochać jak sztubak? Z całym uczuciem, podnosząc głowę, spojrzął na Marię...

Nie zdawał sobie sprawy, że bardzo gorąco przyjęto jego gest, z podziwem i uznaniem. Właśnie przycichały oklaski. Przyłapano teraz jego spojrzenie musiało być niesłychanie wyraźne, plotki od dawna zresztą krążyły już po miasteczku, wywołało nową reakcję. Życzliwy śmiech, a potem brawa, aż się zatrzęsło.

Najpierw dojrzał łunę bijącą na twarz Marii, aż od tej ^czerwieni jeszcze mocniej odbiła się mleczna siwizna włosów, dopiero zrozumiał. Masz babo placek, naprawdę smarkacz! To określenie go ubawiło. Sam zaczął się śmiać.

- Brawo, Okińczyc!

- Brawo! - podjęli rzucony przez kogoś okrzyk.

Nagle w tę wesołość i radość wdziera się przeraźliwy krzyk.

Zaraz potem jedna z dziewczyn usuwa się na podłogę zemdlona.

Cisza. Kto to? Pola Szymborska. Doktor Gollub marszczy brwi, biegnie ku zemdlonej, są już siostry ze szpitala, wynoszą dziewczynę. Konsternacja, szepty, zmrożony nastrój.

Maria teraz jest blada. W pierwszej chwili chce wybiec za siostrą, z trudem się powstrzymuje, parę razy otwiera usta i znów zamyka, nim wreszcie znajduje właściwe słowa:

- Państwo wybaczą to zakłócenie. Dziewczyna wrażliwa, cieszyła się naszą szkołą, stąd tak silna reakcja...

Wie, iż mało kto wierzy temu, co mówi. Musi tak jednak powiedzieć. Już nie o nią tu chodzi, nie o Połę i nie o Okińczycza, chodzi o sprawę szkoły.

Delegat kuratorium z Zielonej Góry aprobująco kiwa głową, zaraz zabiera głos, choć nie

było to przewidziane w tym punkcie. Podniecenie wygasa, już jest wszystko normalnie, gdzie się tylko entuzjazm zapodział, została znów nudna feta, którą trzeba odbębnić.

Okińczyc wpił ręce w siedzenie krzesła. To już naprawdę poważnie z Połą. Ten jej krzyk. Nienawiść w nim i podrażniona ambicja, i zazdrość. Że wszyscy połączyli go tutaj z Marią, odnosząc się do nich życzliwie i ciepło. To ją zabolalo, przyjęła oklaski i uśmiechy za swoją porażkę.

Do wszystkich diabłów, klął w duchu. Biedna Maria, jak to musi przeżywać, na oczach wszystkich zmuszona nadal kierować uroczystością otwarcia. On przynajmniej może się skryć, opuścić głowę, nie musi nic mówić, jego prawo gwizdać w końcu na wszystkich. To jej dopiero piwa nawarzył swym zagapieniem, naprawdę jak niedowarzony pętał. Dobrze, że już ten facet gędzi, bractwo się znudzi, zapomni...

Wsunał się cicho doktor Gollub, głową skinął na pytające wejrzenia wszystko już dobrze. Emocje mijały, za chwilę zwiedzanie szkoły, potem jakaś kawa i ciastka. Okińczyc postanawia, że za nic w świecie nie pójdzie, wysunie się zaraz do domu. Cholera, tylko ten ford, każdy usłyszy warkot motoru, może wyjść jeszcze głupiej.

Przypomniał sobie, że zaofiarował pieniądze, ale niczego dyrektorze nie wręczył. Spasował. Naprawdę głupiej na stare lata. Wyciągnął książeczkę czekową, wypisał przekaz. Ciekawski sąsiad zaglądał przez ramię. Gotowe, wręczy przy pierwszej okazji.

Teraz dyskretnie ogląda się po obecnych. Niektórzy patrzą na niego, nic, normalnie, nikt się nie śmieje. Przyzwoita wiara. Ktoś kiwa życzliwie głową, to Kirgiełło, ten młody nauczyciel, przyjemny facet, niedawno przegadali sporą godzinę. Dobrze ma w głowie. Tu więcej ciekawych ludzi, nie miał po prostu czasu ich poznać. Jednak lubią go, coś mówiły te brawa. A może były one dla Marii, może tylko ją lubią, on jest im obojętny. Wszystko jedno, niech będzie dla Marii.

Tam co znowu się dzieje? Za oknami. Krzyki, skrzyp kół, furmanką czyżby przywieźli chorego, myląc wejście do szkoły z wejściem szpitalnym?

Do okna ktoś się zbliża, szeroka, czerwona z wysiłku twarz, jakaś dłoń dudni co siły, szyby brzęczą. Okińczyc kątem oka dostrzega pobladałą nagle twarz Henryka Kirgiełły, nie rozumie co znowuż *przeraża* tamtego. Wtedy poznaje za oknem panią Kirgiełłową. Wali w szyby i krzyczy:

- Toż pomóżcie, oni sami nie dźwigną, ciężar taki... Pomóżcie, ludzie.

Pod batutą Kirgiełłowej zdejmują z wozu pakunki owinięte w worki, uginając się pod ciężarem niosą je prosto do sali, w której odbywa się uroczystość.

- Ostrożnie, gamonie, to nie klocek drzewa! Ludzie, uważajcie, skaranie boskie, gotowi

porozbijać...

Henryk Kirgiełło tkwił na swym miejscu jak skamieniały. Nie miał zielonego pojęcia, z czym matka zamierza wystąpić. Od miesiąca była bardzo ruchliwa, wyjeżdżała szereg razy, nie mógł jednak dociec przyczyny, na pytania odburkiwała niechętnie, dał w końcu spokój. Nawet rad był, że znalazła jakieś zainteresowania, mniej jakby obchodziła ją sprawa Leny. Aż tu tymczasem, masz babo placek.

Okińczyc spotkał jego bezradne, przestraszone wejrzenie. Uśmiechnął się dobrotliwie. Sam był ogromnie ciekaw, co się mieści w tych pakach.

Pani Kirgiełłowa wysforowała się teraz przed wszystkimi, ręce dumnie zaplotła.

- Spóźniłam się, ale bo to kto winien temu, że opona nagle w ciężarówce nawali... Nie szkodzi, jeszcze tu wszyscy jesteście... Otóż ja, żeby uczcić otwarcie naszej szkoły, pamiętając, że na tych ziemiach odzyskanych odżywa pamięć Chrobrych i Jagiellonów...

Cichy, ledwie słyszalny jęk Henryka Kirgiełły. Matka spojrzała w jego stronę, uśmiechnęła się, triumfalnie, zaczerpnęła oddechu:

- Pomnąc zarazem, że przodkowie rodziny naszej, Kirgiełłów, własną chorągwią Jagiełłę pod Grunwaldem służyli, umyśliłam ofiarować dla szkoły pomnik króla nad króle, Władysława Jagiełły. Niech przypomina tu dawne dzieje.

Skloniła się zebrany, potem gestem rozkazującym skinęła ku siedzącym najbliższym przyjezdnym i miejscowym dostojnikom.

- Proszę odsłonić.

Radzi nie radzi, zabrali się do rozwijania worków spowijających tajemnicze pakunki. Jeden tylko sekretarz komitetu nie mógł pohamować uciechy i gmerząc przy jakichś sznurkach, odwracał śmiejącą się twarz do pani Kirgiełłowej. Okińczyc pomyślał z sympatią, że musi być z faceta morowy chłop.

Odsłoniła się jedna bryła, potężny sześcian gipsu. Znow rozkazujące skinienie w róg sali:

- Tu proszę postawić.

Przenieśli, tyłtając ubranie białymi smugami.

Druga bryła, tę trzeba było ustawić na pierwszej. I dopiero popiersie, świetnie zrobione, rzeczywiście znana z Matejkowych obrazów twarz Jagiełły.

Brawa, ubrudzeni dygnitarze klaszcząc wraz z innymi ściskali dłoń pani Kirgiełłowej, tak pięknie pielęgnującej tradycje rodu, który walczył pod Grunwaldem.

Henryk, choć już uspokojony, zagryzał wargi, nie wiedział, od śmiechu bardziej czy od złości. Naprawdę, wszystkiego mógł się po swojej mamie spodziewać.

Ostre światło, jak zawsze przed zachodem słońca, kładło się plamami na świeżym tynku odnowionego gruntownie domu. Stojące przy ulicy topole rzucały długi cień, na którego skraju przysiadł apatycznie wyliniały kot. Zawołał na niego, zwierzak leniwie obrócił głowę, patrzył, wreszcie podniósł się i przeciskając się poprzez sztachety płotu, poszedł szukać spokojniejszego miejsca. Śmiech za nim pogonił.

Parzył jeszcze kawę, dreptał w piżamie po domu, nie od razu połapał się, że ogląda teraz wszystko pod nowym zupełnie kątem: jak się tu Marii będzie podobać. Nie rozmawiał z nią na ten temat, właściwie nawet nie oznajmił jej swoich zamiarów, ale dla niego wszystko już było jasne. Muszą się pobrać. Kto wie, może czym prędzej, tym lepiej. Pola ma teraz szkołę, nie będzie się nudzić, wywietrzeją dziewczynie z głowy niedowarzone amory.

W łóżku już próbował przeglądać gazety, otworzył książkę, jedną z kupionych niedawno w Zielonej Górze, nie znalazł w sobie ochoty na czytanie. Ziewnął w końcu szeroko, całą gębą. Od wschodniej strony uderzył o okna podmuch wiatru, coś wreszcie nowego, zastygła cisza wielu ostatnich dni męczyła spokojem nudy. Wsłuchiwał się w narastające pogłosy wichury, z napięciem łowiąc rosnącą siłę uderzeń. Piaskiem teraz sypnęło jak żwirem, zaskrzypiała gdzieś przed domem topola, zakręciło z nagłą w kominie. I jak ręką odjął, minął jego niezdecydowany, ospały nastrój, poczuł się młodzieńczo rześki. Przeskok od włóczęg po kanadyjskich bezdrożach do ospałego bytowania miasteczka był zbyt ostry, nie mógł przeminać bez skutków. Okińczyc odnosił coraz częściej wrażenie, że dziadziej, zbyt szybko wsiąka w gnuśnawy tryb życia wielu swoich nowych sąsiadów, gubiąc *zarazem* te cechy, które sam w sobie najbardziej cenił i które dopomogły mu w pokonaniu niejednej już przeciwności.

Usiadł, słuchając poszumów wiatru, spojrzeniem objął stojącą w kącie strzelbę, skrytą w brezentowym pokrowcu. Kanadyjska pamiątka. Gdy ją rejestrował w wojewódzkiej stolicy, urzędnicy brali broń do ręki z nabożnym nieomal skupieniem, oglądali, przymierzali się, wypytywali o karbowane kreski, nie chcieli uwierzyć, że to liczba upolowanych niedźwiedzi, orzekli wreszcie bezapelacyjnie, że podobnej broni w ich okręgu nawet nie szukać. Od miesiąca był członkiem koła łowieckiego, we wspólnej wyprawie na dziki zadziwił orientacją w obyczajach zwierzyny i celnością strzałów. Na trzy ubite sztuki dwie padły od jego kuli. Od razu zdobył sobie sławę pierwszego strzelca pośród myśliwskiej braci.

Już początek łowieckiego sezonu. Jelenie *zaczynają* rykowisko. Teraz, z tymi wiatrami, coraz to niespokojniej *zaczynają* krążyć dorodne byki, na las się niosą chrapliwe, pełne tęsknoty i niepokoju mruczenia, wzbierające charkotem, coraz silniej i silniej, by przejść w końcu w pożądaniem napelnione ryczenie. A potem cichną, nasłuchując odgłosów

konkurentów w zalotach do smukłych łań, z udawaną obojętnością pasących się na otwartych śródleśnych polanach.

Zatęsknił Okińczyc do wieczornych podchodów, do chwil przed świtaniem, kiedy las paruje rosą, wszystko jest syte nocnej ciszy, obrzmiałe snem, dopiero się prostuje do słońca. Gdyby mógł, zaraz by naciągnął odzież, chwycił broń i gnał w lasy, kędy chaszczce największe, zagajniki nie trzebione, gdzie pajęczyna srebrem się lepi do twarzy, a świerkowe gałęzie strzepują drobne jak i pył kropelki.

Pojutrze wielkie polowanie ich koła, otwarcie sezonu. Później już i pojedynczo można będzie wałęsać się przecinkami, podkradać pod porębowiska, czaić w cieniu młodniaków. Aż mu się mięśnie przeżyły na myśl o tej uciechu. Odstrzał wprawdzie niewielki, dwa byki, ale o to najmniej już chodzi, najważniejsze to odnowienie przyjaźni z lasem. Innym niż tamte, ale i bliższym, bo swojskim. Tu, gdy przysiadzie pod drzewem, nie będzie go żarła tęsknota, nie nadpłynie już obraz polskich borów bo będą tuż, dłonią tylko sięgnąć i przytulić gałązkę igliwia do twarzy.

Drgnął. Od drzwi rozległo się jakby pukanie. Spojrzał na zegarek, dochodziła już jedenasta, późna pora na gości. Jeszcze tkwił w miejscu, niepewny, czy mu się czasem nie przywidziało.

Tym razem pukanie mocniejsze, wyraźnie niecierpliwe. Niechętnie podniósł się, wsuwając ręce w rękawy ciepłego szlafroka. Kie lichy? Kto się tak może dobijać? I nagle przemknęło lśnieniem: Maria. Pędem rzucił się w stronę drzwi, otworzył szeroko. Światło spadło na szczupłą sylwetkę dziewczęcą.

- Pola? - wciągnął je nieomal do środka.

- Ja - paliły się jej oczy, wargi miała nabrzmiąte.

- Stało się coś, na miłość boską? Maria? - niecierpliwym, złapał dziewczynę za ramię, potrząsał. Przejęty lękiem o tamtą, nie pamiętał sceny przy otwarciu szkoły, ani wszystkich kłopotów, sprawianych przez Połę.

- Nie, Maria przecie w Zielonej Górze. Naradę ma dyrektorów szkół zawodowych...

Mówiła to głosem zupełnie teraz już obojętnym, mijając go szła do jego sypialni, wiedziona żółtawym kręgiem światła lampki przy łóżku.

- Więc mów, z tobą coś złego?

Zatrzymała się, obróciła ku niemu, postąpiła tak blisko, że nieomal go dotykała piersiami, widział oczy szeroko otwarte i lśniące.

- Tak, Dorek, ze mną... Nie mogłam sama usiedzieć, to nowe mieszkanie przy szkole, pusto, smutno i tęskno. Bałam się, bardzo się bałam.

Napierała na niego całą sobą. Cofnął się lekko, ciągle jeszcze nie pojmując niczego. Rozejrzała się po pokoju.

- Ciepło tu bardzo... Można?

Nie pytając więcej, zrzuciła deszczowiec. Była w lekkiej jasnoniebieskiej sukience. Oddychała gwałtownie, piersi pulsowały, ręce jakby do taktu dygotały leciutko.

Wydała mu się wyższa niż w istocie, smuklejsza. Ładna była, teraz przybladła, tym silniej zaznaczały się wyraziste oczy i krój warg gładkich, leciutko podanych do przodu.

Położyła mu dłonie na ramionach, przytuliła się gwałtownie, mocno, uczył jej wargi na swoich ustach, wpijające się żarłocznie, dojrzał przymykające się powieki dziewczyny. Zagrały w nim wszystkie nie zaspokajane tęsknoty, długi, długi czas bez żadnej kobiety. Nie zdając sobie sprawy, co czyni, przygarnął dziewczynę, oddał pocałunek...

Aż się zatoczyła, tak ją odepchnął nieomal w tej samej chwili. Jeszcze przed ułamkiem sekundy nabrzmiała po brzezi radością oczekiwania, teraz wyczuła, że nadszedł moment przełomowy, zaraz zadecyduje się wszystko.

- Dorek.

Nigdy nie nazywała go po imieniu. Rozzłościło go to, szarpnął się:

- Zostaw! Po coś tu przyszła?

- Nie mogłam sama. Musiałam. Dorek, ja ciebie kocham, tak bardzo kocham. Nie oddam cię Marii, nikomu, słyszysz, ty będziesz mój, tylko mój.

Podbiegła, czepiała się jego ramion, którymi ją odpychał bezradny, jednocześnie wzbierający złością, jakąś cholerną pasją, dławiący w sobie i to coś, co kiedy indziej bez zwłoki pchnęłoby go w ramiona dziewczyny.

Nie spodziewał się po niej tej siły. Przemogła jego ramiona, całowała go po twarzy, po szyi, uczył ból od wgrzyzienia zębów na swej odsłoniętej spod pizamy piersi.

I już wszystko minęło, nie było żadnych wahań, wróciły w pełni siły. Złapał jej ręce żelaznym uchwytem, prowadził w kierunku fotela, wcale nie delikatnie rzucił w miękkie siedzenie., - Ani mi się waż wstawać i

Sam usiadł na łóżku, zapalił papierosa, dopiero przyjrzał się jej ciekawie, jakby się pierwszy raz dopiero ujrzeli, powiedział zupełnie spokojnie:

- Teraz gadaj, Pola.

Zacisnęła wargi.

- Już powiedziałam. Przyszłam do ciebie. Chcę być z tobą, spać, chodzić, jeść, chcę być zawsze. - I zaraz dodała dziwnie dziecinnie: - Ja już stąd nie odejdę.

Zaciągnął się mocniej dymem, puścił kilka kółek ustami. – Głupia jesteś.

Zranił ją, umyślnie tak uczynił. Uznał to teraz za jedyną metodę. Cios był trafny. Dziewczyną jakby coś podrzuciło.

- Głupia? - zaśmiała się. - Delikatny jesteś, uprzejmy... Tym mnie jednak nie zrazisz. Była chwila, prawda, że była, gdy zacząłeś mnie też całować, gdy trochę, a byłbyś się też zapomniał. Więc jednak nie jestem taka ostatnia, wycirus po świecie, znasz się pewnie na kobietach? Różne widziałeś. Więc masz, porównaj.

Gwizdnął, zgasił nerwowo papierosa. Dziewczyna zwariowała naprawdę. Co teraz zrobić? Znow ten brak decyzji, co z nim się dzieje?

Błyskawicznie zrzuciła sukienkę. Została w krótkiej halczce i ledwie spod niej widocznych figach. Jeden ruch, halka frunęła w ką, razem ze staniczkiem. Zgrabne, podane ku przodowi, nie pieszczone dziewczęce piersi zabielały na chwilę przesłaniając Okińczycowi wszystko inne. Odruchowo zgasił lampę. Pola zachichotała zjadliwie.

- Boisz się, boisz się mnie, moich piersi i ud, i ramion, boisz się, prawda?

Czuł, że idzie ku niemu, w stronę łóżka. Teraz właśnie wróciła decyzja. Szybko wyszarpnął sznur od lampy z kontaktu, by czasem nie przyszło Poli na myśl zapalić światło. Tego jej musiał oszczędzić... Wiedział, jest teraz naga, zupełnie naga. Zgrabna, bardzo zgrabna, naprawdę ładna, jeszcze z tymi błyskami w oczach. Niełatwo hamował narastające w nim podniecenie. Przez sekundę uczuł lęk, co byłoby, gdyby zobaczył ją w świetle, a potem jeszcze bardziej przeraził się myśli, co będzie, gdy dotknie ciała tej przeklętej dziewczyny.

- Nie bój się, Dorek, nie bój - zaszepiała tuż przy nim, znow te ramiona, zupełnie teraz już nagie.

Gdyby nie Maria, gdyby nie to, że niezależnie od pożądania, nie chciał jej, naprawdę nie chciał, rzuciłby w innym przypadku Połę na łóżko, niechby miała to, czego chce. Niechby miała...

- Gówniara - powiedział.

Ani się spostrzegł, gdy złapał ją wpół, przekręcił, przerzucił sobie przez kolana i twardą dłoń, nie żałując, wlepił kilka mocnych uderzeń. Klaszczącym, donośnym echem pobiegły po pokoju, a Okińczyc w tej chwili pomyślał, że pierwszy raz w życiu bije kobietę.

Rzucił ją na łóżko.

- Tak, a teraz się ubieraj i dosyć tych głupich zagrań, mościa panno.

Nie wyszedł, przystanął pośrodku pokoju. Zastanowiło go, czemu Pola nie płacze, nie krzyczy, nie spazmuje. Wszystko byłoby dobre, jeno nie to głuche milczenie.

Poprzez mrok widział białą pościel łóżka, na niej zwinięte w kłębek ciało. I tylko gwałtowny jej oddech mącił zapadłą ciszę.

- Pola, co z tobą? - zdumiał się swoim słowom.

Leżała tak długo, potwornie długo, choć nie przysiągłby, trwało to minutę czy może godzinę. Nic już nie mówił, łowiąc tylko w ciszy jej oddech. Oparł się o framugę drzwi. Czekał.

Podniosła się powoli, ciągle bez słowa, ubierała się przy tym samym fotelu, na którym przedtem siedziała. Domyślał się, teraz wkłada figi, teraz zapina stanik, naciąga przez głowę haleczkę. Potem szelest sukni i zaraz bardziej chropowate ocieranie deszczowca.

Ruszyła ku drzwiom. Usunął się krok, by zrobić przejście. Nieomylnie trafiła przez sień ku drzwiom wyjściowym. Szarpała się z zamkiem. Pomógł otworzyć, czekając w tej chwili, by uderzyła go w twarz, by spoliczkowała wiele, wiele razy. Obrzydliwe było wszystko, niesmaczne to co zrobił, naprawdę podle. Ale czy miał inne wyjście? Musiał to uczynić dla dobra swojego, dla dobra nade wszystko Marii.

Nie uderzyła. Ręka jej ani drgnęła, gdy przy zamku spotkała się z jego dłonią. Z dworu nadbiegało wraz z wiatrem rześkie, chłodnawe powietrze. Z daleka przyniósł się ryk byka opętanego pożądaniem.

Stojąc ciągle na progu, obróciła twarz w jego stronę. Czekał na jej słowa.

Nic. Odwróciła znów twarz, wolno zeszła ze schodków na żwir, zachrobotał pod jej nogami. Opanowanym krokiem szła ku furtce. Zaskrzypiały zawiasy. Szafirowy płaszcz dziewczyny zlewał się z mrokiem, skrzyp żwiru pod nogami przycichał.

Okińczycy słyszał tylko mocne, zwariowane bicie własnego serca.

14.

Prowadząc lekcję, kierował spojrzenie za okno. Liście klonu mieniły się jesiennymi barwami, kasztany sypały lśnącymi owocami. Niebo nabierało intensywniejszych tonów, cienie kładły się znacznie dłuższe.

Październik. Jeszcze trochę i nastąpi pierwsza ocena nauki tych wszystkich obwiesiów wierzących się na ławkach. Ślepią różnej barwy niby to wpatrują się w niego, ale przy każdej okazji strzelają na strony. Źle musi dzisiaj prowadzić lekcję, nie zaciekawia ich. Nic, niech się wiercą, ich prawo... Też wyglądają za okno, wiatr, stale teraz wieją tu wiatry, trzęsie zółkniejącym listowiem. Ciepło jednak. Rozhukani, pobiegliby strącać kasztany, staczać przy ich pomocy formalne walki: w hitlerowców i partyzantów. Jak to nawet w zabawach żyje przeszłość ich ojców.

Westchnął, próbując skupić się na przedmiocie. Zerknął na zegarek, jeszcze dziesięć minut lekcji, dłuży się czas...

Był wczoraj u Leny. Niczego znów nie mógł pojąć, choć zdawało mu się, że przeniknął bez reszty wszystko, co się dzieje w jej rodzinie. Tymczasem dwa ostatnie tygodnie zburzyły ten osąd. Zaszło coś, o czym nie miał pojęcia. Zagroda na północnym krańcu miasteczka, tuż obok otrzymującej ostatni szlif wykończeniowy, lada dzień mającej rozpocząć produkcję cegielni, przyjmowała go teraz niechętnie, z wyraźnym przymusem. Pał zresztą diabli Jerzego i starą Koniejenkową, gdybyż tylko nie Lena. Tymczasem właśnie Lena zmieniła się może najbardziej...

Zapatrzył się w chybotające na wietrze gałęzie, zamiatające powietrze pióropuszcami złocistożółtawych liści. Stał przy samym oknie, walcząc z pokusą, by przytknąć czoło do zimnej szyby i w dotyku gładkiej tafli szukać uspokojenia. Umazana atramentem strzała zrobiona z wyrwanej kartki, uczniowskiego zeszytu z pacnięciem uderzyła o szybę tuż koło jego głowy. Z tyłu nadbiegł chichot tłumiony łękiem... Dopiero Henryk pojął, że od paru chwil nic już nie mówi. Odwrócił się zgniewany. Chichoty zacichły, twarze przybrały wyraz skupienia, tylko w niektórych oczach czały się nadal łobuzerskie uśmiechy.

Zaterkotał przenikliwie dzwonek oznajmujący koniec lekcji. Henryk przymknął usta otwarte już do gniewnego wybuchu. Poprzestał na bezosobowym pogroźeniu palcem. Ujmując dziennik klasowy pod pachę, jakby gnany przez kogoś, szybko ruszył ku drzwiom wyjściowym. Bractwo zaszurgotało, wysypując się z ławek. Dopiero buchnął serdeczny, radosny śmiech.

Henrykowi w tej chwili było to obojętne. Niejedno mu teraz zobojętniało. Obraz Leny przesłaniał pozostały, miasteczkowy świat. Narastał w nim żal do samego siebie. Był jakiś nieporadny, naiwnie dziecinny w kręgu spraw związanych z przepelniającym go uczuciem. Próżno szarpał się szukając ostatecznego rozwiązania, nim dojrzała decyzja, wszelkie kształty zmieniały swą barwę, wymagały nowego przystosowania. Często go nawiedzało wspomnienie niedawno wypowiedzianych słów matki, przy jednej z ich zapalczywych dyskusji. - Mała z ciebie, Heniu, pociecha imieniu Kirgiellów... Aniś we mnie się wdał, ani w swojego ojca. Ten był przynajmniej rogaty, nawet ja nie mogłam go przewojować, jak wtedy, gdy uparł się, aby osiąść w tej dziurze. Dziad twój w łapciach czasem mi tylko cię przypomina. Taki sam jak ty chwiejny był, niezdecydowany, rozlazły. Tymczasem życia rozmamłaniem nie przewojujesz. Takich bije ono bez miłosierdzia...

Wyszła zaraz, znów ją gdzieś gnało, nie zwierzała mu się, truchlał, jaka nowa heca z Jagiełłą wyskoczy niespodziewanie. Jej słowa obeszły go bardzo mocno. Może naprawdę, myślał, jest jakiś niedowarzony, bez decyzji, wołący zawsze wyczekiwanie na bieg wydarzeń, niż ich powodowanie. Bo właściwie to z Leną także...

Obawy jego, czy tragiczna śmierć ojca, ciężka atmosfera Koniejenkowego domu, nadal nie będą rzutować na zachowanie dziewczyny, rozwiały się szybko. Smutek jej był naturalny, należało go uszanować. Wygasł natomiast ów dręczący niepokój, męczarnia wyczekiwania na coś, co choć niespodziewane, musi jednak nastąpić. Z Leny jakby opadł zły czar, była teraz znowu taką, jaką poznał ją kiedyś. Już nie zapadały pomiędzy nimi męczące minuty milczenia, wypełnione nie nazwaną obcością i brakiem poczucia wspólnoty. Garnęła się do niego, jakby nawet manifestowała swoje uczucie.

Szanował pamięć niedawnej śmierci Koniejenki, nawet w pocałunkach był wstrzemięźliwy, raczej ona pierwsza sięgała ustami do jego warg, jej dłoń mocnym uściskiem przekazywała mu i oddanie dziewczyny, i coraz mniej tajoną gwałtowność kochania. Lena wyczekiwała teraz jego słów, tych, przed którymi tak jeszcze niedawno się strzegła. Jego zaś dręczyły skrupuły, że jeszcze należy odczekać, niech zacichną szlochy starej Koniejenkowej, niech rozmaże się w ludzkiej pamięci echo tamtych wydarzeń. Któregoś wieczora, oszołomiony pocałunkami Leny, zachętą wyczytaną w ciemnych jej oczach, zaczął:

- Gdy już będziemy ze sobą razem...

Nagle umilkł. Jak żywą zobaczył przed sobą postać Piotra Koniejenki. Wzdrygnął się. Jeszcze nie czas, jeszcze muszą poczekać. Lena tymczasem spoglądała z nagłym wyczekiwaniem, uściskiem ręki starała się poddać treść dalszych słów.

- Gdy już?... Dokończ, Heniek.

Nie dokończył. Wściekły był na siebie i w tamtej chwili i potem, gdy wspomniał ten moment. Jeżeli mówił dziewczynie, iż ją kocha, należało też mówić dalej... Marzył, jak wprowadzi ją do swego domu, jak zawsze będą już blisko z sobą, to jej pragnął powiedzieć, właśnie to. Jeśli zaś nie mówił, wiedział dobrze, że nie sama tylko delikatność w stosunku do niedawnej tragedii Koniejenkowej rodziny go wstrzymywała, ale i coś znacznie bardziej już wstydliwego. Bo jeszcze bał się swej matki, bał się jej reakcji na samą tylko zapowiedź zamiarów ożenku. Stanowczy sprzeciw Kirgiełowej w stosunku do Leny stawał się trudną zaporą. Coraz częstsze były wycieczki starszej pani przeciwko Lenie, w tonie pojawiały się akcenty jak gdyby groźby. Paraliżowany tym, odwlekał z dnia na dzień zasadniczą rozmowę...

Męczący stan rozbratu pomiędzy pragnieniami obu bliskich mu kobiet wyrównywało zachowanie Leny, nie skrywana dłużej jej miłość. Dopiero teraz stał się pewny jej wzajemności.

Przychodził do obejścia na północnym krańcu miasteczka nieomal każdego wieczora. Dnie Lena zajęte miała pracą, Jurek narzucił ostre rygory, jakby w nieprzytomnej harówce

pragnął zabić w sobie tęsknotę za przerwanimi studiami, więcej zaś może jeszcze za młodzieżą, wśród której pracował w Poznaniu.

Wieczory spędzali we dwójkę, przeważnie na ławce pod rozrosłą jabłonią, w której splekanej korze znajdowały schronienie świerszcze, bzykające ochoczo z nastaniem zmroku. Siedzieli przytuleni, rozradowani wewnętrznym spokojem, pewni siebie i ufni. Przygasały w takich chwilach namiętności i tłumione pożądanie, dające znać czasem o sobie w bardziej gwałtownych uściskach i pocałunkach.

Lena manifestowała ich uczucie. Którejś niedzieli zaproponowała chłopcu spacer przez miasteczko, z błyskiem ironii śledząc zaciekawione spojrzenia, tuląc się silnie do boku Henryka. Szepnęła wtedy, iż bardzo żałuje, że żałoba po ojcu nie zezwalała jej ubrać się kolorowo, jak to lubi i jak jej z tym najbardziej do twarzy. Ale wystarczała i biała bluzka, by kontrastem do czerni włosów i mocnych w kolorze warg podkreślić jej wyzywającą urodę. Lekko spłaszczone policzki, śniada cera, niewielki garb na nosie, drapieżne nieco to wszystko, świeże, a jeszcze zarys całej sylwetki, nie wyszczuplonej przesadnie, choć harmonijnej w proporcjach jak rzadko, zwracały powszechną uwagę, cóż dopiero, gdy z dziewczyną kojarzyło się tyle spraw, przez długi czas zaprzatających żywo uwagę mieszkańców lubuskiego miasteczka.

Henryk widział te taksujące spojrzenia, złościły go, zarazem dumny był z Leny, z jej jawnie manifestowanej miłości. Schylił się ku dziewczynie:

- Nie dręczą cię już tamte lęki... pamiętasz? Nie chciałaś, bym cię całował...
- Teraz chcę - śmiała się serdecznie.

Nawet Jurek wydawał się być zjednany ich uczuciu. Do Henryka nadal odnosił się z pewnym chłodem, ale był to już chłód aprobujący, co najmniej zaś przyjmujący do wiadomości fakt, któremu nie należy się przeciwstawiać. Najlepszym dowodem nowego stosunku Jerzego było zaproszenie, by we trójkę wybrali się do Poznania, gdzie pragnął załatwić swe sprawy na uczelni. Ostatecznie nie zrezygnował z nauki, przerzucając się tylko na studia zaoczne. Zostawił ich samych zaraz na dworcu...

Rozkoszny był ten dzień, łązęgi po kawiarniach, wydziwiania w ZOO, długie kwadransy spędzone w palmiarni na zacisznej ławce pod rozrosłą agawą, opodal akwariów z mieniącymi się tęczowo egzotycznymi rybkami, kilka ukradkowych pocałunków, pogodna, uśmiechnięta twarz Leny. Oddalenie od obejścia pobok gotującej się do rozruchu cegielni. Od grobu Piotra Koniejenki na miasteczkowym cmentarzu, od pogadywań pani Kirgiełłowej, wszystko sprawiało, że Henryk czuł się naprawdę szczęśliwy.

To wtedy, w pociągu, noc była chłodna, gwiazdzista, stali w otwartym oknie, od kół niósł

się jednostajny dygot, lokomotywa sypała raz po raz snopami iskier, tuląc się mocniej do ramienia Henryka Lena szepnęła, że nie chce już dłużej czekać, pragnie być jak najpełniej jego dziewczyną. Zachnął się leciutko, delikatnym ruchem wskazując żalobną przepaskę na rękawie wiszącego w przedziale prochowca, pokręcił głową. Muszą odczekać. Lena zaśmiała się głośno, cały korytarz zapełnił się tym śmiechem, potem dopiero spojrzała, parzyło to spojrzenie.

- Głuptasie, wiem, nie o ślubie w tej chwili myślałam.

Intensywnie musiała myśleć, aż wargi przygryzała, napite krwią, pożądlive. On też dygotał, zły z nagłą, że właśnie pociąg, że nie opodal jest Jerzy, że niedługo będzie to ich miasteczko...

Zaraz potem nastąpił koniec wakacji, zaczęły się lekcje. Pełen energii kierownik Łączyński, nie odczuwający teraz napadów bólów, które uspokajała tylko morfina, zajmował nauczycielom większość wieczorów. Bo to i rozkład godzin, i plan całoroczny pracy, i wszelka biuralistyka, formularze, wykazy. Czas Henryka z nagłą zeszczupłał, skrócił się, często nie stawało go na wizytę u Leny. Spotkania ich były teraz krótsze, mimo żarliwości pocałunków i pełni uścisków ciągle nie dopełniło się to, o czym obydwójce myśleli. To Jurek był nazbyt blisko, to znów źle czuła się matka Leny, to dręczyły Henryka ciągle te same skrupuły, dziewczyna także nie napierała, nigdy nie nawróciła do słów wyszeptanych w pociągu. Dopiero Zielona Góra...

Henryk zaproponował eskapadę na winobranie. Uroczy był październikowy dzień, ciepły, miasto rozedrgane kolorami, powszechną radością, dymkiem z winnych oparów snującym się z głów, racami na Wzgórzu Piastowskim, chichotami dziewcząt i prześmiejami chłopców, popisami zespołów i, orgią tańców pod zielonogórskim ratuszem. Oni też zajadali się słodkimi gronami, łykali wino z powleczonej parafiną papierowych kubeczków, tłoczyli się przy beczkach pełnych cienkusza, rozstawionych na każdym rogu, całowali się na ulicy, nikogo to nie gorszyło w tym dniu. A potem szli daleko przez miasto, aż po szlak torów, wszędzie było jeszcze tłoczno i gwarno, szukające zacisza takie same pary jak oni, była wreszcie myśl Henryka, że następna stacja wszak blisko, mogą przecie tam wgramolić się do pociągu. Szli więc dalej, mało już uczęszczanymi drogami, gubili za sobą ostatnich łązęgów, nastraszyli się nietoperza, uparcie krążącego tuż przy ich głowach, wypatrywali w ciemnościach pohukującej sowy. Nagle w nich ta chwila dojrzała. Henryk pamiętał tylko gwałtowne swoje pocałunki, ramiona Leny opasujące mu szyję, wargi gorące, i jeszcze ta trawa zroszona na przed wieczerzu, pachnąca przy zgnieceniu, oczy dziewczyny rozblęskłe jak gwiazdy, piersi krągłe, drżące pod jego piśszczotą, pełne napięcia, sprężone uda, wreszcie

zapomnienie się zupełnie, poczucie najpełniejszej wspólnoty.

Wrócili ostatnim pociągiem, pierwszym właściwie, w gwizdywał się bowiem w miasteczko ze świtem. Przepelniała ich świadomość dopełnienia tłumionych potąd pragnień, zapowiedź dni i nocy podobnych, może jeszcze pełniejszych.

Przy najbliższej bytności u Koniejenków znalazł Henryk u Jurka uważne, rozumiejące wejrzenie, domyślny, ciepły uśmiech u matki. Lena była taka sama, jak w dzień ich winobrania. Wdzięczny był tamtym obojgu za to zrozumienie i przyjęcie.

Tego samego wieczoru rozmawiał z matką. Na jego napomknienie o Lenie, o ożenku, zrazu wybuchła gniewem, usłyszał słowa o zdradzaniu posłannictwa Kirgiełłów, wiele nie reagował, miał się czas przyzwyczaić. Gładził ją po włosach, uspokojona spoglądała na niego ni to w zamyśleniu, ni w jakimś bezbrzeżnym zupełnie smutku, głową kiwała, by na koniec oznajmić, że choć nie aprobuje, nie chwali, przecie nie będzie się przeciwstawiać. Jedno tylko, niechże się nie spieszy; trzeba ją lepiej poznać, sama namiętność nie świadczy, dziewczyna musi zdać sobie sprawę, co ją za zaszczyt spotyka, zastanowić się, czy podola temu, co bierze na barki, przecie pomagać będzie przy zachowaniu i rozkwicie od nowa szczytu Kirgiełłów... A ona, matka, też nie przygotowana, to przyszło tak nagle, zaskoczyło zupełnie.

Rozradowany wycalaował matczyne ręce, przytakiwał jej słowom, skądby pośpiech, Lena wszakże w żalobie, on również musi o niejednym pomyśleć. Rozstali się w zrozumieniu. i ciepłe...

Jakże go zaskoczyło po paru dniach dziwne, nieoczekiwane zachowanie dziewczyny. Chmurna była, nie garnęła się jak ostatnio, mówiła o braku czasu, szepnęła na koniec, by Henryk zastanowił się, czy jednak ma rację, zdało mu się, że w mroku ujrzał łzy w dużych jej oczach, nie był pewien... A potem trzykroć jej w ogóle nie zastał, Jerzy mu to oznajmił, sztywny, nieomal niegrzeczny, matka Leny też osowiała, nie było więcej ciepłego zrozumienia w jej zmęczonym spojrzeniu. Zapytywał, gdzie Lena, przecie wieczór, bąkali, że dużo roboty, przy obrządkach, może kiedy indziej...

Ostatnie spotkanie z dziewczyną było najbardziej ponure. Krótkie, z jej strony nieomal bez słów, jakiś ogólny ton zawodu i rozżalenia. Próżno zaklinał, niech powie, co jest, to jakaś tragiczna omyłka, tak przecie nie można, - dopiero co oni z sobą, radość, marzenia, teraz nagle jakiś straszliwy mur, ani go dotknąć ani przekroczyć, skąd ten chłód, ten żal, diabli jedni wiedzą z jakiej przyczyny.

Wstała wtedy, obojętnie musnęła wargami jego czoło, odeszła. Nie zatrzymywał, wpatrzony w majaczącą w mroku sylwetkę, pełen rozpacz, nade wszystko zaś straszliwego,

napeężniałego krzywdą niezrozumienia.

Wtargnęła niespodziewanie, ze zwykłym sobie impetem. Uprzątały wraz z matką statki po dopiero skończonym obiedzie, Jurek poczłapał już do obory, chciał coś obrządzić przy krowach, gdy rosła, pękata postać z dziwacznie ufryzowanymi włosami stanęła we drzwiach.

- Dzień dobry, niechże Pan Bóg pomaga.

Lena ją pierwsza ujrzała. Znała matkę Heńka. Serce jej zatrzepotało gwałtownie. Henryk nieraz wspominał, że matka nie nazbyt jest chętna ich związkowi, coś innego jej się roilo. Czemu więc tutaj przychodzi?

- Dzień dobry, proszę, proszę - rogiem fartucha zmiatając krzesło zapraszała Koniejenkowa, nie spuszczając zarazem oczu z pobladłej twarzy córki.

Kirgiełłową, czerwoną na twarzy, od marszu czy z podniecenia, onieśmiał ład panujący w kuchni, uważne spojrzenia kobiet. Zatrzymała wzrok na Lenie. Przyglądały się sobie przez dłuższą chwilę.

- Ja to właściwie z panią bym chciała rozmawiać... Kirgiełłową jestem - i zaraz dodała, jak gdyby niepewna, czy samo to nazwisko coś tutaj im mówi - matka Henryka.

Koniejenkowa wysoko uniosła powieki.

- Proś panią do gościnnej, tam pogadajcie.

- To moja matka, nie mamy z sobą tajemnic. Jeżeli pani pozwoli...

- Nic, nic, Lenoczka, ja mam tutaj robotę.

Wzruszyła ramionami, odsunęła się, wskazując drogę do sionki. Otworzyła zaraz drzwi do pokoju.

- Proszę.

Sama także przysiadła, wyprostowana przyglądała się nieoczekiwanemu gościowi. Już się serce uspokoiło, była najzupełniej opanowana.

- Pani pewnie chciała coś o Henryku...?

Wydało się pani Kirgiełłowej, że w spojrzeniu ciemnych oczu pojawiło się przy tych słowach jakby wyzwanie. Czyżby ta mała chciała z nią walczyć? Wygląda na dumną, zdarz;¹ się tak czasem u chłopów. Ładna jest, te pełne wargi, włosy ciemne, połyskujące samą intensywnością barwy, smukła, wysoka, trudno Heńkowi się dziwić. Zawsze miał estetyczne upodobania, po niej to przejął. Na tę myśl nadęła się dumą, są jednak dzięki niej zalety w tym chłopcu. Tym bardziej należy go strzec.

Wspomnienie syna przywróciło jej zwykłą energię, zniknęło onieśmienie, jasna się stała świadomość celu zaskakującej nie tylko gospodarzy, ale i ją samą wizyty.

- Tak, o Henryku...- podjęła napastliwym tonem.- Jak się orientuję, obchodzi on nas obie, i to dość żywo.

Lena przytaknęła skinieniem głowy.

- Syn ostatnio coraz mniej mi się zwierza, wyczuwam w tym czyjś niechętny mi wpływ. Jako matka jednakże wszystko rozumiem i czuję. Dlatego tu przyszedłam. Zamierzaliście się pobrać?

- Mowy jeszcze o tym nie było. Myślę, że w przyszłości, gdy skończy się moja żałoba, pomyślimy i o tym...

Lena sama dziwiła się swemu spokojowi. Czuła tylko zarazem, jak krew odpływa z jej twarzy, musiała być przeraźliwie blada. Przebiegła zrodzona gdzieś myśl, że śmierć ojca nie zakończyła pasma niepowodzeń, przedwcześnie opuściły ją złe przecucia. Wizyta Kirgiełowej była złowróżebna. Trzeba teraz wiele, wiele spokoju. Uzbierała się w ten spokój największym wysiłkiem woli. Słuchając, nie spuszczała wzroku z szybko miotających słowami, cieniutkich ust Kirgiełowej.

- Cieszę się, że panienka jasno mi odpowiada. To nam ułatwi rozmowę... Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie chciałabym nigdy stawać synowi na drodze. Nigdy, przenigdy. Jeżeli tu przyszedłam, to dlatego, panienko, że tutaj szczęścia swego syna nie widzę... Panienka coś chciała powiedzieć?

- Proszę, niech pani mówi. Może nie tak głośno, ja dobrze słyszę.

Tej szpileczki właśnie brakło dotychczas. Dopiero wezbrała duma Kirgiełowej. Cóż sobie ta mała myśli, ani jest zalekwniona, ani pokorna, jeszcze śmie jej udzielać nauczki. Nic już nie przeszkadzało teraz wylewowi wezbranej pasji.

- Dziękuję za pouczenie. Mówić jednakże tak będę, jak zwykłam. Panienka jest bardzo rezolutna. Stąd może ten wpływ na Henryka. Bo on to typ raczej zrównoważony, flegmatyczny, idealny naukowiec, co wcale jeszcze nie jest stracone, choć się tymczasem kariera potoczyła inaczej. Gdyby znalazł odpowiednią partnerkę życia, pomocną mu charakterem i wykształceniem, mógłby daleko zajść. I zajdzie, zajdzie, proszę panienki... On musi pamiętać, co winien swojemu nazwisku. Kirgiełowie już pod Grunwaldem nie mało znaczyli. To, że znaleźliśmy się w tej dziurze, to jedynie przypadek. Wracamy niedługo do Warszawy, tam miejsce Henryka. Dlatego przeciwna jestem wszelkim jego tu bliższym stosunkom. Także i tej miłostce z panią.

- Przepraszam, ale określeniem rodzaju swych uczuć wolałabym się sama zająć. Pani nie powinna być niesprawiedliwa... jako matka Henryka.

Kirgiełowa zastygła na moment. Widziała rumieńce, jakie przebiegły przez śniade

policzki dziewczyny, dostrzegła rozbłysk w jej ciemnych źrenicach, harde podrzucenie głowy. Nie mogła się powstrzymać od uczucia podziwu. Ta dziewczyna mogła zaimponować. W dodatku jeszcze ładniej wygląda w tej chwili.

- Urażać panienki nie chciałam... - głos jej opadł o kilka tonów. - Porozmawiamy spokojnie. Ja chcę szczęścia swojego syna. Panience naprawdę źle nie życzę. Panienska jest młoda, ładna, niejednemu chłopcu jeszcze głowę zawróci. Czemu koniecznie ma to być Henryk? Nigdy nie bylibyście ze sobą szczęśliwi, to się tylko na początku tak zdaje, pierwsze zaślepienie szybko mija. Potem muszą być wspólne zainteresowania, krąg tych samych spraw, podobna tradycja. Nasz ród jest prastary, z najdawniejszych wywodzi się nazwisk. Panienska, nic przez to jej nie ujmując, wyrasta prosto ze wsi. Ta różnica kultury, hodowanej przez pokolenia, klimatu, innego widzenia spraw, będzie was dzielić. A jeszcze pochodzenie z innego zupełnie regionu. Wy gdzieś z Ukrainy, my od wileńskich stron. Inne zwyczaje, temperament, upodobania. To także ważne, zbliża albo rozdziela... Wykształcenie też znaczy niemało. Nie żyje się samą miłością, trzeba ze sobą rozmawiać, dzielić się pracą, zamierzeniami, cóż gorszego, gdy dwie strony nie mogą się porozumieć...

- Pojmuję panią. Henryk i ja reprezentujemy zatem dwa światy, które nigdy się zbliżyć nie mogą.

- Właśnie, nie mogą, całe wasze życie byłoby pogonią za nieuchwytnym cieniem. Zszarpalibyście się w tej gonitwie. Zostałyby rozczarowania, żal, świadomość przegranej. Paniensko, ja proszę o swojego syna. On sam jeszcze zbyt młody, zbyt dziecinny. Panienska jest bardziej dojrzała, przeszła więcej... myślę o tych ostatnich sprawach, to przecież bardzo wiele uczy, nieprawda?

- Zostawmy ojca mego w spokoju. Nie miał go nigdy za życia... Więc chciałaby pani, żebym to ja odeszła?

- Tak, tak, właśnie pani. On wtedy będzie się musiał pogodzić z tym faktem.

Lena podniosła się z miejsca. Dłonie zaciskała kurczowo.

- Chcę pani odpowiedzieć uczciwie. Ja nie odejdę. Sama nie zrobię tego kroku. Ale także nie będę błagała nikogo o miłość. Jeżeli Henryk śladem pani uzna mnie za niegodną siebie przyznam mu takie prawo. Oцени tym siebie. Czy moja odpowiedź wystarczy?

Kirgiełłowa z wrażenia dłuższą chwilę nie potrafiła podnieść się z krzesła, nie mogła przemówić. Twarz jej czerwieniała coraz to mocniej, oczy robiły się wielkie, okrągłe, usta gwałtownie chwytaly powietrze. Lena spoglądała z trwogą, czy to nie jakiś atak, stała jednak nadal nieporuszona.

- Tak, zatem rzuca mi panienska wyzwanie! - Odzyskała wreszcie głos korpulentna dama,

zrywając się zarazem gwałtownie z krzesła. - A ja oświadczam, że Henryka nie oddam. On musi znaleźć odpowiednią dla siebie żonę, słyszy panienka, odpowiednią! - Ochłonęła nieco z pierwszego wzburzenia. - Odchodzę zatem. Mam nadzieję, że panienka będzie na tyle przyzwoita, iż zostawi dla siebie fakt mojej wizyty. Henryk nie powinien o niej nic wiedzieć.

- Mogę to pani przyrzec. Wstydzę się tej wizyty i za nic nie zrobiłabym Henrykowi przykrości relacją o niej.

Pani Kirgiełłowa za jedyną odpowiedź parsknęła szyderczym śmiechem. Z tym śmiechem pomaszerowała ku drzwiom, uczynnię otwartym przez Lenę.

Jakby nie swoim krokiem odprowadzała gościa ku bramie, za którą brunatniała ugorem rola po Koniejenkowej pszenicy. Teraz znaczyły się na tej ziemi jedynie koleiny wybite ciężarem ładownych wozów. Długo stała przy drodze, patrząc za odchodzącą Kirgiełłowa.

Matka Henryka stanęła zadyszana, musiała odpocząć. Powoli obróciła głowę za siebie, pragnąc utrwalić obraz domu, do którego Henryk od niej uciekał. Ujrzała smukłą sylwetkę dziewczyny. Jesienne słońce mocnym blaskiem padało na czarne jej włosy.

Pani Kirgiełłowa długo patrzyła. Dziewczyna wciąż tkwiła nieruchomo, z dłońmi założonymi na piersi.

Krok starszej, pełnej kobiety nie był już tak pewny, gdy wolno teraz ruszyła dalej przed siebie.

Do dziewczyny podeszła matka. Lena spojrzała.

- Słyszalas?

- Nie wszystko, ale dość, żeby starczyło... Czemu to nigdzie nas nie chcą, córeczko? Tam nie chcieli, musieliśmy uciekać, tutaj też nas nie chcą... Czemu to tak?

Każde wyjście do miasteczka sprawiało jej teraz przykrość. Dni, kiedy ciągnęło ją na rojne uliczki, na zawsze wesoły plac przyratuszowy, u boku Henryka, pod dziesiątkami ciekawych spojrzeń, zdawały się teraz niesłychanie odległe. Aż uwierzyć nie mogła, że minęło dopiero kilka tygodni.

Wizyta Kirgiełłowej była ciosem najbardziej niespodziewanym. Cóż, że Henryk wspominał kilkakroć o swoich kłopotach z pełną wigoru i chęci działania matką, o jej eskapadzie grunwaldzkiej, o milej na swój sposób historii z Jagiełłowym popiersiem, nawet o zastrzeżeniach co do zbliżenia ich dwojga. Uśmiechała się, pewna, że znajdzie wspólny język z rumianą, potężną kobietą. Nie to mogło stanowić przeszkodę.

Powiedziała jej, że nie ustąpi, że dla czyichś maniaków nie zrezygnuje z prawa do własnego szczęścia. Bo to, co Kirgiełłowa mówiła o szczęściu Henryka, to przecież

nieprawda, nieprawda.

W rzeczywistości czuła się zdruzgotana. Z jednej strony pragnęła zlekceważyć słowa Kirgiełłowej, nie ustępować za żadną cenę, z drugiej swoista aura własnego domu osnuwała zwątpieniem, bolesną goryczą przegranej. Jak to matka jej powiedziała wtedy, spoglądając na oddalającą się chybottliwym krokiem Kirgiełłową. Że nigdzie ich nie chcą, tam i tutaj. Musi być w tym coś z prawdy, stąd się wzięła tragedia ojcowska, stąd może i jej niepowodzenie. Broniła się przedtem przed miłością, nie chciała ulec uczuciu, jakby w spodziewaniu, że nic jej nie przyniesie dobrego. Poddała się wreszcie złudzie spokoju, w przekonaniu, że zło odeszło znad Koniejenkowego domu.

Matka jej nie zabierała głosu w tej sprawie. Przeglądziła raz, drugi córkę po włosach, popatrywała ku niej z niepokojem, wzdychała. Dopiero Jerzy. Od obory dostrzegł Kirgiełłową, znał ją z widzenia, ciekaw był celu wizyty. Nie chciała opowiadać, wyciągał słowo za słowem. Potem długo milczał, wsparty za stołem na łokciach, zawsze był taki, nigdy nie podejmował gorących decyzji, inny od nich, zamknięty w sobie. Lena nigdy nie umiała wyobrazić go sobie jako ofiarnego działacza, lubianego mimo wszystko przez młodzież. Tak to było niepodobne do Jurka.

- Nie ma co sobie więcej zawracać nim głowy. Kto wie, czy ta kobieta nie miała sporo racji. Inne wy światy. Przeczekasz, przejdzie, spopieli się, zablizni...

Widział bladą twarz siostry, ściśnięte wargi.

- Nie zgadzasz się? Chciałabyś iść na przekór? Też prawda, mogłabyś, Henryk zostałby chyba przy tobie. Ale czy warto?... Pomyśl, Lena, czy warto?

- Dobry z niego chłopiec - stanęła Koniejenkowa po stronie córki.

- Na pewno dobry, choć ciepłe kluski. Taki życia nie przewojuje. Gdyby został, Lena, przy tobie, nigdy nie wyzbyłby się matczynego wspomnienia. Stałoby murem pomiędzy wami, mur ten powoli rósłby, aż w końcu zgniótłby on wasze szczęście.

- Mam go tak bez słowa odtrącić? On temu nie winien! - wybuchnęła. - Bez gwałtów, po co? Rządziej się z nim będziesz widywać, może cię w domu nie zastać, czas swoje zrobi, rozplynie się wszystko, zamgli, zapomnicie obydwójce... Lena, co z tobą, gdzie idziesz?

Nie odpowiedziała, z siłą trzasnęła za sobą drzwiami. Właśnie że się nie podda, niech sobie Jerzy radzi, co chce. Henryk jest jej i nic nikomu do niego.

Czuła zarazem, jak bunt jej jest kruchy. Bolała zadrażniona ambicją i godność własna. Powiedzieć jej, że jest nieodpowiednia na żonę Henryka. Nieodpowiednia...

Długo błądziła tamtego wieczoru po łąkach i polach, mrok był gęsty, gdy wróciła do domu. Matka napomknęła cichutkim szeptem, że Henryk przychodził, dopytywał się, może

się czegoś domyślał, bardzo był niespokojny. Jerzy go jakoś odprawił...

Nie mogła odegnąć od siebie wszystkich tych myśli. Nawracały, przywalały swoim ciężarem, raniły od nowa. Najbardziej bolało okrutne zlekceważenie, okazane przez Kirgiełłową. Orzekła bezapelacyjnie, że nie może być żoną Henryka. Że pochodzenie, zainteresowania, wykształcenie, wszystko inne, wszystko różniące. Nieodpowiednia. To słowo boli podobnie jak uderzenie w twarz.

Bunt niemniej był silny. Pokochała, pierwsza miłość w dziwnym jej życiu. Po to broniła się przed tym uczuciem, po to w końcu uległa, żeby usłyszeć taki wyrok? Nie zaprze się swojego uczucia, nie odstąpi Henryka. Ale i błagać go o miłość nie będzie. Decyzja zostaje w jego ręku. Niech wybiera, niech także stanie raz przed twardym egzaminem. Matka czy ukochana dziewczyna. Jedno z dwojga. Wraz z Kirgiełłową nie zmieszczą się obok siebie. Zostawi mu swobodę wyboru, odsunie się, niech się Henryk domyśla prawdy, niech znajduje jedno jedyne wyjście.

Kosztowała ją ta decyzja niemało. Rwało się w niej wszystko ku Henrykowi, usta łaknęły pocałunków, wspomnienie tamtej nocy prześladowało, dławiła tęsknota. Tak by pragnęła zanurzyć się bez reszty w tę miłość narastającą opornie, ale skoro już wybuchła, mocniejszą nad wszystko. Tymczasem zły los każe narzucać sobie rygory, bronić swojej godności, kto wie, może i godności Henryka. Jak to matka powiedziała, nigdzie ich nie chcą, i tam, i tutaj. A może nie tak, może po prostu coś złego ciąży nad ich rodziną, wlecz się przez lata, uderza zawsze, gdy rodzi się coś jaśniejszego i bardziej radosnego. Może właśnie to?

Życie toczy się własnym swym trybem, niezależnie od ludzkich strapień. Są sklepy, istnieje potrzeba zwykłych, codziennych zakupów. Droga do miasteczka dłuży się. Oto już wjazdowa ulica, ścieśniająca się, zakręcająca kilkakroć. Z rozgrzotem mknie ciężarówka, kierowca lawiruje wąskim pasem między ścianami starych domków. Dogania wolno idącą dziewczynę. Tu nowy zakręt, wąziutki, zła widoczność, pośrodku niewielka betonowa wysepka. Chodnikiem idzie paroletni chłopczyzna, podrzuca na dłoni czerwoną piłeczkę. Garstka nie uchwytuje okrągłej zabawki, piłka się toczy na jezdnię, pod tę wysepkę, chłopak pędzi ku niej z wyciągniętymi rączkami. Gwałtowny jazgot hamulców, ciężkim starem rzuca na strony. Za późno...

Gwałtowny skok, kurczowo porywa drobne ciało w ramiona, warkot i narastający rumor rozpędzonego żelaza, kół jazgoczących przeraźliwie w gwałtownym hamowaniu, noga traci oparcie, ześlizguje się z krawężnika wysepki, czyjś przeraźliwy krzyk bólu. Lena pada wraz z chłopcem w ramionach, czuje szarpnięcie nogi, bucik łukiem wylatuje w powietrze. Mały rozdziera się przeraźliwym szlochem, z rączki jego wyskakuje czerwona piłeczka, toczy się

po kocich łbach jezdni. U przodu motorem nieomal wsparty o ścianę przyhamowuje dopiero star, kierowca jednym susem wyskakuje z szoferki. Tupot nóg wielu nadbiegających ludzi.

Lena podnosi się z bruku. Jeszcze sobie nie wierzy, że żyje, że żyje także ten malec, że oto migoce jej przed oczyma czerwona piłeczka. Noga w porządku, na chodniku leży bucik zerwany uderzeniem opony. Kuśtyka ku niemu, wkłada, naderwana podeszwa, głupstwo, najważniejsze, ten mały zdrowy i cały. Jak to wszystko właściwie się stało, co następowało jedno po drugim? Była tuż obok chłopca, też spojrzała za jego piłeczką, potem mignął jej star, dotarł do uszu wizg opon, jazgot motoru, Dorwała się na jezdnię ogarnięta myślą, że maszyna zwali się na tę jasną główkę... No tak, udało się, udało. Skąd nagle aż tylu ludzi wokoło? Co oni mówią? Że bohaterstwo, że dzielna? Śmieszne, zwykła rzecz, każdy by tak postąpił, każdy...

- Córka Koniejenki - słyszy szepty.

Podrywa teraz głowę. A tak. Córka Koniejenki. To - dla niej powód do dumy. Ojciec pozostał do końca sobą. Córka Koniejenki.

Tłum gęstnieje, wylęgają kobiety ze wszystkich bram i sionek, skądś też znalazło się sporo mężczyzn, kierowcy zatrzymują swe wozy, trzaskają drzwiczki szoferek, ktoś głaszcze i tuli uratowanego malca, chłopak teraz dopiero przeżywa szok, drży cały, dygoce, szlocha przeraźliwie, woła kogoś, ach tak, ojca, ojca wzywa.

- Ma chłop szczęście. To by go chyba dobiło do reszty. Dopiero pogrzebał żonę, jeszcze by dzieciaka zabrakło...

- Żony to wiele on nie żałował. Już dawno z tą Joąską się spiknął, na śmierć tamtej tylko czekali - jazgoce wstrętnie baba ze szczerbą na miejscu przednich zębów.

Lena stoi, ciągle oszołomiona. Coś zaczyna jej świtać. Wsłuchuje się w słowa rozbrzmiewające dokoła. Teraz kierowca stara podchodzi do niej, ściska dłoń, przejęty, roztrzęsiony, bąka słowa podziękowania, całuje w rękę, coś obiecuje... Nie słucha go, uwagę jej przyciągają inne słowa. O zmarłej żonie, o dziecku, o jakiejś kochance. O kim oni mówią, o kim?

- Patrzcie, jak to Bóg zrządził. On im krzywdę taką wyrządził, tym Koniejenkom, a ona ratuje mu dzieciaka od śmierci...

- Tak to, pani, zawsze się płacze. Za chleb kamieniem, za kamień chlebem. Lena sztywnieje. O kim oni mówią, na Boga, o kim? Czyżby o tym szoferze, Klimczaku, który prześladował jej ojca? - Klimczak, szukajcie Klimczaka, dziecko trzeba do szpitala, niech uspokoją, patrzcie, jak płacze, cały czerwony, ma drgawki... Gdzie Klimczak?

- Wozi dziś cegłę pod fabrykę cukierków. Biegnijcie który na rynek...

Teraz już rozumie. Wysuwa się poza obręb rozjazgotanego, przejętego sensacją tłumu, idzie szybko, niemal biegnie, nie na rynek już, nie do sklepów, zawraca w stronę domu, tam jedynie bezpiecznie, tam skryć się można przed wszystkimi i wszystkim. Już nie ma w niej świadomości tego, co zaszło przed chwilą, jakichś przebłysków dumy, że mimo swoich utrapień umiała zdobyć się na to, by uratować dziecko, pozostaje tylko głębokie, drażniące odczucie faktu, że znowu droga jej zeszła się z drogą człowieka, który najbardziej zawinił śmierci jej ojca.

Nie widzi kolorów jesiennych liści, mieniających się w późnopaździernikowym słońcu, nie słyszy pod nogami ich pogodnego szelestu. Myśli płaczą się nieskładnie, ojciec i Henryk, Kirgiełłowa i dziecko, synek Klimczaka, cienie ponure nad ich rodzinnym domem, słowa matki, nigdzie ich nie chcą, co to za jedna ta jakaś Joaśka, może Jerzy ma rację, nie tam jej los, w ogóle ciemno, ciemno, gdzie szukać nadziei...

Zaskoczony w pierwszej chwili, potem rad był z wizyty Tak dziwnie przyjmowany ostatnio, od paru dni wahał się, przed ponownym udaniem do Koniejenków. Lena była jak odmieniona, zupełnie inny człowiek, czasem tylko dostrzeż! w jej oczach poblask tego samego co dawniej. Jerzy stał się gburowaty jak nigdy przedtem. Najmniej może zmieniła się Koniejenkowa, milczała, ale w spojrzeniu jej widniało to samo ciepło i jakaś serdeczność. Ona teraz najmniej wszakże miała do powiedzenia w tym domu.

Zarazem wszystko go ciągnęło do Leny. Tak by pragnął porozmawiać z nią serdecznie i szczerze, dowiedzieć się, co ich trapi, może znalazłaby się rada. Lena tymczasem wynajdywała tysiące zajęć i spraw, które nie zezwalały jej na oddalenie się z obrębu gospodarstwa. Tam zaś nieodmiennie Jerzy kręcił się przy nich.

Tak, chociaż misja była osobliwa i w końcu nie najprzyjemniejsza, musiał wszak dotknąć przy jej wypełnianiu drażliwych, źle jeszcze zabliźnionych spraw, chętnie się jednak jej podjął.

Dobrze się stało, że właśnie do niego zwrócił się ten człowiek o pomoc.

Gdy na gwałtowny terkot dzwonka otworzył drzwi, nie ogolony mężczyzna niezgrabnie zdjął czapkę, zmiotł ją w dłoniach, powiedział ochryple, jakby słowa przychodziły mu ze szczególnym trudem:

- Pan nauczyciel? Chciałem z panem pogadać. Można? Nie łączył Henryk tej postaci z żadnym znanym nazwiskiem. Zawahał się na moment, nim szerzej otworzył drzwi. 4

- Proszę, niech pan wejdzie.

Gdy gość rozlokował się na krześle, wybąkał, z nagłą się podrywając z wyciągniętą przed

siebie dłonią:

- Klimczak jestem, pewnie pan nauczyciel słyszał.

Henryk zrobił niewyraźną minę. Ach, więc to jest ten osławiony Klimczak, jakieś historie działały się na pogrzebie jego żony, on też doprowadził do samobójstwa starego Koniejenki. Z niechęcią spoglądał na szeroką, kościstą twarz o niskim czole i płaskim, boksterskim nosie. Spod rozrostłych brwi patrzyły oczka maleńkie i czemuś bardzo żalosne. Głos Klimczaka zachrypiał, gdy urywanie, niepewnie, umykając wzrokiem przed spojrzeniem Henryka, *zaczai* wyłuszczać swą prośbę.

- Pan nauczyciel daruje, ale bo to mi powiedziano, że ma się pan ku córce starego Koniejenki, tego, co się powiesił... Niech pan nie krzywi się, od czegoś muszę zacząć. I tak mi idzie nieskładnie. Bo to z tym moim dzieciakiem, wie pan, życie mu uratowała, spod samych kół, strach pomyśleć, co by się stało, Jezu Chryste, gdyby nie ona. - Zakrył twarz rękami. - Pan tak patrzy na mnie, panie nauczycielu, jakbym pijany był albo co. Klnę się Bogiem, kropli w gębie nie miałem.

- Zaraz, zaraz. Co to pan mówi o swoim dziecku i Lenie, to jest pannie Koniejenko? Nic nie wiem.

Teraz dla odmiany Klimczak nie potrafił ukryć zdumienia.

Zatrzepotał powiekami.

- Ale to pan romansuje, prawda, z tą dziewczyną? I nic pan nie wie? Nie widział jej pan, nie słyszał niczego od ludzi?

Wzruszenie ramion, przynaglający ruch głowy.

- To przed dwoma dniami, dziś idzie na trzeci... Dzieciak wypuścił się na miasto, często tak chodził, u wdowca, wiadomo, kto upilnuje? Tam, gdzie zakręt jest i wysepka, piłka mu się stoczyli, a właśnie gnała ciężarówka. Spod samych kół, panie nauczycielu, spod samych kół. Inaczej by miazga była z chłopaka.

Henryk słucha! ze wzrastającym zdumieniem. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że nic dotychczas o tym wydarzeniu nie słyszał. Przecież musiało zelektryzować całe miasteczko. Tak jest zatem daleki od tej społeczności, nie mówiąc już o Koniejenkowym domu, tak bardzo daleki?

Kazał opowiadać Klimczakowi szczegółowo wszystko, co wiedział o czynie Leny. Szofer sam jednak opierał się na wtórnych relacjach.

W Henryku wzrastało podenerwowanie. Siedzi tutaj i słucha opowieści nieprzyjemnego faceta, zamiast biec zaraz do Leny, powinszować jej odwagi, wspólnie przeżyć ten lęk, jaki nim teraz owładnął na myśl, co by się stało, gdyby się jej nie udało i trafiła razem z

dzieciakiem pod stara.

- Więc czego chce pan właściwie ode mnie?

- Pan musi rozumieć więcej niż ja. Znał pan tego starego, wie, jak to było z dojazdem na cegielnię przez jego pola. Wszyscy mnie winią, są tacy, co jeszcze dziś uciekają z ręką, wilkiem patrzą, bokami obchodzą. Panie - wybuchnął - durnota jedna, jakbym ja naprawdę chciał, żeby się ten stary obwiesił. Gdyby mnie w głowie powstało, krokiem bym nie wstąpił na tę zafajdaną pszenicę. Krokiem jednym, Bogiem się klnę, panie nauczycielu.

- Wierzę panu. Niech się pan nie unosi, nie denerwuje...

- Przepraszam. Ale bo to myśli pan, nie boli, że człowiek jak zapowietrzony się snuje wśród ludzi? Że miejsca swojego znaleźć nie umie? A to jeszcze biedy gromadą chodzą. Przedtem niepojęte rzeczy z tym dziadem. Potem mi żona umarła, rok blisko chorzała, już się można było od niej i odzwyczać... Pogrzeb zrobiłem jak się patrzy, aż tu baby rejwach podniosły, że na cmentarz przysła też taka jedna, z którą chodziłem czasami... Teraz bieda z dzieciuchem, a już z Koniejenkami poradzić nie umiem. Więc ja z tym właśnie do pana.

- Zaraz, wciąż nie bardzo rozumiem...

- Bo ja tak gadam bez ładu, samemu we łbie się mąci... Jak się dowiedziałem, co to było z małym i kto go uratował, aż mnie zatrzęsło. Ze wstydu, z żalu jakiegoś, ja wiem? Mówią, żebym dziękować szedł, o zgodę prosił. Niby prawda, tak by trzeba. Poszedłem jeszcze tego samego dnia. Głucho tam, jakby wszystko wymarło. Cisza. Wiecem powstał i wróciłem do domu. Po prawdzie, to i strach mnie wziął, na to pole pobok gdym patrzył, jego dawniejsze pole.

Wielkie, rozrosłe chłopisko skuliło się nagle na krześle, oczy patrzyły na Henryka, ale widziały coś innego, gdzieś dalej, pszeniczne pole, dłoń schylającą się po zmiażdżone źdźbła, czule je podnoszącą do twarzy, ciężki krok, rozpaczliwe wymachiwania ramion, kołtuniastą czuprynę, twarz wreszcie niewielką, z rozpaczliwym wyrazem nie rozumiejących oczu.

- Co panu, Klimczak? - mimo wszystko, Henryk nie mógł zdobyć się na gest sympatii w stosunku do tego człowieka.

- Nic, nic, przypomniałem sobie ten wieczór, zwidziało mi się wtedy, jakby sam Koniejenko laził po polach, źdźbła zbierał, a co które podniósł, to patrzył na mnie i rechem się strasznym zanosił...-wstrząsnął się. - Otóż panie nauczycielu, poszedłem i drugi raz. Już za dnia, po ciemku nie mnie się tam pokazywać. Stara tylko była, na moje podziękowania dłońmi zamachała, powiedziała, niech nie dziękuję, niech odchodzę, by mi krzywdy swojej nie pamiętali... Jeszczem o tę młodą zapytał, już nawet odpowiedzi nie miałem.

- I co?,

- Łatwo panu powiedzieć: i co? A mnie trudno i ciężko, i głupio. Jest już tak między ludźmi przyjęte, że za dobroć choć podzięką należy odplacić. Mnie i to prawo odejmują, choć im winienem dzieciaka. To w ogóle głupio, bo jeżeli mnie klną o tego starego, to wygląda, że ja śmierć im przyniosłem, a mnie oni w odplacie życie. Nierówny rachunek... Ktoś wtedy powiedział o panu, prawda, Maliniak, ze stacji benzynowej. Więc przyszedłem prosić, żeby pan za mnie złożył jej podziękę. Z serca i duszy. I jeszcze, jeszcze, żeby im pan powiedział... - głos mu się łamał, słowa już pomyślane za nic nie chciały się wydostać na zewnątrz. Klimczak szczerwieniał, nim nareszcie wybąkał: - I jeszcze to żeby powiedzieć, że mnie żal, bardzo żal, że dla jej ojca ja taki byłem. Że nie rozumiałem, przecież nie chciałem krzywdy. To żeby pan jej powiedział, tej czarnej dziewczynie.

Odetchnął, obejrzał się za swoją czapkę, jakby czymś niespodziewanie spłoszony. Wstając, dorzucił tonem pytania, ale i nakazu zarazem, aż Henryk poderwał głowę:

- Pan to zrobi, panie nauczycielu?

- Dobrze.

- To ja pójdę, do widzenia. I... i... niech się wam szczęści.

Szedł przez pokój ciężkimi krokami, chwiała się jego barczysta, rosła sylweta. Głowa zwisała ku dołowi. Henryk pomyślał, że nigdy pewnie dotychczas nie prowadził ten olbrzym podobnie zasadniczej dla siebie rozmowy. I nigdy chyba nie ustępował tyle ze swojej, choćby była najfałszywszą, ambicji.

Żał mu się teraz zrobiło ponurego kierowcy. Ten człowiek cierpiał. Mówił o jednej sprawie, napomknął zaledwie o przeszłym, ale było w nim coś, co się kazało domyślać, że zwierzył się z jednym zaledwie z wielu swoich kłopotów.

Kirgiełło westchnął. Co za sobaczy los kieruje ludzkim życiem, że tak się w nim mnożą kłopoty i zmartwienia. Każdy ma ich za wiele, każdy nie umie sobie poradzić, błaga o pomoc.

Sprzysięgli się wszyscy po kolei, myślał, w ten sposób nigdy nie dojdzie do Koniejenków.

Na rynku, przed ukończonym i zamieszkałym już blokiem, wabiącym kremowym tynkiem, z zachwyconą czegoś miną stał ten safandula, Piechota, z daleka już machał ręką ku Henrykowi, chwycił w objęcia.

- Kochany kolego, właśnie o was myślałem. Jużemy się urządzili, więc w sobotę będzie oblewanie nowego mieszkania, no i - uśmiechnął się na całą szerokość twarzy - także mojego dyplomu. Prosimy was razem z mamusią, będą sami swoi. Zabawimy się, poplotkujemy...

- Jakże mieszkanie?

- Cudo, mówię wam, żona ciągle nie chce uwierzyć. Mamy wszystkie szykany, z

centralnym łącznie. Cywilizacja w naszej miejscinie, co tu gadać. Wołami mnie by stąd nie wyciągnęli... Jakże, będziecie, kochany?

- Na pewno.

- Więc do soboty. Ucałowania rączek dla szanownej mamusi.

Trochę dalej, w miejscu gdzie na skwerze urządzonym po zburzonych domach otwierał się daleki widok na zawsze wieczorami zamglone łąki, kręcił się magister Rękawek, minę miał niezmiernie zafrasowaną. Henryk miał zamiar przemknąć niepostrzeżenie, historyk zobaczył go jednak, przytruchtał czym prędzej.

- W niedzielę w południe, pamięta pan? Zakładamy Koło Przyjaciół naszej miejsciny, będzie wreszcie platforma do rozsądnej roboty. Przyjdziecie, panie Henryku? Nawet profesor Gollub zapalił się, *zgadza* się pracować w zarządzie... - zaśmiał się cieniutko. - Ani przypuszcza, że szykujemy na niego zamach, będzie nam prezesował. Dobra kandydatura, nieprawdaż?

Brał Henryka pod pachę, wiódł na brzeg skarpy, łagodnym spadem sięgającym ku łąkom.

- Zapadła w prezydium uchwała. Nic się tutaj nie będzie budować. Park zakładamy, tarasami, już miejski ogrodnik pojechał do Szczecina po ozdobne drzewa i krzewy, tam mają nie byle okazy. Wyobraża pan sobie za parę lat? Chłopcy będą spacerować z dziewczętami o zmroku, ustawimy kolorowe latarnie, my, stare pokolenie, także czasem zajrzemy, podelektować się, wspomnieć dawne dzieje... O sobie myślę, panie Henryku, o sobie - rechotał, zadowolony jak rzadko. - Pan gdzie tak pędzi? Czuję, że do wybranki serca, nawet nie zaczeka pan, nim wyrosną te drzewka ozdobne i piękne krzewy. Dalibóg, że już to wszystko poza mną, co za szkoda, ani człowiek się nasmakował...

Henryk był daleko, gdy jeszcze dobiegł go głos Rękawka:

- Dalsza nowina. Nasz plastyk objął dom kultury. Przedstawił już piękne, choć zwariowane projekty. Tymczasem wszyscy chuligani sypią za nim jak za sierżantem dziewczuchy. Słyszysz mnie pan? - Zrezygnowany zamachał ręką. Choć to jesień, młodym w sercach gorąco, niech tam, ich prawo.

Kirgiełłę mało obchodziło wszystko w tej chwili. Na widok idącego ulicą sekretarza partii schował się w bramie. Tego brakowało, by i ten go zatrzymał, zaczął opowiadać, jakie to dziwy projektują w miejscinie. Poszaleli wszyscy, giganta budują, rok, dwa, metra zacnie im braknąć... Wyrzekał w duchu, a przecież był dumny ze swego miasta, z tych planów i już realizowanych zamierzeń, z przyszłego parku i tych dziewcząt przytulonych do chłopców, którzy spacerować będą pod światłami kolorowych latarni. To jego miasto. Matka chce uciekać, ciągle wspomina o wyjeździe. Niech tam, nic z tego, zostaną, gdzież może być

lepiej.

Westchnął w tej chwili, na myśl wróciła mu Lena. Przyspieszył kroku, za miastem biegi prawie w stronę, gdzie ciemny błękit nieba rozcinał ceglastym pionem komin nowej, już pracującej cegielni. Widok ten czemuś wzmocnił jego nadzieje. Na pewno wszystko dziś się wyjaśni, będzie jak dawniej, coraz bliżej chwili, gdy zostaną z Leną razem, na zawsze... Omal nie podśpiewywał z ochoty, jak dzieciak przegarniał nogami zwały opadłych złocistych liści, podrzucając je do zabawy zrywającemu się pod wieczór wiatrowi...

W niecałą godzinę potem, gwałtowny, jesienny mrok ogarnął tymczasem ziemię, powrotną drogą włókł się ku miasteczku nie swawolny chłopak, radujący się szelestem opadłych liści, ale człowiek postarzały z nagłą, wymięty i załamany. Na szosie przystanął, oparł się o rozrosły, guzowaty pień lipy, tak trwał, obcy widniejącym już niedaleko jarzeniowym światłom, neonom, ludziom przewalającym się chodnikami. Obcy także temu miasteczku, o którym tak niedawno jeszcze myślał z przywiązaniem i dumą. Bał się teraz tych świateł, najchętniej zaszyłby się w mrok i czerń nocy, w niej pozostał. Umysł pracował nieskładnie, nawarstwiały się obrazy, pamięć gmatwała wspomnienie dopiero przeżytych chwil. Jakże ciężkie było zrozumienie dziwnego postępowania Leny w ostatnim czasie, jak bezwzględne zachowanie Jerzego, jedno może jaśniejsze w tym tle, dobre swym współczuciem i smutkiem oczy Koniejenkowej...

Misja w sprawie Klimczaka najzupełniej się nie powiodła, najmniej o tym mówili, jego argumenty odparowane zostały twierdzeniem, iż Lena ratowała dziecko nie pytając, kto je rodzi, i że wcale nie pragną za to żadnej wdzięczności. W żadnym zaś już wypadku wdzięczności Klimczaka. Niechże da on spokój sobie i im. Henryk zaś najmniej powinien w te sprawy się plątać...

Od tego się właśnie zaczęło. Bąknął, że traktują go ostatnio jak jakiego intruza, że niczym na to wszak nie zasłużył. Klim-czak go prosił, człowiek się szarpie, cierpi, uznaje swą winę, pragnie jedynie, aby o tym wiedzieli, cóż w tym znów złego?

Lena milczała. To Jerzy wybuchnął. On, taki zawsze opanowany, spokojny, teraz się uniósł, zasypując Henryka potokiem słów. Ich prawo żyć własnym życiem, dosyć zebrali ciosów, by je nadal pomnażać. Niech Henryk także nie mąci spokoju, tym bardziej, jeśli go Lena chociaż cokolwiek obchodzi. Bo on, Jerzy, i tego także nie jest najbardziej pewien.

Tych słów nie potrafił już ścierpieć. Porwał się z ławy, rozmowa toczyła się w kuchni, krzyknął, że do takich osądów Jerzy nie ma ani praw żadnych, ani podstaw. Lena niech powie, ona Wie przecież najlepiej.

Spojrzał na nią z wyczekiwaniem. Zakryła twarz dłońmi. Ani jednego słowa. Wtedy

zdumionym wzrokiem przewiódł po wszystkich trojgu. Poważna, smutna twarz Koniejenkowej, wzburzona Jurka, skryte za ścianą dłoni oblicze Leny. Zdumienie przerastało w nim wszelkie inne uczucia.

- Odpowiedzcie. Odpowiedz, Lena! - zaklinał.

Jerzy gestem wskazał mu ławkę. Sam usiadł po drugiej stronie sosnowego stołu. Opanował się już.

- Wiesz dobrze, cośmy przeszli w czas wojny. Matka, ojciec, po trosze my dwoje. Jak silne jest tamto wspomnienie, najlepiej mówi o tym śmierć ojca. Mamy wyczułone poczucie krzywdy, może i widzimy niejedno w krzywym odbiciu. Robimy wszystko, by okrzepnąć na nowej ziemi, nowej i właściwie już starej, tyleśmy w nią włożyli i pracy, i marzeń. Chcemy odciąć się od przeszłości. Boimy się wszystkiego, co z zewnątrz przychodzi, jest inne, nieznane... Myślę, Henryku, o tobie. Wierzę, że kochasz Lenę. Ale wiem, że sam zdajesz sobie chyba sprawę, ile was dzieli. Pochodzenie, przyzwyczajenia, wychowanie, dom...

Umysł Henryka pracował intensywnie. Od kogo on już słyszał te słowa, od kogo? Czyż nie tak samo mówiła matka? Matka?

- Jerzy, czy moja matka tu była? Powiedz prawdę. Ja muszę wiedzieć!

Spojrzenie Leny błagalne i strwożone, zwrócone na brata. Nagły dygot ramion Koniejenkowej. Jerzy zacisnął wargi, była teraz w ich miejscu jedna wąziutka linijka. Długo milczał, aż wreszcie odezwał się z determinacją w głosie:

- Trudno, Lena, może to nasz błąd, żeśmy go trzymali w niewiedzy parę tygodni. On musi wiedzieć. Zresztą, tyś się zobowiązywała do milczenia, nie ja - zwrócił się teraz do Henryka. - Tak, była tu twoja matka. Rozmawiała z Leną. Powiedziała, że Lena jest nieodpowiednią żoną dla ciebie, że właśnie wszystko was dzieli, łączy zaś bardzo niewiele.

- Matka nie ma prawa tak mówić.

- Uspokój się. Dostyc, że w naszym domu rzuciła w Lenę obelgą. Lepiej więc nie mówić o prawach. Tyś podobno herbowy, a jakże, ród wiedziesz spod Grunwaldu, Lena zaś chłopka. Daruj, plotę nonsensy, przecie to śmieszne, ale tak podobno widzicie jeszcze świat z okien waszego domu.

- Bzdura!

- Matka twoja powiedziała, że nie dopuści do waszego związku. Prosiła Lenę, żeby odeszła od ciebie, nie niszczyła twojego szczęścia. Ona - wskazał na siostrę - zostawiła ci wybór.

- Lena, przecież ty wiesz, że tylko ciebie wybiorę...

- A matka, Henryku?

- Matka musi się zgodzić.

- Nie wiem - Jerzy wzruszył ramionami.

Długie, przeciągające się milczenie, przerywane cichutkim, ledwie słyszalnym pochlipywaniem Koniejenkowej. I znowu Jerzy. Ciepłej teraz, serdeczniej.

- Nie gniewaj się, Henryk, należało wszystko wyjaśnić. Przemyśl sobie, masz czas, nas bowiem nie stać na nowe niepokoje.

Znów stanął pomiędzy nimi, ogłuszony, zaskoczony nade wszystko zachowaniem w tym wszystkim Leny, chciał coś powiedzieć, nie znalazł właściwych słów, więc tyłem, lękliwie, cofał krok za krokiem ku drzwiom. Tam dopiero zdobył się na wyrażenie tego, co jedynie było w nim pewne, najmocniejsze...

- Ja tu do was powrócę. Na zawsze.

Wydało mu się, że słyszy swoje imię wymówione przez Lenę, że woła za nim w mrok spadłej znieca nocy, równie znieca jak zasłyszane nowiny, ale nie miał już siły, by wracać, poza tym nie był pewien, czy mu się czasem nie przesłyszało.

Wolno człapał potem ku światłom miasteczka, wreszcie przystanął pod drzewem lipy na szosie, oparł się o nią, odtwarzał w pamięci, co właściwie zaszło przed chwilą. Mąciły mu się obrazy, słowa i gesty, spoza nich wyłaniała się tylko coraz wyraźniej twarz matki, pogodna, rumiana, matki, która straciła dziś jego zaufanie. Twarz ta uśmiechała się, usta mówiły coś o Kirgiełach...

Jak od trampoliny odbijał się z nagła od pnia starego drzewa, gnał teraz do swego domu, oburzony, wstrząśnięty, pełen żalu i gniewu, zdecydowany na awanturę, na rozstanie z matką, choćby dziś jeszcze, choćby natychmiast. Tylko przedtem bluźnie jej w oczy całą prawdę, o tej odpłacie za miłość synowską, o zdradzonym zaufaniu, o uczynionej krzywdzie. Każdy krok powiększał wzburzenie i gniew. Miotła nim rzadko zaznawana prawdziwa pasja.

Ponury i zdecydowany na wszystko szarpnął wreszcie drzwiami własnego mieszkania. Zaraz w przedpokoju natknął się na matkę, oczekiwała go najwidoczniej.

- Wiem wszystko - krzyknął. - Czemuś to zrobiła? Czemu?

Ani go nawet słyszała. Niestychanie podniecona i przejęta zamachała mu przed oczyma jakimś papierkiem.

- Czytaj, Heniuś, czytaj.

Machinalnie podniósł tekst depeszy ku oczom. Zielonogórska delegatura Totolotka powiadamiała, iż na kupon numer taki a taki padła wygrana stu osiemdziesięciu tysięcy złotych.

- Nasz numer, Heniuś, nasz! - chwyciła go w objęcia, z jakąś piekielną siłą radości

zmiażdżyła w uścisku. - Patrz, jakie szczęście, wyjedziemy stąd, z tej paskudnej dziury, zamieszkamy w Warszawie, dopiero będziemy żyli. Jak ja się cieszę, jak cieszę...

- Mamo, ja o czym innym...

- Nic nie ma innego! Nic! Jadę jutro do Warszawy rozejrzę się, przygotuję wszystko do przeprowadzki.

- Mamo, czemu poszłaś do Koniejenków? Czemu? - zakrzyczał, przegłuszyć pragnął jej radość, mówić wreszcie o tym, co ważne, nie o jakiejś totalotkowej wygranej.

Zamachała pulchnymi dłońmi.

- Po co? Żeby ci pomóc. Teraz to wszystko nieważne. Ważny jest telegram. Jutro do Zielonej Góry po odbiór i zaraz do Warszawy. Do Warszawy! Nareszcie, po tyloletniej tułaczce, nareszcie, Heniuś...

Zasypywała go słowami, zagłuszała, nie przyjmowała żadnej dyskusji. Patrzył na nią bezradny i zbiedzony, nie miał sił na rozmowę, poprzednie ożywienie zgasło nie wiedzieć kiedy.

- Niczym się, kochany, nie przejmuj. Jutro już będę w Warszawie, zobaczysz, nowe życie. Nie pragniesz czego? Trzeba mieć teraz siły - znów wytrząsała tekstem depeszy jak chorągiewką.

- Idź, idź do jasnej cholery! - zakrzyczał piskliwie jakoś, po szczeniacku.

Zastygła, błysk to był, ułamek sekundy. A potem jeszcze raz zamachała mu przed oczyma blankietem depeszy.

15.

Lekceważąco wzruszył ramionami. Zgłupiał ten Gienek Dopatka, po trzy razy dziennie zajeżdża na stację, wypatruje na dom Łyczywków, nie może mu Wera zejść z myśli. Spoglądaniem z daleka wiele nie wywołuje. Teraz też sterczy jak kołek, choć Maliniak popatruje za nim z okienka, ma stary ochotę na piwo. Zimno już, kto by tam piwo pijał. W ogóle wszystko do chrzanu. Razem z robotą na stacji; ani to fach, ani zarobek. Siwiak obiecuje, że pogada z tym i owym, licho wie, stary przykleił się do nich, a już z Milą to straszna przyjaźń. Od tamtej nocy, kiedy Mila chciała się topić...

Wzdrygnął się Tomek od tego wspomnienia i od chłodu, przenikającego pod przykrótką kurtkę, poczłapał schować się w komórce obok kantorka. Tam przynajmniej nie dmucha.

Dopatka stał obok swego stara, odprowadzonego w bok od podjazdu. Nie miał dziś wielkiej nadziei, że uda mu się zobaczyć Werę, zastanawiało go co innego. Z podwórza nie nadbiegały głuche postuki kamieniarskiego młota. Nie pracuje Łyczywek? Niebywała rzecz:

Zawsze dudniło tam i dudniło. Już to pracowitości staremu śmiechulcowi nie brakło...

Westchnął, zawrócił do kantorka, jeszcze się raz i drugi obejrzał. Nic, głucha cisza i spokój w Łyczywkowym obejściu. Aż nieprzyjemnie, jakby wszyscy wymarli.

Maliniak wychylił się z okienka.

- Czyś ty oszalał, chłopie? Gały wypatrzysz i gównu będziesz miał z tego. Już tam starzy pilnują dziewczuchy.

Urwał, zastanawiając się nad czymś pokręcił głową, dodał:

- Diabli wiedzą, czy jednakże upilnowali.

Dopatka już był w kantorku, złapał kierownika za muskularne ramię. Chuda twarz kierowcy zadygotała.

- Wiesz coś, Maliniak? Ten cacus, Andrzej?

Kierownik nie odpowiedział. Schylając się pod stół, wyjął dwie flaszki piwa spośród rozsiadłej tam całej baterii. Przechylając szyjką do dołu, zakręcił każdą butelką, przyjrzał się uważnie, dopiero podał jedną Dopatce.

- Pij. Jeśli chłód nadal potrzyma, grzać będzie trzeba.

- Ja i w mróz też piję najchętniej zimne. Samo potem grzeje od środka.

- Boś jeszcze szczeniak. Mnie od chłodu zawsze łeb łupie, wojenne echa.

Maliniak odchylił głowę do tyłu, pił jednym ciągiem, ruszała mu się grdyka. Twarz sczerwieniała, rzadkie blond włosy zlepiały się od potu. Rozsiadł się teraz wygodnie, łapiąc ukradkowe spojrzenia Dopatki, kierowane ku obejściu Łyczywków. Chciał coś powiedzieć, zrezygnował, uważnie tylko przyglądał się zmizerowanemu kierowcy.

Dopatka, zawsze szczupły, tylko wiatrowi pędzać takim po polach, przychudł jeszcze bardziej, ubranie wisiało na nim jak pojcowskie. Na pociągłej twarzy wyrosły bruzdy, zapadłe oczy świeciły dziwnie. Maliniak przyjrzał się jeszcze dłoniom chłopaka. Nerwowe, drgały co jakiś czas, gdy je tak trzymał złożone bezradnie na stoliku kantorka.

Skrzywił się Maliniak, nic nadal nie mówiąc, znów sięgnął pod stół. Dopatka łakomie złapał za flaszkę, zaraz ją przytykał do ust.

- Jasny gwint, pali mnie coś we środku, czy jak, złopałbym bez wytchnienia.

- Powiedz, Gienek, nie poszukałbyś sobie innej dziewczuchy? Byłeś głośny kozak, znano cię, bez babki w szoferce aniś wyruszył w turę. Dziś przez pół dnia zasmradzasz mi stację, łypiąc oczami, czy Wery nie zobaczysz... Machnąłbyś ręką, zakręcił przy drugiej. I łatwiej, i teściunie mniej byliby straszni.

- Ech, gadasz, Maliniak...

- Gadasz, gadasz. Dobrze radzę, bo lubię cię, Gienek. Kiedyś skakałeś do oczu, ale ci przeszło. Czego tutaj chcesz szukać? Dla Łyczywka jesteś gołodupiec i tyle, nieraz mi mówił. On partii szuka dla Wery. Fijoła ma na punkcie dziewuchy, jakby to była jakaś księżna. Kichnij, Gieniuś, na wszystko, spieprzaj w te dyrdy, nie tobie pisane łydki Werczyne...

Twarz Dopatki stężała w grymasie, dłoń na stole zacisnęła się kurczowo. Maliniak obserwował go uważnie, uśmiechnął się.

- Znów myślisz skakać do oczu? Mnie, który dobrze ci, chłopie, życzę? Sam widzisz, jak jest. Znaleźli tego przystojniaka od wierceń, ledwie nie sami pchali mu dziewuchę w objęcia. Jemu wolno było to, nad czym się tobie ani oblizać. Kto wie, co nabroił... Teraz go ani widu, ani słyhu. Zwinął chorągiewkę. Pomyśl, jak dopiero będzie pilnował stary dziewczyny. Nie z takich on, co dwa razy na tym samym się sparzą.

Gienek myślał nad czymś zupełnie innym.

- Czemu on dziś nie kuje?

Maliniak parsknął śmiechem.

- Od początku wiedziałem, że o to zapytasz. Wiem też, co dalej będzie... Czemu? Zadzuszki blisko, na cmentarzu nagrobki ustawiają wraz z kopidołem. Jak się już ludzie tu zasiedzieli i opierzyli, każdy zaraz chce swoim i płytę ładną, f murek, i krzyżyk z kamienia. Zwykła rzecz.

- A stara?

- W domu... Gadaj, Gienek, chcesz widzieć Werę?

Głową tylko przytaknął.

Maliniak poskrobał się w łysiejącą, spoconą głowę. Popatrzył na pustą przestrzeń między stacją a domem Łyczywków. Ciężko podniósł się z miejsca.

- Powiedz ty, a ona zechce się z tobą widzieć? Po tym wszystkim z Andrzejem?

- Nie wiem. Spróbować można. Musi się jej cnić zamkniętej w domu jakby w więzieniu. Sprzyjała mi kiedyś, jeno że starzy popędzili, jakeście rzekli, gołodupca... Może przyjdzie.

Kierownik już pohukiwał na Tomka, by stacji pilnował, obsłużył, jeżeli wóz jakiś podjedzie, dobrze gotówkę policzył. Chłopak potakiwał, sprytnie węsząc zarazem, co się tu święci. Dopiero gdy spostrzegł, że Maliniak zamierza ku domowi Łyczywków, mrugnął porozumiewawczo do wyglądającego zza szyby Dopatki, gwizdnął mu na ochotę.

Wiatr przebiera konarami, trzeszcza i chwieją się. Zawsze w południowej godzinie jest spokojnie na stacji. Z samego rana falą przewalą się ciężarówki i ciągniki, potem zjawi się ich trochę już po południu, wtedy zjeżdżają też osobowe wozy. Co najwyżej motocykle psują ustalony porządek dnia. Teraz też jakiś nadjeżdża. Nawet Dopatka spojrział ciekawie.

Wichrun, na WFM-ce. Już się tej jawy rozbitej nie dało posklejać, poszła na szmelc. Dobrze, że podłatali faceta. Tyle, że ani w nim poznać pięknego Zygmunia, co to za nim dziewczyny sznureczkiem. Cholernie sobie tę mordę pokieroszował.

Tomek wydając piątkę benzyny też wolał nie przyglądać się Wichrunowi. Padając z motoru, twarzą rąbnął w kamienie, szorował po nich parę metrów, że tylko miazga była. Zostały blizny, wklęsły lewy policzek, nos rozplaszczony jak u zawodowego boksera, skrzywiona warga, od niej zaś po podbródek głęboki szew blizny, wszystko czerwone, upstrzone białymi pręgami. Przyśnić się może.

Spokojny też zrobił się Zygmunt, kiedyś był pierwszy we wszystkim, do noża nawet potrafił doskoczyć, a dzisiaj grzeczny, cichy, nie ten sam człowiek. Skłonił się z daleka Dopatce, Tomkowi wyliczył forszę, pchnął pedał, łagodnym kręgiem znów ruszył na drogę. To się dopiero chłopak urządził, pieska niebieska.

Skrzypnęły drzwi. Dopatka drgnął, Tomek wychylił głowę z przybudówki, gdzie Maliniak trzymał oleje.

- Wera.

Podsłoczył ku niej, ujmował za obie ręce. Wydała mu się jak gdyby wyższa teraz, bledsza i bardziej smutna.

- Chciałeś czegoś, Gienek? Bo wiesz, ojciec na krok nie chce mnie puścić, odkąd się to rozpadło z Andrzejem. Klnie, że wszyscyście tacy, jak od wściekłych psów trzeba trzymać się od was z daleka. O mnie mu chodzi, ja wiem, ale on nie rozumie... - zasepiła się nagle. - Po co ja ci mówię to wszystko, Gienek. Tamto już nie wróci.

- Wera, powiedz, czemuś ty z Andrzejem? Kiedyś sobie obiecywaliśmy, ojciec by w końcu się zgodził. Trochę grosza się uzbierało, przeniósłbym się tu z Sulechowa, poradziłibyśmy... Siadaj, już tam Maliniak matkę zagada.

- Nie wiem. Matka okropnie wystraszona. Ona się boi o ojca. Ostatnio prawie ciągle się śmieje, wiesz, co to znaczy... Ja... ja drzę o Andrzeja. Jeżeli ojciec go spotka...

- Żałujesz go? Wera, powiedz, kochasz się w nim, kochasz?- gorączkowo ją ścisnął za dłonie.

- Nie wiem. Chyba tak... Tylko, że mnie teraz zostawił samą... - głos jej stał się jakiś skrzekliwy, rozdygotany. - A ja już nie mogę wytrzymać w tym domu, postękiwanie matki i śmiech ojca, i ta niewola, nie mogę, rozumiesz? Andrzej, nie Andrzej, nie wiem, kocham czy nie, wiem, że chcę stąd wyrwać się, wszystko mi jedno gdzie. Oni się o mnie troszczą, ale ja tych sukienek nie mam gdzie włożyć, nie mam komu pokazać, ja się duszę. Ten dom jak klatka. Wszystko we mnie rwie się od tych nagrobków, od krzyży białych, marmurowych,

takich ponurych i zimnych. Nie chcę dłużej tu być. Gdy Andrzej, gdy to wszystko, za zgodą ojca i matki, to rozumiesz, nie myślałam o niczym, jak tylko o tym, że może już od nich odejdę, z tego domu, jak najdalej, jak najdalej... - uśmiechnęła się smutnie, zgasła jej werwa, mówiła teraz zawstydzonym szeptem. - Widzisz, Gienek, jak jest i Tobie jednemu to mówię, boś ty mnie pierwszy całował, aż ojciec nas złapał, urwało się wszystko. Ciebie w diabły przepędził, mnie zakazał się z tobą widywać.

Ujęła go czule za ramię.

- Nie gniewaj się, Gienek, że pytam, ale może ty wiesz cośkolwiek? Może Andrzej chory, może mu kazali odjechać, może on wróci? On musi wrócić, musi. Ty nie wiesz czemu, ale jeżeli nie wróci, to sama już nie wiem, może być bardzo źle...

- Źle z nim, czy z tobą?

- Ojciec go chyba zabije, jeżeli spotka...: A ja, ze mną? Matka się domyśla, nic nie mówi, widzę, że drży, modli się całymi dniami ze strachu. Ale co potem? Co potem?

- Twój Andrzej nadal pracuje przy wierceniach. Monter, wielka figura. Teraz przenieśli się pod Zieloną Górę, ryją koło Brodów, nad samą Odrą. Tyle wiem, Wera... To o mnie już nigdy nie myślisz?

W spojrzeniu jej spotkał coś znajomego, nie widzianego od miesiący. Ale zaraz zagasł ten błysk, wzrok dziewczyny znów zmatowiał i zubożał.

- Cóż ci po tym, gdybym nawet powiedziała, że tak? Gienek, ja muszę już iść. Ojciec każdej chwili może powrócić, przyjechać miał po kamienie. O, matka już tutaj biegnie, patrz. Pa, Gienek, pa...

Musnęła go po policzku wargami, ani patrząc, że z zewnątrz ciekawie zerka do kantorka Tomek Jaruga. Drzwi tylko trzasnęły, jak wybiegła.

Za Łyczywkową sapiąc przewalał się z nogi na nogę Maliniak. Coś wołał, perswadował kobiecie, ani go ta słuchała. Na widok Wery zatrzymała się, zajazgotała, nie było słyhać z daleka. Dopiero gdy z kantorka wychylił się Gienek, poznając ruszyła znów w jego stronę, wygrażała pięściami:

- Ty, psiawiaro, gołodupcu jeden, znów się nas czepiasz? Czekaj, ja ci, pieskie nasienie, czekaj...

Od szosy skręciły w dojazdową ulicę dwa samochody. Łyczywkową chwyciła Werę pod ramię, zawróciły. Zasapany Maliniak machał w alternacji rękami.

- Niech cię, Gienek, pioruny, potrzebne to komu? Wszystkie pomyje wylała mi baba na głowę, ależ ma jęzor. Nagadałeś się chociaż, wiesz coś?... Znów ci Niemcy się suną, też diabli nadali. Myśliwi, taka ich mać!

Nowy zgrabny opel, a tuż za nim seryjny volkswagen z obcymi znakami rejestracyjnymi podjechały na podjazd. Gramolili się z nich kierowcy, dziwacznie trochę ubrani, potrząsali kwitkami na odbiór benzyny. Maliniak kiwał głową, bez pośpiechu tankował różowoniebieskawy płyn. Tomek z wytrzeszczonymi oczyma gapił się na kierowców i samochody.

- Gott sei Dank - skwitował Niemiec usługi Maliniaka.

Kierownik stacji oczy wytrzeszczył na niespodziewanego pobożnisia.

Gdy wozy odjechały, ani spojrzął za nimi, mocno trzasnął drzwiczkami kantorka, zaraz sięgnął po piwo, skinął na Gienka, by też się obsłużył. Dopiero, gdy jedną po drugiej wypił z bulgotem dwie flaszki, opadł na krzesło.

- Psiekrwie, że to ich z tego NRF-u do nas puszczają! Myśliwi, żeby ich nie znać. Godzinę polują, a cały dzień ganiają po drogach. Patrz, wiele już benzyny kupili. Jeszcze mi z „Gott sei Dank” szelma wyłazi. Ten gruby, wiesz, podobno z tych stron...

Przyjrzał się Gienkowi.

- Et, w ogóle nie słuchasz... Wera ci tylko w głowie. Jezu, com miał, baba z wachała, że dziewczucha wyfrunęła do ciebie. Mało, a łeb by mi rozwalila...

- Ten gruby Niemiec z volkswagena?

- A ten, ten... Kanadyjce się z nimi wozi po polowaniach, też facet, nie znalazł innej roboty... Pał ich sześć, szwabów. Wiesz, Gienek, co mi przyszło do głowy, jakim był u Łyczywków?

Dopatka znekany zupełnie spojrzął z niemym pytaniem.

- To, że ten Andrzej musiał niezgorzej przeszkrobać. Starej się ślepie mrużyły, jak o nim wspominała. Nic Wera ci nie mówiła?

- Mnie? Wera? Nic, nic...

- Kurza twarz twoja, Gienek, 3koro gadać już nie chcesz, lepiej pij piwo. Wieczorem przywieziesz skrzynkę, dobra? Pij, a babskimi majtkami, pamiętaj, nigdy nie warto nad miarę zawracać głowy! Nigdy.

Ten obszar leśny określano „wiatrołomem”, od polaci zmiecionej przed paru laty olbrzymią wicharą. Na przestrzeni kilku hektarów pokotem legły wtedy strzaskane i powyrywane z korzeniami potężne drzewa, wspierały się jedne o drugie, straszyły kikutami wyciągniętych ku górze konarów. Pnie. zostały zwiezione, pieniała się na ich miejscu jeżyna, dołem uparcie czepiały ziemi borówka i wszędobyłska poziomka. Tu najchętniej gromadziły się jelenie w czas rykowiska.

Obszar wiatrołomu stanowił część rejonu hodowlanego, d^kąd poza służbą leśną nikt z myśliwych nie miał dostępu. Tylko w wyjątkowych wypadkach wyznaczano tutaj odstrzały. Zwierzyna żyła mniej płochliwie, żerowiska były spokojne, sarny tęsknie wyglądały na polanach, długo trwało, nim zrywały się do ucieczki na widok ludzkiej sylwetki, jelenie buszowały jakby na swoim, koło dąbrowy i leśnych błotnistych stawków zawsze pochrumkiwały dziki. Tu także głuszec miał jedyną ostoję w okolicy.

Okińczyc rad był swej zgodzie na propozycję dyrekcji lasów. Towarzystwo Niemców niezbyt mu wprawdzie przypadło do gustu, ostatecznie jednak przekonał siebie, że nie spotyka się z nimi w celach towarzyskich. To byt po prostu państwowy interes, za odstrzał zwierzyny płynęły do kas grube dewizy... Jednocześnie trafiała się okazja poznania lepiej niż kiedykolwiek najbliższemu miasteczku leśnych ostępów. Znów oddychał swobodnie, jak tam, w buszu, daleko od ludzi, blisko zwierzyny, którą rozumiał i najlepiej się wyznawał w jej obyczajach.

Niemców jako myśliwych darzył szacunkiem. Znali las, zwłaszcza dwaj z nich, polowanie nie stanowiło dla nich wyłącznej okazji do celnych strzałów, potrafili przeżywać chwile prawdziwych zachłyśnięć. Jak wtedy, gdy na wieczornej zasiadce świadczyli rzadkiemu w swej dzikiej urodzie widowisku walki dwóch kapitalnych rogaczy. Żaden strzał nie padł w lesie tego wieczora...

Porębowisko porośnięte mchami i wrzosem wznosiło się przed nimi leciutko ku górze. Zza niej, od spadu wychodziły łanie na żerowisko, stamtąd nadciągały głodne miłości byki. Wyróżniał się zwłaszcza dorodny szesnastak, o wieńcach olbrzymich, wspaniale rozrosłych, od pierwszych dni przedmiot zabiegów i marzeń niemieckich myśliwych. Wychodził na polanę o samym zmierzchu, dudnił i chrypiał wyzywającym rykiem, potem skłaniając głowę w bok nasłuchiwał długo, jeszcze w pasji raciami rył ziemię, aż tryskało wkoło grudami. Kilka młodych byków łakomiło się na rudel prowadzony przez szesnastaka, krążyły wokół, przedzierały się przez zwarty poszyt, trzaskały wtedy łamane gałęzie, ryki się niosły w wieczorną ciszę, czasem któryś wysadził łeb z gąszczem, ślepił łakomie, wnet znikał. Bały się rozprawy z potężnym bykiem, więc porykiwały coraz to tęsknie; i żałośliwiej. Szesnastak sierzdził się jeszcze bardziej, słał w puszcze wyzwanie, znów czekał, jeszcze ryczał, truchcikiem obiegał skraj porębowiska, wracał na jego środek, rozeźlony już, wściekły pełen wezbranej w nim siły, mocarny i triumfujący. Łanie skupiały się wtedy w gromadkę, patrzyły w jego stronę.

Zasiedli na długo jeszcze przed zachodem, wiatr dał na nich cieniutkim powiewem, chociaż chłód wzbierał, znad niedalekich błot przyfruwały komary, bzykały i cięły. Dwie

łanie wysunęły się na skraj młodnika, łatwo je można było wysupłać z tła ciemnej ściany, skubały od niechcienia, nasłuchując uważnie dalekich poryków męskiej młodzi, dopiero próbującej smaku miłosnych zalotów.

Rozjaśniło się w tej przedzachodniej godzinie, trawy i zioła porębowiska pokryły się delikatnym złotem, łodygi jeżyn lśniły jak pociągnięte lakierem. I wtedy z chaszcy poszytu świerkowego lasu wyszedł on. Okińczyc z trudem zdławił w sobie westchnienie zachwytu.

To był szesnastak, król lubuskiej kniei. Przystanął u wlotu na porębowisko, zaraz potruczał ciężko wzdłuż ciemnej ściany drzew, odcinając od niej samotne dwie łanie. Bez oporów dołączyły do wstępującego na polanę w ślad za rogaczem rudla.

Teraz, spokojny już o łanie i młodzież, wolno, jak monarcha kroczył ku środkowi porębowiska, potrząsał czasami łbem, dygotały wtedy rozłożyste, nie spotykanej wielkości wieńce. W odbłasku słonecznym zalśniły przez moment świece.

Okińczyc i gruby Niemiec przysiadły przy nim bali się głośniejszemu oddychać. Widok godny był myśliwskiego oka. Rogacz stał teraz w miejscu, twardo wparty badyłami w ziemię. Wieńce szesnastaka były regularne, obustronna kielichowa korona rozgałęziała się przy każdej tyce na cztery odnogi, łeb mocny, wparty w masywne bary jakby się pysznił swą siłą. Głowa uniosła się wysoko ku górze, chwila wyczekiwania, nawet łanie zaprzestały na moment skubania trawy, Okińczyc zaś odczuł dreszcz emocji spływający mu od pleców na całe ciało.

Ryk zaczął się niskim pochrapywaniem, zaraz uderzył w gromki ton, narastał siłą, olbrzymiał, zdawało się, wszystko wkoło drżało, chygotały wierzchołki drzew.

Echa już tylko się tłukły między leśnymi ścianami, a rogacz stał jeszcze z łbem wzniesionym ku górze, zdając się łowić łyżkami pogłos swojego wyzwania. Z bardzo, bardzo daleka nadpłynęła odpowiedź, krótka, chrapliwa, zaraz za-cichło. Wtedy szesnastak od nowa zatrzęsł lasami. I znów słuchał. Daleki przeciwnik zachrypiał tym razem gniewniej i dłużej. Od prawa i lewa i od tyłu, gdzieś zza stanowiska przyczajonych myśliwych, z powoli nadciągającym mrokiem nadpływały porykiwania, mocniejsze i słabsze, chrapliwe i z nagłą przechodzące w dziwaczny dyszkant, najpewniej u młodych jeszcze samców. Milkły, szesnastak słuchał, trząsał łbem, jakby tym ruchem pragnął wprowadzić się w gniew, ryknął krótko, szydyczko, oto on, mocarny, nie ma w kniei przeciwnika dla niego, gdy przeciągłym, momentami przechodzącym w buczenie wyzwaniem odezwał się jakiś rogacz z młodnika, klinem wpadającego na wielki spłacheć leśnej polany.

Rudel oderwał głowy od ziemi, zaprzestając poskubywania. Łanie i młodzież zastrygły łyżkami. To było coś nowego, ten ryk niósł groźną zapowiedź. Któraś z młodszych łań

potruchtała, niby to poskubując trawę, w kierunku młodnika.

Rogacz ryknął króciutko, ostrzegawczo, jak dobry ojciec, gromiący niesforne dziecko. Łania zawróciła posłusznie ku całemu rudlowi.

Szesnastak zwrócił się teraz łbem ku zakosowi młodnika. Do> myśliwych wystawiał się komorą trudno byłoby o piękniejszy strzał. Okińczyc czuł, jak uczucie niechęci ku grubemu Niemcowi opanowuje mu serce. Pewnie, mówiono im o tej sztuce, rogacza skazano na odstrzał z uwagi na wiek. W rejonie hodowlanym potrzebny był zastrzyk młodszej krwi. A jednak serce starego myśliwego buntowało się przeciwko strzałowi w tej właśnie chwili, gdy oglądali preludium wielkiej sceny zetknięcia dwóch rywali, nie mogło już bowiem ulegać wątpliwości, że dojdzie do starcia.

Niemiec wprawnym bezszelestnym ruchem unosi sztucer. Okińczyc zaledwie stłumił w sobie chęć, by podbić mu broń w momencie strzału... W tejsze sekundzie sztucer opadł ku dołowi, w gęstniejącym zaś mroku Teodor ułowił porozumiewawczy uśmiech. Odetchnął głęboko, z ulgą, z wyraźną teraz sympatią dla towarzysza z zasiadki. O pozostałych myśliwych był spokojny, ich stanowisko znajdowało się zbyt daleko od rogacza, by mogli się zdecydować na strzał.

W młodniku trzeszczą gałęzie rozwalane wieńcami. Polana nasiąka popielato fioletowy mi cieniami zmierzchu. I znów mocny ryk, z tym dziwacznym pobekiwaniem. Szesnastak stoi jak wryty, badyle mu dygocą nerwowo, widać to nawet w mroku, wreszcie zarzuca wieńce na kark, ryczy przeciągle, dudni, grzmi. Wyzwanie.

Rozgarnięte masywem wielkiego cielska przechylają się na strony drzewka miodnika. Wypryskuje z nich na polanę rozrosły byk, z silniejszym podmuchem wiatru myśliwi czują dochodzący ich ostry swąd rogaczy z godowego okresu. Staje, a potem powoli, krok za krokiem sunie przez porębowisko ku szesnastakowi. Oba porykują krótko, urywanie, pasja w tym ryku i gniew, śmiertelna nienawiść.

Byk z młodnika z nagłą przystaje. Myśliwi widzą wyraźnie, to szydlarz, największy szkodnik, nieomal pewny we wszystkich bojach zwycięzca. Jedna tyka wyzbyta jest odrośli, sterczy ostrym, śmiertelnym szpikulcem. Szydlarz pewny jest swojej broni, ryczy donośniej i teraz truchcikiem już rusza ku rywalowi. Kształty chwilami zlewają się, ciemnieje gwałtownie, już tylko wielkie dwa cienie stoją naprzeciw siebie, z pochylonymi łbami, z wieńcami wychylonymi do przodu. Chrapliwe, coraz to krótsze ryki, bicie racicami o ziemię, wzajemne wyzywanie.

Od linii leśnej przybliży się rudel, łanie i młodzież. Jeszcze zawadiacki pokrzyk jakiegoś nocnego ptaka i zaraz łoskot zderzających się wieńców. Ten przekłety mrok, żeby to trochę

wcześniej! Dwie ciemne masy napierają na siebie, trzeszczą i chrzęszczą poroża. Myśliwi więcej wyczuwają już niżeli widzą, psiakrew, taka scena, może w życiu już więcej się nie przydarzyć, żeby chociaż o parę minut wcześniej, nim ciemność zgęstniała, że już nawet nie cienie teraz, a jedynie czarniejsze plamy na ciemnoszarym tle.

Chrapanie, ryki tłumione w gardzielach, posapywanie, znów łomot wieńców, przepychanie, cielska się odrywają od siebie, jeden z byków próbuje okrążyć drugiego, pewnie szydlarz przyjmuje dogodniejszą pozycję do uderzenia swoim szpikulcem. Kotłowanina, znów chrzęst poroży, chrapanie, zdławiony poryk, nagle coś dudni, głuchy cios, tępo niosący się echem, sekunda ciszy, a potem łomot, tupot, gwałtowne uderzenia racic o ziemię, trzask łamanych gałęzi, spokój.

Niemiec szturcha towarzysza pod bok. Co się stało? Okińczyc w ciemności ściska go wymownie za ramię, by jeszcze nie mówił, by zachował przez chwilę chociaż milczenie.

I oto na całą knieję, jak szeroka i długa, niesie się nagle triumfalny, zwycięski ryk szesnastaka. Zwyciężył, przeciwnik sromotnie poddał tyły, uchodząc z pola walki. On zatem nadal jest władcą lasów, nie ma nikogo nad niego. Długo niesie się ryk, pełen chrapliwych tonów, przycicha i znów olbrzymieje, by wreszcie urwać się nagle, gwałtownie.

Szesnastak czeka. Nie znajduje odzewu. Milczy knieja, nie ma w niej godnych jemu rywali...

W drodze powrotnej do leśniczówki Niemiec zwrócił się nagle do Okińczyca.

- Obawiał się pan, że strzełę, prawda?

- Miał pan prawo. Wspaniały okaz. Chociaż przyznam się, iż bardzo nie życzyłem sobie tego strzału. To było piękne...

- Ja, ja, es war wunderbar.

Szli przez chwilę w milczeniu. Z daleka, z daleka dochodziło jakieś pojękliwe porykiwanie. W najbliższym okręgu knieja milczała.

Gdy wyszli na szeroką przecinłę, tuż przy sztapli niedawno ciętej, okorowanej papierówki, bielejącej teraz w ciemności, już za obrębem hodowlanym, Niemiec zaproponował krótkie wytchnienie. Przysiedli na pniu. *Zabrzączal* korek manierki.

- Proszę, polska starka, wspaniały trunek. Przed wojną można ją też było kupić w Berlinie, dziś w NRF nie ma.

- Moglibyście sprowadzać.

- Pewnie, pewnie...-westchnął Niemiec.

Starka była ostra, paliła, grzała ciała zziębnięte długą za-siadką.

- To już więcej niż dwadzieścia lat, gdy łąziłem po tych lasach. Zmieniło się wiele, gdzie

byli młodniki, teraz stoją olbrzymy, trudno mi się już w kniei rozeznąć. Ale właściwie jest przecież tak samo. Jakże ja kochałem te tereny, wiele tu miałem pięknych strzałów... Gdy tylko ogłoszono, że urządzenie polowania dla cudzoziemców, zaraz się zgłosiłem, prosząc, by przyznano mi odstrzały w tych okolicach. To moje rodzinne strony...

- Słyszałem, mówiono mi. Pan pochodzi z samego miasteczka?

- Nie. Jest taka wioska, wy ją dziś zwiecie Brzezina... Obok ojciec miał folwark, niewielki, był kolonistą, jeszcze od czasów Bismarcka. Tam teraz nic nie ma, spaliło się w wojnę, chłopci z wioski uprawiają ziemię... Tak słyszałem, jeszcze nie byłem, pojedę któregoś dnia, jak swoje odstrzelę. Ciężko będzie. Kto myślał, że się na to obróci?

Okińczyc milczał, nie miał ochoty wdawać się w dyskurs z Niemcem, tym bardziej że czuł do niego zrodzoną na myśliwskim podłożu sympatię.

- Ostatni raz polowałem w trzydziestym dziewiątym, rykowisko było późne, przeciągnęło się na pierwsze dni listopada, rankami i wieczorami drzewa stawały w szadzi. Trafiłem wtedy pięknego byka, olbrzym, choć ten szesnastak chyba go jeszcze przewyższa... A pan gdzie wtedy polował?

Teodor uczuł, jak dłoń jego kurczowo zaciska się na fuzji. Za największym wysiłkiem pohamował rozdrażnienie. Podniósł się.

- Pójdziemy chyba? Zimno już... Gdzie wtedy byłem? Ranny po wrześniu, kurowałem się marząc, by znów móc latać i walczyć. Niedługo później, już w grudniu, przedostałem się do Francji. Później broniłem Anglii...

Niemiec musiał wyczuć nowy, nie znany mu dotychczas ton w głosie Okińczycy. Burknął coś, powstał posłusznie, jeszcze raz wyciągnął manierkę ku towarzyszowi. - Dziękuję, więcej nie mogę...

Zabulgotało, grubas ochotnie wypróżniał zawartość manierki. Może takim sposobem chciał ukryć pewne speszenie niespodzianym obrotem rozmowy. Okińczyc stał, trzęsła nim szewska pasja. Teraz nie mógł sobie wybaczyć, że zgodził się na propozycję towarzyszenia zagranicznym gościom. Odmówił łowczy ich koła, wyraźnie oświadczył, że mu Niemcy wybili całą rodzinę, nie chce mieć nic wspólnego z pogrobowcami Hitlera. Inspektor od spraw łowiectwa w dyrekcji okręgu również z nagłą zachorował, a przecież widzieli się z Okiń-czycem na polowaniu otwierającym sezon... Tak, oni z góry wyczuli, on tylko się wygłupił, sam siebie wpakował w głupią kabałę.

Nie czekając, więc na grubego pijusa, szedł przecinką w stronę leśniczówki, gdzie czekały auta. Posapując Niemiec dopędził go po krótkiej chwili. Szli teraz obok siebie, czując jak poprzez mrok dzieli ich z nagłą narastająca wrogość.

- Wie pan? - zagadnął grubas.

- Tak?

- Nie chciałem pana urazić. Zapomniałem, to takie dawne sprawy... Niech pan nie ma żalu, spotkaliśmy się jako myśliwi, takimi dla siebie zostaliśmy... Tamte *rzeczy*, przeszłość, wojna, polityka, niech inni się martwią... Ja bo zawsze lubiłem Polaków, wie pan, i mam taką nadzieję, że przecież się dogadamy, hitleryzm to coś, co było i minęło... Tu, na wschodzie byłoby dosyć miejsca dla wszystkich. Może kiedy tak się ułoży, że będziemy mogli razem polować. Odbudowałbym folwark ojcowski, znów by się chodziło po kniei... Okińczyc stanął.

- Pan daruje, ale polować tutaj pan i jego przyjaciele będziecie mogli najwyżej jako goście. Inaczej nigdy.

- Czemu? Przecież mówiłem o pokojowym dogadaniu... Pan znów się obraził, naprawdę, nie przypuszczałem, że jest pan tak drażliwy. No tak, wspomnienia, pewnie, różnie było - w tej wojnie, rozumiem, rozumiem.

- Nie, nie rozumie pan. Takie dogadanie się między wami a nami nie wiem, czy jest możliwe...

Nawet nie usiłował opanowywać się. Głos jego brzmiał twardo, surowo. Dłonie wetknięte w kieszenie kurtki ściągnęły się, jakżeby było miło gruchnąć nimi faceta przez łeb, żeby aż nogami się nakrył. Cholera, on jeszcze marzy o powrocie. Ani o grosz mniej bezczelności, ani o jotę tupetu. Wracać chce, psiakrew, pokojowo, a jakże.

Bał się dalszych słów Niemca, tym bardziej że wypita starka musiała na tamtego już działać. Bo co, jeżeli w pewnym momencie nie potrafi się pohamować, naprawdę trzaśnie go w gębę? Gość oficjalny, jakże tak?

Grubas musiał jednak coś wyczuć, nie odzywał się więcej, ni słowem. Szybkim krokiem dotarli niedługo do leśniczówki. Myśliwi z drugiego stanowiska już także byli na miejscu. Okińczyc zdecydowanie zwrócił się do całej grupy. - Chciałem panów pożegnać. Od jutra zatrzymują mnie pilne osobiste sprawy, więcej nie będę mógł towarzyszyć panom...

Wyrazy żalu, podziękowania. Tylko gruby Niemiec milczał. Gdy przewyciężając się - taką czuł teraz do niego niechęć - Okińczyc i do niego wyciągnął rękę, wzdrygnął się w tej samej chwili. Niemiec podał mu po wielkopańsku trzy palce, gestem wyraźnej pogardy.

Zniósł i to. Gdy jednak siedział już za kierownicą swojego forda, a towarzyszący gościom nadleśniczy przysunął się do okienka ze zdziwionym pytaniem, skąd taka nagła zmiana planów, warknął mu z całą pasją:

- Niech się pan cieszy, że tylko na „tym się skończyło. Jeszcze chwila, a byłoby niebezpieczne dla tych, psiakrew, dewizowych myśliwych.

Zapуścił motor, zerwał z miejsca, wozem niebezpiecznie rzuciło na piaszczystej drodze.

W barze „Piastrowski” wypił tego wieczora trzy setki, do mizdrzącej się Feli nie przemówił słowa, a spojrział tak, że dziewczyna uciekła czym prędzej na drugi koniec sali, należność zaś skasował sam astmatyczny kierownik.

Słyszając wysilony warkot motoru, z trudem przedzierającego się przez zabłoconą po niedawnych ulewach drogę, Tomek ciekawie wyskoczył przed podjazd, przysłonił oczy ręką. Nawet Maliniak wychylił z okienka łysawą głowę.

- Założyłbym się, że to Gienek. Bebechy wypruie ze swego stara.

- Zatrzymał się przed Łyczywkami!

Meldunek Tomka wywabił kierownika z ciepłego kantorka, dającego osłonę przed porywistym, chłodnym wiatrem, ciągnącym od pól. To w ostatnich dniach tak pozimniało.

Trzasnęły drzwi szoferki, Dopatki jednak, przesłoniętego budą ciężarówki, widzieć nie mogli. Ustał tylko łoskot ka-. mieniarskiego młota, jednolitą melodią nadbiegający przez cały ranek ku benzynowej stacji.

- Już niegdys nadjechał z tamtej strony, po kraksie, latem jeszcze, pamiętasz?

Tomek skinął głową. Rozpierała go ciekawość.

- Skoczę, szefie, zobaczyć... Można?

Zadudniło, tak pognał. Maliniak pokręcił głową. Zwariował ten Gienek, pcha się staremu pod młot, Łyczywek przecie naprawdę gotów go walnąć. Z dawna mają ze sobą na pieńku. A już po tym Andrzeju zrobił się kamieniarz w ogóle niepodobny do ludzi. Co spojrzeć na niego, rechoce jak głupi...

Tomek nie wracał. Wiatr dmuchał pod sklepieniem podjazdu szczególnie silnie. Kierownik chcąc nie chcąc poczłapał znów do kantorka, przez otwarte okienko ślepiąc tylko i nasłuchując pogłosów z Łyczywkowego obejścia. Nic jednak ani słychać, ani widać nie było. Maliniak zrezygnowany sięgnął po wiaderko stojące na elektrycznym piecyku, wyjął z gorącej wody flaszkę piwa, pokręcił nią, łypnął ochoczo okiem na widok banieczek piętrzących się u góry bielutką pianą. Przytknął flaszkę do ust.

Placykiem poniósł się nagle ostry krzyk, narastał, wdarł się w to warkot zrywającego do biegu silnika. Zatupotały buty Tomka.

- Co jest? - Maliniak odstawił nie dopitą butelkę, zdziwiony patrzył na chłopca chwytającego się rękami za głowę.

Za odpowiedź wskazał podjeżdżającego stara. Gienek zahamował gwałtownie, nerwowo, nie przymykając drzwiczek zeskakiwał na podjazd.

- Tomek, lej mi dwudziestkę...

- Co jest, Gienek? Czegoś ty łąził do starego? Guza oberwiesz za te amory.

- Nie amory tym razem - ocierał pot z czoła, rzecz dziwna przy takim chłodzie. - Stary może mieć grandę, chciałem uprzedzić, ani słuchał, zaraz mnie pognał, a śmiał się jak jeszcze nigdy... Kurza twarz... - zbiesił się nagle. - Jeślibym dostał Werę, to od tatulka będę się trzymał daleko. Cholery można by dostać, stale widząc tę uśmiechniętą facjatę. Jak Bożię kocham. No nie, Maliniak?

- Przyzwyczaiałbyś się, przyzwyczaiał... Jaka granda, gadaj? Tu masz piwo...

- Z tymi Niemcami.

Przychylił flaszkę do ust. Maliniakiem skręcało z podniecenia.

Gienek tymczasem wytarł rękawem wychudzoną gębę, spojrzął na wóz przed okienkiem.

- Odstawię maszynę na bok, wtedy opowiem. Ten volkswagen pewnie zaraz nadjedzie...

- Żeby cię czarci Łyczywkiem w piekle męczyli! - syknął za nim rozeźlony na dobre Maliniak. Bo tu jeszcze Tomek za okienkiem wyczyniał rękami dziwaczne znaki, coś pokazywał.

Poszedł spojrzeniem za dłonią chłopca. U wrót do swego podwórza stał maleńki, pokurczony Łyczywek, a jakże, gębę miał ciągle roześmianą, spoglądał na Dodatkowe manipulacje ze starem.

Gienka to rozzłościło do reszty. Zatraskując drzwiczki kantorka, pokazał przez szybę:

- Zamiast ukryć toto, sterczy jak kij na drodze... Ty, Maliniak, może być z tego grubsza rozróżba, jak myślisz?

- Z czego, zdechlaku? Myśli mam twoje zgadywać?

- Prawda, nic nie wiesz... Można? - sięgnął po piwo. - Zaraz opowiem. Swoje zrobiłem, ostrzegłem. Jak ma ochotę zęby szczyrzyć, niech szczyrzy. Zamknęliby go, miałbym chociaż przystęp do Wery, stara by tak dziewczuchy nie pilnowała.

-: Za co zamknęli? Postaw to piwo, bo nie strzymam, Gienek, lunę cię w ryło!

- Już. Już. Mówię o tych nagrobkach ze starych cmentarzy.

- I co?

- Ano nic. Niemiec pojechał pod Brzezinę, jest tam jakiś stareńki cmentarz, zarośnięty brzożami, trudno już miejsce rozeznąć. On z tych stron, były tam jego groby rodzinne. Nic nie znalazł. Rozpytywał po wiosce i jakiś dureń powiedział mu, że to Łyczywek szabrował u nieboszczyków. Zbiesił się facet, wyklinał, groził, aż mu śliną z gęby leciało, zaraz dał gazu na swoim volkswagenie, tyle, że pognał dookoła, szosami... Ja wtedy na przełaj, ledwom nie wytopił panewek. Po dobru, uprzedzić chciałem. Nie, to nie...

- Toż oni w Brzezynie mają drugi cmentarz, przy samej wiosce?

- Mają. Tamten to jakiś bardzo stary. Podobno i za Niemca już go nie używali... Trochę kamieni jeszcze jest, napisów już nie rozeznasz... Może być, że stary tam hasał. Stoi jeszcze przed bramą?

- Nie - Maliniak wychylił się przez okienko. - Ale wiesz co, nie, on naprawdę znów kuje! Niczego już nie rozumiem.

- Ja też. Zły jestem, zem się w ogóle w to mieszał. Gównu mnie Łyczywkowe kłopoty obchodzą.

- Nareszcie mądre słowo, Gienek!

Chłopak zamyślił się, pokręcił głową, przegarnął jasne włosy.

- Wrzeszczał, że my wszyscy do siebie podobni, ja, Andrzej, wszyscy. Co on tak na tego Andrzeja? Mało brakło, kładłby go Werze do łóżka, a teraz się biesi. Nie pokazywał się facet?

- Nie... A z tego, co wiem, to i nie pokaże się więcej. Powiedziałbym tobie, ale z głupcem sprawa, skąd mogę wiedzieć, co zrobisz.

Dopatka niechętnie wrzucił ramionami. Ale zaraz złapał Maliniaka za rękę.

- Mów, stary. Wiesz, że ja wariactwa z tą dziewczuchą dostaję! Ciągłe mi ona i ona na myśli. Głos jego nabrzmiał wyraźną skargą. Maliniak pokiwał głową z wyraźnym politowaniem.

- Co wiem? To, że stary się szpetnie nabrał. Już mniejsza o Werę. Ten cały Andrzej, monter czy szoferak z wiertniczej ekipy, to facet od dawna żonaty. Kawalera tylko tutaj odstawiał.

Twarz Gienka nabrała z nagłą rumieńców, a potem równie nagle zszarzała. Pięści zwarły się mocno.

- Stary zna prawdę?

- Skądże mogę wiedzieć. Na te tematy z nim nie rozmawiałem. Jeszcze czego! Chyba nie wie, to przecież wariat, na pewno poleciałby szukać Andrzeja, dopiero byłaby heca. Nie chciałbym być w skórze faceta... Lepiej powiedz, Dopatka, który to Niemiec, ten gruby?

- Ten. Gania wszędzie, gdzie go nie posiano. Nie ma dnia, żebym się z nim nie zetknął. On tu nie jeleni czy dzików szuka, ale czegoś innego. Już ja wiem.

- Może... Gadał mi leśniczy Wawrzyniak, że Kanadyjce pożarł się mocno z tym Niemcem. Nie bardzo wiedzą, o co im poszło, ale już potem Okińczyc nosa więcej nie pokazał... Gienek, co. ty?

Policzki Dopatki ściągnęły się, zęby zwarł mocno, aż wargi stały się jedną wążutką kreską. Błady był, w oczach zapaliły się jakieś niedobre światełka.

- Nic, nic...

Poklepał go po ramieniu. Jak kiedyś nie znosił, tak teraz serdecznie polubił Maliniak Dopatkę.

- O Werze myślisz? O jej starym?

- Nie - zasyczał.- O tamtym zasrańcu... Żonaty, cholera. Świnia, pies zapchlony. Bo widzisz, Maliniak, ja...

Nie wiązały mu się słowa, trudno było na nie się zdobyć, więc umilkł. Kierownik stacji bez słowa sięgnął do wiaderka z piwem, podał Gienkowi ostatnią flaszkę. Dopatka odsunął ją na stronę. Zmęczone spojrzenie zwrócił na starszego przyjaciela,

- Kurczę w dechę... Człowiek jest sam, ani się kogo poradzić... Bo widzisz, Maliniak, ja myślałem, że jeżeli Wera wybrała innego, niechby tego Andrzeja, to już trudno by było o radę. Nie będę jej siłą brał. Jej wola. Ciężko było, buntowało się wszystko w człowieku... Widziałeś, rzadko do was ostatnio zaglądałem, w Sulechowie kupowałem benzynę... Dopiero jak doszły mnie słuchy takie owakie, to chciałem spróbować. Wery nie wyrozumiesz, co gada. Że za każdą cenę chce stąd iść, od starych, że to jej niewola, więzienie. Dlatego z Andrzejem. A on żonaty. Skurwysyn taki! Żonaty, rozumiesz, Maliniak? - łapał go za poję marynarki, szarpał ku sobie. - Wykołował Werę, starych i mnie. Już, cholera, ustępowałem... O nim myślę. O tym Andrzeju. On musi oberwać, nie od Łyczywka, ale ode mnie. I oberwie, jakem Dopatka. Już ja go upilnuję, wiem, gdzie prowadzą teraz wiercenia...

W oczach znowu zły blask Na przegubie dłoni Maliniaka zwierają się palce kierowcy. Zwierają tak silnie, że kierownik stacji nie może się wyszarpnąć z tego uścisku. Więc rezygnuje i słucha z lękiem słów szeptanych jakby w gorączce:

- Pamiętaj, Maliniak, wspomnisz moje słowa. Ja go upilnuję... Bo wiesz, co mi jeszcze przychodzi do głowy? Gdy Wera tu była, wtedy, gdyś ty zagadywał jej starą, mówiła... mówiła, że coś takiego z nią jest, że się matka domyśla, że gdyby ojciec wiedział...

Tomek z impetem rozwarł drzwi kantorka, omal szkło z nich nie wyleciało.

- Jedzie volkswagen i milicja na motocyklu. O rany!

Zdziwił się, widząc przy stacji benzynowej zbiorowisko ciężarówek i motocykli. Kierowcy stali gromadą nie opodal domu Łyczywka, wyraźnie podnieceni. Oderwał się od nich Maliniak, śpieszył do Okińczycyca.

- Już się robi, panie szefie. Pięćdziesiąt, jak zawsze?

- Tak... Co to za ruch? A ten volkswagen skąd tutaj?

- Tomek, pompuj, gamoniu, ja tu mam z szefem do pogadania.

Odprowadził zdziwionego Okińczycyca na stronę, szeptał tubalnie, że słyhać go było na

drugiej stronie ulicy.

- Chryja, jak jasna zapowietrzona cholera! Przez tych hitlerów pienińskich. Niechby się udławili swoimi markami, i bez nich też poradzimy, nie tak?

- Zgadza się... Więc co tu się dzieje?.

- Do biednego Łyczywka, że to niby nagrobki zabiera niemieckie. Psu one na budę zdatne, niech sobie zabiera... Ten grubas z volkswagena miał gdzieś tutaj rodzinę, chciał groby obejrzeć, Dopatka wie lepiej, sam widział. Tam zaś trawa i piasek, z kamuszków ani śladu. Szwabisko w gwałt, wtedy jakiś usłużny sukinsyn się znalazł, mówi, pewnie zabrał Łyczywek. Tego tylko było potrzeba. Szwab na milicję, granda, krzyk, żeby zaraz rewizję, grzmiało podobno, jak szumiał, aż wreszcie porucznik porozumiał się z powiatem, kazali tu jechać i czekać na prokuratora... Granda, jak sto zatkanych wentyli. Panie Okińczyc, a jeżeli znajdą te kamienie u starego Łyczywka? Źle będzie?

Wzruszył ramionami. Chyba źle, zawsze cmentarz zostaje cmentarzem, ostatnia głupota mścić się na zmarłych, a już trudno o fach brudniejszy jak rabowanie nieboszczyków.

- Komu one potrzebne? Tam się już nikogo nie chowa... Może jeszcze kwiatki mamy im sadzić? Et, gadasz pan...

Maliniak rozzłościł się, machnął ręką, wyraźnie krzywo spojrzawszy na Okińczycę, poszedł pomagać Tomkowi w tankowaniu. Prawdę gadali, spiknął się przecie z tymi szwabami, polowali razem, a gawędy leśniczego, że coś się popsuło, to jakaś Kpa. Przecie teraz wyraźnie broni tego rozwrzeszczanego szwaba. Kanadyjce, w ryło rąbany, kapitalista, psiakrew! Diabli wiedzą, co w nim siedzi razem z dolarami. Może sam jaki Niemiec?

Splunął obficie pod nogi, co mu wyraźnie ulżyło.

- Gotowe. Dwieście trzydzieści złotych.

Zainkasował gotówkę, burcząc pod nosem pomaszzerował do szoferskiej braci. Zawsze to swoja wiara, nie jakiś tam Kanadyjec, żeby go jasny piorun.

Okińczyc nie rozumiał przyczyn nagłej zmiany humoru kierownika stacji. Wzruszył ramionami, wysupłał monetę dla

Tomka.

- Trzymaj. Co tam u ciebie? Jak z Margiśką?

- List napisała. Kulfony bo kulfony, ale pisze. Matka nad tymi literkami się popłakała. Może z Margiśki zrobią w tej szkole człowieka?

- Na pewno, Tomek... A ty? Tkwisz przy benzynie, smród spalin wąchasz i tyle. Poszukałbyś ciekawszej roboty.

- Co pan za kintop tutaj odstawiasz? Ciekawszej? A bo to dla takich jest wiele roboty? Tu

się zarobi i jeszcze parę groszy oberwie na łapę. Forsa ważna, nie tam ciekawość. Matka choruje, grosz każdy potrzebny.

Okińczyc przyglądał mu się uważnie, przypominając sobie niedawną rozmowę z Siwiakiem. Emerytowany kolejarz troszczył się teraz o rodzinę Jarugów jakby o swoją.

Wraz z gwałtowniejszym podmuchem zimnego wiatru mocniejsze głosy nadbiegały z podwórza kamieniarza. Nad inne wybijał się chrapliwy głos grubego Niemca.

- Znowu drze gębę!

- Dawno przyjechał?

- Będzie pewnie godzina albo i dwie. Jeszcze przedtem przygnał starem Gienek Dopatka, dał cynk, ale go Łyczywek wyzwał i pogonił za bramę. Zły kamieniarz okrutnie, pysk ma skrzywiony śmiechem jakby koń rżał. Chodźmy, panie, zobaczyć...

Niemiec stał w bramie Łyczywków, gestykulował krótkimi ramionami, pełna jego twarz spąsowiała od wzburzenia i wiatru. Przedkładał coś porucznikowi milicji, tamten słuchał spokojnie, przecząco kręcił głową. Drugi milicjant, młody chłopak o bystrej twarzy, próżno usiłował zrozumieć coś z rozmowy prowadzonej w nie znanym mu niemieckim języku.

Gromadka kierowców i przygodnych gapiów gęstniała, coraz węższym kręgiem otaczała tę trójkę. Towarzysz Niemca spokojnie siedział w volkswagenie, przeglądając jakąś *gazetę*. Kierowcy nasłuchiwali w milczeniu, starsi rozumieli przez pół pretensje Niemca. Twarze ich wyraźnie były niechętne, wstrząsali ramionami.

- Ja mam prawo żądać, żeby pan robił rewizję! Prokurator wasz może jeszcze za godzinę przyjechać, a on... on tymczasem gotów usunąć ślady...

- Do kieszeni płyty nagrobnej nie schowa. Prokurator wyraźnie zezwolił, żeby pan czekał na niego tutaj, ale o rewizji nie było mowy. Nie ma nakazu.

- Nakazu... nakazu... Jak on zabierał płyty z cmentarza, też nie miał chyba nakazu, prawda? To przecież bandytyzm, profanacja, tego nie robi żaden cywilizowany naród.

- Tylko hitlerowcy czołgami równali cmentarze z ziemią... - burknął po niemiecku któryś z szoferów.

- W lagrach paliły się krematoria, sam popiół zostawał. Tamtym nie trzeba było nagrobków.

- Spokój, obywatele, spokój, nie tłoczyć się! - napał na nich milicjant. Usuwali się niechętnie.

- O, jeszcze się śmieje. Czemu ten się tak śmieje? On kpi bezczelnie, to jest niedopuszczalne. - Widząc Łyczywka, który przystanął pośrodku podwórza z twarzą wykrzywioną paroksyzmem jak gdyby śmiechu, Niemiec rozdarł się teraz na cały głos. Mały,

pokraczny kamieniarz, z przydługimi ramionami, z głową wtuloną w barki, nie ogolony, straszny był naprawdę z tym grymasem na twarzy..

Porucznik przyciszonym głosem próbował tłumaczyć, że to nie śmiech, ale ponura pamiątka nerwowych lat przeżytych w koncentracyjnym obozie. Niemiec zmieszał się w pierwszej chwili, spróbował uważniej przyjrzeć się Łyczywkowi, tłusta twarz zatrzęsała mu się w gwałtownym przeczeniu.

- Nein, nein, on się śmieje, one ze mnie się śmieje. Bezczelność.

Porucznik ostatkiem sił trzymał nerwy na wodzy. Prokurator najsurowiej nakazał, aby unikać wszystkiego, co by mogło bardziej podrażnić Niemca. Jest gościem, poza tym cudzoziemcom należą się pewne prawa, a w ogóle ostatnią rzeczą byłoby rozdmuchiwanie i piętrzenie i tak nad wyraz przykrej historii. Rozkaz rozkazem, niemniej istnieją także granice wytrzymałości nerwowej, myślał porucznik, zdobywając się na wysiłek, by najspokojniej poprosić Niemca o wstrzymanie się z opiniami do przyjazdu prokuratora.

Grubas zachnął się i jakby szukając świadków swej krzywdy potoczył wzrokiem po zwiększającym się tłumie, z którym próżno próbował uporać się młody milicjant, nagle dostrzegł Okińczycza i zapominając o zgrzycie przy ostatnim spotkaniu, jakby rad tej znajomej duszy pobiegł ku niemu z wyciągniętą serdecznie ręką.

- Dobrze, że pan tu jest, bo ja z nimi wcale się nie mogę dogadać... Widzi pan, jaka podłość, jaka hańba dla was, że macie wśród siebie hieny cmentarne, rabujące nagrobki...

Okińczycz niechętnie podawał mu dłoń, w ostatniej jeszcze chwili zginając dwa palce, jak tamten wtedy, w nadleśnictwie.

- Jeszcze nic nie wiadomo, władze przeprowadzą dochodzenia, wydadzą opinię. Niech się pan nie unosi, po co od razu aż widowisko - mówił w miarę spokojnie, wszystko wydawało mu się obrzydliwe, w duchu nie mógł odmówić Niemcowi racji. Bo jeżeli naprawdę, a wspominał o Łyczywku coś takiego magister Rękawek, to rzeczywiście wstyd i hańba, zupełny brak tolerancji. Psiakrew, tego jeszcze tu brakowało! Niemiec gotów wyjść górą...

- A ten się śmieje i śmieje. To oburzające, to straszne.

- Ten człowiek jest chory, niech mi pan wierzy.

- Przepraszam, ale nie mogę uwierzyć.

Z wizgiem opon zahamowała warszawa z powiatowej prokuratury. Młody człowiek gramolił się z niej, ze znużeniem w oczach ogarniając spojrzeniem rozgrywający się tutaj spektakl. Uszczęśliwiony wybawieniem porucznik milicji meldował mu o sytuacji.

Prawnik skłonił się Niemcowi, wyciągnął z aktówki jakieś papiery.

- Sprawdzalem w naszych wykazach. Cmentarz okolo Brzeziny przestal byc grzebalny od

dziesiątków lat i w myśl obowiązujących ustaw podlega likwidacji. Tym bardziej że zastaliśmy go w stanie dalekiego zniszczenia...

- Ale to nie uprawnia do profanacji. Ten człowiek nie miał prawa zabierać płyt nagrobnych dla swoich celów. To przestępstwo... - rozindyczył Się grubas.

- Nie mamy żadnej pewności, że tak jest w istocie, może się więc pan łaskawie wstrzyma z posądzeniami. Przywiozłem nakaz rewizji. Poruczniku, niech pan przywoła właściciela warsztatu kamieniarskiego.

Łyczywek krzywił gębę w okropnym śmiechu. Machnął dłonią na pokazywany mu przez prokuratora nakaz rewizji.

- Szukajcie sobie... Ale jeżeli okaże się nieprawda? Jeżeli ja nie mam żadnych niemieckich nagrobków, to co? Ten - wskazał na Niemca - gadał świństwa, oskarżał. Jakim prawem? To każdy gość z tamtych Niemiec może sobie swobodnie do nas przyjeżdżać i opierdalać Polaków?

- Spokojnie, obywatelu, zmieńcie słownik.

- Cholera, w obozach to się oni nie krępowali słownikiem. I nagrobków żadnych nam nie stawiali. Dobra, szukajcie, ale dalibóg, plunę mu w gębę, jeżeli to będzie nieprawda.

Niemiec skulił się, gdy straszliwym śmiechem skrzywiona twarz Łyczywka znalazła się nagle tuż przed nim.

Porucznik poprosił Maliniaka i Okińczycza na świadków rewizji. Za milicjantami weszli na podwórze, kierując się ku szopie i stertom na pół obrobionych kamieni. Do Łyczywka przysunęła się Wera, podając mu jakiś plik kartek.

- Proszę - niechętnym ruchem przekazał je kamieniarz prokuratorowi.

Były to kwity zakupu w dolnośląskich kamieniołomach.

Milicjanci kolejno oglądali płyty, Niemiec ze swym towarzyszem trzymali się ich krok w krok, z nogi na nogę przewalał się obok zasapany Maliniak. Okińczyc pozostał z tyłu za prokuratorem.

- Przykra sprawa. Nie można to jakoś roztoczyć opieki nad ponemieckimi cmentarzami? - zagadnął.

- Rزتaczamy w miarę możliwości, oczywiście jedynie w stosunku do tych, które nie mogą być jeszcze zlikwidowane, gdyż nie minął czas przepisany prawem. Tu naprawdę nie ma punktu zaczepienia. Nawet gdyby Łyczywek brał owe nagrobki, kwalifikowałoby się to najwyżej pod paragraf o kradzieży mienia państwowego, ale nie o profanację grobów... Dzwoniłem do Zielonej Góry, powiedziano mi, aby dla świętego spokoju, zadowolić faceta, niech sam się przekona, jak rzecz wygląda.

- Jeżeli jednak będą tutaj niemieckie płyty?

- Wątpię. Łyczywek zbyt pewnie mówi, odgraża się. Inna rzecz, że ma on w tych sprawach niejeden grzech na sumieniu. Ten okropny jego śmiech, nie śmiech, wiele widziałem, ale tutaj nie mogę patrzeć spokojnie. On to musi straszliwie przeżywać.

- Zarażony wojną, spotkałem się z takim określeniem, chyba jest bardzo trafne.

- Całe starsze pokolenie jest zarażone wojną... Dopiero młodzi są inni.

Rewizja trwała. Niemiec denerwował się coraz bardziej. Schylał się przy każdej płycie, oglądał ją od wszystkich stron, kazał obracać tak i siak, zasapali się biedni milicjanci. Łyczywek rechotał cichutko, nikt już nie wiedział, czy rechot ten przynależy do skrzywienia chorobowego twarzy, czy też to może naprawdę zjadliwy, nerwowy śmiech.

- Nic - z ulgą odetchnął porucznik.

Tamte jeszcze, za szopą - gruby Niemiec nachylił się ku uchu towarzysza, wskazującego przeoczoną partię nadciosanych kamieni.

- Nic! - tym razem porucznik nieomal radośnie zakrzyczał to słowo.

- Nic - r - zawtórował mu Maliniak, najbardziej zdumiony. Przecie jeszcze parę miesięcy temu widział pod szopą kilka płyt ze starymi gotyckimi literami.

Gromada widzów zafalowała, groźne to było, pomruk jakiś się poniósł, wyraźna niechęć.

- Rozchodzić się, rozchodzić! - nacierał młody milicjant, czując, co się święci.

- Tak, widzi pan zatem, że nie było podstaw do pańskich oskarżeń - wcale zjadliwie, choć uprzejmie zwrócił się prokurator do Niemca. - Pojedziemy teraz na komendę milicji, trzeba spisać protokół. Odstępuje pan od swego oskarżenia?

Niemiec skrzywił się, czerwony był, miotła nim pasja. Rozłożył ręce.

- Co robić, muszę... A może on ma je *gdzie* indziej schowane, te nagrobki?

Łyczywek odepchnął żonę, stojącą przy nim, trzymającą go za ramię. Stał już przed prokuratorem, skrzywiony straszliwie.

- Ale ja nie odstąpię od mego oskarżenia. Ten pan mnie obraził - wskazał dłonią na Niemca. - Mówił o profanacji, o hienach, wyzywał. Nie ma on prawa obrażać polskiego obywatela w jego własnym kraju. Ja wnoszę zażalenie, panie prokuratorze - głos mu się łamał.

Prokurator spojrział na niego przychylnie. W oczach zamigotały mu frywolne iskielki.

- Oczywiście ma pan prawo wnieść takie zażalenie, panie Łyczywek... Oczywiście. Nasza gościnność też ma swoje granice.

Ruszyły z miejsca volkswagen i milicyjny motocykl. Ktoś z szoferów pogroził za Niemcem pięścią. Rozjazgotały się wszystkie języki.

- O rany, ten Gienek to już zupełnie zdumiał - zastękał idący obok Okińczycza Maliniak.
- Co się stało?
- Gienek gada z Werą, o tam, za płotem. Łyczywek to widzi, patrzy na nich. Żeby się coś złego nie stało...

Łyczywek rzeczywiście wytrzeszczał spojrzenie na Werę stojącą tuż przy Dopatce. Pograżeni w rozmowie, nie spostrzegli się, że rewizja dawno się skończyła, dopiero wzrok Łyczywka ściągnął na siebie ich uwagę.

Kamieniarz patrzył długo, a potem z nagłą zawrócił i poczłapał, machając przydługimi ramionami, do ławy, na której siadywał przy pracy. Ku powszechnemu zdumieniu powietrzem poniosły się normalne odgłosy kucia. Prokurator czekający, aż Łyczywek będzie gotów do jazdy, zabierał go warszawą, głową potrząsnął w zaskoczeniu:

- Panie Łyczywek, mamy wszak jechać.
- Kazimierz jakby ochłonął. Odrzucił dłuto i młot.
- Prawda, zażalenie - zamruczał.

16.

Pocieplało, nawet mżawka ustała, tylko niebo wisiało nad ziemią niskie i szare. Zmierzchało się wcześniej, rozmazywało wszystko w tej szarzyźnie odbitej od nieba, napita ziemia parowała tumanami mgły, przy bezwietrznym powietrzu, zwłaszcza w pobliżu mokradeł, stojącej w miejscu, tłumiącej oddech.

Cmentarz miasteczkowy rozłożył się na podwyższeniu podłużnym kształtem, było tu przejrzysiej, ale pośród konarów mokrych, bezlistnych drzew, z rzadka przetkanych zielenią świerczyny, także i smutniej. Płomyki świeczek paliły się prosto, lekko wiane podmuchem wywołanym przez snujących się tłumnie ludzi.

U wejścia, obok wielkich stołów zastawionych przez ogrodników białymi chryzantemami, gromadą rozłożyły się babiny, na podesłanych płachtach prezentujące zaduszkowe świece i niewielkie wianeczki splatane z borówczanych liści. Najładniejsze były, jak zawsze, u starej Czmuńkowej. Zbieraczka jagód, choć kwękająca ostatnio - zawsze się jej choroby czepiały jesienią - pokaszlując, trwała na posterunku. Dla zarobku i ciekawości.

Kto tylko żyw w miasteczku, musiał zajrzeć tego dnia na cmentarz. Od ostatnich domów ciągnął nie kończący się sznur ludzkich sylwetek. I ci, co mieli tu krewnych, i inni, hołdujący już tylko obyczajowi, i tacy, których gnała tutaj po prostu ciekawość, swoiste widowisko. Nastrój wcale nie żałobny, choć też bez śmiechu, bez zwykłego wesela: pogodnego spokoju. Z rzadka tylko w czyichś oczach wpatrzonych w prostokątny kształt nagrobnego pagórka

ukazały się łzy, w sylwetce przyklęklej przed świeżo stawianym krzyżem przejawiał się wyraz bóleści. Przy pomniku poległych w boju o miasteczko żołnierzy radzieckich i na drugim krańcu miejsciny przy kamieniu upamiętniającym starostę Żegockiego i towarzyszy, od samego rana stanęły zmieniające się warty harcerzy. Pod wieczór zapaliły się jeszcze pochodnie.

Cmentarz gorzał świeczkami. Celuloidowe osłony rozsiewały różnobarwne blaski. Tajemniczych kolorowych poblasków nabierały w nich płatki białych chryzantem.

Przesuwały, się grupki, pary, przemykali jakby zatrwożeni swą samotnością pojedynczy ludzie. Kamieniarz Łyczywek, maleńki, niekształtny, zgarbiony bardziej niż kiedy, zdawał się niemal dotykać ziemi długimi ramionami - przemierzał drobnym kroczkiem jedną alejkę po drugiej, zamyślony, nie dostrzegający pozdrowień, z gorzkawym grymasem uśmiechu na twarzy. Czasem przystawał, przyglądał się własną dłonią wykuwanym nagrobkom, dreptał wtedy, to z lewa, to z prawa przekrzywiał głowę, znowu szedł dalej.

Mijał go równie niepozorny magister Rękawek ściskający pod pachą wypchaną teczkę z własnoręcznie robionymi w długie wieczory nagrobnymi lampkami. Wyszukiwał zapomniane, samotne groby, gdzie ani kwiatów, ani światełek, szybko ustawiał tam swoje lampki, zapalał i oglądając się, jakby w obawie, by czyjeś oczy go nie ujrzały, śpieszył dalej, szukając miejsca spoczynku zapomnianych i opuszczonych. W części cmentarza zajmowanej przez najstarsze, niemieckie mogiły pusto było i szczególnie smutno. Aż zaskowyczało serce księgowego. Stał przez moment u wejścia do alejki cmentarnej, wysypanej uginającym się pod nogami żwirem, odruchowo dotknął dłonią miejsca na swym przedramieniu, gdzie znać się tatuaz oświęcimskiego numeru, jakby polemizując sam z sobą przecząco pokręcił głowę, po czym zapuścił się w żałobną swą pustką parcelę cmentarza. Nie wybierał, nie odczytywał napisów, tłoczonych czy kutych kanciastym gotykiem. Schylał się tylko czasem, stawiał niebieską albo czerwoną lampkę, krzesał zapalniczkę, chwilę obserwował, czy świeczka nie zgaśnie, śpieszył dalej.

- Dzień dobry, magistrze... Umarłych nie dzieli pan już na swoich i obcych?

Obejrzał się zaskoczony, niechętny przywitaniu i w ślad za nim płynącemu pytaniu, ni to aprobującemu, ni to kpiarsko ironicznemu. W kanadyjskiej kurtce skórzanej stał za nim

Okińczyc.

- Żywych także nie zwykłem dzielić. Chyba na kanalie i na uczciwych... Wie pan, doznaję dziwnego uczucia, jakby tym zmarłym, osamotnionym, musiało być bardzo przykro, że o nich się nie pamięta. Specjalnie po to przygotowałem lampki, dwa tygodnie się przy nich bawiłem. Pomoże mi pan?

Schylając się teraz nad grobami, Okińczyc przypomniał sobie zarazem niedawną scenę w obejściu Łyczywka. Pokrzykujący Niemiec, milicjanci, prokurator, niechętny tłum szoferów i wszelkiej gawiedzi. Nagrobki cmentarne, których nie znaleziono u kamieniarza, opowieści zasłyszane, że jednak Łyczywek ogołacał kiedyś stare mogiły. Żyją u niejednego ze starszych nienawiść do Niemców, inne widzenie tych spraw u młodych, umiejących dostrzegać różnice po dwóch stronach Łaby, przymierzał teraz do własnych odczuć. Oto stawia świece razem z oświęcimskim Rękawkiem, coś jakby gest pojednania i wybaczenia. Zarazem jednak niesmak do siebie, pamięć tamtych, nie tak wszak jeszcze dawnych lat, pytanie, czy taki gest znajduje swoje pokrycie w praktyce życiowej.

Gdzieś z daleka nadpłynął głośny szloch kobiecy. Ktoś płakał dawnym wspomnieniem czy pamięcią najświeższej straty. Ludzie dyskretnie omijali płaczącą kobietę, jej prawo martwić się i żałować, choć w tłumie, czuć się dzisiaj samotną, bliską temu, który drzemie pod martwą jesienną ziemią, przykrytą dla barwy zielenią gałązek jedliny.

Tomek też słyszy ten szloch. Stoi trochę bezradny przed grobem maleńkiego Kaziuczka, brata, którego już nie pamiętał. Byli tu z Milą przed paru dniami, uporządkowali kopczyk i oczyścili, teraz stoi trą nim doniczka z białymi, poważnie smutnymi kwiatami, pewnie siostra przyniosła, on zaś zapalił lampki żałobne. Ładnie się palą... A tamta kobieta płacze. Matka też by pewnie płakała, w dzień zmarłych zawsze rozczulała się pamięcią swojego Kaziuczka, musiała go chyba najbardziej kochać.

On zaś stoi tutaj i właściwie jest mu obojętny ten brat zmarły w szczeniństwie. Pewnie, nawet gdyby nie nakaz matki, zajrzałby tutaj, ale również bez głębszych uczuć. Bo jak to właściwie jest, czy zmarłych można ciągle tak kochać, pamiętać o nich? Matka wspomina tam pewnie swojego Kaziuczka, żal jej, że nie jest przy jego grobku. Płyta biała, nowiutka, wygląda jak marmur. Obiecał Łyczywek, że zmieni tę dawną pękniętą, dotrzymał słowa. Przechodził tędy niedawno, patrzył na swoje dzieło, Tomka zupełnie zdawał się nie poznawać... Matka jutro powróci, może pojutrze, będą wiedzieli, czy babcia naprawdę umarła, jak głosiła niepewna wieść dawno już nadeszła okrężną drogą. Dziadkowie nigdy nie pisali, nie dawali znać o sobie, ani się wywiadywali o córkę i jej dzieci. Kiedyś wygnali ją z domu, mówiła Miła, zerwali wszelkie kontakty.

Wzruszył ramionami. Wyprzeć się własnego dziecka. Czy można aż tak potępiać?

- Ty jesteś Tomek Jaruga?

Drgnął. Poznał ją od razu. To przecież Dominiakowa, żona jego ojca. Czego chce teraz od niego? Wysoka, chuda, z nosem podanym do przodu jakby nim coś węszyła, *patrzy* badawczo, aż głowę przechyla, jakby to można było wiele zobaczyć w blaskach żałobnych

lampek.

- Ty jesteś Tomek Jaruga? - natarczywiej, ostrzej powtórzyła kobieta pytanie.

- Tak. Dlaczego⁵

- Tak sobie. Słyszałam o tobie, chciałam cię poznać. Więc tak wyglądasz? - ujmując za ramię, przysuwała go bliżej ku pełgającym przy ziemi światelkom, - niewiele to pomagało, więc przybliżyła twarz, czuł teraz Tomek jej oddech nasycony cebulą, odwrócił w bok głowę.

Kobieta puściła jego ramię. Oddech jej stał się szybszy, wypływał małymi kłębamii pary.

- Ciemno... Muszę cię kiedy zobaczyć we dnie. Pracujesz na stacji benzynowej, prawda? Masz już czternaście lat?

- Tak, ale czemu pani...

- Pisano mi o tobie. Dzielny jakoby jesteś...

- Eee, co pani gada - zły był, coś mu w głowie świtało. Może to tamto pisanie, o którym już kiedyś słyszał od Dominiaka?

- Znasz pana Dominiaka?

Głos kobiety dziwacznie zadrgał, opadł o kilka tonów.

- Ten inżynier? Widziałem go przy różnych budowach.

- Ale tak bliżej, bliżej, znasz?

- Nie... Niech mi pani da spokój. Na grób brata przyszedłem, pomodlić się mam, podumać. Powtórzył tymi słowami nakaz matki. Nie chciał rozmawiać więcej z Dominiakowa, wypytuje, chce dowiedzieć się prawdy. A prawda ta kosztowałaby czterysta złotych miesięcznie, już by ich więcej Dominiak na pewno nie dawał...

Przybliżyła twarz tuż do jego policzka, głos jej stał się syczący, przykry:

- Dumaj sobie, dumaj... Ale więcej nie szukaj niczego w pobliżu naszego domu, bo...

- Dzień dobry panu. - Tomek zobaczył nadchodzącego nauczyciela Kirgiełłę, powitał jego obecność jak zbawienie.

Dominiakowa w jednej chwili zakreśliła się na pięcie, zniknęła cicho, jak się cicho zjawiała.

Henryk życzliwie uśmiechnął się do chłopca, podał mu rękę. Tomek aż zachłysnął się na to z wrażenia.

- Ktoś z twoich?

- Młodszy braciszek...

Zaraz potem poszedł Kirgiełło swoją drogą zostawiając chłopca nad zdobioną białą płytą mogiłką. Henryk był nieswój, przyszedł tutaj, bo myślał, że uspokoi się przy ojcowskim grobie. Ale wtedy wspomnieniami zaczęły napływać słowa matki, że ojciec właśnie tutaj zmarnował życie, nie wiadomo, co go gnało do takiej dziury, że i oni obydwój zmarnieją...

Wygrała teraz pieniądze, całe sto osiemdziesiąt tysięcy, już drugi tydzień przebywa w Warszawie, nawet na zaduszki nie powróciła, już to można spodziewać się nowych jakichś kłopotów, matka coś na pewno wymyśli. Mówiła o wyjeździe do Warszawy, że znajdzie tam mieszkanie, może domek zakupi, byle się wyrwać stąd, z zachodu, którego tak nie lubiła.

Warszawa? W ogóle wyjazd? Za nic nie opuściłby teraz miasteczka. Nie tylko z uwagi na Lenę, tu się przecież wszystko zepsuło, nie wiedzieć, czy się kiedy poprawi, jakby zapora stała między nim i dziewczyną. Matka winna, ta jej wizyta. Nawet nie rozmówił się z nią, zastrzeżiła go. wiadomością o wygranej totolotkowej i natychmiastowym swoim wyjeździe. Był potem dwa razy u Koniejenków, krótko, raz Leny nie zastał, przy następnej wizycie przyjmowali go bardzo oziębło i sztywno, cóż, że zobaczył wyraźny żal w oczach dziewczyny...

Czuł tylko jedno, że stara Koniejenkowa jest na pewno z nim razem. Jerzy stworzył ten wrogi dla niego klimat, Lena czemuś mu się poddała, nie stawiała sprzeciwów i matka. Była w niej jednak wyraźna dla niego życzliwość i to mu dodawało otuchy. Widział ją dopiero przed chwilą, klęczała przy grobie Piotra, mnóstwo tam było świeczek i kwiatów, skinęła mu głową, gdy ją pozdrowił, nie zdradzała ochoty do rozmowy, musiał to uszanować...

Koniejenkowa także od chwili, gdy się spotkała z Henrykiem, nie mogła od niego oderwać myśli. Od niego i od Leny. Obydwoje - młodzi cierpieli, sami wgamatywali się w sytuację coraz trudniejszą do rozwiązania, choć z początku łatwo było o wyjście. Bo Koniejenkowa nie wierzyła słowom matki Henryka. Nie mogło tak być, tych młodych nic nie dzieliło. Jeszcze jakieś tam pochodzenie... Chociaż? Piotr zginął, bo poczuł się krzywdzony i samotny, napór dawnego był w nim silniejszy niż wszystko co nowe, nie obronił się przed majakami przeszłości, musiał odejść. Już do końca było mu pisane to czarne niebo. Ale Lena?

Wzdychając, jakby z wyrzutem spojrzała na miejsce, gdzie Piotr spoczywał pod warstwą wilgotnej ziemi. Czyżby złe dziedzictwo swoich rozczarowań przekazał także dzieciom? Jurek zawsze miał coś z niego, ponurość, zaciętość, nieuleganie porodom innych. Ej, Piotrze, Piotrze, ciebie nie ma, ale nam nadal gmatwa się wszystko. Ani spokoju, ani ciszy, wisi ciągle to czarne tve niebo, zasłaniają każdą jasność ponure chmury...

Patrzyła na grób, przed oczyma jej stawała sylwetka męża z wiecznie skołtunioną czupryną. Mały, ale silny jak rzadko. Nic teraz z tej siły. Może mu i te kwiaty ciążyą, których takie mnóstwo na grobie? Zdumiała się przychodząc, tyle ich było. Cały grób obstawiony doniczkami, jeszcze wieniec z jedliny. I świeczki, i lampki, jakby czekające, aby je zapaliła. Kto mógł to wszystko tutaj umieścić? Robotnicy z cegielni jeszcze by pamiętali? Ostatnio grób stał już pusty, poza rodziną nikt kwiatów nań nie przynosił. Chyba jednak robotnicy...

nie mogła przecież przyjąć myśli, która błyskiem przemknęła jej przez głowę, że może to Klimczak, który słał przez Henryka przeproszenie i wdzięczność za uratowanie syna.

Za Koniejenkowa krok ciężki, zmęczony. Pamiętała ten krok, skuliła się teraz, jakby w lęku. Bo zarazem była już pewna. To Klimczak dzisiaj pamiętał o Piotrze...

On zaś musiał przejść opodal, zobaczyć. Był tu z samego rana, niemal o świcie. Wozem podjechał, by znieść zakupione aż w Sulechowie kwiaty, ustawić lampki i uciec jak najprędzej, unikając ludzkiego oka. Teraz zaś przygnało go w tę stronę, jak złoczyńcę przygania na miejsce zbrodni. Widział Koniejenkowa, krok mu jakby stwardniał wtedy i stężał...

Złoczyńca? Zbrodnia? Na Boga, sam o sobie zaczyna już myśleć w ten sposób. Ale to nieprawda, on nie chciał, nie mógł się nawet domyślać... A córka tego Piotra ratuje mu potem synka. Niełatwa do przyjęcia ta ich, Koniejenków, odpłata...

Schylił się, podniósł laskę, która wypadła z ręki starszemu panu, spod okularów spojrzały życzliwe oczy. Patrzył Klimczak długo za odchodzącym doktorem Gollubem. Jeszcze gdy żona leżała tutaj w szpitalu, tyle jej serca okazał, kobieta przecież opowiadała...

Profesor Gollub również poznał Klimczaka. Głośno było ostatnio o szoferze w miasteczku. Przedtem sprawa Koniejenki, potem śmierć schorowanej żony, awantura na pogrzebie wywołana przez zwariowane dewotki, jeszcze to uratowanie syna właśnie przez córkę tamtego człowieka. Zaiste, dziwacznie plotą się czasem ludzkie koleje...

Choćby nawet i. jego, Golluba, biedniutkie losy. Zawsze w wielkim świecie, śmiesznie właściwie brzmi już to samo pojęcie, potem nagle wojna, szereg obozowych doświadczeń, niewiara w człowieka, szukanie spokoju, znalezienie go w małym miasteczku, gdzie życie narastało gwałtownie i bujnie, by nadspodziewanie szybko ustabilizować się, stać się powszednim. Żona, jej opieka, tak bolesne, nie zastąpione odejście...

Mocniej ścisnął pod pachą niesioną doniczkę chryzantem. W kieszeni jesionki chrzęszczą oprawki lampek grobowych. Tyle, co może dziś ofiarować swej towarzyszce. Samo na usta ciśnię się to słowo, nadużywane często w napisach cmentarnych: wiernej towarzyszce. Jakże nieraz mu braknie jej dzisiaj; na zewnątrz łatwo jest okazywać surowość, ale samemu tak często łaknie się ciepła i drży z lęku przed samotnością. Przyszła mu na myśl Maria. Cenił ją, szanował, może coś znacznie więcej, choć *przecież* zupełnie inaczej, niż się kocha kobietę w młodszych latach. A może tylko pragnął jej czulej, serdecznej opieki? Maria marzy o Okińczycu, Maria dla niego może być już tylko rzadkim, miłym spotkaniem. Może dojrzy ją na cmentarzu, tylu tutaj znajomych? Prawda, jej groby nie tutaj, ale w Niesuszu, tam pojechała. A zresztą, po co kogoś tu szukać. W ten dzień trzeba być samotnym i żyć jedynie

wspomnieniem...

Zatrzymał się przed mogiłą swej żony. Były już na niej kwiaty, paliły się świece. Ciągłe stojąc, ściskając chryzantemę pod pachą, czując uwieranie kieszeni wypchanej lampkami, powiódł spojrzeniem po wielkiej płaszczyźnie cmentarza. W czerni listopadowej nocy światełka świec i lampek nabierały siły i blasku, niosły się w górę wyraźną luną, nadawały jednakowym formom grobów odmienne, niepokojące kształty.

Przez żwir alejek szurgotem przesuwali się setki kroków. Ciżba ludzka, odwiedzająca swych zmarłych nie malała, odwrotnie, wraz z mijającym czasem zdawała się jeszcze wzbierać. Profesor schylił się, postawił na wilgotnej ziemi doniczkę z białą chryzantemą, zasyczała zapalka. Doktor Gollub był już teraz w tłumie zupełnie sam, ze swymi sprawami i wspomnieniami, tak jak każdy z odwiedzających cmentarz. j Bo właściwie na miejscu tym najmniej było śmierci, najwięcej zaś życia. Tego w przeszłości, co przeminęło i tego w przyszłości, które jest i które nieustannie nadchodzi. Zapłakało dziecko niesione na rękę przez którąś z matek.

Pociąg rytmicznie tłukł o spojenia szyn, rozkołysał myśl wspomnieniami, płątał przeszłe z terażniejszością. Jaruzyna gwałtownie otwierała oczy, łapiąc w nie niebieskawy, przyćmiony blask płonącej u rozdygotanego sufitu lampy. Nie, nie śpi, nie drzemie, to naprawdę tak się jej w myślach kołuje.

Przesuwała wtedy spojrzenie na starca siedzącego naprzeciw niej. Siwa, jakby wypłowiała czupryna, wpadnięte oczodoły, przysłonięte teraz powiekami. Chrapie lekko, zabiedzony, zmaląły, w niczym niepodobny już do człowieka, który wyciągniętą dłonią wskazywał jej drzwi i aż potąd nie chciał przebaczyć, nadal nie byłby się nawet odezwał, gdyby go sama nie odszukała. Tylko że teraz nie szukałby jej z innych już przyczyn. Powiedział o nich, zawsze mówił prawdę, nie zwykł niczego ukrywać, ani u innych, ani u siebie samego.

Poprawiła się, zmieniła pozycję. Uwierało ją w płucach, zmęczenie czy może naprawdę niedobra jakaś choroba? Coraz gorzej było, ledwie już sobie radziła z robotą...

Smutno w przedziale, choć zatłoczony po ostatnie miejsce. Noc pozaduszną, rozjechało się pół Polski na wszystkie strony, teraz telepie się każdy z powrotem. Rozsiały się groby po całym kraju, poprzieszczepiali się ludziska na nowe miejsca, wrosli w nie, z dawnymi już jeno te groby czasem tylko łączyły. A ojciec nic, śpi czy też może i jemu dziwaczne, skotłowane myśli wędrują przez sen po głowie. Niespokojny jest, rzuca głową, mamroce chwilami, chude palce u dłoni, prze-niebieszczone drobnymi żyłkami, kurczą się, jakby gniewały się o coś.

Ojciec. Dawno już nie wymawiała tego słowa, odzwyczaiła się, musiała zapomnieć, choć niekiedy tak bardzo bywało potrzebne. Teraz będzie się go uczyć od nowa, jak małe dziecko.

To dobrze stać się tak choć na krótko małym dzieckiem, mieć tylko dziecięce kłopoty.

Jak to się dziwnie składało ostatnio. Te niespokojne jej noce, gdy już nie o chłopcach śniła, nie o dawnych kochankach, ale o ludziach najbliższych, rodzicach, o Kaziuczku małym, spoza rodziny jednym może Antosiu, Milinym ojcu. Dręczyły ją zjawy, zwidy jakieś, budziła się mokra od potu, mrok izby nie rozpraszał nieznanymi lęków, nie gasiły drażniącego niepokoju równe oddechy dzieci. Pognała wtedy do Kaziuczka, na cmentarz, sprawdziło się, kruszyna miał płytę pękniętą, dlatego ją wzywał. Łyczywek nową położył, zdawałoby się, powinien przyjść spokój. Gdzie tam, matka i ojciec nawiedzali ją w snach, inni jacyś, matka taka niewyraźna, bardzo smutna, ojciec ponury, wyniosły, z ręką wyciągniętą oburzonym, nakazującym gestem.

Wtenczas nadeszła nie sprawdzona, bąknięta kędyś wiadomość, że matka zmarła, już od roku nie żyje. Struchlało w niej wszystko. Czyżby nawet i wtedy ojciec pamiętał, nie chciał wybaczyć? Nawet wtedy? Jeszcze nie myślała, by sprawdzać, szukać. Dopiero jak się zaczęło zbliżać to święto umarłych. Jakby mus jaki ją pognał. Z nagłą się zdecydowała, dzieciakom nakazała zająć się grobkiem Kaziuczka, sama wyłuskała grosiwo na pociąg. Jechała pod Warszawę na ślepo, gdzież, tyle lat, może ich tam dawno już nie ma, wyprowadzili się, przenieśli gdzieś indziej? Może cieni już tylko szuka?

Nad rankiem, jeszcze się świt ścięrał z mrokami nocy, wysiadła w małej mieścinie. Niewiele się tutaj zmieniło. Te same domy, jakby ci sami ludzie. Znajomych nie widać, zresztą, puste jeszcze ulice. Cmentarz od południowej strony. Tani poszła, nie sama, z pociągu wysiedli i inni, z wieńcami, z doniczkami białych chryzantem. Wstyd się jej zrobiło, że nic nie miała, potem jeszcze bardziej zawstydzila się myśli, że nic nie wiedząc, ta wiadomość wszak była niepewna, z góry już grzebie swoich, gdy cieszą się może najlepszym zdrowiem.

Prędko znalazła, dziwnie prędko, jakby coś kroki jej skierowało właśnie w tę, a nie inną alejkę. Na zwykłym, drewnianym krzyżyku napis mówił wyraźniej niż cokolwiek innego: Tekla Jaruga.

Nie płakała nad grobem matki. Ani jednej łzy, oczy suche, aż piekące od wysuszenia. Nie modliła się także. W tamtej chwili nie potrafiła się zdobyć na słowa modlitwy. Zastygło w niej, zapiekło się wszystko. Ból i żal, wstyd nie wiedzieć za kogo czy za co i gorycz. Twardym, sztywnym krokiem szła ku bramie cmentarza, by tam zakupić kwiaty i wieniec z jedliny i świeczek parę. Na ławeczce przy którymś grobie spożywała zabrane ze sobą śniadanie. Na miasto nie wychodziła, nie chciała, obce jej było, nie swoje. Zateśkniła przez moment za własnym miasteczkiem, jakby cień żalu, po co stamtąd tu przyjeżdżała, do

wspomnień, do tego, co było, co odeszło bezpowrotnie.

A potem żadnych już odczuć nie było. Tylko oczy suche bolały i piekły. Czekala.

Nadszedł na długo jeszcze przed południem. Wzdrygnęła się, widząc nędzotę starego człowieka. Ta czyściutka, choć cerowana i łatana jesionka, ten krok starczy, choć zaledwie przekroczył gdzieś sześćdziesiątkę, te oczodoły zapadłe, a w żrenicach głęboko ukrytych ani śladu po dawnych ogniach. Nawet nie musnął jej wzrokiem, ukląkł wsparty o łaskę, długo klęczał. Dopiero gdy się podniósł, udzieliła wsparcia słabemu ramieniu. Wtedy dźwignął na nią spojrzenie zmizerowanych oczu. Patrzył osłupiały, długo, straszliwie długo, ledwie to wytrzymała, ciągle czekając.

- Ludmiłka - powiedział wreszcie.

W słowie tym było tak wiele, ona wiele też rozumiała. Przypadła do ręki ojcowskiej. Oderwał głowę córki od swojej dłoni z siłą niespodziewaną.

- Przyjechałaś, znalazłaś ją... - wskazał na grób. - I ciebie.

Mało mówili. Ale gdy szli potem przez ulice miasta, nie było już ono jej obcym. Pamiętała w nim i rodziców, i zwłaszcza Antosia, te ich radosne godziny, nim się stało tamto w Warszawie. Jednego nie chciała pamiętać: gdy ciężarna odchodziła z rodzicielskiego domu.

Potem czas przyspieszył swój bieg. Nie było czego pakować. W nędznej izbinie na strychu niewiele zostało. Walizka wyświechtana, tobolek, okienko kasowe, bilety, do niej, do jej miasteczka. Do siebie. Razem. Z ojcem.

Znów otworzyła powieki. Ojciec. Naprawdę ojciec. Tamtych lat nie było, nie było, nie było... Nie można o nich pamiętać. Nie było, nie było, nie było, jak to dziwne, że i koła pociągu wybijają jednostajnie te właśnie słowa.

Nie było, nie było, nie było...

Tam Mila i Tomek, tam też Kaziuczek maleńki, niczemu niewinny, płytkę ma nową, bielušką, już nie przełamaną przez pół. Może to on jednał ją z ojcem?

Tamtego nie było, nie było, nie było... Jada do siebie, do siebie, do siebie... Dziwne, jak to koła rozumieją jej myśli, przystukują do wtóru.

Nie miał ochoty, ale czemuś musiał jeszcze raz przyjść na cmentarz nad wieczór, musiał tam zobaczyć Koniejenkową.

Widział ją. Niską, przygarbioną postać, tak wyrazistą w zastygłym, ale żywym wciąż bólu.

Teraz wracał tym samym ciężkim, masywnym krokiem. Nie goloną twarz wysuwał ku przodowi, jakby z wyzwaniem w stosunku do spotykanych ludzi, wciąż zdążających ku morzu świateł nad kępą drzew i krzewów przysiadłych nad równymi rzędami sypanych

pagórków.

Ale tej dziewczyny na cmentarzu nie było. Pewnie wcześniej odwiedziła swojego ojca. To ona uratowała małego. A potem nie chcieli przyjąć żadnych podziękowań, nie pomógł nawet nauczyciel. Pamiętają, nigdy chyba już nie zapomną. Wszyscy pamiętają wokoło. Mówiła kiedyś Joaśka, że najlepiej, aby wynieśli się stąd daleko, pomiędzy innych, którzy by nie spoglądali spode łba, nie wygrazali pięściami zza pleców, nie pokpiwali. Zżymał się, wruszał ramionami, nie chciał. Tu osiadł, tu, choć pośród wrogich spojrzeń, czuł się przecie u siebie. Kędy znów pojedzie, w jakie świąty?

Z żoną w tamtym czasie było coraz to gorzej. Nie robiono już żadnej nadziei. Pojechał do Zielonej Góry odwiedzić kobietę. Szkielet to jeden był, plama ciemnych włosów na białej poduszce. I głos ten sam, tyle, że cichszy. Długo mu się przyglądała, coraz niżej opuszczała głowę, pamiętał, co się jej nauragał, wiele razy okładał pięściami. Cierpliwa była, znosiła, tylko to choróbsko osiadało w niej coraz to silniej. A teraz patrzy, w spojrzeniu tym braknie krzty gniewu czy nienawiści. Ciepłe to, biedne, schorowane wejrzenie.

Powiedziała:

- Jak odejde, czas żałoby przeminie, poszukaj jakiejś, byle i porządna była, żeby mały miał matkę. Jakże go sam wychowasz?

Jakby mu w gębę kto dał. Po raz pierwszy w tym momencie pomyślał czemuś o Joaśce z odrazą.

Żona zgasła niedługo potem. Spokojnie, niepostrzeżenie, gdy dali mu znać, było po wszystkim. Przewiózł ją do miasteczka, tutaj chciała mieć pogrzeb. Nie było w nim żalu, ale nie było też oczekiwanego spokoju. Tkwiły te słowa, żeby dla dziecka, dla jego dobra, że sam nie wychowa... Te słowa gasiły wszystko, zbyt wiele za nimi się kryło. Ona nigdy nie chciała niczego dla siebie. Taka była. Tłukł, łajał, nic to, nie zmieniała się.

Może by zresztą zatoneło tamto zdanie w pamięci, czas zamazuje nie takie słowa, gdyby nie pogrzeb, a na nim ta sprawa z Joaśką. Nie mówił z dziewczyną na ten temat, nawet mu do głowy nie przyszło, że pojawi się nad grobem. Po co? Co ją mogła zmarła obchodzić, tyle chyba, że zwalniało się po niej miejsce...

Przyszła przecież. Może, by poczuć jeszcze mocniej swoją wygraną, swój nadchodzący czas. Może... Nie przysuwała się, stała z boku i wtedy, gdy ksiądz odprawiał ostatnie modły, i wtedy, gdy pierwsze grudki sypnęły na wieko, i wtedy, gdy zgromadzone, jak to przy każdym pogrzebie, kobiety, zaczęły się na nią powszechnie oglądać i poszeptywać między sobą.

Księdza już nie było, grabarze kończyli ubijać łopatami wyrosły pagórek. Joaśka stała, na twarzy jej musiała być jakaś wielka pewność zwycięstwa, świadomość swojego czasu, może

naprawdę któraś z kobiet znalazła tam na pół tylko tajony uśmiech, dosyć, że raptem zaczęły się posuwać w jej stronę, coraz głośniej mełły złe słowa między zębami.

- Ty zdziro! - krzyknęła któraś cienkim falsetem.

To było hasło. Sypnęły obelgami, od zdir, od kurw, od hien czekających na cudzą śmierć, od parszywego nasienia i czartowskiego pomiotu. Za słowami frunęła grudka ziemi, miękko trzepnęła dziewczynę w twarz. Wtedy dopiero Joaśka zdała sobie sprawę, co to się dzieje. Zbladła, zgasty odblaski triumfu i radości nadchodzących, szczęśliwych wraz z Józkiem dni, zjawił się strach. Krzyknęła, zasłoniła się rękami, zapiszczała, czego chcą od niej, jakim prawem, skąd takie słowa, która śmie rzucać grudami.

Runęły całą ławą, stare i młode, jędze nagle wszystkie, zagrzewające się wzajemnie.

- Zdzira, zdzira, precz ją gonie!

- Kamieniami w tę dziwkę!

- Kamieniami!

Zerwała się do ucieczki. Niedługo goniły, zadowolily się łatwym triumfem, jakże, wypędziły z cmentarza, z pogrzebu tej biednej Klimczakowej taką zakałę, paskudztwo, co to samą obecnością swoją kała święty obrządek.

Biegając, słyszała jeszcze tylko to słowo „zdzira”, piętnujące, kamienujące bardziej niż cokolwiek innego.

Klimczak widział i słyszał wszystko. W pierwszej chwili jego pełna, koścista twarz spąsowiała, małe oczka zamigotały, rozwścieklił się, chciał biec, osłaniać, stanąć wespół z Joaśką przeciwko tym wszystkim straszliwym babom, a potem z nagłą oklapł, jakby nic już nie słyszał i nie widział, stał nad świeżym kopczykiem, wpatrzony w niego uparcie, ponuro, smutno.

Jemu baby słowa nie powiedziały. Tyle, że odprowadzały czujnymi, napitymi ciekawością spojrzeniami. Chłop przecie, zdarza się, wiele takiemu trzeba darować, jeno podobną zdziwę gnać jak najgorsze nasienie, jak szarańczę, jak diabła w ludzkiej osobie...

Wracając z pogrzebu do domu, nie myślał wcale o Joaśce, ani o tym, co ją dopiero spotkało. Cały tydzień do niej się nie odezwał, nie dał znaku życia. Tkwił z dzieciakiem, odradzała się w nim miłość ojcowska do malca, zawsze żywa, teraz jednak czulsza i cieplejsza niż kiedy. Razem spędzał cały wolny czas Klimczakowy. Joaśką nie wiedzieć kiedy oddalała się, jeszcze wciąż nie obca, przecie nie gwałtownie potrzebna...

Widzieli się jednak potem, był nawet wieczór, mało, a zmieniłby się w taką noc szaleńczą, jakie dawniej bywały pomiędzy nimi, przeważały się ze sobą, zwalczały w Klimczaku nieznane uczucia, chęci i niechęci, nieznane wszystko, nowe zupełnie. Przecież jednak Joaśką

zwyciężała, znów zjawiała się w myślach, w zachciankach, w projektach na przyszłość.

Aż przyszedł ten dzień, dziewczyna od Koniejenków, córki tego Piotra, wyciągnęła malca spod kół, gdzie by śmierć znalazł niechybną. Tego już Klimczak nie strzymał, za wielki był napór wypadków na niego. Nieprzytomna stała się miłość do dziecka i równie namiętna potrzeba dogadania się z Koniejenkami, podzięką, wytłumaczenia, wyrównania krzywdy, jeśli taką wyrządził. Na nic przecie się zdały usiłowania, oni nie chcieli. Dla nich, to pewne, był mordercą. W ich pojęciu on Piotra zabił.

Nie potrafił rozróżniać, że zabijać można na różny sposób, niekoniecznie ciosem pięści czy strzałem. Nie rozumiał, piastował w sobie żal tego niezrozumienia, szarpał się, nie wiedząc sam, kiedy zaczął żyć sprawami Koniejenków, myśleć o nich bez ustanku, prześladowały go te myśli, na koniec cała zaciekłość, cała szarpanina, której istoty dojść nie potrafił, obracać się zaczęła przeciw Joaśce. Czemu, tego także nie wiedział. Może trzeba mu było ofiary, na którą mógł zrzucić winy swoje i cudze, upokorzenia i krzywdę, kołowrót, w jakim się szamotał, nie umiając odnaleźć wyjścia. Unikał dziewczyny, na jej kartki nie odpowiadał, gdy któregoś wieczora dostrzegł ją kręcącą się koło jego domu, bo już w rozpacz i taką drogę obrała, zawrócił, przedzierał się potem do siebie ogrodami i opłotkami jak złodziej, zamykał się wraz z synem, głuchy na wszystko.

Wtedy pierwszy raz odwiedził grób żony, poszedł do Łyczywka, niech pomniczek jaki postawi, żeby zgrabny był, dobra w końcu była kobieta, choć nie zawsze się rozumieli. Przed Zaduszkami pięknie ozdobił kwiatami jej grób. Wtedy też po raz pierwszy stanął przy miejscu spoczynku Piotra. Długo stał i patrzył na wzgórek, ledwie obrosły zżółkłą już trawą, na wyschłe wiązanki kwiatów, na napis krótki i wyrazisty.

Wieczorem pojechał do Sulechowa, pół wozu zasypał kwiatami i wieńcami. Jeszcze kupę całą świeczek nakupił. Prawie nie spał tej nocy. Z brzaskiem był na cmentarzu, pierwszy, głucho było wokoło, z bezlistnych konarów drzew pokapywały brudne krople, szarówka, mgły nad mokradłami, krakanie jakiegoś wroniska. Zasypał kwieciami grób Piotra Koniejenki, potem uciekł, by nikt go nie dostrzegł. Aż wrócił wieczorem, coś go z domu przygnało, nie do żony, do Piotra, a może do zgarbionej nad jego grobem Koniejenkowej.

Teraz wracał tym samym ciężkim, masywnym krokiem. Nie ogoloną twarz wysuwał ku przodowi, jakby z wyzwaniem w stosunku do spotykanych ludzi, wciąż zdążających ku morzu światła nad kępą drzew i krzewów, przysiadłych nad równymi rzędami sypanych pagórków.

Ale tej dziewczyny, myślał, na cmentarzu nie było...

Rodziły się w nim jakieś myśli, przybierały niezgrabny jeszcze kształt nowych

postanowień. Będzie mógł wtedy tu zostać, bez potrzeby ucieczki, tu, gdzie grób żony i gdzie grób Piotra Koniejenki.

Snując się wśród starannie oczyszczonych alejek, wdychając swąd palących się świec pomieszany z rześkim, już jesiennym zapachem chryzantem, doznawał dojmującego uczucia osamotnienia, dokuczał mu brak bezpośredniego związania z przewalającym się tłumem. Spotykał znajomych, pozdrawiali się skłonieniem głowy, ścisnął dłonie, suche i przepecone, zamieniał po kilka zdań, ale to nie włączało go w krąg ich wszystkich, zatroskanych swoimi myślami, mających tu jakiś cel, znajdujących przynajmniej jakieś pozory.

Pomagał Rękawkowi zapalać lampki na opuszczonych grobach, nie bacząc, polskie one czy też niemieckie, myśl sięgnęła wtedy aż po lata wojenne, tak już zdawałoby się dalekie, a tak jednocześnie często przypominające się setkami zwykłych, drobnutkich spraw. W jego pokoleniu wojna ta jeszcze wciąż żyła, odejdzie chyba dopiero wraz z nimi. Młodzi, ci są szczęśliwsi, bo cóż znaczy opowieść ojcowska, lektura, napływająca stąd i zowąd przestroga? Oni sami nie doświadczyli, może już nie doświadczą, to będzie ich największa wygrana.

Rękawek rozwiął się potem pośród cieni rzucanych przez nagrobki i krzyże. Teodor zaś, wraz z nowym napływem po - j uczucia gnębiącej samotności, zaczął szukać pośród mogiłek j znajomych. Niewielu jeszcze takich ich było. Ot, na uboczu, na ponurej samą już nazwą parceli samobójców spoczywa Koniejenko, człowiek, który nie zniósł naporu wspomnień przeszłości. Kwiaty, znękana żona... Tu też znane nazwisko. Klimczakowa, żona tego ponurego obwiesia o kwadratowej i twarzy i niskim czole, wspominał o nim kiedyś nauczyciel Kirgiełło.

Niewielu tych znajomych. Widywał, zdążyły czasem w tę stronę konduktu, dzwon dudni! żałośnie, nie znał jednakże odchodzących, starych i młodych.

Więc może chociaż nazwiska? Gollubowa, to pewnie żona profesora. Kazimierz Jaruga, bielutka mogiłka, biała płyta, białe kwiaty, nawet lampki wtulone w biały celofan. To pewnie ktoś z rodziny Margisi i Tomka, który pracuje przy stacji benzynowej. Obiecał zająć się chłopcem, Maria prosiła, nie ma co zwlekać... Ale inni nie znani zupełnie, tak ich tutaj już wielu, no cóż, piętnaście lat, wiązało ich wszystkich z miasteczkiem życie, na swój sposób wiązała i śmierć.

Właśnie tego określenia mu brakło. Aż zatrzymał się nagle, zaskoczony odkryciem. Ci wszyscy ludzie, chmarą sunący od rana z miasteczkowych domów, śpieszyli do swoich bliskich. Każdy miał tutaj kogoś, wspominał, może tęsknił tą nigdy już niezaspokojoną tęsknotą. Ten cmentarz dla każdego z odwiedzających stanowił jakąś przeszłą część jego

własnego życia. On jeden, Okińczyc, nie miał tutaj nikogo. Tymi więzami jeszcze się nie zrosł z miastem i jego ludźmi. Dziwne, ale przecież naprawdę tak jest. Te śmierci wiążą. To już ziemia, na której spoczęły prochy ojców czy dzieci, kochanków czy mężów.

Przyszło mu znowu na myśl, że tutaj właśnie chciał kiedyś spocząć Franek, na tym starym, skrytym w drzewach cmentarzu. Został tymczasem w kanadyjskiej ziemi, w buszu, daleko od wszystkiego, co naprawdę ukochał. Jakby w zastępstwie przysłał w te strony przyjaciela. Dla życia, a kto wie, może i dla śmierci, dla tego skrawka na swoim cmentarzu.

Teodor zdumiał się czując, jak odchodzi go poczucie osamotnienia. Znalazł własną, osobistą już nić, wiążącą i jego z tym miejscem. Cóż, że Franek gdzieś w buszu, ale chciał tutaj być, więc w jakiś sposób, choćby pamięcią, jest. Może by tak wystawić chłopakowi grobowczyk, Łyczywek ładnie by zrobił.

Zachnął się na tę bzdurę. Jeżeli, to w inny sposób uczcić by przyjaciela, zostawić ślad dawnego jego tutaj pobytu, późniejszych pragnień powrotu... Przecież jednak nie pomnik, szczególnie bohaterskich czynów Franek nie wpisał na swoje konto. Co zatem?

Mignęła mu w przejściu wysoka, poważna sylwetka doktora Golluba. Może by profesor poradził? Zakłada! przecie dopiero wraz z Rękawkiem, sekretarzem partii i innymi Towarzystwo Przyjaciół miasteczka, mają plany o wielkich ambicjach, warto by im dopomóc, przy okazji czyniąc coś dla pamięci Franka. Szkoda, że Marii nie ma, proponował, że fordem zawiezie ją do Niesusza, choćby i razem z Połą, ale nie zgodziła się, chciała tam się pojawić jak zawsze, może ten warkot motoru naruszyłyby nić wspomnień, pamięć rodziców, brata, znajomych, życiem płacących dań pierwszych lat na tych ziemiach.

Myśl ta porwała go, uczył, że właściwie dosyć ma już cmentarza, rodzących się na nim niezwykłych dla niego nastrojów. Przyśpieszył kroku ku bramie wyjściowej, mijał wolno snujących się ludzi. Omal nie potracił jakiegoś dzieciaka, z przejętą buzią pchającego się obok matki z doniczką kwiatów pod pachą. Dopiero zwolnił.

O parę kroków od głównej alei, przy metalowej ławeczce o wypełzłych już dawno kolorach, stała tyłem do Okińczyca zgrabna dziewczyna. Ramiona jej drgały leciutko. Coś w tej postaci było znajomego, nie mógł jednak rozeznaczyć. Przybliżył się. Tak, to była Fela, kelnerka z baru w bocznej uliczce od rynku, łatwa dziewczyna. Którego; razu niewiele brakło, zabrały ją na noc do siebie, też przeżywał dziwny nastrój, też się czuł jakiś samotny...

Stanął. Czego chce teraz od niej? Że płacze? Płacz dobrze na ogół o ludziach świadczy. Ludzie obojętni i oschli nie znają zazwyczaj łez. Ale na łzy niewiele też można dopomóc, każdy swoje sam musi wypłakać.

Musiła wyczuć jego obecność. Obejrzała się, chusteczką trzymaną w dłoni przesunęła po

oczach, w migającym, słabym blasku świeczek zobaczył na twarzy coś jakby nieporadny uśmiech.

- Ma tu pani kogoś bliskiego?

- Brata. We dwójkę przyjechaliśmy, przed dziesięciu laty, mała jeszcze byłam, zakłuto go nożem na zabawie... Wspomniałam, smutno mi się zrobiło - spojrzała uważnie, bez cienia zwykłej zalotności. - W ogóle jest mi smutno, coraz częściej się smucę, choć sama nie bardzo wiem czemu...

Po tym zwierzeniu odwróciła się, już nie zwracała na Okińczycza uwagi, widocznie chciała teraz być z bratem. Tym zadżganym w bójce nożami...

Stał jeszcze chwilę, już nie śpieszył jak przedtem-ku bramie. Myślał o Poli. Też równolatka tej Feli. A Miła, siostra Tomka Jarugi? Z nią również coś niedobrego się działo. Czego właściwie im braknie, tym młodym dziewczętom, czego chcą, skąd w nich niezwykle nastroje? Ich życie nie przypada na okres wojny ani jakiegoś zastoju. Wokoło coś nieustannie się dzieje, nawet taka mała dziura, jak to miasteczko, z nagłą rozrasta się, krzepnie, ładnieje, one zaś jakby przechodziły obok tego wszystkiego, zagubione i właściwie to bardzo biedne. Może za mało się dla nich robi, może rozmach gorących dni zapoznaje sprawę młodzieży? Bo cóż w takim miasteczku, zdążył to przecie zauważyć, kino, spacer i łatwe okazje romansu, właściwie wszystko, cały zewnętrzny świat. Szary, gdy mógłby być barwny. Ani się gdzie podziać, zabawić, całą romantyką miłość, czerpana obficie, ale też najczęściej w namiastce. Bo one nawet kochać nie zawsze umieją.

Ten zwariowany plastyk z nie strzyżonymi włosami, pośmiewisko, ale i cicha przecie *zarazem* duma miasteczka, szykuje podobno jakąś rewolucję w Domu Kultury, już tam nigdy wieczorem nie straszą okna ciemnością, robi się coraz gwarniej. Może on coś zaradzi, pomoże młodzieży? Ale czy taka Pola do niego pójdzie; Jej inne sprawy już w głowie, inne zamarczenia.

Od pamiętnej wizyty - została ich tajemnicą - dziewczyna jakby się odmieniła. Już nie wtrącała się pomiędzy Marię i Teodora, nie szukała gwałtownie ich towarzystwa, nie śledziła każdego kroku. Maria wspomniała, że w domu również starcia ustały jak ręką odjął. Okińczyc nie był jednak spokojny. W całej sylwetce Poli, a uwłaszcza w jej oczach, dostrzegał tamtą dziewczynę, gwałtownie szukającą sytuacji, po której zostałyby jedynie fakty dokonane. Jakiś błysk, zaraz przykrywany długimi, migocącymi rzęsami, jakiś nerwowy ruch zaciskającej się dłoni. Wyrzucał sobie niewczesną podejrzliwość, nauczka mogła być wszakże skuteczna, starał się nie myśleć o Poli, jeszcze teraz, gdy tak pomyślnie układały się plany jego i Marii, jednak niepokoją do reszty nie potrafił z siebie usunąć.

Tęsknił do chwili - myśleli o świętach Bożego Narodzenia, Maria z wahaniami, ale skłonna była do zgody - gdy zabierze ją już do siebie. Jeszcze ciągle pewną przeszkodą była Pola, co wtedy z nią zrobić, przecież nie sposób, by zamieszkała razem, ale jakże to Szymborskiej tłumaczyć bez wyjaśniania wydarzeń tamtej nocy...

Myśl o Marii wróciła Okińczycowi lepsze samopoczucie. Może to świadomość jej nieobecności w miasteczku przyczyniła się do powstawania w nim samotniczych nastrojów? Jutro Maria powróci, zobaczą się, znów będzie dobrze.

Wszedł w uliczkę, stuloną ścianami domów. Za szybami i firankami paliły się światła, jaśniejsze i weselsze niż te, które przez cały wieczór towarzyszyły mu na cmentarzu. Zza półuchylonych drzwi poniósł się mocny, silny płacz niemowlęcia. Wrzeszczało całą siłą małego gardła.

Okińczyc uśmiechnął się. Zawsze lubił dzieci. Przystanął, obejrzał się za siebie. Jeszcze było widać światełka cmentarnych ogni. Przygasały. Na drodze majaczyły ciemne sylwetki powracających ludzi. Ten jeden dzień poświęcony tamtym przeminął. Ileż jest w roku dni poświęconych już tylko żywym?

Matka za półuchylonymi drzwiami uspokoiła dziecko. Dla odmiany zaczęło się śmiać.

Ten płacz, a potem śmiech niemowlęcia ukazał nagle Okińczycowi inny sens poprzednich przemyśleń. Może nawet nie inny, a tylko pełniejszy.

17.

Przedtem chodził do prezydium na długie narady, niejedno oparło się o samego przewodniczącego. Potem dopiero oglądnał się za miasteczkowymi łobuziakami. Przez Szwabachowskiego łatwe miał dojście, dawno się już skumali ze Stefkim. Powiedział mu:

- Masz paru kumpli, co by chcieli zarobić? Dawaj ich tutaj.

Przyszli wieczorem. Wychudzony nad wszelką miarę, zawsze uśmiechnięty brodacz informował krótko. Trzeba odnowić Dom Kultury, brudno tutaj, ponuro, kolory ścian, że rzygać się chce. Jest trochę forsy, z biedą starczyłoby na malarzy. Gdyby jednak tak pomalować wszystko domowym, gospodarskim sposobem? On razem z nimi? Zostanie parę tysięcy, już tam w prezydium zgodzono się, że jakimś cudem magister Rękawek przesunie je w budżecie na inną pozycję, zakupi się to i owo. Mają ochotę?

Nie wszyscy. Tych zaraz odprawił. Oprócz Szwabę zostało jeszcze trzech.

- Sarna swoja wiara - powiedział plastyk, wyciągnął butelkę wina i choć nie bardzo to wypadało kierownikowi Domu Kultury, częstował chłopaków.

- A murarze są między wami? Bo to, widzicie zwalilibyśmy te ściankę, działową, cegła na

kant, byłoby w sam raz miejsce na kawiarnię.

- Kawiarnie? Kurcze w dechę, to w Domu będzie kawiarnia?

- Będzie. Z kawą i winem.

- Siwucha też?

- To chłać pójdziesz do „Piaستowskiego”... ale u nas guzik będziesz miał do roboty - wrzasnął, ej. mu się czarna bródka zatrzęsała przy chudej gębie, oczy jednakże się śmiały.

Podobał się im. Swój chłop, nie odstawia waśniaka.

Zahuczwała w parę dni potem robota. Świeciło się w oknach za szczelnie zamkniętymi drzwiami, a pokrzyki i śpiewy sprowokowały plotki, że nowy kierownik rozpija się z chłopakami, ba, gołe dziewczuchy im każe malować. Zucmokano, zacudowano się.

Im zaś pstrzyło się w oczach i w głowach od kolorów. Już to paćkać kazał plastik ściany nie mniej; barwnie jak ozdabiał ulice na lipca, zapomnieć przecie ni< mogli, morowo było.

Upaprani w wapnie i farbach, niepodobni do siebie, harowali, że gdyby tak dla zarobku, zażądaliby nie wiedzieć jakiej zapłaty. Ale tu było inaczej, ni to praca, ni to zabawa, a jeszcze Szwaba cuda opowiada, co teraz urządzają w tych murach.

Ściankę działową też rozwalili, po cichu, nim by się spostrzegł kto z budowlanych władz, nocą przyciągnęli skądś stary dźwigar, wzmocowali u góry, na v szelki wypadek, żeby się potem na łby ludziom nie zawaliło, wyprawili cementem, tynk położyli, nikt by nie poznał, że kiedyś było inaczej.

Tego samego wieczora Stefek przytaskał dwie flaszki gryfa, ustawił je w kącie na starej skrzyni, inaugurował bufet przyszłej kawiarni. Na ścianach zawiesili obrazy malowane przez kierownika, niby nic na nich nie było, kółka, Unie, kreseczki, ale kolorowe to, aż oczy ćmi, od razu się zrobiło weselej. Trochę się podśmiewali co prawda, gdy plastik przyglądał się swoim dziełom wyraźnie wzruszony.

- Ale pan to umie tak pięknie, jak cież kocham - pod-kadził mu Szwaba, który był stanowczo za malarstwem przedstawiającym.

- Ty... - zasyczał któryś, wsunął mu tęgiego kuksańca pod bok. - Nie ruszaj go...

Skończyli robotę, ale już nie odeszli. Jeszcze paru przyciągnęli za sobą. Ludzie kręcili głowami, co jest, najgorsze zabijaki z miasteczka kręcą się przy tym wesołku brodaczu. Ktoś puścił gadkę, że będzie to dom chuligana, nie żadnej kultury. Tylko trochę zaczekać...

Starzy założyli w tym czasie swoich „Przyjaciół”.. Wszystkie niemal fisze miejscowe się zeszyły. Chłopcy sarkali z powątpiewaniem: wiele oni tu nie zwojują.

Nie minął tydzień, już współdziałali z tymi starymi... Co prawda brodacz Lipiński musiał się przedtem z chłopcami dogadać. Że to można będzie tych „Przyjaciół” wykorzystać dla

Domu. Chody mają, o wszystko im łatwiej, tyle, że ikry braknie. Więc żeby wspólnie, dać im tę ikrę. Ot, choćby ten przyszły park na tarasowatych zboczach opadających ku stawom od głównej ulicy. Drzewka są, znalazły się krzewy, trzeba będzie to pięknie zasadzić, splantować alejki, tu i ówdzie zabezpieczyć skłony cementem. Niby mają to robić wszyscy mieszkańcy, ale jeżeli właśnie oni daliby przykład...

Milicjant Gliński, gdy ich zobaczył przy tym sadzeniu drzewek, stanął jak wryty, gębę szeroko otworzył, ani się ruszył. Toż to ci sami urwipołcie, z którymi miał tyle biedy w miasteczku. Na pewno któryś z nich zatkał mu komin, niechby on dostał takiego w ręce... A teraz, szelmy, pracują jak zwariowani.

To zachęciło innych. Drukowany apel Towarzystwa Przyjaciół o tym parku w czynie społecznym nie zrobił tyle, co widok machającej łopata i kilofami sitwy Szwaby. Fabryki przysłały brygady i ciężarówki, sami się ludzie zgłaszali.

Wracając kiedyś z dłuższej gawędy z plastykiem w swoim Domu, natknęli się na podpitego Osucha. Obsikał jedno z drzewek, a potem, że mu się czemuś nie podobało, wyrwał je, inne, któremu nie potrafił dać rady, przełamał na dwoje, rozochocił się, szykował do dłuższej roboty. Tak się w niej zapalił, że nie spostrzegł, jak go naszli. Nie było dyskusji. Dopiero Szwaba zmytygował w końcu zapal kompanów, jeszcze by zatłukli Osucha na śmierć. Taka świnią, ich drzewka, w ich parku. W ryło go, jeszcze raz, pioruna!

Wtedy Lipiński uznał, że już dojrzeli na tyle, by właśnie z nich stworzyć radę młodzieżową Domu Kultury. Miał w tym swój cel. W kilku, pod jego wodzą, zaczęli teraz udawać się w delegacji do różnych instytucji i władz. W cegielni uzyskali obietnicę paru tysięcy cegieł na obmurowanie przyległej do budynku parceli, można by tam grać latem w siatkę albo urządzić w przyszłości ogród zoologiczny, jak to się któremuś z chłopców marzyło. Dyrekcja fabryki cukierków, choć tam całym gazem szły jeszcze roboty wykończeniowe, przyobiegała radioaparat wraz z adapterem, bo te stare zdemolowane już były, mało co warte. Złożyli wizytę sekretarzowi partii, przewodniczącemu prezydium, zajrzeli do dyrektora Golluba w szpitalu, jako prezesa Towarzystwa Przyjaciół... Na ostatek wybrali się razem z Lipińskim do Zielonej Góry, przedstawić tam swoje plany, wycyganąć trochę pieniędzy... Szwaba szalał z zachwytu, gdy zgodzono się na wyposażenie modelarni lotniczej.

- Wiecie, chewra, w poprawczaku był jeden taki, opowiadał co za cudeńka w ich modelarni robili. Jak model się uda, to na zawody z nim można jechać aż do Warszawy...

Byli trochę nazbyt gorliwi. Gdy już otwarto Dom i zaczęli zaglądać pierwsi goście, członkowie rady namacalnie przestrzegali bardziej ciekawskich, że ściany nie po *to* są, by

smarować je paluchami, a sika się w ustępie do muszli, nie na podłogę. Hamował brodaty plastik te ich wychowawcze zapędy, choć jednocześnie ryczał cichutko w swe czarne kudły.

Umiał radzić ze swymi wychowankami. Ani się domyślali, jak im podsunął myśl, żeby bliżej związać się z Przyjaciółmi. Użyczyć im pomieszczenia na pracę stowarzyszenia, rozewrzeć drzwi kawiarni, wszystko to piękne, ale gdyby tak utworzyć jeszcze radę seniorów? Szepnął, że Przyjaciele mają subwencję od Lubuskiego Towarzystwa Kultury, więc gdyby na wspólne cele... Całą chmarą przyszli z delegacją za zebranie zarządu Przyjaciół. Perorowali Szwaba i wygadany - miał dziesięć klas licealnej za sobą - Sikirycki z winiarni, trochę moczy-morda, wiadomo, przy takiej robocie, ale chłop setny. Skończyło się tym, że do rady seniorów weszli profesor Gollub i magister Rękawek, po paru zaś dniach dokooptowano jeszcze Kanadyjczyka.

Z misją do niego poszedł pospołu z innymi Tomek Jaruga, który za namową Stefka również zbliżył się do Domu Kultury. Jeżeli na od grudnia pracować u Okińczycza, musi u niego mieć swoje chody. Chodziło zaś tutaj o wiele rzeczy, Głównie o modelarnię, lotnik przecie, powinien się na tym znać. Wałęsał się przy tym po świecie, wojował, mógłby kiedy co opowiedzieć. O tej bitwie nad Anglią, o łowach na niedźwiedzie i wilki. Ma to chować dla siebie?

Okińczyc zgodził się, obiecał, był tego dnia w świetnym humorze, poczęstował chłopaków kawą, nie wszystkim smakowała. Rozgadał się trochę o swoich dawnych historiach, wyciągnął przywiezione z Kanady zdjęcia. Jakby kompan, nie ważniak na dolarach, jak o nim gadano.

Tomka ujął zupełnie, chłopak nie posiadał się z radości, że będzie pracował u Okińczycza w warsztacie, to nie to samo, co nalewanie benzyny do kanistrów czy samochodowych zbiorników. Może sam jeszcze majstrem kiedy zostanie.

Stefek po wyjściu trzasnął go po swojemu przez plecy, aż zadudniło.

- Widzisz? Trzymaj się tylko Szwaby, nie zginiesz...

Nie bardzo Tomek wiedział, co wizyta u Okińczycza ma wspólnego z trzymaniem ze Szwaba, chętnie jednak przyznał koledze rację. Miał Stefek nosa, że się związał z malarzem o czarnej bródce, dobrze się zaczyna w tym Domu Kultury, warto tam częściej zaglądać.

Wiedziała, źle sypiał, budząc się słyszała jego wzdychania, niespokojne przewracanie się na łóżku. Na jej odezwania nie odpowiadał, przycichał na swoim posłaniu, nieledwie że tłumiał oddech.

Tak niespodziewanie i z nagłą wtargnął w ich życie, na swój sposób spokojne już, takie

same z dnia na dzień. Mila uczęszczała do szkoły, Tomek dreptał co rano do pracy, matka borykała się ze swoim sprzętaniem w szkole i urzędzie, coraz zresztą ciężej jej szło. Potem był dom, a właściwie miejsce do spania, mało w nim każde gościło.

Kiedyś po prostu zamykali mieszkanie na klucz, wyciągało się go po przyjsciu ze szpary w murze, nikt specjalnie na nikogo nie czekał. Teraz było inaczej. Wchodzący napotykał niespokojny, jakby zastraszone wzrok starego człowieka, tkwiącego najczęściej za stołem. Stary Jaruga mało mówił; starał się nie przysparzać swoją osobą kłopotów, chował się w cień, wieczorami, gdy się zgromadzili już wszyscy, czym prędzej dreptał na wyrka.

- Mamo, wiele dziadek ma lat? - któregoś razu zaciekał się Tomek.

- Sześćdziesiąt trzy...

- O rany, wygląda na sto.

Obejrzała się na ojca, jeśli usłyszał, mogłoby mu być przykro. Sarna się zdumiewała, co się stało z tym silnym, mocnym człowiekiem. Jak odmieniony. Wspomniał, gdy jechali spod Warszawy pociągiem, że jeszcze przed trzema laty pracował tak, iż niejeden młody marzył tylko o dorównaniu. Dopiero potem...

- Stało się coś? Choroba, wypadek?

- Eee - machnął niechętnie dłonią.

Kiedyś jednak bąknął, że od czasu choroby żony zaczął tak podupadać, a już po jej śmierci jakby się załamało w nim wszystko.

Przyjrzała mu się wtedy uważniej. Powoli zaczynała rozumieć. To były jedynie pozory, iż w tym małżeństwie matka stanowiła stronę słabszą, zawsze pokorną, nieomal zahukaną. Prawda, ojciec decydował, był przy tym uparty jak rzadko, jednak bez matki okazywał się niezaradny, zupełna niezguba życiowa. Jej obecność była dla niego konieczna. Dopiero wtedy stawał się sobą. Już jej niedomagania musiały go podciąć, może zdawał sobie sprawę, że choroba jest nieuleczalna, a wszystko staje się kwestią czasu. Gdy został sam, załamał się zupełnie. Opuścił się, sił mu zabrakło, wegetował na swoim stryszku, żyjąc z niewielkiej emerytury, wspominał...

Tego wieczora byli w domu sami. Mila asystowała w szpitalu, Tomka poniosło do Domu Kultury. Jaruzynę uciskało w piersiach bardziej niż kiedy, myślała, najpewniej pogoda, pocięła, chmury opadły niziutko, zanosilo się na długą szarugę. Zrezygnowała z robót domowych, pólleżąc, przez zmrużone powieki przyglądała się ojcu. Żał go jej było. Taki był za tym stołem niepozorny, matowa siwizna jeszcze go przygaszała, spoglądał czasem w jej stronę niepewnie, raz i drugi usta otworzył, pragnąc coś powiedzieć, zaraz się wycofał z tych swoich zamiarów.

Żałowała go, może dlatego że był teraz całkiem niepodobny do ojca, którego znała, o którym myślała z wyrzutami i nienawiścią. Tak było zresztą dawno, w pierwszych latach, gdy borykała się z nowym swym życiem, gdy tuląc w objęciach maleńką Milkę czuła, jak łyzy jej nabiegają do oczu, że jest samotna, wyklęta przez swoich. Krótkie to były chwile, zaraz potem wracały energia i zawadiackość, oczy wyzywająco spoglądały na mężczyzn, potrafiła pracować i bawić się. Och, jak się ona w te pierwsze lata bawiła! Młoda była, zdrowa, ze śmiechem stawiała życiu na przekór, z tym znanym powszechnie błyskiem swych pięknych oczu. I tylko momentami ten żal, ta niezawiniona samotność...

Potem był już jej obojętny. O matce serdeczniej myślała, przytłoczonej, szarej kobiecie, tkwiącej już nie u boku, ale w dalekim cieniu swojego męża. Matki od tamtego dnia, wieleż to już lat, mój Boże, nie widziała, widzieć nie będzie, grób taki sam jak inne, pamiątka, nic więcej... Jest za to przy niej ojciec. On i nie on. Siedzi, patrzy, chciałby coś powiedzieć, boi się.

Nie bał się, gdy ją wtedy wyganiał z Milką pod sercem. Matka usiłowała protestować, błagać, krzyknął, skuliła się, zaniósł cichym szlochem. Ojciec zaś długo stał w progu domku i spoglądał, jak szła, prostując się z każdą chwilą, równie harda jak on, jabłko spadłe tuż przy jabłoni... A teraz ojciec jest z nią. Potulny, łagodny, nie protestował, gdy oznajmiła, że zabiera go z sobą, że będzie już mieszkał z nią i jej dziećmi. Dziwne, że zgodził się na to. Czemu?

- Ojczy, coś myślał, gdy tutaj jechaliśmy? - uniosła się na łokciu, głowa jej zolbrzymiała na tle ściany.

- Com wtedy myślał? Ja już wcześniej, znacznie wcześniej przemyślałem niejedno. Przychodziło to z mijającymi latami... Matka wspominała czasami, może dlatego w końcu tak uschła. Bo widzisz... - głos był cichy, ale słowa padały równo, musiały naprawdę być przemyślane. - Bo widzisz, ja źle wtedy /robiłem. Nie mnie było sądzić. Krwi zaś swojej nigdy nie można się wyrzec. Odpokutowałem. Ty zapomniłaś, może pamiętając, nienawidziłaś, ja zaś wspominałem. Widziałem cię maleńką, taką zupełnie małą, i potem, gdy rosłaś, zawsze czupurną, pierwszą między chłopcami, którzy już wtedy lgnęli do ciebie jak muchy do miodu, choć niedorostki to były, i jeszcze później, w wojnę, kiedy twój Antoś, aż po tamten dzień, gdy stałem w drzwiach i widziałem, jak odchodzisz z mojej woli. Coraz ciężiej, dziecko, było wspominać. Matka o tobie rzadko mówiła. Tylko na Boże Narodzenie zawsze stały przy naszych nakryciach dwa talerze, dla ciebie i dla twojego dziecka, tamtego, za które, wiesz... Obydwoje wiedzieliśmy, dla kogo te nakrycia. Obydwoje czekaliśmy.

- To czemuś się nie odezwał, czemuś nie szukał?

Spojrzał bezradnie.

- Przedtem nie chciałem się wyrzec swojego, sama to masz, upór. Potem już nie było uporu, był wstyd. I teraz jest wstyd. Dobrze, że jest, niech się go najem do syta, razem z twoim chlebem. Sądziłem zawsze, że mi własnego starczy aż po ostatek...

Znienacka zmienił ton, zdumiała się rym przeskokiem. Nie chciał widocznie mówić więcej o tych trudnych dla siebie sprawach. To było już bardzo wiele, że w ogóle mówił. Nigdy nie był łatwy do zwierzeń.

- Powiedz mi, jak Mila i Tomek? - wpatrzył się w nią uporczywie, natrętnie. - Jak twoje dzieci do mnie podchodzą? Bardzo mnie one nie lubią?

Musiła się zastanowić. Czy nie lubią? Pewnie, nie maleństwa to już, jak choćby Margiśka. Obydwoje umieją myśleć, młodo dojrzeli. Mila odcierpiała niejedno, strach myśleć, czym by się mogło to skończyć, gdyby nie Siwiak... Czy nie lubią? Zjawił się nagle, jak nagły był wyjazd matki. Czy wierzą, że pojechała gnana tylko przywidzeniami, przecuciem, nie zaś konkretną wieścią? Wiedzą zaś jedno, że ten ich dziadek był kiedyś niesprawiedliwy dla matki. Przyjeżdża teraz obcym człowiekiem, z obciążeniem za tamtą ich wspólną wraz z matką krzywdę. Dziwią się, na pewno się dziwią, na pewno nie lubią...

- Ech, zdaje się ojcu. Nie przyzwyczyły się jeszcze - powiedziała, byle powiedzieć, zajęta swymi myślami, bo znów oto nagle wywinęły kozła, zaskoczyły nieoczekiwaną możliwością widzenia sprawy.

Tak, Mila jej kiedyś powiedziała z wyrzutem, czemu to nie ma ojca jak inne dziewczęta, czemu krąży za nią niedobra opinia matki... Tomek krzyknął raz, że nie ma nic gorszego, jak być bękartem. Więc może one nie uważają postępu dziadka za niesprawiedliwość, za krzywdę matce ich uczynioną? Może zgadzają się z jego czynem?

- Mów prawdę - poprosił.

- Nie wiem. Muszą się przyzwyczyać, świeże jeszcze to wszystko. Ja sama się jeszcze nie przyzwyczyłam.

Piekło ją jego spojrzenie. Nie były to już zgaszone oczy. To był teraz jej wzrok, odziedziczony przecież po ojcu, nie po matce... Ból w piersiach wezbrał mocniej, dławił kaszlem, długo nie mogła się uspokoić. Jaruga przydreptał do jej łóżka, stał bezradny, chcąc pomóc, a nie znajdując sposobu.

- Ludmiła - powiedział, gdy bezsilna odchyliła się na poduszkę. - Tak samo zaczęło się z matką. To płuca. Musisz się leczyć, młoda jeszcze jesteś, masz dzieci...

W niej zaś wezbrała teraz żal i złość, i pogłos tej dawnej nienawiści, i naprawdę ciągle zaskoczenie tym, co się stało, obecnością ojca przy jej wezglowiu.

- Młoda jestem, młoda? - usiadła na łóżku, wychudła, z wypiekami na policzkach, z rozwianymi włosami. - Patrz jak diabli zabrali już moją młodość! Zabiorą i resztę. Wtedy nie będziesz miał dalszych wyrzutów sumienia. Mili i Tomkowi nikt nie powie, że matka ich była taka czy owaka, że oni to bękarty. Młoda? Płuca? Że i matka? Tyś matkę wgonił w chorobę, ty, ty, swoimi uporami, swoją bezwzględnością, przez ciebie gasła. A ja, że jestem taka jak jestem? Gdybyś mnie nie wypędził, dziecko to było uczciwe, z miłości, mieliśmy się pobrać, sam wiesz, niczyja wina, że hitlerowcy go rozstrzelali, mówię, gdybyś mnie nie wypędził, byłoby może wszystko inaczej, zupełnie inaczej... Teraz zaś dziwisz się, że tak wyglądam, mówisz, że młoda? Płakać się chce z takiej młodości, płakać. Ale ja płakać nie lubię i nie umiem. Po tobie to mam, prawda? Powiedz, że po tobie, nie tylko to jedno. Bo i upór mam po tobie, dlatego się ostałam, taka jak jestem, ale nigdy nie dziwka, jakeś wtedy powiedział. Nigdy dziwką nie byłam, choć nie raz kochałam. Nigdy.

Oстрыm krzykiem zakończył się jej wybuch, wargi zacięła, zbieleły, jakby uciekła z nich cała krew.

Stał nad nią, wyprostowany teraz, przyjmował, wchłaniał po prostu każde jej słowo.

- Tego też mi było potrzeba. I na to czekałem - powiedział krótko.

Nie pojęła tych słów. Czego on czekał?

- Chciałeś to słyszeć? - zapytała zupełnie już spokojnie, sprawiało jej to ogromny wysiłek, ból narastał w sile, obezwładniał, a mówić przecież chciała, musiała mówić. - Ja zaś chciałam to powiedzieć. Tkwiło to we mnie przez cały czas od naszego spotkania przy grobie matki. Musiałeś znać prawdę, ojciec. Każdy z nas musi przyjąć i znieść całą prawdę o sobie. Musisz wiedzieć, że nie miałaś racji. Skrzywdziłeś mnie. Wolaleś wtedy, że jestem dziwką, że mam iść, gdzie mnie oczy poniosą, kraść, rabować, wszystko co złe, co najgorsze. Myliłeś się. Nie kradłam, nie rabowałam, jeśli kochałam, to nic z tego nigdy nie miałam. Nic. I dzieci tak wychowałam, one też nie będą kradły, ni rabowały. Mila nigdy nie będzie dziwką...

- Mama!

Nabrzmiały wzburzeniem zabrzmiał od drzwi głos Tomka. W zapadłej ciszy stanął pośrodku pokoju, przewiodł wzrokiem po nich obojgu, powtórzył:

- Mama, co mama gada?

- Prawdę mówi, synku. Żadne z was nie będzie łajdakiem. i żadne z was nie uczyni nikomu krzywdy - powiedział Jaruga.

- Nic nie rozumiem... Co się tu działo? Mama, ty jesteś chora?

- Jak zawsze, synku, ale mi przejdzie. Rozmawialiśmy z ojcem. Musieliśmy po latach powiedzieć sobie, wszystko co złe i dobre. Tyle lat...

- Tyle lat - powtórzył stary Jaruga.

Tomek przyjrzał się dziadkowi, potem matce, zdawało się, jak gdyby zrozumiał, nagle zmęczony powlókł się do kredensu, otworzył, patrzył na chleb i omastę, potem gwałtownie zatrzasnął drzwiczki, sztywnym jakimś krokiem dobiegł do łóżka, rzucił się na nie całym ciężarem.

W nocy Mila miała swój pierwszy szkoleniowy dyżur w szpitalu. Jaruzynę zmógł nagły atak bóleści połączony z krwotokiem. Nie pomagały zimne kompresy na piersi, krew chlustała przy każdym kaszlnięciu. Tomek pogonił do szpitala po pomoc. Parę minut i zajechała karetka, lekarzowi towarzyszyła w niej Mila.

Wrócił ze szpitala do domu dopiero nad ranem, gdy atak ustał, matce wyraźnie się poprawiło, choć profesor Gollub kręcąc głową zapowiadał długie leczenie.

Świtało już, pierwsze brzaski przedzielały się przez szyby. Dziadek siedział przy stole, czekając na wieści. Zmarniały, z siwą głową schyloną nisko, ledwie drgnął na wejście chłopaka.

- I jak? - szepnął.

- Lepiej... Będą ją leczyć.

Jeszcze moment się wahał. Matka tak bardzo prosiła, obiecał. Ale to trudne. Przybliżył się do tkwiącej przy stole sylwetki:

- Dziadku... mama będzie zdrowa, a potem, gdy wróci, wszyscy będziemy ze sobą bardzo szczęśliwi... Nie mógł nic więcej wykrztusić, nie mógł. Zaciśnął zęby. Jaruga podniósł się nagle, objął chłopca drżącymi ramionami. :- Tak myślisz, Tomek, tak myślisz? Tomkowi zaś wydało się, że naprawdę tak właśnie myśli.

Przy stacji, jak zawsze w południe, nastrój był ospały, od godziny już nie zjawiał się żaden pojazd. Pod sklepionym dachem wicher hulał szczególnie zawzięcie. W kantorku palił się elektryczny grzejnik, siedzieli przy nim Maliniak i Tomek. Kierownik co jakiś czas zerkał na ustawione przy piecyku wiaderko z flaszkami piwa. Jeszcze się nie nagrzały jak trzeba. Wzdychał więc i smętnie wyglądał przez okienko.

WFM-ka zaterkotała znajomym pogłosem. Maliniak skrzywił się: - Wydaj mu.

Sam odwrócił głowę, nie mógł spokojnie patrzeć na tego chłopaka, w biały dzień przestraszyć się można. Diabli wiedzą, czy warto żyć z taką gębą, może lepiej było rozwalić się od razu na amen?

Tomek przyzwyczał się już do tego nowego Wichruna, pogadywali nawet przy wizytach Zygmunta na stacji. Wychodząc, zamachał ku przybyłemu dłonią. - Cześć!

Przy uśmiechu skrzywiona warga Wichruna jakby się wyprostowała, cała twarz wyglądała mniej groźnie. Takim uśmiechem przywitał Tomka.

- Dzień dobry. Piątkę, jak zawsze...

Asystował przy pompowaniu, coś pogadywał, wydało się Tomkowi, jakby Wichrun chciał czegoś od niego. Aha, o Milę pyta, w tym rzecz...

- Uczy się. Wkuwa, dyżury ma, ani jej w domu widać. Nie spotykałeś się z nią?

Pozałował zaraz swojego pytania. Wiadomo było w miasteczku, że Wichrun trzyma się na uboczu od ludzi, jak kiedyś wszędzie było go pełno, teraz nigdzie się nie pojawiał, gdzie naprawdę nie musiał. Co zaś dopiero spotykać się z dziewczynami. Bałyby się na pewno takiego potwora...

- Nie było kiedy. Chociaż, próbowałem, nic nie wyszło...

Tomek zerknął spod oka. Głos Wichruna, zawsze teraz spokojny, nasiąkał smutkiem. Próbował, nie udało się. Świnia Miła, mogła spotkać się z chłopakiem, nic by jej nie ubyło. Że się biedak potrzaskał, to zaraz już wszyscy mają od niego uciekać?

- Słuchaj, list mam do niej, oddasz?

Podawał niebieską kopertę.

- Oddam, choć nie wiem, czy to wiele pomoże. - Tomek zaśmiał się nagle. - Masz co do Milki, pogadaj z Siwiakiem. Co on powie, to dla niej święte...

- Ten kolejarz?

I zaraz chwycił Tomka gwałtownie za ramię. Twarz mu szcerwieniła, blizny zarysowały się jasnymi plamami.

- Czy to ten sam, który ją uratował?

- Uhu. Płacisz dwie i pół dychy.

Stał dłuższą chwilę, spoglądając za odjeżdżającą WFM-ką. Cholera wie, myślał, dobrze byłoby czy nie, gdyby się znowu spiknęli z Milką. Straszny ten Zygmus, ale zawsze lepszy niż taki pierun Dominiak. Jak go to wykurzyło z miasteczka po tamtej hecy.

- Tomek, masz ochotę na piwo? Już dobre. - Tak jest, panie szefie, wypije się.

Ciągle jednak Wichrun i Milka plątali mu się w myślach.

Potem zdarzyło się zbyt wiele innych spraw, przy tym Wichrun przestał zajeżdżać na stację, pewnie odstawił motor na zimę, Tomkowi już ani był Zygmus w głowie. Tym bardziej że matka tak nagle zachorowała, lunęła krwią, ledwie to w szpitalu zatamowali. I właśnie niedługo później, wracał z Domu Kultury, spotkał ich oboje idących pod ramię. Za-gwizdnął cieniutko, nie spodziewał się tego. Przecie gdy dawno już temu oddał list Zygmuta, Miła niechętnie wydeła wargi, powiedziała, że ani się jej to nawet śni, jakieś tam spotykania.

Czyżby więc Zygmunt usłuchał Tomkowej rady i trafił do starego Siwiaka?

Dziadek, który zaczął teraz wychodzić do miasta, potem zmęczony wcześniej zasypiał, chrapał już, gdy z cichym skrzypem drzwi do pokoju wsunęła się zmarznięta Milka. Tomek odłożył czytanie podręcznika fotografii, zapisał się do tej sekcji w Domu Kultury, obrócił się na łóżku ku siostrze.

- Widziałem was.

Nie odpowiedziała, krzątając się przy piecu. Coś musiały w niej jednak słowa Tomka rozbudzić, bo w pewnej chwili przysiadła na łóżku brata, objęła go serdecznie ramieniem.

- Odchrząń się - burknął.

- Zostaw, Tomek. Chciałabym cię o coś zapytać.

- O Zygmunta?

- Właśnie o niego. Skąd wiesz? Bo to, widzisz... powiedz mi, Tomek, czy on naprawdę tak strasznie, tak bardzo strasznie wygląda?

- Piękny dziś nie jest. Ale można się przyzwyczywać do każdej gęby. Chodźcie ze sobą?

- Trochę... Nie chciałam, raz się wreszcie zgodziłam, potem już umawialiśmy się częściej. Ja pamiętam, jak wtedy, do szpitala, gdy poprowadziłam tam Czmuńkową, przywieźli nieprzytomnego Wichruna. Na chwilę otworzył oczy i szepnął moje imię. Wtedy, właśnie wtedy szepnął. Jak myślisz, Tomek?

- Co jak myślę?

Podniosła się przepłoszona.

- Nic, nic, tak sobie pytam. Nic ważnego.

Przyjrzał się jej uważnie. Przejęta była wyraźnie i podniecona. Zakochała się może w Wichrunie?

- Guzik znam się na waszych sprawach - powiedział szczerze. - Piękności wielkiej u chłopca nie trzeba. Każdy może mieć krakę. Tylko żebyś znów potem nie wariowała.

Jeszcze się jej przyglądał, jak słała sobie łóżko, jak potem rozbierała się za framugą kuchenną. Dopiero gdy doszło go jej krótkie „dobranoc”, obrócił się do ściany. Co go to obchodzi, głupia Milka, że się pyta, każdy sam sobie niech płacze i rozwikłuje własne sprawy. Może być nawet Wichrun, byle się więcej nie chciała topić. Nie zawsze trafi się Siwiak pod ręką...

Leżąc z szeroko rozwartymi oczyma, wpatrzona w szarawe cienie u sufitu, myślała o tym samym. Że może być Wichrun, ale czy to jej w ogóle jest potrzebne? Stefan to była bardzo bolesna nauczka, nigdy nie mogła jej wspominać spokojnie. Może zatem lepiej unikać wszystkiego, co się mogło podobnie skończyć? Przed miesiącem namówiła ją Cyganka na

wrózby. Powiedziała wyraźnie: „Ty, panienczko ogniooka, szczęścia nie miałaś w miłości. Ty chłopców z daleka trzymaj od siebie. Nie tobie miłość pisana”. Rozzłościła się wtedy na śniadą kobietę, wepchnęła jej dwa złote do ręki, uciekła od takiego wróżenia.

Nie chciała się z nim spotykać. Od czasów Stefka dość miała chłopców, nie zajrzała na żadną zabawę, nie poszła z nikim do kina. Wichrun? Boże drogi, cóż z tego wspomnienia ze szpitala, kiedy jej teraz nic do niego nie ciągnie. Jeszcze ten Zygmus taki okropny... Z daleka widziała go parę razy, została wstrząśnięta, długo nie mogła się uspokoić. Więc aż takie były skutki tej kraksy? Przecie ona nie potrafiłaby zamienić z nim jednego słowa, nawet nie patrząc, widziałaby jego potworną twarz. Nic dziwnego, że unika ludzi, przejeżdżając przez miasto na motocyklu nastawia kołnierz kurtki, oczy kryje pod wielkimi okularami, głowę zawsze teraz nosi schyloną. Nie mogłaby rozmawiać, za nic nie mogłaby.

Na pierwszy znak od Wichruna w ogóle nie odpowiedziała. Gdy sporo czasu już upłynęło, a Zygmus się nie odzywał, pewna była, że zrezygnował, cóż, przeboleje, zapomni... Wtedy

‘Tomek przyniósł ten list. Krótki, parę zaledwie zdań. Że marzy o spotkaniu z nią i bardzo, bardzo prosi. Wyznaczał godzinę, miejsce, późny wieczór, u wylotu kasztanowej alei... Tam jest zawsze najciemniej. Trochę ją ukłuło, że właśnie ta aleja, wiele to setek razy przytuleni do siebie przemierzali ją ze Stefanem... Nie pójdzie, tym bardziej nie pójdzie. Zacznie wspominać tamtego, tego zaś będzie się bała, tej strasznej twarzy.

Poszła. Po prostu żal się jej go zrobiło. Wśród dziewcząt w szkole słyszała, że Wichrun żyje bardzo samotny, wszyscy go unikają, boją się, z konieczności zrobił się pustelnikiem, ciężko musi być chłopcu, jeszcze gdy przedtem słygał urodą, dziewczęta za nim oglądały się z westchnieniami. Tak, pożałowała go, uczuła zarazem coś jakby dumę, że jeszcze wtedy, gdy był tak ładny, nie inną, ale ją właśnie wybrał, jej imię szeptał nieprzytomny po tragicznym wypadku...

W alei naprawdę panowały ciemności. Wieczór był chłodny, chmury ciągnęły nisko wraz z wiatrem, szli w szpalerze ociekających wilgocią, martwych drzew kasztanowych, słowa padały wymuszone i rzadkie. Nawet jej nie ujął pod ramię, jakże się zmienił, przedtem nie ceregielił się z dziewczyną, pamiętała, całował goręcej niż Stefek... Stefek, że też go musi ciągle wspominać, nie może zapomnieć, przekreślić.

- Chodźmy stąd - powiedziała nagle, sama ujęła Zygmuta pod ramię; jakby w jego bliskości szukając osłony przed tamtym wspomnieniem.

Nie oponował. Dopiero gdy przemykali bocznymi uliczkami miasteczka, na jego przeciwległy kraniec, gdy z okien padały na nich kwadraty światła, zawahała się. Zerknęła ostrożnie, zobaczyła niekształtny zarys twarzy, niewyraźny, a przecież okropny. Może zresztą

tak się jej tylko zdawało, nie było zbyt jasno, jednakże uczuła, jak mrozi ją jakiś chłód, narasta obawa i niechęć.

Musiał to wyczuć, przystanął, powiedział ze spuszczoną głową:

- W jaśniejsze miejsca lepiej ze mną nie chodzić, Mila... Nie wiesz, jak teraz wyglądam.

Nie odpowiedziała, cóż to da, gdy powie, że z daleka już go parę razy widziała. Żadnemu z nich to nie ulży.

Zmusiła się, by mocniej przytulić jego ramię do siebie. Szli dalej w milczeniu. Trudno było o słowa.

Dopiero gdy ją odprowadzał pod dom, zdobył się na odwagę.

- Pamiętasz tamten wieczór? Szukałem cię na zabawie, nie przyszłaś. Nie chciałem się z nikim bawić, obrzydło mi wszystko. Siadłem na motor, rączka od razu na cały gaz, byle szybciej, więcej pędu, w nim się zapomnieć. A potem ten zakręt, zarzuciło, jeszcze się chciałem podeprzeć nogą, gdzie tam, uczułem, że lecę z maszyną, potem nagły ból i ciemno, i nic już więcej... Dopiero w szpitalu... ciągle mnie to później prześladowało. Mila, ty tam byłaś? Przyszłaś, powiedz, naprawdę tak było, dla mnie przyszłaś?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Może go zostawić złudzeniom?

- Nie chcę ci kłamać - powiedziała z wysiłkiem. - Do szpitala przyprowadziłam starą Czmuńkową. Ugryzła ją żmija. Wtedy, przynieśli cię, tak byłeś porozbijany i skrwawiony, że nie od razu poznałam, dopiero gdy się schyliłam nad tobą...

- A ja wtedy powiedziałem twoje imię... Więc jednak prawda, to ty byłaś. Tylko że ja, głupi, myślałem, iż przybiegłaś tam dla mnie...

Próżno: nasłuchiwał odpowiedzi, tylko wiatr gwizdał tu mocniej.

- Widzisz, Mila - znów podjął. - Ty nie wiesz, czym dla mnie to było, świadomość, że przyszłaś dla mnie. Bo ja wciąż tak myślałem. Ze mną było źle, podobno niewiele brakowało. Myśl o tobie, tam, w szpitalu, dodawała mi sił. Teraz rozumiesz, czemu wszystko się we mnie rwało ku tobie, czemu tak bardzo pragnąłem cię spotkać...

Głos mu się załamał. Jej też było bardzo smutno i trudno. Więc Zygmunt naprawdę ją kochał, nie leciał tylko na ładną buzię i zgrabne nogi, na krążącą famę, że skoro matka, to i córka też będzie łatwa. Więc jednak. Gdybyż wiedziała, może nie nastąpiłoby to wszystko ze Stefkiem... Jak się to plecie dziwacznie, zawsze jest inaczej, niż by się chciało.

Drgnęła, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie z całą wyrazistością, że przecież Wichrun nadal musi ją kochać. Nadal, teraz, gdy tak spotworniał, gdy twarz jego budzi obrzydzenie i lęk. Przecież nie odpowie mu równym uczuciem, nie potrafiłaby przemóc się aż do tego stopnia. Przy tym wytyliło się w niej po Stefku wszystko, nie dla niej miłość.

Myśląc tak, czuła zarazem, że okłamuje samą siebie, w ten sposób szukając usprawiedliwienia. Nieprawda, że się wszystko wytyliło. Może bardziej niż kiedyś, po goryczy tamtego doznania pragnęłaby teraz prawdziwej miłości. Tylko że Zygmuta nie potrafiłaby kochać. Takiego Zygmuta.

- Muszę już iść - szepnęła.

Westchnął. Obawa drżała w jego słowach, gdy pytał, czy zechce się z nim jeszcze umówić. Zgodziła się.

Stale się potem zgadzała, ciągle z oporami, jakby jednak malejącymi. Zygmuś był czuły, serdeczny, niczego nie żądał, o tej pierwszej rozmowie nigdy już nie wspominał. Wyglądało chwilami, jakby nie mając nadziei, nie chciał rozbijać sobie odrobiny ostatnich złudzeń. Spotykali się zawsze późnym wieczorem, spacerowali w cieniu, twarzy jego niemal że nie widziała. I jak z jednej strony przyzwyczaiła się do tych spotkań, tak z drugiej coraz paniczniej bała się zobaczyć Wichruna w jasnym świetle. Tak było dobrze, po cóż to zmieniać?

Znów odzywały się wspomnienia. Ze Stefkiem też nie chciała nic zmieniać, niczego wyjaśniać, czuła, że ich zbliżenie dobrze się nie skończy, nie miała jednak odwagi powiedzieć prawdy, buntowała się, wolała grzęznąć coraz' to bardziej w niewyraźnej sytuacji. Aż wreszcie trzasło, omal nie skończyło się zupełną tragedią. Czyżby teraz znów zamierzała prowadzić grę w ciuciubabkę, aż do chwili, gdy jakiś przypadek stanie na drodze, gdy załamię się to wszystko, co narasta między nią a Zygmuntem?

Tego wieczora, gdy Tomek natknął się na nich, odważyła się na wielką próbę w stosunku do samej siebie. Poszła z Zygmutem na most, ten sam, znad którego w ostatniej chwili ściągnął ją Siwiak. Wiedziała, że musi zerwać ze wspomnieniami o Stefku, to zaś mogło się dokonać jedynie przez konfrontację wszystkich miejsc i przeżyć związanych z jego osobą.

Nie zajrzała tutaj od tamtej nocy. Na szosie było jaśniej, Zygmuś krył twarz, ona też usiłowała nie spoglądać na niego. Nie wiedział, gdzie go i po co prowadzi. Dopiero gdy stanęli nad balustradą, a spojrzenia ich ogarnęły wartki głęboki w tym miejscu nurt rzeki, zrozumiał. Uczuła, jak drży cała, czekała, czy odezwie się chociaż słowem. Dyskretnie milczał.

Patrzyła na wodę, wytryskiwały nad nią jakieś pluski, opadały kroplami migocącymi jak srebro. Ładna była ta woda, choć taka ciemna. Dzisiaj już nie kusila, nie ciągnęła ku sobie z przemożną siłą. Uczuła, jak wyzwala się z ciężaru wspomnień. Odetchnęła głęboko. Spojrzała na Zygmuta, pierwszy raz bez trwogi. W bladoniebieskawym świetle nocy, odbitym jeszcze od wody, mogła widzieć wklęsły policzek, rozplaszczony nos, krzywiznę wargi, bielejące

bruzdy blizn. Zacisnęła dłoń na poręczy mostu. To było straszne. Straszne. Za nic jednak nie chciała, by Wichrun odczuł obecny jej stan. Więc tak on wygląda, teraz, z półmroku. Już ciężko to znieść cóż dopiero przy słońcu, w biały dzień. Ale jeżeli nie umiałaby bez wstrętu spoglądać w jego twarz, to nie powinna go łudzić, musi odejść, niech już się spełnia jej los, w którym pisane są widocznie same odejścia.

Przemogła się. Jeszcze nie, jeszcze go nie odtrąci. Musi przedtem wybadać samą siebie. A przedtem należy zakończyć tamto. Stefkowe.

- Wiesz, czemu cię przyprowadziłam na most?

- To było tutaj, prawda?

Głos jego był ledwie, ledwie słyszalny, straszliwie smutny. Z trudem pojęła, gdy dodał:

- Nie możesz zapomnieć, myślisz o nim...

Zachnęła się. Źle ją zrozumiał.

- Nie to. Przyszłam właśnie, żeby do reszty zapomnieć. Dotąd nie miałam odwagi tutaj przychodzić.

Znów spojrzała na niego, dojrzała mocne lśnienie jej oczu, tak jak kiedyś dawno, dawno, gdy ją całował. Miła zaś nie czuła w tej chwili wstrętu ni obrzydzenia. Odważyła się na jeszcze więcej. Przysunęła twarz do policzka chłopca, musnęła go leciutko wargami.

- Miła - szepnął.

Nie rozumiała samej siebie. Z nagłą zapragnęła być w domu, przemyśleć, zastanowić się, może we śnie spróbować ucieczki od Zygmunia, od tych nowych, tak trudnych doznań.

Wtedy właśnie rozmawiała z Tomkiem pod takt cichego pochrapywania dziadka. Brat niewiele dopomógł, tyle może, że wyraźnie zostawił decyzję jej samej. Cóż, kiedy nie wiedziała, co i jak ma zadecydować.

Krył twarz schyloną nad warsztatem, w głowie mu huczało, zbierało na wymioty, a już najbardziej dręczyło poczucie krzywdy i wstydu. Nie śmiał oczu podnieść na Okińczycę, Kanadyjczyk zresztą też milczał, chmurny dzisiaj, może właśnie dlatego? Rano rzucił tylko jedno pytanie, spojrzeniem ogarniając posiniaczoną i okrwawioną twarz Tomka:

- Wczoraj tak oberwałeś?

Skinał potwierdzająco głową. Cóż więcej miał do dodania? Nawet kierownik Lipiński, choć zakazał dalej go tłuc, całe szczęście, że nadszedł, nie miał dla niego jednego dobrego słowa. Kazał wynosić się tylko czym prędzej. I patrzył tak dziwnie, a potem długo jeszcze konferował ze Szwabą i resztą, co już Tomka wiele nie obchodziło. Miał dosyć wszystkiego.

Okińczyc więcej nie odezwał się jednym słowem. Zawsze zagadywał, chętnie wyjaśniał,

tłumaczył, a w Tomku rosło wtedy poczucie szczęścia, że trafił na terminatora do tego nowoczesnego warsztatu. Nawet z Sulechowa i z Zielonej Góry przywożono tutaj zlecenia, mało było podobnie precyzyjnych maszyn, niewielu równie zdolnych fachowców jak Kanadyjczyk. Tyle można by się przy nim nauczyć... A teraz? Nic nie mówi, osowiały jest, pewnie wyleje na zbitą gębę i tyle.

Żal i ból rosły, wciąż olbrzymiały tak jak i przez całą minioną noc, w czasie której nie zasnął na jedną chwilę. Skulony siedział w rogu łóżka i okrywając się przed chłodem wyliniałą kołdrą, rozpamiętywał od nowa dopiero co zaszłe wydarzenia.

Palcem by nie tknął przy tej zabawie, gdyby się mógł spodziewać podobnych wyników. Tymczasem dwoił się i troił, jakże, ich wspólny interes. Lipiński powiedział, że muszą zdobyć własne pieniądze. Jakiś większy zastrzyk dla Domu władze wstawią do budżetu dopiero na następny rok, bardzo gardłuje za nimi sekretarz partii, w prezydium słuchają go potakując jak za panią matką, ale to ciągle przyszłość. Podobnie jak nadzieje na pomoc od Towarzystwa Przyjaciół. Tymczasem gotówka już jest potrzebna, trzeba wyposażyć pracujące sekcje, choćby fotograficzną. Brak drugiego aparatu, nie mają powiększalnika, cały ratunek w zabawie.

Za późno wpadli na ten pomysł. Najlepsze terminy już wcześniej zagarnęły straż ogniowa i Liga Kobiet, ryzykują więc, jak mówił długowłosy plastik, sukces może zapewnić jedynie odpowiednia reklama. Szumu więc narobili jak rzadko, co krok z murów i płotów wabiły malowane przez nich kolorowe plakaty, na wystawach sklepowych śmieszyły dziwaczne kukły, przed paru dniami capstrzykiem z pochodniami przeszli ulicami miasteczka, pokrzykując o tej zabawie.

On też szalał, gdyby mógł, za poły by ciągnął wszystkich. Chodziło wszakże w znacznym stopniu o jego pracownię. Za poradą Szwabę mianował go plastik odpowiedzialnym kierownikiem sekcji fotograficznej. Nosił się Tomek dumnie jak paw. Uczył się zarazem sztuki fotografowania, wywoływania klisz i przyrządzania odbitek, jakby od tego zależało jego zbawienie.

Diabli teraz wzięli to wszystko. Nie ma dla niego wstępu do Domu Kultury, będzie łąził po miasteczku jak zapowietrzony, z piętnem złodzieja. Okińczyc wyleje z pracy, ani się wtedy gdzie podziać, ani czym *zająć*. Taki los, bękarci los. Znowuż mu wypomnieli to przy wczorajszym biciu. Więcej bolało jak ciosy, spadające na twarz i głowę, na całe ciało.

Musiał podnieść głowę znad skrzyni, w której sortował drobne śruby, rozrzucając je do osobnych przegródek. Ciemno mu się robiło przed oczami, wirowało w nich czerwonymi i czarnymi płatami, ból rozwalał czaszkę. Spojrzenie musnęło sylwetkę Okińczycza.

Kanajdyczyk z pilnikiem w ręce obserwował go uważnie, podszedł teraz o parę kroków. Tomek opuścił głowę. Okińczyc był wczoraj na zabawie razem z Szymborską, wie na pewno o wszystkim, dlatego nie pytał, za co tak solidnie oberwał. Co za wstyd.

- Źle się czujesz? Odpocznij, możesz iść nawet do domu...

- Nie, nie - zadrgało, zadygotało, skowyttem zerwało się w Tomku.

- Jak chcesz - wzruszenie ramion i zaraz potem obojętne, miarowe szorowanie pilnikiem.

Głowa Tomka znów schylona nad kasztą z pomieszanyymi wymiarami śrubek, źle pakowano je do transportu, co to się naklął Okińczyc, a teraz z kolei klnie Tomek. Tyle, że nie na śrubki, ale na swój kaprawy los. Jeszcze niedawno wierzył Siwiakowi, gdy zadowolony u nich kolejarz tłumaczył, że nadchodzą w ludzkim życiu takie okresy, w których z dnia na dzień wszystko się obraca na lepsze. Właśnie obróciło się, nikomu by Tomek takiej odmiany nie życzył.

Choć naprawdę wraz z pierwszymi przymrozkami pojawiły się u nich lepsze nadzieje. Matkę prosto ze szpitala wysłano do sanatorium, w śląskie strony, widokówkę przysłała, wspaniała dom w Wodzisławiu, gdzie ze skutkiem leczą podobno gruźlicę. Bo to była gruźlica, żarła Jaruzynę od dawna, z niej brały się te bóle i zasłabnięcia. Od Margiški też nadeszły dobre wieści, sama nagryzmoliła już kilka słów, może naprawdę przywróca jej rozum w tej szkole? I na Miłę nie można było narzekać, pogodniejsza się stała, Wichrun chyba tak na nią wpływał pomimo swej strasznej twarzy. Nawet dziadek odzyskał siły i humor, odkąd skumali się z Siwiakiem i razem zaczęli się wypuszczać na ryby. Jego zaś, Tomka, zabrał Okińczyc do swego warsztatu.

Z trudem opanował dziwne szczypanie pod powiekami. Braknie tylko, by się popłakał jak szczenię. Guzik, łez u niego na pewno nikt nie zobaczy. Choćby na złość im wszystkim nie zapłacze ni razu, śmiał się będzie w paskudne gęby. Złodziejem go nazwał, jak prawdziwemu złoczyńcy gębę skuć, potem wyrzucić z Domu Kultury. Wyrażnie powiedział kierownik Lipiński, by tam nie pokazywał się więcej aż do wyjaśnienia sprawy. Bez łaski. Sam by nie poszedł. W ogóle diabli go nieśli do tego Domu, Szwaby wina, on namawiał, tak jak on pierwszy prać *zaczai* wczoraj po pysku, od bękartów wyzywał. Kurza twarz. To jeżeli ktoś naprawdę jest już bękartem, traci zarazem prawa do miana porządnego człowieka, musi być złodziejem, ostatnim bandziorem?

Już w tę prześlęczaną samotnie minioną noc gotów był walić się pięściami po głowie za głupi pomysł, by asystować wieczorem przy zabawie. Przecież i tak dozwolona dla starszych, od osiemnastu lat, nikomu tam nie był potrzebny. Pomagać zapragnął, pilnować porządku, paliła go też ciekawość, jak dużo zarobili na sprawy Domu. Starczy na aparat dla ich sekcji

czy nie wystarczy? W planie więcej było zakupów, ale Tomka niewiele one obchodziły. Oszalał na punkcie fotografii. Teraz zbiera owoce swej pasji. Mniejsza, że oberwał jak nigdy w życiu, jeszcze go nazwano złodziejem, pomówiono, że to właśnie on ukradł. Cóż z tego, że się zapierał, przysięgał na wszystkie świętości? Wszystko zdawało się świadczyć przeciwko niemu...

- Śniadanie, Tomek... W szafce leży cytryna, wyciśnij do szklanki całą połówkę, dobrze ci zrobi - wdarł się w niewesołe dumania spokojny jak zawsze głos Okińczycza.

Wydało mu się, że śni. Czekał każdej chwili wydalenia z pracy, tymczasem aż taka troska. Podniósł ku Kanadyjczykowi wdzięczne spojrzenie. Więc jednak wierzy mu, ufa, nie daje wiary tamtym pogłoskom...

Wczorajszy wieczór ciągle mu stawał w pamięci z okrutną wyrazistością. *Zabawa* rozwijała się w najlepsze, tłoczno, wesoło, przecież zabrakło biletów, frekwencja, jak mówił brodaty plastik, przeszła oczekiwania. Kasa pęczniała. Blisko osiem tysięcy z samych kart wejścia. A jeszcze liczono na bufet... Pieniądze były dawno posegregowane i schowane w szafie pokoiku, mieszczącego zaimprovizowaną pracownię fotograficzną. Drzwi zamknięte na klucz.

Późno już się robiło. Stał w drzwiach największej sali, wygapiając się na tańczących, myślał o Mili, że nie pojawiła się na zabawie, pewnie nie chciała z uwagi na Zygmunta Wichruna, gdy wcale nie delikatnie szturchnął go ktoś pod żebro. Obrócił się rozszłoszczony, napotkał złe spojrzenie Szwabachowskiego, usłyszał syk:

- Chodź.

Wzruszył ramionami, też swoisty sposób przywoływania, poszedł jednak. Na pewno jakieś sprawy organizacyjne. Stefek stał się w Domu najważniejszą po kierowniku Lipińskim osobą.

- Stefek - zagadnął, idąc za Szwabą.

Tamten przyspieszył kroku. Korytarzyk, boczne schody na piętro, przytłumione już dochodzą tutaj dźwięki orkiestry. Drzwi do pracowni fotograficznej szeroko otwarte, w Tomku błysk niepokoju, tłoczy się tam niemal w komplecie rada młodzieżowa Domu Kultury, twarze złe, wykrzywione. Otaczają go z nagłą, ciasno, ani się ruszyć, jeszcze nie rozumie, nie wie, czego od niego chcą. Wtłaczają się do pracowni, Szwaba z traskiem zamyka drzwi, rąbie prosto okrutnym pytaniem:

- Gdzie masz aparat i forszę?

Te twarze, niby wszystkie znajome, teraz jak gdyby obce, rozmazane, trudno je wyróżnić spośród siebie, jest między nimi i gęba małego Wacka, skąd on się tutaj wziął, choć to nieważne, czego właściwie oni od niego chcą, jaka forsa, jaki aparat? I nagle uświadamia

sobie niezwykle jasno. Na pewno chodzi o pieniądze z wpływów kasowych za wstępy i o aparat fotograficzny, jedyny, jaki mają w swej sekcji.

- Co? Nie ma gotówki? Aparat też zginął?: Czyjś rehot.

- Choroba, jak on dobrze wie, co zginęło...

- Gadaj zaraz, gdzie to schowałeś? - nacierał Szwaba.

- Nic nie wiem, czyście zgłupieli, gadajcie prawdę, co jest? - jeszcze nie brał tych posądzeń do siebie, uważał wszystko za głupi żart. Czuł kwaśnawy odór piwa czy wina, wypili pewnie nad miarę, teraz strugają z niego wariata.

- Jaruga, gadaj, bo stracę cierpliwość! Już my z ciebie wydobędziemy prawdę.

- Co? Może przed pół godziną nie byłeś tutaj? Widziałem, jakieś zamykał drzwi, rękę trzymałeś na klamce - krępy Sebyła podskakuje z wyciągniętymi pięściami.

- Ty przecież masz klucz od pracowni. Masz?

- Mam - wyciągnął z kieszeni. Ktoś wyszarpnął mu go rozwścieczonym ruchem.

Dopiero Tomek zaczynał pojmować. Przeciągał wzrokiem po twarzach. Nie rozmazywały się więcej, były wyraźne, okrutnie wyraźne. Złe, ponure, i Szwaby, i małego Wacka, i Sebyły, i Witka Kostrowickiego, wszystkich.

Cofnął się nagle o krok do tyłu, osłaniając się od ich spojrzeń wyciągniętymi przed siebie rękami.

- Chłopcy, co wy? Że niby ja wziąłem? Zgłupieliscie?

- Nie ty? To czegoś tu łąził?

- Żeby, żeby sprawdzić... - język mu się płacze, jęka się strwożony tym posądzeniem bez, reszty.

Pięść Szwaby łąduje na jego twarzy. Cios jest mocny, odrzuca Tomka do tyłu, tam go podtrzymują czyjeś ramiona, popychają znowuż na wyciągniętą pięść.

- Nie tutaj, nie tutaj! - syczy ktoś ostrzegawczo.

- Oddaj po dobremu. Gdzie masz pieniądze i aparat ty bękarcie, ty skurwysynu obrzydły!

Tomek podrzuca głowę do góry. Słowo bękart wyzwala w nim siłę. Patrzy Szwabie w oczy.

- Nic nie wiem. A ty, ty jesteś ostatnia świnia!

Trzask, nowy cios. A potem już go nie biją, ale kołującym pierścieniem sprowadzają bocznymi schodkami na dół, do piwnic, gdzie cisza i spokój, gdzie nie dociera nawet pogłos dudniącej na górze orkiestry. Tomek zna te piwnice, wynosili stąd całe sterty śmiecia, potem pomagali rozładowywać koks. Tutaj mogą z nim zrobić, co zechcą, diabeł nie usłyszy, zwłaszcza od północnej strony wychodzącej na zarośnięty ogród. Szarpie się, próbuje się im

wyrwać, chce krzyczeć, już usta otwiera, gdy spada na nie silna, przepocona łapa Szwaby. Potem pchnięcie, znowuż zatraskują się jakieś drzwi, cementowa posadzka. To piwnice. Szwaba odejmuje od ust Tomka cuchnącą rękę.

- Teraz możesz się drzeć, ile zapragniesz.

Rechot dokoła, zły, nabrzmiewający pasją. Tomek kuli się.

- Ty złodzieju! Gadaj, gdzie pieniądze? Gdzie aparat?

- Na Boga, nie wiem, nie widziałem, od was się dowiaduję, że zginęły. Czego wy chcecie?

- Od nas? Sam powiedziałeś na górze, że zginął aparat i forsa... Może się wyprzesz, że chodziłeś do pracowni? A może nie wyskakiwałeś dopiero co na dwór, biegłeś gdzieś w mrok, wróciłeś po paru minutach? Mów od razu, mniej oberwiesz.

Myśl Tomka pracuje intensywnie. Cholera, jak się to składa. W pewnej chwili tknęło go, czy drzwi pracowni są dobrze zamknięte, pomknął na górę, nacisnął klamkę, uspokoił się, wszystko jest dobrze, zaraz wrócił... A na dwór? Też prawda, wychodził. Wydało mu się, że widzi Milbę z jakimś chłopakiem, ciekaw był, pilnował ostatnio siostry y wyjrzał za nimi. To była' inna dziewczucha, więc odszedł jeszcze na stronę, by się wysikać. O tym oni mówią, o tym. Prawda, wtedy zetknął się z małym Wackiem, był nawet zdziwiony, czego tutaj się pęta, w Domu za często nie bywał. Więc to Wacek nagadał...

- Gadasz? Gdzie schowałeś? Jeżeli znajdziemy, dostaniesz parę razy po gębie i pójdziesz...

- Ja naprawdę nie wziąłem, naprawdę!

- W młynek tego bękarta, nie żałować, aż powie wszystko.

Wiele okrucieństwa jest w głosie Szwaby. O rany, jak boli, ależ wałą.

Jęknął, krzyknął, potem w odruchu rozpacz przystąpił do kontrataku. Zaczął siec pięściami na prawo i lewo, paru cofnęło się nawet, tyle było furii w ciosach Tomkowych. I zaraz całą siłą runął na ziemię. Ktoś podstawił mu nogę. Zaraz go zresztą podnieśli, dopiero puścili w młynek, bezwolnego teraz, wypranego z sił, postępującego w bólu, że nieprawda, że to nie on, nie on, nie on...

Przerwa. Ciężkie zasapane oddechy. Nie Szwaba teraz pyta, ale Sebyła:

- Powiesz wreszcie?

Łyka ślinę zmieszaną z krwią, przez zapuchnięte oczy niewiele widzi w mrocznym świetle piwnicznej lampy. Trzęsie przecząco głową.

- Nie? A może jednak powiesz?

Czyżby to głos małego Wacka?

- Nie - szepce.

Znów młócka, bez miłosierdzia. Tomek ślania się, właściwie nie czuje już ostrości bólu,

tylko ogólną tępotę i oszołomienie.

- Stójcie, psiakrew, stójcie! Co robicie, bydlaki?

Pięści zawisają w powietrzu. Tomek ostatkiem sił wspiera się o ścianę. Czyżby to Lipiński, kierownik?

Docierają do Tomka pojedyncze słowa, na pół je tylko rozumie, wie, że plastik się gniewa, pokrzykuje na tamtych, każe go prowadzić pod kran, już leje się woda, zimna, och, jaka zimna, co za ulga, ale jak piecze teraz wszystko i boli, a ta woda spływa zupełnie czerwona, tyle krwi mu wytoczyli, łajdaki, za co, dlaczego, jakim prawem go posadzają? Lipiński podtrzymuje go, podprowadza pod światło. Tomkowi jest lepiej, rozumie już wszystko, co się szepce i mówi wokoło, pojmuje, o co zapytuje brodaty kierownik:

- Nie złamali ci czego? - i zaraz obmacują chłopca chude, nerwowe dłonie, błędą po twarzy, naciskają nos, szczękę, kości policzków. - No, całe szczęście. To ci się szybko zgoi.

- Panie kierowniku, to nieprawda, ja nie wziąłem, nie wziąłem...

Chociaż boli ten ruch, a źrenice wyczulone są teraz na światło, podnosi głowę do góry, patrzy w twarz Lipińskiego, widzi tylko brodę i oczy, surowe, nieprzyjazne dziś oczy.

- Nie wiem. Dowodów nie mamy, ale podejrzania ciężą, chłopcze, na tobie... Nie oskarżam, ale sam rozumiesz, sprawę musimy wyjaśnić. Źle, że cię bili, głupio, musisz jednak zrozumieć, to jest kradzież z naszego Domu.

- Z mojego też...

- Tak, tak, na pewno... ale nim wszystko wyjaśni się ostatecznie, lepiej u nas się nie pokazuj...

Rozpływa się broda, zamazują oczy kierownika Lipińskiego, Tomek nic już nie widzi, znów nie pojmuje słów, choć wiele ich pada wokoło. Więc kierownik też mu nie wierzy, więc i on także posadza...

- Odprowadźcie go, tak, żeby nikt nie widział. I żeby mi palcem go żaden więcej już nie tknął, bo wyleci z naszego Domu... Nikomu ani słowa, niech się ludzie bawią, choć część straty pokryje nam dochód z bufetu, a to i tego by zabrakło. Milicja zawiadomiona...

To były ostatnie słowa, jakie słyszał w Domu Kultury. Nie chciał, by go odprowadzano, sam poszedł, długo się błakał, nim trafił do domu, nie zasnął ani na chwilę, rozpamiętywał...

Popijając teraz herbatę z cytryną, siedział skulony na krześle w warsztacie Okińczyca. Głowa bolała, szumiało w niej, a jeszcze kotłowanina myśli, wstyd i gorycz, żal, te dwa słowa okropne, bękart i złodziej, nie wiadomo, co będzie jutro, dziś jeszcze...

- Tomek!

Wolno podnosi głowę. Czuje, jak twarda, żyłasta dłoń Okińczyca ujmuje go pod brodę.

Kanadyjczyk patrzy długą chwilę na pokierszowaną gębę, wreszcie siada obok chłopca.

- Posądzili cię wczoraj o kradzież. Stłukli. I co?

- Ja tych pieniędzy ani aparatu nie wziąłem. Nigdy bym tego nie zrobił. To przecież był także i mój dom, moja pracownia...- rozżalił się nagle.-Wie pan, wszystko dlatego, że jestem bękart, że i Mila i Margiška, wszystko jesteśmy bękart. Dlatego można na nas wylewać każde pomyje, traktować za psią podszewkę. Dlatego...

Umilkł po tym gwałtownym wybuchu. Po co się właściwie tłumaczy. I tak Okińczyc wyleje go, jak wylał kierownik Li-piński. Psu na budę zdalna jakakolwiek obrona. Zdumiał się, gdy usłyszał powiedziane dobitnie to jedno słowo:

- Głupiś.

I dopiero po długiej, długiej przerwie, w czasie której, czuł to Tomek, Kanadyjczyk przyglądał mu się badawczo, miał takie oczy, które wiele umiały wypatrzeć, ramię mężczyzny ogarnęło nagle wątłe ciało, chłopaka, usta wyrzekły powoli i z przekonaniem:

- Ja ci wierzę i pomogę wypłatać się z kabały... Będziesz dziś u mnie nocował. I jutro, tak długo, aż się wszystko wyjaśni. A ludzi się nie bój, idź między nich z podniesioną głową.

Tomek chciał przypaść ustami do jego dłoni, uciekły, Okińczyc się zmieszał:

- Powiedziałem, naprawdę głupiś.

A Tomek, choć dopiero zaklinał się przed sobą, nie potrafił powstrzymać łez. Dwie wielkie, pękate, powoli staczały się po policzkach.

Okińczyc obrócił się tyłem, udając, że niczego nie widzi.

18.

Przymrozki spadały częściej na ziemię, szronem znaczyły się świty na bezlistnych, szerniałych gałęziach, wiatr hulał szosami jak zwariowany, przeskakiwał niskie domki o liszajowatych placach opadającego tynku, poświstując ze szczególną uciechą przy stacyjnym podjeździe. Maliniak szczelnie przymykał wtedy opatrzone już na zimę wojłokiem drzwi kantorka, pocierał dłonie nad elektrycznym piecykiem, wchłaniał zapach grzanego piwa i spoglądając na świat przez czysto wypucowane szyby, dopiero czuł się zadowolony.

Trąbiąc nieustannie, pognęła szosą szpitalna karetka. Pewnie wypadek, a może poród, może atak sercowy. Przyjedzie kierowca po benzynę nie dziś, to jutro, opowie ze szczegółami. Znow ta granatowa, sfatygowana warszawa to wóz partyjny, sekretarz wraca najpewniej z Zielonej Góry. Czy aby ten młodzik Salcewicz poradził z ogrzewaniem, sekretarz piekielnie boi się zimna, zostało mu po obozie, chcieli go tam dranie na żywo zamrozić. Osobliwy człowiek, zawsze na biegu, pocięcha dla miasteczka, już to on wszędzie

potrafi coś wykołatać...

Opustoszało na drogach, widać tylko jeden motocykl, SHL-kę, że się komuś nie osłoniętemu chce ganiać na takim wydmuchu. Młody na pewno, krew grzeje. Teraz dla odmiany żuk jedzie, nowiutki, błyszczący niebieski lakier. Z fabryki cukierków, pewno jakieś surowce, pracują już, choć część zaledwie hali zdołali wykończyć. Kilkadziesiąt kobiet ma pracę, zawsze zaś najgorzej było z babami. Zaraz, *zaraz*, czego to chciał emeryt Siwiak? Aha, żeby mu dać żółtej farbki, mają przy tych cukierkach takie nieszkodliwe barwniki. Podobno doskonale na ciasto dla ryb, leszcze zwłaszcza przyciąga. Trzeba przypomnieć szoferakowi, Siwiaka warto wspomóc, porządne chłopisko, tylko z rybami wariat, widział kto, o tej porze siedzieć nad rzeką?

Przed okienkiem przesunął się wysoki jak drągowina, chudy przeraźliwie Ostapczuk. Przechodząc, szmatką musnął po wyblyszczonej szybie. Maliniak uśmiechnął się z zadowoleniem. Stara się, nie taki gamoń jak Tomek. No i etat nareszcie jest. Trafiło się Ostapczukowi jakby na zawołanie, gdy tak z dnia na dzień rzucił szoferkę.

Sięgnął po flaszkę piwa, dłonią macał, czy szkło wystarczająco już ciepłe. Wtedy zakręcił butelką, dopiero jednym ruchem palca odrzucił kapsle. Bulgotało, gdy wlewał gorzkawy, parujący płyn do gardła. Przypominał sobie, jak było z Ostapczukiem. Kraksa, pewnie, *zdarza* się, jeszcze jak się gania maszyną dzień po dniu, od rana do nocy. Ostapczuk przecie nie zląził ze swego stara. Dopiero jak się nadziali na siebie koło Cigacic z tym ZIS-em. Tamten był winien, rwał z góry na most pełnym gazem, aż go zarzuciło na kocich łbach, gdy się wreszcie namyślił hamować. I prosto w nos na Ostapczukowego stara. To dopiero musiał być huk, Jezus Maria! Miał zresztą łapserdak pieruńskie szczęście, każdego dnia wyjść ma już ze szpitala, miesiąc ledwie przeleżał. Ostapczukowi też wiele nie zaszkodziło, ramię rozharatane, jeszcze słabo nim włada, potłuczeń od cholery i trochę, facjata we krwi. Więcej strachu właściwie niż szkody. Ale o ten strach właśnie poszło, jeszcze gdy dziewczuchę zobaczył. Z tamtym jechała w szoferce. Na miejscu ją rąbnęło, ponuro było oglądać, gadali szoferzy. Ostapczuk zaś patrzył, długo podobno patrzył. Pewnie z tego patrzenia tak go wzięło, bo gdy wykurował się i po tygodniu, opuścił szpital, co spróbował zasiąść za kierownicą, bladł, dostawał dygotów, nie mógł zdobyć się na włączenie biegu. A jeszcze wymioty. Rzygał jak po większym pijaństwie. W końcu musiał zerwać z szoferką. Chodził jak głupi, całe życie nic innego nie robił, ani chciał, ani umiał. Bał się motorów i ciągnęło go do nich. I właśnie nawinał się na stacji etat. Od razu się ugadali. Stara się chłop, szkoda gadać. Tyle, że mruk, rzadko kiedy gębę otworzy, już to z Tomka był większy gaduła. Nie bardzo mu się szczęści na nowym miejscu, ta głupia afera w Domu Kultury, że też na chłopca

właśnie musiało trafić...

Z trzaskiem podjechała wywrotka. Ostapczuk był już przy niej, chwiały na wietrze drągowatą postacią. Maliniak spojrzał ciekawie. Wóz z Kargowy, szofer mało znajomy, obrośnięty, jakby się do małpy udawał w zaloty. Spławić go, niech sobie jedzie.

Wypił resztę piwa z napoczętej flaszki, przeciągnął rozwartą dłońią po ustach. Przyjemnie. Odprowadził wzrokiem odjeżdżającą wywrotkę. Spieszy chłop, rwie jak szalony. I tak by nie miał czasu na pogawędkę... Teraz taka pusta godzina, dopiero pod szarówkę *zacznie* wiara się *zjeżdżać*, będą nowiny.

Maliniak ogromnie chwalił sobie swoją posadę. Nigdzie człowiek nie nasłucha się tylu nowin co tutaj, od braci szoferskiej. Ci wszystko wiedzą, każdego znają. Już nawet kioskarz „Ruchu” w miasteczku tyle nie usłyszy co on, Maliniak. Dobre miejsce. Wszystko widać stąd jak na dłoni, słychać zaś jeszcze więcej. Kto, co i z kim, gdzie i kiedy. Coraz więcej tych nowin, czasem trudno wszystko ogarnąć. Rozrasta się miasteczko, tak na co dzień w kantorku niby się nie dostrzega, ale gdy pomyśleć, przypomnieć, zupełnie niebo i ziemia, jeszcze choćby przed dwoma laty, a dzisiaj. Zerwali się ludziska, jakby im kto piórka w zadki powsadzał. Budują, stroją, planują, kochają się i nienawidzą, żenią i umierają, tłuką po pyskach i całują z dubeltówki, kupują, sklepy zawałone towarem, a wciąż tego mało, dzieci rodzą i nagrobki zamawiają dla swoich na cmentarz. Jeszcze takiego szumu nie było.

Zapukał w szybę, Ostapczuk obejrzał się od pompy, którą pucował. Czystość lubił aż do przesady.

- Piwa, stary, wypijesz?

Z nikłym uśmiechem przecząco potrząsnął podłużną głową. Maliniak z czystym sumieniem sięgnął zatem po nową flaszkę. Głupi, kto na smaku piwa się nie zna.

Więc jakże to było? Aha, że ruch jak po wypłacie w „Piastowskim”. Rodzą dzieci, zamawiają nagrobki. Widzi przecie, jesień, patrzeć jak śniegiem zalegnie, a ciągle z zamówieniem przychodzi ktoś do Łyczywka. Temu to nigdy nie zabraknie roboty...

Nasłuchiwał. Przez ścianki kantorka nie przenikał znajomy pogłos nieustannego kucia. Maliniak zrozumiał, czego mu brakło od jakiejś chwili. Właśnie dudnienia kamieniarskiego młota. Zrosło się ono ze stacją, stało czymś jakby nieodłącznym od warkotu podjeżdżających maszyn. Co właściwie jest z tym Łyczywkiem? Rano kuł, na pewno, od razu by wyczuł, gdyby było inaczej, tak jak teraz... Ostatnio coraz częściej są przerwy. Roboty kopidołowemu szwagrowi nie braknie. Chory może, czy też Wera tak mu drzazgą wlaźła za palec? Bo że się zmienił Łyczywek ostatnio, to zmienił, trudno go poznać, cholera wie, na lepsze czy gorsze. Co zresztą w takim mroku jest lepsze, co gorsze? Może tak podejść, zobaczyć? Tylko że

wichrzysko straszliwe...

Sięgnął po nie dopitą flaszkę, zakręcił po swojemu, zbulgotał, wlewając płyn w gardło. Już miał się podnieść, nowa myśl mu przyszła do głowy.

Łyczywek się zmienił... Czy on jeden? Wszyscy się zmieniają. Tyle lat siedzi w miasteczku, zna jego tajemnice na wylot, na stacji benzynowej można by to o czym nie wiedzieć, a przecież coraz trudniej ludzi rozpoznać. Nie w tym rzecz, że po większej części opierzyli się, zasiedzieli, inaczej mieszkają, jedzą, żyją. Ale i w sobie, we środku, każdy się jakby odmienił. Spokojniejsi ludziska, mniej wspominają, kiedyś, byle co, zaraz szły - gadki, jak to było za okupacji, jak w pierwszych latach po wojnie. Ta wojna zwłaszcza prawie każdemu leżała gdzieś na wątrobie. Nie mogli się od niej odżegnać. Przecież w miasteczku co drugi koczował, jak to się mówi, na walizkach, nie wiedział, na długo tu osiadł czy na krótko, ganiało coś ludzi, niby lepszego miejsca, okolicy, pracy szukali, a po prawdzie to ich pędzały nabyty w wojnę niepokój, straszna niepewność. Tasowało się wszystko jak w kartach, tych najpierwszych pionierów na palcach dziś policzy. Dopiero się potem wszyscy zasiedzieli. Jeszcze niepewni, z oglądaniem na siebie, jeszcze gdy płot koło domu się walił, nikt go nie stawiał, jak w sadzie były drzewka, to dobrze, jak nie, nikt si[^] nie kwapił, by sadzić' nowe. Nadal w nich żyła ta wojna. Nawet dzieci, wtedy też były inne, więcej się oglądały na starych. Brakło jakiejś wspólnoty. Zapytasz kogo, skąd on, mówi, że zza Bugu albo że od Warszawy, czy skąd by tam nie był. Trzeba było pytać wyraźniej, gdzie teraz mieszka. Dzisiaj dawne miejsce życia czy urodzenia trzeba z gardła wyciągać. Bo już tu każdy tutejszy. O młodych w ogóle szkoda gadać, oczy by wydlubali za swoje miasteczko.

Więc jak to, przyzwyczaili się ludzie, wczepili pazurami w tę nową ziemię, dochrapali tego czy owego, to tylko, czy też i ta wojna, jej wspomnienia powoli już w nich zagasły. Mało który zacznie teraz gadkę od tego, jak to on się męczył w obozach, a jak handlował rąbanką pod okiem żandarmów, a jak mu i kogo Niemcy zabili, a jak to się wymigał od esesmańskiej pułapki. Inaczej gadają. Narzeka jeden z drugim, że cement trudno otrzymać, że węgla przydzielają za mało. że znowu tylko piętnaście pralek rzucili do sklepu, a poszłoby ze trzy razy tyle. Płoty stawiają, białą ściany, budują się. Najbardziej niespokojni też już dawno rozpakowali toboły. Wszyscy zmienili się, wszyscy zmieniają. To dobrze. Nudno byłoby, żeby zawsze pozostawali tacy sami, nawet w kantorku trudno by było wytrzymać. Chyba, że siedziałby w nim Ostapczuk, co to go mało rzeczy ciekawi, mruk taki. Choć i on dawniej był inny, rozmowniejszy, pewnie jeszcze na świeżo rozpamiętuje tę krakę, pamięta zabita dziewczynę. Świeża rzecz, tak jak u innych dawniej wojna wciąż była świeża...

Kuje Łyczywek czy nie kuje? Nie słyhać...

Aż drzwi kantorka uchylił słuchając, wiatr skorzystał z okazji, wpadł z impetem, porzucił kontrolne odcinki, Maliniak zaklął szpetnie, schylił się, zbierał skrawki papieru.

U kamieniarza było cicho, zamarty jednostajne, miarowe uderzenia młota. Iść do niego czy nie iść? Deszcz z wiatrem nadciągnął, ależ siecze. Trzeba przeczekać. Ostapczuk w skrytce na oliwę, nie ciągnie go do kantorka, pucuje wszystko po swojemu. Niech pucuje. Skoro piwa grzanego nie lubi...

Gdy deszcz minie, trzeba będzie zajrzeć jednak do kamieniarza. Co to myślał o nim niedawno, aha, że Łyczywek także się zmienił. Mocno nawet. Jakby się już i nie krzywił tak często jak dawniej tym swoim szkaradnym śmiechem. Smutniej teraz wyglądał, ale smutek nie hańba. Gorszy taki uśmiech półwariata...

Rozmawiali ze sobą przed paru dniami. Dzień był cieplejszy, słoneczny, jak rzadko się zdarza w początkach grudnia.. Tylko cienie siały się długie i mgła oparami podnosiła się z płatów bardziej nawilgoconej ziemi. Łyczywek przypasowywał niewielkie płyty kute w czerwonym piaskowcu. Częstował Maliniaka sportami, ćmili, dym leniwie snuł się w ciszy zastygłej w powietrzu.

- Któż już zima tutaj? - zastanowił się nagle kamieniarz. - Nie byłem z tych najpierwszych, trzynaście lat jednakże minęło... Od wojny zaś jeszcze więcej.

- Ano - bąknął Maliniak, nie wiedział, do czego nawiązuje rozmówca, nie chciał płoszyć mu toku myśli, nuż powie coś ciekawego.

Łyczywek tymczasem zamilkł, mocniej zaciągnął się papierosem, odrzucił niedopałek, przydeptując go nogą. Przydługie swe ramię, żylaste, wyciągnął w kierunku gościa, niebieskim śladem zaznaczyły się oświęcimskie cyferki.

- Naznaczyli, psiekrwie, że ledwie spojrzysz, do końca dni będziesz już sobie przypominać. I ja pamiętam. Choć czasem dumam, że źle tak bez przerwy żyć minionym, wspominać, gdy się to było tylko numerem. Od życia nie uciekniesz, dogoni, swego zażąda...

Maliniak nadstawił uszu. Ale kamieniarz przystawiał już kątownik do płyty, przekrzywiając głowę sprawdzał jakość obróbki.

- Młodych coraz to więcej, oni nie znają tych wspomnień.

Łyczywek uniósł głowę, na twarz wrócił mu grymas dawnego, niedobrego uśmiechu. Maliniak zatrwożył się, cóż takiego powiedział, u licha?

- Prawda. Nam się zdaje, że możemy im coś narzucić, nakazać odmierzać wszystko własną miarą. A to nieprawda. Wtedy powstają omyłki.

Zmilkł, potem zrezygnowanie zamachał ręką, dorzucił:

- Wera... Myśmy chcieli za nią po swojemu wybierać. Dlatego pewnie tak wyszło.

Podniósł się, maleńki, pokurczony, machając przydługimi ramionami, szybko szedł w kierunku krytej daszkiem szopy, gdzie zwalone zlegały bryły kamienia. Skinął ręką na Maliniaka.

- Patrzcie, świeży wszystko kamień, ciepłutki jak bułka z pieca. Ani kawałka starzyzny. Rozumiecie?

Maliniak kiwał głową, choć nie bardzo rozumiał. Przypomniała mu się jeszcze z lata ta scena, gdy podmuch wiatru zmiótł wielką płachtę brezentu przykrywającego kamienne zwalisko pod nawisem szopy. Wtedy na wielu starych płytach znaczyły się zatarte przez czas litery. Ach, więc o tym mówi Łyczywek.

Gospodarz częstował sportami...

Na dworze wichura podniosła się silniejszym porywem. Zawirował kurz i śmiecie z całej ulicy. Kierownik stacji przyjaźnie spojrział na rozżarzoną spiralę elektrycznego piecyka. Rad był teraz, że nie poszedł do kamieniarza. Zimno, rozmowa trudna, połowy się trzeba domyślać, żebyż to i wtedy jeszcze człowiek był pewny. Jedno wiadome, zmieniło się coś w Łyczywku. Ciekawość, co na to wpłynęło? Sprawa Andrzeja? Może i to. Ani się łajdus więcej pokazał, jakby wymiotło pięknisia. Chłopak niby dzielny, ładnie się spisywał, gdy paliły się magazyny. Tyle, że żonaty, wolał zawczasu usunąć się z placu, może się Łyczywka nastraszył.

Za okienkiem znajomy warkot. Na milę rozpoznałby stara Dopatki. Temu też przewróciło się w głowie, nic, tylko mu Wera na myśli. Gdyby wiedział, co się święci z dziewczyną...

Dobrze, że Gienek przyjeżdża, będzie z kim wypić piwo. Miał skrzynkę przywieźć, chyba nie zapomniał, choć łatwo o to u zakochanych...

Otworzył okienko, zamachał przyjaźnie dłonią...

W parę dni później, ciemno już było, Maliniak zamykał drzwi swojego kantorka, zbierając się w drogę do domu. Odjechali już ostatni kierowcy, zagasły echa pojękliwego burczenia wielotonowego ZIS-a do przewozu ciężkich ładunków. Od głównych uliczek miasteczka daleko były jarzeniowe światła, wesołymi kolorami pstrzyły się neony, cztery już były. Od jakichś okien niosła się skoczna melodia.

Przeciwległą stacji stroną drogi przesunęła się przytulona do siebie para. Zaciekawione oczy Maliniaka z wysiłkiem przebijały ciemność grudniowej nocy. Aż się zachłysnął wrażeniem. Naprawdę to Wera z Gienkiem Dopatką? Chciał na nich zawołać, powstrzymał się, co ma młodym przeszkadzać. Później się dowie o wszystkim. Ale to nowa rzecz, zupełnie nowa. Czyżby się stary Łyczywek i w tym odmienił? I czemu Gienek słowa jednego mu nie powiedział. Co dnia prawie się widują na stacji...

Niewiele brakło, byłby zostawił na noc otwartą pompę. Zdarzały się rzeczy, które i Maliniaka mogły zaskoczyć...

Od pamiętnej afery z grubym Niemcem, szukającym z pomocą milicji zaginionych z cmentarza nagrobków, nieuchwytnie z początku, potem coraz wyraźniej, zmieniało się wiele w domu Łyczywków. Wera nie od razu mogła się połapać w istocie tych zmian, to tak, jakby ktoś do ciemnej, zatechłej piwnicy wpuścił odrobinę świeżego powietrza, zaraz się go jednak wystraszył, znów przymknął okno.

Zaczął się zaś chyba już wtedy, gdy rozmawiali z Gienkiem przy płocie i dostrzegł ich stary kamieniarz. Nie zwracając więcej uwagi na prokuratora, na Niemców, długo się im przyglądał, twarz mu drgała, nagle zawrócił do swoich kamieni. Słowem nie wspominał i później.

Spotkania ich nadal były ukradkowe. Wera bała się, okropnie się bała, tyle lat wychuchanego strzeżenia nauczyło ją lęku, jednocześnie jednak ciągnęło ją do Dopatki. Odżywały dawne tęsknoty, wróciła pamięć bliskich zetknięć z tym szczupłym, nerwowym chłopcem, jeszcze silniejszą okazywała się potrzeba odetchnienia, spokoju zwierzeń, pociechy.

Pamiętała Andrzeja, nie umiała zapomnieć. Takie miał szczere niebieskie oczy, tak miękko, czule zapewniał o swej miłości. Ładnie się śmiał, kosmyki jasnych włosów opadały mu wtedy na czoło, odrzucał je energicznym, wstrząśnięciem głowy. Wszystko okazało się kłamstwem. Ta świadomość bolała, nie mogła jednak przygłuszyć wspomnień. Którejś nocy zbudziła się nagle, półświadomie szukała dłonią Andrzeja, śnił się jej tak wyraźnie, jakby leżał tuż obok. Zasmuciła się, w pierwszej chwili ogarnęło ją rozżalenie, jakże można zwodzić w ten sposób innego człowieka, potem gorycz zawładnęła nią całkowicie. A jakby spod głębokiego przykrycia wyłaniał się nowy, inny lęk. O Andrzeja. Łyczywek kilka razy niedwuznacznie zapowiedział, jeszcze nic nie wskazywało, jak się zakończy znajomość z Andrzejem, że gdyby ktokolwiek krzywdę zrobił dziewczynie, nie patrząc na nic, zatłucze go jak wściekłego psa. Jak wściekłego psa, bez miłosierdzia, Andrzejowi też mówił podobnie. Tamten śmiał się wtedy, przymruzał oczy, zdawały się nic go nie obchodzić te słowa.

Zastanawiała się często, czy ojciec wie wszystko? Czy zna już całą prawdę? Zmienił się, rzadziej pojawiały się grymasy na jego twarzy, czasem mówił tak dziwne rzeczy, aż je trudno było zrozumieć. Że jego wina, że nie można cudzego życia zamykać w kręgu własnych urojeń i pragnień, że każdy ma przecież swój własny świat, nie można wdzierać się siłą do niego... Nie wspominał teraz Andrzeja, mogło się zdawać, że nie zauważył jego istnienia. To ją

niepokoiło. Łyczywek zawsze był skryty, zawsze coś tało się poza jego milczeniem.

Matka była dla niej teraz serdecznie tkliwa, ta nieodmiennie zahukana, niepozorna kobiecina, czyniąca przez lata wszystko, aby ulżyć swojemu mężowi. I zawsze zgaszona, jakby padał na nią tragiczny cień tamtych wspomnień. Tylko pierścioneczek jednej z córek się znalazł w pogorzeli, wśród pełzających przy ziemi dymów, tylko pierścioneczek...

Ona też słowem nie powiedziała, że wie, od dawna wie, czasem tylko łapała Wera jej niespokojne wejrzenie, widziała troskę zasnuwającą oczy. I w tej kobiecie narastał przeważający wszystko lęk. Bała się męża, tego co powie i co uczyni wtedy, gdy dowie się czy domyśli pełnej prawdy.

I tak lęk obu kobiet pęczniał w domu Łyczywków, robiło się w nim od tego strachu źle i duszno. Obie czekały, nie wiedzieć na co. Były momenty, że w Werze odradzał się dawny bunt, pragnienie ucieczki, wszystko jedno gdzie, byle można było odetchnąć pełną już pierśią. I zaraz wycofywała się, cóż pocznie sarna, nic właściwie nie umie; chuchana, pieszczona, odbierająca całą serdeczność i miłość w zastępstwie nie żyjących córek jej przybranych rodziców, nie znała życia, bała się go.

Cóż dziwnego, że garnąć się zaczęła do Dopatki. Podkochiwała się w nim kiedyś, dawno temu, jeszcze zanim poznała Andrzeja i zanim ojciec nie pognał precz Gienka, zwał go gołodupcem niegodnym jego przybranej córki. Niełatwo jej przychodziło przełamywanie strachu przed starciem z Łyczywkim, gdyby wykryły się te spotkania, ale potrzeba^ czyjejs ciepłej, życzliwej dłoni, przyjaznego słowa, świadomości, że jest komuś naprawdę potrzebna i droga, przeważała opory. Matka jakby zdawała się ją rozumieć, ułatwiała kradzione widzenia z młodym kierowcą.

Któregoś popołudnia, podobnie jak wtedy, przy rewizji, kamieniarz natknął się na parę szeptającą przy małym świronku za szopą. Nie uniósł się, nawet twarz jego nie wykrzywiła się śmiechem. Pokiwał głową, dłonią czegoś zamachał:

- Upartyś, Dopatka, i wytrwały...

Odszedł zaraz swym kolebiącym, pełnym wymachów ramion krokiem. Spoglądali za nim sami sobie nie wierząc, zdumieni bez reszty.

- Wera, wygląda, jakby ojciec pozwalał!

Słowa te Gienek wyszeptał, kryło się w nich jakieś wielkie szczęście.

Tego samego wieczora dziewczyna zdecydowała się na otwarte już niemal wyjście z domu. Łyczywek siedział w kuchni, nawet na nią nie spojrzał, westchnął tylko, głowę ku stołowi przechylił: Ona zaś przystanąła za progiem, dłonią się przytrzymując za serce walące rozdygotanym rytmem. Naprawdę ojciec się zgadza? Na Dopatkę, na gołodupca?

Przypomniała to zaskoczenie ich przed południem. Powiedział Gienkowi, że jest wytrwały. A potem przez długie godziny nie nadbiegał do wnętrza domu odgłos zwykłego kucia. Tylko wichura dzwoniła po dachu.

Gienek czekał przytulony do płotu. Niewiele miał nadziei. Porwał się ku niej ze szczenięcą niemal radością. Więc jednak przekonał się kamieniarz do jego osoby. Może nie taki on zły, jak przedtem to sobie wyobrażał. Ech, gdyby tak od razu, nie byłoby w ogóle tego Andrzeja. Mogliby dawno być z Werą po ślubie, chodziłaby już z ich dzieckiem pod sercem...

Coś tknęło go przy tej myśli. Spojrzał na dziewczynę, mrok, płaszcz, nic nie poznasz, nie rozróżniesz, pytać także nie będziesz... Przechodzili koło stacji benzynowej, jeszcze się tam krzątał zapóźniony Maliniak. Wypatrywał na nich przez drogę. Gienek mocniej przytulił ramię dziewczyny, odwrócił głowę. Maliniak gotów byłby ich zatrzymać, na odległość można wyczuć, jak stoi przejęty zdumieniem, z rozwartą gębą, drapie się łapskiem po łysiejącej głowie.

Dziwne, ale właśnie teraz, przy tym pierwszym, już nie kradzionym od nie wiedzieć kiedy spotkaniu, nie do słów było obojgu. Wiatr ustał przed wieczorem, niebo się oczyściło, chłód tylko nadciągał, nocą pewnie przymrozek zetnie ziemię, zwarzy ostatnie, najwytrzymalsze rośliny. Zima idzie.

Zeszli na boczną drogę, tę, którą Gienek z takim trudem przedzierał się już parę razy swym starem. Ciężko to milczenie, tak trudno jednak było znaleźć właściwe słowa. Tyle między nimi zostawało nie dopowiedzianego, tyle ciągle było niejasnego.

- Więc jednak pozwolił - nie wiedzieć czemu, właśnie zachowanie Łyczywka wydało się Gienkowi najważniejsze.

Odpowiedziała. Uradowany był, nabrał otuchy. Przytulił ją mocniej do boku.

- Jeżeli tak, to wszystko się już odmieni na dobre, Wera. Gdybyś ty się zgodziła, za jakiś czas wybrałbym się do starych, może już nie wyzwaliby mnie od gołodupców - ciągle go bolało to słowo.

Milczała. Zaniepokoił się.

- Wera, co z tobą? Odpowiedz, prawda, że się zgadzasz? Tego Andrzeja jakby nie było, ja nie chcę pamiętać...

Szła dalej w milczeniu, krok jej stał się bardzo niepewny. Potrząsnął jej ramieniem, - nalegał, niech mówi, niech nie milczy, na Boga!

Nic. Stał wtedy, ujął ją mocno w ramiona, tulił do siebie, poddawała się niechętnie, odsuwała twarz, oddech jej był nierówny.

- Wera, wtedy, w kantorku u Maliniaka, mówiłaś, że ty... w tym Andrzeju. Ale to była

nieprawda, nieprawda! Ty chciałaś tylko odejść z domu, dlatego godziłaś się, chociażby z nim. Tylko to, nic więcej, przecież go na pewno nie kochasz. Nie kochasz, Wera?

- Nie.

Rozluźnił uścisk ramion.

- To wszystko już dobrze - odetchnął całą piersią.

Ale w niej nie wyczuwał ani odrobiny radości, która go ogarniała. Znow ta myśl co dopiero niedawno, przy płotku, nadpłynęła z natrętną siłą.

- Wera, powiedz, czy ty... - zawahał się - żyłaś z tym Andrzejem?

Drgnęła, zatrzęsły się jej ramiona, myślał, że chce się rozplakać, z tym większym zdumieniem usłyszał jej głos opanowany, spokojny. Teraz przystanęła dziewczyna, odsunęła się od niego na krok.

- Ty wielu rzeczy nie wiesz... Ja Andrzeja nie Kocham. Wiedziałam o tym już wtedy, w kantorku, choć udawałam przed tobą, że jest inaczej. Łudziłam się jeszcze, że może on wróci. Nie znałam prawdy, że jest żonaty. Mnie zaś w tym domu było duszno, duszno, czy ty możesz to pojąć, jak się człowiek tłamsi, jak nie czuje swobody żadnego kroku, jak go zabija czyjaś troskliwość? Nie rozumiesz! Andrzej był dla mnie ratunkiem, nie miłością, bardzo go tylko lubiłam. Kochałam kiedyś tylko ciebie, Gienek. Ale ciebie dzięki ojcu musiałam wykreślić. Andrzej zaś miał jego poparcie. Ojciec też to rozumie, tak jakoś napomykał ostatnio...

Nie przerwał zapadłej ciszy, skulił się czując w niej coś złowróżbnego, coś bardzo, bardzo złego.

- Dziwisz się, że nie garnę się do ciebie, że nie chcę przytuleń, pocałunków, nie rozumiesz, dlaczego. Gienek, ja jestem w ciąży. Z Andrzejem. Już czwarty miesiąc.

Ustami zachłannie łąpał powietrze. A więc ta ponura myśl, która spłynęła na niego przy płotku, potwierdziła się. Jest prawdziwa. Wera jest w ciąży, z Andrzejem. Dobrze powiedział Maliniakowi, że kamieniarz wyzywając, jego, Gienka, od gołodupców, sam niemal słał łóżko dla Andrzeja i Wery. Dobrze posłał, stara pokraka.

Skroś przeredzony mrok ujrzał białe plamy dłoni Wery wysuwających się ku niemu.

- Wiesz teraz wszystko. Czy powtórzysz, coś mówił przedtem, Gienek?

W głosie jej była rezygnacja. A potem zrodził się jeszcze szybko rosnący lęk.

- Pojmujesz, dlaczego mówiłam, że boję się o Andrzeja? Ojciec pewnie jeszcze nic nie wie, nie domyśla się. Ale jeżeli się dowie, on zabije Andrzeja. Zabije go. Nie daruje, nie będzie się na nic oglądał. Matka mówiła, przelał na mnie wszystkie swoje tęsknoty i nadzieje. Dlatego mnie zamknął w klatce. Dlatego ciebie odtrącał, szukając dobrej partii. Los zakpił z

niego, ze mnie, z ciebie, z nas wszystkich. Gienek, co ty, co z tobą? Gienek!

- Nic, nic. Nic nie wiem, nic ci nie odpowiem, zbyt wiele nie rozumiem sam w sobie. To wiem, że nie ojciec, nie on, ja będę gadał z tym łajdakiem Andrzejem. Ja będę z nim gadał! Ja, Wera! Ja! Ja!

Krzyczał w narastającym podnieceniu, darł się na całe gardło, daleko niósł się ten krzyk w spokój grudniowej nocy. Zduszonym poszczekiwaniami pies jakiś się odezwał, skrzypnęło gdzieś okno.

On zaś chwycił ręce Wery, uściśnął je mocno, straszliwie mocno, boleśnie, puścił je *zaraz*, niemal odtrącając dziewczynę od siebie, zerwał się nagle, goniąc w ciemność, w nocny spokój i czerń, krzycząc ciągle to swoje:

- Ja, ja! _

Nasłuchiwała oddalającego się tupotu, Gienek przestał już wołać, tylko te kroki, coraz słabsze, gasnące.

Jakby to mogło chłopca zatrzymać, jakby miało siłę dopomóc, wbiła wzrok w stronę, gdzie zacichały jego kroki, szepcząc suchymi wargami:

- Gienek, Gienek.

Gdy Dopatka został aresztowany, aż się zatrzęsło od plotek pośród szoferskiej braci. Tyle piwa, choć zima szła szybkimi krokami, nigdy jeszcze nie wypijano wieczorami na stać u Maliniaka.

Pewnie, Gienek zawsze znany był jako zawadiaka, nieraz, kogoś tam szturchnął, choć nie miał też żalu, gdy i jego szturchano, ale żeby chudzielec aż do kryminału się dostał, to już było nieco nad miarę.

Najbardziej w cenie byli bezpośredni świadkowie awantury na szosie, zaraz przed wsią Zawady, skąd już zabił skok do Zielonej Góry. Gdzieś tam w pobliżu kończyła tegoroczne prace ekipa wiertnicza, kilku zaledwie zostawało z załogi di.; zabezpieczenia maszyn i stanowiska. Wśród nich ten Andrzej, który brzuchem zmałstrował Łyczywkowej Werze.

Tomczyk, świecący okrągłą jak tonsurka zakonnika łysinką, bo nawet w największe mrozy chodził z odkrytą głową, przez dobry tydzień był bohaterem wieczorów w. „knajpie pod Maliniakiem”, Jakoś nie nudziło go opowiadanie raz po raz tej samej historii. Maliniak wprawdzie zauważył, że opis wydarzeń stawał się coraz barwniejszy, ale nie oponował, w ten sposób było jeszcze ciekawiej.

- Bo to widzicie, wiara, ja tego dnia miałem turę z cegłą właśnie do Zawad. Zawiozłem dwa tysiące dziurawki, wyładowałem, jeszcze zły byłem, bo chłop sknera, nawet nie odpalił z

pół stowy...

- Pewnie myślał, że kierowca to bogacz... Klep już, jak z Gienkiem, co nas twoja dziurawka obchodzi - podgonił któryś z niecierpliwych słuchaczy.

Tomczyk obrzucił go niechętnym spojrzeniem, bardzo nie lubił, jak mu zakłócano tok opowieści.

- Zawróciłem maszynę, zbieram się w powrotną drogę, drugą turę miałem jeszcze tego dnia zrobić, nie śpieszy mi się, już za Zawadami przepuszczam gazika, od razu poznałem, że od wiertaczy, nawet ten Andrzej mignął mi za kierownicą. Po prawdzie, to tak mi się jakoś i pomyślało wtedy o Gienku... Nic, jadę dalej, jeszcze mi wycieraczka coś nawalała, trzeba się było dobrze wysłepiać na drogę, gdy zza zakrętu wyskoczył star i na wariata, tylko, tylko hamując, zakręca na szosie, nieledwie przed nosem mojej maszyny. Wsiadłem całą parą na hamulec, trochę, byłaby kasza, gdzieś tam daleko na szosie miga jeszcze gazik, zachodzę w głowę, co się nagle stało Gienkowi. I wtedy mnie tknęło, przeciem o chłopie właśnie pomyślał, widząc przedtem Andrzeja. Dodaję gazu, nic z tego, bo Gienek zerwał jakby jakaś rakietą, dziw, że flaków nie wypruł z maszyny, że się nie roztrzaskał, boska opieka...

- Czemu przerywasz, kurczę na twardo, gadaj, Tomczyk!

- W gardle zaschło, jeno łyknę cokolwiek.

Maliniak pomyślał, że stary aktor z Tomczyka. To piwka popije, to papierosa zapali, a urwie w najciekawszym miejscu, jak powieść odcinkowa w gazecie.

- Aha, więc pruje chudziak pewnie pod dziewięćdziesiąt, zostałem daleko w tyle, choć też pedał dociskam do deski, wycieraczka sama się naprawiła. Już się zaczynam domyślać, co tak Gienka ugryzło. Mój pomocnik, wiecie, jeździł wtedy wraz ze mną Magdziarek, przywarł gębą do szyby, pogania, prędzej, Tomczyk, prędzej, tam się szykuje większa afera. Diabła byś łatwiej dogonił. Nic, pruję, a tu jeszcze teren nierówny, zakręty, gównno widać na szosie, zniknęli i star, i gazik.

- Już, już, co ty nam powieść całą odwalasz...

- Zaraz, zaraz, teraz najciekawsze... Cisnę gaz, wiele mogę, bo i mnie ogarnęła jakaś gorączka. Gienek i Andrzej, obaj się starali o Werę, chudziak nasz został na lodzie, tamten się okazał zonaty, szkoda mrugać, ciekawe będzie. Wylecieliśmy na prostą. Widzę daleko przed sobą stara, leci lewą stroną jak zwariowany, ale i gazik coś jakby prędzej zerwał, może się tamten domyślił. Gienek trąbi jak szalony, łapy pewnie nie zdejmował z klaksonu, pomocnik mój łeb wychylił przez okienko, słyszał. A potem...

- Tomczyk, mać koza, bo ci to piwo wyleję na benedyktyńską łysinę.

- Do teatru przyszedłeś, płacisz mi za gadanie? Nie denerwujcie, bo wam guzik opowiem...

Sam pędziłem, że cud, iż mnie nie rzuciło do rowu, szosa śliska, akurat po deszczu. Gienek zrównał się z gazikiem, szły obie maszyny łeb w łeb, jakby na jakich wyścigach. Aż potem star minął tego przyjemniaczka Andrzeja, ja zaś krzyknąłem, myśląc, że koniec, nie pozbierają się jeden i drugi. Bo Gienek ledwie wyrwał do przodu, zarył gwałtownie swoją maszynę, stawiając ją niemal bokiem, żeby tamten się musiał zatrzymać. Stał może o jakieś trzy metry, zarzuciło go tyłem. Wyobrażam sobie, jaki był wściekły, pierwszy wyskoczył, a Gienek wtedy swój wóz wyrównał wzdłuż szosy i też sypie ziemię. Dobrze widzieliśmy, blisko było, już hamowałem, tego brakło, żebym ja rozbił się w ich zastępstwie...

- Dalej, dalej!

- Gienek, wiele nie czekając, rwie do tamtego. Chwilę ze sobą gadali, może krzyczeli, trudno powiedzieć. I potem Dopatka jak runie, zakotłowało, zamłóciło, my z pomocnikiem z wozu i do nich. Był też Gienka pomocnik, taki pętaś z Sulechowa z mleczarni. Ten siedział w szoferce, łeb tylko wystawił... Młócka, że się nie zobaczy drugiej podobnej. A wiecie, Andrzej większy, mocniejszy od Gienka, chudzielca, jeszcze go tak ściągnęło ostatnio, dziewczuchy od kamieniarza zasługa; zdawało się, oberwie nasz Dopatka, trzeba będzie go zbierać z tej szosy. To ja na wszelki wypadek wracam po korbę, gdyby tak źle szło Gienkowi, musiałbym jakoś uciszyć tamtego faceta. A oni tłuką się, jakby naprawdę szło już o śmierć i życie. Gienek też nie mało oberwał, ale w pewnej chwili rąbnął tamtym o asfalt, sam od razu skoczył na leżącego. Trafił na masywnego kopniaka, w podbrzusze, bo zaskowyczał, myślałem, że też się rąbnie, ale jakoś wytrzymał, wiadomo, złość siły dodaje, zaczęli teraz się tarzać, a co który na wierzchu, to kuje drugiego w facjatę, aż się błyska sto choler za jednym zamachem... Mówię wam, cyrk, teatr, mecz bokserski, wszystko wysiadka! Pomocnik mój woła, żeby rozdzielić, oni się naprawdę pozabijają. Sam tak myślałem, ale jak tu podejść, kiedy wiruje jedynie dokoła. Aż dopiero Gienek mocno się usadowił na wierzchu, tamten musiał osłabnąć, pewnie że ta ręka zwichnięta też mu nie pozwalała lepiej się bronić. Jezu, jak teraz Gienek go walił. Kasza, myślałem, z gęby facetowi zostanie, jedna kasza. No, fajno jest, postanowiłem, teraz trzeba Gienka za frak, zabić gotów swojego konkurenta do Wery. A tu klakson za nami, patrzę, lotna na motocyklu. Pieskie szczęście, właśnie wtedy musieli się wybrać. Gwizdzą, trzech ich było, jeden już gumę wyciąga... To my z pomocnikiem prędzej do tamtych, żeby Gienka osłonić, przed milicją jeszcze oderwać od tego Andrzeja. Gdzież tam, jak pijawka się wczepił i nic, kuje nadal pięściami i kuje. Razem z milicjantami z trudem wreszcie go odciągnęliśmy. Stał, w oczach zupełnie pijany, dyszy, Andrzej znów ani się podźwignąć nie może. Leży, charczy, krew z niego leci jak z wieprza, strasznie... - wzdrygnął się. - Już to ja bym nie chciał mieć z Gienkiem na pieńku, kto by pomyślał...

- To wszystko? - głos pełen przejęcia i szczerego podziwu, i
- Teraz piwko, daj że flaszkę, Maliniak mocno grzane niech będzie.

Długo bulgotał, oczyma zarazem wodził po zemocjonowanych słuchaczach. Dopiero zaczerpnął oddechu.

- Nie wszystko. Bo raptem ta kupa krwi charczy od ziemi: „Ale z Werą to ja spałem, nie ty...” I podnosi się z wolna, aż tu mignęło, milicjanci też ani się spostrzegli, Gienek na cały regulator znów rąbie tamtego. Nim go chwycili, gumą oberwał przy okazji przez łeb, tamten tarzał się w błocie. A Gienkowi oczy się palą, mgła na nich zarazem, mówię wam, jakby był w beleczkę pijany. Zabrało go dwóch na motocyklu, trzeci stara odprowadził do Sulechowa. W Zielonej Górze chłopak kibluje. Szkoda, może mieć sprawę na doraźno za chuligaństwo.

- Pewnie, że szkoda. W prawie był, dziewczuchę mu tamten zmarnował.
- Żeby mu jakoś pomóc? Złożyć się, wiara, na adwokata.
- Paczkę, gotówki nieco posłać do mamra.

Maliniak uznał, że nadszedł jego czas. Otarł pianę z ust wierzchem dłoni.

- Nie trzeba, są już tacy, co się o niego mocno starają. Rok byście zgadywali, też nie trafilibyście. Sam Łyczywek! Kamieniarz co dnia jeździ do Zielonej Góry, w ogóle kucia zaprzestał. Paczki wozi, adwokata wynajął, robi starania, jak tylko może. Gadałem z nim, mrukliwy, ale szydło wylazło z worka. Powiedział mi, że przecież to nie Gienek, a on po winienby siedzieć. Bo Gienek na własną rękę jego, Łyczywka, zastąpił. Stary szykował się na Andrzeja. Myślę, że gorzej by było. Łyczywek mógłby nawet i zabić. Wiecie, jak on za Werą świata nie widział.

- Gienka wyrzucił z domu, żeby mu się przy dziewczusze nie pętał.
- Stara historia. Wszystko się zmieniło. Pamiętajcie, Łyczywek na Andrzeja postawił, a ten mu mało że popsuł Werę, to jeszcze okazało się, że jest od dawna żonaty. Teraz by diabłu wybaczył, nie tylko Gienkowi.
- Swoją drogą, nie życzyłbym sobie takiego teściunia.
- Głupiś, Tomczyk, ja wam mówię, że Łyczywek to dusza chłop. Za wiele wycierpiał, stąd jego narowy. Ale serce ma złote - zaperzył się Maliniak. Naprawdę czuł ostatnio wiele sympatii do kamieniarza. j

- Może być... Najgorzej, że to wszystko działo się na oczach milicji, takie pieruńskie szczęście. A jeszcze tamten złożył skargę od siebie.

Niewielki, z ukośnymi baczkami Cygana, czarny jak diablę Majcherczyk, w winiarni teraz jeździł na nysie, palnął pięścią w stół.

- Chłopaki, mam radę... Żebyśmy tak kupą podjechali do tych wiertaczy, wzięli faceta na

stronę, przemówili do słuchu. Że ma skargę wycofać i odwołać swoje zeznania przeciw Gienkowi. Bo gdyby inaczej, to z każdym z nas będzie miał do czynienia. Jak myślicie?

- Można by - zastanowił się Tomczyk.

- Nic z tego. Już się dowiadywałem - Maliniak nie lubił, gdy mu na stacji odbierano inicjatywę. - Facet, ledwie mu rękę zestawili i mordę cokolwiek zalepili plastrami, zwinął manatki i szukaj wiatru w polu. Nie taki on głupi, wie że w naszych stronach nie miałby już nic do roboty.

- Bo to trudno odszukać? Polska nie taka znów wielka...

Maliniak uśmiecha się triumfalnie. Znów był górą.

- Pewnie, pewnie, ale już znaleźli się tacy, co go odszukali. Powiem wam, od szofera wiem, co wozi prokuratora wojewódzkiego. On się kiedyś przyjaźnił z Dopatką. Podobno adwokat Łyczywka widział się z tym Andrzejem, dobrze mu musiał wygarnąć, facet jakby zdecydował się wycofać swą skargę.

- A zeznania?

- Tego nie wiem... Jest inna sprawa, chłopaki. Myślało się już o tym i owym. Gienek swój chłop, krzywda go spotkała, po naszymu był w prawie. Więc żeby tak napisać do sądu, że swój chłop, że zawsze porządny, grand nie robił, że my wszyscy za niego świadczymy. Dopiero tutaj z nerw wyszedł, bo mu i dziewczynę zabrali i jeszcze dziecko jej zrobił, a sam żonaty. Wszystkich oszukał, kawalera odstawiał, umarłego by to ruszyło, cóż dopiero chłopca, co i serce, i wszystko ma tam, gdzie trzeba. Jak myślicie? Warto się z tym pospieszyć.

- Dobra, piszemy. Tylko żeby to tak mądrze, wiecie, po adwokacku. Potrafisz, Maliniak?

- Potrafiłbym - odął się z dumą. - Ale po co łeb łamać, jak się tego nie jest zwyczajnym. Stację prowadzę, nie biuro pisania podań. Poproszę Rękawka, wiecie, tego z prezydium, swój chłop, napisze jak się należy. Dziś jeszcze do niego pójde. Wy zaś zjeżdżajcie jutro pod wieczór na składanie podpisów. I wszystkim szoferakom cynk dajcie, żeby jednego nie zbrakło. Dobra?

- Dobra jest. Żeby tak jeszcze ze skrzynkę piwa. Losujmy, kto po nią pojedzie? - Urbanek przetań spocone z przejęcia czoło, rozejrzył się po swoich.

Wypadło na Tomczyka. Trochę się krzywiąc, siadł do maszyny, nacisnął gaz.

- Bo to wiecie, chłopcy, kombinowałem sobie, że sprawa Gienka to także coś więcej. To honor naszego miasta, no nie? Jakże tak, każdy bubek ma nam tutaj dziewczuchy podrywać?

Przyklasnęli Maliniakowi. Ma chłop smykałkę. Pewnie, to już nie tylko o Gienka chodzi, ale i o honor ich miasta. Pewnie.

Szum się podniósł, gadali jeden przez drugiego, wieczór, fajrant, nigdzie nie spieszo, a sprawa ich własna, szoferska. Jeden po drugim zastygali jednak w milczeniu, gdy z nagła cygan Majcherczyk zasyczał i wskazał coś ręką.

Drugą stroną ulicy, wymachując swymi długachnymi ramionami, szedł od dworca Łyczywek.

- Z Zielonej Góry wraca... - szepnął Maliniak.

Ostatnie dni przed rozprawą Wera przeżyła jakby w gorączce. We snach i na jawie jawił się jej Dopatka, uciekający od niej, pokrzykujący, że on się rozprawi z Andrzejem, a poza tym nic nie wie i nie rozumie. Bała się nie zbliżającego się terminu sądowego, ale tego, co będzie po nim.

Andrzeja niemal zupełnie już wymazała z pamięci. Za to żywiej niż kiedy narastało wspomnienie dawnych spotkań z Gienkiem, ich pierwszych pocałunków, nieśmiałych przytuleń do siebie, nie zaznanych przedtem dygotań serca.

Jeśli wtedy nie była pewna, to teraz uczucie do Dopatki odrodziło się w niej z całą gwałtownością. Wiedziała, Andrzej - to był epizod, częściowo jedynie przez nią zawiniony, brzemienny w skutki, ale tylko epizod. Żeby nie dziecko w łonie, zatarłaby się już może jego pamięć zupełnie.

Kiedyś myślała, że nie może być większego zespolenia ludzi nad wspólną świadomość, że jedno jest matką, a drugie ojcem dziecka, mającego przyjść na świat. Że tu objawia się szczyt uczucia. Tymczasem może spokojnie rozmyślać o Andrzeju jak o czymś minionym, jak o człowieku nieomalże obcym, a serce jej zajmuje ktoś inny, z którym wszak nigdy, nigdy...

Zdumiona była, że ojciec tak spokojnie przyjął wiadomość, iż znajduje się ona w ciąży. Czyżby przedtem się tego domyślił? Spojrzał wtedy, gdy zdobywała się na odwagę i sama mu to, powiedziała, powieki mu zamrugały, westchnął jeszcze i powoli, bardzo powoli skierował w bok głowę. Następnego zaś ranka znów udał się do Zielonej Góry. Robił wszystko, co mógł, aby dopomóc Gienkowi.

Przebywały teraz w domu we dwie. Wera w ogóle nie wychodziła poza obejście. Nie chciała nikogo widywać, na pewno by ją tropiły ciekawskie spojrzenia, szłyby z tyłu cmokania i plotki. Dość miała zmartwień, by skazywać się jeszcze na ciężar dźwignia głowy przed opinią miasteczka.

W domu było tak jakoś dziwnie. Zaginął lęk, trapiący je obie, wszystko przecież się wyjaśniło, nie miały już tajemnic przed człowiekiem z grymasem śmiechu na twarzy. Ale zanik lęku nie przyniósł spokoju.

Zastanawiała się, czemu matka tak niewiele z nią teraz rozmawia. Była niezwykle serdeczna, dobra, ale zarazem jakby zapeszona czymś i niepewna. Wera chwyciła jej ukradkowe, rzucane na siebie spojrzenia. Tak patrzą ludzie w poczuciu winy. Tak patrzył teraz czasami i ojciec. Czyżby oni się czuli odpowiedzialni?

Miewała ochotę, by podchwycić tę myśl, by naprawdę zrzucić całą winę na ojca i matkę. Gdyby nie ich ciche zezwolenie, sympatia dla Andrzeja, rozluźnienie ostrych rygorów domowych, nie doszłoby do tego, co się stało. W każdym razie nie byłoby tego dziecka pod sercem. Ona sama, cóż, poddała się z ochotą ich woli, chciała się wyrwać za wszelką cenę spod uciążliwej, męczącej opieki, zacząć żyć własnym nie kierowanym przez kogoś życiem.

Potem znów wydawały się jej takie myśli niedobre, po prostu podłe. Przecież obydwójce życzyli jej najlepiej, z uczucia, nie ze złej woli wynikały błędy. Choć sami tak wiele przeszli, byli w jakiś sposób odseparowani od przewalającego się wokół intensywnego życia. Zastygli we wspominkach, w męczącym przedłużaniu tamtych, straszliwych dni. To ona, młoda, powinna była okazać rozsądek, mądrzej spojrzeć na Andrzeja, na wszystko. Jeżeli stało się, jak się stało, to tylko jej wina. Ale w końcu czy to wszystko da się podporządkować pojęciu winy? Czy można tu naprawdę mówić o winie? Jakiś głupi przypadek, splot takich właśnie, a nie innych okoliczności. Andrzej mógł równie dobrze być kawalerem, mogli się w sobie zakochać, być już dawno po ślubie. Mogło tak być, ale tak się nie stało. A teraz jest proces Gienka, który mścił się na Andrzeju za swoją i nie tylko za swoją krzywdę. Bo także za zawód Łyczywków, za jej los przełamany nagle przez pół.

Początkowo zamierzała jechać do Zielonej Góry, być obecną na sali w trakcie rozprawy, później jednak zrezygnowała. Nie chciała widzieć ich obu, i Andrzeja, i Gienka, nie chciała słuchać wyjaśnień, w których na pewno o niej też będzie mowa. Nie wstydziła się, nie odczuwała lęku przed opinią, przyczyny niechęci przed wyjazdem tkwiły gdzie indziej.

Kochała Dopatkę. Nie było to już złudzeniem, jak z Andrzejem, ale najgłębszą świadomością, nową treścią myśli i odczuć, wszystkich jej pragnień. Nie wiedziała, jak Gienek postąpi. Na Andrzeju może mścił jedynie swój zawód i krzywdę, podeptane uczucie. W ten sposób mógł pragnąć pożegnać przeszłość, do której więcej nie wróci. To znaczy, do niej, do Wery. Tak dziwnie wtedy wieczorem się zachowywał, bardzo go musiała zabołec zwierzona prawda, że jest w ciąży z Andrzejem. Uciekł, zaginął w ciemności, nie pokazał się przez parę dni, dopiero przyszła wiadomość o starciu na szosie i aresztowaniu. Z więzienia nie napisał słowa, przez adwokata również nie dał żadnego znaku.

Mówiła kiedyś Gienkowi, iż wierzy, iż Andrzej wróci. Teraz nie ma nawet nikogo, komu by mogła się zwierzyć, iż boi się, czy Gienek nie odejdzie na zawsze. Pomścił się na

Andrzeju, pomścił też na Łyczywku, za tego gołodupca, któremu wara od kamieniarskiej córki, pomścił i na niej, że zbrakło jej odwagi, by kochać chłopca wbrew domowej opinii. Przecież to ona uciekła od Gienka, ona go zostawiła, wyżej po stawiała lęk przed gniewem ojcowskim, niż własne uczucie. Jeżeli Gienek nie zechce wrócić, sama będzie musiała sobie dziękować.

Jakże pragnęła tego powrotu i jak mało znajdowała argumentów, które by za nim przemawiały. Ma wrócić do kogo? Do niej, do tego obcego mu dziecka, które za parę miesięcy przybędzie na świat?

Rwały się myśli, zostawała świadomość, że kocha Gienka, tak bardzo, tak bardzo go kocha. I zostawał nie nazwany już niepokój, łączący się z tą miłością. I zostawały dni oczekiwania na proces, który o niejednym zadecyduje. Adwokat czynił wielkie nadzieje, że Gienka wypuszczą już po rozprawie, zwalniając go od winy i kary... Nie wiedziała, na czym opierał swe przypuszczenia, dla niej było jasne, że Gienek wcześniej czy później wyjdzie na wolność i wtedy podejmie decyzję. Jaka ona będzie, któż może wiedzieć. Jakby jednak Gienek nie postanowił, słusność będzie po jego stronie. Ona tak mało ma teraz do powiedzenia, tak bardzo mało...

Łyczywek pojechał na proces. Spokojny był i poważny, nawet nie krzywił twarzy zwykłym grymasem. Wychodząc z domu przyjrzał się Werze, jakby jej nie widział od lat.

- Więc jednak nie jedziesz? Dopatka cię nie obchodzi?

- Nie mogę, właśnie dlatego, że bardzo obchodzi, bardzo - wybuchnęła na straszną niesprawiedliwość jego słów.

Postał jeszcze chwilę, wreszcie pokuśtykał, wymachując przydługimi ramionami.

Powodowana gwałtownym, nie wyrozumowanym impulsem, wybiegła za nim na drogę, powietrzem błdziły rzadkie drobiny ni to deszczu, ni śniegu, wołała:

- Przywieź go tutaj, powiedz, że czekam... Jeżeli tylko on zechce...

Łyczywek nie przystając, odwrócił głowę, powtórzył:

- Jeżeli zechce...

I on myślał o tym samym. I jemu te> słowa nie dawały teraz spokoju. Z nieustannym pobrękiem ich w uszach jechał do Zielonej Góry, szedł ulicami miasta, wkraczał do gmachu sądowego, szukał sali, w której się odbywa rozprawa, słuchał na pół uważnie słów adwokata, przepychał się potem do ławki, podnosił spojrzenie na wprowadzonego w asyście milicjanta oskarżonego, Gienka, Dopatkę, którego lżył kiedyś od gołodupców.

Później zaś mogło się komuś zdawać, że stary Łyczywek śpi, tak zmałał, skurczył się, głowa mu osiadła w ramionach. On zaś bał się widoku Andrzeja. Poza tamtym, wojennym

okresem, który ciążył mu nieodpartym wspomnieniem, nikogo tak chyba w życiu nie znienawidził, jak tego rozrosłego blondyna o miłej twarzy i szczerych, niebieskich oczach. Znał zaś siebie, siłę swej nienawiści, te nagłe uderzenia krwi do głowy, kiedy przestawał panować nad własnymi czynami. Co będzie, gdy zetknie się oko w oko z tym chłystkiem, wspomni na wszystko, co zaszło, na nowy niepokój i zło, jakie wniósł do ich ciężko doświadczonego domu? Czy się potrafi powściągnąć, czy zapanuje nad sobą, jeszcze tu, w sali sądowej, w obliczu prawa?

Ze zdumieniem i ulgą, z niedowierzaniem zarazem przyjął wiadomość, że Andrzej wycofał prywatną swą skargę, że na rozprawę także nie przybył, przysyłając urzędowe zaświadczenie na piśmie, iż wycofuje wszystkie swoje zeznania i do oskarżonego Dopatki nie rości żadnych pretensji...

Normalny przewód. Świadkowie. Tomczyk i jego pomocnik, Magdziarek, milicjanci ze służby drogowej, kierowcy, którzy nadjechali wozami na miejsce bójki już po jej zakończeniu... Było jeszcze załączone do akt oświadczenie licznej grupy kierowców, wysławiające Dopatkę jako najlepszego kolegę i wskazujące na krzywdę, wyrządzoną przez Andrzeja.

Było krótkie oświadczenie oskarżonego, że w stosunku do dawniej złożonych zeznań nie ma nic do dodania. Były przemówienia prokuratora, miękkie jakies, wcale nie groźne, akcentujące raczej tylko niewłaściwą, zakłócającą porządek formę samowolnego wymierzania sobie sprawiedliwości, i adwokata, płynne, poza prawniczymi sformułowaniami malujące całkiem romantyczną historię uczuć oskarżonego i podłości, doświadczonych od nieobecnego Andrzeja. I wreszcie krótka narada sądowa, potem ceremonia odczytania wyroku.

...Eugeniusz Dopatka skazany zostaje na sześć miesięcy aresztu z zawieszeniem...

Potem przeciskał się jeszcze do Łyczywka adwokat, triumfujący i uśmiechnięty, kłębiła się wiara szoferska, która zjawiała się na rozprawę nieomal w komplecie, spojrzenie zaś Kamieniarza krążyło ciągle wokół osoby chudego, zmizerowanego Dopatki. Wreszcie zetknęli się z sobą. Gienek wyciągnął rękę.

- Dziękuję, bardzo dziękuję za pomoc...

- Chłopcze, toś ty mnie pomógł. Rozumiesz chyba, że jeśli nie ty, ja bym musiał się z nim spotkać. Wtedy byłoby gorzej.

- Wera nie przyjechała? Czemu?

- Chciała, ale... - urwał. Cóż ma temu chłopcu do powiedzenia. I Wera, i on czekają teraz na jego słowa, na jego decyzję. „Jeżeli zechce...”, tak powiedziała Wera, tak myślał on przez cały czas rozprawy.

Gienek patrzył na niego wyczekująco, jakby zawiedziony, niepokój tkwił w jego ciemnych źrenicach. Łyczywek zdecydował się. Niech prawda wiadoma będzie od razu, po co się jeszcze męczyć czekaniem.

- Powiedziała, żebym przywiózł cię do nas... Jeżeli zechcesz... No, po tym wszystkim, tak, jak jest teraz...

Trudno mu przyszły te słowa, bardzo trudno. Twarz Dopatki stężała, na krótką chwilę wargi zwały się w jedną cieniutką linię, jeszcze coś w sobie zwalczał.

- Przemyslałem wszystko - szepnął. - Już to poza mną. Jeżeli i wy zechcecie, mnie, gołodupca - w uśmiechu jego nie było ironii - to pojedę razem...

Usłyszał Tomczyk ostatnie słowa, zbliżył się.

- Chodźcie do mojej szoferki. Ty, Gienek, i...

- I ojciec - powiedział bardzo po prostu Dopatka.

- Kurczę pieczone, to się na podwójne oblewanie zanosi j - rozdziawił się Tomczyk, zabiegała mu łysina na kształt zakonnej tonsurki.

19.

Posiedzenie zarządu Towarzystwa Przyjaciół przeciągało się. Niektórzy mało dyskretnie zerkali już na zegarki, profesor Gollub widział to, uśmiechał się, po czym uspokajał, że już niewiele, z pięć spraw zaledwie zostaje do omówienia... Filiżanki po kawie tkwiły zsunięte w bezładzie na środek stołu, stopy niedopałków piętrzyły się w popielniczkach, kartki pokryły się esami-floresami.

Magister Rękawek trącał w bok siedzącego obok sekretarza partii, pomrukiwał znacząco. Udał się im przewodniczący.

Okińczyc był zdumiony zarazem i rozbawiony. Przy podsumowaniu paromiesięcznej zaledwie działalności dopiero się okazywało, jak wiele już zostało zrobione. Razem z młodzieżą położyli podwaliny pod przyszły park, pomogły zakłady pracy, gdyby przeliczyć to na złotówki, byłyby dziesiątki tysięcy. Zapewniony został regularny comiesięczny przyjazd teatru zielonogórskiego, wielka rzecz. Co drugi tydzień odbywały się prelekcje piątkowe: lekarze, inżynierowie, pisarze. Powodzenie różne, frekwencja jednak stale rosnąca. Teraz nowy wielki konik Golluba i Rękawka, już to ci dwaj dobrali się jak w korcu maku. Uczynić miasteczko i okolice ośrodkiem turystyki. Dogodne położenie, piękne plenery, trochę zabytków, woda, las. niezłe drogi.

O, już się Rękawek podnosi, będzie referował swój projekt. Są przedstawiciele wszystkich zakładów pracy. Jest przewodniczący prezydium, pewnie, skoro sekretarz przyszedł, jakże'

by jego zabrakło? Obiecują podobno sto trzydzieści tysięcy, można z tego zbudować niezgorszą pływalnię nad jeziorem, ze skocznia, z szatniami, z podjazdem dla samochodów... Skąd w tym Rękawku aż tyle zapachu? Zupełnie jakby któryś z tych młodzików z Domu Kultury...

Skrzywił się, nie słuchał więcej. Od pamiętnej zabawy, gdy zginęły pieniądze z wpływów kasowych i aparat fotograficzny, popsuły się kontakty Okińczyca z plastykiem Lipińskim i z młodzieżowym zarządem. Nie mógł im zapomnieć krzywdy uczynionej Tomkowi. Sami by zresztą na to nie pozwolili, widział ich kpiące, złe spojrzenia, słyszał poszeptywania, jak to ten kapitalista osłania złodzieja... Rad był, że ukończył już prowadzenie kursu modelarskiego, więcej zresztą poza podstawami wyjściowymi dać by im nie potrafił, od nowego roku będzie przyjeżdżał instruktor Aeroklubu z Poznania. Rzadko teraz bywał w wielkim, odnowionym budynku, gwarnym i jasnym jak nigdy dotąd. Umiał Lipiński dogadać się i ze starszymi, i z młodymi, czego już nie zmontował, do czego to nie potrafił ludzi zachęcić. A jeszcze miejscowe kółko rolnicze poszło w jego ślady, organizując jakieś kursy kroju, gotowania, warzywnictwa, licho wie czego. Zapowiadają wielką propagandę pszczelarstwa. Zaginęła gdzieś niemrawość miściny, tak widoczna jeszcze za pierwszych miesięcy jego instalowania sit, w tym grodzie.

Zaklął w duchu. Wszystko byłoby ładnie, gdyby nie ta przykra historia z Tomkiem. Zatrzymał chłopca u siebie, myślał o paru dniach, mijały tymczasem tygodnie, nic się nie zmieniło. Cóż zresztą miało się zmienić? Śledztwo nie wykazało niczego, nie znaleziono sprawcy, nadal najsilniejsze podejrzenia ciążyły na Tomku, choć zarazem brakło bezpośrednich dowodów. Milicja kilka razy wzywała Tomka do składania zeznań, nie wahał się, szedł śmiało, zacięty tylko dziwnie i sponurzały. Taki sam wracał.

- Co? To samo, wmawiają...- odburkiwał na pytania Okińczyca. - Dobrze, że matka w sanatorium, wstyd byłby. *Zawsze* mówiła, że wszystko mogą o nas powiedzieć, ale złodziejstwa nikt nie zarzuci. Właśnie...

Cóż miał mu odpowiedzieć, chłopak miał rację. W niewinność jego Okińczyc wierzył głęboko, miał wycucie ludzi, nigdy go dotąd nie zawodziło. Jasny gwint, co by z tym Tomkiem zaradzić? Musi poradzić się profesora Golluba, dawno z sobą nie rozmawiali. Zaprosi go po zebraniu na kawę. Dwóch starych kawalerów będzie radzić o młodych - uśmiechnął się trochę cierpko. Przyszło mu jednocześnie na myśl, że przy najbliższym spotkaniu musi się z Marią ostatecznie rozmówić. Czemu ona tak zwleka?

Przy stole po dopiero trwającym rozgwarze zapadło na chwilę milczenie. Okińczyc ocknął się, zmusił się do uwagi. Ciągle jeszcze turystyka. Rękawek czytał tekst apelu do

społeczeństwa, sumował możliwości, nieźle to wyglądało? A teraz? Sekretarz prosi o głos. Ten człowiek ma twarz wiecznie zmęczoną, ubrany jest bardzo ciepło, dwa swetry, szalik pod szyją. Podobno skutki okupacyjne. Cholera, że się od tej przeszłości nie można wyzwolić... Mówi zmęczonym głosem, tylko oczy ma jasne, młodzieńcze.

Wszłuchał się. Chodziło o sprawę fundowanych stypendiów. Żeby wzbogacić własną kadrę inteligentką, bez tego nie ruszą. Prezydium wygospodarowałyby trochę grosza, skleciłyby się ze dwa stypendia. Zarząd mleczarni w związku z planowaną budową wielkiej serowni chętnie by kształcił specjalistę od przetworów nabiałowych. To jednak mało. Powinno być tych stypendiów z dziesięć...

Wtedy coś go tknęło. Przypomniał sobie swoje dumania na cmentarzu w dzień zaduszny. Myślał naówczas wiele o Frańku, który nie dojechał do Polski, do wymarzonego miasteczka, w którym spędził ponury czas okupacji, a chciał spędzić pogodne dni... Gollub mówił, że Towarzystwo Przyjaciół wygospodarowało niezależnie od subwencji własne fundusze, mogłoby ofiarować jedno stypendium... Poklask ogólny, Winiarnia też by chętnie wychuchała jakiegoś inżyniera specjalistę. Mają kłopoty, technik poprosił o zwolnienie, ściga do Zielonej Góry, jakże w tej sytuacji rozbudowywać przedsiębiorstwo?

Nagle się zdecydował, sam sobie nawet trochę się zdziwił.

Poprosił o głos.

- Od dawna mnie korci pewna myśl pragnąłbym się wspólnie naradzić... Nie zjawiłem się w naszym mieście niespodziewanie. Miałem przyjaciela, który tu w czasie okupacji pracował na przymusowych robotach. Zaprzysiął sobie, że po wojnie wróci na to miejsce, jakby na przekór wszystkiemu, co było... Nazywał się Franciszek Lipski. Pragnął tu zamieszkać, ożenić się, mieć dzieci, a potem leżeć pod wierzbą na cmentarzu z wyrytym na jakiejś tabliczce swoim imieniem i nazwiskiem. Nieraz tak marzył przy wieczornym ognisku w buszu, gdy owijaliśmy się w skóry na myśliwskich wyprawach...

Rozmarzył się Okińczyc, przypomniał sobie wychudzoną twarz Franka, jego świecące w ciemności oczy, jak u dużego kota, cichy szept przyjaciela, długą opowieść o tej nowej Polsce, jaka powstanie także tam, gdzie tysiące Polaków kładło głowy i zlewało się potem przy niewolniczej pracy... Mówił o Franku, zapominając, że jest na zebraniu prezydium Towarzystwa Przyjaciół, ciągle miał przed oczyma nieprzemierzony busz, przykryty śniegiem, a na tym śniegu ich dwoje, zdążających pieszo, przedzierających się na nartach, cisnących się na maleńkim, wysłużonym płatowcu...

W pewnej chwili spostrzegł się, dojrzał wlepione w siebie wejrzenia, ciepłe, zasłuchane. Przypomniał sobie późną porę, urwał, nagle zakłopotany.

- Bardzo przepraszam, zbyt silny był nawrót wspomnień. Chciałem też wytłumaczyć, dlaczego wystąpię z pewną prośbą.

- Bardzo nas to wzruszyło, co pan mówił - miękko rzekł profesor Gollub, zdejmując do przetarcia swoje binokle. Dziwnie wyglądały teraz jego oczy bez przykrycia szkieł, wyłupiaste jakieś i zapadnięte zarazem.

- Już dawno myślałem, w jaki by sposób uczcić pamięć przyjaciela, nie bohatera, ale dobrego, szarego człowieka. Nie ma powodów, by jego imieniem nazywać ulicę, w końcu są takich Lipskich tysiące. Pomnika mu nie wystawię. Ale teraz mnie tknęło, gdy posłyszałem o wspomaganium młodzieży w nauce. Chętnie bym ufundował jedno, może dwa pełne stypendia, również w okresie wakacyjnym mógłbym zapewnić tym studentom pobyt u siebie. Tylko... tylko czy można by nazywać te stypendia imieniem Franciszka Lipskiego? Bardzo by mi na tym zależało...

Spojrzał w zmęczoną twarz sekretarza. On wie najlepiej, niech powie. Sekretarzowi zaś oczy błysnęły, szepnął:

- Można, oczywiście że można...

Nastrój zasluchania nad jednym z polskich losów przeminął, ożywiło się, gratulacje, ściskania dłoni. Okińczyc zaśmiał się w pewnej chwili.

- Krąży o mnie opinia jako o najgorszym kapitaliście, nieomal krwio pijcy. Teraz dopiero zahuczy, bo jakże, jakby wielki fabrykant, funduję stypendia...

Śmiech. Rękawek aż twarz ociera wielką kraciastą chustą.

Okińczyc też się śmieje, ale poza tym śmiechem nurtuje wspomnienie łobuzerskich pokrzyków paczki młodych szczeniaków, swój gniew za poparcie udzielone Tomkowi wyładowujących właśnie w podobny sposób. Za wiele sobie pozwalają pętaki, Tomek tkwi przez nich jak w więzieniu, ciągle straszą, że go pobiją. Bez zwłoki należy rozmówić się z profesorem Gollubem. On ma wpływ na tego brodacza plastyka, u tej smarkaterii także cieszy się szczególnym wzięciem.,

Ucieszył się, gdy zakończyli to ważne niewątpliwie zebranie. Podeszedł do profesora.

- Miałbym wielką ochotę napić się z panem kawy... Czy można prosić? Chcę się pana poradzić...

Nie bardzo to było Gollubowi na rękę. Spojrzał w twarz Okińczycy, znalazł w niej odbicie jakiejś tkwiącej gdzieś w sercu zadry, skinął 'głową. Pomyślał, może to o Marii będzie rozmowa, Szymborskiej zaś życzył zawsze najlepiej i gotów był dla tej kobiety poświęcić niejedno...

- Zgoda, najchętniej... Z tym, że proponuję, byśmy wypili tę kawę u mnie w domu.

Następna, obiecuję, na pańskich włościach... - uśmiechnął się.

Znał to niewielkie mieszkanie tuż obok szpitala. Po śmierci żony Gollub oddzielił ścianką jeden pokój, mieszkał w nim teraz kierownik szpitalnej sanitarki. Ale i w pozostałych dwóch pomieszczeniach było przyjemnie i choć od dawna brakło tu ręki kobiecej, nastrój panował ciepły, domowy.

Okińczyc myślał o tym, rozglądając się po pokoju w czasie, gdy profesor podreptał do kuchni zaparzyć kawę. Książki, pisma, nie bez kozery kioskarski „Ruch” mawiał, że wystarczyłoby mu dwudziestu takich klientów jak Gollub, przekraczałyby obecne obroty. Przykro się nawet Okińczycowi zrobiło, że on sam czyta tak niewiele, warto by zaprenumerować parę tygodników, nie można się odrywać od całego świata. Sami umieścili w statucie Towarzystwa punkt mówiący o potrzebie utrzymywania żywej łączności ze wszystkim, co dzieje się w kraju...

Na niewielkim, jasnym biurku stała oprawiona fotografia niemłodej już kobiety. Okińczyc podniósł się z fotela, podszedł bliżej. Spokojna, miła twarz, jakiś bardzo łagodny uśmiech, ale w wyrazie warg zdecydowanie i stanowczość. I czoło wysokie, dumne. W oczach za to jakby umiejscowiona sama jedynie dobroć. Któż to?

Drgnął, słysząc za sobą głos Golluba.

- Żona... Choć dawno jej nie ma, w jakiś sposób odczuwam przecież jej obecność przy sobie, może to emanuje wszystko dobro, którego od niej zaznałem. Wiele poświęciła dla mnie. Sama była naukowcem, zyskała doktorat psychologii, interesowało ją zwłaszcza zagadnienie rehabilitacji dzieci upośledzonych, niewiele brakło do docentury, nie zaprzestała bowiem pracy nawet w czas wojny. Aż ja wróciłem z obozu złamany, z wykrzywionym spojrzeniem na świat, nieufny i podejrzliwy wobec ludzi, jeszcze z tysiącem kompleksów... Porzuciła wszystko, przywędrowaliśmy tutaj, obawiam się, że byłem zbyt zachłanny, egoizm mój czerpał z niej wszystko, a dawał? czyż ja wiem, chyba niewiele... Bardzo ją kochałem, radziłem się we wszystkim, ale oprócz tej miłości miałem szpital, chorych, medycynę, ona zaś tylko już mnie. Próbowwała śledzić tutaj postępy w swoim zakresie wiedzy, pisała coś, publikowała, nie było warunków, za mały ośrodek. Zajęła się tylko moją osobą...

Westchnął, i jak zawsze gdy był wzruszony, zdjął swoje binokle, przecierał szkła dziwnie, dziwnie bezradny, ślepiący jakby wstydliwie oczami krótkowidza. A potem w jednej chwili zmienił się, sylwetka wyprostowała się, poważny uśmiech na chudej twarzy, zapraszający gest dłoni:

- Cieszę się, że pan wstąpił. Trzeba mi pogawędki. Zmęczony ostatnio się czuję, w tym tygodniu miałem trzy bardzo ciężkie operacje, nie mówiąc o normalnych zabiegowych

historiach. Czworo nas jest, za mało na potrzeby szpitala... - ożywił się. - Ale, wie pan, wywojowałem cztery dalsze etaty z chwilą uruchomienia nowego skrzydła. W przyszłym roku. Według, jakże się to nazywa, aha, harmonogramów, w czerwcu powinniśmy skończyć budowę. Potem wyposażenie sal, na listopad otwarcie. Niewiele czasu... Stoczyłem straszliwą batalię w Warszawie, aż się minister na mnie rozzłościł - zachichotał serdecznie. - Wywojowałem swoje. Elektrokardiograf, dwa rentgeny, świetne zaplecze operacyjne. Od razu kwalifikacja do największych szpitali w Zielonogórskim.

- I do najlepszych.

- To teraz, zobaczymy, co będzie dalej. Proszę, cukier... Jakże, drogi panie, u pana? W warsztacie? Kapitalistyczna, jak pan mówił, fabryka ruszyła z impetem? Właściwie dobrze, że pan podjął produkcję jednego detalu, antyimportowa historia, dostawa do jednych rąk, bez kłopotów z urzędem skarbowym, podoba mi się to... Dziwi pana, skąd tak szczegółowo znam pana sprawę? Maria opowiadała. Trudno, winien się pan z tym zgodzić, nie mamy przed sobą tajemnic.

Okińczył uczynił nieco bezradny ruch dłońmi. Gospodarz zaśmiał się.

- Ja gładzę, a pan wspominał, że chciałby się w czymś poradzić?

- Właściwie nie wiem, czy słuszne, że trudzę tym pana. Szpital, prezesura Towarzystwa...

Gollub przychylił się nagle ku filizance. Przełknął kilka łyków, nim podjął temat.

- Poczuję się zażenowany, gdy pan wspomniał o Przyjaciołach... Śmieszne, zarzekałem się swojego czasu, że będę uciekał od prac społecznych. Odmówiłem kochanemu Rękawkowi, co wcale niełatwe, piła z niego. I nagle, wszystko na odwrót. Przyczyna właściwie w pewnej głupiej, jednostronnej korespondencji. Oto co jakiś czas pisuje do mnie pewien bubek z NRF, pono dawniej pracujący tu lekarz. Chwali, i owszem, zachodzę ciągle w głowę, skąd aż tak jest bestia poinformowany, a potem obiecuje dobre przyjęcie, gdy on tutaj powróci... Rozwścieczyło mnie to, zadzwoniłem do naszego historyka, że się zgadzam, dzieje się wola Boża. No i stało się.

- Ale jest pan zadowolony.

- Coś się robi, wie pan, to ważne. Bo właściwie wystartowaliśmy ostatnio z kopyta. Cegielnia, winiarnia, fabryka cukierków, szkoła pielęgniarska, poszerzenie szpitala, nowe budownictwo.

- Neony...

- A tak, żeby pan wiedział, że i neony. To czasem więcej świadczy niż wiele innych rzeczy, to nadaje charakter, stwarza klimat... Wszystko w sumie stanowi skok w poziomie życia ludności; stabilizacja, perspektywy, wszystko pięknie, ale ciągle tylko w materialnym

niejako aspekcie. A co dla tak zwanego ducha? Slogan, ale prawdy w nim sporo. No i próbujemy przez Przyjaciół, przez Dom Kultury...

- O tym Domu Kultury pragnąłbym parę słów szepnąć - szybko wtrącił Okińczyc. Zdziwiony był elokwencją profesora. Nigdy tak wiele nie mówił.

Gollub urwał, spojrzał bystro na swego gościa.

- Może się trochę domyślam. O tego malca panu chodzi?

- Tak. Cieszę się, że pan mi dopomógł... Po kradzieży zaistniałej w Domu Kultury zabrałem chłopca do siebie. U mnie mieszka. Lubię go. A najważniejsze, że ani przez moment nie wierzę, by on mógł to zrobić. Spotyka go wielka, niezasłużona krzywda. Takim posądzeniem można zabić charakter. Tomek stał się mrukliwy, posępny, zamknięty w sobie, nie może zapomnieć i tego bicia, i śledztwa w milicji, i ciągłych pogrózek od szacownych koleżków, że go zatłuką, złodzieja...

- Rozumiem. Dowodów nie ma. Jednak z drugiej strony tacy smarkacze mają instynkt. A oni wszyscy wskazują na niego palcem. Nawet najlepsi przyjaciele, choćby ten Szwabachowski.

- To drań, nabiera pana, profesorze!

- O, proszę, skąd taka opinia? – Brwi Golluba powędrowały wysoko ku górze. - Ja tego chłopca znam już od dawna... Była kiedyś taka historia z kotem, z moim kotem - obejrzał się - nie ma łajdaka w domu, ciągle się włóczy po nocach, marca nie czeka. Otóż, wracając do Stefka Szwabachowskiego. To bardzo wartościowy materiał. Wodzirej w chuligaństwie, było tak, było, teraz pierwsze skrzypce ma po Lipińskim. Plastyk nie może się go nachwalić. A posłuch w całej tej zgrai zyskał niesłychany, wrodzone wodzowskie talenty.

- Pierwszy dał hasło, żeby całą gromadą natrzeć na bezbronnego, pięściami i kopniakami, dlatego tylko, że im się zdawało... Tego chyba pan nie pochwali? A ciągle odgrazania, jakieś typy włóczące się pod moim domem w oczekiwaniu na Tomka, łobuzeria, pokrzykująca za mną, że kapitalista, osłaniam złodzieja. Też to piękne u tego Szwabachowskiego, profesorze?

- uniół się, mówił ostro i popędliwie.

- Ma pan pewność, że Stefan to robi, on inspiruje?

- Przypuszczam...

- I wypowiada pan sądy tylko w oparciu o to przypuszczenie. Tomka też stłukli polegając na przypuszczeniu.

- Tam już był Szwabachowski na pewno!

- Tu ma pan rację... Widzi pan, ja się na Jarudze zawiodłem. Znam całą rodzinę. Tę małą Margisę, z nią zresztą jest znacznie lepiej, znam matkę, biedaczka, czy wyjdzie z tej choroby,

bardzo zaawansowana, wiem też niejedno o Mili, pupilka wszak pani Marii... Może dlatego zawód uczyniony przez Tomka przeżyłem silniej niż trzeba...

- Skąd pewność, że uczyniony, profesorze?

- Hm, prawda... Wracając jednak do Szwabachowskiego. Odruch z biciem był na pewno nieładny. Ale i on, i jego koledzy, łobuzeria do niedawna, dopiero wchodzą w nowy tryb życia, przejmują pewne obowiązki, garną się do tego Domu, uważając go za swój dom i nagle spada cios, na samym początku, kradzież, plama na wszystkich, dyshonor. To tłumaczy ostrość reakcji.

- Może... - nienajprzejmiej burknął Okińczyc. Właściwie dosyć miał tej rozmowy, nic z niej nie mogło wynikać dla Tomka dobrego. Profesor jest ciaśniejszy, niżeli można było przypuszczać. Niby ma rację w tym, co mówi, ale zarazem jej nie ma. W jego rozumowaniu tkwi błąd.

Zupełnie bezwiednie spojrział ku fotografii Gollubowej. Psycholog, właśnie od spraw takiej zaniedbanej dzieciarni, ona by na pewno znalazła właściwe podejście.

Gollub złapał ukradkowe spojrzenie swojego gościa. Nic nie powiedział, łyżeczką mieszał w filiżance. Zapadło długie milczenie. Okińczyc miał ochotę zbierać się do odejścia. Zły był. Pomyślał, że wstąpi do „Piaستowskiego”, spróbuje zdławić ten nastrój paru kieliszkami wódki. Podrzucił głowę, bo Gollub mówił zupełnie innym aniżeli uprzednio tonem.

- Widziałem pana spojrzenie... Ma pan rację, umiałaby tu *zaradzić*. Bronilem się przed pana atakiem, by stłumić w sobie samym uczucie, że naprawdę jest tu coś nie w porządku. Staram się zrozumieć tych młodych, pomagam im, choć wcale nie jest to łatwe. Oni bardzo szybko wyrosli, nie tyle sporo nas dzieli, ile po prostu idziemy trochę innymi szlakami. Taki ramol jak ja, pomimo wszystko ciągle nie mogę wygrzebać się ze wspomnień przeszłości, oni zaś patrzą w jutro, widzą międzyplanetarne rakiety, swoje w nich miejsce. To jest olbrzymi skok dalej i wyżej... Z drugiej strony są straszliwie dziecinni i łatwi do prowadzenia. Oschłość, fanfaronada, to wszystko pozory. Czasem myślę, że to pokolenie, wbrew wszystkiemu, jest piekielnie romantyczne, bardziej może niż trzeba. Tyle, że potrafią to skryć.

Wyciągnął dłoń do Okińczyca, zdumionego nagłym zwrotem w myśleniu starego lekarza.,'

- Niech mi pan wybaczy. Tomkowi rzeczywiście dzieje się krzywda. Pan powinien znać ludzi i skoro pan mówi, że on tego nie zrobił, tak chyba jest. Zastanowię się, porozmawiam z Lipińskim, dobry człowiek z naszego plastyka, żądano, by rozwiązał radę młodzieżową, zmienił styl pracy, nie dawał tyle swobody młodym. Odmówił, przyszło jakoś... Ze Szwabachowskim też porozmawiam. To naprawdę niegłupi chłopak. Obiecuję panu, na

pewno coś zrobię w tej sprawie...

Gdy Okińczyc odchodził, przytrzymał go jeszcze.

- Kiedy wreszcie ślub, panie Teodorze? Najwyższa pora. Z Połą wszak spokój?

- Zupełny. Tylko uczy się źle... Tamto jej chyba minęło - mówiąc to, wcale nie był pewny swych słów. - Kiedy ślub? Chciałem na nowy rok, ale już za późno z formalnościami, Maria się czemuś ociąga...

- Zmyję jej głowę, stanowczo zmyję... Wobec tego inna propozycja. Może byśmy wszyscy spotkali nowy rok u mnie? Maria, nie obejdzie się bez Poli, pan, może ten pocieszny Rękawek, moi lekarze, ci, na których nie spadnie ostry dyżur, jeszcze parę osób. Zgadza się pan?

Była szczęśliwa, może po raz pierwszy w życiu tak naprawdę, bez reszty, szczęśliwa. Z oświetlonych, hałaśliwych ulic miasteczka dobiegały zewsząd rozradowane głosy, zmieszane dźwięki muzyki waliły zza okien domów, z Domu Kultury, ze strażackiej remizy, z „Zacisza” i kto może wiedzieć, skąd jeszcze. Nie pamiętano w miasteczku tak powszechnej zabawy...

Docierało to do niej jak przez sen, z daleka, może tylko jako przydatek barwy do własnych jej odczuć. Szła pomiędzy nimi pośrodku, trzymana pod ramię z jednej strony przez Połę, z drugiej od serca, przez Okińczyca. Jakże żałowała, że droga od Golluba do jej domu przy szkole jest tak krótka, szłaby nią dziś bez końca... Okińczyc coś mówi, też jest uradowany, jak to dobrze jest wiedzieć, że ktoś inny jednocześnie przeżywa podobny stan pełnej radości z własnego szczęścia. - To jutro już ustalimy, Dorek - prycha ze śmiechem. Gdzież tu pora się teraz umawiać, jest telefon, z samego rana mogą się porozumieć, choć nie, będzie spała długo, długo, leżąc leniwie będzie rozpamiętywać i marzyć. Dobrze pozwolić sobie tak na marzenia, które mają pełną szansę spełnienia, zwłaszcza, gdy tych marzeń zawsze sobie odmawiało.

Pola milczy, wygląda na zmęczoną. Uczy się, trochę lepiej jej idzie ostatnio, noc zresztą późna. Pola, zapora stała jakiś czas między nimi, ale teraz to już przeszłość, już nie zamykają się na noc drzwi między jej pokojem a sypialnią tej małej... Małej, ostatnia z rodziny, najmłodsza, jakże się o nią bała, chyba najbardziej, gdy po śmierci rodziców całe bractwo spadło jej jak pisklęta na barki. Trudny był czas, bardzo trudny, wtedy przyzwyczała się nie spać, po świt, bywało, meła w młynku od kawy pszenicę, przydzieloną w ten paskudny rok myszy i roztopów. Pola śmiesznie dreptała ku niej, szczebiotała, że chce pomagać...

Dorek przytula do siebie jej ramię. Jej Dorek. Już nie myślała, że będzie mogła mówić o jakimś mężczyźnie: mój. I nagle się zjawiał, jakby spadł z nieba.

Maria śmieje się cicho. Bo naprawdę jest w tym trochę sensu. Dorek był wszakże lotnikiem, latał pod niebem...

Trzeba się żegnać, szkoda, ale to nic, znów będzie jutro, znów się spotkają, coraz częściej będą się widywali, aż wreszcie zostaną z sobą na zawsze, już razem i razem... Kiedy to? Piętnastego lutego? Półtora miesiąca, długo, a i krótko zarazem. Jak to czasem śmiesznie kojarzą się sprawy, pojęcia, znaczenia. Krótko i długo, długo i krótko.

Profesorowi należałby się solidny klaps. Zdradził ich tajemnicę, wczoraj się wygadała przed nim, zaraz następnego dnia, jak ustalili termin. Nie zastrzegła się wprawdzie, ale jednak, mógłby poczekać... Wdzięczna była Gollubowi zarazem, gdy przy noworocznym toaście, po ostatnim uderzeniu zegara, złożył gratulacje, niejako oficjalnie akceptując ich narzeczeństwo. Nawet zażartował, czy do piętnastego lutego zdąży sobie sprawić nowe ubranie... Ech, kochany profesor. Wspomnił kiedyś, że ona mu pomagała, po śmierci żony stała się oparciem w trudnych chwilach. Tymczasem na odwrót, ona wiele jemu zawdzięczała, bardzo wiele. Dorek się zgadza, będzie Gollub świadkiem ich ślubu..

- - Co, Polu?

- Stoisz, uśmiechasz się, ale jest bardzo zimno...

- Tak, zimno, możecie się przeziębnić - niechętnie podjął

Okińczyc.

Maria stłumiła w sobie westchnienie. Jutro, jutro, nic się przecież złego nie dzieje...

Szczęśliwa, lekko podhumorzona wypitym winem, myjąc się do snu, jeszcze sobie podśpiewywała, jeszcze się cieszyła tym jutrem. Pewnie Dorek zadzwoni z samego rana, potrafi w ogóle nie spać, skąd się w nim biorą te siły?

Gdzie jest Pola? Wyjrzała, w pokoiku dziewczyny paliło się światło.. - Śpisz już?

- Nie jeszcze, nie chce mi się spać, ani trochę...

Gdy wróciła do swego pokoju, zdziwiła się widząc, że Pola stoi w drzwiach łączących ich pokoje. Nie zwróciła na to uwagi, choć przeszkadzała jej dziś obecność siostry. Pragnęła być sama ze swoim szczęściem. Ale może Pola ma jakąś sprawę?

Siadając na tapczanie, pytająco spojrzała na siostrę. Coś w niej podniosło się lękiem, zadygotało. Pola jest bardzo blada, patrzy na nią tym dawnym wzrokiem, kiedy to rosła między nimi nienawiść, wargi ma zaciśnięte, jedną ręką mocno trzyma się za framugę.

- Pola, co z tobą?

Zgrzytliwy półuśmiech.

- Nic, nic, zaraz mi przejdzie. Często teraz to miewam. Dziwnie, że ty, Mario, nie zauważyłaś niczego.

Nie pojmowała.

- Czego nie zauważyłaś? Chora jesteś, coś ci dolega?

- Nic, zwykle zawroty głowy, mdłości, jeść mi się nie chce, jeszcze gdyby jakieś ogórki z octu, coś bardzo kwaśnego; wiesz, soku bym wypła z kiszzonej kapusty.

- Pola, co ty mówisz?

- Słyszysz. Powinnaś się znać na tych wszystkich objawach. Ty, siostra przełożona szpitala, teraz dyrektorka szkoły pielęgniarstwa.

Znowu półuśmiech, ni to smutny, ni to złośliwy. W Marii narasta lęk, zmienia się w przerażenie. Nie poddać się mu, pohamować nerwy, może się myli, trzeba spokojnie, ale bardzo to wszystko jednoznaczne...

- Pola, czy ty... czy ty... - nie, nie mogła tego wymówić.

- Tak, ależ najbardziej tak. Jestem w ciąży, trzeci już miesiąc. Zdarza się młodym, ładnym dziewczętom, zwykła rzecz.

- Pola, żartujesz, to nieprawda.

- Prawda, Mario kochana, prawda.

- Czemuś mi dotąd nie powiedziała, dopiero dziś... Czemu?

- Ach, byłoby łatwiej usunąć, tak myślisz?

- Pola jak śmiesz!

- Przepraszam, jeśli obrażam twoją moralność, Mario. Bardzo przepraszam. Przykro mi, że musiałaś się jednak dowiedzieć. Żal mi było ciebie, dlatego milczałam.

- Co to znaczy?

- Nie pojmujesz dzisiaj najprostszych słów. Po prostu było mi ciebie żal.

- Dlaczego? Nie chciałaś, bym się martwiła, że ty...

- Że ja, tak, i że on. Może najbardziej, że właśnie on.

Maria już stała naprzeciw niej, chwyciła siostrę za przeguby dłoni, ohydny, śliskim lękiem pełzło coś w niej ku sercu, mroziło gardło, dławiło słowa i myśli nie wypowiedziane, jeszcze nie nazwane nawet do końca.

Długie chwile milczenia. Pola uśmiecha się drwiąco, patrzy w twarz Marii. Zza okien mocniejszym echem bucha do wnętrza akord muzyczny. Maria puszcza dłonie dziewczyny, opanowuje się. Odruchowo przegładza nawet swe przeźroczyście-siwe włosy. Potem łagodnie ujmie siostrę pod ramię, prowadzi ku tapczanowi, na którym sypia, sadza, obejmuje serdecznie, niemal tkliwie.

- Daruj, dziecko... Już się opanowałam. Opowiedz mi teraz wszystko. Zastanowimy się, co dalej robić... Kto to? Znam go?

Pola zanosi się hałaśliwym śmiechem, aż się przechyla do tyłu, na świeżo zmienioną pościel. Maria znów czuje mrozący lęk.

- Ty jeszcze nic nie rozumiesz, naprawdę nic nie rozumiesz, Mario? Nie domyślasz się, z kim będę mieć dziecko?

- Nieee.

Pola zrywa się, staje przed siostrą, ujmuje się obu rękami pod boki; Głos ma inny, twardy i odpychający.

- Z Teodorem! Z Teodorem Okińczycem.

- Och!

Cisza. Maria zakrywa twarz dłońmi. Co ona powiedziała, z Okińczycem, to znaczy z Dorkiem? Z nim, z nim? Ślub piętnastego lutego, jej, Marii i jego. Ślub, a tutaj Pola, dziecko, jakież to ohydne, jakież obrzydliwe, jakież okrutne. Nawet nie ma sił, by płakać, tkwi tak jedynie z twarzą zakrytą dłońmi, jest jej ciężko, bardzo ciężko i smutno. Tak się czuła dzisiaj szczęśliwa, myślała, pierwszy raz w życiu ma prawo do własnego, osobistego szczęścia. A teraz koniec. Pola. Dorek. Nie, już nie Dorek, już on, Okińczyc, już daleki i obcy, już nie ma prawa być bliski, nie ma prawa, nie ma prawa...

Mijają minuty, może godziny, Maria nie wie, nic już myśleć nie może, wszystko kotłuje się, wiruje, dziwaczne myśli, przerwane, nie dokończone. Aż w którymś momencie odrywa dłoń od oczu. Pola stoi w tej samej pozycji, wyraźnie znużona. Tylko wargi nadal zacięte złośliwie! złe spojrzenie, tamto spojrzenie.

, Patrzy na siostrę stojącą przed nią, jakby na obcą osobę. Zgrabna, ładna, młoda. No tak... A ona już niemłoda, zmęczona latami niełatwego życia, siwa, ze zmarszczkami około oczu, ze spracowanymi rękami. Na figurze znać także nie tyle może lata, ile ich ciężar. Jak to Pola kiedyś już powiedziała? Że jest stara i brzydka... Prawda, trzeba było zawczasu to pojąć, nie łudzić się nadzieją szczęścia, miłości.

- A tyś myślała, że Okińczyc to anioł? Że on tylko ciebie, że go nie przyciągnie młoda kobieta? Naiwna byłaś, Mario... - szyderstwo w głosie Poli, ale jakby i niepokój.

Maria kiwa przytakująco głową. A potem mówi zdumiewająco spokojnym, choć ledwo nad szept mocniejszym głosem.

- Usiądź, Polu. W tym stanie niewskazane ci męczyć się... Opowiedz, kiedy to się zdarzyło, czy, czy może kiedy zaczęło?

- Chcesz wiedzieć?

- Chcę.

W oczach Poli zdumienie, gdy słyszy to twardo powiedziane: chcę. Ale zaraz inny błysk, ten, który Maria dostrzega, zimnej nienawiści.

- Krótka po otwarciu szkoły... Pojechałaś do Zielonej Góry na odprawę dyrektorów szkół

zawodowych. Wtedy... Chcesz dokładnie? - Pyta, by zyskać na czasie. Bo oto przypomina sobie dokładnie tamten wieczór, noc już właściwie. Z pełną wyrazistością, z odżywającym bólem.

- Mów, Polu, nie chce, byś mi czegokolwiek zaoszczędziła.

- Więc wtedy... Już dzień wcześniej umówił się ze mną. Pojechaliśmy fordem na spacer, byliśmy za Kargową, potem wróciliśmy, zaproponował, niemal gwałtem mnie wciągnął do siebie... Piliśmy, jedliśmy, był bardzo wesoły, mówił, że mnie kocha...

- Że ciebie kocha...

- Tak, że kocha... - trudno jest Poli mówić, bardzo trudno, tak dobrze przecież pamięta. A potem, potem no wiesz, łóżko i tamto...

- Że ciebie kocha - szepnęła znów Maria, jakby nie dotarło do niej to wszystko, co siostra wypowiedziała później.

- Silny był, piękny, taki... taki męski - wybuchnęła Pola gwałtownie, jakby chcąc przygłuszyć w sobie to wszystko inne, co wylaniało się we wspomnieniu tamtej nocy. - I o tobie mówił, śmiał się, mówił, że jesteś stara i...

Maria drgnęła, uważnie spojrzała na Połę.

- Naprawdę tak mówił? Aż tak był podły?

- Podły? Szczery!

Jeszcze przed nowym rokiem, zgodnie z obietnicą, profesor Gollub zajął się sprawą Tomka Jarugi. Rozmawiał długo z Lipińskim, specjalnie poprosił do siebie Szwabachowskiego.

Z wychudłym plastykiem poszło łatwiej. Lipiński sam miał niejakie wątpliwości, czy postępowanie jego zgodne było z ja-miś normami pedagogicznymi.

- Pewnie - powiedział - mogła stać się Jarudze krzywda, za rękę nikt go nie złapał, choć niby wiele by wskazywało na niego... Milicja niczego też nie wykryła, to właśnie najgorsze. Ciągłe nic nie wiadomo, mnie zaś łeb zmyto jak jeszcze nigdy. Już zamierzałem zrezygnować z mej funkcji, żal mi się tylko zrobiło, nieźle się zaczęło rozkręcać. Ale z Jarugą? Profesorze, jednak to chyba jest osiągnięcie, jeżeli nastąpiła tak ostra reakcja ze strony jego najbliższych kolegów? Zrodziło się w nich poczucie wspólnej własności, troska o Dom, pracownię, związaną z tym nowym, co tutaj spotkali?

- Ostra reakcja, zaiste! Gromadą tłuc jednego, jeszcze nie wiadomo czy słusznie? To nazywa się osiągnięciem? - Gollub był zły, że mówiąc tak, przyznaje rację argumentom Okińczyca, przed którymi tak bardzo się bronił.

-- Oni mają swoje sposoby. Nie pochwalam ich, stwierdzam, że są. Nadszedłem pod

koniec, zaraz zrobiłem porządek... Więc jak profesor radziłby rzecz rozwiązać? Udać, że nic się nie stało, przyjąć Jarugę z powrotem. Nadal mu zlecić pieczę nad pracownią fotograficzną? Można spróbować. Tylko pytanie, co chłopcy na to?

- Porozmawiam z chłopcami. Niechby Szwabachowski zajrzał do mnie wieczorem. To także dziwny okaz...

Okaz pojawił się bez zwłoki. Czuł się zaszczycony wezwaniem samego profesora, tyle, że w głowę zachodził, o jaką tu sprawę chodzi. Pierwszy raz dochodziło do podobnego zbliżenia.

Poczęstowany herbatą siedział niepewnie w głębokim fotelu, drżąc, by krucha filiżanka nie wypadła mu z rąk.

- Stefek, co powiesz mi o Jarudze?

- Złodziej i świnia, panie profesorze. To był mój kumpel, ja go też wciągnąłem do Domu Kultury. On zaś wyskakuje z podobnym draństwem. Zatłukłbym faceta, ale kryje się u Kanadyjczyka, ten czemuś sobie w nim upodobał. Cholera, żeby naszą gotówkę i aparat ukraść, tego by riikt inny nie zrobił. Bękart, psia jego... przepraszam, panie profesorze.

- Nie szkodzi, byłeś szczerze mówił... Więc jesteś przekonany o winie Jarugi?

- Kto mógł być inny? On tylko miał klucze od pracowni. Wychodził na dwór, mówi, że szukał Milki, swojej siostry, a jej w ogóle nie było na zabawie. Po co łgał? Proste, jakoś się musiał tłumaczyć. - Dorzucił zaraz z niejakim podziwem: - Ale twardy on jest. Inny, żeby tak dostał po zębach, dawno by wszystko wyśpiewał.

- Stefek. Dałbyś głowę, że to na pewno Jaruga?

Podrapał się w wymienioną przez Golluba część ciała.

- Żeby tak naprawdę chodziło o głowę, to bym się wstrzymał. Ale chyba Tomek.

- Jeżeli jednak się mylisz?

- To byłoby bardzo głupio, panie profesorze!

- Możesz jednak się mylić... Coś ci, chłopcze, poradzę. Przestańcie, po pierwsze, urządzać głupie kawały pod domem pana Okińczycza. On wierzy w Tomka niewinność, dlatego go osłania przed wami. Poza tym, żeby mi Jarudze włos nie spadł z głowy. A jeszcze, zgadza się na to pan Lipiński, niechby Tomek wrócił do Domu Kultury.

- Panie profesorze!

- Spokojnie, przemyśl sobie... Bo jeżeli Jaruga jest naprawdę niewinny, jeżeli ukradł ktoś inny?

- Pal sześć, niech sobie przychodzi. Nikt go nie ruszy. Ale sztamy też nikt z nim trzymać nie będzie. Ja nawet bym nie potrafił, panie profesorze.

- Wystarczy. Może się sprawa wyświekli, takie rzeczy dojrzewają powoli, wtedy będziemy dalej rozmawiać...

Zaraz potem przekazał relację z obu rozmów Okińczycowi. Ten słuchał uważnie, burknął, że rozwiązanie takie jest połowiczne, zgodził się jednak, że nie można żądać więcej w tej sytuacji. Obiecał powiadomić Golluba, jak Tomek zareaguje na wiadomość.

Z reakcji chłopca Okińczyc był w duchu szczególnie rad. Sam by nie postąpił inaczej. Tomek wysłuchał, głową kiwał, potem powiedział z niespotykaną gwałtownością:

- Z taką łaską mogą mnie gdzieś całować. Łaskawcy, do Domu przyjmują. Ale z tyłu, już ja to znam, poszeptywać będą, żem bękart i złodziej. Nie chcę, nie pójdę. Dobrze mi i bez Domu Kultury. Niech znajdą złodzieja, niech się wszystko wyjaśni, wtedy co innego można gadać. A ja sam już pomyślę.

Zapominając o względach należnych Okińczycowi, z chmurną twarzą zawrócił do stołu, przy którym wybijał sztancą otwory w blasze.

Potem... potem już Okińczycowi nie w głowie były Tomka sprawy. Nowy Rok razem z Marią spędzili u profesora, oficjalnie ogłosili swe zaręczyny, mieli się następnego dnia spotkać. I wtedy wybuchła bomba.

Próżno dodzwaniał się do domu Marii pierwszego stycznia. Sam potem pojechał, stukał, dobijał się, nikt nie otwierał. Wreszcie z kotłowni przy szkole wygramoliła się dozorczyńni, zasepeliła, że pani dyrektor kazała mówić, iż wyjechały z siostrą do Niesusza, wrócą za kilka dni.

Uderzyło go to jak obuchem przez łeb. O Niesuszu nie było mowy. Po cóż Maria ukrywała przed nim swoje projekty. I w ogóle można było ten wyjazd odłożyć.

Najbliższe dwa dni, zmartwiony i trochę zagniewany, spędził samotnie w domu. Potem znów zaczął telefonować. Podniosła słuchawkę Pola.

- Maria źle się czuje, przeziębiła się, głowa ją boli, prosiła, żeby pan zadzwonił za parę dni...

- Co? Pola, co się stało?

- Ależ nic, proszę pana.

W głosie dziewczyny wyczuł zjadliwy, nieżyczliwy ton. Zaraz zresztą odwiesiła słuchawkę. Niczego nie rozumiał. Maria nagle wyjeżdża, potem jest chora, nawet nie chce podejść do telefonu, co to wszystko ma znaczyć?

Nakręcił numer Golluba. Profesor mówił - bardzo chłodno, skąpiąc słów. Tak, pani Szymborska jest chora, nie wiadomo, może się wykluje coś poważnego, żadną miarą nie można jej niepokoić... Potem Gollub przeprosił, że bardzo się spieszy, więc musi skończyć

rozmowę.

Cały tydzień wytrzymał. Po tygodniu wdarł się niemal siłą do domu Marii. Gdy od drzwi śpieszył na przywitanie, odepchnęła go wyciągniętą ręką:

- Słucham pana?

- Mario??!

- Dobrze, że pan przyszedł, choć dziwi mnie, że nie domyślił się pan przyczyny mego milczenia. Wiem wszystko. Nie chcę używać mocnych słów, proszę je sobie dodać. Pola niczego przede mną nie ukrywała. Jest w ciąży z łaski pana, ja zaś zostałam okłamana w straszliwy sposób.

Powiedziała to jednym ciągiem, jak wyuczoną lekcję, jak nie swoje słowa, dłońmi wspierała się silnie o biurko, widział, palce zbieleły z wysiłku, jakby spłynęła z nich cała krew.

- To nieprawda, Mario! - krzyknął, stojąc jak skamieniały.

- Pola, powiedz temu panu, co jest prawdą, a co nieprawdą, niezwykłym wysiłkiem hamował wzburzenie. Podła żmija, taki sposób więc obmyśliła? Już on jej pokaże.

- Wszystko, co Maria mówiła, jest prawdą. Sam pan wie o tym najlepiej.

Zachłysnął się zdumieniem i oburzeniem. Mówiła to patrząc mu prosto w oczy, z jakimś półuśmiechem na twarzy.

- Kłamstwo!

- Tej nocy, jak Maria wyjechała do Zielonej Góry, wtedy pan mnie zniewolił, nawet nie to, ja się sama zgodziłam, tak pan zapewniasz, że mnie kocha...

Szarpnął się ku niej wielkim susem, Maria przegrodziła mu drogę.

- Sprawa jasna. Wypraszam awantury w moim domu. Będzie go pan łaskaw opuścić.

Wyciągnięta dłoń, niedwuznaczne poparcie słów.

- Mario! - zajęczał niemal, zdruzgotany, oszołomiony tym wszystkim.

Ostry, nieznany błysk w jej jasnych, tak bardzo jasnych oczach.

Wyszedł, na progu zatoczył się jak pijany. W budynku przyszpitalnym wydało mu się, mignęła w oknie wysoka sylwetka profesora Golluba. Pobiegł tam, dzwonił, milczenie, nikt nie otwierał.

Gdy dowlókl się nie wiedząc jakim sposobem do swego domu, kompletnie wyzuty ze zdolności myślenia, drogę zastąpił mu podniecony Tomek:

- Proszę pana, Wacek uciekł, już tydzień temu, przez milicję go teraz szukają... Wie pan, ja myślę...

- Odczep się, nic mnie nie obchodzi ani twój Wacek, ani co myślisz...

Znów bombardował telefonami mieszkanie Golluba. On tak dobrze zna Marię, był im obojgu życzliwy, niechże pomoże, wyjaśni, przecież taka podłość nie może się ostać na trwałe. Wreszcie profesor podniósł słuchawkę.

- Tu Okińczyc... Czy pan wie, panie profesorze...

- O Poli?

- Tak, czy pan sobie wyobraża, jakie to łajdactwo...

- Daruje pan, bardzo cenię panią Szymborską, jestem jej naprawdę oddany. I dlatego zezwoli pan, by nasze towarzyskie stosunki od tej pory przestały istnieć.

Słuchawka wysunęła się z rąk Okińczyca.

Jeszcze nie rezygnował, nigdy w życiu nie godził się na rezygnację. Napisał do Marii, wszystko szczegółowo wyjaśniając, naświetlając przebieg tamtej nocy... Jakże serdecznie kłął sobie przy tych zdaniach, że od razu nie powiedział Marii całej prawdy.

List został zwrócony. Podobnie zareagował profesor Gollub. Jakby jakieś wysokie, ślepe ściany murem zamykały się wokół niego. Próżno przemyślał wszystko od nowa, czym więcej się szarpał z tymi myślami, tym mniej pojmował. Pola jest w ciąży? Mówi, że z nim? Łajdactwo! Z kim innym się puszczała, stało się, znalazła taką drogę zemsty na nim za to, że ją odtrącił, na Marii, że ona została wybrana. Podłość i perfidia.

Przypomniał sobie, jak profesor wyjawiał mu swoje sądy o młodym pokoleniu. Jakże bardzo się mylił. Całe to pokolenie jest łajdackie, całe; Pola, nie Pola, wszyscy.

Po przemyśleniu zostawał jedynie sąd. Ale cóż sąd, dopiero po badaniu krwi niemowlęcia można będzie określić grupę krwi i w ten sposób stwierdzić nie jego ojcostwo. Czy jednak dojdzie do rozwiązania? Pola na pewno postara się, by zabrakło tego dowodu. Każę usunąć płód i kamień w wodę. Niczego i nikt nie będzie mógł udowodnić. Zostanie na nim ta plama, zostanie złamane zaufanie Marii, trudno bowiem ją winić, gdy rodzona siostra stwierdza, że się gziła z jej narzeczonym. Piekielny młyn.

Potem i on się zawiązał. Nie będzie skamlał o łaskę. Też ma poczucie własnej godności. Ból zostawi dla siebie.

Myślał wtedy w styczniowe noce, bezsenne godziny dłużyły się w nieskończoność, jak niefortunny był jego powrót do kraju. Gdyby został w Kanadzie, tęskniłby, przeżywałby nostalgię, ale nie byłoby Marii, Poli, tego małego, zakichanego, rozplotkowanego miasteczka, nie byłoby spóźnionej miłości i wielkiego rozczarowania. Gdyby został w Kanadzie... Myślał tak, wiedząc, że nigdy by się podobnie nie stało, że na pewno wróciłby wcześniej czy później, nie potrafiłby ugrzęznąć na zawsze poza krajem. Tylko zły jakiś, psi los, że właśnie kraj

musiał przynieść mu aż taką skalę rozczarowania. Samymi ciemnymi barwami zasłały się jego dni. Samymi tylko ciemnymi...

Nawyk panowania nad sobą sprawił, że powściągnął wreszcie nerwy, wrócił do dawnego trybu życia. Pracował tylko intensywniej, chcąc, by noc go zastawała jak najbardziej zmęczonym; w „Piastowskim” wychylał nie jedną, ale dwie setki, pobiegły pogłoski w miasteczko, że się Kanadyjczyk rozpija, przebąkiwano już coś zresztą o Marii i zaszłym między nimi zerwaniu; jeździł do Zielonej Góry, nawet zdobył się na to, by nadal przyuczać Tomka do zawodu, chłopiec zresztą okazywał się wcale pojętny.

Któregoś dnia, około południa, zadzwieczał telefon. Dłonią ubrudzoną smarami podniósł słuchawkę. Nie od razu poznał głos porucznika, komendanta milicji.

- U pana pracuje ten mały Tomek Jaruga? Proszę mu powiedzieć, że jest czysty jak łąza. Złapaliśmy wreszcie złodzieja. Wczoraj nasz funkcjonariusz odebrał go z komendy w Szczecinie. Waław Jędrzejczak.

- Zaraz zaraz, może byśmy pojechali z Tomkiem do pana? Należy się chłopcu, za to, co przeszedł.

- Może za pół godziny...

Porwał zaskoczonego Tomka w objęcia, uściskał serdecznie.

- Widzisz, Okińczyc miał rację, że ci zawierzył. Zbieraj się, jedziemy do komendanta.

- Ale kto jest tym złodziejem?

- Jakiś Wacek.

- Fiuuu! Tak mi się myślało, jak się dowiedziałem, że zwał z domu. Chciałem panu powiedzieć, ale pan nie chciał mnie słuchać.

- Nic już, nic. Grunt, że wszystko w porządku. Myj się, raz dwa.

Pognali foldem, aż zakurzyło śniegiem zmieszonym z błotem, dziwaczna była w tym roku /ima. Tomek z uciechą przeskakiwał po dwa stopnie do pokoju komendanta na piętrze. Tam odbyła się cała nieledwie że ceremonia. Porucznik uroczyście pogratulował chłopcu, przeprosił, no cóż, musieli badać, przesłuchiwać, napierać, służba nie druźba, może to nawet pomogło, tamten, jakże mu, Jędrzejczak, nabrał większej pewności, że nikt go nie podejrzewa, czmychnął, chciało mu się wielkich podróży, przygód, tym sposobem wylazło szydło z worka.

Dodał jeszcze porucznik, że chętnie pogwarzyłby z Okińczycem. Ten obejrzał się na Tomku.

- Dziś już nie będziemy nic robić. Fajrant. Ganiaj sobie do domu, gdzie chcesz.

Porucznik bębnił przez chwilę dłońmi po biurku.

- Zna pan tego Jędrzejczaka? Nie? S/koda, ciekaw byłbym pańskiego zdania. Co do Jarugi świetnie pan wyczuł, że chłopak ma czyste sumienie... Tamtego mi trochę żal. Pójdzie do domu poprawczego, a nie mamy za dobrych doświadczeń z tamtejszą reedukacją. Przeważnie jeszcze bardziej paczą się młode charaktery. Gadałem z tym Wackiem. Małe to, bystre, czupurne, niezły materiał... Wie pan, co go skłoniło do tego kroku? Dwie rzeczy. Pierwsza, mii ważniejsza, to dom. Chuchany był i pieśczoney przez matkę-wdowę, aż do przesady. I aż do momentu, gdy kobieta ponownie się zakochała. Syn zszedł wtedy na drugi plan. Nowy adorator matki początkowo próbował trzymać chłopca w karbach, potem mu się to wreszcie znudziło, na koniec obecność chłopca stała się dla obojga mało pożądana. Radzi byli, jak całymi dniami, a to i późno w nocie wałęsał się po/u domem. W nim zaś narastał żal... Taki przeskok, od przesadnego chuchania do całkowitej obojętności. Zaczęły się marzenia o ucieczce. Młodym takie rzeczy zawsze chodzą po głowach. On zaś z kolegami, jak się okazuje, wiele mówił o rakietach, okrętach, Afryce, o której teraz tak głośno... Aż wreszcie nadarzyła się okazja, pokusa była za silna, a jeszcze żal do matki, a jeszcze młodzieńcze rojenia... Naiwny, nie wie, że my w portach każdego miesiąca wyłapujemy tuziny takich amatorów dalekich podróży. Normalnie kończy się na odstawieniu do rodziców. No, tutaj jest przestępstwo, kradzież, sprawa na domiar zbyt głośna, tkwi wszędzie w aktach... Chłopaka jednak mi żal. Ten poprawczak...

- Słyszałem, Szwabachowski również był w domu poprawczym, a proszę, jaki to teraz działacz się zrobił, jak mówi profesor Gollub, wzór podobno, ideał.

Porucznik parsknął śmiechem.

- Z profesora niepoprawny idealista... A Szwabachowski, cóż, ten z innej gliny, on się nie podda tak łatwo. Przywódczy charakter, trafił na Lipińskiego, stąd zmiana drogi, a mieliśmy z tym gagatkiem niemało kłopotów... Zmieniło się... Najważniejsze wszakże, że ten Jaruga spać już może spokojnie.

- Tak, to najważniejsze - zgodził się Okińczyc.

Gdy po godzinie z powrotem znalazł się w domu, zastał tam czekającego na niego Tomka. Smutny był i zgnębiony. Okińczyc patrzył nań ze zdumieniem.

- Bo ja chciałem prosić o zaliczkę i o zwolnienie... - z trudem wymawiał te słowa, dławiąc w sobie wzbierający gwałtownie szloch.

Chwycił go za ramiona.

- Tomek, ale co się stało?

- Telegram przyszedł. Matka umarła.

Stała, nie wierząc swym oczom. Tak, to był najbardziej niezbity dowód. Nie mogło być pełniejszego wytłumaczenia. W ciąży nigdy by to nie było możliwe.

Jednym kopnięciem nogi zgarnęła resztę bielizny do skrytki, nie do prania teraz jej było. Pola zresztą zaraz najpewniej powróci, trzeba się zastanowić nad wszystkim...

Profesor przed tygodniem podsunął jej tę myśl. Niepewnie zresztą napomknął, że mu jakoś Pola niezbyt wygląda na ciążę... Jeszcze dyskretniej zapytał, czy może dziewczyna gdzieś poza szpitalem, jest tajemnicą poliszynela, że para się takimi sprawami Budziński, ten felczer...

Przystanęła pośrodku pokoju. Może się niepotrzebnie rozradowała, może Pola naprawdę była u Budzińskiego i stąd ten łudzający dowód? Nie, przecież po tym musi się dzień dwa przeleżeć, Pola tymczasem nie opuściła ostatnio jednego dnia w szkole. Więc zatem to było kłamstwo, ohydne kłamstwo, Teodor nic nie zawinił, wszystko jest dobrze. Tylko Pola, jak ona mogła, jak mogła?

Znów trzepot niepokojącej myśli, aż serce z nagłą zaczyna boleć. Mogła się dziewczyna omylić co do ciąży, mogła tu kłamać, przesadzać, ale tamta noc, może to jednak było prawdziwe?

Uspokoila się. Na pewno wali się cały gmach budowany przez Połę. Od początku do końca, cały brudny, obrzydliwy gmach straszliwego kłamstwa.

Skrzypnęły drzwi. W progu stanęła Pola. Nieco zdziwiona, spoglądając na siostrę, zdejmowała płaszcz, niepewnie jakoś chciała się udać do swego pokoju.

- Pola, czas się zastanowić... W którym jesteś miesiącu?

Zmieszala się. Maria była pewna, że starała się w tej chwili wypinać ciało do przodu.

- No, już idzie na czwarty... A tamto? Sama nie wiem - zmieniała ton na zaczepny. - A gdybym chciała mieć to dziecko? Nie wolno mi?

- Wolno. Ale ze szkołą tak czy owak już koniec. Nie mogę mieć ciężarnych uczennic.

Podczas gdy Pola spoglądała na nią niepewnymi, podejrzewającymi już coś oczyma, Maria przeszła do skrytki z brudną bielizną. Nie zaglądała. Powiedziała jedynie, wskazując tamten kąt palcem:

- Wiem wszystko. Dlaczego nas okłamałaś? Dlaczego wyrządziłaś temu człowiekowi tak straszną krzywdę? Nie jesteś w ciąży. Nie byłaś u niego.

Twarz dziewczyny tężała, jakby zastygła w kamieniu. Ani jeden mięsień nie drgnął w tej twarzy. Maria podeszła bliżej.

- Dlaczego?

- Nie chciałam, żebyście się pobrali. Bo ja kochałam Teodora... A teraz was obojga

nienawidzę, całą duszą was nienawidzę!

Wykrzyczała ostatnie słowa, wbiegła do swego pokoju, z pasją zatrzasnęła drzwi, aż płat tynku osypał się z nad futryny.

Maria siedziała jakąś chwilę bez ruchu. Na twarz jej zaczął wypływać uśmiech. Spojrzała w okno. Panowała już za nim czerń nocy. Znowu się uśmiechnęła, zerwała się, otworzyła szafę, potem szybko pobiegła do łazienki. Długo szukała jeszcze później w torebce farbki do ust, tak jej dawno nie używała...

Niechętnie poszedł otworzyć, nie lubił późnych wizyt, zawsze mu wtedy wracało wspomnienie tamtej nocy, gdy nagle zjawiła się Pola.

Słowa nie potrafił wymówić, usta otworzył, ona tymczasem już zamykała drzwi, starannie przekręcając klucz, a potem zawisła u jego szyi, szepcząc:

- Przebacz, przebacz, Dorek.

Wziął ją w objęcia, radośnie zaskoczony.

- Mario - dopiero wykrztusił z siebie jej imię.

- Wszystko nieprawda. Bardzo cię skrzywdziłam. Przebacz, Dorek, przebacz. Tak straszliwie cię kocham, tak mi źle było, tak ciężko.

Prowadząc ją do wnętrza domu, spoglądał w jej twarz z zachwytem. Jakże była ładna z tymi rumieńcami, z błyskiem w oczach, jak odbijały się od policzków jej siwe włosy, tak przezroczyste, że w światłach lampek nieomal srebrne. I usta jakby odmłodziły, stając się zupełnie dziewczęce.

Nie mówił już nic. Wiedział, że przecierpiała nie mniej od niego, może nawet więcej. On był jedynie skrzywdzony, ona na domiar upokorzona. Nie mówił nic. Sięgnął wargami prosto ku jej ustom. A gdy oderwali się wreszcie od siebie, pierwszy to był ich pocałunek niosący za sobą zapowiedź innych treści, szepnęła i zawstydzona, i odważna odwagą zakochanej kobiety:

- Biegłam przez miasto jak zwariowana, ani się oglądając, czy mnie kto widzi. Mam przecież prawo... Dorek, zostaję dzisiaj u ciebie.

- Wiem.

Potem opowiadała mu jeszcze, w jaki sposób dotarła do prawdy, relacjonowała rozmowę z Polą. Pokrótce wspominał jej teraz o tamtej nocy. Smętnie uśmiechnął się kończąc:

- Tyle jedynie było w jej słowach prawdy, że rzeczywiście była u mnie... Przy tym fotelu się rozbierała.

Spostrzegł rozchylone usta kochanej kobiety. Dojrzał w oczach ten jeden jedyny blask

oddania.

- Nie chcę już więcej nic wiedzieć. Chcę być z tobą, chcę być twoją, Dorek.

Dyskretnie sięgnął do kontaktu. Zostali sami z ciemnością...

Świtało, gdy Maria kończyła przygotowywać śniadanie z Okińczycowych kawalerskich zapasów. Nie mogła się powstrzymać, by między smarowaniem jednej kromki a drugiej nie sięgnąć ku ustom kochanego człowieka.

- Nigdy nie będę miała cię dosyć, nigdy.

Potem jeszcze powiedziała stanowczo.

- Odprowadzisz mnie. Nie wstydzę się. Kocham, mam prawo.

Dopiero w tej drodze powrotnej przypomnieli sobie, że w ogóle istnieje na świecie Pola. Powstał problem, co będzie z nią potem, gdy się pobiorą. Teraz nie istnieje już najmniejsza możliwość, by mogła przebywać z nimi razem. /

- Myślę, że chyba internat przy szkole, prawda?

Przytaknął. Gdy zaś zniknęła za swymi drzwiami, nie chciało mu się odchodzić, stał wpatrzony w zarysy budzącego się do życia miasteczka.

- Dorek, Dorek!

Z uchylonego gwałtownie okna przyzywała go ręką.

- Psiakrew - syknął, przeczuwając najgorsze. Ta idiotka do końca będzie im przysparzać nie lada kłopotów.

- Pola? - pytał. - Co sobie zrobiła?

Szeroko otworzyła oczy. Dopiero zrozumiała, przecząco potrząsnęła głową.

- Nie to, co myślisz. Po prostu jej nie ma. Nie ma jej rzeczy. Nie ma moich pieniędzy. Wyjechała.

- Uciekła - dopowiedział.

Zaniepokoił się w tej samej chwili, widząc w oczach Marii dziwny lęk. Źrenice, okolone jasnyniebieskimi tęczęwkami, robiły się duże, olbrzymiały, w nich zaś strach, przerażenie nieomal.

- Mario - objął ją ramieniem.

Odrząciła to ramię.

- Nie, nie... widzisz, to-dlatego, że poszłam do ciebie. Nie powinnam była, nie miałam prawa, to dlatego, dlatego...

- Ależ... - coraz mniej z tego wszystkiego pojmował.- Pola uciekła, nic na to nie poradzimy, taki los sobie wybrała. My wybierajmy nasz los.

Spojrzenie jej było błędne, przesycone tym dziwnym lękiem, bez reszty:

- Nie, nie, pamiętaj, że ja byłam dla niej nie tylko siostrą, byłam też ojcem i matką...

- Więc co z tego? Swoje wypełniłaś, nie możesz jednak skończyć... - zaczął gniewnie, do ostateczności zdenerwowany tym histerycznym, jak mu się wydawało, wybuchem Marii.

- To dlatego, że poszłam do ciebie... Tak od razu, na świeżo, nie powinnam była, to był mój błąd.

Przyjrzała mu się, tkliwie znów teraz, serdecznie, lekko go pchnęła ku drzwiom:

- Idź, idź, Dorek, chcę zostać sama.

20.

W pamięci Tomka na zawsze utrwalił się ten widok, gdy po męczącej drodze wysiedli na niewielkiej stacyjce na Śląsku Cieszyńskim. U siebie w miasteczku zostawili pluchę, brudne, szare połacie martwej ziemi, siąpiące wodą piszczące bezlistnych drzew. Tutaj przywitała ich śnieżna biel, wspinająca się na niewysokie szczyty wzgórz okalających niewielką osadę przy której przycupnęło sanatorium przeciwgruźlicze. Niebo było czyste, słońce odbijało od śniegu drażniącymi oczy blaskami.

Rażniej teraz się poczuł. Noc w pociągu spędził w półśnie, dręczony męczącymi refleksjami przeżyć ostatnich tygodni. Gdy zaś nadeszła wreszcie radość oczyszczenia z zarzutów, zgasił ją lakoniczny telegram. Siwiak zdawał sobie sprawę z jego stanu, kilka razy czuł jego silną wciąż rękę ogarniającą go mocno, po przyjacielsku. Lżej mu się wtedy stawało.

Kolejarz od razu zadecydował, że jedzie z nimi. Przyjęli to z milczącą wdzięcznością.

Stary Jaruga słowa nie wymówił od chwili, gdy dowiedział się o śmierci córki. Jakby się w nim coś tylko zapadło. Milczący, niepozorny, tkwił w kącie przedziału, wspominając inną, niedawną podróż koleją. Jechał wtedy z Ludmiłą, pełen niepokojów, ale szczęśliwy, wyzwolony z ciężaru lat szarpiących wyrzutami sumienia. Późniejsze starcia z córką przyjmował jak nieuniknione, musiały zaistnieć, by rozładowując się, dopiero zasypać wyrosła pomiędzy nimi szczelinę. Ostatnie starcie Oczyszczało właściwie wszystko bez reszty. Musiało być gwałtowne. Tylko ten atak...

Teraz znów rozsypywał się ostatni gmach budowany przez starego człowieka. Przeszłość odchodziła, zamykana grudami ziemi padającymi na trumny. Wybaczenie i wyrzut, wzbierający żal, że tak krótko, nie nacieszył się nią, nie zdążył ukazać, że wbrew wszystkim pozorom, nigdy miłość do niej w nim nie umarła.

Pociąg dudnił na spojeniach już wtedy. Ale teraz obok nie było już córki, nie napotykał uważnych jej spojrzeń, nie próbował odgadywać jej myśli. Był sam. Znów sam. Bo te dzieci,

ten stary kolejarz, to coś już zupełnie innego... Świat wyrosły poza nim, co mógł stać się; serdecznie bliski, ale jedynie w obecności Ludmiłki. Cóż mogą myśleć teraz o nim, niepotrzebnym balaście, żywym przypomnieniu zła, jakie spotkało matkę?

Miła nie spała. Nie do snu jej było. Tkwiła przy Siwiaku, lekko przymrużając powieki, myśląc o niespodziewanie odeszłej matce. Nigdy by nie przypuściła, że jej odjazd na leczenie stanie się zarazem i pożegnaniem. Cieszyła się, że matka będzie się leczyć. Jedno dobre, że odeszła nie wśród codziennej harówki, z dala od wszelkich przejść, w jedynym może okresie wypoczynku całego trudnego życia. Jakże by ją dobijały w domu obrzydliwe podejrzenia ciąży na Tomku, pomówienie o kradzież...

Matka. Ona sama wiele jej przyczyniła kłopotów. Jak złorzeczyła często zaharowanej kobiecie za zesłany przez nią na dzieci bękarci los, wyzywała w duchu, na zewnątrz stając okoniem o byle głupstwo. Bękarci los? Daleko już odeszła od chwili, gdy myślała w ten sposób. Los taki jak innych. Matka powiedziała kiedyś wyraźnie, że nie można jej stawiać zarzutów, dziwką nie była, nie sprzedawała się, a kochania nikt jej nie mógł zakazać. Nikt, także i własne dzieci... Nie rozumiała wtedy, buntowała się przeciw tym słowom. A przecież matka miała racje. To była jej natura, gwałtowna, nie znosząca hamulców, ale z gruntu uczciwa. Bękarci los? Los zły lub dobry, jak każdy inny. Taki sam.

Czuje na sobie przenikliwe wejrzenie Siwiaka. Jego dobra ręka przegładza jej dłoń. Jakież los zesłał jej tego człowieka? Wtedy, nad rzeką, przez wszystkie późniejsze dni i teraz.

- Ciężko, Miła?

- Myślę o niej. Niełatwo miała.

- Prawa kobieta - rzucił krótko, jakby w dopowiedzi własnym jej myśлом.

Uśmiechnęła się do niego leciutko. Może nie zauważył nawet tego uśmiechu w niebieskawym, nocnym świetle wagonu, ale na pewno zrozumiał. To słowo także poddał, aby jej pomóc.

Prawa. Tak było. Zawsze uczciwa w odniesieniu do wszystkiego, co ją spotykało, w stosunku do wszystkich, którzy przechodzili przez linię jej życia. Powiedział tak kiedyś nawet Dominiak. Dobrze znał matkę, nie on na niej się zawiódł, to jej sądzone było przeżyć z nim jeszcze jedną gorycz. Ludzie lekko przechodzili nad jej rozczarowaniem. Przebaczała łatwo, zapominała.

- Słuchaj, Miła, nie zdążyłem powiedzieć. Nie pora na to, ale trzeba, abyś wiedziała - siedzący naprzeciw Tomek przychylił się ku siostrze. - Tamto, w Domu Kultury, już wyjaśnione. Wacek ukradł, uciekał potem do Szczecina, chciał na okręt i w świat. Mówił mi komendant milicji... - spojrzął na nią. - Nie trap się, na śmierć nie zaradzisz. - I po chwili: -

Dobłą, dzielną mieliśmy matkę. Głupiośmy wyklinali nasz bękarci los...

Drgnęła. On także zastanawiał się nad tym samym?

Nad ranem, gdy dojeżdżali do Katowic, gdzie mieli się jeszcze przesiadać, w końcu sen zmorzył wszystkich oprócz Siwiaka. Stary kolejarz przyzwyczajony był do bezsennych nocy. Wieleż ich spędził, ślepiąc przed siebie z okienka parowozu, łykając lśniące kilometry szyn? A teraz jedzie w wagonie, dudnią koła na spojeniach, obok śpi rodzina Jarugów. Splątały się ich dzieje, pamiętał tamtą noc, gdy przyrzekał dziewczynie, że jej pomoże, niech zawsze liczy na starego Siwiaka. Nie doznała zawodu, był na miejscu i chyba trochę jednak pomagał.

Śmiesznie pogmatwana ta ludzka dola. Obcych ludzi zwiąże coś najzupełniej niespodziewanie i potem wspólnie mierzy się czas, zły i ten dobry, razem łyka smak codzienności.

Siwiak od dawna nie miał już nikogo ze swoich, odebrano mu także parowóz. Nieprawda, że człowiek może być zupełnie samotny, bez różnicy, młody czy stary. Rodzi się każdy po to, by żyć dla ludzi, między ludźmi. Wśród nich zaś muszą być ci najbliżsi. Dlatego nie wcześniej, to później musieli w jego życiu *znaleźć* się Jarugowie. Nawzajem byli sobie potrzebni. Cóż by począł teraz bez Mili, bez Tomka, może nawet bez tego starego, który swój gorzki chleb przełknąć musi do końca. Oni są jemu potrzebni, on znów na swój sposób im się przydaje. Ale nikt nie pozostaje samotny...

Jeszcze noc za oknami, gdzieś od wschodu nikle pasemko brzasku. W przedział biją chwilami jaskrawe, krwiste blaski. Huty pracują. W radio mówili, że w górach spadł świeży śnieg. Ładnie by było, gdyby ją chowali pod czyściutką śniegową pościelą. Ładnie i jakoś weselej...

Był śnieg. Towarzyszył im przez cały ten ciężki dzień. Małeńka osada, trochę za nią wielki gmach sanatorium, wysunięty ku górze. W dolinę, gdzie przy drewnianym kościółku rozłożył się cmentarz, ciągnął nieliczny kondukt. Najbliżsi towarzysze ostatnich dni Jaruzyny i przybyła z zielonogórskiego rodzina. Biało wszędzie, delikatny dźwięk dzwonka, cichy głos księdza, nawet gruda jakby łagodnie dudniąca o wieko. Dziadek płakał bezgłośnie, Milla i Tomek stali z suchymi oczyma. Siwiak widział to, myślał, że czasem lepiej, gdy płyną łzy, wtedy jest lżej. Ta para młodych zbyt wiele przeszła w ostatnim czasie, może już łez im brakło, może się wyrobił w nich hart...

Zdało się Tomkowi, że czuje na sobie czyjś wzrok. Obejrzał się, drgnął. W oddali, sam w ciemnym płaszczu, z odkrytą głową, stał Dominiak. W pierwszej chwili w Tomku było tylko wielkie zdumienie. Potem nadbiegły i żal, i złość. Po co on tutaj, jest tak cicho, spokojnie, najbliżsi albo obcy. Po co budzi swoją osobą niedobre wspomnienie. Nie chciał się więcej

oglądać, a jednak ciągnęło go nieprzeparcie ku barczystej sylwetce tamtego człowieka, jego ojca. Skądś nadpłynął obraz nocy, gdy pobity przez Stefka leżał na ziemi, czuł, jak podnoszą go jakieś ramiona, a usta szepcą jedno jedyne słowo: synku.

Ksiądz dawno już odszedł, skończyli swoją pracę grabarze, Siwiak się z nimi rozliczył, podreptały kobieciny z sanatorium, towarzyszki ostatnich dni zmarłej. Zostali we czwórkę: klęczący dziadek, sztywno wyprostowana Mila, drżąca w swym cienkim paletku, spokojny Siwiak o dobrym spojrzeniu i on, Tomek... Więc po co ciągle tkwi tam Dominiak, czemu wdziera się w tę chwilę niepotrzebnym, bolesnym zgrzytem. Skąd się w ogóle wywiedział o śmierci matki, czemu uznał, że jest na tym pogrzebie potrzebny?

Kolejarz przysunął się do chłopca, zaszeptał w ucho:

- Podejź do niego, chce z tobą mówić... To ładnie, że przyjechał.

Tomek dyskretnie przesunął się do tyłu. Siwiak na pewno dobrze radzi. To prawda, iż ładnie, że Dominiak przyjechał. Nikt mu nie kazał, nikt nie prosił, jednak przyjechał. Takiemu Zaleskiemu, ojcu Margiński, ani by to postało w głowie. Czy Mila też go dostrzegła, czy ona też wie?

Zerknął na siostrę, odwróciła się na moment, skinęła potakująco głową. Wie zatem. Wszyscy wiedzą, prócz dziadka, każdy myśli teraz o Dominiaku. Jakie to dziwne, nad grobem matki, a myśli się nie o niej, lecz o kimś zupełnie innym...

Był już przy nim. Dominiak wyciągnął rękę, mocno uścisnął, Tomek odczuł nagły przypływ wzruszenia. Stali obok siebie, ciągle jeszcze bez słowa.

- Widzisz, chłopcze, ja tylko ją jedną naprawdę kochałem...

Tomek nie jest pewien, zdaje mu się tylko, że słyszy wyszeptane cicho te słowa, czy naprawdę je wypowiada Dominiak? Obraca się, zagląda mu w oczy. Dominiak płacze, cicho, bez szlochów, dwoma bruzdami spływają te łzy, skapują na płaszcz ostro odbijający czernią od bielutkiego śniegu.

- Naprawdę tylko ją jedną - powtarza Dominiak, dla siebie, nie dla Tomka.

W chłopcu nie ma w tej chwili złości czy żalu, nagle jest mu Dominiak bliski, bardzo bliski, tak bardzo, jak... ojciec.

- Tak daleko zostaje od nas. Od swego Kaziuczka. Od naszego miasteczka. Tomek, może byście chcieli ją przewieźć kiedy na nasz cmentarz, pod tamtą brzozę?

Tomek nie rozumie. Pod jaką brzozę? Ach, prawda, nad białą płytą Kaziuczka rośnie wysoka brzoza, latem rzuca szeroki cień. O niej on myśli... Przewieźć? Pewnie, matka by chciała, ale któż się zdobędzie, to takie koszta...

- Ja to zrobię, nie teraz, później... Zbyt nagle się dowiedziałem, skąd zresztą mogłem

przypuszczać, jak mnie przyjmiecie. Pamiętam, co mówiłeś... Ja zaś nigdy nie chciałem jej krzywdy. Tak się złożyło. Źle dla niej, źle dla ciebie i dla mnie.

W Tomku odradza się jakaś złość. Po co mu potrzebne Dominiakowe zwierzenia, teraz, nad grobem matki, świeżym, jeszcze się z cichym szelestem osypują żółtawe bryłki ziemi. Odsuwa się o krok.

Dominiak zdaje się rozumieć. Milczy już, też patrzy na żółty wzgórek, kiwa wreszcie głową Tomkowi, odchodzi.

Mocny pogłos odpowiadał jego niecierpliwemu pukaniu. Obejrzał się bezradnie. Gdzie tę babę nosi, u licha? Na przeciwległych drzwiach kartka, krzywymi literkami wypisane: L. Jaruga. Pokiwał głową, znał to nazwisko. I tej się zmarło. Niestara jeszcze była. Tak jak i jego kobieta...

Może tutaj coś wiedzą? Szukał wzrokiem dzwonka, nie było, zapukał energicznie. Drzwi otworzyły się szeroko. Klim-czak ujrzał przed sobą zdziwioną twarz Tomka.

- Dzień dobry... Nie wiesz czasem, co się dzieje ze starą Czmuńkową? Mam do niej sprawę, drugi raz przychodzę, zawsze kłamkę całuję.

- Dzisiaj rynkowy dzień, żurawiny sprzedaje, pewnie każdej chwili powróci. Powiedzieć jej co?

- Nic, nic... albo dobrze. Ze sprawę mam do niej, niechby zajrzała kiedy wieczorem.

Schodząc po schodach, czuł na sobie uważny wzrok chłopca. Nawet nie zdziwiony, tylko bardzo uważny. Przyzwyczajony już był do takich spojrzeń, od tej piekielnej sprawy z Koniejenką, ciągle krzywo na niego ludzie popatrywali, jakby się dziwili, że chodzi po świecie, zamiast gnić w kryminale. Niejeden by go tam zamknął z ochotą. Ich zdaniem, tylko dzięki niemu powiesił się stary...

Zaklął pod nosem. Jak się coś takiego do człowieka przyczepi, to potem wlecze się w nieskończoność. W ogóle dostarczał ostatnio tematu do plotek. Koniejenko, Jośka, pogrzeb żony, dzieciak uratowany cudem spod samochodu, dość było sensacji jak na jednego człowieka. Cholera, żeby tak wreszcie trochę spokoju.

ZIS stał przed domem, maszyna, z którą się związał od paru lat. Wymagała już solidnego remontu, coraz trudniej ją było utrzymywać na chodzie, obiecane dwa stary dla ich przedsiębiorstwa jakoś nie nadchodziły, tymczasem ciągle narastał plan przewozów.

Jechał wolno, pozostawało już tylko odstawić wóz do bazy, dawno przecie jest po godzinach pracy. Potem zakupi parę drobiazgów w sklepach i do domu. Edek pewnie czeka, niecierpliwi się, niby to sąsiedzi pilnują, pożałuj Boże na takie pilnowanie.

Nacisnął gaz. Ciągłe musi - się niepokoić tym małym. Pisał do siostry, niechby przyjechała na jakiś czas, nim urządzi życie od nowa, gdzie tam, ani jej w głowie było. Sam musiał radzić. Najgorzej w te godziny, kiedy był poza domem. A mały sam. Rezolutny, kot taki łąjący własnymi drogami, znów się gotów wymknąć na szosę, aż strach pomyśleć, co się może wydarzyć.

Wyrzucił strzałkę, ostrym zwrotem wjechał w bramę bazy samochodowej. Pusto, tylko wąsaty strażnik przyglądał mu się bez krzty zainteresowania. Właściwie wypadałoby obmyć maszynę, ale chyba da spokój. Jutro też żwir na budowę będzie się wozić, od nowa ubrudzi się wszystko. Prędzej trzeba do Edka, co tam znowu łobuz zmajstrował? Aż dziw, że takie to żywe.

Na kwadratową jego twarz wypłynął rzadki gość, ciepły uśmiech, aż się wąsaty strażnik obejrzał, nie widywał tak odmienionego Klimczaka.

Ciągłe mu kołatała po głowie świadomość, że najwyższa pora uporządkować swe sprawy. Jak to żona raiła przed śmiercią? Żeby po żałobie znalazł sobie jakąś kobietę, ożenił się, zapewnił małemu opiekę. Innej by coś takiego przez gardło nie przeszło, ona jak zawsze nie chciała pamiętać o sobie. A on w tym czasie z Joąska...

Przecinał rynek na skos, trzeba było chleb kupić w piekarni. Starym nawykiem obejrzał się w stronę kiosku Totolotka. Spozrzegł zwrócone na siebie spojrzenie dziewczyny. Zaraz zagadała głośniejszym, zaniósł się sztucznym śmiechem. No pewnie, fryzjerski elegancjusz był przy niej. Jak to umiała się zabezpieczyć. Nie on, Klimczak, to felczer Budziński. Tylko „że tamten dziwkarz, złapać go nie będzie tak łatwo.

Rozgniewał się na samego siebie. Pał ich diabli oboje. Ciągłe sobie tym głowę zawraca. Dobrze, że się w czas opamiętał, dopiero by sekutnicę miał w domu, Edek zaś zyskałby wypisz wymaluj macochę. Gdy się po pogrzebie znów trochę ze sobą zbliżyli, krótko to trwało, od razu próbowała się rządzić. To zrobią tak, tamto inaczej. I o Edku już nie tak czule gadała jak dawniej. Na przeniesienie się do innego miasta też nastawała, jakby jemu źle było tutaj, na starych śmieciach.

Tkwiąc ostatnio w domu więcej niż kiedykolwiek, nic że zajęty babskimi robotami, miał czas po stokroć wszystko przemyśleć. Aż mu czasem głowa pękała, już to myślenia niezbyt lubił co jednak poradzić, gdy tak się pod czaszką kotłuje, draży, zagubić się w końcu można. Zbyt wiele się od razu zebrało. Krótko przed śmiercią żony, jeszcze przed wypadkiem z małym, coś się zaczęło psuć w pożyciu z Joąską. Nie wiadomo, dlaczego, było między nimi wszystko jak przedtem, skądś przecie nadpływał cień, stawał niewidzialną zaporą. Potem gwałtownie już rwało się wszystko. Dopiero po awanturze na cmentarzu, gdy miasteczkowe

jędze omal nie ukamienowały Joaški, wzięła w nim górę dawna buntownicza natura. Wtedy był gotów nawet się zenić z dziewczyną, już tylko na przekór babskiej opinii. Zawsze taki był, nie oglądał się na nikogo, najchętniej robił na przekór.

Niedługo trwał w nim ten bunt. Coś tak w Zaduszki przełamało się wszystko. Już przedtem zaczął Joaški unikać, nowe myśli mu chodziły po głowie. Edek jak nigdy przyciągał ojcowskie serce. Kołatały słowa żony, by znalazł kogoś, zapewnił małemu opiekę. Tylko że zaczął je rozumieć zupełnie inaczej, nie tak jak ona sobie to przemyślała, nie jak sam postanawiał.

Ciągle tkwił w niepewności. Tak czy inaczej. Bo znów, gdy wspomniał czasem gorące ramiona Joaški, jej jędrne ciało, chwile zapamiętania, kiedy ztracali się w sobie, rwało go ku dziewczynie, wszystko inne zdawało się stawać mniej ważne. Zawsze, to prawda, łączywy był na kobiety. Teraz mu cośkolwiek jakby mijało.

Dopiero Zaduszki. Sam jak zapowietrzony tłukł się po cmentarzu, podchodził pod grób Piotra, zasypany przez niego kwiatami, w spojrzeniu Koniejenkowej, spłoszonym jakimś i ciągle gniewnym wyczytał, że rozumie i domyśla się, znowuż przy kopczyku żony musiał wspomnieć na wspólne ich lata, ciężkie dla niej, najlepiej to wiedział - wtedy właśnie cała przeszłość zaczęła się odsuwać od niego, zapragnął inaczej, na nowo, dokładnie nie potrafił nazwać tych pragnień, tyle że były, wwierały się, drażyły, musiały zdecydować.

W dzień potem Joaška wdarła się z awanturą. Dopilnowała, nad wieczór przysłała, drzwi były nie domknięte, od razu gębę rozwarła, nigdy jeszcze jej takiej nie widział. Pewnie, może krzywdę swoją odczuwała najśluszniej, obiecywał jej, sam proponował, dawno, żona zaledwie zaczynała chorować, potem wszakże zmieniło się bardzo wiele. Gdyby to jeszcze zechciała porozmawiać po ludzku, może wspólnie wszystko by rozważyli, może by się w końcu na nią i zdecydował. Męczył go ten przedłużający się stan zawieszenia, szarpania z myślami, troska o Edka. Kobieca ręka była w domu potrzebna. Ale ona od razu gwałt. Że zwodził ją, obiecywał, za cóż ją miał, za zdziwę, która tylko dla chłopca pęta się po krzakach, aż ją chuligany obrzucają mutrami, aż byle babsko wymyśla od ostatnich? Zgadzała się na wszystko bo go kochała, mieli przecież się pobrać, od dawna wiadomo było, że Klimczakowej niewiele pisane, nic to nieuczciwego, nie namawiała wszakże na rozwód, po bożemu chciała, żeby w zgodzie z sumieniem. A on teraz się chowa, ucieka od niej, ludziska się śmieją, mało to się w kiosku nasłuchiwała, mało uśmieszków napatrzy? Głupia była, trzeba było wcześniej zrozumieć, czego w niej szukał. Jak nie miał ochoty, to się tygodniami nie pokazywał, w ogóle bał się z nią stykać przy ludziach; jak go prosiła na lipca, żeby gdzieś na zabawę razem wyjechać, nie, jemu odpowiadało tylko obmacywanie się po krzakach. Więc

ona nie może pozwolić, chce wiedzieć, jakże to będzie z żeniaczką. Ją na prześmiechy wystawia, sam się marnuje, dzieciak też bez opieki diabli wiedzą na jakiego chuligana wyrośnie, jeżeli pod samochód wcześniej nie trafi. Ona też wreszcie chce żyć po ludzku, ma prawo. Zatem kiedy ślub wezmą? Kiedy? A może się już rozmyślił, inne łydki jakies mu zapachniały, nie tak to łatwo, obiecał jej, nie popuści ona swojego, bić się będzie o swoje, pazurami tej drugiej oczy wyszarpie albo i witriolem wypali. Więc jak?

Zgłupiał nasamprzód. Stał z wlepionymi w nią swymi małymi oczkami, czuł tylko, jak wściekłość w nim wzbiera, jak rwą się ostatnie nici łączące z Joąską. Ona zaś stała tuż przed nim, rozkrzyczana, zdyszana, brzydka w tej chwili, wymachiwała rękami, chwila, zacznie go nimi trzaskać. Jeszcze się pohamował, kiedyś bardziej był krewki, może by się inaczej wszystko skończyło, gdyby nie to, że w pewnej chwili usłyszał cichy skrzyp drzwi i ujrzał w nich Edka. Był pewien, że mały śpi, sam chłopca niedawno ułożył, tymczasem krzyki Joąski musiały go zbudzić, takie przestraszone miał oczka, gębusię skrzywioną jakby do płaczu.

- Tata, tata - wołał.

Nie patrząc ku niej, porwał się zaraz, brał małego na ręce, z wysiłkiem się zdobywając na uśmiech, niósł do łóżeczka, gadał uspokajająco. Nie zgasił jednak wyrazu przestachu na twarzy dziecka.

Gdy wrócił, ostrożnie przymykając za sobą drzwi, minął napór wzbierającej wściekłości, zimna, ostatecznie zakończona już, dojrzała decyzja.

- Widzisz, sam widzisz, jak Edek wygląda - Joąską zaczęła innym już tonem, wykipiało z niej wzburzenie, tylko we wzroku złość jeszcze była, nieustępliwa chęć walki.

- Widzę - powiedział. Głos miał spokojny. - Widzę, że nie mógłbym przysłużyć się gorzej małemu, jak biorąc ciebie za żonę... Mówisz, żeś nie zdzira, nie dziwka? Ze mną żyłaś, w porządku, mieć jednego chłopca dziewczynie nie hańba. Ale ty? Wspomniałaś o lipcu? A wiesz o tym, że Budziński się chwalił, iż poszłaś wtedy do niego? I potem jeszcze tam byłaś. To jakże jest? Ze mną chcesz i razem z innymi? Tego Klimczakowi nie wmówisz!

Zastygła w zdumieniu, skąd wie tak dokładnie o wszystkim. Nieprawda, Budziński by tego nie rozpowiadał, on się naprawdę w niej kocha.

- Babskie plotki... Nie przychodziłabym dzisiaj. Ja tylko ciebie kocham, tylko ciebie! Po coś mi obiecywał, po co zwodził? Teraz ja nie popuszczę swojego. Musisz mnie brać. Zaśmiał się.

- Brać? Dobra, zaraz cię wezmę.

Zaskoczona, nie rozumiała, jakiś błysk radości prześliznął się po zdumionej twarzy. Podszedł do niej, ujął jedną dłonią pod kolana, drugą za kibić, dźwignął leciutko, siły mu

nigdy nie brakło, niósł ku sionce, kopnięciem otworzył drzwi jedne, drugie, aż się znaleźli na dworze, owionął ich mróz. Teraz postawił ją na ziemi, łagodnie powiedział:

- Była i prawda w tym, co mówiłaś. Obiecywałem. Ale jeżeli twoje kochanie takie prawdziwe, jak to, że nie spałaś z Budzińskim, to nie mamy co gadać. - Głos jego nabral groźnych akcentów. - Gęby więcej mi nie rozwieraj, bo znajdę na ciebie inne sposoby. Mnie hukiem nie weźmiesz. Krzykiem nie nastraszysz. Koniec z nami. Jeśli co było nie tak, zapomnij. Ja też niczego pamiętać nie będę.

- Ty, ty... - rozdarła się przeraźliwie, i raptem głos jej zamarł, stała jak wryta, gdy on tymczasem wszedł do domu, z trzaskiem zamknął drzwi, usłyszała jeszcze zgrzyt zasuw, oddalające się ciężkie kroki.

- Ty, ty... - zaszeptała. - Dobrze, więcej błagać nie będę, ale swojego ci nie daruję. Nie daruję - mściwie ścisnęła pięści, nie rozwierając ich poszła przez mróz ulicą, prostą drogą do swojej klitki na przeciwległym krańcu miasteczka.

Nie znalazł tych słów, nie mógł się domyślić jej szeptu, gdy przyczajony za szybą obserwował odejście Joaški. Ale z każdym oddalającym się krokiem, z zacierającym się jej cieniem czuł, jak staje mu się lżej, tak lekko, jak dawno się nie czuł. Nareszcie rysowało się rozwiązanie, jak ułożą sobie dalej życie wraz z Edkiem. Myślał wciąż o tym, wahał się, gubił w sprzecznościach, dopiero czuł, jak się wyzwolił z tego wszystkiego; tak jak jej to powiedział, mógł naprawdę zaczynać od nowa.

Pośpieszył do chłopca. Niezgrabnie przesłonięta gazetą, paliła się na środku wątpa lampka. Chłopak spał z rączkami złożonymi pod buzią. Niespokojny to jednak musiał być sen, bo szarpał się całym ciałem, odrzucał przykrycie, szeptał coś, Klimczak musiał się przychylić, by go zrozumieć, a gdy pojął, coś nim zaszarpało boleśnie. Chłopak znów otworzył usteczka, zaszeptał, tym razem głośniej:

- Mamo...

Nie liczył godzin, które przesiedział wpatrzony w syna. Chłopiec z wolna się uspokoił, oddychał równo, nie rzucał się więcej. Ale niełatwo było o spokój w duszy Klimczaka.

To smutne zawołanie chłopaka, cztery latka miał z górą, musiał rozumieć, co znaczy słowo: umarła - było odbiciem tęsknot małego człowieka, wyrazem jego pragnień.

Klimczak wiele myślał tej nocy o żonie. Cicha, zabiedzona, schorowana. Inna była, gdy się pobierali, potem dopiero zmarniała. Nielekkie było jej życie. Wiele razy bił ją, zajadłe, bez miłosierdzia, to znów gryzł szyderstwem, niezasłużonymi złymi słowami, wracał pijany, nie krył się, że miewał różne dziewczyny. Syna też przywitał bez większej radości, mało z nim kiedy przestawał. Tak jak nigdy nie spieszył do domu, tyle żeby zjeść w nim i wyspać się.

Ona zaś nie robiła mu nigdy wymówek, patrzyła tylko z wyrzutem, wzdychała, on tymczasem niemal jej nienawidził za to wzdychanie, stawał się jeszcze okrutniejszy. Aż ją zmogła choroba, przywitał to jak wyzwolenie: zaraz potem zaczęło się z Joašką... Teraz wspominał miniony czas jak bolesny wyrzut. Taki był dla niej. Nie inny zresztą dla ludzi. Ani dbał kiedy o kogo, ani się liczył z kimkolwiek, jemu tylko nie wolno było nigdy nadebrać na odcisk. Aż znalazł w Koniejeńce nauczkę...

I o Piotrze myślał, dziwacznym chłopie, małym z wiecznie skołtunioną głową, widział go, jak schylał się po stratowane źdźbła pszenicy, ze *zgrozą* patrząc na ich zniszczenie, pieszczotliwie przybliżając do twarzy... A potem jego dziewczyna uratowała Edka od śmierci. Oddała zapłatę za tamto. Jakże mógł ludzić się, że mu wybaczą, że zechcą, by im dziękował?

A potem, czując narastający w sobie spokój, wpatrywał się już tylko uparcie w twarzyczkę syna, rysy jego łagodniały, wypełzał spokojny uśmiech.

Zbierało się na świtanie, gdy podniósł się wreszcie straszliwie znużony; jeszcze rzucając wzrokiem na Edka, szepnął do niego:

- Będzie teraz inaczej, zobaczysz, zupełnie inaczej.

Po powrocie ze Śląska pierwszą jej myślą było, że właśnie w dniu wyjazdu miała umówione spotkanie z Zygmuśm. Nie wiedząc o niczym, oczekiwał na pewno, martwił się, nie wiadomo, co mu chodziło po głowie.

Odczuwała jak gdyby pretensję do siebie za tę niezawinioną przykrość jemu wyrządzoną. Chciałaby ją jak najszybciej naprawić. Przy tym pragnęła teraz obecności tego chłopca, kryjącego swą twarz przed białym dniem. W smutku i niepewności po śmierci matki tylko przy nim znalazłaby ukojenie. Minęło jednak kilka dni, Zygmus się nie odzywał, przypuszczała, nie chce narzucać się w ciężkim dla niej okresie. Skąd miał domyślić się, że jest jej tak bardzo potrzebny?

Zaczynała sobie uświadamiać, że potrzeba stykania się z chłopcem te znacznie więcej niż sympatia, niż pamięć dawnych dni. Przejścia ze Stefanem ulatniały się, coraz rzadziej wracała do nich pamięcią, jakby całkowicie je przekreślała. Już nie gwałtowne, ale spokojne, bardzo spokojnie, narastało w niej uczucie do Wichruna.

Teraz był jej potrzebny, nieodzownie potrzebny. Musiała się z nim podzielić swym żalem, wstrząsem przeżyтым w trakcie pogrzebu, nadziejami i obawami na przyszłość. Ta bowiem wcale nie rysowała się różowo.

I znów, jak zawsze, z pomocą przyszedł kochany Siwiak, który nawet zaniechał swoich wypraw dla połowu okoni pod lodem i spędzał cały czas w domu Jarugów, próbując

wprowadzić ład w rozbite odejściem matki życie rodziny.

Tym razem sprawił to raczej przypadek, inicjatywa nie wyszła ze strony Siwiaka. Któregoś ranka, gdy właśnie wybierał się do Jarugów, dobiegło go nieśmiałe pukanie. Przed drzwiami stał Wichrun, zmarznięty, twarz popstrzyły mu silniej teraz zaznaczone plamy białych blizn i zarumienionych nieokaleczonych części policzków. Kolejarz, domyślając się powodów wczesnej wizyty, zaraz go wciągnął do izby, częstował herbatą, starał się jak najbardziej ośmielić. Przez cały czas myślał przy tym o Mili.

Oczywiście, Wichrun przyszedł z prośbą, by zechciał umówić go z Milą. Nie wiedział, co sądzić tamtego wieczora, gdy nie zjawiała się na spotkanie. O śmierci matki i wyjeździe na pogrzeb dowiedział się znacznie później.

- Jak Mila to zniosła? Bardzo ją pewnie dotknęło - pytał zaniepokojony, skurcze przebiegały przez posiekaną bliznami twarz.

- Każdy musi to przejść, każdy ma matkę...

Przypatrywał się Wichrunowi. Różne słuchy krążyły o jego wyglądzie. Twarz chłopca nie wydawała się Siwiakowi straszna. Blizny, jak blizny, urody nie przydają, ten wklęsły policzek, krzywizna wargi, bardziej rzucają się w oczy. Cóż, wypadki chodzą po ludziach. Do każdej twarzy można się przyzwyczaić. Źle robi Wichrun, kryjąc oblicze. Jeszcze gorzej, że Mila także się boi dziennego światła.

We wzroku starego kolejarza musiało być bardzo wiele serdeczności i ciepła, skoro chłopiec odważył się mówić. Przychodził tylko z prośbą o ułatwienie spotkania, teraz czuł, jak rozpiera go nieprzeparta potrzeba zwierzeń. W domu nie miał z kim szczerze rozmawiać. Ojciec był szorstki, matka nie wyznawała się w subtelnościach. Poharatało go, paskudnie wygląda? Nic to, szczęście, że wyszedł z przygody cało, mógł się zabić, jeszcze gorzej, kaleką zostać na całe życie. Może i zdrowy był taki pogląd, ale w tym okresie nie wystarczało to Wichrunowi. Siwiak budził w nim zaufanie, to nakłaniało do zwierzeń.

- Czy dobrze robię, że na przekór wszystkiemu staram się o Milę? Może to beznadziejne, skończy się jedynie rozczarowaniem dla niej i dla mnie... Bo widzi pan, ja w szpitalu ciągle jedynie o niej myślałem, widziałem we snach, jak się schyla nade mną. Od takich myśli nie można uciec.

- Nie trzeba uciekać. Własnej wartości nie mierzy się rozplaszczonym nosem czy krzywą wargą.

- Ale tej twarzy ludzie się boją. Teraz trochę ustało, po powrocie dzieciaki biegały za mną pokrzykując, że jestem potworem.

Siwiakowi żal się zrobiło chłopca, który zatracił zupełnie dawną pewność siebie. Wieleż

było prawdy w gorzkich słowach, jakie wyrzucił z siebie, pierwszy raz może zdobywając się na zwierzenia!

- Mówisz, ustało teraz... Myślisz, ja wiem, o Mili. Wieczorami się spotykacie, boisz się światła. Widziałem cię, motorem gdy jedziesz, pilotkę zakładasz, szerokie okulary. Niepotrzebnie hołubisz sam w sobie ten lęk przed ludźmi. Zła trzeba się bać, nie swojego wyglądu... - I nagle dorzucił ciszej: - W Mili trzeba lęk przezwyciężyć. Sam pomogłeś, by w niej skielkował. Dobrze, umówię was, ale następnym razem, obgadamy to jeszcze, przyjdiesz do nich wieczorem. Myślisz, że ryzykujesz, boisz się, nie chciałbyś jej utracić. A nuż by się wystraszyła, uciekła od twojej twarzy? Widzisz, gdyby i tak, nie warto zwlekać, lepiej zawczasu wiedzieć, kto czego jest wart. Dziewczynie trzeba podparcia. Niełatwo u nich. Ja nie wystarczę. Tomek, sam wiesz, znasz chłopca. Musi jej starczyć sił, by ukończyć szkołę. Ty byś się także urządził, niegorzej zawczasu pomyśleć o jutrze. Samą codziennością żyć długo nie można. Jakaż zresztą ta twoja codzienność, w mrok od której uciekasz?

- Panie Siwiak, ja rozumiem, sam podobnie myślałem, ale jeśli Mila odejdzie, jeżeli nie zechce mnie znać, będzie się bała? Wiem, że dobrze jej ze mną, że w niej także się rodzi uczucie. Może więc lepiej zaczekać, niech się Rozwinie, stanie mocniejsze nad wszelki lęk. Bo ja naprawdę nie wiem, co by ze mną się stało, gdybym ją miał utracić. Jak na pustyni bym został wśród ludzi. Pan dobrze radzi, ale ja swoje wiem, to moja największa gra. Nie chciałbym, za nic nie chciałbym przegrać.

Szeptał właściwie, nie mówił. Siwiak słuchał, pytał sam siebie, czy na tyle dobrze zna Milę, by móc podtrzymywać swą radę. Może chłopak ma rację, odłożyć, odczekać, zostawić rzecz własnemu biegowi...

- Nie - powiedział nagle, jakby na przekór własnym wahaniom. - Nie, po co tu zwłoka? Musisz wiedzieć, ulży to wam obojgu. Ze swojej strony postaram się ci dopomóc. Dzisiaj chciałbyś ją widzieć?

Zatrzęsła się w gwałtownym potakiwaniu ponura twarz Wichruna.

- Zgoda. A jutro zajrzyj tu do mnie z rana...

Tyle właściwie było tej Siwiakowej pomocy. Dalsza okazała się niepotrzebna. Jeden może Zygmus wiedział, na ile okazała się dla niego owocna ich poranna rozmowa.

Gdy kolejarz szepnął Mili, że Wichrun będzie czekał na nią wieczorem, spojrzała na niego z wdzięcznością. Czyżby domyślił się?

Szła w mrok kasztanowej alei w przekonaniu, że teraz może się już odważyć, że to, co w niej zrodziło się i narosło, a teraz, w bólu i odczuciu pustki po śmierci matki ujawniało się zupełnie wyraźnie, mocniejsze chyba będzie niż obawa przed straszną twarzą. Zdziwiona

była, jak nagle wygasła ta obawa. Wygląd Zygmunia stał się czymś nieistotnym. Ważne było, że kochał ją, nie tylko dziś, teraz, ale wtedy jeszcze, gdy był tym chłopcem, dla którego głowę traciły najładniejsze dziewczęta. Wtedy ją wybrał, garnął się, a ona uciekała, myśląc, że szuka jej dlatego, iż za matką ciągnęła szeptana, niesprawiedliwa opinia. Gdyby była rozsądniejsza, może nie doszłoby do wypadku, jej odmowa sprawiła, że Zygmunt rwał jak szalony motorem, rozbił się, stracił przytomność.

Nigdy tak nie mówiła, zawsze była wstrzemięźliwa, ostrożna w słowach. Ale teraz, gdy zobaczyła go skulonego w cieniu wielkiego kasztana, z daleka już wyciągnęła obie ręce:

- Zygmunt, jak dobrze, że jesteś. Bardzo mi ciebie brakło...

Objął ją łagodnie, coś się w nim wyzwalało, z wysiłkiem hamował wzruszenie.

- Przeżywałem wraz z tobą. Była chwila, chciałem też jechać na Śląsk, myślałem o niej jak o kimś bliskim, o twojej matce, ale zawałem się, nie wiedząc, jak ty byś to przyjęła...

Szli jak zawsze w kierunku oddalającym ich od miasteczka. Od paru dni trzymał mróz, ale nadal było bezśnieżnie, z rzadka szarzały gdzieś zlodowaciałe płaszczyzny dawnych opadów.

Podzielał jej żal, ale zarazem z trudem mógł pohamować narastającą w nim radość. Tak mogła witać jedynie dziewczyna, która naprawdę kocha. Nigdy nie dała tego poznać aż tak wyraźnie. Może Siwiak coś o tym wiedział, gdy tak energicznie obstawał przy swoich radach?

Jakby w odpowiedzi jego myślom, Mila przystanąła niespodziewanie, zawrócili, czuł że dziewczyna oddycha silniej, podniecenie było w jej głosie:

- Zygmunt, ja nie chcę już tłuc się cieniami alei, chować po mrokach... Musisz być teraz koło mnie częściej, nie mamy się czego wstydzić, że tak wyglądasz. Ja się nie boję twojego widoku, nie boję się... Patrz...

Prowadziła go na skraj drogi, gdzie burza zwała kiedyś i lwu stojące obok siebie kasztany, na polu aż po rów ciągnęła się płaszczyzna zasłana śniegiem. Jaśniej tu było, można było widzieć rysy twarzy. Przystanęli tak, że blaski nocy padały na twarz Wichruna. Drżał, musiała to odczuć, gdy palcami wodziła po jego bliznach, dotykała nosa, wklęsłego policzka, krzywionej wargi. Jej zaś naprawdę nie wydawał się straszny, nawet nie brzydki. Jeśli coś czuła, to żal, że musiał tyle wycierpieć w trakcie leczenia i potem, gdy wzajemnie sycili w sobie strach przed jego wyglądem.

A potem ujęła jego głowę w swe ręce, wolno, serdecznie i czule całowała tę poranioną twarz, miejsce po miejscu. Gdy sięgnęła ustami ku oczom, tym, co pozostały takie jak dawniej, czuła wilgoć i słony smak. Scałowała te łzy, które się zgromadziły pod powiekami i

lada chwila mogły spłynąć na pokaleczone policzki.

Wiatr nadciągał od północy, zrazu łagodnymi porywami, przy każdym nawrocie wzmagając się, siał drobinami ostrego pyłu. W młodych, ciągle stojących w miejscu, zasłuchanych w siebie, spływało uczucie wielkiego spokoju i ulgi.

Układało się Jarugom nie najpomyślniej. Odpadły zarobki matki, poza maleńkim stypendium Mila nic już nie wносиła do domu, to samo było z dziadkową rentą, Tomek został głównym żywicielem, ale cóż mógł zarobić, gdy dopiero zaczynał zdobywać zawód?

W tydzień po powrocie z pogrzebu, wracając *później* niż zazwyczaj do domu, zetknął się przy barze „Piastkowskim” z podpitym Zaleskim. Nigdy nie lubił ojca Margiški, tym razem poczuł do niego uczucie wstrętu, zapragnął ominąć zataczającego się draba. Tamten dostrzegł go jednak, przyzwał głośnym pokrzykiem.

- Pamiętaj, pęta, żebyś mi siostry na pierwszego więcej już nie przysyłał. Nie dam, grosza jednego nie dam. Póki ona żyła, płaciłem dla świętego spokoju, choć taki niewydarzeniec nie mógł być moim dzieckiem. Ale teraz już się od was odczepię. Grosza nie dam, jednego grosza, nie będę sobie odejmował od ust. Żebyście nawet nie próbowali, bo wam wtedy pokażę. Słyszysz, ty gówniarzu, Dominiakowy pomiole? Słyszysz?

Żeby to było parę miesięcy temu, Tomek nie wahałby się ani przez jedną chwilę. Nie bacząc na nic, trzasnąłby Zaleskiego w zapitą gębę, potem by jeszcze dołożył solidnym kamieniem. Za takie słowa! Świnia, w tydzień po śmierci matki! Teraz pohamował się, wprawdzie z niemalym trudem, nic więcej, po prostu uciekł, chlustając jedynie na odchodnym z prawdziwą odrazą:

- Obejdzie się, poradzimy bez łaski, ty opoju! Długo przez ulicę biegly za nim piętrowe wyzwiska, Tomek zaś snuł się bocznymi uliczkami, szukając uspokojenia. Dominiakowy pomiot, tak mu ten pijus powiedział. Ciagle wraca to samo, ani można zapomnieć. Kto go w dodatku śmie tak wyzywać, Zaleski, łajdak, cieszący się jak najgorszą opinią w miasteczku. Podobno kiedyś był inny, wódka go tak zmieniła...

Mili tyle jedynie powiedział, że Zaleski odmawia płacenia. Siwiak był oburzony, zgodził się jednak z opinią młodych, że najlepsze to zrezygnować. Nie będą włóczyli Zaleskiego po sądach, skąd zresztą znaleźć dowody? Póki matka żyła, to płacił, choć z ociąganiem, teraz gotów się wyprzeć wszystkiego. Niechaj się pasie swoimi pieniędzmi.

Nawet przy skromnych środkach można było dać radę. Mila wiedziała, półtora roku i znacznie zarabiać, na pewno dostanie pracę w szpitalu miasteczka, pani dyrektor jej w tym pomoże. Od razu się im polepszy. Bo jeśli by nawet mieli się pobrać z Zygmusiem, nie zakaze

jej przecie wspomaganie rodziny.

Gospodarka nastęczała najwięcej kłopotów. Wprawdzie Tomek wrócił od Okińczyca na mieszkanie do domu, Mila zaś przybiegała zaraz po lekcjach, jednak i jedno i drugie musiało się czasem zasiedzieć, głupiego obiadu nie było komu zgotować. Dziadek na domiar zaczął niedomagać, przeziębził się na Śląsku, kaszlał, znów osowiał, za wiele się w krótkim czasie zwaliło na niego, nie tylko więc nie pomagał, ale przy nim było wiele zachodów. Na teraz sytuację ratował Siwiak, całe dni spędzał u nich, on to właśnie zajmował się kuchnią wtedy, gdy Mila miała zajęcia praktyczne w szpitalu, a Tomek pomagał Okińczycowi w przygotowaniu nowej partii wyłączników fabrycznych.

Niejeden raz głowili się, jakby rozwiązać wszystko na okres przynajmniej najbliższy, półtora roku; okazywało się to wcale nieproste. Mila kładła się często spać straszliwie zmęczona, bo i szkoła, i obowiązki domowe, gotowanie i pranie, posprzątać też trzeba było chociażby z grubsza. Ciągły pośpiech, zwalało się jedno na drugie, obawiała się, czy podola nauce w takich warunkach.

Spokój nastawał dopiero późnym wieczorem. Stary Jaruga zasypiał wcześniej, przyzwyczaili się do jego głośnego chrapania, jakby nie docierało do nich. Przyływała natomiast cisza lutowych dni, wiatry znowu ustały, niby to trzymał mróz, ale we dnie słońce rozsypało wszystko wokół, zanosilo się na wczesną wiosnę, opowiadano, że najbardziej niecierpliwie z ptaków ciągnęły już drogą powrotną od ciepłych krajów.

Zawsze był nieodłączny Siwiak, czasem zjawiał się Wichrun, szczęśliwy, że mógł już nie bać się światła, choć siłą nawyku zawsze tak siadał, by cień mu padał na twarz. Gwarzyli we czwórkę, roili plany na przyszłość. Tomek był podniecony, poszła pogłoska, że władze zatwierdziły budowę gmachu dla technikum mechanicznego. Jeszcze w tym roku miano rozpocząć pracę, tymczasem w paru adaptowanych budynkach. *Zgadziali* się wszyscy, Tomek musi uczyć się w technikum, jeśli nie można było inaczej, to choćby na kursach wieczorowych dla pracujących. Tomkowi wcale jednak nie wydawało się to takie proste. Wichrun tylko bagatelizował kłopoty. Zakładali z ojcem od wiosny wielki sad łącznie ze szkółką drzew owocowych, oprócz tego łakomili się na pasiekę, co najmniej na jakieś trzydzieści uli. Wichrun miał za sobą liceum ogrodnicze, dotąd jednak wałkonił się, jedynie, rodzicom nieźle się wiodło. Teraz się zmienił, myślał już nie tylko o sobie, ale przede wszystkim o Mili. To półtora roku przeleci jak z bicia trząś, ani się nawet obejrzą. Wystarczy dla wszystkich, jeżeli Tomek się wzdryga inaczej, to mu chętnie pożyczą na ten czas nauki. Jak normalnie, w rodzinie... Pierwszy raz cicho, speszony wymówił to słowo, ale przyjęli je naturalnie. Cóż tu ukrywać, kochają się z Milą, niech tylko zostanie tą

pielęgniarką, zaraz się wtedy pobiorą. Cóż tu ukrywać i czego się wstydzić?

Ani Tomka, ani Mili takie rozwiązanie wcale nie urządziło. Nawet Siwiak nie nazbyt je widział. Trzeba samym się troszczyć o siebie, zwykł mawiać. Nic dziwnego, że było o czym rozprawiać wieczorami pod takt dziadkowego chrapania. Tym bardziej, że Tomek piastował w sobie jeszcze jedno marzenie. Chciał się uniezależnić od Dominiakowych pieniędzy. Mili i Siwiak inaczej na to patrzyli, nie dawał się przekonać. Cóż z tego, że w końcu wyłazi z Dominiaka niezgorszy chłop, a pieniądze to także jego psi obowiązek. Chłopcu w jakiś sposób to ubliżało.

Siwiak, właściwie teraz domownik, miał też swoje kłopoty. Daleko mieszkał, drugi koniec miasteczka, chciałby zaś zawsze znajdować się tuż koło nich. Zrodziły się w nim ojcowskie instynkty, Milę i Tomka pokochał jak własne dzieci. I oni go traktowali jak ojca. Każde z nich może dlatego garnęło się do starego kolejarza, że znajdowali w jego dobrym uczuciu to, czego im zawsze, przez całe życie tak bardzo brakło: miłość ojcowską. On to rozumiał, chętnie powtarzał, przyciągając oboje do siebie:

- Dzieciaczki wy moje.

Tego wieczora Mili była smutniejsza. Wichrun wyjechał wraz z ojcem do Warszawy, zamówić chcieli w związku z gwałtownie *zbliżającą* się wiosną najodpowiedniejszy materiał szlachetnych szczepów na sad i szkółkę, o Puławy jeszcze zamierzali zawadzić. Ona zaś tak przyzwyczała się do codziennej obecności ukochanego chłopca w kręgu światła zwisającej nad stołem lampy, że miejsca teraz dla siebie nie mogła znaleźć. Z większym niż zwykle zapalem zabrała się do porządków, tym zajęciem głuszac tęsknotę. Siwiak czytał gazetę, Tomek przy małym stoliku porządkował zdjęcia, już się przeprosił z Domem Kultury, sam zresztą Lipiński zaszedł do niego, zamierzał chłopak powrócić do pasjonującej go fotografii.

Zaskoczyło ich z nagłą pukanie. Przez drzwi wsuwała się Czmuńkowa. Chciałaby porozmawiać, bo nawet nie poradzić, już się sama zdecydowała. Rzadko ostatnio ją widywali, zimą chcąc się utrzymać, pomagała w warzywniczym sklepiku, wstawiała wcześniej, zmordowana potem, spać się kładła, jak sama mówiła, z kurami. Czasem tylko nocą słyszeli, jak postępuje za ścianą, reumatyzm ją męczył, w ogóle niespokojna była, czy poradzi już latem ze zbieraniem jagód.

No cóż, normalnie, sąsiedzka wizyta. Siwiak robił jej miejsce za stołem. Tomek nie odszedł nawet od swojego ślęczenia przy fotogramach. Mili tylko była pewna, że usłyszą jakąś ważną nowinę, po cóż by inaczej przyniosła Czmuńkowa całą paczuszkę prawdziwej kawy, prosząc o zaparzenie.

Gdy filizanki zadymiały, a zapach wypełnił izbę, aż nawet dziadek zaczął nawąchiwać

niespokojnie przez sen, zbieraczka jagód zapytała niespodziewanie:

- Wiecie wy, że ta Joaska, co to kupony na Totka sprzedaje, przeniosła się do felczera? Na kocią łapę ze sobą żyją. Zawsze mówiłam, że ona ladaco... Choć plotą, że ten Budziński naprawdę w niej zakochany. Dobrali się, jakby w korcu maku...

Wyczekiwała teraz, nastawiała uszu. Mila wyczuła ten wstęp doprowadzić ma dopiero do zasadniczej rozmowy, nie mogła się jednak domyślić, co by tu należało podsunąć sąsiadce.

- A co Klimczak? - zaburczał od swego stolika Tomek, przypomniał sobie zarazem, że przed paru tygodniami spotkał szofera na schodach; dopytywał się o Czmuńkowa.

Już z tonu, jakim podchwyciła rzucone przez Tomka nazwisko, domyśliła się Mila, że o Klimczaka tu chodzi, za nic nie mogła jednak połączyć kierowcy z Czmuńkową.

- Klimczak? Rzucił tę Joaskę we wszystkie diabły - z satysfakcją powiedziała Czmuńkowa. - Inny zupełnie człowiek. Ochłonął po śmierci biedaczki żony, teraz mu tylko synek chudzina w głowie. Bywa, nagle przychodzi przejrzenie na ludzi. Tak i z Klimczakiem.

- Tego synka to Lena Koniejenków uratowała spod samochodu. Podobno dziękować chodził, ale widzieć go nawet nie chcieli. Ojca mu pamiętają swojego. Dziwnymi drogami płaczą się ludzkie losy - powiedział spokojnie Siwiak.

- Okrutnie boi się teraz Klimczak o swojego małego. On trzy czwarte dnia poza domem, chłopiec zostaje sam, co bo tam sąsiedzi mu upilnują.

- Co wy, matko, tak za Klimczakiem? Mówcie od razu - uśmiechnął się stary kolejarz, widząc, jak babina męczy się kołowaniem, od dawna pragnąc wystrzelić przyniesioną nowinę.

- A bo ja do niego odchodzę. Na gospodynię, dom prowadzić, chłopcem się zająć. Uprosił mnie. Zrazu nie chciałam, gdy jednak pogadałam z człowiekiem, niejedno mi opowiedział, tom pomyślała, może tak trzeba. Z jagodami bym pewnie nie poradziła co dnia ganiać po lasach. Reumatyzm mnie męczy... Chce, żebym tak jak w rodzinie. Bardzo prosił. Zgodziłam się. Co miałam robić? - spojrzała wokoło.

Siwiak milczał przez chwilę, pociągnął łyk kawy, lubił ją bardzo, ostatnio rzadko mógł sobie jednak pozwolić na ten wydatek.

- Dobrze chyba robicie, pani Czmuńkowa. Na pewno i Klimczak nie taki straszny, jak go malują. - Głos jego zabrzmiał nagłym podnieceniem, gdy wystrzelił ze swoim pytaniem: - A jakże pokoik, zostaje?

- Po co? - wzruszyła ramionami. - U Klimczaka zamieszkać. A ten Edek okropnie mileńki, już ja znam się na dzieciach.

Siwiak podniósł się z miejsca. Nie rozumieli jego przejęcia,

- Pani Czmuńkowa. Wezmę ten pokoik po pani. Ja i tak musiałbym się przenieść bliżej do moich. Zgodzi się pani?

Teraz ona otworzyła oczy szeroko.

- Choćby i jutro, mnie co do tego?

Kolejarz zerknął na zegarek.

- Tomek, SAM jeszcze otwarty. Masz tu pieniądze, żebyś przyniósł nam kawy i może flaszkę dobrego wina. Musimy opić transakcję, prawda, pani Czmuńkowa? Miła, dziadka też trzeba obudzić, widziałem, wiercił mu w nosie zapach kawy.

Zatarł ręce.

- No to, moje dzieciaczki, będziemy już teraz razem.

21.

Zapatrzył się baranio na rozwarły kalendarz, po czym ocierając pot z czoła, wyślepił oczy za okienko kantorka. Na drzewach nabrzmiewały pąki, rosnące za płotem forsycje pokryły się pękami miodowożółtych kwiatów, zaczynała zielenić się trawa. Znowu wyciągnął z kieszeni kraciatą, olbrzymią chustę, niechętnie zabębnił palcami po nie dopitej butelce piwa. Ciepłe było, nie gasiło pragnienia. Kto by pomyślał, ostatni dzień lutego, ludzie pokończyli już orki i siewy wiosenne, słońce pali jak w lipcu. Świat się przewraca do góry nogami. Pewnie od tych wszystkich atomów.

Zajechał jakiś motocykl. Mignął przed oknem spieszący do klienta chudy Ostapczuk. Upał zdawał się nie czynić na nim większego wrażenia. „Takiemu to dobrze” - westchnął Maliniak z zazdrością.

Znowu dwa motocykle. Skaranie Boże. Maliniak nie znosił motorów. Tymczasem mnożyły się jak grzyby po deszczu. W samym mieście było ich pewnie z dwie setki.

Wyszedł ze swojej klitki, gdy na podjazd wtoczyła się karetka pogotowia. Szofer swój chłop, zawsze ma też ciekawe nowiny.

- Cześć. Żar jakby w piekle rewolucja wybuchła, diabły straciły panowanie nad ogniem...

Kierowca był w złym nastroju.

- Dosyć piekła na ziemi - mruknął. - Kolega chory, nie ma zastępstwa. Ledwie parę godzin zasnąłem. Ganiało się całą noc..

- Bili się gdzieś? Wesele?

- Najwięcej porodów. Czeka jedna z drugą do ostatniej chwili, a później gwałt. Już to nie próżnują ludziska... Tę Fełę z baru znałeś, Maliniak? Ledwie profesor ją odratował. Podpita była, nocą wsadziła łapska w gorącą wodę i ciach żyłką po żyłach. Bo to jej dali

wypowiedzenie z pracy, tak jak w „Zaciszu”.

- Nie wiecie się dziewczusze. Mnie to jej żal. Może teraz cofną wypowiedzenie?

- Co ma jedno z drugim wspólnego? Ja ganiam, musimy lecieć, ktoś tam nogę wpakował w sieczkarnię. Niejedno się widzi w takim szpitalu. Jeszcze gdy go nam rozbudują, z całego powiatu chorych zaczniemy zbierać...

- Dzień dobry, panie Maliniak.

Zapatrzony w odjeżdżającą sanitarkę, nie zauważył przybycia nowego motoru. Wzdrygnął się w pierwszej chwili na widok rozmówcy. Nie mógł się przyzwyczaić do pokiereszowanej twarzy Wichruna.

- Dobry, tyle, że za gorący - sięgnął po chustkę. - Chłopcze, nie zaszedłbyś w niedzielę drzewka mi przyciąć, bo ja z tym nie bardzo.

- Dziś mogę zajrzeć, wiem gdzie, poradzę. W niedzielę nic z tego, fruujemy z Miłą do Gorzowa.

- Już was nosi z tą wiosną - Maliniak pogroził mu palcem, oglądając się na znajome buczenie maszyny.

No pewnie, Gienek zjechał jak zawsze z trasy, wpadł do domu, wariat, świata nie widzi za swoją Werą. Trudno się teraz z chłopcem dogadać, stale czasu mu braknie.

Wsparł się o filar podjazdu, patrzył na obejście Łyczywków. Tak samo jak zawsze, niosło się stamtąd jednostajne kucie. Kamieniarz szykował pewnie nowy nagrobek. Wzdrygnął się Maliniak, jakby nie było, ponura robota.

Wspomniał dla odmiany wesele Gienkowe. Rabanu narobili na całe miasto. Jak się zjechali wszyscy szoferzy pod ten cywilny kościół w miejskiej radzie, jak nacisnęli klaksony, strach, co się działo. I drugi raz, gdy młodzi już wychodzili z urzędu. Aż się konie jakiemuś furmanowi spłoszyły, pognały, nieledwie pod Sulechowem je złapał... Popijawa też była tęga, nie żałował Łyczywek, dobry grosz robi na swoich przysługach dla umarlaków.

Odetchnął w tej chwili z ulgą. Już mu był Łyczywek nie w głowie. Nadjeżdżał Tomczyk, stały dostawca piwa. Jeszcze z szoferki wołał na całe gardło:

- Zabieraj, całą skrzynkę ci przytargałem. Zimne jak nieczyste sumienie - zachrzękał gniewnie. - Wiesz, Maliniak, benzynę pewnie zacznę brać w Sulechowie. Po tych wądołach dojechać do ciebie nie można. Gwałtuj w przydiu, niech drogę naprawią. W kwiatki i drzewka się bawią, park zakładają, a tutaj człowiek drży o resory. Powariowali z upiększaniem, zapominają, co najważniejsze.

- Spokojna głowa. Za miesiąc zaczynają. Moją budę też rozwalają, nowoczesna stacja tu będzie, kolorowa, cztery pompy, dwóch pomocników, fason, że mucha nie siada.

- Daj jeszcze flaszkę... Koparka przyjechała z Zielonej Góry, wykopy robić pod szkołę na Tysiąclecie.

- Technikum. Będiesz mógł wieczorami dorobić maturę.

- Mnie tam nie trzeba, syna poślę. Za dwa lata będzie mu czas. Co u ciebie?

- Gorąco. Wytrzymać nie można. Co będzie latem, jeżeli w lutym nie ma czym oddychać?

- Latem? Śniegi. Dobrze to piwo...

- Cała pociecha.

Ostatni dech wyciągając z motoru, wpadł na stację zaledwie dotarty, niebieski żuk. Gwałtownie ściągnięte zapiszczały jękliwie hamulce.

- To Mirek, gówniarz, na traktorze dotąd jeździł, nie umie uszanować maszyny - gniewnie rzucił Tomczyk widząc takie popisy.

Maliniak pokręcił głową. Był innego zdania o umiejętnościach Mirkowych. Coś się musiało stać albo chłopak piekielnie gdzieś spieszył.

Młody kierowca twarz miał ściągniętą emocją. Biegł w ich stronę. Nawet flegmatyczny Ostapczuk przerwał swoją robotę.

- Wiecie już? Kanadyjczyk się rozbił. Zabrali go dopiero przed chwilą. Bezwładny jak kłoda. Przednie zawieszenie mu się urwało, ford dwukrotnie wywinął kozła. Taka heca...

- Żyje?

- Nic nie wiadomo. Nieprzytomny był.

Słowa nie mówiąc, sięgnął Maliniak po swoją chustę. Tomczyk spluwał tylko sobie pod nogi.

Wyszedł do kiosku zaraz po lekcjach, zabrakło mu papierosów. Zmęczony był, zły i zdenerwowany; z trudem odbębnił swoje sześć godzin. Wtedy zobaczył Lenę wraz z nieznanym młodym mężczyzną. Prowadzi! ją pod ramię.

Nie wiedział, kiedy znalazł się w domu. Helcia ruszała się jak zawsze niemrawo. Natarł na nią z wołaniem, gdzie matka? Wzruszyła ramionami.

- A wyszła. Bo co?

Nie odpowiedział, z hukiem zatrzasnął drzwi pokoju, rzucił się na tapczan, nie mógł uleżeć, więc krążyć jął po przekątnej, ręce sobie wyłamywał, aż w stawach zgrzytały.

Doczekał się. Z własnej winy. Dawno trzeba było się zdecydować, odciąć się od wymysłów matki, postawić wszystko na jedną kartę. Zwlekał, odkładał, czekał, nie wiedzieć na co, gdy tymczasem wszystko proste było i jednoznaczne. Złudzenia, że coś w matce zmieniło się po jej bytności w Warszawie, pozostawały złudzeniami i niczym więcej.

Zawsze go gubiła podobna chwiejność. Mściło się wychowanie, gdy chuchany, pieszczony, otaczany przesadną troską, odczuł się samodzielnego postępowania. Nawet matka nazwała go kiedyś fajtłapą, stosunek jego do życia określiła jako mazgajowaty.

Jerzy w tamtej rozmowie postawił sprawę wyraźnie. Ma sam zdecydować, znaleźć jedyne wyjście...

Nie znalazł. Czekał. W spojrzeniu Jerzego odczytywał coś jakby ironię, jakby zdziwienie i zaskoczenie. Nawet Koniejenkowa przyglądała mu się uważnie jak jakiemuś okazowi nie z tej planety. Lena zaś milczała, była smutna i coraz bardziej daleka, jeśli nawet nie obca. Wizyty jego, rzadkie coraz rzadsze, bo nic nawzajem nie mieli sobie wszyscy do powiedzenia, przyjmowali bez niechęci, ale z wyraźnym zniecierpliwieniem. Bywał tam jednak uparcie, co tydzień.

Z matką prawie że nie rozmawiał. Mijali się w domu nieomal jak obcy, tylko że on to głęboko przeżywał, ją zaś zachowanie syna zdawało się niewiele obchodzić.

Ujął za klamkę. Może biec od razu do Leny, tam wyjaśnić, jeżeli nie wszystko stracone, zdecydować nareszcie, odzyskać spokój. Może się z matką nie widzieć, w niczym ona mu nie pomoże.

Rozmowa po jej powrocie z eskapady warszawskiej wcale może nie była tak dziwna, jak sobie to wyobrażał. Został wystrychnięty na dudka, w tym kryła się tajemnica. On tylko naiwnie chciał wiedzieć coś więcej...

Przypomniał sobie, jak to było. Trzy tygodnie wojażowała pani Kirgiełłowa po kraju, relacje jej były skąpe i powściągliwe. Tyle wiedział, że najwięcej czasu spędziła w Warszawie.

- Nie uwierzysz, jaka tam straszna drożyzna. Za małe mieszkanie żądają prywatnie tyle co tutaj za dom... Dziewczyny ładne, niektóre to jak motyle, ale żony dla ciebie w żadnej nie widzę.

Wtedy nawiązał do Leny. Niechże zrozumie, że kocha dziewczynę, chciałby ją pojąć za żonę, ale byłoby mu niezwykle trudno utracić przy tej okazji matkę. Tymczasem wszystko stało na ostrzu noża, jej wizyta o Koniejenków do tego się przyczyniła. Czyżby pragnęła złamać mu życie?

Nie podjęła tematu. Oświadczyła tylko, że za tydzień, najwyżej dwa sama z nim porozmawia o Lenie i przyszłości, jak ona sobie ją wyobraża. Teraz zmęczona jest po podróży, zbyt wielki był natłok wrażeń, musi jeszcze wszystko gruntownie przemyśleć.

Zgodził się. Zaświtała mu nikła nadzieja, że może się w matce coś odmieniło. Już wiele znaczyło, że nie chwaliła więcej Warszawy, nie namawiała do przeprowadzki. Może zgodzi

się i na Lenę. Obie wtedy zachowa dla siebie.

Słowa dotrzywała. Przed samym Nowym Rokiem, leżał już, przysiadła na skraju łóżka. Od razu oświadczyła, że ma wielką prośbę do niego. Obiecuje, iż zostawi mu pełną swobodę wyboru. Ale niech to uczyni dla matki, odłoży decyzję na jakiś czas, dwa najwyżej miesiące.

Gładziła go po ręce, czuła była, już nie zaczepna jak dawniej. Przyjął to za dobrą monetę. Ale potem z każdym nowym dniem coraz mocniej odczuwał, jak się w nim budzi bolesna niepewność. Obecność matki zaczynała go drażnić, unikał jej; nie oponowała, jak dłonią odjął, skończyły się jej przygadywania, uwagi, zdawała się w ogóle nie troszczyć o niego. Znów była zabiegana, miała jakieś sprawy na mieście, nic go to zresztą nie obchodziło, mogła się teraz przyznać do pokrewieństwa chociażby nawet i z Chrobrym.

Czuł zarazem, jak oddala się od niego i Lena. To było groźniejsze. Kochał ją niezmiernie, tęsknił, zrywał się nieraz, by biec, powiedzieć, że tylko ona i tylko z nią, zaraz jednak nadchodził lęk przed starciami z matką, przed kłopotami, przed potrzebą podejmowania tysiącznych decyzji. Do tego zaś nie czuł się zdolny.

Mijały dni za dniami. Lena stawała się bardziej wyobrażeniem niż żywą istotą. Zapadał w stan jakiegoś samoudręczenia i ciągle nie mógł się zdobyć na radykalne cięcie. Krył się w swoim pokoju, rano szedł do szkoły, znów wracał, wszystko to bez zapалу, zwykły codzienny kierat. Odsunął się od wszystkich, zaprzestał uczęszczać do Towarzystwa Przyjaciół, przestały do niego docierać miasteczkowe plotki. Jakby sam siebie zamknął w więzieniu.

Dopiero dziś widok Leny prowadzonej pod ramię przez nieznanego młodego człowieka rozbudził go z apatii, ze stanu dziwaczego uśpienia. Nie pamiętał, by kiedykolwiek był aż tak bardzo wzburzony. Z trudem motał swe myśli. Jedna wielka kotłowanina.

Drzwi rozwarły się szeroko, stanęła w nich Kirgiełłowa.

- Mówiła Helcia, szukałeś mnie?

- Chciałem ci podziękować! Spotkałem Lenę. Była z kimś innym. Widzisz, posłuchałem, teraz mam korzyść z czekania...

Patrzyła bez słowa. Unosił się coraz bardziej.

- Chciałem ci powiedzieć, że idę do Leny. Zostawaj sama, jeśli zamierzasz wiązać mi przyszłość. Kocham ją, chcę być razem. Jeszcze jedno, mam, ja ostrzegam, nie przeszkadzaj nam więcej. Ostrzegam!

Wykrzyczał ostatnie słowo teraz już naprawdę zdecydowany, pełen wyrzutów w stosunku do siebie, że zdobył się na decyzję tak późno, może za późno. Chciał minąć matkę we drzwiach, zatrzymała go.

- Idziemy razem. Chcę ci dopomóc. Może to nic poważnego, może się mylisz.

- Mnie dopomóc? - wyjąkał. - To jaki cel miało tak długie czekanie?

- Dowiesz się.

Szli obok siebie przez całe miasteczko, ona objęła już przewodnictwo, poddawał się temu, nie wiedząc, dobrze to, że matka będzie u Leny z nim razem, czy źle, nie pojmując, co pragnie uczynić. Jedno w nim było jasne i pewne, świadomość, że musi być zaraz u Leny.

Ostatnie domy miasteczka, teraz droga na prawo, z jednej strony cegielnia, z drugiej Koniejenków obejście. Nagle 'widzą obydwój, przed nimi Lena, Jerzy i ten ktoś trzeci. Henryk czuje, jak serce ściska się mu boleśnie, bardzo boleśnie, jak przez mgłę dostrzega twarz matki, bladą nagle i nie kryjącą już niepokoju. Potem słyszy ostry jej głos:

- Panie Koniejenko!

Jerzy obejrzał się, zawrócił. Kirgiełłowa nie witając się nawet, energicznie ujęła go za ramię i nakazując Henrykowi, by chwilę zaczekał, odprowadziła młodzieńca na stronę.

- Czy tamten pan to narzeczony siostry?

- Nieee - Jerzy był zaskoczony. - Czemu pani pyta mnie o to? Szkolny kolega, zaprosiłem go na parę dni, pomaga mi w przygotowaniach do egzaminów...

Odetchnęła głęboko.

- A siostra? Bez zmian? - wskazała palcem na syna. - Kocha się jeszcze w tym ślamazarze? Wzruszył ramionami.

- Pani daruje, to przykry temat i pani chyba najmniej...

- Już ja sama wiem, co mi wypada, co nie. Niechże pan na pół godziny wyśle gdzieś tego kolegę. Chcieliśmy porozmawiać z panem, siostrą i matką. Ja i Henryk.

Jerzy, który niczego nie rozumiał, oglądał się na Henryka.

- Mamo! Niech mama idzie do domu! - Henryk powiedział to z jakąś nieswoją zupełnie energią. - Tu moje miejsce i moje jedynie sprawy. Sam o nich zadecyduję.

- Dobrze, dobrze, Heniu, ale tymczasem idziemy razem z panem Jerzym do domu - nie zwróciła nawet uwagi na jego ton.

- Mamo, ja sam... - urwał, widząc spojrzenie Jurka, nakazujące mu spokój.

Najbliższe chwile Henryk przeżył jak we śnie. Duży pokój, zdziwiona Koniejenkowa, blada Lena, Jerzy zaczynający już orientować się w sytuacji, zerkający na wszystko z kpiarskim uśmieszkiem. No i wreszcie to przemówienie matki.

- Może nawet dobrze się stało, że ten kolega przyjechał, Henryk się nastraszył, ja zresztą też. Bo chciałam jeszcze trochę poczekać...

- Mamo!

- Mamo i mamu, uspokój się, Heniu... Wszystko jest dobrze, kochacie się nadal. Ja

odwołuję, co kiedyś tu nagadałam. Przepraszam, ale wiele rzeczy inaczej mi się widziało... W nim - wskazała ręką na syna - jakoś niewiele jest z krwi bitnych Kirgiełłów. Zdaje mi się, że w wasze dzieci jeśli ktoś wniesie energię, to właśnie ona - dłoń powędrowała na odmianę ku Lenie. - Odetchnęła, musiała być w głębi bardzo wzruszona. - Byłam w Warszawie. Owszem, ładne miasto... Ale nasze na swój sposób nie brzydsze. Nie ma stąd po co wyjeżdżać. Ale jeszcze tam straszna drożyzna. Za niewielki jednorodzinny domeczek chcieli ode mnie nieomal że milion złotych. Tyle mi w Totolotku nie wypłacili... - sięgnęła do bocznej kieszeni płaszcza, zaszeleścił niewielki papier. - Kupiłam od państwa domek, poniemiecki, do odbudowy. Cały remont ja przeprowadzę, chyba że się z tobą, dziecko, poradzę - gest pobiegł w kierunku Leny.-Jeden pokoiik z osobnym wejściem zachowam dla siebie. Nie będę wam przeszkadzała, najwyżej pomogę... Na jesień będzie gotowe, wtedy się pobierzecie. To wszystko. Dwa miesiące kołatałam, nim mi się wreszcie udało. Wszystko zostało już wykupione.

- O Boże - odetchnął Henryk.

- Znów wzdychasz? Pocałowałbyś lepiej dziewczynę. Myliłam się, ale teraz widzę, że będzie z niej wymarzona matka Kirgiełłów. Ma charakter.

Przysunęła się bliżej do Leny.

- Z niego też dobry chłopak, tyle że niezupełnie Kirgiełło...

O tej porze był przy kiosku najmniejszy ruch. Dopiero po ukończeniu pracy stłoczy się wszystko, każdy wtedy się niecierpliwi, chce jak najprędzej. Przy kuponach zaś trzeba uważać...

Smętnie i bez zainteresowania spoglądała na rynek. Przy zamieszkałym już bloku, postawionym minionej jesieni, wyrosły po parter mury drugiego budynku. Po przeciwległej stronie wzdłuż frontonów trzech kamieniczek, wyznaczonych do tynkowania, wspinały się rusztowania. Z niespodziewaną wiosną całym tempem od razu ruszyła robota.

Mało ją to teraz cieszyło. Dobrze, że przynajmniej nie zrezygnowała z posady w kiosku, Budziński bardzo ją do tego. namawiał, dziwny człowiek, zazdrosny był, że czasem porozmawia z tym czy innym z co młodszych klientów. Ładnie by dzisiaj wyglądała.

Budzińskiego nie żałowała, może jakąś tam odrobinę. Smutna była, gdyż nie mogła zgodzić się ze swym losem. Wszystko rozsypywało się jej jak domki z kart. A tyle trudu kosztowało ich stawianie. Klimczak ją odtrącił, Budzińskiego zabrano. Znów została sama jak palec. Szczęście, że ma chociaż ten kiosk i klitkę do mieszkania.

Wieleż trwało to ich wspólne życie? Kilka zaledwie tygodni. Nie wszystko przy tym było w nich jasne. Budziński z daleka o wiele był przyjemniejszy, ale już nie pora wspominać. I

tak go nie ma...

Dowiedział się, gdy tamtą dziewczynę przywieziono już do szpitala. Gollub jakoś ją odratował, stan był bardzo poważny Nigdy nie będzie już miała dzieci. Najgorzej, że od samego początku wmieszała się milicja, matka dziewczuchy poleciała ze skargą, że Budziński zmarnował jej córkę, źle zrobił skrobankę... Dziewczynę do szpitala, Budzińskiego na przesłuchanie. Nie mógł się wyprzeć. Przyszła, prosiła, płakała, chciała jak najciszej, ma bowiem teraz narzeczonego, ale ciąża z kim innym. Zgodził się. Nie wie, czemu się nie udało, co się tam mogło przyplątać. Czy jest świadom odpowiedzialności za nielegalne zabiegi? Świadom... Najgorsze, że przy okazji zrobili rewizję. Nawet Joaska nie miała pojęcia, co Budziński przechowywał u siebie. Cały karton narkotyków, morfina, pantopon, jeszcze inne. Kupował je nielegalnie w Zielonej Górze.

To przesądziło sprawę. Aresztowano go, mieszkanie zostało opieczetowane decyzją prokuratury. Joaska nie była żoną, grzecznie zatem ją wyproszono. Podobno Budzińskiemu grozi wieloletnie więzienie. Nie ma co już liczyć na niego.

Ziewnęła. Kiedyś płakała przy byle okazji. Teraz zaprzestała roztkliwiać nad sobą. Dwa razy się nie udało, może za trzecim los się do niej uśmiechnie. Nie będzie głupia, lepiej się rozpatrzy na przyszłość. Bo to można tak skończyć jak Fela z baru, głupia, żyły sobie przecięła, cóż z tego, że odratowali, nikt się do niej nie zechce zbliżyć wiedząc, co może uczynić w zdenerwowaniu. Fela nie miała już zresztą żadnych ambicji, puszczała się na całego. Głupio, nawet puszczać się trzeba umieć. Jej, Joaski, dziwką nikt jednak nie nazwie. Trzyma się zawsze jednego chłopca.

- Siedem tych kuponików, panienko. Może się znów poszczęści?

- Dzień dobry. Życzyłabym pani i sobie. Teraz w *Żarach* padła duża wygrana...

Patrzyła potem na Kirgiełową, masywnie niosącą się przez miasteczko. Syna podobno wydaje za córkę tego dziwaka, który powiesił się przez Klimczaka. Że też chcą się wiązać z taką rodziną? Z tymi Koniejenkami zawsze było coś niewyraźnie. Dziewczyna przy tym wcale nie tak bardzo znów ładna, z nią, Joaska, ani by mogła się mierzyć.

Tam, z drugiej strony rynku, idzie sekretarz partii. W jesionce, gdy wszyscy chodzą już na letniaka, taki zar. Chory podobno, stale ma dreszcze od okupacji mu to zostało. To on dopomógł wywojować budowę szkoły Tysiąclecia dla ich miasteczka. Technikum będzie. Jak przez lata ziało tutaj martwością, to teraz ruszyło z kopyta.

Z daleka jeszcze ujrzała młodego technika z fabryki cukierków. Niedawno przyjechał z Poznania, na stałe, podobno kawaler. Trzeba wybadać, można wpaść potem, jak ta Wera Łyczywków z Andrzejem od wiertaczy. I tak się poszczęściło dziewczusze, musiał się znaleźć

głupi Dopatka, niańczył będzie nie swoje dziecko. Przystojny ten technik, na pewno dobrze zarabia. Już dwa razy gawędził z nią przy okienku.

Sięgnęła do torebki, farbką przeciągnęła po wargach. Pewnie, co się ma przejmować Budzińskim, ta piosenka skończona. Trzeba się rozglądnać za inną...

- Dzień dobry, piękna Joasiu.

Kiedyż zdążył tu nadejść, zaskoczył ją. Uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Jeszcześmy na ty z sobą nie pili...

- Wypijemy. Jeśli można, w sobotę proszę pannę Joasię do „Zacisza” na dancing. Potańczymy, no i oczywiście że tego brudzia...

- Jaki pan szybki..

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, przechylił się, coś cicho zaszeptał. Zachichotała, pogroziła wymanicurowanym palcem.

Do separatki wsunęła się Stolarkowa, podeszła bliżej łóżka, szepnęła do tkwiącej przy nim siwej kobiety.

- Jak teraz?

- Jest wyraźna poprawa...

- To dobrze. Profesor jest pełen nadziei... Prosi cię, Mario, do siebie. Idź, ja posiedzę przy chorym...

Westchnęła, spoglądając za wychodzącą przyjaciółką. Maria bardzo źle wyglądała. Błada, wychudła, pod oczyma worki, drzenie niemalże przeźroczytych rąk.

Profesor Gollub też kręcił głową, podsuwając jej krzesło. Potem bez słowa podszedł do szafki z medykamentami, do kieliszka nakropił lekarstwa, podsunął:

- Mario, tak naprawdę nie można.

- Nic mi nie jest, zwykle zmęczenie.

- Tak, przedtem przez tydzień nocne dyżury przy Okińczycu, w dzień praca w szkole, potem... - uśmiechnął się. - Potem, gdy uzyskałem dla pani urlop okolicznościowy, tkwić pani zaczęła przy Okińczycu i w nocy, i we dnie.

- Nie mam innych obowiązków. - Proszę, kawa.

- Dziękuję... Ma się już znacznie lepiej. Śpi teraz.

- Ja bym też spał pod taką opieką - powiedział to na pół serio. - Nie mam już obaw, wyjdzie z tego bez - szwanku. Trzeba mieć szczęście, żeby przy wielkiej szybkości przeokoziółkować w wozie dwa razy i wykpić się wstrząsem mózgu. Przecież poza potłuczeniami nie miał on żadnego złamania.

- Wystarczy ten wstrząs.

- Ja myślę... Niemniej wszystko zapowiadało się gorzej. Twardy organizm, niejedno znieśie.

Pił kawę dużymi łykami. Też był zmęczony. Ostatni tydzień należał w szpitalu do szczególnie pracowitych, zbiegło się kilka bardzo poważnych operacji. Spod binokli spoglądał na siedzącą przed nim kobietę. Marcowe słońce wpadało przez okno, otulając jej głowę, która srebrzyła się i mieniła w tym blasku.

- Panie profesorze...

Zawahała się. Spojrzał życzliwie, zachęcająco.

- Pamięta, pan ten dzień, jak go tutaj przywieźli? Dowiedziałam się znacznie później, zakazał pan mię powiadamiać!.. A potem, gdy już największe niebezpieczeństwo minęło, rozmawiał pan ze mną długo.

- Tak, Mario.

- Mówił pan, że nie należy mieć żadnych skrupułów w związku z Połą. Że powinnam wyjść za mąż za Dorka. Że czyniałam swoją, jak pan to powiedział, przepryncypializowaną moralnością krzywdę, i sobie i jemu. Kazał mi pan przemyśleć wszystko raz jeszcze.

- Przemyślała pani?

- Tak. Zgadza się z panem, ale Pola nadal mnie męczy. Ja jej stanęłam na drodze...

Nerwowym ruchem zdjął swoje binokle, przecierał je, potem znów nasadzał na nos. Znała go, wiedziała, że jest w tej chwili bardzo zdenerwowany.

- Ja bardzo przepraszam, że... - szepnęła.

- Nic, nic - przerwał. - Nie stanęła pani Poli na drodze. Pola nie miała tutaj nic do wygrania. Gdyby pani nie było, Okińczyc w Poli też by się nie zakochał. O tym trzeba pamiętać, to najważniejsze. Pani ciągle chce siebie ustawiać w roli ofiary. Wtedy ustępuje pani. Albo znów widzi pani siebie w charakterze nieomal zbrodniarza. I znów pani ustępuje. To nie tylko, że nie ma sensu, ale właśnie jest co najmniej krzywdzące dla innych, pomijając już pani własną osobę.

- Czasem jednak...

- Z Połą musiało się stać tak, jak się stało. Nie byłoby Okińczyca, znalazłby się inny pretekst. Poszukiwania na nic się nie zdadzą. Albo kiedyś powróci sama, albo ślad po niej zaginie. Zależy od tego, jakim ostatecznie okaże się jej charakter. Co w niej zwycięży.

- Ona jest jeszcze młoda.

- Młodość nie zwalnia od odpowiedzialności - powiedział to gniewnie.

Milczała. Z całej jej postaci wycierało zmęczenie.

Zastanawiał się przez moment. Czy można w tym stanie skazywać ją na dalsze prowadzenie zasadniczej rozmowy, czy lepiej odłożyć na kiedy indziej? Zdecydował, że należy kuć żelazo, dopóki gorące. Znał dobrze Marię, może dlatego lepiej niż Okińczyc rozumiał jej wzdragania, dziwaczne opory, nieoczekiwane decyzje, wszędzie tam, gdzie cokolwiek wiązało się z Połą. Maria nie przestawała być matką tych wszystkich w Niesuszu, matką, której obowiązki przejęła na siebie po śmierci rodziców. Dla niej konflikt z Połą nie był konfliktem z siostrą, był również konfliktem matki i córki. To musiało pogłębić rozterkę, jeszcze przy skłonności do ustępstw i poświęceń. Tłumaczy! to nieraz Okińczycowi, tamtemu jednak niełatwo przychodziło przestawić na takie tory swoje myślenie. Był zresztą niezmiernie rozgoryczony.

- Można kawy?

- Proszę.

- Mario, rozmawiajmy w rozsądnych, praktycznych kategoriach. Powiedzmy, że Pola wróci, pani zaś zrezygnuje w tym czasie z małżeństwa z Okińczycem. Czy w jakimś stopniu zmieni to sytuację? On Poli nie pokocha w żadnym wypadku. Pozostanie zatem dwoje ludzi cierpiących, on i pani.

- I Pola.

- To znacznie mniej pewne. Ale dobrze, spójrzmy inaczej. Pola nie wraca, pani zaś podtrzymuje swoją negatywną >decyzję, zasklepia się w swoich kompleksach, przepraszam, ale te wzdragania zaczynają się już przeradzać w kompleksy. Znów dwie osoby skrzywdzone.

Milczenie. Gollub czeka na odzew swych słów. Po jakiejś chwili mówi dalej:

- Okińczyc powtarzał mi słowa, jakimi spotkała go pani, gdy wbiegł za panią do domu, z którego uciekła Pola. Mówiła pani o karze za to, że pozwoliła sobie na miłość...

Powoli, powoli, twarz jej zalewał rumieniec. Pochyliła głowę.

- Mario, jesteśmy dorośli... Okińczyc był bezradny, stykał się w życiu z niejednym, ale były to wyraźnie określone historie. Pani przypadek był co najmniej skomplikowany. Ten człowiek bardzo panią kocha. Ludzie jego pokroju nie potrafią inaczej. Wiedział, że może do mnie mieć zaufanie...

- Ale zgodzi się pan, że właśnie po tej nocy Pola uciekła.

- Mała była perfidna, nie ukrywajmy tego przed sobą, choćby ta cała obrzydliwa historia ze sfingowaną ciążą. A ta noc? Zobaczyła, że pani wyszła, domyśliła się wszystkiego. Ucieczka jej była ostatnim posunięciem w tej brzydkiej grze. Znała panią, wiedziała, że może to poskutkować. Jak dotąd świetnie się jej udało.

- Zawsze starałam się być dla niej dobra. Dlaczego ona?

Wzruszył ramionami.

- Na to już nie odpowiem. Może była pani właśnie za dobra. To także niebezpieczne.

- Za dobroć płaci się przecież dobrocią.

- Zazwyczaj, ale nie zawsze. Może panią to dotknie, ale trzeba postawić kropkę nad „i”.

Pola miała zły charakter. Jedyne bodaj w całej waszej rodzinie. Tak się zdarza. Są różne charaktery, zdradzają się, nie wiedzieć skąd, także i złe. Jeszcze jedna barwa naszej codzienności, żeby nie była zbyt mdła. Obok jasnych kolorów, czystych, także ciemne i zamazane.

- Najmłodsza pośród nas... Była wtedy taka maleńka, jak umierali rodzice. Ja ją bardzo kochałam...

Podniosła się nagle. Wyciągnęła rękę.

- Dziękuję, profesorze. Ja bardzo kocham Dorka, bardzo. Nie będę zwlekała, niech tylko przyjdzie do zdrowia.

- *Habent sua fata libelli*-mruknął Gollub.

- Przepraszam, nie zrozumiałam.

- Myślałem, że może ten wypadek Okińczycza okazał się w końcu potrzebny. Dopomógł pani do powzięcia słusznej decyzji.

- Teraz pan zdaje się wierzyć w przeznaczenie?

- Kto wie, kochana Mario, kto wie, może czasem i trzeba w nie wierzyć...

Patrzył na nią ze swym dobrym, zmęczonym uśmiechem.

Tkwili nad brzegiem na składanych stołeczkach, wpatrzeni jak urzeczeni w pławki kołyszące się leciutko na wodzie. Słońce grzało stare ciała, przyjmowali tę daninę ciepła z wyraźną lubością.

Siwiak mocniej ujął wędzisko. Pławek drgał silnie, wreszcie zanurzył się, skosem parł głęboko pod wodę. Podeście, hol i duża płóć, srebrzysta, o pomarańczowych skrzelach, znalazła się w dłoniach wędkarza.

- Na nie teraz najlepsza pora. Później nigdy już tak nie l biorą...

- Pod Warszawą były wielkie glinianki, bardzo głębokie, tam brały najlepiej dopiero po tarle, już latem.

- Nie może być, Jaruga. Płóć jest wszędzie jednaka.

- Ja ci mówię.

- Et, bajasz... Ciagnij!

Teraz Jaruga wyholował nie mniejszą sztukę. Zdejmując rybę z haczyka, spojrzął bokiem

na swego sąsiada. Siwiak wybuchnął śmiechem.

- Patrz, mało, a byśmy się poprzytkali.

- Przypomniałem sobie, to były wzdregi, nie płocie - zachichotał zadowolony z siebie Jaruga.

Słońce prażyło coraz mocniej, kiwali się w jego ciepłe pełni zadowolenia.

Woda skrzyła się, srebrnymi smugami wytryskiwały nad nią ukleje, fale szły wtedy dalekimi, pomarszczonymi kręgami. Brzegi nasycaly się zielenią trawy, okrągłymi główkami wyzierały z niej żółte, niewielkie kwiaty. Z jeziora ciągnął jeszcze ziąb, tu i ówdzie znacząc się unoszącymi się ponad tonią delikatnymi mgłami. Powietrze było przejrzyste, pulsujące niemal niedostrzegalnym migotem.

Szosa przemykały osobówki, ciężiej dudniły ładowne stary. Odbijając się echem o wodę i lasy, dalekim gwizdem odezwał się pociąg.

- Pośpieszny leci. Na Zieloną Górę - obudził się w Siwiaku, kolejarz. - Gdyśmy tutaj przybyli, znaleźliśmy kilka starych, wywróconych wagonów. Jakaż to była radość, gdy się je ustawiło na torach. Ciebie tutaj nic było, nie wiesz, jak zaczynaliśmy prawie z niczego. Linie uszkodzone, mosty zerwane, jeździło się czasami daleką, okrężną drogą... Trudno teraz rozpoznać, gdy ma się dawny obraz w pamięci. Wszystko to było zrujnowana dziura, strach jeden spojrzeć, a teraz rozrasta się w wielkie miasto. Ludzi też nie wiedzieć skąd się tyle nabrało. Przedtem szukać musiał jeden drugiego.

- Skąd? Trzeba patrzeć, jakie to zatrzęsienie wózków na każdym kroku. Nie żałują sobie ludziska tej przyjemności.

- Dzieci, młodzież, więcej ich już tutaj niż tych ze starszych roczników. Dopiero rośnie siła.

- Inni są ci młodzi, okrutni jacyś, dziwaczni.

- Nie tak. Czasy są inne. I wcale nie okrutne. Trudne, zbyt wiele w nich do zrobienia... Patrz, znów mi bierze. Psiakość i ząb mamuci, zerwała.

- Nie trzeba tak ostro podcinać.

- Pilnuj swojego pławka... O czym to ja mówiłem? O młodych? Oni muszą być inni. Dlatego nam nieraz bardzo trudno ich zrozumieć. Mówimy o wojnie, o okupacji, słuchają, ale to do nich nie trafia ani w części tak mocno jak do nas. To dobrze. Źle żyć tylko minionym.

- Ale w ogóle żyć to dobrze. Chętnie bym jeszcze zobaczył nasze miasteczko za dalszych dziesięć lat. Jeżeli dotąd tyle zrobili...

Jaruga rozpiął kurtkę, marcowe słońce grzało jak rzadko.

- Pewnie, dobrze jest żyć, choć to różnie w tym życiu bywa.

Każdy z nich uśmiechał się do własnych myśli.

Koniec